

**MARINA
FIORATO**

**TAJEMNICA
BOTTICELLEGO**

MARINA FIORATO

TAJEMNICA BOTTICELLEGO

Z angielskiego przełożyła
HANNA PAWLIKOWSKA-GANNON

Spis treści

Dedykacja

Motto

I Florencja 1482 ROZDZIAŁ 1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3 ROZDZIAŁ 4 ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6 ROZDZIAŁ 7 ROZDZIAŁ 8 ROZDZIAŁ 9

II Piza 1482 ROZDZIAŁ 1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3 ROZDZIAŁ 4 ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6

III Neapol, czerwiec 1482 ROZDZIAŁ 1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3 ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5 ROZDZIAŁ 6 ROZDZIAŁ 7

IV Rzym, lipiec 1482 ROZDZIAŁ 1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3

V Florencja II, lipiec 1482 ROZDZIAŁ 1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3

VI Wenecja, sierpień 1482 ROZDZIAŁ 1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3 ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5 ROZDZIAŁ 6 ROZDZIAŁ 7 ROZDZIAŁ 8

VII Bolzano, luty 1483 ROZDZIAŁ 1

VIII Mediolan, marzec 1483 ROZDZIAŁ 1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3 ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5 ROZDZIAŁ 6

IX Genua, marzec 1483 ROZDZIAŁ 1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3 ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5 ROZDZIAŁ 6 ROZDZIAŁ 7 ROZDZIAŁ 8

X Piza II, czerwiec 1483 ROZDZIAŁ 1

XI 1492 1492

UWAGA HISTORYCZNA

NOTA AUTORKI

PODZIĘKOWANIA

Przypisy

Mojej matce, Barbarze Fiorato,

która pierwsza pokazała mi obraz Primavera

*I siedmiu jest królów: pięciu upadło, jeden
istnieje, inny jeszcze nie przyszedł, a kiedy
przyjdzie, ma na krótko pozostać.*

Apokalipsa św. Jana 17,10.

Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu,

Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań 2003

I
Florencja 1482

ROZDZIAŁ 1

Florencja wygląda jak złoto, a śmierdzi jak siarka.

Budowle są olbrzymie, wspaniałe, imponujące. Wzniesione z lśniącego złotawego kamienia i srebrnego marmuru. Jednak smród – zwierzęcych odchodów, śmieci, gnijącego mięsa i warzyw leżących w rynsztoku po targu – może powalić nawet garbarza. W istocie to miasto jest pełne sprzeczności. Zbudowane jak dla gigantów, ma ogromne podcienia, piękne pałace i masywne kolumny, ale florentczycy są niewielkiego wzrostu, biegają więc wokół cokołów niczym kolorowo przyodziani Pigmeje. Jedyni obywatele, którzy naprawdę pasują do takiej skali, to posągi toczące kamienne pojedynki na Piazza della Signoria.

Florencja jest piękna i brutalna. Jej uroda sięga bardzo płytko, krew płynie tuż pod powierzchnią. Cudowne pałace i kaplice sąsiadują z więzieniem Bargello, miejscem gorszym od piekła. W każdym kościele piekło i niebo współistnieją na ścianach. Występują obok siebie także na sklepieniu, oddzielone jedynie żebrowaniem. Na kopule naszej wielkiej katedry Santa Maria del Fiore anioły i demony wirują wspólnie w niebieskim kole fortuny. Raj i potępienie są blisko siebie, bardzo blisko. Nawet w jedzeniu kryje się sprzeczność. Weźmy choćby moje ulubione danie – cieniutko pokrojone plastry surowej wołowiny; stragany z mięsem ociekające krwią. To wspaniała potrawa, ale trzeba zadać śmierć, by ją przyrządzić.

Na ulicach bóstwa i potwory także żyją obok siebie. Nie mam co do tego złudzeń. Sama jestem jednym z potworów – Luciana Vetra, czasami modelka, a na stałe dziwka. Kaznodzieje wylewają z ambony jad na takie jak ja, a uczciwe kobiety opluwają mnie na ulicy. Bóg i diabeł ubiegają się o dusze florentczyków i czasami myślę, że w tej walce diabeł wygrywa. Kiedy wchodzicie do Battistero i oglądacie mozaiki przedstawiające Sąd Ostateczny, to na co patrzycie najpierw? Na niebo z dobroczynnymi aniołami w aureolach i allelu jach czy na piekło, w którym Lucyfer z długimi uszami pochłania potępionych? A gdybyście mieli czytać *Boską komedię* Dantego, to zaczęlibyście od *Raju*, z tymi wszystkimi kapłanami i świętopapieskimi prałatami? Czy od *Piekła*, gdzie z nieba płynie krew, a lekkomyślni szlachetnie urodzeni smażą się, od nóg poczynając? Sami znacie odpowiedź.

I oto ja, dziwka i nierządnica, napiętnowana przez uczciwych ludzi, natarczywie namawiam na ulicy do praktykowania więcej niż jednego z grzechów głównych. Zbłąkana owieczka. Czasami jednak zjawiał się wśród nas pasterz, jeden z tych pobożnisiów sprzedających zbawienie.

I w ten sposób poznałam brata Guida della Torre.

Nie było to obiecujące spotkanie. Nie zobaczył mnie z najlepszej strony. Ubrana byłam co

prawda w najlepsze rzeczy, bo zawsze może się nadarzyć jakaś okazja, tyle że akurat siedziałam na nadrzecznej balustradzie i sikałam do Arno. W poetycznym obramowaniu pomarańczowych łuków Ponte Vecchio przyczajonych za mną. Trzeba powiedzieć, że poczciwy brat nie mógł się od razu zorientować, co robię, bo moje spódnice były bardzo obfite. Ale wyszłam właśnie z łóżka Bemba, byłam w drodze do studia pana Botticellego, a ilość wypitego przeze mnie muscatu bezwzględnie domagała się ewakuacji.

Prawdę mówiąc, opowiadam to wszystko w złej kolejności. Zanim zaczniemy mówić o bracie Guidzie i o właściwej drodze, pozwólcie mi wspomnieć o moim dotychczasowym, całkiem niewłaściwym życiu. Bo jeżeli nie będziecie wiedzieli o Bembie i o tym, w jaki sposób zostałam modelką pana Botticellego, nigdy nie zrozumiecie, na czym polega sekret, a właśnie sekret to cała ta opowieść. Wróćmy więc do... do poprzedniej nocy? Nie, nie ma potrzeby przeprowadzać was przez wszystkie zdeprawowane akty seksualne, stanowiące źródło przyjemności dla Bemba, a pieniędzy dla mnie. Zupełnie wystarczy zacząć od tego ranka, piątku trzynastego czerwca, dnia nieszczęśliwego z tak wielu powodów. Wiosna – dobra pora na zaczynanie.

ROZDZIAŁ 2

– Chichi?

Madonna! Nie cierpię, jak mnie ktoś budzi po ciężkiej nocnej pracy.

– Tak?

– Mogłabyś oddać mi przysługę?

Jeszcze jedną? Po takiej nocy to Bembo powinien mnie oddawać przysługi. Oczywiście nieobjęte ustaloną wcześniej stawką. Ale interes to interes. Uśmiechnęłam się sennie.

– Naturalnie.

Bembo oparł swój niebagatelny ciężar na łokciu, doleciał do mnie zapach spod jego pachy. Madonna! Sięgnęłam na nocny stolik po lawendową pomadę i przytknęłam ją do nosa. Uśmiechałam się kokieteryjnie, by zatuszować obrzydzenie, i czekałam na ciąg dalszy. W przypadku Bemba trudno było odgadnąć, co będzie dalej, bo nieprzyzwoicie bogaci mężczyźni zachowują sobie prawo do nieprzewidywalności.

Benvolio Malatesta.

Fakt pierwszy. *Primo fatto*: Nazywał się Benvolio Malatesta, ale wszyscy mówili na niego Bembo. Może dlatego, że roztaczał wokół siebie bardzo wypracowaną aurę jowialności, jak ukochany wujek, czemu zadawała kłam jego bezwzględność w interesach. Często się uśmiechał i żartował, ale...

Fakt drugi. *Secondo fatto*: Bembo był jednym z najbogatszych ludzi we Florencji. Zbił majątek na sprowadzaniu pereł ze Wschodu. Były piękne, wielkie i tak białe, jak czarna jest oliwka. Wysyłał małych chłopców z nożykami do ostryg, żeby po nie nurkowali. Czasami zabrakło im powietrza albo zaplątywali się w wodorosty.

Pewnego razu Bembo przyniósł najpiękniejszą perłę, którą miałam włożyć sobie do pępka, kiedy będziemy się pieprzyli (teraz wiecie, co miałam na myśli, mówiąc, że nigdy nie wiadomo, czego się po nim spodziewać?). Potem chciał ją dostać z powrotem, ale powiedziałam, że nie mogę jej wyjąć. Kłamałam. Spróbowałam później w kąpieli i udało mi się wyjąć perłę, ale okazało się to bardzo bolesne. Włożyłam ją więc z powrotem do pępka. Doskonale tam pasowała, i teraz jestem z jej powodu znana. Uczyniłam z tej perły jeden z filarów mojej sławy. (Wraz z cyckami i włosami). Zwykle noszę albo suknie z krótkimi stanikami, albo ze specjalnym wycięciem, żeby popisać się moją perłą. Klienci lubią niezwykle rzeczy. Szczególnie ci bogaci.

Bembo nie przejął się utratą perły. Tych wielkich używał do wyrobu biżuterii, a drobne mielono na pastę do zębów dla bogatych dżentelmenów albo na puder dla zamożnych dam. Perły

przydawały blasku ich zębom i cerze, nawet jeśli mieli plamy wątrobowe lub przypominali wypacykowane wiedźmy. Perła w moim pępku była dobrą reklamą Bemba. Powiedział, że pewnego dnia sama wyskoczy, kiedy brzuch mój zrobi się wielki od rosnącego w nim dziecka. (Nie wyjaśniłam mu, że to nie może się zdarzyć. Zawsze w połowie miesiąca wpycham w moją dziurę nawoskowane kawałki bawełny, żeby męski łój nie mógł się przedostać do moich kobiecych części. Na jakiś czas robię się bardziej ciasna, ale jeszcze nikt na to nie narzekał). Przez jedną straszną chwilę pomyślałam, że Bembo zamierza uczynić mnie ciężarną. Czy aż tak oszalał na punkcie fiuta, że chce się żenić? Madonna! I dlatego pozwolił mi zatrzymać perłę? W tym momencie odzyskałam zdrowy rozsądek. Mężczyzna taki jak Bembo nie chciałby mieć szczeniaka z taką dziwką jak ja, mimo mojej urody. Ma przecież w domu bogatą oziębłą żonę, która wyziębi jego łożę, ale urodzi mu synów. Od tamtej pory nigdy nawet nie pytał o tę perłę, choć niektórzy klienci wycięliby dziewczynie kawałek brzucha, byle ją wydostać, obojętni, czy ona to przeżyje, czy umrze. Jednak Bembo nie zrobiłby czegoś takiego. Lubi mnie. Zapłacił mi nawet trzy *dinari* za tamtą noc, kiedy perła się zaklinowała, choć nie mógł odzyskać klejnotu. Musiało to być niezłe pieprzenie.

Fakt trzeci. *Terzo fatto*: Bembo zna mnóstwo artystów. Pewnie dlatego uważa się za kogoś bardziej kulturalnego i obytego, jak jedna z tych jego pereł, choć w istocie przypomina zwykłą małą ostrygę, których pełno na morskim dnie. Wywodzi się znikąd, z rodziny rybaków od wielu pokoleń, próbuje więc wydostać się na powietrze, ku światłu. Podobnie jak jego ostrzygi, też jest brzydkim stworzeniem zdolnym do tworzenia piękna, a robi to, patrolując malarzom. To trzeci fakt. Którym mnie zaskoczył. I który zaowocował mnóstwem kłopotów.

– Czy chciałabyś pozować mojemu przyjacielowi?

Jeszcze nie do końca się obudziłam.

– Jakiemu przyjacielowi? – Mój głos przypominał krakanie kruka.

– Alessandrowi Botticellemu. Sandro.

To nazwisko wydało mi się znajome.

– Podobno będziesz idealna jako główna postać jego nowego obrazu.

Otworzyłam jedno oko.

– Główna postać?

Uśmiechnął się, a jego zęby zalśniły perłowo. Przysięgłabym, że Bembo nosi w ustach całe swoje bogactwo.

– Owszem, Chichi. Nie martw się. Będziesz pośrodku sceny, a wszystkie inne postacie zbledną w blasku twojej urody. – Poezja nie najlepiej pasowała do języka Bemba.

– Ile jest tych postaci?

– Poza tobą siedem. Razem osiem.

Scena zbiorowa.

– Nie wydaje mi się to szczególnie „główne”.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Jak najbardziej, Chichi. Obraz będzie nosił tytuł *Primavera*, a ty będziesz boginią Florą. Nadal się dąsałam.

– Gdyby chociaż Madonną...

To go rozśmieszyło.

– Ty jako dziewicza królowa niebios? Niesławna Chichi nietknięta ręką mężczyzny? Nie, nie i jeszcze raz nie.

Obraziłam się i odwróciłam plecami, a Bembo łaskotał moje sutki, żeby mnie udobruchać.

– Posłuchaj, gołąbeczko, Sandro wybrał ciebie właśnie dlatego, że znasz ciepło łoża. Flora ma być doświadczona, płodna, a jej wyraz twarzy może nawet sugerować, że jest brzemienna. A przy tym piękniejsza niż poranek.

Umiał się odwołać do mojej próżności.

– A skąd Sandro wie o moich wdziękach?

Bembo padł na plecy. Wymachiwał rękami w stronę prostokąta cienkiego muślinu naciągniętego na ramy, który stał przy łóżku niby okno. Widywałam już wcześniej coś takiego w przybytkach rozkoszy i prywatnych pokojach – *finestra d'amore*, okno miłości. Jeśli klient lubił być podglądany, to czasami przyjaciele obserwowali go podczas miłosnego aktu. Albo inna para... para w pomieszczeniu po drugiej stronie ekranu uczestniczyła w rozkoszach tego zjednoczenia. Na ogół nie miałam nic przeciwko temu. Tak, signor Botticelli musiał obejrzeć nie lada przedstawienie, jeśli dobrze pamiętam niektóre pozycje ostatniej nocy, ale teraz nagle poczułam, że się denerwuję. Gdy ogląda mnie klient doznający rozkoszy, proszę bardzo, ale gdy ogląda mnie artysta, który zamierza mnie unieśmiertelnić, to trochę niepokojące.

Usiadłam wyprostowana i skromnym gestem, tak do mnie niepasującym, przerzuciłam na piersi pszenicznie jasne włosy. Prawdę mówiąc, powinnam wam teraz ujawnić trzy fakty, skoro o dwóch już wspomniałam.

Primo fatto: Nazwano mnie Luciana Vetra, ponieważ jako dziecko przyplłynęłam z Wenecji w butelce. To prawdziwa historia, kiedyś ją wam opowiem.

Secondo fatto: Mam gęste złote włosy – w naturalnym kolorze, nietkniętym sokiem cytrynowym, wyjaśniam, uprzedzając wasze pytania – do pasa, które się kręcą, choć nigdy nie poznały gorącego pogrzebacza.

Terzo fatto: Mam fantastyczne cycki – krągłe, jędrne i niewielkie jak owoce kantalupy. A według moich klientów smakują równie słodko. Czy jednak można wierzyć temu, co mówi mężczyzna na temat twoich piersi chwilę przed tym, nim rozleje swoją kukułczą ślinę?

– Co mówisz? – przerwał moją zadumę Bembo.

Opadłam na poduszki.

– Zastanowię się. – Wiedziałam, czego chce Bembo: żeby wszyscy zobaczyli obraz, wtedy mógłby im powiedzieć, że pieprzył Floreę.

– Może to – dotknął perły w moim pępku – skłoni cię do przychylniejszego potraktowania mojej prośby? – Zaczyna mnie urabiać.

Spojrzałam na lśniący, mleczny klejnot i znowu na niego. Ta pieprzona perła. Wiedziałam, że kiedyś będę musiała za nią zapłacić.

– Zgoda – powiedziałam. – Podaj mi adres.

I w ten sposób znalazłam się tamtego dnia nad Arno, wyjątkowo wystrojona w drodze do Sandra Botticellego, i wtedy rozpaczliwie zachciało mi się sikać.

ROZDZIAŁ 3

Nie miałam ochoty wracać aż do domu tylko po to, żeby się wysikać. Kiedy akurat załatwiałam tę naturalną potrzebę, podszedł do mnie brat Guido. W rękę trzymał jakąś broszurkę.

Jęknęłam bezgłośnie i przepędziłabym go odpowiednio dobranym epitetem (a znałam ich wiele), ale kiedy się zbliżył, zobaczyłam, że należy do hojnie obdarowanych.

Primo fatto: Miał gęste, czarne, kręcone włosy, które lśniły jak pierś sroki.

Secondo fatto: Miał zadziwiające oczy, niebieskie jak medaliony Della Robbia w Santa Croce.

Terzo fatto: Zauważyłam, że nie miał tonsury, a więc musiał być w nowicjacie (co nie znaczy, że pełne święcenia przeszkodziłyby naszemu zbliżeniu. Gdybym nie mogła liczyć na stały napływ klasztornych klientów, przyszłoby mi porzucić moje zajęcie. Niech sami troszczą się o swoje dusze, ja się zajmę swoją).

A tymczasem zdawało się, że ten dzieciak mnich chciał uczestniczyć w moim zbawieniu. Nakreślił nad moją głową znak krzyża, życząc mi pokoju. Po czym podał mi broszurkę.

– Bracie, mnie to niepotrzebne – powiedziałam z westchnieniem.

Wyraźnie się ożywił.

– Siostrze, może ci się wydawać, że nakazy Pisma cię nie dotyczą. – Jego głos był słodki i niski. Wykształcony. Elegancki. – Ale Bóg kocha wszystkie istoty, także upadłe. Sądzę, że te stroniczki nawet tobie mogą przynieść pociechę.

Wytrząsnęłam ostatnie krople uryny, zanotowałam w pamięci mimowolną obelgę „nawet tobie” i postanowiłam trochę się z nim zabawić.

– Ma brat rację – powiedziałam skruszona. Wzięłam od niego broszurkę, podtarłam nią tyłek i wrzuciłam do wzburzonych nurtów Arno. – Bardzo się przydało. Dziękuję – dodałam słodko.

Dopiero w tym momencie zorientował się, że załatwiałam potrzebę, kiedy do mnie mówił. Gwałtowny rumieniec oblał jego twarz, bo braciszek najwyraźniej walczył z sumieniem. Bardzo chciał zostawić tak niewdzięczną dziwkę, ale jego misja wymagała, żeby przynajmniej próbował ocalić jedną zbłąkaną owieczkę.

Wyjął kolejną broszurkę z całego pęku wetkniętego pod sznur, którym przewiązany był jego habit.

– Jestem brat Guido della Torre, odbywam nowicjat w klasztorze Santa Croce. Te nauki są ważne, siostrze, bo mówią nam o zbawieniu naszych dusz.

Zaczynałam się dobrze bawić.

– Naszych dup? – spytałam z powagą. – Myśli brat, że one są ważne?

– Ważniejsze od wszystkiego.

– I modli się brat za nie? – Mój głos brzmiał niemal żarliwie.

– Co wieczór.

– A gdybym odczuła skruchę z powodu moich grzesznych poczynań i wkroczyła na drogę cnoty, czy można by je kiedykolwiek zbawić?

Jego oczy stały się jeszcze bardziej błękitne, rozplamione żarem zapaleńca.

– Oczywiście, siostró. Bo jeśli modlimy się i staramy przez cały czas pobytu na ziemi, to nasze dusze będą wspólnie radować się w niebie.

Potwierdziłam energicznym skinieniem głowy.

– Więc można wręcz powiedzieć, że tego dnia niebo będzie ich pełne.

Zamknął oczy, uradowany taką perspektywą.

– Niechybnie.

– A więc tu się zgadzamy. – Nieszczęśnik. Postanowiłam sobie pofolgować. – Ale te broszurki i tak nie są mi potrzebne, bo nie umiem czytać. – To typowe dla mnichów, drukowanie broszurek dla dziwek, które są tak nierozgarnięte, że nie umiałyby przeczytać nawet napisu „kutas” na murze.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Wcześniej zostałam prostytutką i nie miałam czasu na litery. Mam jednak fantastyczną pamięć – wystarczy, że raz spojrzę na obraz czy na twarz, a zapamiętuję je na zawsze.

Wyćwiczyłam też umysł, jak pewnie już zauważyliście, by zapamiętywać trzy fakty o każdej znanej osobie czy przedmiocie. Toteż mimo że nie umiem czytać, nie jestem głupia, więc nie myślcie tak o mnie.

Mnich pokręcił głową, jakby zobaczył inny świat.

– Przepraszam... ja... po prostu zawsze byłem otoczony książkami. Są dla mnie wszystkim. Przeczytałem ich setki i nawet teraz – znowu oblał się rumieńcem, ale tym razem z dumy – mam zaszczyt być asystentem bibliotekarza w Santa Croce, mimo że nie złożyłem jeszcze wszystkich ślubów.

Teraz to ja zajrzałam do innego świata. Świata słów, w którym czarne znaki wydrukowane na pergaminie znaczyły dla tego mnicha więcej niż ludzie czy miejsca. Spojrzałam mu w oczy i w tym momencie mnie przejrzał. Zrozumiał, że ma coś, czego ja nie mam, i że mimo całego *braggadocio*, bezczelności i ulicznych manier chciałabym mieć to, co ma on, i wiedzieć to, co wie.

– Ile signorina ma lat?

To zdarzyło się po raz pierwszy. Jeszcze nigdy nikt nie powiedział do mnie „signorina”. Przybyłam z Wenecji jako dziecko w butelce. Uznałam, że jeszcze jedno świństwo pomoże mi odzyskać grunt pod nogami.

– Zeszłej zimy zaczęło mi się kobiece przekleństwo, jeśli to bratu pomoże.

– Kobiece przekleństwo? – Rozpromienił się, myśląc bez wątpienia, że chodzi o jakiś grzech, który można zwalczyć.

Oświeciłam go.

– Raz na miesiąc leci mi z cipki krew. – Pochyliłam się konspiracyjnie i dodałam scenicznym szeptem: – Muszę wpychać bawełniane szmaty do mojego *gatto*.

Cofnął się i znowu się zarumienił, tym razem bardziej. Polubiłam ten widok. Ale nie był tak do końca naiwniakiem, miał coś w zanadru.

– To znaczy, że jesteś jeszcze młoda, ale nie zawsze tak będzie. – Był niezły, powiedział o tym, czego boi się każda kobieta: o nieubłaganej starości. Wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć mojego policzka, ale zaraz cofnął ją jak ktoś, kto boi się, że się sparzy. – Nie zawsze będziesz miała twarz anioła, taką jak teraz. Czy na starość signorina... nadal będzie prowadziła takie życie? – podniósł głos pytająco.

– Nazywam się Luciana Vetra.

Uśmiechnął się i nagle stał się piękny jak anioł. Zobaczyłam, że ma wszystkie zęby, i do tego białe.

– O co chodzi? – spytałam, mrużąc oczy.

– To znaczy „światło w szkle”.

Wpatrywałam się w niego. A więc dlatego tak mnie nazwano. Bo byłam dzieckiem w butelce. W szklanej butelce z Wenecji, ojczyzny szkła. Teraz zrozumiałam, co daje książkowe wykształcenie. I nie mogłam wydusić słowa.

Zobaczył, że nogi się pode mną uginają, i wykorzystał ten moment. Ujął moją rękę i zaczął gorączkowo tłumaczyć:

– Signorina Vetra, mnisi z Santa Croce prowadzą schronisko dla upadłych kobiet. Bo czyż Magdalena nie należała do ulubienic naszego Pana, choć była nierządnicą? Zamierzamy nauczyć kobiety, jak zarabiać pieniądze w dochodowych profesjach, i wykształcić je w Piśmie, a także nauczyć czytać i pisać. Wtedy będą mogły znaleźć uczciwą pracę, a nawet wstąpić do klasztoru naszych sióstr jako zakonnice. – Mocniej ścisnął moją dłoń. – Możemy ci pomóc. Uwolnić światło.

Przez moment widziałam siebie w zupełnie nowym życiu. Chodziłam po wirydarzu z bratem Guidem, z psalterzem w rękę, a moją twarz otaczał wykrochmalony kornet. Jeśli się poprawię, to może uda mi się odnaleźć moją prawdziwą matkę, *Vera Madre*, słodką, łagodną damę, obejmującą mnie silnymi, pachnącymi ramionami, o której śnię, odkąd umiem śnić. W moich snach

jest piękna, opiekuńcza, a jej obraz miesza mi się z tymi wszystkimi obrazami Panienki, które widziałam, ilekroć ośmieliłam się wejść do kościoła. W każdej świątyni Marii mówiłam do niej tak, jakby była moją *Vera Madre*. Słowa mnicha mówiły o nagrodzie; lśniącym Graalu. Mogłam być córką budzącą dumę, a nie tanią dziwką, dla której byłoby lepiej umrzeć i przepaść na zawsze niż żyć w pohańbieniu.

Pokręciłam głową, bardziej do siebie niż do mnicha. Straciłam czujność, muszę odzyskać przewagę. Gdzie się podziała twarda dziewczyna? Jak mogłam pozwolić, żeby tak się do mnie odzywał? Dlaczego jeszcze nigdy nie byłam tak bliska łez? Gdzie się podziała Chichi, kiedy jej potrzebowałam? Odcięłam się od tej pokornej osobowości. Mnich zapanował nade mną, bardzo dobrze, ale teraz ja zapanuję nad nim. Z szybkością błyskawicy wsunęłam rękę w fałdy habitu i chwyciłam jego fiuta.

– Ja też ci mogę pomóc, wiesz – powiedziałam, lekko go pociągając. – Możesz być pewny, że uwolnię to twoje światło.

Wytrzeszczył oczy i odskoczył jak oparzony, ale ja zdążyłam odkryć coś, co mnie zaszokowało. Bo musicie wiedzieć, że nigdy, przenigdy nie zdarzyło mi się położyć ręki na męskim członku, który by natychmiast nie stwardniał. A ten mnich pozostawał miękki jak niemowlak i ku mojemu zmartwieniu szybko odzyskał rezon. Co gorsza, w jego oczach pojawiła się teraz litość z przymieszką pogardy, jakbym sprawiła mu zawód. Jakbym pokazała swoją prawdziwą naturę. Jakby dostrzegł we mnie coś dobrego, ale ja szybko udowodniłam, że się mylił.

Odwrócił się, żeby odejść, a ja znowu byłam bliska płaczu. To idiotyczne! Tymczasem zebrała się grupka moich rywalek w zawodzie i musiałam się trzymać. Wstałam i zawołałam do niego:

– Jak zmienisz zdanie, to wróć! – Błysnęłam nagimi piersiami. – Pytaj o Chichi.

Nie zatrzymał się, szedł wśród tłumu, i po chwili straciłam z oczu jego czarne loki. Podeszła do mnie moja największa rywalka, Enna Giuliani. Z bardzo długimi farbowanymi włosami miedzianoblonde i bladą cerą pomalowaną ołowiem wyglądała jak mój kiepski sobowtór. Gdyby ktoś miał zagrać mnie w przedstawieniu *commedia dell'arte*, to byłaby ona. Wiem, że kiedy mnie nie było, wszyscy klienci szukali Enny. Wiedziała, że jestem najbardziej popularna, ale brała mniejsze stawki, więc miała więcej pracy. Napięcie nie sprzyjało bliskiej przyjaźni. Zazwyczaj dawałam sobie radę z tą dziwką, ale dzisiaj moja pewność siebie gdzieś uleciała. A co gorsza, Enna była świadkiem całej sceny i równie dobrze jak ja wiedziała, że nie udało mi się zyskać nad mnichem przewagi.

– Czyżbyś traciła swoje talenty, Chichi? – zachichotała, trącąc mnie kościstym łokciem. Towarzyszące jej dziwki w łachmanach cieszyły się, widząc moje poniżenie.

Znowu poczułam napływające łzy. Madonna!

– To twoja specjalność – odparowałam. Patrząc na jej twarz, pomarszczoną pod warstwą farby, i obwisłe cycki wyglądające spod sukienki, poczułam nagły chłód. Mnich miał rację: pewnego dnia wszyscy będziemy starzy. Enna była ode mnie dwa razy starsza, miała może trzydzieści pięć lat, i jej kariera prostytutki dobiegała końca. Będzie zarabiała coraz mniej, aż w końcu umrze z głodu, chyba że zabije ją jeden z tych klientów, którzy lubią lekko niebezpieczny seks. Jeszcze jedna martwa dziwka, której rozdęte ciało unosi się na wodach Arno. Podniosłam głowę. Nie ja! Ja byłam w drodze do Botticellego, gdzie miałam zyskać nieśmiertelność jako ucieleśnienie młodości. Oddaliłam się szybko.

– Przynieś trochę fasolki *borlotti* na kolację! – zawołała za mną Enna. (Zapomniałam powiedzieć, że moja rywalka jest także moją współlokatorką).

Odzyskując odwagę, uniosłam spódnice i pierdnęłam jej w twarz.

– Sama sobie przynieś!

Tym razem dziwki śmiały się z Enny, i zostawiłam je rozchichotane. Odcinając się od nich w myślach, ruszyłam ulicą Cavallotti do domu signora Botticellego i do ważniejszych spraw.

ROZDZIAŁ 4

A oto trzy znane mi fakty dotyczące Botticellego.

Primo fatto: Naprawdę nazywał się Alessandro di Mariano Filipepi, przezywano go jednak Botticelli z powodu korpulentnego brata Giovanniego, właściciela lombardu, znanego jako Botticello, czyli „Baryłka”.

Secondo fatto: Botticelli urodził się we Florencji. Pochodził z jednego z najbiedniejszych *rioni* naszego miasta, Ognissanti. Nawet dla mnie jest tam zbyt niebezpiecznie.

Terzo fatto: Był bardzo związany z rodziną Medyceuszy. Sam Wawrzyniec Medyceusz, ojciec naszego miasta, człowiek tak wielki, że mówi się o nim *Il Magnifico*, uważał go za pępek świata. Podobno willa Castello należąca do Medyceuszy, którą widać na wzgórzu nad Florencją, kiedy zimą drzewa zgubią liście, jest cała upstrzona freskami Botticellego.

Jednym słowem, ważny artysta. Ale nie byłam zdenerwowana, kiedy dotarłam do jego pracowni. Pachółkowi, który otworzył mi drzwi, powiedziałam po prostu, że przyszłam, bo mam być malowana. Chłopiec był Murzynem, jego oczy i zęby błyszczały, a kiedy go mijałam, obrzucił mnie spojrzeniem, do jakiego zdążyłam się przyzwyczaić. Sama pracownia była widna i przestronna, w okna wprawiono więcej szyb, niż kiedykolwiek widziałam we Florencji. W głębi pomieszczenia stała jakaś mroczna postać, na którą nie zwróciłam uwagi. Bo było tu jeszcze coś: duży prostokąt w kolorach tęczy. Zorientowałam się, że obraz jest prawie skończony. Był cudowny. Siedem postaci ponadnaturalnej wielkości i gruby Kupidyn powyżej. Przy wszystkich tych postaciach, nie wyłączając Kupidyna, ich twórca wydawał się karłem. Żywe kolory sprawiały, że stojący przed obrazem malarz widoczny był ledwie jako zarys sylwetki. Zorientowałam się, jak przebiegle podszedł mnie Bembo: ósma postać – Flora – która była tylko szkicem bez twarzy, stała trochę z boku, choć na pierwszym planie. Pośrodku znajdowała się Madonna, już skończona i bardzo piękna. Wyglądała dokładnie tak, jak widziałam moją *Vera Madre* w myślach i w snach. Stała na murawie usianej wspaniałymi kwiatami, które jaśniały w trawie niczym upuszczone klejnoty. Towarzyszyły jej trzy tańczące panny w bieli i inne postacie – mitologiczne? – których nie rozpoznałam. Bardzo mi się spodobało to dzieło, i chyba było to po mnie widać, ponieważ Botticelli odwrócił się i spojrzał na mnie.

Był w średnim wieku, miał może trzydzieści pięć lat i czarne, długie do ramion włosy. Całkiem dobrze wyposażony, choć niewysoki. Po krótkim namyśle zorientowałam się, że postać z lewej strony obrazu, mężczyzna z mieczem, wygląda dokładnie jak człowiek, który w tamtej chwili na mnie patrzył.

Nasze oczy się spotkały – przyglądał mi się. Podszedł, wziął mnie pod brodę, przechylił mi głowę w jedną stronę, w drugą i znów do przodu. A potem znowu spojrzął mi w oczy i powiedział:

– *Perfetto*. – Jego silny akcent wyraźnie kontrastował z pięknem, jakie mieliśmy przed oczami. Ale zrozumiałam, co rzekł: „doskonale”. Odpowiedziałam uśmiechem. Po raz drugi tego dnia bez mojej zgody dotykał mnie mężczyzna i podobnie jak w przypadku mnicha od razu się zorientowałam, że Botticelli nie chce się ze mną kochać. Chciał mieć Florę, a ja przyszedłam tutaj, żeby mu ją dać.

Pokazał palcem, żebym poszła się przygotować za parawan, gdzie czekała na mnie wzorzysta suknia. Na kremowobiałym jedwabiu wymalowano liczne kwiaty. Była piękna i ciężka. Widząc parawan, wywnioskowałam, że Botticelli niewiele o mnie wie, i najwyraźniej uważał, że nie jestem pozbawiona skromności. Nie miał pojęcia, że w ciągu sekundy rozebrałabym się na środku pokoju. Włożyłam suknię i zgodnie z jego życzeniem rozpuściłam włosy, i wyszłam zza parawanu niczym Flora we własnej osobie.

Widziałam, że Botticelli był zadowolony, choć niewiele mówił. Wyczuwałam też, że mam do czynienia z wielkim człowiekiem, kiedy tak obchodził mnie dookoła, ustawiając w odpowiedniej pozie. Na mojej głowie, na szyi i w taliu umieścił wieńce z kwiatów. Koło okna stał srebrny dzban pełen koralowych róż, którymi nappełnił moją spódnicę, liczył je starannie – dwadzieścia, trzydzieści i więcej – a potem układał tak, żeby każdy kwiat był widoczny. Pokazał mi, jak przytrzymać spódnicę pełną róż, wkładając lewą rękę pod spód i chowając kciuk, żeby wyglądało to bardziej wdzięcznie. Prawa ręka sięgała do kwiatów, jakbym chciała rozsypać płatki na trawie. Stałam nieruchomo, dokładnie tak, jak mnie ustawił, wydawał się zadowolony. Na koniec przerzucił moje włosy do tyłu.

– Nie trzeba zasłaniać takiego widoku – powiedział. Zaczynałam go lubić. – A co do wyrazu twarzy – oznajmił z prymitywnym florenckim akcentem – to chciałbym, żebyś się leciutko uśmiechała, jakbyś dopiero co zaznała rozkoszy łoża.

Może jednak wiedział, kim jestem? Pomyślałam o poprzedniej nocy, bo nieźle wytrenowałam Bemba w sztuce dostarczania mi rozkoszy. Robił takie sztuczki językiem... Wyobraziłam sobie, że to nie on, a mnich, i poczułam gorąco na twarzy, wargi mi zadrżały.

– *Esatto* – powiedział Botticelli. Właśnie tak. I zaczął malować.

Malował cały dzień. Mówił niewiele, a ja jeszcze mniej. Pozwalał mi robić przerwy i trochę pochodzić, a potem kazał wracać do poprzedniej pozy. Obserwowałam złote plamki światła obracające się jak gnomon zegara słonecznego, kiedy cienie się wydłużały, a w pokoju robiło się ciepło od nisko stojącego słońca. W końcu odłożył pędzle i paletę. Popatrzyłam na jego dzieło i musiałam dotknąć własnej twarzy, by się upewnić, że nadal mam głowę na miejscu, bo tak idealnie została oddana na płótnie. Spełniona, urodziwa i zarazem bezczelna. Nie wyglądałam jak

Madonna. Bembo miał rację: budzę skojarzenia z bijącym sercem, mokrym seksem, ciepłym łóżem.

Flora.

Suknia nadal była jedynie naszkicowana, choć ręce zostały ukończone.

– Będzie mnie pan jeszcze potrzebował? – spytałam, bo chociaż wszystko mnie bolało, to bardzo mi się podobał ten dzień, podobało mi się, że byłam częścią historii.

Pokręcił głową.

– Nie. Suknię mogę namalować w każdej chwili. To nic trudnego. To ty jesteś rzadkim florenckim skarbem. Bembo miał rację.

Teraz ja pokręciłam głową.

– Raczej weneckim – poprawiłam go.

Uniósł brwi.

– Naprawdę? Nigdy nie byłem w Wenecji, ale słyszałem, że jest piękna.

Jestem gorącą orędowniczką mego rodzinnego miasta, choć prawdę mówiąc, nie znam go lepiej niż Botticelli, bo kiedy włożono mnie do butli i wysłano do Florencji, byłam niemowlęciem. Więc teraz też dumnie skinęłam głową.

– W istocie. To miasto wielkiej piękności, ale i handlu.

O wiele wspanialsze niż Piza, Neapol czy Genua, jej morscy rywale. – Trzy inne miasta, których nigdy nie widziałam. W Botticellim było coś, co sprawiało, że chciałam mu się wydać inteligentna, a nie być tylko nędznymi cyckami, toteż powtarzałam, niemal dosłownie, słowa, które usłyszałam kiedyś od Bemba. Musiałam jednak powiedzieć coś nieodpowiedniego, ponieważ Botticelli zbladł i zaczął się trząść.

– Co takiego? – Wypowiedział to niemal szeptem, zaciskając zsiniałe wargi. Twarz miał kredowobiałą, wydawało się, że zaraz zemdleje.

Co ja takiego powiedziałam? Może artysta był tak oszołomiony Florencją i nędzą dzielnicy Ognissanti, że nie chciał słuchać o cudach innych miast? Ale przecież to on wspomniiał o pięknie Wenecji. Mamrotałam coś, próbując ratować sytuację.

– Oczywiście Florencja jest najpiękniejszym miastem ze wszystkich. Duomo, baptysterium, twoje wspaniałe obrazy...

Ale to nie pomogło. Przemknął przez pracownię jak błyskawica i wziął mnie pod brodę, tym razem gwałtownie. Trudno mi było oddychać.

– Powiedz to jeszcze raz.

Byłam przestraszona i nie mogłam wydusić słowa. Moje myśli krążyły jak królik w potrzasku, kiedy próbowałam sobie przypomnieć, co przed chwilą powiedziałam.

– Mówiłam, że Wenecja jest wspanialsza niż Piza, Neapol czy Genua i...

Jego palce zacisnęły się mocniej.

– Co wiesz o tych miejscach? Kto ci o nich opowiedział?

– Kto? – wydusiłam przez zaciśnięte zęby, bo nadal mocno ścisnął moją brodę.

Jego szare oczy świdrowały mnie na wylot.

– Kto ci kazał tak mówić? Bembo?

– Co? Nikt mi niczego nie kazał. O co chodzi? – Po raz drugi tego dnia miałam łzy w oczach. Ale równie nagle, jak zostałam zniewolona, wolność odzyskałam. Botticelli puścił mnie i odwrócił się, jakby był zbyt zły, by sobie ufać. Nogi się pode mną ugięły, a wzorzysta suknia rozłożyła się wokół mnie niczym wielki jedwabny balon, kiedy osunęłam się na podłogę. Drżałam. Kiedy odwrócił się w moją stronę, był uśmiechnięty.

– Przepraszam, mała. Trochę zabawy po długim dniu. Podobał ci się mój żart?

Widziałam wielu złych aktorów. Nie zapominajcie, że mieszkam we Florencji. Koszmarni komedianci zaśmiecają tu ulice i zatrują powietrze swoim wyciem i udawaniem. Nigdy jednak nie widziałam mniej przekonującego przedstawienia niż to, na które patrzyłam teraz.

Wyciągnął do mnie rękę i pomógł wstać.

– To tylko taki żarcik na temat naszych morskich miast. Nie ma potrzeby mówić o tym Bembowi. Niech signorina się przebierze. I może już iść.

Oszołomiona weszłam za parawan i powtórzyłam w myślach całą tę scenę. Coś poszło nie tak, jednak bardziej przestraszył mnie ciąg dalszy gwałtownego epizodu niż sama przemoc – wyparcie się złości i zacieranie wszelkich śladów ataku. Słyszałam, jak Botticelli opuścił pracownię i zamknął za sobą drzwi. A strach wyszedł wraz z nim. I wtedy, bezpieczna w samotności, ukryta za parawanem, poczułam, że ogarnia mnie złość. Zdjęłam suknię tak szybko, jakby mnie parzyła, i w jednym rękawie rozdarłam delikatną materię imitującą rybie łuski. Nie przejęłam się tym. Stracony dzień! Mogłam spokojnie przyjmować klientów na piazzie, ale teraz zapadał już zmrok i strażnicy aresztują każdą prostytutkę, która nie znajdzie się bezpieczna w domu, niekoniecznie w swoim łóżku. Straciłam całodniowy dochód, bo teraz nie ośmielę się poprosić Botticellego o pieniądze. Kiedy się ubierałam, patrzyłam na drewniane panele, które miałam przed sobą, przypominając sobie równocześnie przebieg rozmowy i próbując dojść, w którym miejscu pobrałam.

Pamięć mnie zawiodła, ale wzrok nie: jeden z dębowych paneli z trzech boków miał ciemniejsze linie.

Tajemne drzwiczki, nie większe od Biblii, lekko uchylone.

Otworzyłam je szerzej i wyjęłam znajdujący się tam rulon pergaminu. Na chwilę zapomniałam o złości, bo miałam przed sobą kopię obrazu, doskonałą, jeśli nie liczyć mojej twarzy. Były tu Gracje, puciołowaty Kupidyn i żołnierz o rysach Botticellego. Była też Madonna i inne osoby oraz ja w srebrnej szacie, lecz bez twarzy. Nawet trawę zdobiły takie same kwiaty. Od

pełnowymiarowego obrazu ten różnił się tylko tym, że był miniaturą i że delikatna siatka narysowana węglem dzieliła całą płaszczyznę na kwadraty, jakby całość schwymano w sieć.

Musicie wiedzieć, że nie zaliczam się do tych prostytutek, które kradną. Dziwki o zwinnych palcach często te palce tracą, a pracujące dziewczyny, które wsadzają nos do cudzych szuflad z pieniędzmi czy szkatulek z biżuterią, ryzykują obcięcie tego wścibskiego organu przez strażnika. Wiele ładnych panienek zrujnowała utrata nosa czy dającej rozkosz ręki. Ale tego dnia byłam wściekła, nie dostałam pieniędzy, a obraz był tak piękny, że chciałam go zabrać, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Chcąc pomniejszyć swoje przestępstwo, wyjęłam z torebki broszurkę mnicha, zwinęłam w rulon i zostawiłam w schowku, zamykając z lekkim trzaśnięciem drewniany panel. Niech Botticelli tłumaczy się przed Bogiem z tego, co mi zrobił, co zrobił Chichi. Wepchnęłam obrazek pod stanik sukni i wybiegłam, wymijając służbę.

Kiedy tylko moje buty dotknęły kamieni bruku rozgrzanych promieniami zachodzącego słońca, pożałowałam swojego postępuku. Zawahałam się, gotowa byłam zawrócić, ale usłyszałam, jak Murzynek zamyka drzwi na klucz, więc się rozmyśliłam. Była późna godzina; jeśli nie wrócę do domu, aresztuje mnie nocny patrol. Rano dam obrazek Bembowi i wytłumaczę mu, że w jakiś sposób znalazł się w moim staniku, co odkryłam po powrocie do domu. Bembo mi ufał – zawsze byłam uczciwą dziwką.

Trochę pocieszona ruszyłam w stronę targu. Mój niepokój z powodu skradzionego obrazka prawie dorównywał niepewności, czym obraziłam Botticellego. Miałam nadzieję, że nie zamaluje mojej twarzy i nie wykorzysta innej dziewczyny jako symbolu wiosny. Ale nie sądziłam, by tak zrobił. Podobałam mu się, to nie ulega wątpliwości. On też mi się podobał aż do chwili niezrozumiałego wybuchu.

Pomyślałam, że tak czy inaczej po powrocie do domu opowiem wszystko Ennie. Szala naszej miłosno-nienawistnej wagi będzie musiała przechylić się dzisiaj na stronę przyjaźni, bo taka dobra historia aż się prosi o wyciągnięcie na światło dzienne. Wycygałam nawet resztkę fasoli *borlotti* od handlarza na targu, tak jak ta dziwka prosiła, żeby wprawić ją w dobry humor. Moja portmonetka z powodu signora Botticellego była pusta, ale zapłaciłam temu handlarzowi uśmiechem i całusem w ogorzały policzek. Nie należało przesadzać z podziękowaniami, bo fasolka i tak trafiłaby do koryta świń razem z innymi resztkami z targu. Ziarna fasoli, choć dosyć małe, a niektóre czarne, nadadzą się do duszonego mięsa, uspokoją Ennę i wynagrodzą jej udawanie konfesjonału. Kiedy słońce zaszło, zwijano wszystkie stragany. Florenckie porzekadło mówiło, że jeśli nie zainteresuje cię *Mercata Nuova*, to znaczy, że nie żyjesz. Zazwyczaj lubiłam oglądać stragany, wąchać przyprawy i słuchać dziwnych dialektów handlarzy, wychwalających tuńczyka, sól czy wino, ale nie tamtego dnia. Tamtego dnia myślałam o czymś zupełnie innym i nie mogłam się doczekać, kiedy dotrę do domu.

Dzieliłyśmy z Enną izbę na brzegu Arno w jednym z nędznych domków wzniesionych na lewym brzegu – drewnianych, powykrzywianych, tulących się do siebie nawzajem i do brzegu z obawy, że zostaną porwane przez prąd rzeki. W zimie w izbie było lodowato, latem cuchnęło, a w czasie deszczu chałupkę zalewała woda. (Ostatniej wiosny woda powodziowa sięgała do kostek i musiałyśmy pożyczyć od bednarza beczki, żeby przejść po nich do sypialni). Ale na ogół sypiałyśmy poza domem, więc nie miało sensu wydawanie pieniędzy na lepsze mieszkanie. Miałam nadzieję, że Enna nie wyszła ani nie przyprowadziła gościa do domu, ale kiedy zbliżałam się do okna, usłyszałam głosy.

– Do diabła – zaklęłam.

Ma klienta.

W naszym oknie nie było szyby (zbyt droga, zresztą i tak zostałaby stłuczona przez urwisów), tylko brązowa ciemna kotara, którą zaciągałyśmy, żeby zachować prywatność. Nasłuchiwałam przez chwilę, bo jeśli dżentelmen już wylał, co trzeba, to może zaraz wyjdzie. Ale jeśli Enna dopiero go rozgrzewa, to pójdę do tawerny.

Oto, co usłyszałam.

Głos męczyzny był niski i pobrzmiwała w nim groźba.

– Wzięłaś coś, co do ciebie nie należy – mówił. – Chcę to dostać z powrotem.

Enna nie wydawała się przestraszona, wiedziałam doskonale, że obydwójce udają. Do diabła, byłam z facetami, którzy kazali mi wrzeszczeć, jakby mnie gwałcili, albo przebrać się za chłopca, kiedy brali mnie od tyłu.

– Nie wiem, o czym mówisz. – To głos Enny, chropawy jak krakanie kruka, a wszystko przez fajkę, którą czasami paliła. Zastanawiałam się, o co tu chodzi. O ile było mi wiadomo, Enna też nie kradła, była na to zbyt rozsądna. Jakie to dziwne, że obydwie stałyśmy się złodziejkami tego samego dnia.

– Powtórzę to jeszcze raz. – To znowu męczyzna. – Oddaj to, co wzięłaś, a zostawię cię w spokoju. Jeśli tego nie zrobisz, pożałujesz.

Enna wpadła w złość. Nie lubiła, kiedy ktoś jej groził, a zwłaszcza w jej własnym domu.

– *Ascoltate, signore*, niech pan posłucha – powiedziała z nutką sarkazmu. – Mogę dać panu mnóstwo rzeczy, pan mi zapłaci i dla nas obojga tak będzie lepiej. Ale ja niczego nie ukradłam ani dzisiaj, ani żadnego innego dnia. Więc jeśli nie chce pan się pieprzyć, to lepiej niech pan zjeżdża.

Męczyzna westchnął, ale zaprzestał gróźb. Było to westchnienie klienta, który skarży się w pracowni farbiarza, że palto ufarbowane zostało na zielono, a nie na niebiesko. Głupia pomyłka, ale nie prawdziwy problem.

– Bardzo dobrze. Żegnaj, Luciano.

Poczułam gęsią skórkę.

Cholera.

Szukał mnie.

Czekałam, aż Enna sprostuje tę pomyłkę, ale ona tylko kichnęła. Drzwi trzasnęły, usłyszałam bulgot nalewanego wina. Jak widać, nawet Ennę poruszają podobne wydarzenia i musiała się napić. Czekałam, chcąc mieć pewność, że ten człowiek już poszedł. Czułam w uszach i w gardle walenie serca. Madonna!

Lepiej z samego rana zaniosę ten obrazek do Bemba. Musi być ważny, skoro już zauważono jego brak. Wody Amo szumiały mi w uszach wraz z szumem mojej krwi. Po setce szybkich uderzeń serca na miękkich nogach weszłam do izby.

Madonna!

Enna leżała na wysuwanym łóżku, a w jej szyi ziała czerwona szpara. Tylko kawałek białej skóry utrzymywał czaszkę nad podłogą. Krew była wszędzie, sięgała wyżej niż wody wiosennej powodzi.

W tym momencie zrozumiałam.

To, co wzięłam za bulgotanie wina, to był bulgot krwi spływającej na podłogę.

Nie mogłam się ruszyć, bo krew zalała czubki moich butów. Splukałam ją ciepłym strumieniem uryny płynącej w sposób niekontrolowany po nogach, pęcherz nie wytrzymał. Zamyśliłam się.

Szukają mnie.

Muszę uciekać.

ROZDZIAŁ 5

A oto trzy rzeczy, które zabrałam z domu, kiedy uciekałam, by ratować życie.

Prima cosa: Pergamin Botticellego, zwinięty ciasno w moim staniku tuż przy bijącym sercu.

Seconda cosa: Obszerny płaszcz z gronostajów, gwiazdkowy prezent od Bemba.

Terza cosa: Kawałek zielonego szkła, obtłuczoną szyjkę, jedyny zachowany fragment butelki, w której jako niemowlę dotarłam tutaj z Wenecji. Szkło było twarde jak kamień i zakrzywione niby szpon. Mogło znakomicie posłużyć jako nóż, więc wetknęłam je pod podwiązkę.

Przeszłam ponad kałużami krwi i zamknęłam Ennie oczy, starając się nie narzygać na jej martwą twarz. Gdybym pamiętała jakąś modlitwę, to bym ją odmówiła. Przychodziła mi na myśl tylko *Vera Madre*, wciąż od nowa powtarzałam ją więc jak *Ave Maria*, przyzywając moją prawdziwą matkę, jakby to ona była Najświętszą Panią. Po czym wypadłam z izby.

Gdzie będę bezpieczna dzisiejszej nocy? U Bemba? To przez niego znalazłam się w opałach. Pójdę do niego do domu, wszystko mu opowiem i oddam obrazek. Nie chciałam już mieć z nim do czynienia. Żałuję, że nie wyskrobałam swojej podobizny z dużego obrazu, żałuję, że w ogóle kiedykolwiek usłyszałam o Botticellim. Przerażona, naciągnęłam kaptur, żeby ukryć zdradzające mnie warkocze, i ruszyłam w ciemność.

Mimo późnej pory na Ponte Vecchio jak zwykle było pełno ludzi. Florencki dzień zaczyna się o zachodzie słońca i tutaj doskonale widać, dlaczego tak się dzieje. Dziwki i nocni handlarze zaczynają pracę, bawiąc się ze strażnikami w kotka i myszkę, a liczne pary dobrze ubranych małżonków zażywają przed snem przechadzki na świeżym powietrzu. Chciałabym być jedną z nich! Lubię moje życie, ale tamtego wieczoru miałam wrażenie, że nie ma nic przyjemniejszego niż bezpieczeństwo serdecznych objęć, wspólnota łoża – nie tylko na godzinę czy dwie – i dobry posiłek. Ale kto by się ze mną ożenił?

Przemknęłam nierozpoznana i zaczęłam wspinać się na wzgórze San Miniato, którego kościelne dzwony wzywały mnie z wysoka. Część miasta położona po drugiej stronie starego mostu znana jest jako Oltrarno, „za Amo”, i od razu widać, że mieszkają tam bogaci ludzie. W tej ekskluzywnej dzielnicy Bembo zbudował swoją krzykliwą nową willę, usytuowaną na wzgórzu ponad wyziewami i smrodami Florencji. Nic nie atakowało wysublimowanych zmysłów rezydentów górskiego zbocza, jedynie woń cyprysów i muzyka dzwonów. Doskonale znałam drogę, ale jeszcze nigdy nie pokonywałam jej na piechotę, bo dziewczyny o moich talentach zazwyczaj są wożone (i zwykle wykonują po drodze jakiś lubieżny akt). Jednak strach dodawał mi

sił, a serce waliło jak oszalałe. Wkrótce wdychałam wieczorny zapach mirtowych żywopłotów i słyszałam delikatny plusk fontanny w sadzawce z karpiami w ogrodzie Bemba. Dotarłam do bramy. Kiedy zapukałam, pokazała się znajoma twarz Carla, odźwiernego. Był brzydki jak siedem grzechów głównych, ale w tym momencie gotowa byłabym go ucałować jak moją *Vera Madre*.

– *Buonasera*, Carlo. – (*Primo fatto*: Znałam jego imię).

– Jak tam twoja nowa żona? – (*Secondo fatto*: Wiedziałam, że Carlo niedawno się ożenił z młodą pokojówką, której Bembo dał duży posag w ramach nagrody dla wiernego sługi).

Drzwi się otworzyły. Carlo się uśmiechał. Skrzyżował ręce na piersi, jakby obejmował melony, po czym przytknął ręce do ust.

Podczas tej pantomimy małżeńskiego szczęścia nie powiedział ani słowa, a to dlatego (*terzo fatto*), że był niemową. Za jego zgodą Bembo obciął mu język po podpisaniu kontraktu, dzięki któremu miał zapewnione komfortowe życie do końca swoich dni. Rozumiecie? Bembo składał się ze sprzeczności, był połączeniem dobroci i okrucieństwa. Miałam nadzieję, że nie rozzłości się na mnie. Ukrywałam niepokój pod aroganckim uśmiechem.

– Jest u siebie? – Wskazałam na górę, w stronę sypialni. Carlo skinął głową.

Dzięki Bogu. Następne pytanie.

– *A contessa*?

Jeśli hrabina jest w domu, to po mnie. Nie będę mogła zobaczyć się z Bembem, jeśli ta jego zasmarkana żoneczka przebywa w domu. Odźwierny pokręcił głową. Wyciągnął rękę w stronę dzwonnka do stróżówki, żeby wezwać służącego, który poprowadzi mnie przez ogród do domu, ale powstrzymałam go ruchem ręki.

– Nie zwracaj sobie głowy, Carlo. Pobiegnę sama i zrobię mu niespodziankę.

Moje znaczące mrugnięcie wywołało uśmiech. Jeszcze jedno spojrzenie Chichi i już biegłam przez pachnącą ciemność ogrodu. Przede mną znajdował się wielki staw, w którym niebo odbijało się jak w upuszczonym lustrze, złoty karp pływał tuż pod powierzchnią, błyskając oświetlonymi księżycem łuskami. Znowu poczułam osaczające mnie zagrożenie. Obeszłam staw i w końcu znalazłam się w obszernym rzymskim atrium. Nikt nie wyłonił się z cienia, żeby mnie powstrzymać, i znalazłam się na wielkich, słabo oświetlonych kamiennych schodach.

Kiedy doszłam do dębowych drzwi sypialni Bemba, przyłożyłam do nich ucho, nasłuchując odgłosów z wnętrza, ale słyszałam tylko bicie własnego serca. Zapukałam – najpierw cicho, potem głośniejsze. Cisza. Bembo na pewno śpi.

Nacisnęłam klamkę i już byłam w środku, gdzie mój niedawny kochanek spał owinięty czerwonymi aksamitnymi kołdrami. Nie myślałam jasno, bo zdążyłam podejść do łóżka i położyć rękę na narzucie, nim uświadomiłam sobie, że Bembo zawsze sypiał w perłowobiałej pościeli z bezcennego egipskiego batystu. Nigdy w czerwonej.

Krew.

Moje ręce lepiły się od krwi. Wiedziałam już, co zobaczę, odwróciłam więc ciężkie ciało, a głowa Bemba opadła nienaturalnie w tył. Ziejąca na szyi rana była dokładną bliźniaczką śmiertelnej rany Enny. Założę się, że zadała ją ta sama ręka.

Madonna!

Moja własna krew odpłynęła z głowy i byłabym upadła, ale otrzeźwiło mnie ciche pukanie do drzwi. Znieruchomiałam na dźwięk głosu pokojówki.

– Proszę pana? – Cisza. – Proszę pana? Carlo mnie przysłał, żeby powiedzieć, że signorina Vetra właśnie weszła przez bramę. Czy już jest z panem, czy mam jej podać coś do picia w atrium? – Kolejne pukanie. – Proszę pana?

Ile razy jeszcze pokojówka zapuka, nim wejdzie do pokoju? Wiem, że nie zawaha się obudzić swojego pana, bo gdyby rzeczywiście po mnie posłał, to chciałby, żeby obudzono go na te „ćwiczenia sportowe”. W ciągu sekundy znalazłam się przy oknie, na parapecie, po czym w szalonym tempie opuściłam się na dół po solidnych konarach wistarii oplatającej fasadę. Prawdę mówiąc, już raz tędy uciekałam, kiedy *contessa* wróciła niespodziewanie do domu. Tym razem myślałam szybko. Wiedziałam, że kiedy Bembo zostanie znaleziony, zatrzymają mnie przy bramie. Nie mogłam podejmować takiego ryzyka, nie zeskoczyłam więc na ziemię, tylko pobiegłam po niskim dachu i przeskoczyłam przez ogrodowy mur, lądując wśród milczących kamieni cmentarza San Miniato. Poczulałam czyjąś obecność, już nabierałam powietrza, by krzyknąć, ale zobaczyłam, że z kamiennego nagrobka patrzy na mnie złowieszczym okiem wysmukła srebrna czapla. Wzleciała z grobu jak duch i bezszelestnie przefrunęła nad murem, niewątpliwie po to, by trzymać wartę przy smakowitym karpniu w ogrodzie Bemba.

Odetchnęłam z ulgą, ale tylko na moment.

Do diaska.

Dokąd teraz?

Pod suknię miałam ukradziony obraz, a na rękach krew Bemba. Wkrótce będę ścigana jako morderczyni, może nawet już mnie szukają.

Musiałam znaleźć jakiś azyl.

Azyl? To słowo odbiło się echem w mojej pamięci. Kto mi dzisiaj proponował azyl? Wracały do mnie urywki rozmowy. Nagle zrozumiałam, dokąd mam pójść. Dom Boży zawsze jest otwarty!

Skierowałam czubki moich zniszczonych butów w stronę klasztoru Santa Croce, żeby szukać pomocy u jedynej mężczyzny, któremu nie stanął pod wpływem mojego dotyku.

ROZDZIAŁ 6

O klasztorze Santa Croce wiedziałam trzy rzeczy.

Primo fatto: Dante nie był tam pochowany. Zmarł w Rawennie, gdzie gnije jego ciało, ale pokazują jego grób w kościele klasztornym Santa Croce, ponieważ ostatnio ten kościół stał się mauzoleum najszlachetniejszych synów Florencji. Ale najbardziej czczonego ze wszystkich florentczyków czci się w Rawennie. Jeśli chcecie znać moje zdanie, to kolejny dowód na to, że Kościół to jedno wielkie oszustwo.

Secondo fatto: To miejsce wypełnione jest do granic wytrzymałości przez życzliwych franciszkanów, takich jak brat, którego tutaj szukam. Wydaje mi się, że franciszkanie pracują jako duszpasterze wśród ubogich, trędowatych i innych nieszczęśników, w przeciwieństwie do ich chłodniejszych braci, surowych dominikanów z Santa Maria Novella w przeciwległej części miasta. Powiem wam, skąd wiem, że ci są bardziej przystępni, bo chociaż nigdy nie postawiłam nogi w świętych wirydarzach Santa Maria Novella, tutaj byłam wiele razy. I to prowadzi do:

Terzo fatto: Furtian w Santa Croce, brat Malachi, od czasu do czasu ściągał mnie do braci za murami. Wiem, że to szokujące, ale ciało jest słabe, kiedy we fiuciku drzemie energia, i nawet ci, którzy mają powołanie, mogą zapomnieć o Bogu podczas kwadransa zabawy. Toteż dobrze znałam brata Malachiego i miałam nadzieję, że ten pobożny rajfur będzie dyżurował dziś wieczorem przy bramie.

Wielka piazza Santa Croce była pusta i ciemna, nie było nawet gołębi, które w świetle dnia dziobią tu i drapią pazurami. Masywna fasada kościoła rysowała się w ciemności, gigantyczne i złowieszcze drzwi przypominały ciemne usta, a jedyne okrągłe okno było niczym oko cyklopa. Spuściłam wzrok, wystraszona, i skierowałam się do niskiej furtki w długim wysokim murze prowadzącej do klasztoru. Za furtą drzemał Malachi, ale obudził się, kiedy sięgnęłam ręką, by ściągnąć mu kaptur, rozgniatając jednocześnie piersi o zawijasy z kutego żelaza. Od razu spojrzał na mnie lubieżnie, jakbym akurat mu się śniła, i natychmiast wrócił do rzeczywistości. Ten uśmiezek przypominał mi, jakim świńskim draniem jest w istocie ten mnich, i przyszło mi na myśl jedno z trzech łacińskich powiedzeń, jakie znam: *Cucullus non facit monachum* – „Kaptur nie czyni mnicha”. (Powiem wam dwa pozostałe w odpowiednim czasie, teraz jestem zbyt zajęta ocaleniem mojej nędznej skóry).

– Witam, bracie Malachi. Czy jest brat Guido?

Obrzydliwy mnich przeciągnął się, pierdnął i oparł o furtę.

– Chichi, w Santa Croce mamy wielu mnichów o tym imieniu. Weźmiesz ich wszystkich

naraz czy po kolei?

Nie mogłam znieść jego dowcipów. Tej nocy przeszłam dwanaście mil, na wzgórze San Miniato, z powrotem w dół do Santa Croce, widziałam dwoje nieboszczyków, jednego lubiłam za życia, jednego nie. Potrzebowałam azylu, nie seksu, i wyteżałam zmęczony umysł, żeby przypomnieć sobie nazwisko mnicha. Było w nim coś o wieży.

– Della Torre. – Tak, na pewno.

Brwi Malachiego niemal schowały się pod kapturem.

– Naprawdę? Pizańczyka? Sądziłem, że jest zbyt pobożny na... ale mniejsza z tym. – Pokręcił głową. – On przynajmniej ma pieniądze, żeby ci zapłacić, a w każdym razie jego rodzina ma. – Przekręcił klucz w furcie, a ja się cofnęłam, bo otwierała się na zewnątrz. Szybko przeszłam obok obrzydliwego mnicha, ale i tak zdążył złapać mnie za pierś.

– Bracia są na modlitwie – wymamrotał, tarasując mi przejście swoim wielkim brzuchem. – W drodze powrotnej nie zapomnij o mojej dziesięcinie. Dziesięć procent, jak zawsze.

Madonna! Miał cuchnący oddech – Bóg jeden wie, czym oni się żywią – ale uśmiechnęłam się do jego zaślinionej gęby i wyminęłam go szybko, biegnąc na dziedziniec.

Jak wiecie, na co dzień nie miałam czasu dla Boga, ale tu od razu poczułam się bezpieczniej. To miejsce tchnęło spokojem – chłodny prostokąt szmaragdowej trawy, jak nieruchome jezioro otoczone idealnymi krużgankami o niezliczonych arkadach. Na jednym krańcu znajdowała się kaplica z okrągłą wieżą i kwartetem białych kolumn. W tym otoczeniu przypominała pogańską świątynię. (Została co prawda zbudowana dla rodziny Pazzich, a trudno sobie wyobrazić bardziej niechrześcijańską bandę. Opowiem wam o nich później, bo trochę wiążą się z tą historią). Obeszłam trawnik i skierowałam się w lewo do małego wirydarza. Jeszcze zanim dotarłam do kościoła, usłyszałam śpiew, którego spokojne tony podziały na mnie kojąco. Może niebezpieczeństwo minęło, a jeden ze śpiewających udzieli mi pomocy.

Nawet bezbożnej dziwki, takiej jak ja, nie mogło nie poruszyć wnętrze Santa Croce. Był to kościół olbrzymi jak stodoła. Słynne kaplice, ukryte za gotyckimi łukami, tłoczyły się w pobliżu ołtarza, a ich skarby oświetlały wotywnie świece. Każdy centymetr powierzchni był zamalowany, jakby dokoła rozgrywały się sceny z Pisma. Bracia, skuleni z zimna w habitach, stali rzędami w nawie, z kapturem zsuniętym na kark. Weszłam bocznymi drzwiami i widziałam tylko szeregi głów z profilu, podobnych do siebie jak groszki w strączku, więc nie mogłam wśród nich wypatrzeć mojego mnicha. Poczulałam ucisk w gardle. Mnichów były setki, przypominali ptaki na gałęziach. Jak mam go odnaleźć? Kiedy msza się skończy, wszyscy naciągną kaptury i wtedy równie dobrze mogłabym próbować odróżnić jednego ślimaka od pozostałych. Straciwszy nadzieję, spojrzałam w górę, kierując wzrok na sięgające sklepienia kolumny, tam, dokąd wznosił się surowy śpiew i zawisał w powietrzu jak stado ptaków. Patrzyły na mnie z góry kamienne anioły i wtedy

przypomniałam sobie, że na głowie mojego mnicha rosną niesforne, piękne czarne włosy, jak u archanioła Michała.

Nowicjat.

Włosy.

Brak tonsury.

Muszę spojrzeć na braciszków z pewnej wysokości.

I jakby w odpowiedzi na błagalną modlitwę zobaczyłam pośród aniołów galerię, wysoko ponad zwornikami łuków, biegnącą przez całą długość nawy. Przemknęłam do schodów i po krętych stopniach wdrapałam się na ten ukryty balkon. Stąd mogłam patrzeć na braci i swobodnie im się przyglądać. Groza kościoła, jego fresków, grobowców, świec i śpiewów, na górze była jeszcze bardziej wyczuwalna. Patrzyłam na olbrzymi obraz nad ołtarzem przedstawiający umierającego Chrystusa pogrążonego w smutku. Obrzucił mnie spojrzeniem z Sądnego Dnia, a ja chwyciłam się balustrady, bojąc się, że spadnę. Skoncentrowałam się na pochylonych głowach braciszków, żeby zapanować nad przerażeniem, które nagle mnie ogarnęło. Brat Guido musi tu być, musi...

Spoglądałam na rzędy głów, tym razem z góry, i bez trudu znalazłam nowicjuszy pozbawionych łysinki. Dwaj mieli włosy blond jak weneccanie.

Trzecim był on.

Od razu poczułam się lepiej. Był piękny i wyższy od pozostałych, poza ciemnowłosym mnichem, który stał obok niego. Oczy miał podkrążone, policzki przyciemnione zarostem. Ziewnął, pokazując białe zęby i różowy język. Zorientowałam się, że jako nowicjusz musi się przyzwyczaić do wstawania o tak wczesnej porze. Bo przecież to ledwie początek franciszkańskiego dnia – modły i czuwanie o trzeciej rano, powtarzane co godzinę aż do komplety, a potem do łóżka, nim wszystko zacznie się od nowa. To z pewnością nie w moim guście. I jak na razie nie w jego. Czyniło go to bardziej ludzkim i od razu go polubiłam. Przez całe niekończące się nabożeństwo nie odrywałam od niego wzroku, bo nie chciałam znowu napotkać spojrzenia ukrzyżowanego Chrystusa. Wreszcie śpiewy ucichły i jakiś mnich zaczął recytować coś po łacinie z ambony piskliwym monotonnym głosem. Inny wymachiwał kadzielnicą na łańcuchu, a kłęby kadzidła wydobywały się z brzucha srebrnej kuli. Duszący zapach, monotonia głosu mnicha, wahadłowy ruch kadzielnicy i późna pora – wszystko to sprzysięgło się przeciwko mnie. Położyłam głowę na chłodnych kamieniach balustrady. Nie spałam od chwili, gdy obejmował mnie Bembo, cały dzień wcześniej, cały świat wcześniej...

Zasnęłam.

Obudziły mnie głośnie szelesty i szuranie. Wszyscy mnisi wstali, nałożyli kaptury i szykowali się do wyjścia z kościoła. Wpadłam w panikę i rozpaczliwie szukałam wzrokiem

mojego mnicha, ale teraz wszyscy mieli na głowach kaptury i nie było widać rysów twarzy.

Niech to diabli!

Wyszłam z galerii i wbiegłam do wirydarza wcześniej niż oni. Słyszałam tupot setek stóp opuszczających kościół. Dokąd teraz? W porę cofnęłam się w mrok portalu kaplicy Pazzich. Schowałam się za kolumną i modliłam się, żeby nikt nie wszedł, bo stąd dobrze widziałam każdego z przechodzących braci, sama nie będąc widziana. Chłonełam nowość tego miejsca, czułam zapach świeżo piłowanego marmuru, lakier paneli, klej medalionów, które z ciemności spoglądały na mnie w dół jak niebieskie oczy. Dziwne, że miejsce takie jak to ufundowała rodzina spisująca przeciwko Medyceuszom. Pazzi snuli intrygi i nawet zabili członków rodziny ojców naszego miasta. Ja też żyłam teraz w tym świecie, wkroczyłam do niego, bo zostałam splamiona florencką krwią. Mój strach powrócił, większy niż kiedykolwiek, potrafiłam jednak pohamować chęć ucieczki z tej pięknej, spokojnej kaplicy wzniesionej przez morderców. Zmusiłam się, żeby wytrzymać jeszcze sto uderzeń serca, i wtedy go zobaczyłam. Przechodził blisko i – dziękuję, *Vera Madre* – był sam.

Szarpnęłam go za rękaw, pociągnęłam z niespodziewaną siłą do kaplicy i natychmiast zatkałam mu usta, żeby nie krzyknął.

Otworzył szeroko oczy – błękitne medaliony, jak te ceramiczne nad nami – i dopiero kiedy wyczytałam w nich, że mnie rozpoznał, odjęłam rękę od jego ust. Od chwili gdy przypomniał sobie, kim jestem, pragnął, żebym zniknęła, widziałam to wyraźnie. I nie mogłam go za to potępiać. Bo gdyby znaleziono go sam na sam z osobą taką jak ja, o tej porze, przeor wyrzuciłby go z klasztoru Santa Croce na zbity pysk szybciej, niż zdążyłby powiedzieć słowo.

Brat Guido della Torre wygładził habit i starał się uspokoić. Musiał odchrząknąć dwa razy, zanim się odezwał, a kiedy to zrobił, z jego ust wydobył się jedynie ochryply szept.

– Signorina Vetra? Co panienka tu robi?

No, przynajmniej zapamiętał moje nazwisko. Wiedziałam, co mu powiem. Nie zapominajcie, że szłam od zachodu słońca, przy każdym kroku myśląc o sytuacji, w jakiej się znalazłam. Całą drogę od Bemba, schodząc ze wzgórza San Miniato, myślałam o tym, co mu powiem. Rozważałam to w myślach, zastanawiałam się nad wszystkimi możliwościami, od szczerości do półprawdy. Byłam przekonana, że podjęłam najlepszą decyzję, najlepiej pasującą do mojego sposobu argumentowania i temperamentu.

Postanowiłam kłamać jak z nut.

Osunęłam się na ziemię, ujęłam jego rękę i podniosłam oczy jak prawdziwa penitentka. Moje oczy, zielone i błyszczące niczym szkło, były równie piękne jak jego, a teraz jeszcze przesłaniała je mgielka łez.

– Bracie, tak bardzo się wstydzę mojego dzisiejszego zachowania. Jestem zagubiona

i najbardziej na świecie chciałabym, żeby wskazano mi drogę, pragnę żyć w Pańskiej owczarni jako zagubiona owieczka. – Nie była to najlepsza metafora, więc dodałam pospiesznie: – Zaproponował mi brat azyl, a teraz potrzebuję go bardziej niż kiedykolwiek.

– (Przynajmniej to była prawda). – Przyszłam tu, żeby błagać o schronienie do czasu, aż będę mogła wstąpić do klasztoru i zostać zaślubiona Chrystusowi.

Widziałam, jak zdumienie, niedowierzanie i głęboka niechęć toczą walkę w duszy mnicha. Najwyraźniej gotów był pomóc nędznej prostytutce w świetle dnia, ale nie spodziewał się, że ta prostytutka osaczy go na terenie klasztoru. Słowa zdradzały jego myśli: chciałby się mnie jak najprędzej pozbyć.

– Sostro... signorina, nie mogę, to znaczy o tej porze nie da się nic zrobić. Muszę poprosić... chyba rozumiesz, że przebywanie tutaj... – Przerwał z westchnieniem. – Signorina, muszę poprosić, żebyś wyszła po cichu i rano stawiała się przy klasztornej furcie.

Zastanawiałam się, czy zdradzić mu prawdziwą naturę brata furtiana, który miałby rano wysłuchać mojej prośby, bo przecież Malachi niewiele się różnił od alfonsa. Rozmyślałam się jednak, nie było czasu na takie subtelności.

– Bracie, niestety, nie mam dokąd pójść. Nie mogę wrócić do domu. – Uznałam, że przyszła pora na groźby. – Jeśli ty nie możesz mi pomóc, to może któryś z braci... – Zrobiłam krok w stronę drzwi.

Wyciągnął rękę, żeby mnie zatrzymać.

– Poczekaj. – Niemal słyszałam jego myśli. Moje słowa zabrzmiały tak przekonująco, a pomysł zwrócenia się do innego mnicha okazał się niezły i Guido postanowił wziąć sobie przyzwoitkę. – Signorina, chyba muszę o tym powiedzieć bratu Remigiowi, który jest bibliotekarzem i moim zwierzchnikiem, a także jednym z inicjatorów tego dobrego przedsięwzięcia. Jako człowiek uczony i dobrze piszący stworzył broszurkę, którą ci dzisiaj pokazałem.

Nawet ciemność kaplicy nie mogła ukryć rumieńca, który mówił, iż braciszek pamięta, co zrobiłam z pierwszym egzemplarzem tej broszurki. (Uważałam, że to nieodpowiedni moment, żeby mu powiedzieć, gdzie zostawiłam jej drugi egzemplarz).

Rozumiałam go. Chciał się mnie pozbyć, umyć ręce jak Piłat i przekazać mnie swoim przełożonym. To mi odpowiadało: im wyżej trafię, tym lepszą zyskam ochronę. Wzdychać do pięknego mnicha będę mogła w bardziej odpowiedniej chwili. Podeszedł do drzwi kaplicy i rozejrzał się po wirydarzu. Ucichł odgłos kroków wiernych braci, słychać było zamykanie i otwieranie drzwi poszczególnych cel, do których wracali, niewątpliwie po to, by odpocząć kilka godzin przed następną modlitwą. Kiedy zapadła cisza, mnich polecił mi, żebym założyła kaptur i wyszła z nim do wirydarza. Dobrze utrzymany prostokąt trawnika błyszczał ciemną zielenią, a niebo było

aksamitnie błękitne. To miejsce otoczone kolumnadą idealnych arkad dawało mi poczucie bezpieczeństwa. Ręka brata Guida dotknęła mojego łokcia i nagle przestałam czuć się przeraźliwie samotna.

Przeszliśmy cicho przez ogromne drzwi po lewej stronie kaplicy Pazzich na większy wirydarz, kwadratowy, gdzie były drzwi do celi. Środek dziedzińca wyznaczała kamienna studnia, w której głębię zaglądało pochylone drzewo. Guido zaprowadził mnie pod drzwi, zasłonił przed niepowołanym wzrokiem i powiedział szeptem:

– Signorina, proszę się stąd nie ruszać – syknął. – To drzwi do mojej celi, ale nie mogę wprowadzić cię do środka, bo to by nie wyglądało... dobrze. Nie mogę też zostawić cię tutaj. Stań w cieniu, a ja tymczasem obudzę sąsiada, bibliotekarza, brata Remigia, o którym ci mówiłem.

Wiedziałam, że to nie pora na błahe pogawędki, więc się nie odezwałam. Skuliłam się tylko pod dębowymi drzwiami, przywierając do futryny. Niektóre partie mojego ciała trochę wystawały, byłam jednak mało widoczna, chyba że ktoś wychodziłby z celi lub do niej wchodził, ale – jak powiedział braciszek – była to jego cela, więc na jakiś czas byłam tu bezpieczna. Czekałam.

Czekanie się przedłużało.

Twarde drewno uciskało mnie w plecy, zaczęłam się wiercić. Policzyłam uderzenia serca, potem liczyłam językiem zęby. Prześpiewałam w myślach wszystkie znane mi nieprzyzwoite śpiewki. Potem przepowiedziałam wszystkie znane modlitwy, co zajęło znacznie mniej czasu. Ręce i nogi mi zmarzły i w końcu, ponieważ Guido nadal nie przychodził, musiałam odsunąć się od drzwi, potrząsnąć rękami, poruszyć nogami i pokręcić głową jak w chorobie świętego Wita. Krew znowu popłynęła przez zeszywniałe mięśnie, a czułam się, jakby kłuło mnie tysiące szpilek, co było nawet przyjemne. On ciągle nie wracał, wyciągałam szyję i zauważyłam kamienny medalion z wypukłą płaskorzeźbą umieszczony nad drzwiami celi.

Przedstawiał ogromną wieżę, łuki i kolumny piętrzyły się, a cała konstrukcja szaleńczo chyliła się w prawo. Oczywiście wiedziałam, że to dzwonnica w Pizie, która, choć niedawno ukończona, służyła z tego, że jest przechylona na jedną stronę, jakby miała się przewrócić. We Florencji nie wszyscy wierzyli w tę opowieść. Niektórzy podobnie jak ja uważali, że to nędzne kłamstwo pizańczyków, próbujących przydać wielkości swemu nędznemu miastu i wydobyć je z cienia wielkiego sąsiada, Florencji. Inni, którzy utrzymywali, że widzieli wieżę, po prostu wzruszali ramionami i mówili, że to typowe dla pizańczyków, którzy nie potrafiliby nawet gówna ułożyć w stertę. Zdziwiła mnie obecność takiej płaskorzeźby w tym miejscu, nie był to bowiem szczególnie religijny symbol, ale przypomniałam sobie, że Malachi mówił o bracie Guidzie „pizańczyk”. Czy wobec tego rzeźba świadczy o pochodzeniu skromnego nowicjusza, który tutaj mieszka? Chyba nie zadawali sobie trudu, żeby w ten sposób odnotować miejsca pochodzenia każdego z mieszkających tu braci? Jednak nie mogłam zajmować się zbyt długo tą dziwną rzeźbą,

bo inna myśl nie dawała mi spokoju: Guida wciąż nie było.

Oszukał mnie.

Przytupywałam zrezygnowana i w milczeniu robiłam listę znanych mi przekleństw, którymi obrzucałam mieszkańców Pizy. Doszłam do „durnych przeklętych heretyków”, kiedy usłyszałam, że otwierają się drzwi celi bibliotekarza i pojawia się w nich brat Guido, ale sam. Skuliłam się w swojej kryjówce, chociaż pewnie i tak by mnie nie zauważył. Trzymał w ręku coś jasnego i kręcił głową.

– Brata Remigia nie ma – wyszeptał niepewnie. – Ale te jego broszurki... nasze broszurki... rozrzucone są po całej celi.

Wetknął mi coś do ręki. Od razu się zorientowałam, że to bliźniaczka tamtych, które widziałam wcześniej, i przeszył mnie dreszcz.

Już tu byli.

Wiedzieli.

Zdecydowanym ruchem wzięłam Guida pod rękę.

– Musimy znaleźć tego brata. Gdzie może być, jeśli nie ma go w łóżku?

– Nie wiem. – Znów pokręcił głową. – Wracalem z nim razem z kościoła, szedłem tuż obok niego, kiedy mnie... zatrzymałaś. Jeśli nie leży na swojej pryczy, to musiał pójść do biblioteki albo do skryptorium. Może czegoś szuka?

– A gdzie to jest? – spytałam.

– Po drugiej stronie wirydarza.

– To chodźmy.

Ciągnęłam go przez trawnik. Minęła już pora chowania się, teraz znacznie bezpieczniej było w miejscach dobrze widocznych, gdzie nikt nie mógł podejść do nas niepostrzeżenie. W milczeniu zmierzaliśmy w stronę studni z drzewem, a kiedy się do niej zbliżyliśmy, brat Guido znowu się odezwał, ale tym razem w jego głosie brzmiała ulga.

– Wszystko w porządku. Jest tutaj.

Nie mogłam się zorientować, co pokazuje, ale po chwili uświadomiłam sobie, że to, co brałam za drzewo wygięte nad studnią, to w istocie wysoki mnich z kręconą czupryną, jak włosy brata Guida, pochylony nad wodą w milczącej kontemplacji. Poczulałam nagły niepokój. Tkwił nieruchomo, a trwał tak od chwili, gdy jakieś pół godziny wcześniej zauważyłam to „drzewo”. Podeszliśmy bliżej i zobaczyłam, że bibliotekarz trzyma w ręku broszurkę. Brat Guido z wyraźną ulgą dotknął ramienia zakonnika i wypowiedział jego imię.

A głowa bibliotekarza oddzieliła się od tułowia i wpadła do studni.

Staliśmy bez ruchu, w milczeniu, przez pełnych siedem uderzeń serca, spoglądaliśmy na siebie przerażeni. Wreszcie potworny plusk, z jakim głowa trafiła na miejsce swego spoczynku

w głębinie, skłonił mnie do chwycenia brata Guida za rękę i odciągnięcia go od studni i martwego zakonnika. Twarz Guida była kredowobiała, jego wargi poruszały się w modlitwie, powtarzał katechizm czy coś innego. Wreszcie podniósł wzrok i wpatrywał się we mnie przerażony.

– Odejdź. Nie mogę ci pomóc. Zabierz stąd to swoje diabelstwo i daj mi spokój.

Jego słowa nagle zaczęły nabierać sensu.

W swoim czasie oskarżano mnie o wiele rzeczy, ale diabelstwo było czymś nowym. Zmuszę go do zajęcia się moimi kłopotami, a jedyny znany mi sposób zainteresowania mężczyzny troskami kobiety to mówienie o jego własnych. A brat miał wielki kłopot – może nie jestem uczona, ale mam swój rozum i doskonale wiedziałam, co się stało. No więc dobrze. Ciasno otulił szyję kapturem.

– A teraz posłuchaj mnie, ty tchórzliwa sakwo franciszkańskiego gówna – syknęłam. – Moje życie jest w niebezpieczeństwie, więc jeśli nie chcesz mi pomóc, to trudno. Taka jest ta twoja pasterska troska, ale nie pora teraz na rachunek twojego sumienia. Dowiedz się, że dziś ukradłam pewien obraz i z tego powodu życie straciło już troje ludzi, w tym twój brat bibliotekarz. – Guido chciał o coś zapytać, ale ja parłam naprzód: – Przyszli tu w poszukiwaniu broszury, którą zostawiłam na miejscu ukradzionego obrazu. Przyszli tu po ciebie. Twojego brata – spojrzałam na górujące nad nami bezgłowe ciało – niech Bóg da mu wieczne odpoczywanie, wzięto za ciebie. Siedział koło ciebie w kościele, wasze cele sąsiadują ze sobą. Trzymał te broszury w swojej celi. Jest równie wysoki i szczupły jak ty. Ma... miał ciemne kręcone włosy. Przeoczyli tylko to, że w odróżnieniu od ciebie starszy bibliotekarz miał tonsurę. Ale przy wyjściu z kościoła wszyscy byliście w kapturach i gdybym nie odwołała cię na bok, to znaleźliby odpowiedniego człowieka.

Wstrzymałam oddech, czekając, aż dotrą do niego fakty, a na jego bladej twarzy odmalowało się przerażenie.

– No tak, wiesz, że mam rację – ciągnęłam. – Popelnili taki sam błąd jak wcześniej, kiedy zamiast mnie zabili moją przyjaciółkę. Ale ich nie obchodzi, kogo zabijają, choćby był nie wiem jak wysokiego stanu – głos mi się załamał, kiedy pomyślałam o Bembie – i nie zatrzymają się, póki mnie nie dopadną. Myślą, że mi pomagasz, a możesz mi wierzyć, że teraz rzeczywiście to zrobisz. Zastanów się przez chwilę i wyprowadź nas stąd.

Wydawało się, że dzięki moim słowom wreszcie się skupił.

– Herbarium – rzucił i ruszyliśmy biegiem, zanim zdążyłam mu powiedzieć, że podczas naszej rozmowy słyszałam kroki pod arkadami.

Brat Guido poprowadził mnie do niskich drzwi w murze, przez które przeszliśmy do pachnącego ogrodu otoczonego żywopłotem. Nie zatrzymując się, weszliśmy na jedno z drzew brzoskwini rosnących szpalerem obok zewnętrznego muru, a po chwili znaleźliśmy się w rowie odprowadzającym wodę. W mokrych butach pędziliśmy na piazza Santa Croce. Od razu rzuciliśmy się w boczną alejkę i biegliśmy, aż dotarliśmy na spokojny plac, gdzie można było chwilę

odpocząć. Odchodziły od niego cztery wąskie uliczki. Usiedliśmy przy niewielkiej fontannie i napiliśmy się wody, by ochłodzić rozpalone płuca i dać odpocząć utrudzonym sercom. Niebo zaczynało jaśnieć, więc wkrótce zostaniemy zauważeni.

– Musimy iść – powiedział brat Guido, jakby czytał w moich myślach.

– Dokąd? – To było wszystko, na co mogłam się zdobyć.

– Znam miejsce, gdzie dobrze nas przyjmą. Nie jest daleko, ale trzeba iść ostro pod górę.

Moje serce niemal przestało bić, ale narastające przerażenie dodało mi sił.

– Zaprowadź mnie tam – poprosiłam.

ROZDZIAŁ 7

Opuszczenie Florencji w poszukiwaniu schronienia było chyba najtrudniejszą chwilą podczas tamtej nocy. Pod łatą szarego nieba przeszliśmy między budami Ognissanti i zaczęliśmy wspinać się do Fiesole. Ognissanti, jak już wspominałam, to główniana dzielnica. Tu mieszkał kiedyś signor Botticelli. Moim zdaniem to odpowiednie miejsce dla tego drania. Stłoczone budy i szopy, szare, brązowe, różnej wielkości i kształtu, przypominały obnażone w uśmiechu zepsute zęby. A mieszkańcy! Niejeden raz widok mnicha i dziewczyny wywołał obleśne uśmiechy czy gesty któregoś z ohydnych obywateli, którzy wyglądali jak wypluci z Dantejskiego piekła. Cała dzielnica cuchnęła z powodu bliskości garbarni i wyrzucanych z niej odpadów. Wszędzie leżały wypatroszone zwierzęta, jak potępione dusze na ruszcie. But ugrzązł mi w błocie pozostałym po wiosennym wylewie Arno, ale byłam zbyt zmęczona i przerażona, by się tym przejmować. Moje eleganckie pantofelki ze złotymi ozdobami tego dnia miały już kontakt z krwią i moczem, więc nie dziwnego, że teraz jeden z nich porwało błoto. Rzuciłam drugi but w jego ślady, czemu mnich przyglądał się zdziwiony.

– O co chodzi?

Pokręcił głową.

– Signorina, to chyba nie było najmądrzejsze. Przed nami długa i ciężka droga.

Zmrużyłam oczy.

– Jak długa?

– Około pięciu mil. Pod górę. – Wskazał wzgórze, na którym zaczynała rysować się niewyraźnie obramowana srebrem sylwetka jakiejś budowli. Wzruszyłam ramionami, okazując odwagę, choć wcale jej nie miałam, i powlokłam się za nim na bosaka. Od razu rozboleły mnie stopy, tak jak powiedział brat Guido, ale przecież straciłam jeden but, więc co miałam robić? Wspinać się na wzgórze jedną nogą obutą, a drugą bosą? Podniosłam głowę i dogoniłam Guida, z niemałym trudem, bo był bardzo wysoki i szedł szybko, stawiając długie kroki.

– Dokąd właściwie idziemy? – wydyszałam.

Nie odwrócił się.

– Do Fiesole. Tam na szczycie wzgórza jest klasztor franciszkanów, znajdziemy u nich schronienie i wsparcie, póki nie wymyślimy, jak wybrnąć z kłopotów.

Z jego przemowy zrozumiałam trzy rzeczy.

Primo: Brat Guido już nie chciał się mnie pozbyć. Użycie przez niego pierwszej osoby liczby mnogiej rozgrzało moje zmrożone serce. Ale jednak.

Secondo: Był na mnie zły. I nie mogłam mieć do niego pretensji. Siedział sobie spokojnie w Santa Croce, martwiąc się jedynie o to, co będzie czytał następnego ranka, i nagle musiał uciekać, ratując życie w towarzystwie prostytutki, która naraziła go na śmiertelne niebezpieczeństwo. I w dodatku...

Terzo: Jego sposób wyrażania się był różny od mojego. On nigdy nie użyłby jednej sylaby tam, gdzie można było wypowiedzieć trzy.

Przez chwilę wlokłam się obok niego w milczeniu, ale kiedy za miastem teren zaczął się podnosić, poprosiłam, żebyśmy przystanęli, bo na stopach porobiły mi się bąble. Obrzucił mnie spojrzeniem, które nie było niezyczliwe, pomógł mi nawet usiąść na chwilę w krzakach żarnowca. Prostowałam i zginałam palce nóg, myśląc, że nie zostały stworzone do takich wypraw. Zawsze miałam ładne białe stopy – nawet ten szatański Botticelli to zauważył, kiedy mu pozowałam. Pamiętam też, jak moczyłam stopy w złotej miednicy z wodą różaną w domu któregoś z pomniejszych Medyceuszy, kiedy srebrne tureckie klapki, które nosiłam w łóżku zgodnie z jego życzeniem, poobcierały mi nogi do krwi. Teraz moje stopy wyglądały strasznie, aż z oczu popłynęły łzy. Litowałam się nad sobą. Po chwili zobaczyłam, że mnich przede mną klęczy.

– Signorina – zaczął nieśmiało – czy mogę zaproponować... to znaczy chciałbym pomniejszyć twoje cierpienie i zaproponować, iż ulżę...

Ku memu zaskoczeniu podawał mi swoje sandały, zwykłe kawałki surowej skóry przytrzymane rzemykiem. Wystarczyło jednak przytknąć jeden z nich do mojej stopy, by się zorientować, że równie dobrze mogłabym przymierzyć dwie bliźniacze barki do połowu krewetek w rzece Arno. Różnica wielkości naszych stóp wywołała pierwszy uśmiech tego dnia, czy raczej nocy. Ja uśmiechnęłam się szerzej na myśl o tym, że Guido musi mieć wielkiego fiuta.

Pod nami wokół wielkiej kopuły katedry kołowały kanie, pasiasty marmur przekształcał ją w wielkiego tygrysa uśpionego w półmroku, zadowolonego z polowania i czekającego na świt. Wieża pałacu Medyceuszy, siedziby najwspanialszej florenckiej rodziny, stała obok uzbrojona w zęby niczym rozdziawiona paszcza krokodyla.

Brat Guido pomógł mi wstać i poczułam, że zaczyna traktować mnie łaskawiej. Powoli docierało do niego, że nie byłam świadomym sprawcą tego, co się wydarzyło, że wpadłam w tarapaty przez głupotę i chciałam się od nich uwolnić jak ktoś, kto skoczył głową do studni i dopiero lecąc w dół, zaczyna rozumieć, że popełnił błąd. Zamierzałam powiedzieć braciszкови coś w tym duchu, ale zdałam sobie sprawę, że moje metafory mogą wywołać nieprzyjemne skojarzenia. Przypomniałam sobie głowę jego przyjaciela spadającą do studni w Santa Croce i usłyszałam towarzyszący temu plusk. Milczałam więc, pozwalając, by mówił Guido, jeśli będzie chciał.

Po jakimś czasie zechciał.

– Signorina Vetra, lepiej, żeby pani opowiedziała, co dokładnie się dzisiaj wydarzyło.

Proszę się postarać niczego nie opuścić, bo mogą być jakieś okoliczności łagodzące naszą winę, jeśli spróbujemy kiedyś oczyścić się z zarzutów.

Spojrzałam na niego z prawdziwym zdumieniem.

– Myśli brat, że się z tego wyplączemy?

Skinął głową pod kapturem.

– Jestem pewny, że wszystko zostanie wyjaśnione.

Zorientowałam się, że jego pewność siebie wzrasta wraz z podnoszeniem się terenu, bo sama to poczułam. Droga wiała się do góry, szpiczaste czarne cyprysy przebijały niebo jak rząd dzid ustawionych, by nas chronić. Regimenty winorośli stały w ciasnych rzędach, tłumiąc nasze kroki i pozwalając przejść. Liście winorośli błyszczały w świetle blaknącego księżyca, a białe kwiaty odcinały się na tle ciemnofioletowego nieba. Marzyłam o słodkich winogronach, ale było na nie za wcześnie. Żołądek miałam pusty, ale ramiona uginały się pod ciężarem sekretów. Jeśli opowiem wszystko Guidowi, będzie ze mną dzielił ten ciężar. Mysz polna, wystraszona naszymi krokami, otarła się o moje bosc stopy, co mnie rozśmieszyło. Nasze oddechy tworzyły dymki, byliśmy zadyszani, ale mnie grzały gronostaje i wysiłek. Na chwilę prawie zapomniałam o moich nieszczęsnych stopach. Kiedy wspinaliśmy się na błękitne wzgórze, oddalając się od Florencji, śpiącego tygrysa i zębatej wieży, poczułam się bezpieczniej i zastanawiałam się przez moment, czy popełniamy błąd.

Jednak mój towarzysz też wydawał się coraz bardziej radosny w miarę wspinania się w stronę jaśniejszego nieba.

– Tak, panno Vetra, jednak mamy przyjaciół. Przeor klasztoru, do którego zmierzamy, to stary przyjaciel mojej rodziny, oczywiście...

Urwał, ale zdążyłam się zorientować, że ma znajomości i wpływy. Czekał, a ja wkroczyłam w tę ciszę z opowieścią o tym, co się wydarzyło tamtego dnia, o pozwaniu Botticellemu, o wspaniałości niedokończonego obrazu, o nagłym gniewie artysty. Opowiedziałam o tym, jak ukradłam mniejszy obraz ze skrytki, i nieco zawstydzona o tym, jak złośliwie zastąpiłam obraz broszurką, którą dał mi brat Guido. Potem przyciszonym głosem opowiedziałam o zamordowaniu Enny i Bemba, o tym, że w pierwszym przypadku wzięto ją za mnie, a w drugim poszukiwano mnie jako morderczynię. Opowieść była długa, więc kiedy skończyłam, miałam gardło w takim samym stanie jak stopy. A tymczasem przeszliśmy spory kawałek i znaleźliśmy się wśród eleganckich willi. Podobnie jak w San Miniato, bogacze i tu górowali nad miastem. Droga zrobiła się lepsza, a ja z ciekawością zaglądałam przez wysokie bramy i łuki na spokojne dziedzińce z przyszyżonymi drzewami i ozdobnymi sadzawkami. W pewnym momencie – aż musiałam się obejrzeć, żeby mieć pewność – dostrzegłam żyrafę, kroczącą powoli w błękicie przedświt,

pochylającą długą szyję, by skubać mirtowy żywopłot. Odwróciłam się do brata Guida, żeby pokazać mu ten niezwykły widok, ale on był pogrążony w myślach. Początkowo uznałam, że znów jest zagniewany, ale z jego szlachetnej twarzy wyczytałam, że zastanawia się nad tym, co usłyszał. Sama też zastanawiałam się nad swoją opowieścią i ze smutkiem stwierdziłam, że brzmiała jak wynurzenia kogoś niespełna rozumu, zmyślona i głupia. Ale brat Guido, który na własne oczy widział zakończenie całodziennych wydarzeń, nie sprawiał wrażenia, że wątpi w jej prawdziwość. Nie przestając iść, w końcu przerwał milczenie.

– Nawet najbardziej uprzedzony słuchacz musi przyznać, że konsekwencje twego występku są straszne. O wiele straszniejsze niż kara, jaka mogłaby cię spotkać za taki czyn.

Jego książkowy język zaczynał mnie irytować – mogłam mu to wybaczyć, jedynie patrząc na jego urodziwą postać.

– To znaczy?

– Mówiąc krótko, signorina, siły, które cię ścigają, są wyraźnie zainteresowane poważniejszym przestępstwem niż kradzież obrazu.

Przetrawiałam to w milczeniu.

– Jakim przestępstwem? – spytałam speszona, ale zanim Guido zdążył odpowiedzieć, dostrzegłam wysokie klasztorne mury z furtami i wysoką wieżę. Chwyciłam brata Guida za rękę. Nasza wędrownka z pewnością dobiegła końca. – Chwała *Vera Madre!* – wykrzyknęłam. – Czy dotarliśmy na miejsce?

Pokręcił głową.

– To San Domenico, wielki klasztor dominikanów i duchowy dom ich zakonu.

Miałam tego dosyć.

– Czy nie możemy tutaj prosić o schronienie?

Idealny profil nabrał ostrości, kiedy brat Guido znów pokręcił głową.

– O nie. Oni tak samo chętnie udzieliliby schronienia franciszkaninowi jak jednej z twoich koleżanek. – Zarumienił się w blasku świtu. – Oni uznają tylko swój zakon i surowo przestrzegają reguły – wyjaśnił. – Nasz cel leży tam, w Fiesole.

– Wskazał do góry. Popatrzyłam na niewielki złoty budynek powyżej, przycupnięty na koronie góry, i na sto stopni prowadzących do niego.

A niech to!

Obawiam się, że nie byłam najlepszym kompanem na tym ostatnim etapie wspinaczki. Uznałam, że naszym celem jest San Domenico, więc nie mogłam znieść nawet kilku dodatkowych kroków. Moje stopy krwawiły, jęczałam, biadoliłam i na każdym stopniu błagałam, żebyśmy się zatrzymali. Brat Guido był jednak bezlitosny.

– Świt zaczyna oświetlać dolinę – wyjaśnił. – Nocna *umbra* cofa się za wzgórze, z każdą

sekundą widać nas lepiej. Naprzód.

Jednak ani jego poetyczna przemowa, ani ostrzeżenia nie mogły zmusić mnie do zrobienia choćby kroku. Nie miałam siły ani ochoty, żeby dokończyć wspinaczkę. Kiedy dotarliśmy do kamiennych schodów prowadzących do niewielkiego klasztoru, opadłam z płaczem na kamienną ławkę u ich podnóża.

– Chwileczkę – błagałam. – Przynajmniej pozwól, żebym się jakoś ogarnęła, zanim spotkam się z twoim przeorem.

Pozwolił mi posiedzieć. Masowałam stopy, jęcząc z bólu, po raz kolejny obejrzałam pęcherze i skaleczenia, stokroć gorsze niż na poprzednim postoju. Po chwili Guido usiadł koło mnie. Nagle wydał stłumiony okrzyk, a ja podniosłam wzrok i zobaczyłam to, co on widział.

I natychmiast przestałam biadolić.

Pod nami leżała Florencja, rozpostarta jak błyszczący złoty dywan, utkany przez tysiące perskich niewiernych. Duomo nie było już tygrysim wartownikiem, ale ciepłym miedzianym dzwonem, Arno zaś krętą złotą wstążką. Bajeczne miasto nieskończonej piękności w świetle dnia. Siedzieliśmy w ciszy, ramię przy ramieniu. Zaczęłam poprawiać moje niesforne włosy, przygotowując się na spotkanie z przeorem. Stałam przed moim przyjacielem, ale on przytrzymał mnie za rękaw.

– Nie sądzisz, że już pora, żeby mi pokazać?

Natychmiast pomyślałam, które części mojej osoby mogłyby mu się spodobać, ale wnet przypomniałam sobie, że nigdy ani spojrzeniem, ani gestem nie wykazał najmniejszego zainteresowania mną. Był szczerze oddany swojej religii, więc musiałam spytać:

– Co mam pokazać?

– To, o co chodzi – powiedział z uśmiechem. – Obraz.

Usiadłam i wyjęłam zza stanika zrolowane płótno. Było ciepłe od moich piersi, lekko mokre od potu, więc się zarumieniłam. Ale wydawało się, że Guido tego nie zauważa. Rozwinął delikatnie rulon długimi, poplamionymi atramentem palcami, które najwyraźniej nawykły do trzymania dokumentów wielkiej wagi. Patrzyłam nie na obraz, tylko na jego twarz, kiedy wpatrywał się w postać Flory, Wenus, piękne trio tancerek, wojowniczą postać z mieczem i gaj pomarańczowy, w którym rozgrywała się cała scena. Bardzo, bardzo długo patrzył w milczeniu z wyrazem niemal religijnego zachwyty na twarzy. Święty Paweł nie mógł mieć bardziej ekstatycznej miny na drodze do Damaszku. Po raz kolejny złapałam się na tym, że zastanawiam się, jak by wyglądał w łóżku. (Brat Guido, nie święty Paweł, bo z tego, co wiem z Ewangelii, apostoł na pewno oparłby się moim wdziękom). Po chwili Guido odwrócił się i po raz pierwszy tej nocy spojrzał na moją twarz zadziwiająco niebieskimi oczami.

– Jest piękny – powiedział. Znowu popatrzył na obraz, który trzymał w ręku, na Florencję

w dole i znów na obraz.

– Piękny – powtórzył. – I nie wiem, co jest piękniejsze.

ROZDZIAŁ 8

Nawet ja musiałam przyznać, że klasztor franciszkanów w Fiesole jest siedzibą pokoju i piękna. Błyszczący w blasku wschodzącego dnia, niewielki, przycupnięty na wysokim wzgórzu, wydawał się zrobiony z bursztynu, jak relikwiarz minionej epoki. Byliśmy w piekle Dantego, a teraz wspięliśmy się do raju. Z pewnością prawdziwe będzie stwierdzenie, że nigdy w życiu nie czułam się tak szczęśliwa na widok jakiegoś miejsca. Kiedy doszliśmy do końca szerokich złotych schodów wykutych w zboczu wzgórza – setka kamiennych stopni ogrzanych leczniczym ciepłem słońca stanowiła balsam dla moich poranionych stóp – spoglądałam na mały wirydarz, maleńką kaplicę i położone w głębi cele. Zareagowałam na to święte miejsce po swojemu.

– Ale cholernie się nam poszczęściło.

Brat Guido obrzucił mnie lodowatym spojrzeniem.

– Signorina, proszę panować nad językiem. Jesteśmy w domu bożym.

– Jestem pewna, że gospodarz już to wcześniej słyszał.

– Moja lekkomyślna natura znowu dochodziła do głosu, bo zaczęłam czuć się bezpiecznie.

Za to brat Guido wydawał się bardziej zdenerwowany, bo zbliżała się rozmowa z jego przyjacielem przeorem. Nagle nabrałam wątpliwości, czy ma takie wpływy, jak sądziłam, bo niby dlaczego miałby się obawiać proszenia o pomoc człowieka, którego rzekomo tak dobrze znał?

Miejsce wydawało się opuszczone, wiedziałam jednak, że musieliśmy przyjść w porze, kiedy wszyscy mnisi są w swoich celach, albo podczas modłów, gdy tłoczą się jak sardynki w klasztornej kaplicy. (Wiem coś niecoś o zakonnych zwyczajach, bo – oczywiście – wychowały mnie zakonnice, ale teraz nie mam czasu o tym opowiadać, przełożmy to na później).

Wreszcie zobaczyliśmy braciszka, który biegł przez wirydarz. Wiedziałam, że nadeszła nasza chwila. Brat Guido ścisnął moją rękę tak mocno, że aż zabolęło.

– Opuść głowę i nic nie mów – polecił. – Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy.

To powiedziawszy, przeszedł przez trawnik pokryty rosą, by dogonić zakonnika. Po krótkiej wymianie zdań zostałam przywołana i poczciwy mnich zaprowadził nas przez krużganek na mniejszy wirydarz, równie ładny, z czystą okrągłą sadzawką, w której pobłyskiwały miriady złotych rybek. Zatrzymaliśmy się przed dębowymi drzwiami, braciszek zapukał i wszedł przed nami. Przyciskałam brodę do piersi, jak mi polecił brat Guido, a kaptur naciągnęłam tak głęboko, że w ogóle nie widziałam naszego przewodnika, słyszałam jedynie, jak powiedział z sycylijskim akcentem:

– Jego świątobliwość przeor prosi.

Złapałam się habitu brata Guida, tak jak mi polecono, i poszłam za nim do jasnej izby, w której stało tylko krzesło, stolik do pisania i krucyfiks. Okno, przecięte rombami szybek, wychodziło na jeszcze jeden maleńki wirydarz. Zdumiał mnie układ tego miejsca: wydawało się małe, a w istocie przypominało szereg koncentrycznych kwadratów, wchodzących jeden w drugi.

Przeor wstał z krzesła i powitał nas słowem, którego nie znałam, a brat Guido odpowiedział mu w tym samym języku. Obrzuciłam staruszka szybkim spojrzeniem i od razu uświadomiłam sobie trzy rzeczy.

Primo: Miał siwe włosy i uśmiechał się jak dobry *nonno*.

Secondo: Kiedy się odezwał, strasznie kaleczył nasz piękny język. Urywał nasze wspaniałe samogłoski i wybijał spółgłoski jak wojskowy bęben. Właściwie już po drodze przygotowałam się, że usłyszę podobny akcent, bo przeor był z pochodzenia Anglikiem, znanym jako Giles z Cambridge. Teraz wiem, że powitał mojego przyjaciela po angielsku.

Terzo: Jego oczy, błękitne jak jednodniowe mleko, były zasnutę mgiełką, źrenica, białko, wszystko. I wtedy uświadomiłam sobie, że plan brata Guida, który omawialiśmy, wspinając się po setce stopni, mógł się udać.

Przeor był niewidomy.

Po tym odkryciu mogłam się rozglądać, ile tylko chciałam, pod warunkiem że dobrze wypowiem swoją kwestię. Jednak zaskoczyło mnie nie tyle to, co zobaczyłam, ile to, co usłyszałam.

I to nie akcent, tylko sens wypowiedzi kazał mi się zastanowić.

– Signor della Torre! – wykrzyknął starzec. – Co za zaszczyt! Jak się miewa twoja rodzina? I szanowny wuj?

Obrzuciłam mojego nie tak znów pokornego towarzysza spojrzeniem, mrużąc oczy w wąskie szparki. Signor della Torre? Mimo zawołanych aluzji do zamożności czy wpływów ani przez moment nie myślałam, że brat Guido jest prawdziwym *signore*, czyli szlachcicem. Nie bardzo wiedziałam, czy powinnam się cieszyć, czy oburzać, ale doszłam do wniosku, że może mi tylko wyjść na dobre, jeśli brat Guido okaże się bogatym młodym paniczykiem. Może naprawdę zdoła ocalić moją skórę?

Brat Guido ignorował mnie i nie wydawał się specjalnie zmieszany.

– Dziękuję, wielbny ojcze, dobrze – odrzekł spokojnie.

– Ale proszę pamiętać, że teraz jestem w nowicjacie w Santa Croce i w świecie pokazuję się jako brat Guido. – Przyklęknął, żeby pocałować pierścień przeora, a mój wzrok spoczął na pięknym krzyżu wysadzonym drogimi kamieniami o kaboszonowym szlifie. Madonna, to musi być warte parę florenów! Przyglądałam się uważnie, powtarzając w myślach słowa powitania. Ale rozmowa toczyła się dalej.

– A tak, dołączyłeś do naszej rodziny w Bogu – powiedział przeor, najwyraźniej tym zachwycony. – Oczywiście. Wybacz mi, nie zauważyłem twojego habitu.

Uśmiech przeora świadczył o tym, że pogodził się z losem, jaki zesłał mu Bóg. Był szczęśliwy mimo ślepoty i z niej żartował. Zaczynał mi się podobać, ale zostałam wyrwana z rozmarzenia jak aktor, który usłyszał kwestię poprzedzającą jego wejście.

– Czy mogę przedstawić brata Luciusa z Salerno?

Skoncentrowałam się na głosie brata Guida. Wysoko podwinęłam rękaw gronostajowego płaszcza, żeby przeor nie dotknął mojego drogiego futra. Okręciłam wokół nadgarstka skromny różaniec Guida, przeciągając drewniane paciorki między palcami, żeby przeor je wyczuł, kiedy ujmę jego rękę. Pochyliłam się nad tą ręką, starą i szorstką jak pergamin. Ledwo musnęłam ustami krzyż z rubinów, pamiętając o delikatności kobiecych warg. Jednak starzec nie zauważył niczego podejrzanego.

– Brata Luciusa obowiązują śluby milczenia – wyjaśnił brat Guido – ale prosił o powitanie waszej świątobliwości i złożenie wyrazów uszanowania. Jest pokornym pątnikiem, bo całą drogę z Santa Croce przeszedł boso.

Przeor skinął głową i jeszcze raz uśmiechnął się czarująco.

– Synu, oczy mnie zawiodły, ale uszy nie. Od razu usłyszałem, że z dwóch par stóp, które weszły do mojej celi, jedna jest obuta, a druga nie. Witaj, bracie – to do mnie – jesteś zaiste prawdziwym pielgrzymem. – Pokiwał głową powoli i w zamyśleniu, po czym skierował zażawione oczy tam, skąd dochodził głos Guida. – A więc, mój synu, jak mogę ci pomóc?

Czekałam zdenerwowana, aż brat Guido opowie swemu przyjacielowi naszą całą historię. Ale po raz kolejny miała mnie spotkać niespodzianka.

– Wasza Świątobliwość, prosimy jedynie o nocleg i schronienie na jeden dzień i noc, zanim wyruszymy dalej w świat.

– Taka prośba może być łatwo spełniona.

– A także o skromny posiłek, jaki dostają pozostali bracia.

– Oczywiście – powiedział przeor, rozkładając ręce w geście oznaczającym hojność. – Domyślam się, że jesteście utrudzeni, toteż zwalnim was z surowego przestrzegania reguły. Możecie spać przez cały dzień, wymagam jedynie uczestnictwa w porannej mszy, zanim odjedziecie. – Zbył ruchem ręki podziękowania brata Guida. – Brat Tommaso zaprowadzi was do waszych cel. Życzę dobrego wypoczynku, bracie Guido, i tobie też, bracie Luciusie. – Pochyliłam głowę, kiedy do pomieszczenia wszedł sycylijski braciszek. A gdy szliśmy za nim przez wirydarz i po ciemnych schodach na górę do cel, dźwięczał mi w uszach żartobliwy nacisk, z jakim przeor wypowiedział słowo „bracie”, zwracając się do mnie na pożegnanie. Są rzeczy, które ślepiec może dostrzec bez trudu.

Brat Sycylijczyk miał przy sobie więcej kluczy niż święty Piotr, toteż upłynęło sporo czasu, nim znalazł odpowiednią parę na wielkim żelaznym kółku, które nosił przy pasku, i otworzył drzwi bliźniaczych cel. Mieliśmy z bratem Guidem chwilę na odbycie szeptem narady. Zasłoniliśmy usta dłońmi i mówiliśmy po toskańsku w nadziei, że Sycylijczyk nie zrozumie.

– Dlaczego nie powiedziałaś przeorowi? – syknęłam. – Wydaje się uroczy. Myślałam, że to twój dobry przyjaciel.

– Jest moim przyjacielem.

– Więc dlaczego, szlachetny panie?

Brat Guido nie zwrócił uwagi na mój sarkazm.

– Powiem ci wieczorem.

Wtedy otworzyły się drzwi, co przerwało dalszą rozmowę, a ja dostrzegłam w kącie mojego pokoiku łóżko pod krucyfiksem. Jeszcze nigdy tak bardzo nie tęskniłam za łóżkiem! Nawet za najbardziej wyrafinowanymi i wygodnymi łóżkami z baldachimem u moich najlepszych klientów. Usłyszałam, co powiedział brat Guido, ale szczerze mówiąc, byłam zbyt zmęczona, by zwrócić na to uwagę.

ROZDZIAŁ 9

– No więc?

Przespałam cały dzień. Za oknem mojej celi światło zamieniło się w aksamit nocy.

Pojedyncza świeca świeciła jasno, a płomień zadrżał, kiedy oparłam ręce na biodrach i stałam, patrząc pytająco na Guida. W odpowiedzi zwolnił jedyne krzesło w swojej celi i wskazał ruchem ręki, żebym usiadła. Sam przysiadł na łóżku, na którym niedawno przespał dwanaście godzin, podobnie jak ja w sąsiedniej celi. Złożył długie ręce jak do modlitwy.

– A więc – zaczął – nie wyjawilem przeorowi, w jakiej jesteś sytuacji... w jakiej my jesteśmy sytuacji, ponieważ sądzę, że niechcący dokonałaś odkrycia o przełomowym znaczeniu.

Moja twarz musiała się wydawać równie pusta jak ta nienamalowana na obrazie, który ukradłam, bo szybko wyjaśnił:

– Coś znalazłaś. A oni nie chcą, żebyś wiedziała, co to takiego.

– A ty wiesz?

– Nie.

– A kim są „oni”?

– Mroczne siły, które nas ścigają i chcą, byśmy zapomnieli o tym, co wiemy.

– Ale my przecież nic nie wiemy!

Brat Guido westchnął i powiedział takim tonem, jakby mówił do głupka:

– Ja o tym wiem, ale oni nie wiedzą, że my nie wiemy.

Zabolało mnie serce. Naprawdę poczułam się jak głupek.

– Czy nie byłoby lepiej wszystko wyznać i błagać przeora o ochronę?

– Ażyl nie jest już tym, co kiedyś – stwierdził ze smutkiem Guido. – Sama wiesz, że kwiat rodziny Medyceuszy, Giuliano, został zgładzony w katedrze przez diabelskich Pazzich.

A tak, to mi przypomina, że obiecałam opowiedzieć wam o rodzinie Pazzich. Rodzina ta, w której kaplicy w Santa Croce ukryłam się tak niedawno, zarżnęła Giuliana Medyceusza podczas mszy w Santa Maria del Fiore. Został ugodzony dwadzieścia dziewięć razy, a w głowę wpijano nóż tak długo, aż pękła jak melon.

– Ale może moglibyśmy to wytłumaczyć, no wiesz... wyjaśnić to wszystko... – wybąkałam niepewnie.

Guido był bardzo przejęty i zaczął chodzić po celi.

– Komu wyjaśnić? Nawet nie wiemy, kto cię szuka. Czy kiedyś będziemy czuli się bezpiecznie? Jak możemy wrócić do Florencji, nawet pod ochroną, i nie bać się o swoje życie? Nie

myśleć, że każdy odgłos kroków to odgłos kroków mordercy, każde danie jest zatrute, a zimowy chłód to pocałunek noża?

Zastanowiłam się nad tym. Brat Guido odmalował niezły obrazek, ale nie, nie mam ochoty na takie życie, jakie przedstawił.

– No to co zrobimy?

– Musimy wykorzystać naszą jedyną przewagę.

Nie czułam, że mamy jakąkolwiek przewagę.

– A niby na czym ona polega?

– Na tym, że oni się nas boją.

Mój śmiech przypominał ryk osła.

– Oni się nas boją?! – W to nie mogłam uwierzyć. – Ścigali mnie po całej Florencji, zarznęli moją przyjaciółkę i twojego przyjaciela i niby mają się nas bać?

– Owszem. Zagraża im nasza rzekoma wiedza. A więc musimy naprawdę posiąść tę wiedzę, żeby trzymać ich na dystans. Sekret jest naszym zakładnikiem i może uda nam się użyć go przeciwko nim i wytargować swoje bezpieczeństwo.

– Ale... ale... – Byłam tak otępiała, że nie potrafiłam sklecić zdania. – My nie znamy tego sekretu.

– Jeszcze nie.

– Słucham?

– Zorientujemy się, co takiego ich zdaniem wiemy.

– A to w jaki sposób? – W moim głosie pobrzmiwało szyderstwo.

Brat Guido się uśmiechnął.

– Klucz do tej zagadki masz tutaj. – Wskazał na moją pierś, więc zaczęłam się zastanawiać, w jaki sposób moje cycki pomogą nam wydostać się z tarapatów. Klasnął niecierpliwie.

– Obraz.

Ściągając brwi, nie rozumiejąc, o co mu chodzi, wyjęłam obraz zza stanika. Przygniotłam go we śnie, więc teraz wyprostowałam go na stoliku, a na podwijających się rogach postawiłam świecznik i położyłam Biblię.

Brat Guido zbliżył się do mnie, jego cień odbijał się na ścianie. Obraz złocił się w plamie światła świecy, piękny, w ciemnej celi widać było każdy jego szczegół.

– Ścigano cię, ponieważ wzięłaś ten obraz – powiedział cicho Guido.

Przełknęłam ślinę, bo za gardło złapała mnie panika, i obróciłam się na pięcie, by stanąć z nim twarzą w twarz.

– Przecież mogę go oddać. Pójdę do Botticellego, przeor może nam przydzielić eskortę, zwrócę obraz i przeproszę. I tak miałam zamiar go oddać za pośrednictwem Bemba, ale Bembo

był... jest...

Urwałam, kiedy brat Guido zaczął kręcić głową.

– Nie rozumiesz?! Nie możesz wrócić, bo nawet gdybyś oddała obraz, nadal znałabyś sekret. Nie możesz się oduczyć tego, czego się nauczyłaś.

– Ale ja nie znam żadnego sekretu! – niemal wrzasnęłam. – Mogę wytłumaczyć, że... nie wiem... – Tym razem zamilkłam, zanim brat Guido zdążył mnie uciszyć, bo wiedziałam, że ma rację. W końcu byłam tylko dziwką, dobrą, ale jednak dziwką, i oni prędzej by mnie zabili, niż uwierzyli w moje kłamstwo. Poza tym wyglądało na to, że przekazałam swoją wiedzę innej osobie, słudze Bożemu, który nie był tak osamotniony na świecie jak ja. Usiadłam ciężko przed obrazkiem.

– W porządku – westchnęłam. – To jak rozwiążemy tę zagadkę?

Guido znowu zaczął przemierzać celę za moimi plecami, jego habit szeptał coś do kamiennej posadzki, a stopy wybijały rytm.

– Nasi prześladowcy na pewno uważają, że wiesz coś o obrazie Botticellego. O *Primaverze*. Że zobaczyłaś coś tamtego dnia, kiedy byłaś w pracowni.

– Ale ja niczego nie zobaczyłam!

– To ty tak twierdzisz. Ale z tego, co mi mówiłaś, wynika, że Botticelli był trochę podekscytowany – (aż mnie zatkało na to niedomówienie) – kiedy pozowałaś.

– To prawda.

– Myślę, że zobaczyłaś coś w pracowni albo na obrazie i nieświadomie odniosłaś się do tego.

– W pracowni nie było niczego szczególnego.

– Więc musiało być na obrazie.

– Ale obraz nadal tam jest. My nie mamy oryginału. Jest większy niż żagiel okrętu wojennego.

Guido niecierpliwie pukał palcem w pergamin, który rozłożyłam na stole.

– Zgoda, ale to, signorina, jest *cartone*, idealna miniaturowa kopia obrazu, który maluje signor Botticelli. Ta ledwo widoczna narysowana siatka ma pomóc przenieść postacie z małego pergaminu na dużą deskę czy płótno. Artysta starannie wymierzy i zdecyduje, co zawierają poszczególne kwadraty, po czym przeniesie to, co na nich jest, na większy kwadrat, który wyrysował na przykład na ścianie. Rozumiesz?

Rozumiałam. Z pracowni Botticellego zapamiętałam sieć sznurków rozciągniętych na dużej tablicy. Powiedziałam o nich Guidowi. Skinął głową.

– Owszem. Czasami sieć sznurków rozciąga się na ramie, a spod spodu podświetla świecami, wtedy cień siatki pada na ścianę. Artyści stosują różne metody, ale zasady są takie same.

Nagle poczułam się zmęczona tą lekcją sztuki.

– To bardzo ciekawe i nie wątpię, że masz rację.

– My mamy dokładną replikę *Primavery*, która tak właśnie będzie wyglądać, nawet w najdrobniejszych szczegółach. Brakuje na niej tylko twojej twarzy, ale mamy oryginał. – Cień uśmiechu. – Chodzi mi o to, że cokolwiek Botticelli ukrywa w swoim obrazie, jakkolwiek alegorię czy szyfr na nim umieścił, to jest to również na tym *cartone*.

Zaczynałam rozumieć.

– Więc musimy odkryć, co to za przesłanie, i w ten sposób wyprzedzić ich o co najmniej jedną długość – zakończył Guido.

Nie podobały mi się słowa, jakich używał. Nie wydawało mi się, żeby wydarzenia poprzedniego dnia przypominały wyścigi, nie rozumiałam też, w jaki sposób możemy dojść do tego, co ten obraz „znaczy”. Czulałam się głupia, więc postanowiłam ze wszystkim się zgodzić. Nie ulegało wątpliwości, że brat Guido był pełen entuzjazmu i wcale się nie bał. Ekscytowało go wyzwanie, a na jego twarzy malował się triumf, jakby już rozwiązał zagadkę. Jego przystojna twarz promieniała w blasku świecy. Pieprzony mądrala.

– Mamy kilka godzin do mszy, potem musimy stąd odejść. Więc zaczynajmy.

Położyliśmy obraz na podłodze, a ja przyniosłam z mojej celi jeszcze jedną świecę. Za oknem gęstniała ciemność, kiedy oglądaliśmy malowidło w bliźniaczych kręgach światła. Było na nim mnóstwo szczegółów i postaci. Nie wiedziałam, od czego zacząć.

Brat Guido odpowiedział jak echo moim myślom.

– Zacznijmy od najprostszych aspektów, a w odpowiednim czasie przejdziemy do wyobrażeń i alegorii.

Chrząknęłam, próbując w ten sposób zatuszować fakt, że nie mam pojęcia, co znaczą przynajmniej dwa ostatnie słowa.

– Dobrze, zacznijmy.

Ruchem ręki zaproponował, żebym to ja zaczęła. Przełknęłam ślinę, mając nadzieję, że nie okaże się ignorantką.

– No więc jest tu osiem postaci. Dziewięć, jeśli dodać tego latającego karzelka.

– To Kupidyn. Osiem dorosłych postaci i Kupidyn. Dobrze. Ta pochwała dodała mi odwagi.

– Jest dwóch mężczyzn, a reszta to kobiety.

– Sześć kobiet i dwóch mężczyzn. Dobrze.

To nie było trudne.

– Jeden z mężczyzn to... błękitny leśny chochlik.

Brat Guido wybuchnął śmiechem. Chciał udąć, że kaszle, ale za późno.

– Wybacz mi. Co powiedziałaś?

Byłam przybita. A tak dobrze mi szło.

– Wygląda jak leśny chochlik – powtórzyłam, lekko obrażona, wskazując postać po prawej stronie w głębi obrazu.

– Jest niebieski. Ma skrzydła i jest wśród drzew.

– Bardzo dobrze. – Brat Guido już się opanował. – Wybacz mi. Twoja interpretacja jest trochę pogańska. No i?

Odpowiedziałam na jego napuszone odzywki jak najordynarniej:

– I stara się zerznąć dziewczynę, która wyrzuca kwiaty. Wskazałam dziewczynę w bieli, z której ust wypływał strumień kwiatów. Guido wzdrygnął się, słysząc moje słowa.

– Wygląda, jakby próbował ją porwać albo... – odchrząknął – zgwałcić. – Spojrzał na mnie z ukosa, ale ja słyszałam dużo gorsze rzeczy. I płacono mi, żebym ich słuchała. – Dobrze. A ten drugi mężczyzna?

Po raz pierwszy przyjrzałam się uważnie wojskowemu z mieczem. Aż drgnęłam, po czym przyjrzałam się jeszcze raz. Guido dostrzegł moje zdumienie.

– O co chodzi?

– To on! To Botticelli!

– Jesteś pewna? To autoportret? – Brat Guido tak wyciągał szyję, że jego kręcone włosy otarły się o mój policzek.

– Tak! – powiedziałam, nagle bez tchu z powodu jego bliskości (musicie pamiętać, że zazwyczaj gimnastykuję się co najmniej kilka razy dziennie, a teraz przeżyłam od zachodu słońca do zachodu słońca bez mężczyzny). Musiałam się bardzo skoncentrować, żeby wrócić do tego, co robiliśmy. – Podobny jak dwie krople wody. Zauważyłam to już w pracowni. Nosi nawet tę samą szatę w kolorze ochry, którą miał na sobie, kiedy mnie malował.

– W porządku. – Guido odsunął się, żeby w zamyśleniu podrapać się w brodę. Brakowało mi jego bliskości. – To musi mieć jakieś znaczenie. Wrócimy do tego później. A co z innymi postaciami?

– Ta pośrodku, ta wielka dama, wygląda jak królowa albo Madonna – zachowałam dla siebie porównanie do *Vera Madre* – a obok niej ta ciężarna to jestem ja.

– Flora. Przynajmniej jedną postać udało się nam zidentyfikować. A myślę, że ta druga, którą nazywasz królową, to może być Wenus, bogini miłości.

Skinęłam głową, zupełnie jakbym myślała to samo.

– A dalej są te trzy panny w bieli. – Przyglądałam się wdzięcznej trójce. – Wyglądają, jakby tańczyły.

– Dobrze. Mnie też się tak wydaje. To chyba są trzy Gracje z greckiej mitologii.

Moje samopoczucie zaczynało się poprawiać.

– Na ziemi jest mnóstwo kwiatów, a – przyjrzałam się dokładniej – na drzewach rosną

pomarańcze.

– Doskonale.

Usiadłam na piętach, zarumieniona z zadowolenia.

– A ty co znalazłeś?

– No więc od razu przypomniało mi to *Stanze*, cykl alegorycznych wierszy Angela Poliziana, ulubionego poety Medyceuszy. Alegoria dotyczy przemiany wiosny w lato, co wydaje się zgodne z tytułem obrazu: *Primavera*. Należy założyć, że postacie z prawej... najwyraźniej przedstawione jest tu zgwałcenie pasterki Chloris przez Zefira, boga zachodniego wiatru, i jej przemiana w boginię Florę, postać, którą ty przedstawiasz... rozpoczynają scenę, którą należy czytać od prawej do lewej, jak większość obrazów alegorycznych. Jednak obecność twego przyjaciela Botticellego po lewej stronie, obok trzech Gracji, jest zastanawiająca. Jego pojawienie się jako Merkurego, skrzydlatego posłańca kojarzonego z majem, na pozór potwierdza moją pierwszą teorię, ale sposób, w jaki trzyma kaduceusz wysoko w górze i obraca chmurami zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara, wskazują na to, że obraz powinno się czytać inaczej, czyli zgodnie z ruchem wskazówek zegara, od lewej do prawej. Jeżeli jednak przyjrzeć się dokładnie fragmentom pejzażu w tle, to teren po prawej ma złocisty kolor lata i jesieni, a po lewej chłodniejsze, bardziej świeże odcienie wiosny i wczesnego lata. Choć może to wskazywać kierunek, w jakim należy odczytywać obraz, i choć wszystkie postacie można natychmiast, niemal zbyt łatwo, rozpoznać według dobrze znanych klasycznych tropów, to muszę przyznać, że głębsze znaczenie tego obrazu pozostaje dla mnie ukryte. – Przerwał, żeby zaczerpnąć tchu, i pokręcił głową z niedowierzaniem.

Nagle poczułam się nie taka znowu mądra. I bardziej skołowana niż kiedykolwiek.

I tak to trwało godzinami.

Merkury i Wenus to jedyne osoby w butach. Liście okalające głowę Wenus to wawrzyn, co wskazuje na patronat Wawrzyńca Medyceusza. Dwie z trzech Gracji noszą klejnoty, trzecia nie ma żadnych ozdób. I tak dalej, i tak dalej. Nasze oczy nabiegły krwią, umysł był skołowany od szczegółów, a gardła ochryple od gadania.

Niebo zaczynało już jaśnieć, marzyłam o śniadaniu i dzbanku piwa.

Nagle brat Guido zerwał się na równe nogi.

– Podchodzimy do tego od złej strony – oświadczył stanowczo. – Nie zbliżyliśmy się do odczytania prawdziwego znaczenia obrazu. Zostawmy na chwilę obraz i przypomnijmy sobie twoją wizytę w pracowni Botticellego.

Westchnęłam, tłumiąc przekleństwo, bo już sto razy omawialiśmy moją rozmowę z artystą. Guido jednak to zignorował.

– Co powiedziałaś tuż przed tym, jak się wściekł? Powtórz mi to dosłownie, niczego nie

opuszczają.

– To było tylko takie gadanie.

– O czym? – nalegał. – Może wspomniałaś o czymś, co jest na obrazie? O jednej z postaci, może o kwiatach?

Madonna!

– Już mówiłam, że nie. Powiedziałam mu to samo co tobie: że pochodzę z Wenecji, że jest to miasto wielkiej piękności i kwitnie tam handel.

– Coś jeszcze?

– Powiedziałam coś o Pizie, Neapolu i Genui, jej morskich rywalach.

Guido nagle uklęknął przy mnie, wziął mnie za ramiona tak samo, jak zrobił to Botticelli, tyle że bardziej delikatnie.

– Wymieniłaś tylko te trzy miasta, żadnego więcej?

– No... oczywiście najpierw Wenecję.

– Ale Wenecję wymieniłaś osobno? A potem tamte trzy razem?

– Tak.

– A signor Botticelli nie zareagował na wzmiankę o Wenecji? Nie okazał gniewu ani zniecierpliwienia?

– Nie, był czarujący. W istocie to on pierwszy zaczął chwalać to miasto.

– Ale wpadł we wściekłość, kiedy jednym tchem wymieniłaś Pizę, Neapol i Genuę?

– Tak.

– Jesteś tego pewna?

Byłam.

– Tak, przecież mówię.

Jego oczy rozbłysły.

– Trzy! – triumfował. – Trzy miasta, które robią to samo.

Trzy panny, które wykonują ten sam taniec. Sama powiedziałaś, że mogłaby to być ta sama dziewczyna. Trzy Gracje, trzy miasta. Potęgi morskie. Luciano, udało ci się! – Okręcił mnie szaleńczo. Oczarowana chwilą nie od razu uświadomiłam sobie, że po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu. Pochyliłam się nad obrazem. – Miasta – powtórzył. – To wszystko miasta. Każda postać symbolizuje miasto.

Serce mi waliło, nie czułam już zmęczenia.

– I jakie jeszcze miasta?

– Nie wiem. Ale wiem, że coś się szykuje. – Niebieskie oczy Guida płonęły.

– Ale co?

– Wojna? Wymiana handlowa? Ukryty skarb?

Był bardzo przejęty.

– Ale wkrótce się tego dowiemy. Jedno jest pewne: oni myślą, że już to wiemy. Dlatego zostaliśmy w to wplątani.

Jeszcze raz popatrzyłam na trzy piękne panny, niewinnie płasające w dziwnym tańcu. Zastanawiałam się, która z trzech Gracji jest którym z miast: Pizą, Neapolem, Genuą?

Guido oglądał obraz, już trochę spokojniejszy.

– No to przyjrzyjmy się uważnie. Co widzisz? – Spojrzał na mnie z ukosa. – Zaryzykuję twierdzenie, że nie raz zdarzało ci się tańczyć w doborowym towarzystwie. Wyobrażam sobie, signorina, że jesteś tancerką o wielkim wdzięku i urodzie. Czy dostrzegasz coś szczególnego w ich postawie i ruchu?

Miał oczywiście rację. Tańczyć doskonale i wiele razy tańczyłam w największych domach Florencji, nim zabierano mnie na górę, do sypialni, gdzie tańczy się w innym rytmie. Ale nawet w takich domach rzadko spotykam się z podobną galanterią, toteż byłam gotowa poświęcić Gracjom całą moją uwagę.

– No więc – zaczęłam – ich ręce wyglądają trochę dziwnie.

– To znaczy?

– O dworskim tańcu wiem trzy rzeczy. *Primo*: Kiedy tańczy się w kole, należy trzymać ręce nisko, jak przystoi kobiecie w towarzystwie. A tutaj dwie z nich podnoszą ręce wysoko, wzrok utkwiły w swoich rękach, a same ręce skręciły w dziwnym geście ponad głowami, w sposób, no, niestosowny w dobrym towarzystwie. – Trochę głupio się czułam, mówiąc o tym, co wypada, choć nie należę do tych kręgów, ale wiem co nieco o dobrych manierach, mimo że ich nie mam.

Secondo: W takim kole jak to cała trójka powinna patrzeć w tę samą stronę.

Brat Guido powoli kiwał głową.

– Może przesłanie kryje się w rękach? Wzrok Gracji z lewej strony skierowany jest na złączone ręce. Może w ten sposób próbują nam coś powiedzieć, może tworzą jakiś kształt?

Wpatrywałam się w obraz tak długo, aż niemal dostałam zęza. Guido też.

– Chyba że próbują nam powiedzieć o jakiejś kacze czy innym ptactwie wodnym, bo za nic w świecie nie widzę innego kształtu, który mogłyby odtwarzać te palce.

Potarłam oczy.

– Może to jakieś litery? – zastanawiał się Guido, zbyt zmęczony, by zauważyć mój nędzny żarcik. – Czy ich ręce tworzą jakąś literę? Jeśli nie w alfabecie arabskim, to może w cyrylicy, skoro postacie klasyczne ujęte są tematycznie?

Nic nie wiedziałam o literach, arabskich czy innych, ponieważ nie umiałam pisać. Pozostawiłam Guidowi tę część śledztwa. Mój zmęczony umysł błędził, ale zaraz został przywołany pytaniem:

– Powiedziałaś, że wiesz o tańcu trzy rzeczy. Więc jaka jest trzecia?

Madonna, ale był szybki.

– *Terzo*: Wzrok powinien być skromnie spuszczone. Nigdy nie powinno się patrzeć wprost na kawalera, nawet jeśli jest partnerem w tańcu. Nigdy nie powinno się spotykać jego wzroku, bez względu na przyjemności, jakich zamierza się zaznać później. A jednak środkowa panna spogląda na niego, podczas gdy jej siostry patrzą na ręce. – Przesunęłam palcem w lewo na Merkurego z twarzą signora Botticellego.

– Masz rację! – wykrzyknął brat Guido. – Ona przygląda mu się tak intensywnie, jakby chciała coś powiedzieć.

– Albo zaciągnąć go do łóżka.

Braciszek oblał się rumieńcem.

– Myślę, że ona jest kluczem – powiedział. – Właśnie ona. Ona jedna z całej trójki patrzy na Botticellego. Skierujmy wzrok na środkową Grację, i tylko na nią. Ona symbolizuje pierwsze miasto. Piza, Neapol czy Genua? Musimy szukać jakiejś litery czy herbu ukrytego w jej postaci.

Raz jeszcze zapuściłam się na wydmy mojej ignorancji. Nic nie wiedziałam o żadnym z trzech miast, poza tym, że wszystkie były związane z morzem, pełne kupców i marynarzy, którzy czasami trafiali do Florencji, żeby wyładować swój towar między moimi nogami. Żeby jednak wykazać dobrą wolę, jeszcze raz przyjrzałam się rudowłosej pannie, dostrzegając w jej spojrzeniu na przystojniaka Merkurego coś z własnego pożądanego. Mój zmęczony wzrok ślizgał się od rudej głowy do białych rąk zaciśniętych w górze.

I wtedy to zobaczyłam. W moje pole widzenia wpłynął kształt.

Nie szło o to, co tam było, tylko czego brakowało. Przestrzeń między rękami, dziwnie podobny do łabędzia uścisk tancerek tworzył kształt, jaki widziałam zaledwie wczoraj. Dziwna sztuczka wyczerpanego umysłu zaprowadziła mnie z powrotem pod drzwi celi brata Guida w Santa Croce, gdzie skuliłam się w mroku milczącego wirydarza, chroniąc się przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. I tam nad drzwiami, które były mi schronieniem, w kamiennym medalionie wyrzeźbiono wieżę. Wieżę, która się pochylała.

– Ona jest Pizą – powiedziałam. Napięcie sprawiło, że wybuchnęłam śmiechem nie do opanowania. – Ona ma na głowie wieżę.

Brat Guido pochylił się nad moim wskazującym palcem. On także zaczął się śmiać. Był to głęboki dźwięk, którego dotąd nie słyszałam. Brzmiał jak muzyka.

– Tak jest! – I powtórzył ciszej: – Tak jest. – Pokręcił głową. – Ale że ja, który nazywam Pizę swoim domem, tego nie zauważyłem, chociaż wyrosłem w cieniu tej wieży. Kształt i nachylenie zgadzają się idealnie. Nawet ta część z dzwonem przedstawiona jest dokładnie przez pustą przestrzeń między palcami Gracji. Co za osioł ze mnie, ślepy, durny osioł! Sama widzisz –

zwrócił się do mnie z uśmiechem, który rozpałił mnie od głowy do stóp – że można się nauczyć bardzo dużo poza tym, co znajdziemy w książkach.

Odpowiedziałam mu uśmiechem, czułam się niemal zawstydzona, co jest zupełnie do mnie niepodobne.

– Co dalej? – zapytałam, przerażona tym, co Guido powie.

– Piza, jedziemy do Pizy.

– Naprawdę?

– Tak. Z dwóch powodów. Po pierwsze, mój stryj jest ważnym człowiekiem w mieście i może nam pomóc. Po drugie, każda godzina naszego pobytu tutaj naraża na niebezpieczeństwo przeora. Bo jeśli zabójca śledził nas aż do tego miejsca, to może przypuszczać, że podzieliliśmy się naszą wiedzą z przeorem, i postanowi jego też zamordować.

– A czy nie dotyczy to także twojego stryja?

– Nie, bo on jest człowiekiem, który ma wielką władzę.

– Bembo też był – prychnęłam.

Guido pokiwał w zamyśleniu głową.

– Jeśli przybędziemy na czas, może uda nam się z nim spotkać, tak żeby nikt nas nie zauważył.

– Co masz na myśli?

– Zobacysz – odpowiedział enigmatycznie, a potem podniósł głowę, jakby wywęszył muzykę. – Słyszysz? Dzwony biją na jutrznię.

– Poczekaj chwilę. – Pociągnęłam go za rękaw. – Uznaliśmy, że Piza to środkowa Gracja. Ale skąd wiadomo, że ona jest początkiem całej łamigłówni? Tu jest wiele postaci. Nie możemy jak głupcy pędzić do Pizy tylko dlatego, że ona pożądliwie patrzy na Botticellego.

Brat Guido się uśmiechnął.

– Możemy być pewni, bo to nie pożądanie, lecz miłość wskazuje nam drogę. Miłość jest ślepa, ale popatrz, Luciano, on pokazuje nam, jak patrzeć. Idziemy za strzałą. – Tym razem to ja patrzyłam za wskazującym palcem Guida. Pokazywał tłustego latającego Kupidyna z opaską zasłaniającą oczy. Patrzyłam, jak palec mnicha obrysowuje płomienną strzałę, skierowaną dokładnie w głowę środkowej Gracji.

Która miała płomienne włosy, jakby podpalone tą strzałą, a zamiast korony wieżę z Pizy.

Przesiedzieliśmy całą mszę w lodowatej kaplicy, zziębnięci i oszołomieni odkryciami. Zakapturzona, w gronostajowym płaszczu, popatrywałam ukradkiem na Guida. Modlił się żarliwie. Później w refektarzu siedziałam przy jednym z długich stołów między milczącymi mnichami, jedzącymi spokojnie, podczas gdy jeden z nich czytał na głos wyjątki z Pisma Świętego. Czułam ulgę, że nie muszę rozmawiać nawet z siedzącym obok bratem Guidem, wpychałam pod kaptur

chleb i suszonego dorsza, wypiałam przydział piwa i czułam dziwny optymizm, kiedy odchodziliśmy od stołu, żeby pożegnać się z przeorem. Jeszcze raz staliśmy przed niewielkim złotym klasztorem, dzień nadszedł, minął i znowu wstał, a my wiedzieliśmy znacznie więcej niż w chwili przybycia. Florencja, wieczne miasto, nadal błyszczała w dolinie. Czy zabójcy, którzy nas szukali, byli tam jeszcze, czy znajdowali się dużo bliżej? Zadrżałam i odwróciłam wzrok od miasta. Zobaczyłam, że zbliża się do nas przeor w towarzystwie niepozornego brata Sycylińczyka, który prowadzi za uzdy dwa niespokojne koniki. Poczciwy starzec podarował nam dwa konie w zamian za przyszłe beneficja od rodziny della Torre. Brat Guido obiecał prosić o nie wuja po przybyciu do Pizy. Kiedy przeor Giles z Cambridge wygłaszał do brata Guida serdeczne słowa pożegnania, wsiadłam na konia i skrzywiłam się z bólu.

Stary przeor podszedł do mnie.

– Bracie Luciusie, w sakwie jest coś dla ciebie. Ale najlepiej zajrzeć do niej, kiedy już zjedziecie ze wzgórza. – Słodki uśmiech dotarł do niewidzących oczu, ale przeor odwrócił się, zanim zdążyłam mu podziękować, i pokuśtykał do wirydarza.

Kiedy dotarliśmy do podnóża stu schodów, krocze bolało mnie z zupełnie niewłaściwego powodu, jako że moja miednica obijała się o koński kręgosłup. Za zakrętem poprosiłam, żeby Guido zaczekał, aż otworzę sakwę. Znajdowało się w niej cudowne boczne siodło dla damy, z frędzlami i lękiem. Co za wygoda dla moich zboliałych pachwin.

Uśmiechałam się przez całą drogę wiodącą doliną Arno, ale kiedy po raz ostatni spojrzałam na miasto, w którym mieszkałam i kochałam, zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś je zobaczę. Jechaliśmy w stronę morza, a Florencja tkwiła w moim sercu jak kolec.

II

Piza 1482

ROZDZIAŁ 1

Kiedy wreszcie dotarliśmy do Pizy, nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia, a to z trzech powodów.

Prima ragione: Lał deszcz.

Seconda ragione: Wszystko było prawie takie jak we Florencji, tylko dużo mniejsze. Ta sama rzeka Arno płynęła przez środek miasta, ale wolniejszym i węższym strumieniem, pałace stojące na jej brzegach zdawały się mniejsze i mniej zamożne niż ich florenckie odpowiedniki, a ludzie też byli jakby mniejsi i mniej światowi od swoich eleganckich kuzynów (nie licząc oczywiście mojego towarzysza, który wszędzie górowałby nad mężczyznami).

Terza ragione: Mój tyłek był obtarty do żywego mięsa, przyrodzenie zdrętwiałe od końskiego grzbietu; obawiam się, że już nigdy nie zaznam rozkoszy pieprzenia. I pomyśleć, że od razu nazwałam to przekłętę zwierzę Pene (penis) – że niby dosiędę codziennie chociaż tego jednego. Brat Guido spiorunował mnie wzrokiem, kiedy podzieliłam się z nim tym żarcikiem. On nazwał swojego wierzchowca jakoś tak nabożnie, Aquinas, na cześć ulubionego pisarza czy kogoś takiego. W każdym razie przyszło mi teraz zapłacić za moje żarty. Straszliwie cierpiałam.

Nie zrozumcie mnie źle, byłam zadowolona, że znalazłam się w Pizie po niekończącej się jeździe przez florenckie wzgórza. Lubiałam patrzeć na nie z bezpiecznego miasta, kiedy unosiła się nad nimi mgła, robiły się zielononiebieskie i znajdowały się daleko. Jednak przeprowianie się przez nie na niechętnym koniu, którego każdy krok każe myśleć, że rżnie cię cała florencka armia, to naprawdę nie są żarty, zapewniam was. Szczególnie kiedy wzgórza wreszcie ustępują pizańskim równinom, stęchłym brunatnym bagnetom, które cuchną solą i rozciągają się jak okiem sięgnąć, a są tak przygnębiające, aż człowiekowi robi się smutno. Do tego trzeba dodać smród krowiego łajna, tnące w dzień muchy, a w nocy komary. Wszystko mnie swędziało, miałam więcej ugryzień niż zdrowej skóry. Zdecydowanie jestem dziewczyną z miasta.

A Piza, do której w końcu dotarliśmy, wyglądała jak marna imitacja mojej Florencji. Kochałam ją bardziej z każdym krokiem, który mnie od niej oddalał. Nie pamiętałam już strachu, morderstw i krwi, tylko złote pałace, ciepłe kąpiele wśród płatków róż i ostre słone potrawy. Niewątpliwie wystawiłam brata Guida na ciężką próbę, bo jęczałam i narzekałam przez całą drogę. Drań wykazał wielkie opanowanie, nie dał mi nawet satysfakcji sprzeczenia się, ale kiedy zbliżyliśmy się do miasta i zaczęłam krytykować jego ukochaną ojczyznę, zauważyłam, że moje docinki zaczynają do niego docierać. Prawdziwa suka ze mnie, ale zanim mnie ocenicie, pamiętajcie, że byłam poobcierana od siodła, pogryziona przez komary, zmarznięta do szpiku kości

i przemoczona do suchej nitki. I od pięciu dni nie miałam mężczyzny. No tak, w dodatku uciekałam, by ratować życie.

Kiedy przejechaliśmy Arno w ulewnym deszczu, brat Guido naciągnął kaptur, żeby odgrodzić się od żywiołów i od moich narzekań. Wkrótce jednak znalazł lekarstwo na moje biadolenie, denerwującą uniwersalną odpowiedź na wszystkie niekończące się pytania.

– Dokąd jedziemy? – dopytywałam się.

– Zobaczysz.

– Gdzie ta słynna wieża? Czy to ona? – Wskazałam zrujnowane blanki nad rzeką, wałące się i pochylone, obwieszane brudną bielizną, którą miał uprać deszcz. Niebieskie oczy brata Guida rozbłysły.

– Zobaczysz.

– W porządku. To z pewnością piękne miasto. – Gdy to mówiłam, jakiś człeczyna spuścił rajtuzy i zrobił kupę do rzeki.

– No to gdzie ta cała cudowna architektura?

– Zobaczysz.

Poskutkowało. Nie mogłam wydobyć nic więcej z mojego przyjaciela poza tym jednym słowem. Wreszcie dotarliśmy do wielkiego muru z bramą sklepioną łukiem. Ponad łukiem znajdowała się wielka kamienna tarcza z herbem Medyceuszy i sześcioma wielkimi kulami w kręgu. Ten widok sprawił, że poczułam się dziwnie zadomowiona. A dopiero miałam zobaczyć coś, czego nigdy nie widziałam we Florencji. Brat Guido powiedział tylko jedno słowo: „Teraz”.

I zobaczyłam.

Przeszliśmy przez bramę, deszcz nagle ustał, jakby nie miał wstępu za mury. Zza chmur wyszło słońce i nad najpiękniejszym widokiem, jaki zdarzyło mi się widzieć w moim krótkim życiu, pojawiła się cudowna tęcza.

Madonna!

Na ciemnozielonej łące wysadzonej brylancikami deszczowych kropeł wznosiła się święta trójca najwspanialszych budowli, jakie widziałam. Zsiadłam z konia i otworzyłam usta z zachwytem. W jasnym słońcu biała katedra wyglądała jak oślepiający marmurowy kosz, a baptysterium jak klejnot o idealnych proporcjach, zwieńczony filigranowym diademem. I najwspanialsza dzwonnica, pochylona pod niezwykłym kątem. Słynna wieża sięgała niebios kolejnymi piętrami loggii o idealnych łukach, smukłych galerii i arkad śnieżnej białości, biegnących lekko dookoła i do góry. Cud równowagi i piękna. Ledwo dochodziły do mnie zarozumiałe słowa Guida, że to miejsce nazywa się Campo dei Miracoli – Pole Cudów. Mogłam skwitować to jedynie lekkim skinieniem głowy. Wszystko było olbrzymie, jakby rasa wielkoludów przyszła do tego zielonego ogrodu i zbudowała te wspaniałości.

– Piękne, prawda? – pytał brat Guido. – A tam dalej – wskazał długi mur – jest Camposanto, cmentarz, prostokątny wirydarz, który może się pochwalić wieloma cudownościami. Ziemię na fundamenty przywieziono z Golgoty, tak, tak, aż z Ziemi Świętej. – Nadal nie byłam w stanie się odezwać. Szliśmy między wielkimi budowlami, a ja czułam, że jednak mi wybaczył. – No, Luciano, twój szczerzy zachwyt łagodzi nieco wcześniejsze grubiaństwo. Bo tutaj kryje się prawdziwy powód do chwały mojego miasta, którego budowa zajęła trzy stulecia. Mówi się, że to *campo* odwzorowuje naszą drogę do Boga. W baptysterium otrzymujemy chrzest wiary – mówił z entuzjazmem mój przyjaciel – w katedrze tę wiarę celebруемy, na Camposanto czekamy na zmartwychwstanie. W wieży natomiast – wskazał ręką do góry – osiągamy boskie wyżyny Królestwa Niebieskiego.

Pozwoliłam mu triumfować i wybaczyłam te rozwlekłe wyjaśnienia, bo to miejsce było prawdziwym cudem, a swą wyjątkowość zawdzięczało szalonej krzywej dzwonnicy. Guido powtórzył moje myśli w kolejnej przemowie:

– Uważam, że przez swoją niedoskonałość wieża jest piękniejsza, nie brzydsza. I od razu widać, z kształtu i nachylenia, że Gracje w *Primaverze* Botticellego pokazują w ciemnej przestrzeni między złączonymi rękami tę właśnie budowlę.

Miał rację, proporcje były identyczne. Z pewnością znaleźliśmy się w miejscu odpowiednim do rozpoczęcia poszukiwań. Stojąc u podnóża wieży, byłam równocześnie przestraszona i podekscytowana. Spojrzenie w górę wywoływało uczucie, że wieża za moment się zwali i mnie przygniecie. Wreszcie zdołałam zadać pytanie:

– Czy możemy wejść na górę?

Wydawało się, że brat Guido jest zadowolony z mojego niesłabnącego entuzjazmu, który stanowił pożądany, w co nie wątpię, kontrast z moim humorem w ciągu kilku ostatnich dni.

– Naturalnie. Jeżeli się nie boisz.

Bałam się.

– Oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym się bać?

– Bo mówią, że wieża zwali się w ciągu niecałego roku. Ale pamiętaj, że mówi się tak, odkąd stanęła.

Wzruszyłam ramionami, choć, prawdę mówiąc, byłoby mi przykro, gdyby taka wspaniała budowla obróciła się w gruzy. A ubolewałabym nad tym jeszcze bardziej, gdybym znalazła się w środku. Uwiązałam jednak mojego konika przy ciemnych drzwiach do wieży, brat Guido zrobił to samo. Zakasałam spódnicę, przygotowując się do wspinaczki.

– W środku są schody – powiedział. – Musimy szukać czegoś, co wskazuje na związek wieży z *Primaverą*. Ale uważaj. Nachylenie wraz z kolistymi okrężeniami, jakie musisz pokonać, idąc do góry, mogą wywołać lekką dezorientację.

Brat Guido się nie mylił. Zanim dotarliśmy do drugiej galerii, już czułam się tak, jakbym wypila kilka butelek chianti. Ale było mi bardzo dobrze – nie dlatego, że stan ten przypominał lekkie zamroczenie alkoholem, tylko dlatego, że w miarę wchodzenia poprawiał mi się nastrój. Wróciłam do swoich kobiecych sztuczek i złapałam Guida za rękę, chichocząc przy każdym kroku. Opierałam się o niego tak często, jak się dało. Nie było to wiele dla kogoś tak spragnionego kutasa jak ja, jednak Guido okazał się zupełnie obojętny, ale i tak lepsze to niż nic. Jednak najbardziej zachwycał mnie widok zielonych pól, pięknej katedry i baptysterium usytuowanego w dole, niczym wielki biały krzyż. Wreszcie dotarliśmy na szczyt i mogłam podziwiać miasto z góry. Zaparło mi dech, muszę to przyznać. Staliśmy przez dłuższą chwilę, nie myśląc o obrazie, zachwycając się panoramą. Między białymi olbrzymami krzątali się ludzie, stąd wyglądający jak mrówki. Po jakimś czasie zauważyłam tłum gromadzący się na dalej położonym placu.

– Co się dzieje? – zapytałam, przyciskając piersi do ciepłej kamiennej balustrady i wyciągając szyję, żeby jak najwięcej zobaczyć.

Brat Guido opiekuńczym gestem, który bardzo mnie poruszył, chwycił mnie za spódnicę.

– Uważaj. – Stał obok mnie, żeby popatrzeć. – A, szykują się do rozpoczęcia.

– Kto?

– Między innymi mój stryj. Szykują się do Gioco del Ponte, które obchodzi się co roku tego dnia. Miałem nadzieję, że zjawimy się na czas.

Ruszył w stronę drzwi do galerii, żeby rozpocząć długą drogę w dół.

– A co to jest to Gioco del Ponte?! – zawołałam za nim.

Odwrócił się z przekornym uśmiechem.

– Zobaczysz.

Schodziłam z wieży za bratem Guidem, ale tym razem tak bardzo mnie wyprzedził, że widziałam tylko jego brązowy habit migający na zakrętach schodów albo słyszałam tupot sandałów na galerii poniżej. Nareszcie dotarliśmy do zewnętrznych drzwi prowadzących na *campo*. Właśnie odwiązywaliśmy nasze konie, kiedy to zauważyłam.

– Popatrz!

Tuż obok nadproża drzwi prowadzących do wieży znajdowała się wypukła płaskorzeźba w białym marmurze, o świeżo wyciętych narożach. W blasku słońca wyglądała jak czarna linia. Przedstawiała piękny okręt z wydętymi żaglami i mocnym krenelażem forkasztla na szczycie wzburzonych fal, tak zmyślnie przedstawionych, że można by przysiąc, iż zaklęty w kamień ocean się porusza.

– Czy to coś oznacza? – zastanawiałam się. – Bo dzięki kamiennej wieży nad twoimi drzwiami w Santa Croce spostrzegłam wieżę na obrazie *Primavera*, dokładnie tę wieżę, pod którą teraz stoimy.

Brat Guido wzruszył ramionami.

– Okręt. Nic nadzwyczajnego. Piza jest morską potęgą; to częsty motyw w naszej sztuce i architekturze.

– Ale ta rzeźba jest nowa, niemal czuć zapach marmurowych okrawków. – Obsługiwałam kiedyś kamieniarza we Florencji, który posypał moje najlepsze suknie śnieżnobiałym pyłem z karraryjskiego marmuru. Byłabym bardzo zła, gdyby nie zapłacił tak dobrze. Ale ten zapach, słodki, przypominający woń spalenizny zapach świeżo przyciętego marmuru, taki sam zapach wślizgiwał się teraz w moje nozdrza.

Tymczasem Guido siedział już na koniu.

– To niemożliwe. Wieżę ukończono ponad sto lat temu.

Dosiadłam Pene i pojechałam za Guidem, ale kilka razy obejrzałam się na kamienny okręt przy drzwiach, póki nie zniknął mi z oczu. Ta nowa rzeźba i stwierdzenie brata Guida, że Piza jest morską potęgą, wzbudziły we mnie niepokój. Jechaliśmy równym kłusem do głównej ulicy, tłum gęstniał i stawał się coraz głośniejszy, toteż kiedy uświadomiłam sobie, gdzie i kiedy słyszałam uczucia wyrażane w podobny sposób, hałas i ścisk były już takie, że Guido by mnie nie usłyszał. Trzy morskie miasta. Piza, Neapol, Genua. Te słowa wypowiedziałam u Botticellego.

Słowa, które mogły sprowadzić na mnie śmierć.

ROZDZIAŁ 2

Tłum gęstniał po obu stronach, było tak ciasno, że moje nogi boleśnie wbijały się w boki Pene. Na znak protestu konik zaczął obrzydliwie pierdzieć. Z rozbawieniem zauważyłam, że tłum przy jego tyłku trochę się przeredził. Brat Guido zdjął kaptur, odwrócił się i wrzasnął do mnie:

– Jedź za mną do stryja! Znajdzie dla nas dobre miejsca!

– Ale gdzie on jest? – spytałam. Nie dosłyszałam odpowiedzi, ale zobaczyłam kierunek, jaki wskazywał palcem.

Madonna!

Dotarliśmy do dużego placu, kolorowego jak papuga, bo na wszystkich domach były malowidła i freski. Budynki też miały szalone barwy: kanarkowożółte czy żółto-pomarańczowe. Ludzie ubrani byli w szaty tak jaskrawe, że aż oślepiały: sznury i wstążki, tuniki w gryzących się kolorach i błyszczące srebrne hełmy w wojskowym stylu.

Wykręcałam szyję, żeby zobaczyć, na co mógł wskazywać brat Guido, i dostrzegłam górującą nad całym tym chaosem wysoką platformę udekorowaną kwiatami i wstążkami. Na fotelu pośrodku, niby na tronie, siedział potężny, przystojny mężczyzna w przekrzywionym aksamitnym berecie i jedwabnej opończy. Na długich nogach miał pończochy w odświeżonych kolorach, a u jego kolan kłębiły się charty, które szczekały na przechodzących. Jego służba stała obok w równie wspaniałych liberjach, częstując winem i mięsem. Wszystkie te stroje obudziły we mnie zaciekawienie typowe dla dziwki, ale jako kobieta zwróciłam uwagę na twarz mężczyzny: była w kolorze fuksji, świadczącym o wystawnym trybie życia. Barwa ta podkreślała nieprawdopodobny błękit jego oczu. Oczu brata Guida. A gdyby nie szkody wyrządzone przez upływ czasu, byłaby to również twarz brata Guida.

Stryj.

Brat Guido zawołał do niego z tłumu, a ja poczułam się nieswojo, bo ustaliliśmy po drodze, że podejdziemy do niego dyskretnie, niezauważeni. Wiedziałam jednak, że brat Guido tutaj czuje się bezpieczny, bo to jego ojczyzna, a pomoc jest zbyt blisko, żeby musiał się hamować. Na widok bratanka stryj się uśmiechnął. Wystarczył jeden ruch jego ręki, by tłum się rozstał, a najroślejszy z jego dworzan natychmiast znalazł się przy naszych wierzchowcach. Skłonił się przed bratem Guidem, wziął nasze konie za uzdy i ryknął na tłum, żeby zrobił miejsce. Nie upłynęła sekunda, a siedziałam po lewej ręce szlachetnego pana, trzymając kielich przedniego chianti i zawierając znajomość z signorem Silviem Gherardescą della Torre. Dwornie pocałował mnie w rękę, choć Bóg jeden wie, jak musiałam wyglądać, obszarpana i brudna po długiej drodze. Nie zapytał też

o charakter mojego związku z jego bratankiem. Przedstawił nam swego olbrzyma:

– To jest Tok, węgierski najemnik, który ocalił was przed stratowaniem przez naszych poczciwych obywateli. Kiedyś uratował mnie podczas kampanii w Lombardii, czego teraz bardzo żałuje.

Olbrzym nawet się nie uśmiechnął, można było wątpić, czy to w ogóle możliwe, bo jego twarz stanowiła istny labirynt blizn. Oczy miał tak małe, jak wielka była jego głowa, zimne, ciemne i okrągłe jak kule armatnie porzucone na polu bitwy. Mógł mieć dwadzieścia albo czterdzieści lat, jednak jego rozmiary i blizny nie pozwalały tego odgadnąć. Podziękowaliśmy mu nieśmiało.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Tok, kłaniając się lekko. – Będę miał zaszczyt ochraniać was podczas całego waszego pobytu u mojego pana.

Jego zduszony, gardłowy toskański trudno było zrozumieć. Podejrzewałam, że kiedyś jego szyja poznała smak ostrza, niewykluczone, że właśnie wtedy, gdy bronił swego pana. Wino rozgrzało mój żołądek, chronił mnie olbrzym, a jego pan wykazał uprzejme zainteresowanie moją osobą, więc poczułam się znacznie lepiej. Piza bardzo mi się podobała. Ludzie wydawali się czarujący. Obyczajnie co najmniej dziwne. Wypiłam kolejny łyk wina, podczas gdy signor Silvio rozmawiał z Guidem, który rozsiadł się równie wygodnie jak ja, tyle że po prawicy stryja. Zastanawiałam się, co mówią, jak brat Guido wyjaśni moją obecność u swego boku? W pewnym momencie podchwyciłm jego spojrzenie. Uśmiechnął się i skinął głową, jakby chciał mnie zapewnić, że dotarliśmy do końca drogi, że jesteśmy bezpieczni. Odprężyłam się i zaczęłam rozglądać. Niżej odbywało się zapewne jakieś widowisko, ponieważ plac zaczął się wyludniać. Wbiegli strażnicy miejscy, by zebrać dwie grupy ludzi, a trębacze wydymali policzki, odgrywając fanfarę.

Silvio della Torre przysunął się do mnie bliżej, a ja na moment zeszywniałam, myśląc, że może mnie wypytywać, skąd wzięłam się u boku jego cnotliwego krewnego. Jednak okazało się, że pragnął jedynie wyjaśnić mi przebieg uroczystości. Cokolwiek powiedział mu o mnie brat Guido, musiało to chwilowo zaspokoić jego ciekawość, choć ich krótka rozmowa nie mogła przecież dotyczyć naszych przygód ze wszystkimi szczegółami. Przestałam się niepokoić. Poczułam ciepło pachnącego lukrecją oddechu Silvia przy moim uchu i dekolcie, co sprawiło, że przeszły mnie ciarki. O tak, stryj brata Guida niewątpliwie był atrakcyjnym, dojrzałym mężczyzną, toteż podczas naszej rozmowy zaprezentowałam moje umiejętności w dziedzinie kokieterii. Choć nie miałam lustra, które pozwoliłoby mi poprawić nieco wygląd.

– Signorina – zaczął – zobaczy pani za chwilę jeden z najstarszych pizańskich obyczajów, wprowadzony w naszym pięknym mieście przez samego cesarza Hadriana. Giugno Pisano, czyli gry pizańskie, kończy Gioco del Ponte. – Rozpoznałam słowa, które brat Guido wypowiedział na wieży. – To odwieczna rywalizacja pomiędzy partią Kogutów – wskazał grupę młodych mężczyzn

ubranych na czerwono i pomarańczowo – i Srok.

– Tym razem wskazał drużynę przeciwną, stojącą na krańcu placu, ubraną w czarno-białe tuniki. – Dostrzeże signorina, że mój człowiek, Tok, ubrany jest jak Kogut, bo to moja drużyna, choć jako władca tego miejsca nie mogę być stronnicy.

Miał miły uśmiech, zauważyłam, że mimo średniego wieku jego zęby nadal są w dobrym stanie.

Prawdę mówiąc, nie obchodziła mnie gra, ale z przyjemnością popatrzyłabym na zmagania dwudziestu czterech wspaniałych przedstawicieli płci męskiej, podczas gdy służba będzie poila mnie winem. Zupełnie jak w baśni, u podnóża naszej łoży pojawił się złoty pojazd ze złocnymi kołami i herbami rodu della Torre. Silvio pomógł mi wsiąść i usiadłam na aksamitnych poduszkach. On zajął miejsce obok mnie, a brat Guido naprzeciwko.

– Signorina Luciana, będzie pani dzisiaj moją maskotką, najbardziej uroczą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Na widok ponurej miny brata Guida uśmiech psotnej kotki zastygł mi na wargach.

– Uśmiechnij się – szepnęłam. – Jemu chodzi pewnie o to, że mam czerwono-pomarańczową suknię, a to kolory partii Kogutów.

Bo rzeczywiście, moja zniszczona podróżą szata była kiedyś wytworną suknią w tych właśnie kolorach. Brat Guido nie wydawał się przekonany, ale powóz szarpnął i ruszyliśmy. Zauważyłam, że trochę się rozchmurzył podczas tej jazdy ulicami miasta, bo nawet on musiał cieszyć się tym, że w ciągu kilku godzin z pary zmarzniętych pielgrzymów przemieniliśmy się w szczęśliwych faworytów możnowładcy. Brat Guido wraz ze stryjem wskazywali ulubione budowle, przy czym Guido starał się zaznajomić mnie z widowiskiem, które za chwilę obejrzymy. Zobaczyłam wreszcie lśniąca srebrem rzekę Arno, jaśniejącą w słońcu niczym nowa wstążka, tak różna od grzęzawiska, przez które przeprowałam się wcześniej w ulewnym deszczu, siedząc na grzbiecie chudego konia. Teraz jechałam w pozłacanym powozie. Niewątpliwie mój los się poprawiał. Tymczasem tłum rozstępował się niczym Morze Czerwone, a brat Guido tłumaczył:

– Signorina widzi teraz, że tłum rozchodzi się na brzeg północny i południowy, żeby podkreślić dawną historyczną opozycję między partiami Mezzogiorno i Tramontana.

Zauważyłam to, a przy okazji stwierdziłam, że w obecności stryja Guido traktował mnie znacznie bardziej oficjalnie. W drodze byli „brat Guido” i „Luciana” (nigdy nie będzie nazywał mnie Chichi), a teraz znowu zostałam „signoriną”. Zanim zdążyłam się nad tym zastanowić, podjął:

– Ludzie przygotowują się do poparcia barw swojej *magistratura*, czyli dzielnicy. Magistratura to polityczno-militarna organizacja miejskiego kwartału albo drużyna, która uczestniczy w Gioco del Ponte.

Boże, potrafił być taki nudny. Jakie to szczęście, że był przy tym tak urodziwy. Stłumiłam

ziewanie.

– Więc o co naprawdę chodzi w tej grze? – Chciałam jedynie więcej wina. Przestałam przejmować się własnym wyglądem, co było zupełnie do mnie niepodobne.

– Każda drużyna musi przepchnąć duży taran, ważący ponad siedem ton, przez stary most, do którego dojeżdżaliśmy, podczas gdy drugi zespół próbuje ją zatrzymać. To wspaniałe zawody, w których elementy folkloru mieszają się z dumną rycerską tradycją obu partii. Oba brzegi Arno walczą o panowanie nad mostem.

Pizańczycy musieli być stuknięci.

– Chcesz mi powiedzieć, że w tym całym przedstawieniu gromada przebierańców przepycha przez most wielką kłodę, a druga grupa próbuje przepchnąć ją na drugą stronę?

Z brata Guida najwyraźniej uszło powietrze.

– Owszem.

Madonna! Widziałam, że signor Silvio doskonale się bawi, obserwując nas, więc szybko wróciłam do wcześniejszych pochlebstw.

– To wspaniale! Uroczystość prawdziwie pasująca do pozycji tego wielkiego miasta – podsumowałam niemrawo, czując, że moje pochwały nie zabrzmiały przekonująco.

I rzeczywiście Silvio wyczuł kpinę.

– Lud to lubi. Zawsze lubił. To jedyna okazja do prawdziwego, uczciwego starcia. Bo Piza niewiele ma do powiedzenia w wojnie lądowej, ale na morzu nikt nam nie dorówna, nawet takie miasta jak Genua czy Neapol.

Znowu pojawiła się ta trójca morskich miast, zakłócając doskonałość dnia jak chmurka zasłaniająca słońce. Prawdę mówiąc, prawie zapomniałam o *Primaverze*, a teraz znowu poczułam woń niebezpieczeństwa. Ale Silvio i Guido uśmiechnęli się tymi swoimi bliźniaczymi uśmiechami, a nasz powóz wtoczył się na środek mostu, skąd Silvio della Torre miał dobry widok i mógł ogłosić wynik zmagania. Jak okiem sięgnąć, oba brzegi Arno zapełniali ludzie ubrani w barwy swoich drużyn, zachrypnięci od dodawania im otuchy. Obserwowałam kilka pierwszych potyczek, zachwycona widokiem młodych mężczyzn napinających mięśnie, żeby przepchnąć przez most olbrzymi falliczny taran. Ale nawet widok napiętych mięśni zaczął tracić urok, gdy zobaczyłam, jak mocarny najemnik Tok przenosi (dosłownie) drużynę Kogutów, reprezentujących związek Tramontana, do zwycięstwa. Z Piazza delle Sette Vie przyszedł za nami na piechotę, prowadząc za uzdy Pene i Aquinasa, ale wystarczyło mu energii, by z entuzjazmem przyłączyć się do zawodów. Jego masa i siła sprawiały, że gigantyczny taran wydawał się lekki jak zapalka, a drużyna przeciwna padała wielokrotnie przed jego mocarnym dziobem. Obserwowałam, jak zręcznie wbijał taran w drużynę Srok. Za jednym uderzeniem powalił trzech młodych mężczyzn. Kobiety zabrały ich stamtąd, by zajął się nimi balwierz. Tok był chłopem jak byk i pod jego opieką czułam się

bezpieczna bez względu na to, jakiego zabójcę postanowiła wysłać za nami Florencja.

Pod koniec tych straszliwie długich zmagania wycofałam się do pozłacanej karety, żeby rozkoszować się winem i smakołykami, które służba podawała mi przez okno. Zapadłam w drzemkę, z której wyrwał mnie powrót brata Guida i jego stryja. Ich promienne twarze świadczyły o tym, że zwycięzcami zostały Koguty. Zasypałam ich gratulacjami i włączyłam się do szczegółowego omawiania strategii i poszczególnych starć. Kiedy wreszcie umilkliśmy, zapytałam:

– Czy tego dnia czekają nas jeszcze jakieś przyjemności?

Silvio della Torre się uśmiechnął.

– Najlepsze dopiero przed nami. Teraz pora na ucztę, bo to wigilia dnia naszego świętego. – Wreszcie mówił zrozumiałym językiem. Mój żołądek burczał z głodu.

– Święty Ranieri – wtrącił brat Guido – był wielkim człowiekiem i doskonałym muzykiem, który zrezygnował z bogactw, by zostać pokornym pustelnikiem w służbie Boga. – Jego oczy znowu błyszczały, tym razem było w nich przywiązanie zamiast triumfu. Zorientowałam się, że święty patron Pizy był więcej niż inspiracją dla młodego panicza, gdy zrezygnował ze swojego dziedzictwa i złożył śluby w Kościele. Ale teraz chciałam usłyszeć coś więcej na temat uczy.

– W moim pałacu – signor Silvio wskazał brzeg rzeki, na którym wielkie domy były już ozdobione diamentami okien oświetlonych światłem świec – urządzimy taką ucztę, jakiej nigdy, pani, nie widziałaś. Jej uczestnicy skosztują najwspanialszych dań, a pani, signorina, jako przyjaciółka mego ukochanego bratanka, będzie gościem honorowym.

Leciała mi ślinka, kiedy powóz zatrzymał się przy pięknym kwadratowym pałacu tuż nad rzeką. Silvio della Torre wysiadł, gestem ręki oddalił forysia, żeby mógł sam asystować mi przy wysiadaniu. Potknęłam się na stopniach i z radosnym uśmiechem złapałam równowagę.

– Jaki wspaniały dzień! – wybąkałam mu w twarz.

Wydawał się zadowolony.

– A więc Piza się pani podoba?

Wypiłam prawie dwie butelki chianti, a zjadłam tylko kilka solonych anchois i garść moreli. W tym momencie wszystko mi się podobało.

– Owszem – odrzekłam, starannie wypowiadając każdą zgłoskę i próbując zapanować nad płaczącym się językiem. – To bardzo ładne miasto.

Czułym gestem uniósł moją brodę dłonią w rękawicze i przeszył mnie spojrzeniem oczu, które tak bardzo przypominały oczy brata Guida.

– Teraz będzie o wiele ładniej, signorina. – Obrócił się z szelestem płaszcza i ruszył po oświetlonych pochodniami schodach. – Proszę. Chodźmy do środka. Będziemy ucztowali na cześć świętego Ranieriego i cieszyli się tym, co przyniesie noc. – Podał mi ramię i jak pieszczotą objął moją postać rozpalonym wzrokiem. Brat Guido natomiast wyglądał jak chmura gradowa, kiedy

wchodził za nami do palazzo. Nikt mnie nie widział, więc pozwoliłam sobie na dyskretny uśmiech.
Zapowiadał się naprawdę ciekawy wieczór.

ROZDZIAŁ 3

– W imię Boga i wszystkich Jego świętych, co ty wyprawiasz?

Znajdowaliśmy się w urządzonej z przepychem sypialni, niewątpliwie kobiecej. Okna składały się z rombów delikatnego szkła, przez które można było podziwiać wspaniały widok na oświetloną zmięrzchem rzekę Amo. Kusilo mnie łożo z baldachimem przykryte czerwono-złotą kapą, ścianę zdobiła pięknie utkana tapiseria przedstawiająca rajski ogród. Dawno nie czułam się tak szczęśliwa. Znowu znalazłam się w objęciach luksusu, który był moim naturalnym otoczeniem, i nie byłam w stanie przejmować się durną *Primaverą* i jej głupimi sekretami. Co znaczyły dla mnie, księżniczki Pizy? Trafiłam do raju, ale był w nim wąż pod postacią brata Guida, pouczającego mnie tak, jakbym właśnie zerwała jabłko i doprowadziła do upadku ludzkiego rodu.

Nigdy nie widziałam brata Guida tak bliskiego gniewu, choć wcześniej dawałam mu ku temu liczne powody. Nawet kiedy usłyszał plusk wpadającej do studni głowy swego przyjaciela w klasztorze Santa Croce, nie wyrzucał mi głupoty, nigdy też nie obwinił mnie o to, że wplątałam go w całą tę niebezpieczną eskapadę. Mój lekko zmacony winem umysł próbował przypomnieć sobie wszystkie występki, jakich mogłam się dopuścić tego dnia, ale w głowie miałam pustkę. Wydawało mi się, że byłam czarująca.

– O co ci chodzi?

Odpowiedź mnie zaskoczyła.

– Żeby flirtować z moim stryjem jak zwykła... – Urwał. – Skłaniasz go do grzechu i bezczęścisz imię mej ciotki.

– A gdzie jest twoja ciotka? W jaki sposób ją dotknęłam?

– Nie żyje od dziesięciu lat.

Do diabła. Strzeliłam gafę, ale to mnie jeszcze bardziej rozzłościło.

– Dziesięć lat! – Mój okrzyk zabrzmiał niemal jak rzenie Pene. – Pozwól nieszczęsnemu facetowi na odrobinę przyjemności, zanim do reszty zniedołężnieje! Dostyc już oplakiwania. A jeśli zapomniałeś, to ci przypomnę, że jestem zwykłą dziwką.

Posmutniał.

– Miałem nadzieję, że porzucisz takie życie, że jedyna dobra rzecz, jaka wyniknie z całego tego nieszczęścia, będzie taka, że uda mi się nakłonić cię do zmiany obyczajów, co było wszak moim zamiarem przy naszym pierwszym spotkaniu. – Zawrzał w nim gniew. – A bez względu na to, kim jesteś, on jest szanowanym człowiekiem i panem tego miasta. To nie przystoi. Podważasz jego pozycję.

– Staram się po prostu wkraść w jego łaski, może wtedy chętniej nam pomoże – skłamałam, ponieważ lubiłam zainteresowanie mężczyzn i obietnice, że na tym się nie skończy. Skoro nie mogę mieć bratanka, to na razie wystarczy stryj. Z przyjemnością wymasowałabym mu trąbkę za kilka florenów, ale czułam, że nie mogę się do tego przyznać. Zręcznie zmieniałam temat rozmowy. – A ty? Sądziłam, że będziemy trzymali naszą tu obecność w tajemnicy, żeby nie narażać twego stryja. Przyjechaliśmy z Florencji na dwóch starych szkapach, nie uważasz, że nasi prześladowcy mogli zrobić to samo? Czy nie narażasz go na niebezpieczeństwo, tak otwarcie się z nim pokazując?

Zrozumiał. Usiadł na łóżku, krew odpłynęła mu z twarzy.

Skromny brząz habitu kontrastował z jedwabiami łoża i baldachimu. Westchnął i jakby pozbył się w ten sposób gniewu.

– Masz rację – przyznał. – Postąpiłem zbyt lekkomyślnie. Odczułem taką ulgę na widok stryja, byłem tak wdzięczny za jego życzliwość, że pozwoliłem sobie otwarcie przyjąć jego ochronę i gościnę. Tak, naraziłem go na niebezpieczeństwo, przerwałem post i rozkoszowałem się widowiskiem, zamiast oddać się modlitwom. Nie mam prawa czynić ci wyrzutów. To ja zgrzeszyłem. I Bóg mnie za to ukarze. – Zwrócił na mnie niebieskie oczy, w których malowała się bezradność. – Co teraz zrobimy?

Usiadłam obok niego, nie czułam się najlepiej.

– Głowa do góry – powiedziałam. – Teraz jesteśmy pod jego skrzydłami i pod opieką jego ukochanego najemnika.

– Toka.

– Zgadza się. Wykorzystajmy to. Wieczorem będziemy ucztowali, jaw każdym razie będę – poprawiłam się szybko, bo Guido pokręcił głową. – A kiedy goście się rozejdą, pokażemy stryjowi obraz i zapytamy go, co powinniśmy zrobić. Jesteśmy gośćmi w jego domu, zgoda. Niech ta wieść się rozejdzie, a my poprosimy go o wszelką możliwą pomoc.

Skinął głową.

– Masz rację. – Wstał z łóżka i patrzył w mrok za oknem. W świetle zapadającego wieczoru z miasta dobiegł odgłos dzwonów, co wyrwało go z zadumy. – Dzwonią na nieszpory. Jeszcze dwie godziny do uczyty, przygotuj się, najlepiej jak potrafisz, spotkamy się na dole. – Naciągnął kaptur i ruszył do drzwi.

– Dokąd idziesz? – spytałam, nagle przerażona.

– Na mszę. Tu niedaleko jest niewielki kościółek Santa Maria della Spina. Jest w nim relikwiarz, w którym mieści się jeden z prawdziwych *spina*.

Popatrzyłam na niego, nie rozumiejąc.

– Cierń z korony ukrzyżowanego Chrystusa. Pomodłę się przed nim i będę żałował za

grzechy, tak jak On żałował przy swoim ostatnim oddechu. – Uśmiechnął się jakby duchem uśmiechu. Przez chwilę po jego wyjściu czułam niepokój, bo choć często się spieraliśmy, nie chciałam zostać rozdzielona z moim jedynym przyjacielem, nie chciałam, żeby spotkało go coś złego na ciemnych ulicach. Zdenerwowało mnie to całe gadanie o ostatnich oddechach. Ale kiedy się odwróciłam, żeby przejrzeć się w lustrze, zapomniałam o wszystkich obawach.

Madonna!

Wyglądałam jak pomyłona, która uciekła ze szpitala. Moja suknia, kiedyś najlepsza, jaką miałam, włożona przed pięcioma dniami, żeby zrobić przyjemność Bembowi, była sztywna od błota i potu, a zmyte deszczem farby spływały pomarańczowymi strumyczkami po tanim jedwabiu. Moje włosy przypominały ptasie gniazdo, sterczały na czubku głowy i opadały na szyję i ramiona, przypominając bardziej słomę niż złoto. Piękne futro z gronostajów stało się matowe i zatłuszczone jak wilcza skóra, a podczas podróży moja twarz opaliła się na ohydny chłopski brąz (jakże daleki od porcelanowej bieli, do której przywykłam), więc moje oczy błyszczały niczym zielony jasek, skrzyły się od wina, jakby oszalałe w świetle księżyca. Miałam ochotę krzyczeć. Jak mogłam wymieniać spojrzenia z signorem Silviem, kiedy nie wyglądałam lepiej niż trędowata żebraczka?

Musiałam coś zrobić. Przycisnęłam ręce do policzków, bo zakręciło mi się w głowie, i rozejrzałam się po pokoju. Na szczęście signor Silvio (czy raczej jego służba) pomyślał o wszystkim, co może być potrzebne damie (to znaczy mnie) do zrobienia toalety. Znajdowała się tu duża miedziana miska z letnią wodą, na której powierzchni unosiły się kwiaty stokrotek, i dzbanek. Był grzebień z zębami z kości, Bembo przywiózł mi kiedyś taki z Konstantynopola. A także niewielka komódka z drewna sandałowego z tuzinem maleńkich szuflad, kryjących różne olejki, pasty i maści, jakich – według mojej wiedzy – używały damy dla poprawienia swojego wyglądu. Nigdy wcześniej nie potrzebowałam takich rzeczy, ale dzisiaj sytuacja była rozpacзлиwa. A na koniec – na ten widok klasnęłam z radości – na komodzie leżała cudowna zielono-złota suknia.

Po dwóch godzinach byłam odmieniona.

Pierwszą godzinę spędziłam na rozczesywaniu moich szalonych włosów i na polewaniu ich wodą. Kiedy były starannie uczesane i splukane, wycisnęłam z nich wodę i upięłam na głowie, żeby wyschły, podczas gdy ja zajmę się dalszą toaletą. Kiedy zaczęłam obmywać twarz, zobaczyłam, że jasne kosmyki przy uszach i czole wyschły i skręcają się w pukle, jasne i puszyste jak jednodniowe kurczęta. Bardzo dobrze.

A teraz ciało. Byłam oblepiona błotem, spocona i cuchnęłam jak ryba po tygodniu. Zapach unoszący się z mego krocza o mało nie doprowadził mnie do omdlenia. Wykorzystałam resztę wody i szorstką flanelę, by wyszorować każdy cal mojej opalonej skóry, aż zrobiła się różowa i apetyczna. Naplułam nawet na perłę w pępku i pocierałam tak długo, aż zaczęła błyszczeć.

Następnie, umyta i otulona jedwabnym szlafrokiem, zrobiłam coś, co na pewno uznacie za obrzydliwe. Wyjęłam kwiaty i wypięłam całą wodę, w której się myłam.

Ale zanim mnie osądzicie, wysłuchajcie. Moja współmieszkanka Enna – niech Bóg ma w opiece jej parszywą duszę – opowiadała, że pieprzyła się kiedyś z Hiszpanem, który mawiał, że jeśli wypije się za dużo wina, należy wypić dokładnie tyle samo wody, i po chwili człowiek czuje się odświeżony. Miał rację, bo tak właśnie się poczułam. (Muszę przyznać, że rada, jaką dał Ennie, była bardzo cenna. Dał jej też wszy, ale to nie mój problem).

Więc kiedy odezwał się ostatni dzwon na nieszpory, byłam gotowa i trzeźwa jak zakonnik. Oglądałam w lustrze moje nowe ja. Włosy lśniły teraz niczym pofałdowana złota materia sięgająca talii, miękko falująca wokół twarzy. W skórę wtarłam olejek znaleziony w szufladce, który błyszczał, jakby zmieszano z nim tysiące złotych płatków. Choć nadal byłam opalona, teraz moja skóra lekko połyskiwała. Zielono-złota suknia przylegała do ciała. Zeszczuplałam po tylu dniach spędzonych w drodze, ale słynne *tette* Chichi się nie zmniejszyły. Suknia była tak sprytnie skrojona, że w równym stopniu ukrywała, co obnażała piersi, a wszystko w najlepszym guście. Nie miałam biżuterii, włożyłam więc we włosy stokrotki wyjęte z wody do mycia. Moje odbicie w lustrze zapierało dech, ale kwiaty przypomniały mi *Primaverę* i rolę Flory, jaką odgrywałam na tym obrazie. Wyjęłam *cartone*, miniaturową kopię obrazu, z gorsetu mojej starej sukni i ukryłam go bezpiecznie pod gorsetem nowej. Dziś wieczorem brat Guido i ja wreszcie podzielimy się tajemnicą *Primavery* i będziemy mieli sojusznika. Czując strach i ekscytację, odwróciłam się od lustra i zesłam na dół.

Wielkie schody z białego marmuru prowadziły do olbrzymiego salonu, gdzie zaczęli się już zbierać wspaniale wyglądający goście. Ujrzałam prawdziwą tęczę jedwabi i aksamitów, rajskie ptaki w odświętnych strojach. Słysząc było szmer rozmów, kiedy pizańczycy wymieniali uwagi w swoim dziwacznym dialekcie. Brzmiało to jak gulgotanie stada indyków. Na mój widok wszyscy zamilkli, dostrzegłam stryja Silvia i brata Guida. (Westchnęłam z ulgą, widząc, że Guidowi nic się nie stało). Silvio skinął głową z uznaniem, a Guido opuścił głowę, choć widać było, że jest zachwycony moją przemianą. Nic dziwnego, przecież nigdy nie widział Chichi w pełnej krasie. Kiedy odnalazłam go w Santa Croce, byłam przerażona i ubrudzona krwią, a w drodze prezentowałam się nie lepiej niż zwykła dziwka w łachmanach. Teraz po raz pierwszy mógł docenić moją urodę. Poczulałam lekkie ukłucie zadowolenia. Czyżbym mogła żywić nadzieję, że pewnego dnia odciągnę go od Boga i zapoznam z cielesnymi rozkoszami? Trudno, jeśli nie on, to w salonie było wielu mężczyzn, którzy obrzucali mnie tak pochlebnyimi spojrzeniami, kiedy szłam w stronę gospodarza, że gdybym tylko miała okazję, mogłabym tego wieczoru obsłużyć paru z nich. Najwyższa pora, bo nie jestem przyzwyczajona, żeby tak długo obywać się bez fiuta.

Ukryłam nieczne myśli pod niewinnym uśmiechem, grzecznie witając Silvia i jego bratanka.

Silvio najwyraźniej musiał już usłyszeć fragmenty mojej historii, jednak uprzejmie nie czynił żadnych aluzji. Gdy prowadził mnie do jadalni, nawiązał do tego, skąd pochodzę.

– Signorina Vetra, przypomina pani najwspanialsze damy weneckiego dworu, bo śmiało można powiedzieć, iż żadna z nich, nawet na dworze samego doży, nie może się pochwalić choćby częścią twoich wdzięków. Jesteś, pani, ozdobą Toskanii.

Uśmiechnęłam się, gdy służący wysuwał krzesło.

– A więc bratanek powiedział ci, panie, że pochodzę z Wenecji.

Skinął głową.

– Powiedział. I łatwo w to uwierzyć. Masz, pani, najlepsze cechy północnego typu: blond włosy i jasne oczy. W istocie widziałem kiedyś damę z Wenecji, która była bardzo do ciebie podobna. Ona... – Urwał nagle. – Nieważne. Powiedzmy, że na pewno nie masz rywalki ani w tamtym mieście, ani w tym.

Następnie zwrócił się do Toka, który tkwił wyczekująco za jego plecami. Obaj mówili chyba o pustym krześle po prawicy Silvia, dzięki czemu mogłam się odwrócić do brata Guida po mojej lewej stronie.

– Czy powiedziałaś mu coś o obrazie? – spytał twardo.

Wzniosłam oczy do nieba. Wiedziałam, że był duchownym, ale mógł chyba uczynić wysiłek, żeby dorównać manierom stryja?

– Luciano, pięknie wyglądasz w tej sukni – powiedziałam z ironią. – Nie wierzę własnym oczom. Czuję się zaszczycony, że dzisiejszego wieczoru mogę być twoim towarzyszem.

Guido uśmiechnął się blado.

– Przecież wiesz, że my, zakonnicy, nie myślimy o takich rzeczach. Nasze umysły zaprzatają sprawy wyższej natury, a jedyne piękno, jakie zauważamy, to piękno Boga i Jego ukochanego Syna.

Przeżegnał się.

Prychnęłam i uśmiechnęłam się do służącego, który nalewał mi wino.

– Czyżby? Wydawało mi się, że doceniasz i moje, kiedy schodziłam po schodach. A może patrzyłeś wtedy na spódnice Boga, łapiąc muchy do gęby?

Oblał się rumieńcem.

– Byłem po prostu zaskoczony, że tak się zmieniłaś. To wszystko. Zapewniam cię. Pozwól, bym cię ostrzegł przed grzechem pychy, bo to obrzydliwa przywara i może doprowadzić do zguby.

Westchnęłam.

– Odpowiadam na pytanie, które padło przed kazaniem: nie, nie mówiłam twojemu stryjowi o obrazie. Uznałam, że za dużo tu ludzi.

Guido skinął głową i chyba zamierzał mówić dalej, ale ja też miałam pytanie:

– A to puste miejsce po prawej ręce stryja, czy to krzesło dla jego syna? Bo przecież masz kuzyna, prawda?

– Tak. Niccolo. Nie, nie ma go tutaj.

– Więc gdzie jest? – Uderzyła mnie inna myśl. – A przy okazji, gdzie był przez cały dzień? Chyba powinien być u boku twego stryja podczas wszystkich uroczystości?

– Jest na uniwersytecie.

– Gdzie? W Padwie, w Bolonii? – Wymieniłam nazwy dwóch z trzech uniwersytetów, które znałam. Trzeci, znajdujący się w Pizie, nie wyjaśniałby jego nieobecności.

– Nie, studiuje tutaj, w Pizie. – Uśmiechnął się gorzko, widząc moje zdziwienie. – Jak widzisz, jest oczekiwany dziś wieczorem – dodał z ironią.

– Ale się nie pojawi?

Guido wzruszył ramionami. Znałam już jego niechęć do wyrażania się źle o innych. Jednak w tym wzruszeniu ramion dostrzegłam więcej antypatii, niż kiedykolwiek okazał w mojej obecności, a także więcej dezaprobaty niż wobec nawet bezimiennych zbrodniarzy, którzy zamordowali naszych przyjaciół.

– Nie jest może tak przejęty swoimi obowiązkami, jak stryj Silvio by sobie życzył. Ale jako jedyny syn może robić, co mu się podoba, a i tak ma zapewnione miejsce faworyta.

– Niby dlaczego? – Byłam nastawiona bojowo. – Słyszałam o wielu przypadkach wydziedziczenia wyrodnego syna na rzecz kogoś innego. Dlaczego twój stryj tego nie robi?

Brat Guido popatrzył mi prosto w oczy.

– Ponieważ jedyny inny potencjalny dziedzic, którego kocha i któremu ufa, postanowił zostać mnichem.

Madonna! Teraz wszystko zrozumiałam. Silvio kochał swojego bratanka Guida bardziej niż syna Niccolo. Niccolo na nic nie zasługiwał, ale zanim Silvio zdążył zrobić z Guida dziedzica, ten poczuł powołanie i przywdział habit.

– A czy stryj... nie próbuje cię zawrócić z obranej drogi?

– Przez cały czas – wyznał Guido z żalem. – Bo musisz wiedzieć, że pod każdym względem był dla mnie jak prawdziwy ojciec. Straciłem rodziców podczas zarazy w tysiąc czterysta sześćdziesiątym roku, byłem zbyt mały, żeby ich oplakiwać. Stryj mnie wykształcił i wychował, nauczył mnie wszystkiego, co powinien wiedzieć młody szlachcic. Zawsze miał świadomość, że Bóg obdarzył go dziedzictwem, które powinno przypaść mnie, bo on był młodszym synem i to śmierć mojego ojca dała mu miasto we władanie. Toteż traktował mnie równie życzliwie, jak rodzzonego syna, a czasami nawet lepiej – przyznał i pokręcił głową. – Nie twierdzą, że było to słuszne, a już na pewno nie obudziło zbyt wielkiej miłości do mnie w sercu mego kuzyna. A kiedy dorosłem, zaczytywałem się w Piśmie i innych religijnych księgach stryja. Usłyszałem, że Bóg

mnie wzywa, i z błogosławieństwem stryja zgodziłem się wstąpić do nowicjatu franciszkanów na rok, żeby przekonać się, czy to prawdziwe powołanie, zanim złożę śluby. Ale ja już podjąłem decyzję – zakończył stanowczo.

Spojrzałam znowu na Silvia i zrobiło mi się go żal. Owszem, ja, zwykła dziewczucha, patrzyłam na wielkiego pana i mu współczułam. We własnym domu siedział w dniu swojego świętego między nic niewartą dziwką a pustym krzesłem i patrzył w przestrzeń, bo syn upokorzył go, nie przychodząc, a ukochany bratanek nie mógł zostać dziedzicem. Ścisnęłam rękę Silvia, żeby mu przypomnieć o nim samym, i zaczęłam wychwalać nakrycie stołu, zdecydowana, że będzie to dla niego przyjemny wieczór.

I rzeczywiście było co wychwalać, nie musiałam kłamać. Radośnie napychałam się jądrami zająca, które były tak małe i gładkie, że można było połykać je w całości, świeżo złapanymi *lipioti*, maleńkimi ośmiornicami z dwoma miniząbkami, ostrymi jak brzytwy, które trzeba przed jedzeniem usunąć, i czarnym jak węgiel makaronem z sosem z atramentu z kałamarnicy. Potem podano prawdziwą menażerię faszzerowanych mięs: maleńkie daniele i olbrzymie dziki, upieczone i z powrotem zaszyte we własne skóry. Patrzyły szklanym wzrokiem na tych, którzy przyszli je pochłonąć. Przyrządzono nawet pawia, którego wspaniały zielono-niebieski ogon stanowił główną ozdobę stołu. Jadłam tak długo, aż szwy sukni zaczęły mnie uwierać, piłam równie dużo, śmiałam się ze stryjem Silviem. Słowem, spędziłam bardzo udany wieczór.

Zauważyłam, że brat Guido nic nie jadł i pił tylko wodę, bo zamierzał pościć. Półmisek ostryg, które, jak mi wyznał po drodze, należały do jego ulubionych przysmaków, postawiono przede mną, a było nas troje do tej porcji. Nie jem ostryg, nie pytajcie dlaczego – chyba po części jest to związane z tym, że wytwarzają perły, takie jak ta w moim pępku, a po części dlatego, że przełykanie ich przypomina przełykanie męskiego nasienia, co w moim zawodzie muszę robić wystarczająco często, by nie powtarzać tego w wolnym czasie. Przesunęłam złoty półmisek w stronę brata Guida.

– Jedz! – kusiłam. – To twoje ulubione.

Popatrzył na mnie jak na szatana. Zacisnął swoje pełne wargi w cienką linię i pokręcił głową.

– Nie mogę – powiedział. – Poszczę na cześć świętego Ranieriego, któremu zawdzięczam swoje powołanie.

– Ostrygi na pewno się nie liczą! To wielkopostne, chłopskie jedzenie.

Znów pokręcił głową.

– Jutro od świtu znowu będę mógł jeść, ale nie przed końcem dzisiejszego dnia.

Wzruszyłam ramionami i przesunęłam półmisek w stronę jego stryja, bo nie mogłam dopuścić, żeby sprawiedliwy mnich niepotrzebnie cierpiał męki wyrzeczenia, cokolwiek o mnie

myślicie. A przy okazji zepchnęłam trochę szlachetnych skorupiaków na swoje kolana, żeby ukryć je w przypominającej fartuch narzutce na suknię. Nie może jeść do rana? Dobrze, wobec tego odłożę mu z pół tuzina na śniadanie. Jego stryj tymczasem z apetytem zmiatał pozostałe ostrygi. Najwyraźniej zamiłowanie do tych paskudnych skorupiaków było rodzinne.

Po ostrygach podano słodycze. Znowu napchałam się bezami, marcepanem i małymi ciasteczkami ze Wschodu. I nadszedł punkt kulminacyjny uczy: dwaj służący wnieśli tort przedstawiający krzywą wieżę. Biały cukier udatnie wyobrażał arkady i kolumnady, a nawet dzwoniczkę na szczycie. Przy aplauzie gości tort postawiono na stole. Naprawdę się pochylał. Wymieniliśmy spojrzenia z Guidem. Widok wieży, wspomnienie kształtu, jaki zakreślały rękami Gracje Botticellego, przypomniały nam, że nadeszła pora, by podzielić się naszą wiedzą. Nawet stała obecność Toka w pobliżu swego pana nie ustrzegła mnie przed nagłym dreszczem. Cukrowa wieża wkrótce została pokrojona, podawano gościom talerzyki. Zobaczyłam, że tak jak przez całą ucztę, teraz też na pustym miejscu przed pustym krzesłem postawiono porcję tortu, jakby siedział tam niewidzialny gość, a talerze i smakołyki zaczynały się piętrzyć jak w misce do zmywania. Po mojej drugiej stronie brat Guido podziękował za deser, a ja podziwiałam jego wstrzemięźliwość w obliczu takich pyszności, a także spokojne piękno jego twarzy. Tort okazał się wspaniały, ale rozkoszując się jego smakiem, poczułam w sercu gorzkie ukłucie na myśl o tym, że za niecały rok Guido della Torre złoży pełne śluby i będzie na zawsze dla mnie stracony.

Wreszcie wyszli ostatni goście i przeszliśmy we trójkę do bibliotecznej wieży palazzo. Było to piękne pomieszczenie z czterema oszklonymi oknami wychodzącymi na cztery strony świata, resztę ścian wypełniały książki. Najwyraźniej Silvio della Torre tak jak jego bratanek lubił czytać. Nigdy przedtem nie widziałam tylu książek w jednym miejscu. Skupiliśmy się wokół dobrze oświetlonego stolika pośrodku pokoju, niby generałowie studiujący mapę. Silvio przez dłuższy czas przyglądał się obrazkowi, zanim się odezwał. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy, stukał lewym kciukiem w stół, jakby wybijał rytm. Palec ozdabiał złoty pierścień z dziewięcioma złotymi kulami, a stuk pierścienia o stół dźwięczał w mojej głowie niczym dzwon. Byłam już gotowa krzyknąć, kiedy wreszcie się odezwał, a to, co powiedział, było zupełnie nieoczekiwane.

– Rzeczywiście jest piękny. Spodziewałem się, że tak będzie. – I dodał pospiesznie: – Słyszałem o pracach signora Botticellego, ale nigdy żadnej nie widziałem. A pani to ukradła, signorina? Prosto sprzed jego nosa?

Opuściłam głowę, ale on się uśmiechał.

– Zobaczywszy ten obraz, nie mogę pani potępiać. Każdy chciałby mieć coś takiego.

– Ktoś w każdym razie chce – wtrącił ponuro Guido. – Ścigano nas we Florencji, pewnie teraz też nas szukają. Dwójka naszych najlepszych przyjaciół zginęła zamiast nas, a także jeden z... klientów Luciany. – Niemal się zakrzuszył tym słowem. – Z powodu pogoni za tym obrazem.

Silvio ściągnął brwi.

– Ale przecież mają oryginał. Signor Botticelli ma obraz, a to chyba jest tylko *cartone*, prawda?

Brat Guido skinął głową, a jego cień zrobił to samo w świetle świec.

– Owszem. Ale obawiamy się, stryju, że nie chodzi im tylko o odzyskanie *cartone*.

Uważamy, że w obrazie kryje się jakieś przesłanie, a oni myślą, iż myje znamy, więc chcą nas zabić, bo boją się naszej wiedzy.

– Niewątpliwie wygląda to na jakąś alegorię – zgodził się stryj. – Może... przywołuje na pamięć *Stanze Poliziana*.

Madonna! I on to samo.

– Ja też tak pomyślałem – przyznał z zapalem brat Guido – ale wydaje się, że ma to jakieś głębsze, polityczne znaczenie. Signor Botticelli wpadł w wielki gniew, kiedy Luciana wymieniła razem nazwy Pizy, Neapolu i Genui.

– Pizy, Neapolu i Genui? – Silvio spojrzał na mnie, ale w jego oczach nie widać już było pożądania, tylko zamyślenie. – To wszystko są wielkie potęgi morskie.

– No właśnie. I sądzimy, że trzy Gracje na obrazie przedstawiają te wielkie miasta, a nie bóstwa.

Silvio jeszcze przyjrzał się z bliska obrazowi.

– A w tej waszej teorii, którą z postaci jest Piza?

Brat Guido pokazał mu.

– Tutaj, powyżej postaci środkowej Gracji, ich złączone ręce odtwarzają dokładnie kształt naszej krzywej wieży.

Silvio wzruszył ramionami.

– To na pewno ciekawy zbieg okoliczności, ale nic więcej.

– A w dodatku ślepy Kupidyn kieruje strzałę dokładnie w jej głowę. Stąd należy zacząć poszukiwania.

Silvio przyjrzał się bratankowi.

– Poszukiwania?

– Owszem. Poszukiwania znaczenia obrazu. Trzy postacie to miasta. Co przedstawia reszta? Natknęliśmy się na sekret i komuś zależy, żebyśmy nie odkryli jaki.

Teraz zdarzyło się coś naprawdę dziwnego. Silvio della Torre wybuchnął wymuszonym śmiechem, tak głośnym, że odbijał się od ścian wieży. Jednak sekundę przed wybuchem tej wesołości dostrzegłam w jego oczach inną emocję.

Strach, czysty strach.

Czekaliśmy, aż minie ten napad rozbawienia, a kiedy to się stało, klepnął nas oboje po

ramionach, jak kompanów od kieliszka.

– Nonsens – stwierdził, nadal roześmiany. – Nie ma tu żadnego sekretu. Są trzy tańczące Gracje z mitologii, nic więcej. Musicie zapomnieć o tej sprawie i wrócić do normalnego życia. Mam dla was znacznie lepszą propozycję niż te poszukiwania i próby dotarcia do serca labiryntu, który sami stworzyliście. Dlaczego po prostu nie zwróćcie tego obrazka?

Brat Guido westchnął z rozpaczą. Widziałam, że jest rozczarowany, że spodziewał się znaleźć w stryju sojusznika. Nie przypuszczał, że nasze wielkie odkrycie zostanie tak zlekceważone.

– Jeśli wrócimy do Florencji, ci, którzy nas szukają, znajdą nas w mgnieniu oka. A nawet gdyby tego nie zrobili, to miasto będzie sądzić signorinę Vetrę i straci nos, a może i ręce.

Przełknęłam ślinę na myśl o brutalności, z jaką może działać państwo. Byłam tak zajęta zabójcami, którzy nas ścigali, że nie pomyślałam, do czego może się uciec prawo. Ale brat Guido wiedział i próbował mnie chronić. Madonna! Bez nosa czy rąk dających rozkosz nie będę mogła pracować.

Silvio skinął głową. Po jego minie widać było, że wpadł na jakiś pomysł.

– W tej sprawie akurat mogę wam pomóc. Jest jeden człowiek we Florencji, którego wybaczenia i protekcji nikt nie ośmielił się zakwestionować. – Podchwycił spojrzenie bratanka.

– Owszem – powiedział po prostu. – Wawrzyniec Wspaniały. Sam Wawrzyniec Medyceusz. – Powiedział to tak, jakby wymawiał imię Boga Wszechmogącego.

O władcy Florencji, naszego miasta-państwa, wiedziałam tylko trzy rzeczy.

Primo: Został dźgnięty sztyletem przez Pazzich, ale udało mu się uciec, a tymczasem jego brata Giuliana zaszlachtowano w katedrze.

Secondo: To bankier, a więc jest bogatszy od Krezusa.

Terzo: Pisze poezję w dialekcie tokańskim, stąd jego powiązania z Anżelem Polizianem, przyjacielem poety, o którym wszyscy mówią.

Z twarzy brata Guida wyczytałam, iż nie doceniłam wpływów jego stryja.

– I mógłbyś się wstawić u niego za nami? – zapytał.

Silvio zastanawiał się przez moment.

– Mogę zrobić więcej. To mój wielki przyjaciel, więc jutro was do niego zaprowadzę.

– Do Florencji? – odezwałam się w końcu. Byłam równocześnie bardzo zadowolona i przerażona.

Uśmiechnął się.

– Nie ma takiej potrzeby. Ma w Pizie pałac, wielką budowlę z czerwonej i białej cegły, którą pewnie dzisiaj widzieliście. Jeden brzeg rzeki, Lungarno Mediceo, nazwany jest na cześć jego i jego rodziny. Jego heraldzi oznajmili, iż przybędzie tu jutro na dzień świętego Ranieriego. Może

raczej powinienem powiedzieć „dziś”. – Bo było już dobrze po północy.

Guido i ja wymamrotaliśmy pełne ulgi podziękowania. Il Magnifico na pewno nas ochroni. Zastanawiałam się już nad swoją fryzurą, bo co może być ważniejszego od spotkania z największym z Medyceuszów? Zupełnie zapomniałam o wcześniejszym zainteresowaniu Silviem, który wziął mnie pod rękę.

– A więc zobaczymy się rano, bratanku! – zawołał przez ramię do Guida. – A ty, signorina – powiedział znacznie ciszej – przyjdź do mojej komnaty, kiedy zabrzmia dzwony na pierwsze modlitwy.

Moje serce i cipka zadrżały na te słowa. W końcu ktoś weźmie mnie do łóżka, w dodatku nie grozi mi niebezpieczeństwo. Z radością uściśnęłam jego rękę, ale była to radość krótkotrwała, bo usłyszał nas Guido.

– Łaskawy stryju!

Silvio się zatrzymał.

– Nie możesz naprzykrzać się signorinie Vetrze – zaczął z zapalem brat Guido. – To nie przystoi. Proszę pomyśleć o świętym, którego dzień obchodzimy.

Stryj uśmiechnął się wyrozumiale.

– Oj, Guido, Guido, jak ty, człowiek Kościoła, możesz zrozumieć sprawy cielesne? Poza tym Bóg dał nam ciało i zmysły, żebyśmy się nimi cieszyli. Większym grzechem byłoby odmawianie sobie tych przyjemności.

– Ja? Nie rozumiem? – oburzył się brat Guido.

– Oczywiście, że rozumiem. Sądzisz, że skoro noszę coś takiego – chwycił barchanową materię na swojej piersi – to moje serce nie bije, krew nie płynie, a moje zmysły, tak, jak najbardziej, moje cielesne żądze, nie budzą się na widok piękna? – Popatrzył na mnie, twarz miał wykrzywioną cierpieniem jak potępiona dusza, a w jego oczach błyszczały łzy. – Złożenie ślubów nie oznacza zagłuszenia wszelkich odczuć, oznacza jedynie, że mimo iż czujesz jak wszyscy, odmawiasz sobie cielesnych przyjemności i poświęcasz się Bogu. Proszę, żebyś zrobił to samo w tę jedną noc.

Stryj raz jeszcze odwrócił się, by odejść, najwyraźniej chcąc uniknąć sporu z kimś, kogo tak bardzo kochał. Ale brat Guido złapał go za ramię i gwałtownie obrócił.

– Jeśli nie chcesz myśleć o Bogu, to pomyśl o ciotce, matce twojego syna, o twojej zmarłej żonie. – Położył nacisk na ostatnie słowa. – Nie możesz tak jej zhańbić w jej własnym domu!

Jego krzyk odbijał się echem od ścian, tak jak przed chwilą śmiech gospodarza. Spojrzałam zaleknie na Silvia, który był smutny, ale niebezpieczny w swoim gniewie. Mówił spokojnym tonem, który jednak nawet przez sekundę tego gniewu nie ukrywał.

– Bardzo kochałem moją żonę, jak nakazuje Pismo, ale ona nie żyje od dziesięciu lat. Mój

syn to mięczak niegodny nosić naszego nazwiska. A mój bratanek – w tym momencie dwie pary wściekłych niebieskich oczu obrzuciły się spojrzeniami, których identyczność wydawała się wręcz nieziemska – powinien uważać na to, co mówi do swojego stryja w jego własnym domu. – W tym momencie smutek pokonał gniew. – Jestem samotny, Guido. Wyjechałeś, ale czy to ma oznaczać, że mnie nie należy się żadne pocieszenie?

Nagle przestał być wielkim panem, stał się zwykłym mężczyzną w średnim wieku, samotnym pomimo swego bogactwa i pozycji. Zrobiło mi się go żal i wiem, że brat Guido poczuł to samo. Staliśmy w milczeniu, a między nami w mrugającym świetle leżał obraz zapomniany w ferworze rodzinnego sporu, jego wdzięczne postacie wysłuchały tego, co mieliśmy do powiedzenia. Milczenie przerwał Silvio.

– Guido, spotkamy się jutro. Signorina, my zobaczymy się później.

Skinęłam głową, niepewna, co mam robić, bałam się rozgniewać i jednego, i drugiego. Brat Guido milczał, ale kiedy stryj wyszedł z biblioteki i schodził po schodach, wykrzyknął nagle:

– Nie!

Ale zrobił to za późno. Jego krzyk i trzaśnięcie drzwi u podnóża schodów rozległy się jednocześnie.

Spodziewałam się teraz błagań Guida, żebym nie szła na spotkanie, ale niczego takiego nie usłyszałam. On też wyszedł, bez słowa trzasnąwszy dębowymi drzwiami. Zwinęłam obraz i schowałam pod gorset. Było mi żal brata Guida. Z radością stwierdziłam, że nadal czuje jak mężczyzna, nie jak eunuch. Ale miałam pustą i cipkę, i portmonetkę, toteż nic nie mogło mnie powstrzymać od nocnego spotkania.

To znaczy nic prócz samego Silvia della Torre. Czekałam podekscytowana w swojej komnacie, chodząc tam i z powrotem przy świetle świec w oczekiwaniu na dzwony wzywające na modlitwę i na służącego, który miał po mnie przyjść. Umyłam się wodą różaną i przeciągnęłam jedwabną nić między zębami, żeby oczyścić je po uczeniu. Przełożyłam ostrygi ze spódnicy do miedzianego dzbana, w którym była woda, żeby zachowały świeżość do rana. Wystarczyło, że powąchałam spódnicę, bym przeklęła mój uprzejmy gest, ponieważ śmierdziała jak targ rybny. Wyprałam ją i zamiast niej włożyłam jedwabną koszulę. Materiał był tak delikatny, że pod nim widać było wyraźnie moje ciało, ale to mi nie przeszkadzało, bo łatwy dostęp w moim zawodzie nie jest taki zły. Kiedy wreszcie odezwały się dzwony i usłyszałam ciche pukanie do drzwi, ułożyłam się efektownie na łóżku, na wypadek gdyby sam Silvio po mnie przyszedł. Jednak zjawił się Tok, jego zwałista sylwetka wypełniła całe drzwi. Swoim dziwnym toskańskim oznajmił, że pan Silvio bardzo przeprasza, ale jest niedysponowany i musi odwołać nasze spotkanie. Do diabła!

– Niedysponowany? – powtórzyłam wyniosłym tonem. – Co to znaczy?

– Źle się czuje. Może coś zjadł podczas uczenia.

Tok zamknął za sobą drzwi, zanim zdążyłam zadać mu kolejne pytanie.

Niech to diabli!

Opadłam na poduszkę i wyrzuciłam z siebie wszystkie znane mi przekleństwa.

„Niedysponowany”, dobre sobie! Stryj najwyraźniej miał przyływ wyrzutów sumienia spowodowany jojczeniem i gadaniem swojego świątobliwego bratanka. Do diabła z bratem Guidem. Nienawidzę go.

Wściekałam się przez chwilę, po czym weszłam pod kołdrę, wiedziałam bowiem, że muszę trochę się przespać, by pięknie wyglądać na audyencji u Il Magnifico. Ale nie mogłam zasnąć. Kiedy tak się kręciłam w cudownej pościeli, pomyślałam, że nawet jeśli Silvio naprawdę jest chory, to i tak nie może czuć się gorzej niż ja. Mieć obiecaną łózkową zabawę i potem spotkać się z odmową – to dużo gorsza sytuacja niż brak jakiegokolwiek oferty. Prawdę mówiąc, lepiej sypiałam w drodze w szopach dla owiec czy ziemiankach dla krów pełnych much i wielkich stert gówna niż w tych luksusach. Niebo zaczynało już szarzeć, zanim się poddałam i zastosowałam swój niezawodny sposób na zaśnięcie. Pozwoliłam rękom zsunąć się w dół brzucha, pod perłą w pępku i między nogi, żeby i tam znaleźć perłę. Kiedy pocierałam się palcami i wyginałam w łuk, zastanawiałam się, jak mogłoby się potoczyć moje spotkanie z signorem Silviem, ale kiedy poczułam rozkosz, zobaczyłam twarz jego bratanka, która towarzyszyła mi też w chwili, gdy wreszcie ogarnęła mnie senność.

Spałam mocno i długo, a obudziło mnie coraz głośniejsze pukanie do drzwi. Rzut oka na okno powiedział mi, że przespałam cały dzień. Podniosłam się powoli i przesunęłam językiem po suchych wargach. Gdybym tak miała inny dzban z wodą do picia! W miedzianym przy moim łóżku pływały ostrzygi dla brata Guida, ich rybny zapach o mało nie przyprawił mnie o wymioty. Pokuśtykałam do drzwi i wpuściłam samego brata Guida.

Powitał mnie powściągliwie, najwyraźniej nie wiedział, jak potraktować kogoś, kto przespał się z jego stryjem. Zaprosiłam go do środka ruchem ręki.

– Jeśli chcesz, możesz się uśmiechnąć – powiedziałam – bo spędziłam noc równie cnotliwie jak ty. – No, prawie, jeśli nie liczyć moich zwinnych palców pod kołdrą.

Odetchnął z ulgą.

– Jestem szczerze rad, że w twoim sercu, czy też sercu stryja, znalazło się miejsce na skrucę.

Zastanawiałam się, czy może dać mu do zrozumienia, że poświęciłam się ze względu na niego (zawsze mogłabym wykorzystać to przy późniejszych pertraktacjach), ale uznałam, że jeśli stryj rzeczywiście był chory, to moje kłamstwo się wyda.

– Owszem, w jego sercu – odpowiedziałam cierpko – a może raczej w żołądku. Źle się czuł w nocy, według słów potwora, który mu służy.

Brat Guido był bardzo zatroskany.

– Nie wiedziałeś o tym? – spytałam już trochę udobruchana.

– Nie, cały dzień byłem w katedrze, słuchałem mszy na cześć świętego.

– No, chyba nawet ty modliłeś się już dosyć, żeby zakończyć post. – Pokazałam mu dzban z wodą, w którym trzymałam ostrygi. Naprawdę się uśmiechnął, kiedy zasiadł na łóżku, by rozkoszować się tą przelożoną w czasie ucztą.

– Bardzo to miłe z twojej strony, bo prawdę mówiąc, umieram z głodu. – Podniósł do ust największą ostrygę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Na moje zaproszenie wszedł Tok, przez chwilę przyglądał się nam zaciekawiony, po czym oznajmił:

– Signor Guido, biegałem przez cały dzień, żeby pana znaleźć. Musi pan przyjść do stryja. Jego stan się pogorszył, mój pan chyba odchodzi.

Brat Guido rzucił ostrygę jak gorący węgiel i obydwójce pospieszyliśmy za Tokiem.

Najemnik szedł przed nami obitym drewnem korytarzem, przez spokojny podwórzec z fontanną pośrodku, zgarbiony i milczący w zapadającym mroku. Na końcu korytarza otworzył dębowe drzwi wiodące do pokoju jego pana. W sypialni było ciemno, bo zasłonięto okna, i śmierdziało jak w klozecie. Czuć też było zapach marzanny i kadzidła, który miał trzymać z daleka złe duchy. Na łóżku w jedwabnej pościeli leżał blady i wymizerowany Silvio, bardzo zmieniony od wczorajszego wieczoru. Jego cera miała zielonkawy odcień, oddychał chrapliwie i z trudem. Na jego przedramieniu tkwiły trzy pijawki w kolorze kamienia, błyszczące i ruchliwe, pijąc zatrutą krew. Od pierwszego spojrzenia nie miałam wątpliwości, że moim przeznaczeniem jest oglądanie kolejnego trupa. Chcąc okazać szacunek, co rzadko czyniałam, zatrzymałam się koło drzwi, w takiej jednak odległości, by usłyszeć ostatnią rozmowę krewniaków.

Oczekiwałam, że stryj Silvio powie, jak bardzo jest przywiązany do bratanka, wyrazi żal z powodu sprzeczki poprzedniego wieczoru, a może nawet poprosi raz jeszcze, by brat Guido porzucił Kościół i przejął swoje dziedzictwo. Ale słowa, które usłyszałam, były zupełnie inne. Signor Silvio białą ręką sięgał do kaptura brata Guida i powiedział wyraźnie:

– *Muda.*

Guido zdecydowanie zaskoczony spytał:

– Jesteś pewny?

Stryj skinął głową.

– *Muda, Muda.* – A potem: – Idź za światłem.

Mówił coraz mniej wyraźnie, próbował wszystko powtórzyć, ale po jego brodzie popłynęła tylko ślina. Brat Guido położył rękę na coraz słabiej bijącym sercu stryja. Dostrzegłam błysk złota, kiedy chory zsunął z palca pierścień i założył go na palec bratanka. W tym momencie drzwi się

otworzyły i wkroczył stary ksiądz, niosąc to, co niezbędne do ostatniego namaszczenia. Silvio della Torre, widząc obcą osobę, nie próbował już nic mówić, leżał tylko na plecach, zupełnie wyczerpany. Brat Guido w milczeniu wziął od księdza oleje i sam namaścił stryja, wymazując tym samym wszelkie grzechy i modląc się za duszę krewnego. Na twarzy Silvia pojawił się straszny grymas przypominający uśmiech, ale kiedy ręką jak szpon nakreślił znak krzyża na swojej piersi, na jego twarzy odmalował się spokój. Nie żył.

Wyszłam z komnaty razem z księdzem, zostawiając Silvia i jego bratanka, a kiedy spowiednik pobłogosławił mnie i odszedł, myślałam o tym, co zobaczyłam. Przede wszystkim nie do końca rozumiałam naszą nową sytuację. Nie miałam świadomości, że po stracie jedyne obrońcy znowu tkwimy po uszy w gównie. Nie myślałam o tym, czy możemy prosić o cokolwiek Wawrzyńca Medyceusza, skoro Silvio nie żyje. Nie zastanawiałam się też nad jego ostatnimi słowami, które, mówiąc szczerze, były trochę dziwne. Myślałam o Guidzie, który przed chwilą wykazał się odwagą i szlachetnością, i zawstydziłam się swoich lubieżnych myśli. Był święty i nie powinnam w ogóle rozważać możliwości sprowadzenia go z obranej drogi. A jednak kiedy patrzyłam, jak jego smukłe dłonie wcierają święty olej w czoło stryja, słyszałam, jak się modli słodkim głosem, i patrzyłam na jego kochaną poważną twarz, gdy stryj odchodził, uważałam go za prawdziwego anioła, i właśnie z aniołem go porównywałam, darzyłam go wtedy mocniejszymi uczuciami niż kiedykolwiek przedtem. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znalazłam, a zagrażali mi nie mordercy z Florencji, lecz moje własne uczucia i pragnienia.

Wreszcie drzwi się otworzyły i ukazał się brat Guido. Mrugał szybko, ale w jego oczach nie było łez. Moje kondolencje i pytania uciał krótkim:

– Musimy iść.

– Dokąd? – Od razu pomyślałam o obrazie. Czy znowu mamy uciekać? Czy postaramy się o audiencję u Il Magnifico nawet bez Silvia? Była jednak inna pilna sprawa do załatwienia.

– Muszę przekazać wiadomości Niccolo. – Guido obracał nerwowo na palcu pierścionek stryja.

– Komu?

Guido spojrzał na mnie, a ostatnie promienie słońca ozłociły go.

– Jego synowi.

I tak skończył się siedemnasty czerwca 1482 roku, dzień świętego Ranieriego.

ROZDZIAŁ 4

Tok prowadził nas przez ciemniejące ulice, nadal zatłoczone z powodu uroczystości dnia świętego. Patrzyłam na niesioną przez niego płonąca pochodnię i szłam za nią jak za gwiazdą betlejemską, próbując zrozumieć, co się stało. Brat Guido był milczący, przytłoczony ciężarem wieści, jakie niósł. Chwyciłam fałdę jego habitu, bo Tok szedł bardzo szybko i bałam się, że zostanę z tyłu, ale nawet wtedy nic nie powiedział. Bardzo chciałam się dowiedzieć, jak interpretuje ostatnie słowa stryja. Co to jest *muda*? I co to znaczy, że brat Guido ma „iść za światłem”? Czy było to jakieś błogosławieństwo? Nie śmiałam pytać. Po pierwsze, Guido był tak przejęty, że trudno z nim było rozmawiać. A po drugie, nie wiedziałam, ile z tego, co się wydarzyło, może dotrzeć do uszu służącego. Zachowałam więc spokój i wreszcie dotarliśmy do miejsca przeznaczenia: dwóch wielkich identycznych budowli połączonych łukiem. Na łączącym budynki murze był zegar i chętnie przyjrzałabym się lepiej temu dziwnemu budynkowi, lecz Guido szybko wszedł do środka. Ciemnymi schodami dotarliśmy do wnętrza urządzonego tak bogato, że zaczęłam szybko mrugać, a w oczach zakręciły mi się łzy.

Były to komnaty w amfiladzie, na pewno zbyt eleganckie, by miał prawo mieszkać w nich jakikolwiek student. Ich wystrój był znacznie bogatszy niż komnat w samym pałacu rodziny della Torre. Najpierw rzuciły mi się w oczy miękkie poduszki i złożone kandelabry.

Secondo: Na złotym szezlongu leżał blady młodzieniec.

Terzo: Na nim leżał mały chłopiec, czarny jak heban, z głową w jego kroczu.

Brat Guido przy swojej niewinności chyba nie od razu zorientował się, co się dzieje. Ale ja pochyliłam głowę, żeby ukryć uśmiech, a w tym samym momencie Tok zaśmiał się gardłowo, by po chwili udać, że to atak kaszlu. Po raz pierwszy zobaczyłam u tego mężczyzny przeblysk wesołości i kiedy wymieniliśmy rozbawione spojrzenia, zaczęłam o nim myśleć z większą sympatią.

Dwójka na szezlongu rozdzieliła się, a Niccolo Gherardesca della Torre (bo on to był) obojętnym ruchem schował kutasa w rajtuzy, witając nas, zupełnie jakby nie robił niczego złego. Mały Murzynek, który nie mógł mieć więcej niż osiem lat, wymknął się z komnaty, obrzucając nas przebiegłym spojrzeniem oczu w kształcie migdałów.

– No i co, Guido – zaczął Niccolo nosowym głosem. – A może powinienem mówić „bracie Guido”? Wreszcie przyszedłeś pokłonić się kuzynowi. Tok mówił mi, że odwiedzasz nasze piękne miasto. Oczekiwałam wcześniej twojego hołdu.

Naprawdę? Nie uważałam Toka za istotę towarzyską, ale najwyraźniej biegł tam

i z powrotem, informując dziedzica swego pana o naszych poczynaniach. Jak wiecie, nie potrzebuję wiele czasu, by wyrobić sobie opinię, a Niccolo zniechęciłam od pierwszego wejrzenia. Był podobny do ojca i kuzyna, jego twarz wyglądała tak, jakby artysta starał się odtworzyć oblicze brata Guida, a potem zostawił swoje dzieło na deszczu. Rysy były nieregularne, nos krzywy, a broda ledwo zarysowana. Wargi miały niezdrowy kolor fioletu, wilgotne i bezkształtne, a wokół ust widać było małe białe plamki, świadczące o niezdrowym trybie życia. Kiedy mówił, głos mu się łamał, wydawało się, że jego nastrój zmienia się co chwila. Niższy i młodszy od kuzyna, Niccolo górował jednak nad mnichem pozycją, toteż brat Guido, pomny swoich obowiązków, choć wyraźnie im niechętny, skłonił się przed studentem. Jednak jego słowa brzmiały niepokornie.

– A ja, kuzynie, spodziewałem się zobaczyć cię na uczcie w domu stryja wczoraj wieczorem. – Brat Guido wypluł te słowa, przypominające młodzieńcowi o jego obowiązkach.

– A tak, ucztą. Obawiam się, że byłem zajęty czym innym. – Wyblakłe oczy Niccolo kolorem przypominały zimowe niebo w porównaniu z letnim błękitem oczu mego przyjaciela. Spojrzał wymownie na drzwi, za którymi zniknął jego faworyt. – Mam nadzieję, że moja nieobecność nie popsuka wam uczyty. Ani poprzedzającego ją turnieju. – Tok najwyraźniej nie tracił czasu. – A kim jest ta laleczka? Bardzo ładna. – Wzrok Niccolo przesunął się po mnie bez najmniejszego zainteresowania. Poruszyłam się lekko, zastanawiając się, czy poczuł rybny woń unoszącą się z mojej spódnicy i czy nie pomylił tego zapachu z podobną wonią seksu. Jednak pomylił. – Już zламаłeś śluby? A może to podarunek, by zyskać przychylność mego ojca, żeby w czymś ci pomógł?

Brat Guido wzdrygnął się na wzmiankę o stryju. Przełamał niechęć i ujął rękę kuzyna. Ten gest sprawił, że jasne brwi Niccolo uniosły się aż pod starannie zaczesaną grzywkę.

– Przynoszę niedobre wieści, kuzynie. Twój ojciec, Silvio della Torre, nie żyje. – Ostatnie słowo niemal utknęło mu w gardle, nawet moje kamienne serce drgnęło nie z powodu syna, tylko bratanka. Sądziłam, że Niccolo padnie, szlochając, na szezlong. Zupełnie nie spodziewałam się tego, co nastąpiło: w kąciku jego ust pojawił się uśmiezek.

– Nie żyje, mówisz? – Wziął do ręki klejnot, który nosił na szyi, i postukał nim w żółte zęby. – Coś podobnego.

Guido nie potrafił ukryć szoku i obrzydzenia.

– To nie koniec. Powiedział... – mnich ściszył głos – ...jego ostatnie słowo brzmiało: *murder*.

Niccolo wydawał się zaintrygowany.

– *Murder*? Angielskie słowo?

Brat Guido skinął głową.

– Tak. Ale pamiętasz, że przed wieloma laty mieliśmy angielskiego spowiednika, brata

Gilesa z Cambridge? Nauczył stryja angielskiego, co miało mu pomóc w interesach. Nas też uczył. Jestem przekonany, że stryj posłużył się angielskim jak szyfrem. Chciał nam powiedzieć, że ktoś go zabił. – To dlatego nie miałam pojęcia, o co mu chodziło, bo znam angielski gorzej niż Szkot. Jednak kiedy brat Guido skierował swoje niebieskie oczy na drzwi, które wypełniała zwałista postać Toka, nagle zrozumiałam, że to nie przede mną Silvio chciał ukryć znaczenie swoich ostatnich słów. – A następnie – dodał brat Guido – powiedział mi, żebym poszedł za światłem.

Czekałam, że brat Guido wspomni o złotym pierścieniu, który stryj przekazał mu na łożu śmierci, ale nie powiedział nic więcej. Uświadomiłam sobie, że przez cały czas skrywał lewą rękę w obszernym rękawie habitu. Wzruszyłam w myślach ramionami. Może Guido chce mieć pamiątkę po stryju, a boi się, że jej ujawnienie równałoby się utracie. (Nie ma w tym nic złego). Zostałam brutalnie wyrwana z zamyślenia, kiedy nowa głowa rodziny della Torre wybuchnęła śmiechem. Był to nieprzyjemny dźwięk, który lepiej pasowałby do gęsi przeznaczonej na świąteczny stół niż do świeżo upieczonego władcy miasta.

– *Murder!* To niesłychane! Mój ojciec zamordowany! A może to moja sprawka, co? Milczeliśmy, gdy śmiał się z własnego dowcipu.

– Jednak nie zrobiłem tego, choć czasami przychodziło mi to na myśl. – Niccolo zakasłał dwa razy i wytarł zażawione oczy. – A teraz, kuzynie, zamierzam dać ci pokazową lekcję, dlaczego to ja jestem intelektualistą z akademickim wykształceniem, a ty nadajesz się tylko do zdzierania skórzanych sandałów w klasztornych krużgankach.

Chciałam zaprotestować, powiedzieć, że Guido przeczytał więcej książek niż którykolwiek ze znanych mi mężczyzn. Niccolo wetknął kciuki w wycięcia kamizelki jak podrzędny adwokat.

– Co naprawdę powiedział mój ojciec, wydając ostatnie technienie?

Brat Guido przestąpił z nogi na nogę.

– Tak jak mówiłem, złapał mnie za kaptur, przyciągnął do siebie i powiedział *murder*.

Powtórzył to dwa razy i dodał: „Idź za światłem”.

– *Murder?* – pytał Niccolo, nadal odgrywając adwokata. – *Czy Muda?*

Brat Guido ściągnął ciemne brwi.

– Chyba... niewykluczone, że tak powiedział.

Nie chciałam przyznawać racji Niccolo, ale to, co powiedział, rzeczywiście bardziej przypominało słowo wyszeptane przez umierającego.

– To bardziej przypominało *Muda* – wtrąciłam. – To znaczy, nie znam angielskiego, jeśli nie liczyć przekleństw, jakich nauczyłam się od kupców, z którymi się pieprzyłam, ale... – Urwałam.

Kuzyni nadal patrzyli sobie w oczy, jakbym w ogóle się nie odezwała, milczenie przerwał brat Guido:

– Dlaczego miałby mówić Muda? Co to znaczy? Nigdy nie słyszałem tego słowa.

Niccolo uśmiechnął się ponuro.

– Drogi kuzynie, to, że nie słyszałeś jakiegoś słowa, nie świadczy o tym, iż ono nie istnieje. To jest i słowo, i miejsce. Tu jest Muda. – Wyciągnął rękę i zatoczył koło obejmujące pokój.

– Ten pokój? – Brat Guido nic nie rozumiał.

– Ta komnata, ta wieża, w której jesteśmy. To się nazywa Muda. – Na ustach Niccolo pojawił się nienawistny uśmieszek.

– Nie pojmuję – wykrztusił brat Guido.

Ja też nie pojmowałam.

Bardzo zadowolony Niccolo otulił się opończą jak adwokat.

– Pozwól, że opowiem ci trochę o lokalnej historii, bo dawno stąd wyjechałeś. Właśnie w tej wieży nasz daleki przodek, Ugolino della Gherardesca, został uwięziony za zdradę wraz z dwoma bratankami. Dokładnie w tej komnacie głodzono ich przez dziewięćdziesiąt dni. Byli rozpaczliwie głodni. – Głos Niccolo był nabrzmiały groźbą. – Kuzynie, na pewno pamiętasz tę opowieść. Najstarszy z bratanków – wypowiedział te słowa niesłuchanie znacząco – czując zbliżającą się śmierć, błagał stryja, by żywił się jego mięsem i ocalił życie. A więc tutaj, dokładnie w tej komnacie, Ugolino zjadł żywcem swojego ukochanego bratanka.

Trudno było nie słyszeć złośliwości w jego głosie. Zadrżałam, wyobrażając sobie to pomieszczenie pozbawione wystroju, jako zimne kamienne więzienie, gdzie działy się tak straszliwe rzeczy. Wyblakłe oczy Niccolo błyszcząły, rozkoszował się tą wizją. Poczułam, że mojemu przyjacielowi grozi niebezpieczeństwo, i dziękowałam gwiazdom za obecność Toka.

Jednak brat Guido wytrzymał wzrok kuzyna bez mrugnięcia okiem, z odwagą, która sprawiła, że polubiłam go jeszcze bardziej.

– Oczywiście znam tę opowieść. Potworne czyny Ugolina są dobrze udokumentowane w trzynastym *canto Inferno* Dantego, kiedy spotyka poetę w siódmym kręgu piekieł. – Miałam ochotę bić brawo, gdy brat Guido wygrał te zawody ze znajomości ksiąg. – Nie wiedziałem po prostu, że to miejsce zwane jest Muda.

Niccolo, zbity z pantałyku, odwrócił wzrok i wszyscy odetchnęli.

– No to teraz wiesz – powiedział niezbyt pewnie. – Cieszę się, że byłem narzędziem twojego oświecenia. A skoro już zostałeś poinformowany, to nawet przy swoich ograniczonych możliwościach musisz rozumieć, że ojciec po prostu miał na myśli to, iż musisz przyjść do wieży Muda i powiedzieć mi o jego śmierci.

– A światło? – nie dawał za wygraną brat Guido. – Może twoja boska wiedza pozwala ci zrozumieć, co stryj miał na myśli, mówiąc „idź za światłem”?

Niccolo nie był już zainteresowany. Machnął lekceważąco ręką.

– Przyprowadziła was tutaj pochodnia Toka, prawda? A teraz muszę się zająć innymi sprawami. Fabrizio!

Czarny chłopczyk wrócił do komnaty tak szybko, że musiał chyba podsłuchiwać pod drzwiami. Patrzyłam na niego z pogardą. Tak wytrawny podsłuchiwacz-pod-drzwiami jak ja doskonale wie, że kiedy zawołają, przed wejściem do pokoju należy odczekać kilka sekund. To wygląda mniej podejrzanie.

Brat Guido zrozumiał aluzję.

– Zostawię cię samego z twoim smutkiem – powiedział z naciskiem i skłonił się z nieukrywanym obrzydzeniem.

Byliśmy już w drzwiach, a Niccolo zaczął głaskać włosy chłopca, kiedy wypuścił pożegnalny strzał:

– A, jeszcze jedno, kuzynie. Pozostań w pałacu jako mój gość, bo mamy dużo do omówienia. Rozumiesz, sprawy rodzinne. Nigdzie się nie oddalaj, dobrze? Tok, przypilnuj tego.

Brat Guido i ja zobaczyliśmy spojrzenie, jakie wymienili Tok i jego nowy pan, kiedy zamykaliśmy drzwi. Król nie żyje, niech żyje król. Obydwoje wiedzieliśmy, że stary porządek się skończył, nastał nowy. Ulubiony bratanek został teraz czarną owcą sławnej rodziny.

Wiedziałam, że Tok ma zabić Guida. Guido też zdawał sobie z tego sprawę.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy znaleźliśmy się na dworze, przez chwilę szliśmy potulnie za Tokiem, ale wystarczyło krótkie spojrzenie i ściśnięcie dłoni, żebym na znak Guida rzuciła się w tłum. Przeciskaliśmy się przez zatłoczone boczne ulice i dopiero kiedy dotarliśmy nad rzekę i upewniliśmy się, że nie mamy już eskorty, oparliśmy się o balustradę, dysząc ciężko. W końcu zapytałam:

– I dokąd teraz?

Brat Guido pokręcił głową.

– Nie możemy wracać do palazzo – powiedział, przełykając ślinę. – Nasza jedyna nadzieja to pójść do pałacu Medyceuszy w dole rzeki i prosić o audiencję u Wawrzyńca.

– Bez poparcia stryja?

– A jaki mamy wybór? Musimy mieć nadzieję, że wystarczy moje nazwisko. Mamy też obraz jako gwarancję. Chodź.

Biegliśmy ile sił po Lungarno Mediceo, pomiędzy rozbawionymi mieszkańcami, aż w świetle mijającego dnia zobaczyliśmy czerwony pałac Medyceuszy. Kiedy wyciągałam szyję, żeby zobaczyć budowlę rysującą się w ciemności – olbrzymią, posępną, koloru mięsa – poczułam tak silny niepokój, że niewiele brakowało, a otworzyłyby się zamki moich jelit. Chwyciłam rękaw habitu brata Guida.

– Poczekaj! – wysapałam. – Coś jest nie tak.

– Wiele rzeczy, signorina. Ale musimy coś zrobić. Nie możemy wiecznie uciekać. – Zbliżył się do majestatycznych schodów oświetlonych pochodniami, na których dwaj uzbrojeni strażnicy rozmawiali z trzecim mężczyzną, może dostawcą, może kuglarzem. Jednak jego wzrost i szerokie ramiona wydawały się znajome. Olbrzym się odwrócił.

Trzecim mężczyzną był Tok.

– To oni! – zawołał do strażników. – Szybko! – I rzucił się w naszą stronę.

Niech to diabli! Jak się tu znalazł przed nami? Odwróciliśmy się równocześnie i pobiegliśmy z powrotem nad rzekę, osaczeni przez tłum z obu stron. (Na co oni wszyscy czekali? Zupełnie jakby zebrali się tutaj, by obserwować schwywanie nas).

Brat Guido poprowadził mnie do niewielkiej prywatnej przystani. Rozplątywał linę jedynej przycumowanej tam łódki, kiedy kroki Toka zadudniły na krótkim moło. Deski wyginały się pod jego ciężarem, za nim biegli dwaj strażnicy Medyceuszy. W mgnieniu oka wyciągnęłam zielony szklany nóż i przecięłam linę. Brat Guido rzucił mi pełne wdzięczności spojrzenie, po czym padliśmy na dno łodzi, dysząc jak psy w upał. Po tym biegu bolały mnie płuca i nogi.

Kiedy dostaliśmy się w główny nurt ciemnej rzeki, dostrzegliśmy Toka zgiętego w pół na przystani, patrzącego z nienawiścią, jak mu się wymykamy. Brat Guido znalazł na dnie dwa popękane wiosła, a ja czułam się wystarczająco pewnie, by wdzięcznie pomachać, kiedy z olbrzymą robił się pigmej, a potem zniknął za zakrętem rzeki.

– I co dalej?

Brat Guido poruszał sterem, próbując utrzymać łódkę w szybkim nurcie rzeki. Pokręcił głową, a ciemne loki przykleiły mu się do spoconego czoła.

– Po raz pierwszy nie mam najmniejszego pojęcia, co robić – wyznał. – Nie ma już mojego stryja, który stanowił naszą jedyną ochronę. Podpisałem na niego wyrok śmierci w chwili, gdy usiadłem obok niego podczas festynu. Od tamtego momentu wiedzieli, że pokażę mu *Primaverę*. Miałaś rację. Powinniśmy byli podejść do niego bardziej dyskretnie.

To nie była pora na triumfy.

– Ostrygi – powiedziałam, dzieląc się z nim coraz głębszym przekonaniem, którego nabrałam poprzedniego dnia. – Złoty półmisek z ostrygami był przeznaczony dla nas trojga, rodzinna porcja.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Więc musimy podziękować Bogu, iż żadne z nas ich nie jadło. Ty, dlatego że nie lubisz, a ja, ponieważ pościłem. Święty mnie ocalił.

Niewykluczone. Zadrżałam na myśl o tym, jak niewiele brakowało, a zjadłby ostrygi, które zachowałam dla niego na śniadanie. Przed losem stryja uchroniła go jedynie interwencja Toka. Jak na ironię, teraz Tok został wysłany przez Niccolo, żeby nas zabić. Gdyby Niccolo był posłusznym synem i wziął udział w uczcie, jadłby z tego samego półmiska i też by umarł. Madonna! Miałam głowę nabitą matematyką morderstwa.

Brat Guido znowu się odezwał:

– Jeśli to by się nie udało, zabiliby go inaczej. A teraz uniemożliwiono nam audiencję u Wawrzyńca Medyceusza, jedyne go człowieka, który mógłby nas ułaskawić. Nie wiem, co robić. Ani dokąd cię zabrać. Dryfujemy, w sensie dosłownym i metaforycznym. Jesteśmy liściem w nurcie rzeki i musimy oddać się pod opiekę Boga.

Nie miałam zamiaru oddać Bogu prowadzenia tej sprawy.

– Nie możemy się poddać – odrzekłam zdecydowanie. – Musi być jakieś miejsce, do którego moglibyśmy się udać.

Guido spojrział na mnie. W jego oczach nie było woli walki.

– Nie, to już koniec, chyba że zdarzy się cud – powiedział.

Rozglądałam się rozpaczliwie w poszukiwaniu jakiegoś rozwiązania, ale widziałam tylko ciemne domy na obu brzegach Arno. Nagle jak czubek Gwiazdy Polarnej w jednym oknie zapaliło

się światło. Potem w następnym. Potem na obu brzegach, w dół i w górę rzeki, w każdym oknie, w każdych drzwiach, na każdym tarasie i balkonie pełno było pochodni lub świec. Zapalono każdą lampę, podpalono każdy knot z sitowia, użyto każdej hubki i krzesiwa. Czy mogło to mieć coś wspólnego z nami? Czy to znak, że Tok wie, gdzie jesteśmy? Nie, na pewno nie, bo nagle całe miasto było oświetlone, tworząc wspaniałą konstelację. Następnie na naszych oczach światła zagarnęły rzekę jak spadające gwiazdy, by unosić się na ciemnej wodzie, bo ludzie tłumnie zapelniający brzegi puszczali z prądem papierowe stateczki, a w każdym maleńkim stateczku znajdowała się jedna świeczka. Ta bajkowa flotylla dryfowała z bratem Guidem i ze mną w dół rzeki, aż otoczyły nas płomienie przypominające maleńkie ogniste kwiaty. Mimo naszego oplakanego położenia uśmiechnęłam się zachwycona i zobaczyłam, że brat Guido też się uśmiecha.

– Czy to nasz cud? – zapytałam.

– W pewnym sensie. To święto światła, Luminara, obchodzone co roku w związku z dniem świętego Ranieriego. Powinienem być o tym pamiętać.

Przerwał, jakby się dławiał. Przysunęłam się do niego i z przerażenia zgubiłam wiosło, bo myślałam, że dostał jakiegoś ataku. Może łatwo się zniechęcał, ale był jedynym sojusznikiem, jaki mi został. W złotym blasku miliona świateł było dość widno, by zobaczyć, jak bardzo zbladł.

– O co chodzi? – Nie odpowiadał, więc potrząsałam go za ramiona jak lalkę. – Bracie Guido! Co się dzieje?

– Światło! – powiedział, kierując na mnie oczy, które świeciły teraz jaśniej niż jakakolwiek pochodnia w Pizie. – Idź za światłem. Stryj pokazał nam drogę, jego ostatnie słowa to trasa naszej ucieczki.

Serce zaczęło mi walić.

– Ale dokąd one płyną? Dokąd prowadzi światło?

Pokazał w dół rzeki.

– Do oceanu. – Płynęliśmy wśród niezliczonych pochodni, które prowadziły nas ku morzu.

Wkrótce, zanim miejskie dzwony wybiły kolejny kwadrans, zorientowaliśmy się, że naszym przeznaczeniem nie było otwarte morze, ale miejsce znacznie bliższe. Prąd zepchnął wszystkie łódeczki z pochodniami na szerokie rozlewisko, które niczym jezioro lśniło u stóp wysokiej, podobnej do zamku budowli. Zakole rzeki usytuowane dokładnie w tym miejscu oznaczało, że stateczki zatrzymały się jak płomienne lilie w jeziorze ognia. Widok był przepiękny.

W tym momencie czułam trzy rzeczy.

Prima cosa: Zachwyt widokiem.

Seconda cosa: Ulgę, że nie musimy wypływać na morze maleńką drewnianą łodzią z jednym wiosłem, której zęza w dodatku zaczynała przeciekać.

Terza cosa: Narastający lęk, że zajmiemy się ogniem. Jednak wkrótce stało się jasne, że ktoś

lub coś gasi te setki i tysiące pochodni, ponieważ światełka po dopłynięciu do brzegu znikają równie szybko, jak się pojawiły.

Kiedy nasza łódź przydryfowała bliżej, widzieliśmy wiele ciemnych postaci, każda z kubłem w ręku, gaszących świece, kiedy tylko przyplłynęły. Zakładałam, że zatrudniła tych ludzi wspólnota, by zmniejszyć ryzyko pożaru w tę suchą wiosenną noc, jednak milczenie i tajemniczość tych ludzi kazały mi trzymać język na wodzy i opaść na dno łodzi na jeden znak ręki brata Guida. Wpłynęliśmy w przybrzeżne sitowie i wyczołgaliśmy się z łodzi na bagnisty brzeg. Guido pociągnął mnie w krzaki.

– Gdzie jesteśmy? – wyszeptałam.

– To Fortezza Vecchia, stary zamek. Widzisz tam wysoko wieżę z krenelazami?

Popatrzyłam uważnie przez zarośla.

– Powiedziałaś „stary zamek”. A co teraz się w nim mieści?

– *Arsenale*.

Nawet ja wiedziałam, że *arsenale* to stocznia wojenna. W swoim czasie spałam z wieloma budowniczymi statków. Wiedziałam też, że zazwyczaj potrzebują do pracy światła dziennego, toteż w nocy nie pracują.

Zgięci w pół przedzieraliśmy się przez zarośla do podnóża fortecy, idąc wzdłuż muru obronnego, ukryci w jego olbrzymim cieniu. Kiedy podeszliśmy bliżej, dobiegły nas odgłosy budowy: stuk młotów, spawania i piłowania, a także pokrzykiwania robotników, które w wyniku jakiejś akustycznej sztuczki były zupełnie niesłyszalne na wodzie.

– Zakole rzeki i grubość murów starego zamku muszą tłumić odgłosy, które nie docierają do miasta – wyszeptał brat Guido. Wskazał niewielkie drzwi, przez które przeszliśmy. Górowała nad nami zrujnowana wieża starego zamku, z resztkami krętych schodów i gawronami nocującymi pod okapem. Wspięliśmy się tak wysoko, jak się dało, z dala od ogłuszającej kakofonii, i dotarliśmy na szczyt wieży. Za naszymi plecami Piza błyszczała niczym Wenus. Ale widok przed nami i poniżej należał do wojowniczego Marsa.

Na sztucznym jeziorze wewnątrz ogromnego zrujnowanego zamczyska stała flotylla olbrzymich okrętów w różnych stadiach budowy. Solidne dzioby i forkasztle z krenelazami przypominały dokładnie to, co widziałam zaledwie wczoraj.

– Okręt na wieży! – szepnęłam do Guida w przyplątywie olśnienia, a on skinął głową bardzo zdecydowanie i nie raz. On też to widział: szczegółowe przedstawienie tych okrętów wojennych na krzywej wieży w Pizie, umieszczone w rzeźbie nad drzwiami tej wspaniałej budowli. Klucz, znak, szyfr wryty w kamieniu. Czułam w głębi duszy, że ta flota okrętów jest w jakiś sposób związana z *Primavera* i *cartone*, który trzymałam bezpiecznie w staniku.

Obserwowałam setki, tysiące oświetlonych pochodniami robotników. Żaglomistrze roili się

wokół wielkich okrętów niby mrówki, spawacze i wytapiacze byli równie zajęci i rozgrzani kuciem jak kowale w piekle. Czułam mocny zapach drewna cedrowego, smoły do lin i płótna na żagle. Brat Guido leciutko pukał mnie w ramię. Odwróciłam się i zobaczyłam za fortecą, tam, gdzie rzeka robiła się czarna, mglisty zarys kolejnego okrętu, a dalej następnego i jeszcze jednego, tak daleko, jak mogłam coś dostrzec w ciemności. Gdyby pochodnie popłynęły dalej rzeką, mogłyby spalić na węgiel całą armadę. Te okręty były już gotowe, wykończone w najmniejszym nawet szczególe. Bocianie gniazdo najbliższego statku znajdowało się tuż przy wieży, na której staliśmy, niemal na tej samej wysokości. Flaga

Pizy ozdobiona krzyżem miasta powiewała tak blisko, że mogłam ją chwycić. Madonna! Co się dzieje?

Okazało się, że trochę za głośno wyraziłam zdumienie. Z dołu dobiegły okrzyki, stoczniovcy pokazywali na górę. Kilku wbiegło na schody.

– Do rzeki! – krzyknął brat Guido i wziął mnie za rękę, jakbyśmy mieli skakać w czarne głębie.

O mało nie wyrwałam mu ręki ze stawu.

– Oszalałeś! To za wysoko! – syknęłam, bo znajdowaliśmy się dobre czterdzieści stóp nad czarnym lustrem wody.

– Tutaj!

Skoczyłam w stronę rzeki, ale wylądowałam w bocianim gnieździe najbliższego okrętu. Wyciągnęłam rękę do Guida.

– Skacz!

Skoczył i zaplątał się w habit, trzymając się brzegu bocianiego gniazda. Chwyciłam go za obie ręce.

– Nie bój się! – Patrzyłam w jego przerażone oczy.

– Trzymam cię mocno! – Prawdę mówiąc, moje nieszczęsne barki o mało nie wyskoczyły ze stawów. – Poszukaj stopami takielunku! – wycharczałam.

Jego sandały prześlizgnęły się po świeżo wysmołowanych linach, aż znalazły oparcie, ale ledwie stanął pewnie, ja już leciałam w dół, łapiąc liny jak małpa. Gdybyśmy zdążyli do brzegu, zanim nas dogonią... gdybyśmy zdążyli.... Byłam już na pokładzie, ale usłyszałam kroki na trapie.

– Jesteśmy w pułapce – wyszeptałam do Guida, który zszedł tuż za mną. – Ładownia, szybko. – Dostrzegłam wejście, podniosłam kratownicę klapy za głównym masztem i zeskoczyłam. Brat Guido trzymał się tak blisko mnie, że o mało mnie nie zmiażdżył. Poturlaliśmy się za stertę worków i leżeliśmy bez ruchu, oddychając możliwie najciszej. Słyszać było kroki na górze, widać było deski pokładu uginające się pod ciężarem człowieka, dobiegały też głosy. Przez kratę wpadło światło pochodni, kiedy wartownik sprawdzał z góry ładownię. Wiedziałam, że jeśli zejda na dół, to

nas znajdując, ale tylko poświecili pochodnią i znowu na trapie rozległy się kroki.

Przeszukujący udali się na następny okręt.

Po dłuższej chwili brat Guido miał zamiar wstać, ale go przytrzymałam. Musimy poczekać, aż będzie bezpiecznie. Postanowiłam policzyć do tysiąca, ale doszłam ledwie do trzystu, kiedy poczułam szarpnięcie i dziwny ucisk w żołądku. Usiadłam wyprostowana jak struna.

– Płyniemy! – Brat Guido zerwał się na równe nogi. – Szybko!

Wygramoliliśmy się na pokład, a kiedy znaleźliśmy się przy relingu, odległość od brzegu zrobiła się już tak duża, że nie przeskoczyłby jej żaden śmiertelnik. Odwróciliśmy się powoli. Obydwoje wiedzieliśmy, co zobaczymy. Otaczało nas półkole pochodni, a każda oświetlała groźną twarz trzymającego ją marynarza. Opaleni, pokryci bliznami i prawie wszyscy bezzębni, pomarszczeni i muskularni. Nie wyglądali miło. Do diabła!

Podszedł do nas najwyższy i najbrzydszy z całej grupy, pewnie kapitan. Oświetlił pochodnią twarz Guida, a pierwszy oficer oddał identyczną „przysługę” mnie. Tyle że się uśmiechał i zaczął miętosić moje piersi. O mało nie naplułam mu w gębę, ale kapitan wymierzył mi głośny policzek. Marynarz odwrócił się i wypluł ząb; najwyraźniej nie żywił urazy do swojego kapitana. Madonna! Co za prostacy.

Brata Guida oburzyło takie zachowanie wobec mnie. Najwyraźniej postanowił zacząć od ataku.

– Jestem bratankiem Silvia della Torre – oznajmił, jakby stał przed obliczem samego papieża.

Na kapitanie nie zrobiło to większego wrażenia i zapytał krótko:

– No i?

– I żądam, żeby puścił nas pan wolno.

Kapitan wciągnął powietrze przez dziurę po zębach, potarł suchą brodę, aż wypłoszył wszy. W świetle pochodni ukazały się ich grafitowe ciała. Gdyby kiedykolwiek na pokład zaplątał się jakiś balwierz, miałby mnóstwo pracy.

– Tego nie mogę zrobić. – Odpowiedź nie była wroga, po prostu rzeczowa. – Jak się tu znaleźliście?

– A co znaczy „tu”? – Brat Guido czerpał odwagę z obojętności kapitana.

– „Tutaj”, to znaczy we flocie Mudy.

Zobaczyłam, że oczy Guida otwierają się szeroko ze zdumienia, ale natychmiast je zamknął, bo kapitan zdzielił go końcem pochodni.

Stało się to ułamek sekundy wcześniej, nim zrobił mi to samo pierwszy oficer, i wszystko zalała ciemność.

ROZDZIAŁ 6

Miałam świadomość trzech rzeczy.

Prima cosa: Ktoś cierpi na ból głowy.

Seconda cosa: Ktoś jęczy jak wół w rzeźni, dla którego nie ma ratunku.

Terza cosa: Kiedy otworzyłam oczy, wydawało mi się, że wcale tego nie zrobiłam, bo z początku było bardzo ciemno. Leżałam nieruchomo przez jakiś czas, akurat tak długo, by się upewnić, że to mnie boli głowa, i że to ja wydaję te jęki. Pamiętałam uderzenie w głowę, a specyficzne kołysanie upewniło mnie, że jesteśmy na pokładzie statku. My? Owszem, brat Guido leżał obok, poczułam miękkość jego ciała, kiedy statek podskoczył, ale on leżał nieruchomo, był nieprzytomny.

Nie żył?

Podniosłam się gwałtownie i oparłam na łokciu, a w głowie pulsowało mi w rytm uderzeń serca. Przytulałam się do Guida i potrząsałam nim, aż opuścił głowę na piersi, czarne rzęsy zatrzepotały i otworzyły się niebieskie oczy.

– Luciana – powiedział. Było to stwierdzenie, jakby śnił o mnie i po obudzeniu wrócił do rzeczywistości, w ogóle nie zaskoczony. – Gdzie jesteśmy?

Obudziłam się chwilę przed nim, ale zdążyłam już to wykombinować.

– W ładowni.

Wstał, jęknął, rozejrzał się. W sposób typowy dla siebie najpierw zatroszczył się o mnie. I również w sposób typowy formułował te uprzejme pytania tak, że z trudem mógłby je zrozumieć bardzo wykształcony cyrulik.

– Czy masz jakieś wklęśnięcia na czaszce? Czy twoje widzenie nie jest zakłócone?

– Nie wiem, o co pytasz, ale czuję się doskonale – odpowiedziałam tak pogodnie, jak potrafiłam. – W głowie pulsuje mi bęben, a usta mam wysuszone niczym okrętowe suchary. Ale poza tym żyję. A ty?

Potał tył głowy, po czym obejrzał dokładnie swoje białe dłonie, sprawdzając, czy nie są zakrwawione.

– Ja też. Na razie.

– Na razie? – To słowo mnie zmroziło. – Myślisz, że nas zabiją?

Raczej usłyszałam, niż zobaczyłam, że pokręcił głową.

– Nie od razu. Chyba mają wykonać jakieś zadanie, a ta flota, Muda, musi w porę dopłynąć na miejsce przeznaczenia. My stanowimy jedynie pewną niedogodność.

– Sądzisz, że wiedzą o obrazie?

– Nie. Myślę, że to wszystko jest związane z *Primaverą*, ale oni nie wiedzą, że my jesteśmy z nią związani. Miejmy nadzieję, iż zabiorą nas ze sobą tam, dokąd płyną, i puszczą nas wolno.

Płonna nadzieja.

– Przede wszystkim musimy ukryć przed naszymi porywaczami, że jesteśmy przytomni.

Przyłożył blady palec do ust.

– Nie dajmy poznać, że jesteśmy przytomni. Może usłyszymy coś na temat tego, co nas czeka.

Był to równie dobry pomysł jak każdy inny, a głowa bolała mnie tak, że miałam ochotę położyć się gdziekolwiek. Położyliśmy się więc i czekaliśmy. Bez końca.

Na górze panowała cisza. Żadnych kroków, żadnych rozmów. Zastanawiałam się, czy *capitano* i jego ohydni marynarze nie zostawili nas samych na dryfującym statku widmie. Słyszałam o takich statkach duchach pływających po hiszpańskich cieśninach bez ziemskiej załogi. Po jakimś czasie byłam tak wyczerpana strachem, że prawie zasypiałam, kiedy za kratką ładowni zobaczyliśmy płomień pochodni i usłyszeliśmy głosy.

– ...to byłoby zwykle wyrzucanie pieniędzy, a wiesz, jak tego nie cierpię.

To głos kapitana, człowieka, który był może nawet dobrze urodzony, ale teraz jego głos brzmiał tak, jakby popękał od morskiego powietrza i dławilo go zielsko i pąkle, niby kadłub okrętu.

– Wygląda na to, żeśmy ich jednak zabili. – Młodszy głos, kogoś niewykształconego. Nie był to pierwszy oficer, który mnie uderzył.

– Nie, Berello od lat wali ludzi po głowie, gdybym chciał, żeby kogoś zabił, zrobiłby to.

– I co teraz?

– Zatrzymamy ich. Jeśli chłopak rzeczywiście jest szlachcicem, weźmiemy go do don Ferrante, może dostaniemy okup. A dziewczyna jest taka ładna, że sprzeda się ją na targu za dobrą cenę.

– A i droga może być zabawniejsza. Nie pieprzyłem się od Famagusty, gdzie złapałem wszy od jakiejś brudnej Turczynki.

Wstrzymałam oddech, czekając, co odpowie kapitan. Jestem wesołą panią, która lubi miło spędzać czas, ale jeśli mają przelatywać mnie za darmo paskudni, zawszeni marynarze, to nie jest według mnie przyjemnie spędzony czas.

– Wykluczone. Jeśli będzie dziewczicą, dostaniemy dużo więcej. Sam don Ferrante może ją wziąć, ale pod warunkiem że nie posuwał jej nikt taki jak ty. Trzymaj kutasa w spodniach, bo ci go obetnę i rzucę rekinom na pożarcie. Powiedz to chłopakom.

Marynarz był posłuszny.

– Rozkaz. Czy będziemy ich karmili?

– Dlaczego nie? Niecałe racje. Nie chcemy, żeby padła z głodu. Byle cyce zachowały jędrność. A jeśli on jest kimś... della Torre? Może być głupio, jeśli umrze, nim dopłyniemy...

Kroki się oddaliły, a my czuliśmy się zarazem uspokojeni i sfrustrowani. Czekaliśmy, aż będzie zupełnie cicho, po czym zaczęliśmy szeptać. Oddech brata Guida ogrzewał mi ucho.

– No, przynajmniej wiemy, że będziemy karmieni i chwilowo nie grozi nam niebezpieczeństwo.

Teraz ja szepnęłam mu na ucho:

– Ciekawe, dokąd nas wiozą. Szkoda, że nie usłyszeliśmy. Jeśli nie jest to jedno z miast z obrazu, to zboczymy z kursu.

– To musi być jedno z nich – orzekł Guido z przekonaniem. – Flota, stryj, to wszystko jakoś się wiąże. Coś zostało wprawione w ruch i nas też poniesie. Zapewniam cię na Maryję i wszystkich świętych, że płyniemy do Neapolu albo do Genui, i gdy tylko zobaczymy słońce, będę wiedział dokładnie.

Zrobiło to na mnie wrażenie, ale byłam zbyt zmęczona, żeby zapytać, w jaki sposób odgadnie, patrząc na słońce, dokąd płyniemy. Każdy wie, że słońce to wielka ognista kula, która krąży wokół Ziemi. Nigdy nie jest nieruchome, więc jak może cokolwiek wyznaczać? Tymczasem zaczęliśmy się wiercić w nadziei, że jeśli załoga zorientuje się, iż nie śpimy, to przyniesie strawę. Jednak po wielu godzinach spacerowania z jednego końca ciemnej ładowni w drugi ujrzelśmy szare światło świtu sączące się przez kratkę na górze. Mogliśmy teraz obejrzeć nasze więzienie: dziesięć stóp kwadratowych powierzchni z kratką umieszczoną tak wysoko, że nigdy nie udałoby nam się uciec bez sznura czy drabiny. Wiedzieli, że jesteśmy tu w potrzasku jak złowione homary. Usiedliśmy, rozglądając się po klitce, uświadamiając sobie, że nie mamy żadnych szans na ucieczkę. Byliśmy na łasce bandziorów, którzy chodzili nad naszymi głowami. Byliśmy zbyt wystraszeni, by coś planować, zaczęliśmy się więc spierać, żeby ranek szybciej minął. Wreszcie zapadła gniewna cisza i w tym nastroju powitaliśmy jasne światło słońca, które nagle wdarło się przez kratownicę klapy ładowni, a złoty kwadrat zaczął się czołgać po drewnianych ścianach naszego więzienia – powoli przemieszczał się na podłogę, w miarę jak okręt płynął. Brat Guido zerwał się, zwinny jak lis, i zaczął wykręcać szyję pod klapą, żeby zobaczyć położenie słońca. Stałam obok niego, ale niewiele mogłam dostrzec po nocy spędzonej w ciemności. Niebo było dla mnie zbyt jasne. Guido rozglądał się sfrustrowany.

– Czego ci potrzeba? – spytałam.

– Potrzebuję czegoś do zrobienia znaku, ryłca, ołówka, węgla. Zbliży się połowa dnia, muszę dokonać pomiarów.

Uniosłam brwi.

– Chyba szczęście ci nie sprzyja.

Rzucił się do bakburty – po lewej stronie – i spomiędzy desek kadłuba zaczął wydłubywać zaschłą smołę. Okręt był nowy, więc smoła jeszcze nie wyschła. Guido skręcił z niej długi rylec i napluł na jego koniec. Popatrzył na podłogę i tam, gdzie światło dotknęło deski na najbardziej wysuniętym na południe skraju klapy, zrobił wyraźny krzyżyk gęstą smołą.

– Co, do jasnej... – zaczęłam.

Zatkał mi ręką usta, żeby mnie uciszyć, a drugą trzymał przy sercu. Liczył. Minęły długie chwile i nagle nakreślił kolejny krzyżyk, gdzie światło z tego samego miejsca padało teraz w nowej pozycji. Następnie połączył te dwa punkty linią, narysował trzeci, na pozór przypadkowy punkt, i połączył wszystkie trzy, by utworzyć trójkąt. Następnie wrysował koło w największej części trójkąta i zaczął wpisywać numery w sąsiadujących punktach tym swoim pokrzywionym pismem. Znudziło mnie to. Patrzyłam do góry w nadziei, że pojawi się jedzenie, jednak moje marzenia o solonej wołowinie i okrętowym rumie wkrótce zostały przerwane. Brat Guido przykucnął, twarz miał rozpaloną.

Poznał odpowiedź.

III

Neapol, czerwiec 1482

ROZDZIAŁ 1

– To Neapol – stwierdził z przekonaniem. – Płyniemy do Neapolu.

Jęknęłam bezgłośnie. Miałam nadzieję, że nigdy nie będę musiała jechać na dzikie południe.

– Jesteś pewny?

– Tak. Płyniemy na szerokości siedmiu stopni w kierunku południowym z szybkością dwunastu węzłów. Niezłe tempo. Wiatr jest pomyślny. – Nabazgrał jeszcze jakieś cyfry.

– Będziemy pokonywali co najmniej dziewięćdziesiąt mil morskich dziennie. Przy sprzyjającym wietrze możemy osiągnąć sto siedemdziesiąt mil. – Nadal coś gryzmołił i mamrotał po cichu jakieś obliczenia. – Powinniśmy tam dotrzeć za trzy dni.

– Co takiego? – Nie mogłam sobie wyobrazić trzech dni w tej dziurze, ale brat Guido wydawał się pogodny. Niech go licha!

– Głowa do góry. Nie zrobią nam krzywdy. Mówili, że zawiozą nas do jakiegoś południowego możnowładcy, nazywali go don Ferrante. Musimy mieć nadzieję, że jest człowiekiem honoru i potraktuje nas łagodnie. – Chciałam wtrącić, że zgodnie z tym, co słyszałam, południe pełne jest przestępców i włóczęgów, którzy pieprzą małpy, kiedy brakuje kobiet. Ale brat Guido perorował: – Wiemy, że stryj chciał, żebym popłynął z tą flotą, wszak kazał mi iść za światłem do Mudy, i to właśnie zrobiłem. Może od początku zamierzał skierować mnie do don Ferrantego. Przynajmniej teraz nie depczą nam po piętach zabójcy z Florencji. – Sprawiał wrażenie, że jest o tym przekonany i uszczęśliwiony. – W każdym razie spędziliśmy już jedną noc na pokładzie. Musimy po prostu wykorzystać nasze zdolności i kontynuować śledztwo w Neapolu.

Spojrzałam na niego, unosząc brwi.

– Chciałem tylko powiedzieć, że powinniśmy znowu obejrzeć *Primaverę* i skoncentrować się na trzeciej Gracji w poszukiwaniu znaków wyjaśniających, w jaki sposób to południowe królestwo może być związane z całą sprawą.

W tym momencie go nienawidziłam.

– Ale powinniśmy poczekać, aż nas nakarmią i napoją. Bo wtedy możemy mieć pewność, że zostawią nas na jakiś czas w spokoju i będziemy mogli oddać się dywagacjom.

Trochę mnie pocieszyła myśl o jedzeniu, bo należę do dziewczyn, które o żołądku myślą więcej niż o jakiegokolwiek innej części ciała. Jednak strawa, która się w końcu pojawiła, nie mogła w żaden sposób zadowolić mojego zachłannego organu. Niewidzialna ręka zrzuciła na dół garść sucharów i kwaterek wody w bukłaku z koziej skóry, więc woda smakowała bardziej kozą niż wodą. Ale nawet ten skromny posiłek trochę nas pokrzepił, więc przeszliśmy w jasny kąt ładowni,

żeby obejrzeć obraz, który na szczęście nie ucierpiał podczas naszych przygód.

– No dobrze – zaczął Guido – przyjrzyjmy się trzem Gracjom, skoro są ze sobą powiązane, a potem musimy dowiedzieć się wszystkiego, co się da, o tej, którą zidentyfikujemy jako „Neapol”.

– Popatrzył na mnie z sympatią. – Może zacniemy od twoich obserwacji, signorina, skoro ten sposób ostatnio przyniósł rezultaty.

Zauważyłam, że znowu odnosił się do mnie bardziej formalnie. Najwyraźniej mówił mi po imieniu tylko wtedy, gdy był rozluźniony.

– Dobrze – odrzekłam z westchnieniem. – Tylko tym razem nie bądź tak cholernie niegrzeczny, jeśli powiem, że jedna z nich wygląda jak leśny chochlik.

Mimo mojego przekleństwa stłumił uśmiech.

– W porządku.

– Rozumiem, że mam się z tobą podzielić moją opinią prostaczki, a ty wpuścisz w to wszystko parę akademickich bzdur.

Teraz zdecydowanie się uśmiechnął.

– Skoro tak mówisz...

Przyjrzałam się dokładnie trzem pannom ze splecionymi rękami.

– No więc może dlatego, że jesteśmy na statku, a ponadto wiemy już, że chodzi o państwa morskie, to ich szaty wydają mi się takie jakby... „wodne”. Wiesz, wszystko przez nie widać, są wirujące, lśniące.

– Jednym słowem, przezroczyste.

Popatrzyłam na niego.

– Rękaw Gracji z prawej wietrzyk wydał do tyłu, wygląda trochę jak skrzydło anioła. – Spojrzałam ukradkiem na Guida, czy przypadkiem nie wyśmiewa moich fantazji tak jak leśnego chochlika.

Wyteżał wzrok, niezbyt usatysfakcjonowany.

– No dooobrze. – Przeciągnął to słowo, jakby wydymuchał gorące szkło.

– Ich włosy też. Wyglądają, jakby były rozwiewane przez morską bryzę.

– Dobrze. Co jeszcze?

– Jak mówiliśmy wcześniej, tańczą. Jakby zbliżały się do siebie, nie odsuwały. Ciężar ciała opierają na nodze, w ten sposób.

Wstałam, żeby to zademonstrować, i wiedziałam, iż wyglądam wdzięcznie w oświetlonej słońcem części ładowni i że Guido na mnie patrzy. Jednak efekt został zniweczony przez nagle szarpnięcie statku, które posłało mnie tyłkiem na deski. Brat Guido, jak zawsze dworny, wstał, żeby mi pomóc, ale ja zdążyłam wcześniej zająć swoje poprzednie miejsce i pokrywałam wstyd, mówiąc:

– To chyba może znaczyć, że garną się do siebie.

– Sojusz! Morski sojusz! – Niemal to wykrzyczał. – Są całkowicie połączone

i zaabsorbowane sobą. Oprócz...

– Czego?

– Oprócz Pizy. Tamte Gracje patrzą na siebie, ale ona patrzy na Botticellego, który ma na sobie szatę w kolorze ochry, jak już mówiliśmy.

– Pozwoliła, by suknia zsunęła jej się z ramienia. – Zauważyłam to po raz pierwszy. – To stara sztuczka.

– Żeby podsycić jego zainteresowanie?

– Jeśli pytasz, czy chce go skłonić, żeby ją przeleciał, to tak.

– Ale popatrz – brat Guido zupełnie mnie zignorował – on też ma obnażone lewe ramię, bo nosi klasyczną szatę. Ponieważ przedstawia tu Merkurego, to może ona go naśladuje, żeby pokazać związek między nimi.

– A może fakt, że gapi się na artystę, ma uświadomić, iż to ona jest początkiem łamigłówki?

Brat Guido pocierał kark w miejscu, gdzie uderzył go *capitano*.

– Dobrze, odłóżmy to na razie. Idziemy za daleko, bo wydaje mi się, że Botticelli-Merkury to jedna z ostatnich postaci, których szukamy.

– A to dlaczego? – rzuciłam wojowniczo.

– Tak jak mówiliśmy w Fiesole, obraca swój kaduceusz, laskę chmur, zgodnie z ruchem wskazówek zegara w prawo. A krajobraz widoczny w wąskich paskach między drzewami wraz z pojawieniem się Flory zmienia się od chłodnego błękitu z lewej do złotożółtego z prawej.

– No, nie wiem... – Nie byłam przekonana. – Chciałam jeszcze powiedzieć, że wszystkie noszą perły, które są owocami morza! – zakończyłam triumfalnie, dotykając mojej perły, która tkwiła w pępku.

Brat Guido lepiej przyjrzał się obrazowi.

– Widzę, że Gracje po prawej i po lewej mają bogatą broszę i piękną biżuterię, naszyjniki.

– Z włosów – wtrąciłam triumfalnie.

– Słucham?

– Z włosów. Przyjrzyj się uważnie. – Zaczynałam się dobrze bawić. – Ta Gracja po lewej ma broszkę przypiętą do stanika szaty. Ale ta z prawej nosi naszyjnik na splecionym puklu własnych włosów.

– Masz rację! – Posłał mi jeden z tych swoich rzadkich i obezwładniających uśmiechów, a była to jedyna nagroda, jakiej pragnęłam. – Obydwa klejnoty są też ozdobione rubinami. Ale gdzie są perły „Pizy”, środkowej Gracji?

Pokazałam bez wahania. Najwyraźniej mogłam się przydać w kwestiach mody.

– Popatrz, są przy dekolcie sukni, drobne, mniej wartościowe, ale jednak perły.

Skinął głową.

– Może bogactwo klejnotów pokazuje bogactwo tych trzech krajów? Może Neapol i Genua są bogatsze od Pizy?

– Czyżby? Na południu? – Pokręciłam głową. – Słyszałam, że gdy koza ma puste wymię, to piją jej szczyny, tacy są biedni.

– Nie mogę dyskutować z takimi informacjami– powiedział chłodno – ale w zasadzie masz rację. Północne państwa są bogatsze. Więc to nie może być powód.

– Piza może mieć broszę, której nie widzimy, bo stoi do nas tyłem.

Guido popatrzył na mnie tępo, najwyraźniej niezdolny pojąć logiki mojego rozumowania. Pokręcił głową, jakby wypowiedziane przeze mnie zdanie było uprzykrzoną muchą.

– Nie możemy zajmować się tym, co istnieje, ale nie jest widoczne na obrazie. Bez względu na to, czy masz rację i jak głęboko filozoficzne są twoje słowa.

Teraz ja z kolei osłupiałam. Nigdy w życiu nie posądzono mnie o „filozoficzność”.

– Ale powiem ci jedno. Te klejnoty wyglądają jana prawdziwe.

– Prawdziwe?

– Tak. Prawdziwe. Bo wszystko inne robi wrażenie makijażu. Fantazji – tłumaczyłam. – Ale klejnoty obydwu Gracji wyglądają na prawdziwe. Popatrz na „Neapol”: ciemnozłota oprawa, rubin pośrodku, każda z trzech pereł ma właściwą wagę i cień, z góry i z dołu osadzone w białym złocie.

– Nauczyłam się trochę żargonu od Bemba.

Guido zrozumiał.

– Chcesz powiedzieć, że wszystko inne jest tropem, przepraszam, wytworem wyobraźni Botticellego, ale klejnoty to prawdziwe klejnoty, istniejące naprawdę.

– Tak. – Niedokładnie to miałam na myśli, ale nie należę do osób, które ujmują sobie zasługi.

– A więc... – Było prawie widać, jak umysł brata Guida wyprzedza jego bardziej ospały język. – Myślisz, że Gracje to prawdziwe osoby?

– Tak. Dlaczego nie? Ja jestem prawdziwa i pozowałam jako Flora. Czy te trzy panny też nie mogą być prawdziwe? Może niekoniecznie „Piza”. Myślę, że ona jest właśnie typem... czy „tropem”, jak to nazywasz... i patrzy na Botticellego, żeby pokazać, że to ona przewodzi. Ale pozostałe dwie, po prawej i lewej stronie, to prawdziwe damy. Wyglądają nawet jak „ludzie”, przyjrzyj się, każda z nich ma zupełnie inne rysy twarzy.

– Masz rację. Wiem, że na początku wydawały nam się niemal identyczne. Ale myślę, że mieliśmy odnieść właśnie takie pierwsze wrażenie, a dociekliwy widz zobaczy, że miasta mają podobny charakter. Są związane z morzem. A jeśli ktoś przyjrzy się lepiej, zorientuje się, że to

zupełnie odmienne miejsca. Diabeł tkwi w szczegółach. Luciano, to są wskazówki.

Poczułam ciepło, kiedy wymówił moje imię.

– A więc kim są Gracje?

– Co do jednej, to mogę się domyślać – powiedział. – Bo tu po lewej jest twarz, której nie można zapomnieć, jeśli się ją choć raz widziało. A ja ją widziałem bardzo dawno temu, kiedy mój kuzyn i ja pojechaliśmy do Florencji ze stryjem, Panie, świeć nad jego duszą. Mieliśmy być na turnieju zorganizowanym na cześć Giuliana Medyceusza, nieszczęsnego brata Wawrzyńca Wspaniałego.

(Pamiętajcie, że to on został pokrojony przez rodzinę Pazzich w katedrze).

– Ona tam była, patrzyła na niego z łoży. Wyglądała jak Ginewra.

– Jak kto?

– Nieważne. – Rozmarzył się. – Bardzo piękna. Była kochanką Giuliana, nazywała się Simonetta Cattaneo.

Podskoczyłam.

– „Perła Genui”?

Teraz z kolei Guido podskoczył.

– Słyszałaś, żeby tak ją nazywano?

Roześmiałam się.

– Oczywiście. To było zawołanie Bemba, kiedy zachwalał swoje perły. „Proszę tylko popatrzeć, szanowna pani” – naśladowałam mego nieżyjącego klienta – „jest tylko jedna piękniejsza perła, a jest nią Simonetta Cattaneo, perła Genui”. Doskonale to pamiętam, bo kiedy ona umarła na gruźlicę, był zupełnie zagubiony, musiał wymyślić nową zachętę.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie dziwactw mojego dawnego kochanka, ale zaraz podniosłam głowę w obawie, że bratu Guidowi nie spodoba się taka gruboskórność. Jednak był zbyt podekscytowany, żeby to zauważyć, jeśli w ogóle słyszał, co mówiłam.

– To wszystko ma sens! Początkowo myślałem, że mają białe szaty, bo są dziewicami – niemal udławił się tym słowem. – To znaczy westalkami. – Wzruszyłam ramionami. – Ale teraz myślę, że one nie żyją. Miałas rację z tym skrzydłem anioła. Gracja z prawej i Gracja z lewej strony to prawdziwe kobiety, które zmarły.

– W porządku – powiedziałam. – Więc teraz wiemy, że Gracja po lewej to Genua, i sądzimy, że to portret Simonetty Cattaneo.

– Nabrałem pewności, kiedy przyjrzałem się jej twarzy.

– Popatrz tylko! Nosi perłę nad czołem! Trudno o wyraźniejszy znak!

– Prawda! Nigdy nie widziałem większej. To jasne.

Miałam ochotę pokazać mu swój brzuch, ale postanowiłam nie psuć przyjacielskiego

nastroju.

– W takim razie – ciągnęłam – jeśli to jest Genua, a my na pewno zmierzamy do Neapolu, to ona jest ostatnią postacią ze wszystkich, nie następną.

– Otóż to. W ten sposób wiemy przynajmniej, gdzie kończy się polowanie.

Nie mogłam znieść myśli o czekającej nas podróży aż do nieznannej Genui na drugim końcu naszego wielkiego półwyspu.

– Więc trochę wiemy o postaci „Genui”, ale zupełnie nic o „Neapolu”, gdzie zostaniemy wysadzeni na brzeg.

– Masz rację – przyznał Guido, najwyraźniej zapominając o naszym niedawnym triumfie. – Skoncentrujmy się na „Neapolu”. Podsumowując: ona nie żyje, nosi wisiołek na sznurze z włosów. Jest bardzo piękna.

Wzruszyłam ramionami.

– Owszem, dość ładna.

Uśmiechnął się.

– Można wręcz powiedzieć, że bije na głowę tamte dwie.

Teraz się zdenerwowałam.

– Ta żalosna kruszynka o mlecznej karnacji? Jesteś ślepy? – Każdy głupiec mógł zobaczyć, że byłam znacznie ładniejsza.

– Nie zrozumiałaś mnie. Chodziło mi tylko o to, że ma bardzo jasną skórę. Najjaśniejszą z nich trzech.

– Rozumiem. – Przeklinałam swój brak opanowania. – I dużo jaśniejsze włosy.

– Tak więc chodzi o blondynkę o jasnej skórze, nieżyjącą, związaną z Neapolem. No...

Chociaż raz brata Guida lekko zatkało i znowu zaczął rozcierać kark. Wyglądał na tak przybitego, że spróbowałam go pocieszyć:

– Czy nie pora teraz na twoją książkową wiedzę?

Ale nawet te słowa nie poprawiły mu samopoczucia. Uśmiechnął się lekko.

– Nie wiem, czy w tym przypadku to nam pomoże. Twoje bezpośrednie obserwacje

Primavery są znacznie cenniejsze.

To był komplement, który należało odwzajemnić.

– Ale ja chciałabym posłuchać.

Oparł się na łokciu, wyciągnął jak rzymski senator, zrobiłam to samo. Słońce chyliło się ku zachodowi, a ja wyglądałam jak dziecko słuchające bajki na dobranoc.

– Trzy Gracje to dobrze znany klasyczny temat tekstów starożytnych. U Horacego, Hezjoda i Seneki występują pod imionami Aglaja, Eufrozyna i Talia. Były to trzy siostry, które symbolizowały wzajemną korzyść, bo jedna siostra daje, druga dostaje, a trzecia odwzajemnia

przysługę.

– A więc – przerwałam mu – pomysł sojuszu nie jest taki głupi. W przeciwnym razie po co ta flota, pewnie powinniśmy ją nazywać „Muda”, zmierza do Neapolu?

Rozpromienił się na chwilę.

– To niewykluczone.

– No widzisz! Co jeszcze wiesz?

– Dla nas bardziej istotny od tych wspaniałych pisarzy jest fakt, że Marsilio Ficino napisał list o trzech Gracjach do Lorenza di Pierfrancesca Medyceusza.

– Chwileczkę. Kto komu napisał?

– Do kogo.

Klasnęłam niecierpliwie, a Guido zrozumiał, o co chodzi, i wyjaśnił:

– Marsilio Ficino to poeta na dworze Medyceuszy.

– Sądziłam, że to ten jakiś Polly, o którym ciągle mówiliście ze stryjem.

– Poliziano, który napisał *Stanze*. Moim zdaniem na nich opiera się *Primavera*. Owszem, on jest poetą laureatem, ale na florenckim dworze jest wielu poetów. To wspaniałe miejsce, gdzie rozwijają się nauka i sztuka.

– Więc ten człowiek, Ficino, pisał do Wawrzyńca Medyceusza o Gracjach?

– Nie, nie do Wawrzyńca Wspaniałego. Do Lorenza di Pierfrancesca Medyceusza, jego podopiecznego i młodszego kuzyna, który mieszka w Castello. Mówi się, że Wawrzyniec Wspaniały jest bliżej z Lorenzem di Pierfranceskiem niż z własnymi synami. – Nagle w oczach Guida odmalowała się rozpacz, a ja zrozumiałam, jak bardzo przeżywa śmierć ukochanego stryja.

– W porządku. I co dalej? – spytałam, chcąc, by się uspokoił.

– Lorenzo di Pierfrancesco jest patronem Botticellego. Zamówił u niego dużo obrazów i nie dziwiłbym się, gdyby *Primavera* okazała się jednym z nich.

Wszystko stawało się jasne.

– I co było w tym liście? Nie, poczekaj, najpierw powiedz, skąd o nim wiesz?

– Jestem skrybą.

– Kim?

– Kopistą. W klasztorze. Ponieważ w tych poetyckich listach są fragmenty pięknej prozy i wiersze dużej wartości, Lorenzo di Pierfrancesco wypożycza je klasztorowi Santa Croce.

Po raz kolejny byłam pod wrażeniem jego umiejętności, tym bardziej że ja nie potrafiłabym napisać „tylek” na drzwiach wychodka.

– Przepisujemy je w skryptorium, oprawiamy i przechowujemy w bibliotece, by mogły być podziwiane przez następne pokolenia.

– Więc co tam było? – spytałam sennie.

Byłam już bardzo śpiąca, a tymczasem się ściemniło. Rozmawialiśmy od wielu godzin. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam, był cichy głos mówiący:

– *Sol autem inventionem vobis omnem sua luce quaerentibus patefacit. Venus denique venustate gratissima quicquid muentum est, semper exornat.* „Słońce swoim światłem objaśnia wszystkie twoje wynalazki. A w końcu Wenus swą urodą zawsze zdobi wszystko, co wynaleziono”.

Mogłabym przysiąc, że Guido delikatnie dotknął mojego policzka.

Spałam.

ROZDZIAŁ 2

Obudził mnie odgłos wymiotowania i mdląco-słodki zapach rzygowin. Brat Guido skrył się w kącie i zgięty wpół pozbywał się zawartości żołądka. Bładość jego twarzy pasowała do ołowianej szarości świtu. Troska wzięła górę nad obrzydzeniem i zerwałam się na równe nogi.

– Do diaska! Jak się czujesz?

– Doskonale. – Gestem ręki pokazał, żebym się oddaliła, najwyraźniej zawstydzony swoim stanem. – To choroba morska. – Splunął jeszcze raz, a potem, jak to się często zdarza po ataku torsji, od razu poczuł się lepiej. – Kuzyn Niccolo zawsze bezlitośnie się ze mnie wyśmiewał, kiedy byliśmy dziećmi.

– Uśmiechnął się blado. – Uważał to za dobry żart, że potomek państwa będącego morską potęgą nie może znieść wzburzonego morza.

– Ale wczoraj czuleś się dobrze.

– Nie słyszałaś, co powiedziałem? „Wzburzonego morza”. Woda dzisiaj jest inna, zerwał się wiatr, okręt podnosi się i opada.

Miał rację. Nie mogłabym do niego podejść, nawet gdybym chciała, bo kiedy próbowałam iść, podłoga podskakiwała, a ja razem z nią, jakby mnie coś ugryzło. Uśmiechnęłam się, bo podobała mi się ta zabawa. Po chwili zrozumiałam, jak zachować równowagę.

– Spójrz! – zawołałam, tańcząc wokół rozkołysanej ładowni. – Ruszam się jak marynarz!

Brat Guido popatrzył na mnie z niechęcią. Usiadł ciężko pod ścianą z dala od swoich rzygowin.

– Jesteś bardzo zadowolona. Miejmy nadzieję, że sytuacja się nie pogorszy.

– Pogorszy? – Byłam zadowolona i pełna optymizmu, bo wiedziałam, że to nasz ostatni dzień na pokładzie. – To tylko szkwał, prawda?

Guido wzniosł oczy do nieba. Miał głębokie oczodoły, pewnie od tej swojej pracy. Wyrosła mu ciemna broda, a bladość i to, że stracił na wadze, sprawiały, że przypominał raczej nabożnego ascetę niż anioła.

– Chyba tak. Prawdę mówiąc, wody wokół Cieśniny Neapolitańskiej zawsze są wzburzone, bo kiedy okrąży się spokojny kraniec półwyspu, trafia się na miejsce, gdzie zbiegają się prądy siedmiu mórz. Nie mówiłem o tym w obawie, że to cię wystraszy, ale sama się o tym przekonujesz.

– Westchnął. – Przynajmniej dotrzemy tam szybciej, bo wiatr wpycha nas do portu i kręcimy się jak żołądz na młyńskim stawie. Wiatr jest korzystny.

– Sam widzisz! – triumfowałam. – Musimy jakoś to przetrzymać, a potem nadejdzie pora,

żeby rzucić ten przeklęty okręt i te drańskie szczury, które na nim płyną. Możesz być pewny, że jutro wieczorem będziemy leżeli w jedwabnej pościeli w pałacu don Ferrantego. – Podeszłam do Guida i poklepałam go po ramieniu. – Nie trać odwagi. – Posłużyłam się jego własnym sformułowaniem. – Może pokazuję ci moje weneckie cechy, bo mówi się, że każdy weneccjanin rodzi się podczas sztormu, toteż musimy mieć żołądki odporne na morską chorobę. – Byłam uszczęśliwiona, zapomniałam o zagrożeniu ze strony załogi nad nami i miasta przed nami. Chciałam tylko zejść z tego przeklętego okrętu.

Godzinę później pragnęłam tego jeszcze bardziej. Brat Guido i ja toczyliśmy się jak groszki, kiedy statek przechylał się niepokojąco. Ilekroć rzuciło nas pod kratownicę włazu, pryskała na nas morska woda, od której szczypały oczy i zapierało dech. Wymiotowaliśmy obficie, ja nawet więcej niż Guido. Nie przechwalałam się już, że jestem morską wilczycą z Wenecji. Nie dało się rzygać elegancko w kącie, więc robiliśmy to wszędzie, jedno na drugiego i na siebie samych, i tylko morska woda zmywała nasze nieszczęście i wstyd. Byliśmy posiniaczeni i obolali, miotani od burty do burty i z rufy na dziób. Ładownia zaczęła się napelniać wodą. Było to przerażające, woda sięgała nam do kostek, potem do pasa. Bałam się, że bezlitosna słona woda zmoczy obraz, ale postanowiłam się tym nie przejmować. Burza na zewnątrz huczała tak głośno, że nie słyszeliśmy siebie nawzajem. Przemoczeni i drżący tuliliśmy się do siebie jak dusze w piekle. Nie zwracaliśmy uwagi na wstyd, zapomnieliśmy o tym, co nas dzieli, zupełnie jakbyśmy byli jedną osobą. Wiedziałam, że za chwilę umrę, ale wiedziałam też, że nie umrę sama. Urodzona podczas sztormu, myślałam. Weneccjanie rodzą się w czasie sztormu. Rodzą się w czasie sztormu, umierają w czasie sztormu, koło się zamyka. Woda sięgnęła wyżej, a brat Guido zaczął się modlić. Ale kiedy zimna woda sięgnęła mojego stanika, otworzył oczy. Krzyknął. Ryk wiatru i szum wody uczyniły go niemym, lecz z ruchu ust odczytałam: *Primavera*. Nie obchodził mnie już obraz, który sprowadził na nas takie kłopoty, ale obchodził mnie Guido. Dlatego zgrabiałymi z zimna palcami sięgnęłam za gorset, wyciągnęłam nawoskowaną rolkę i uniosłam ją wysoko nad ryczącą wodę. Brat Guido rozglądał się rozpaczliwie, zastanawiając się, jak uratować płótno, a odpowiedź unosiła się na wysokości jego torsu: był to bukłak z koziej skóry. Guido zręcznie zwinął obraz, na tyle ciasno, by wtłoczyć go przez szyjkę bukłaka, i zatkał otwór. A następnie, jako że był wyższy, owinął sobie skórzany pasek bukłaka wokół szyi, a sam bukłak schował do kaptura. Wiedział równie dobrze jak ja, że jeśli woda sięgnie tak wysoko, to żadne z nas nie przeżyje.

Wkrótce jednak różnica wzrostu między nami przestała się liczyć, bo zaczęliśmy unosić się na wodzie, nasze stopy oderwały się od desek. A może to okręt zanurzał się coraz głębiej? Nie potrafiłam powiedzieć. Nie miałam steru, kompasu, nie odróżniałam lewej burty od prawej ani góry od dołu. Bałam się o mego przyjaciela, bo jego brązowy barchanowy habit nasiąkł wodą, zrobił się czarny i ciężki i ciągnął go w dół. A wkrótce nasze głowy przyciśnięte były do kratownicy, poziom

wody ciągle się podnosił i z trudem łapaliśmy powietrze. Obraz ocaleje, ale my nie, byliśmy jak szczury w pułapce. Zimne żelazo kratownicy niemal parzyło twarz. Nagle przywarłam zziębniętymi wargami do ust brata Guida, bo nie chciałam umierać, nie pokazawszy mu, że go kocham.

W tym momencie zdarzyły się trzy rzeczy równocześnie.

Prima cosa: Śmiertelnie zimne żelazo oddaliło się od naszych twarzy, bo ktoś podniósł właz.

Seconda cosa: Niewidzialne ręce wyciągnęły nas na zalewany falami pokład.

Terza cosa: Brat Guido odwzajemnił mój pocałunek. Jeszcze jak.

Zanim zdążyłam się oswoić z tym potrójnym cudem, ciągnięto mnie w dół, nie wiadomo dokąd. Trzymałam się Guida, niezdolna otworzyć oczu zalewanych słoną wodą. Poczułam, że opuszczają mnie za burtę statku. Chyba nie będziemy musieli płynąć, by ocalić życie! – pomyślałam przerażona. Pod zdrętwiałymi stopami poczułam dno łodzi. Tonący okręt, wystawiony na próbę już podczas pierwszej wyprawy, osłaniał nas przed uderzeniami wiatru i fal.

Zorientowałam się, że jestem w wiklinowo-płóciennej szalupie wraz z bratem Guidem i *capitano*. Wydawało się, że wszystkie pozostałe dusze już zostały skazane na śmierć, co czeka również nas, jeśli będziemy płynęli w tej łupinie. Jednak mężczyźni chwycili wiosła i odpłynęli od wraku, ze mną przykucniętą na dziobie łódki niczym galion. Wypłynęliśmy z zawietrznej i można powiedzieć, że znalazłam się oko w oko ze sztormem. Madonna! Moją zmarzniętą twarz włosy oblepiały jak węże Meduzę, skręcone kosmyki pokryte słonym szronem jakby coś szeptały. Poczułam przelotne ukłucie dumy, patrząc, jak sprawnie wiosłuje brat Guido, by dorównać *capitano*.

Pomyślałam, że nawet najgorszy marynarz z Pizy musi być lepszy od najlepszych z innych stron. Trzymałam się burt łodzi tak mocno, że aż rozboleły mnie mięśnie, kiedy wznosiliśmy się na szczytach fal wysokich jak góry, po czym opadaliśmy w atramentowe głębie. Błyskawice przecinały horyzont, jakby rozdierano czarną materię, by ukazać srebro niebios. Przez moment widać było raj, lecz i zaraz nam go zabierano. Wiatr powiał mi w twarz, więc odwróciłam się akurat w chwili, gdy okręt flagowy Mudy pochłaniało morze, maszty tonęły na końcu, pizańska flaga załopotiała po raz ostatni i zniknęła.

Byłam tak wyczerpana, że skuliłam się na dnie łodzi obojętna na to, co się stanie. Pod wpływem wilgoci i zimna straciłam przytomność, lecz wciąż czułam na ustach pieczęć pocałunku brata Guida.

Kiedy się obudziłam, grzało słońce, a w błyszczącym morzu jak w lustrze odbijał się błękit nieba. Wokół łodzi pływały deski ze statków, a żagle marszczyły się na wodzie niczym pranie.

Obaj moi wiosłarze tkwili nieruchomo na swoich miejscach. Po raz drugi w ciągu doby

przestraszyłam się, że mój przyjaciel nie żyje. Serce zabiło mi szybciej, ale w tym momencie brat Guido podniósł rękę, by odpędzić muchę, po czym wrócił do poprzedniej pozycji. Spał. Był wyczerpany. Za to *capitano* leżał z otwartą gębą i nie wykazywał oznak życia.

To dobrze.

W ten sposób księżniczka Chichi dumnie wpłynęła do południowych królestw. W łódce z dwoma nieprzytomnymi mężczyznami. Obaj brodaci, posiniaczeni, zakrwawieni. Jeden paskudny jak siedem grzechów głównych i martwy jak ryba w piątek. Drugi piękny niby zorza i cudownie żywy. Zupełnie jakby zmarły *capitano* brał pod uwagę moje pragnienia. Moja lewa stopa była połączona z prawą nogą brata Guida obręczą i łańcuchem. Pomyślałam, że przeszukam kieszenie naszego prześladowcy, by znaleźć klucze, ale wcale nie miałam ochoty oddawać się tak nieprzyjemnym czynnościom, skoro mogłam poczekać, aż obudzi się mój przyjaciel i zrobi co trzeba. Wpatrywałam się w twarz śpiącego Guida i chłonęłam jego urodę, a wspomnienie ostatniej nocy pulsowało mi w skroniach i krtani. Zauważyłam, że bukłak z *Primavera* nadal wisi bezpiecznie na jego szyi, ale nie byłam pewna, czy jeszcze mnie to obchodzi. Może po ostatniej nocy powinniśmy dać sobie spokój z tą łamigłówką, osiedlić się tutaj, gdzie nikt nas nie zna, pić wino, jeść oliwki i wychowywać piękne dzieci. Spojrzałam na twarz ich przyszłego ojca i oddałam się marzeniom.

Potem popatrzyłam przed siebie w linii dziobu i to, co zobaczyłam, spodobało mi się niemal tak samo. Błyszczący jak naszyjnik porzucony na piasku, rysował się idealny półksiężyc zatoki. Nad nią widać było złowrogą niebieskawą górę, której szczyt lekko dymił, jak danie wyjęte przed chwilą z pieca. Niewielkie domki kulily się na plaży jak perły, a wyżej na zbocza powtykano wielkie pałace wyglądające jak rubiny.

– Neapol – powiedział głos za mną.

Nie był to głos brata Guida.

Niech to.

Capitano przeżył.

ROZDZIAŁ 3

Zauważył moją przerażoną minę.

– Przykro mi, że sprawiam zawód – powiedział z ironią ochrypłym głosem. Wyprostował się i wypluł dwa zęby. – A ja oczekiwałem co najmniej słówka „dziękuję” za ocalenie ci skóry. Zdaję sobie sprawę, że pocałunek byłby przesadą, bo prawdą jest, że akurat dzisiaj nie wyglądam najlepiej.

Zmrużyłam oczy, patrząc na niego i na słońce.

– Mam uwierzyć, że ocaliłeś nas wyłącznie z dobroci serca?

Uśmiechnął się bezzębym uśmiechem. Jego usta przypominały usta gigantycznego niemowlęcia, które straciło mleczone zęby, a następne jeszcze nie wyrosły. Rozłożył zniszczone dłonie.

– Moje intencje są równie szczytne, jak wysokie okaże się wynagrodzenie. Taką przynajmniej mam nadzieję.

Nie mogłam nie podziwiać jego uczciwości.

– Jasne, wiadomo, o co chodzi. Myślisz, że dostaniesz za nas dobrą cenę od swojego patrona... don... – Próbowałam sobie przypomnieć jego imię.

– Ferrantego. Oczywiście. Ale nie za ciebie, choć muszę przyznać, że gdyby cię umyć i ubrać, nie miałabyś sobie równych. Raczej za twojego chłopaka... to szlachcic, jak sam powiedział.

– To nie jest mój... – Na widok jego uśmiechu zamilkłam.

– No, wyglądaliście na zaprzyjaźnionych, gdy wyciągałem was z wody.

– A co się stało z twoją załogą? – Bardzo chciałam zmienić temat. Spojrzałam na Guida, oczekując wsparcia, ale on smacznie spał.

– Utonęli.

– Wszyscy?

– Tak myślę. Przecież statek poszedł na dno, no nie? Wzięliśmy jedyną szalupę.

Jego bezduszość poruszyła nawet mnie.

– To cię nie obchodzi?

– W zasadzie nie. – Wzruszył ramionami. – Reszta floty przyplynie. Byli zbyt daleko za nami, żeby dopadł ich sztorm. A nawet gdyby tak było, to zawsze mogę zebrać inną załogę. Szczególnie w Neapolu. To bardzo ruchliwy port. Bardzo. – Skinął głową, jakbyśmy rozmawiali o ładnej pogodzie, a nie o śmierci całej jego załogi.

– Chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że na pokładzie zostali żywi ludzie, a ty odpłynąłeś z nami i pozwoliłeś, żeby poszli na dno razem ze statkiem?

– Nie wszyscy żyli. Niektórych wcześniej zmyły fale.

– Zgoda, ale... – Nie bardzo wiedziałam, dlaczego się z nim spieram. – Nie chciałeś zabrać pierwszego oficera czy tego człowieka, który dostał trypra w Famaguście, czy...

– Berello i Cherretti? Nie dostałbym za nich żadnej nagrody od don Ferrantego. Nędzni z nich marynarze. Nie, lepiej wyjdę na księżątka i syrenie, nie mam co do tego wątpliwości.

– Więc zostawiłeś ich na pewną śmierć?

– Tak. – *Capitano* zobaczył moją minę. – A co ciebie to obchodzi? Żyjesz, prawda?

O Berellu wiesz tylko tyle, że rąbnął cię w łeb.

– No tak, ale... on jest... był twoim przyjacielem, prawda?

– Pływałem z nim przez dwadzieścia lat. Ale przyjaciele to luksus dla bogaczy. Jeśli don Ferrante mi zapłaci, to może wystarczy mi pieniędzy, żeby kupić sobie kilku nowych.

– Ale... – Urwałam. Popatrzyłam na śpiącego Guida. Znałam go zaledwie od dwudziestu dni, nie od dwudziestu lat, ale wiedziałam, że nigdy bym go nie opuściła. Jednak nie miało sensu poruszanie tego tematu z *capitano*. Zamiast tego postanowiłam zbadać, co wie. – A te okręty. Tyle nowych okrętów, wiesz, po co są potrzebne?

Bardzo precyzyjnie splunął na bok.

– Nie. Miałem tylko przyprowadzić flotę do don Ferrantego.

– I tylko tyle wiesz?

– Nie płacą mi za to, żebym wiedział więcej. Ale wiem jedno: im mniej ci mówią, tym mniej masz kłopotów.

Nie mogłam nie przyznać mu racji, ale nie odezwałam się, niezadowolona, że nie może powiedzieć mi niczego więcej na temat celu stworzenia tak olbrzymiej floty. Kiedy toczyliśmy z *capitano* ten dyskurs, szalupa przydryfowała bliżej brzegu, mogłam zobaczyć więcej szczegółów: drzewka cytrynowe z oświetlonymi słońcem owocami i błyszczącymi liśćmi, kłęby sieci suszących się na słońcu, na których jak diamenty błyszczały kropelki wody. Wiedziałam, że na razie nie grozi nam niebezpieczeństwo, bo tak pozbawiony skrupułów *capitano* nie tylko zachowa nas przy życiu, ale też będzie nas chronił, póki nie dostanie nagrody. Zaczęłam się niemal cieszyć. Piękny dzień i widok podniosły mnie na duchu.

Ale mówiąc naprawdę szczerze, to ogniem, który rozgrzewał moje serce, było wspomnienie pocałunku brata Guida. W tamtej chwili, choć śmierć zaglądała mi w oczy, czułam się szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Zorientowałam się, że Guido nie do końca oddał się Bogu, jeszcze nie, że mam powody do nadziei. Uświadomiłam sobie też, że nie wiedziałam, co to znaczy pragnąć jednego mężczyzny i żadnego innego. Nie twierdzę, że nie lubiłam swojej pracy – do diabła, dobry sztos to

dobry sztos – ale moje serce pozostawało obojętne. A poprzedniego wieczoru myślałam, że już na zawsze przestanie bić, choć w istocie nigdy naprawdę nie biło, aż do tamtej chwili. Dopiero teraz ożyłam, gotowa na wszystko, co przyniesie los, pod warunkiem że będziemy razem.

Znowu popatrzyłam na śpiącego ukochanego i nagle przestraszyłam się chwili jego przebudzenia. Czy będzie pamiętał, że mnie pocałował? Co powie? Zupełnie jakby czytał w moich myślach, poruszył się, jęknął i usiadł prosto, mrugając w jasnym świetle. Jego oczy były błękitne jak niebo, źrenice jak łebki maleńkich szpileczek, a kiedy na mnie spojrzał, od razu wiedziałam, że pamięta, ponieważ natychmiast spurpurowiał, jakby zanurzyli go w gorącym oleju. Czułam, że moja twarz też płonie.

Capitano wydawał się rozbawiony, nic nie uszło jego uwagi.

– Dzień dobry, braciszku – powiedział znacząco.

Brat Guido się skrzywił.

– Gdzie jesteśmy?

Capitano machnął ręką.

– Dobijamy do portu w Neapolu. To moje rodzinne miasto. Teraz, kiedy się obudziłeś, może namówię cię na wiosłowanie, skoro wczoraj tak dzielnie się spisywałeś. Poprosiłbym twoją dziewczynę, ale przyjemnie nam się rozmawiało, a poza tym nie wydaje mi się zbyt silna. Kręcilibyśmy się w kółko.

Zaczynałam poznawać kapitana. Nie był pozbawiony poczucia humoru, za to zupełnie pozbawiony współczucia. Miał ogorzałą i zniszczoną twarz, a oczka małe i zimne jak u ryby. Mimo słońca wstrząsnął mną dreszcz, bo uświadomiłam sobie, że jeśli przestaniemy być mu potrzebni albo nie dostanie za nas spodziewanej sumy, nasze życie nie będzie dla niego więcej warte niż garść słomy.

Brat Guido nie reagował na żarciki *capitano*. Wyraz jego twarzy był nieprzenikniony, kiedy wziął do ręki wiosło i zaczął wiosłować w milczeniu. W drodze do zatoki odzywał się tak rzadko – za każdym razem zwracał się do kapitana, pytając o kierunek czy szybkość wiosłowania – że coś musiało być nie tak. Nie odzywał się do mnie i na mnie nie patrzył. Westchnęłam. To najgorsze u tych religijnych typów, powinnam się była tego spodziewać.

Poczucie winy.

Przybiliśmy do brzegu w zatoce i zauważyłam, że Neapol z bliska jest ładnym, ale nędznym miastem, domy nie tak znów białe, widoki nie takie śliczne. Po przystani chodził karzeł, który przycumował naszą szalupę, po czym sprawdził zębami monetę rzuconą mu przez *capitano* i pomógł nam wysiąść z łodzi. Po wielu dniach po raz pierwszy postawiłam stopę na stałym lądzie, więc gotowa byłam paść na kolana i całować brudny piasek, taka byłam szczęśliwa. O mało się nie przewróciłam, bo moje nogi zrobiły się takie dziwne. Grunt wydawał mi się niestabilny i nierówny,

a ciało kołysało się, jakbym nadal była na morzu. Sytuacji nie poprawiała obręcz na lewej nodze, bo musieliśmy wraz z bratem Guidem przemieszczać się w szczególny sposób, połączeni ze sobą jak kuglarze na majowych występach. Jednak mój „przyjaciel” ani razu nie próbował mnie podtrzymać, to *capitano* wziął mnie pod rękę.

– Choroba lądowa – stwierdził. – Minie. – I razem szliśmy nabrzeżem do miasta.

Nagle uderzyła mnie ściana hałasu. Wyszła mi naprzeciw cała tęcza barw. Wdychałam setkę różnych zapachów. Wszystkie moje zmysły zostały zaatakowane. Neapol nie przypominał żadnego z miejsc, które widziałam. Wyszłam wprost na arabski bazar.

Nieustannie zaczepiali nas zarówno Cyganie, jak i miejscowi. Ulice przypominały kasbę pełną rozwrzeszczanych kupców, oferujących barwne towary – jedzenie, paciorki, ryby. Widziałam nawet kolekcję ludzkich czaszek wystawioną na sprzedaż, patrzyły upiornie z kramu. Widziałam też szeregi niewolników, skutych tak jak my, ładne dziewczyny na sznurach, silnych mężczyzn czy pokojówki powiązanych razem niczym bydło. Wiedziałam, że taki będzie i nasz los, jeśli nie przypadniemy do gustu don Ferrantemu. Tu prawo nie sięgało, panował tu hałas, bałagan, wyczuwało się zagrożenie, typowe miasto złodziei. Jednak mieszkańcy gestami zapraszali do swoich sklepów czy domów. *Capitano* wprowadził nas do ciemnej bramy i kupił za jedną monetę bukłak wina. Kiedy popijaliśmy po kolei (brat Guido odmówił, wiedziałam, że tak zrobi), ja się rozglądałam. Zerknęłam do jakiejś izby: było w niej sześcioro dorosłych i niemowlę, łóżko, dziura w ziemi, kociołek do gotowania, to wszystko. Było tam tak strasznie, że z ulgą wyszłam na ulicę.

– Czy oni wszyscy tu mieszkają?! – wrzasnęłam do *capitano*, przekrzykując hałas.

– Owszem! – odkrzyknął. – To się nazywa *basso*. Cały dom w jednej izbie.

Madonna! Gotować, srać, pieprzyć się i spać w jednej izbie na oczach dzieciaków? Nawet Enna i ja żyłyśmy w lepszych warunkach. Zastanawiałam się, czy uda mi się powiedzieć coś miłego, bo przecież kapitan był miejscowy.

– Ale wino dobre – stwierdziłam.

Capitano skinął głową.

– Białe wino zwane *Lacrimae Christi*, Łzy Chrystusa. Winogrona rosną w cieniu wulkanu. – Wskazał przygarbioną błękitną górę nad nami. – Cenne sole pochodzące z jego wnętrzości nadają winu smak.

Słyszałam oczywiście o górach, które wydychają ogień i stopione skały. Obrzuciłam wulkan niespokojnym spojrzeniem, ale dziś przypominał śpiącego smoka, ziejącego leniwie dymem w niebieskie niebo.

Na dole nie było wcale tak spokojnie. Zewsząd dobiegał hałas, słychać było muzykę. Wszędzie słyszeliśmy lokalne pieśni śpiewane nosowymi głosami. Szczególnie jedną z nich słyszałam przez cały czas, ze dwanaście razy w ciągu naszej krótkiej przeprawy.

Pokaż, pokaż, pokaż rogi!
Na twej matki pogardę i kpiny
Inny syn jest na pochylni,
A dla ciebie pogarda,
A dla ciebie kpina.

Język neapolitański był dla mnie prawie niezrozumiały, tym bardziej że ortolany i jaskrawo ubarwione papugi darły się ze szczytów domów, jakby ze sobą współzawodniczyły. Wydawało się, że piosenka jest o ślimakach, ale to chyba niemożliwe.

– O czym oni śpiewają? – spytałam naszego porwacza.

– O rogaczu – odpowiedział krótko. (Wiedziałałam, co to oznacza: chodzi o to, że żona pieprzy się z innym facetem za plecami męża). *Capitano* pokazał jakiś dziwny symbol, palec wskazujący i mały wyprostował jak rogi, a dwa środkowe przytrzymał kciukiem. – Proszę, robimy znak rogów diabła. To chroni przed pechem – wyjaśnił.

Zaczęłam się rozglądać i zobaczyłam, że wszędzie dokoła pokazują ten znak – od czarno ubranych wdów siedzących w trzech rzędach pod na pół zrujnowanym murem, po dzieciaki z oliwkowymi oczami kręcące bączki w kurzu. Zobaczyłam, że brat Guido też to zauważył i się przeżegnał. W ten sposób znak Boga przekreślił znak szatana, jakby chroniąc przed tak pogańskimi wierzeniami. Uśmiechnęłam się do niego, ale nie zareagował, więc zwróciłam się do kapitana:

– Jakiego pecha się spodziewasz?

– Mam nadzieję, że gdy się ożenię, żona nie przyprawi mi rogów.

Nie mogłam życzyć mu szczęścia w żadnym przyszłym związku, ale skoro brat Guido się do mnie nie odzywał, nadal prowadziłam rozmowę.

– A więc nie jesteś żonaty? – spytałam, udając zaskoczenie.

– Nie jestem, ale wziąłbym cię, słodki cycku, skoro o to pytasz. Jeśli, oczywiście, don Ferrante nie będzie sam chciał cię wyssać.

Obrzuciłam go nienawistnym spojrzeniem, żałując, że w ogóle zadałam sobie trud rozmowy z nim, ale on tylko się roześmiał.

– Daj spokój. Nie możesz mnie aż tak nienawidzić. Ty pierwsza obudziłaś się na łodzi, tak? Mogłaś wyrzucić mnie za burtę, kiedy spałem, i pozbyć się mnie na zawsze.

Do diabła, to właśnie powinnam była zrobić!

Zobaczywszy wyraz mojej twarzy, uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Bo wtedy o tym nie pomyślałam – wyjaśniłam sztywno.

Znowu się roześmiał.

– Przynajmniej jesteś szczerą.

Popatrzyłam na brata Guida, żeby zobaczyć, jak zareaguje na tę wymianę zdań. Ukrył się jednak w swojej skorupie jak ślimak. Widziałam, że idąc, przesuwając palcami paciorki różańca, a usta jego poruszają się w modlitwie. Uff, pomyślałam, pewnie chce za pomocą modlitwy pozbyć się smaku moich ust. Powodzenia. Pocałunku Chichi nie zapomina się tak łatwo. Jednak było mi smutno, bo w obliczu niebezpieczeństwa byliśmy sobie tak bliscy, a teraz, choć skuci razem, nie mogliśmy być bardziej od siebie oddaleni.

Przepchaliśmy się przez tłum spieszących dokądś mieszkańców i zastanawiałam się nad tym, jak niscy są tu ludzie. Wydawali się nie więksi od karła na nabrzeżu, który przywiązał naszą łódź, byli śniadzi i posępni, w odróżnieniu od wysokich i gibkich blondynów z północy. Trudno było sobie wyobrazić, jak perłowoblada dama z *Primavery* mogła tu mieszkać. Różniła się od nich tak bardzo jak chart od sfory kundli. Tak jak ja. Pod wieloma względami górowałam nad nimi.

Jednak to miejsce najwyraźniej było pełne sprzeczności. Na murach znajdowały się prymitywne rysunki, jak w jaskini starożytnych, albo jakieś napisy, a także nisze z figurkami Madonny i świętych. Na każdym rogu była mała kapliczka, czysta i pełna zadbanych kwiatów i świec z porządnie przyciętymi knotami. Zauważyłam również, że wśród rozmaitych towarów sprzedawanych na ulicach – leków, kradzionych rzeczy, ziół – były setki szopek rzeźbionych w drewnie, czasami pomalowanych, czasami nie, a wszystkie przepiękne. Najwyraźniej to jakaś miejscowa specjalność. Neapol był miastem kontrastów, miastem brudu, lecz i wiary. Jak brat Guido i ja, wierzący i nieczysta, połączeni przez przypadek i współdziałający w miarę swoich możliwości.

Wkrótce zaczęliśmy wspinać się na wzgórze z dala od przystani i zauważyłam, że podobnie jak we Florencji, kiedy teren się wznosi, męty opadają i dzielnica robi się przyjemniejsza. Jednak kiedy wspięliśmy się ponad zacienione ulice i markizy straganów, upał stał się bardzo dokuczliwy. Zaczęłam się obficie pocić. Widziałam już cel naszej wspinaczki wiszący ponad miastem – wielki czerwony zamek, dwie bliźniacze wieże ozdobione wieżyczkami łączył wielki łuk z białego marmuru. Kiedy podeszliśmy bliżej, zrozumiałam, że pora działać, bo nigdy nie wydostaniemy się z tej matni, jeśli Guido będzie milczał jak ostryga. Przy zamkowych bramach *capitano* poszedł przodem, by przekupić wartowników, którzy skrzyżowali halabardy przed naszymi nosami. Uszczypnęłam Guida w ramię. Wreszcie spojrzał na mnie, ale miał minę śmiertelnika patrzącego na diabła, przez którego zasłużył na potępienie.

Wściekłam się.

– Posłuchaj – syknęłam – obudź się i zachowuj jak mężczyzna. Bez względu na to, co się wydarzyło na okręcie, żyjemy i mamy *cartone*. Zastanów się i rozejrzyj. Musimy oczarować tego

człowieka, don Ferrantego, albo nasze poszukiwania zakończą się tutaj. Zachowuj się jak ktoś ważny, na litość boską, bo odkąd wylądowaliśmy na tej skale, jesteś nudny jak dzień Sądu Ostatecznego.

W odpowiedzi tylko pokręcił głową.

– Jesteś żaloszny – prychnęłam, spluwając. – W porządku, zachowuj się jak rozpuszczony mięczak. Widzę, że nie mogę się spodziewać, iż coś zrobisz. Nie wiem, dlaczego nie możesz wziąć spraw w swoje ręce. Pewnie to ja będę musiała ocalić nam życie. Jak zwykle. – I ruszyłam w ślad za kapitanem. Wiedziałam, że ostatnie zdanie było niesprawiedliwe, bo to brat Guido ratował nam tyłki w czasie naszych podróży, ale chciałam powiedzieć coś, co wyrwie go z tego przepelnionego poczuciem winy otępienia. Nie zadziało.

Zwykle przed spotkaniem z nowym i ważnym mężczyzną martwiłam się o swój wygląd. Skórę miałam napiętą od słońca i wysuszoną od wody. Kiedy polizałam wargi, smakowały solą. Moje włosy nadal opadały w słonych sznurach, szeleściły, kiedy odrzucałam je do tyłu, a od słońca zrobiły się prawie białe. Poczulałam się jeszcze większą wieśniaczką, kiedy *capitano* prowadził nas przez kolejne wspaniałe urządzone sale i komnaty. Wszędzie kręcili się dworzanie w swoich wytwornych strojach, ale, co dziwne, wszystkie ubrania, klejnoty, a nawet dekoracje na ścianach były czarne lub białe. Kiedy minęliśmy trzeci czy czwarty antyszambr, wypełniony wyniosłymi czarno-białymi dworzanami, którzy patrzyli na nas z góry jak na drewno wyrzucone na plażę (tym w istocie byliśmy), zaczęłam podejrzewać, że moje oślepienie słońcem oczy straciły zdolność rozróżniania kolorów. Odcienie tęczy w tym miejscu nie istniały. Nieświadomie wpatrywałam się w każdą napotkaną damę, szukając podobieństwa do Gracji po prawej stronie, pięknej kobiety zidentyfikowanej przez nas jako „Neapol”. Wiedziałam co prawda, że damy tej nie ma już wśród żywych, ale wpatrywałam jej ducha spacerującego między dworzanami. Jednak wszystkie damy na tym dworze były ciemnowłosymi i czarnookimi Hiszpankami i żadna z tych podobnych do srok kobiet nie dorównywała księżycowobladej delikatności Gracji.

– Dlaczego są ubrani na czarno i biało? Czy ktoś umarł? – wyszeptałam do kapitana.

Pokręcił kędzierzawą głową.

– To nie żałoba, tylko moda – wyjaśnił. – Jesteś na dworze aragońskim, a oni uznali, że wypada nosić się tylko na czarno albo na biało.

Madonna!

– A don Ferrante to jeden ze szlachetnie urodzonych?

– Niezupełnie. – Uśmiech kapitana nie był przyjemny. – Don Ferrante to Ferdynand Pierwszy, król Aragonii i Neapolu. Król. Niech to diabli. Po raz kolejny mam spotkać wielkiego człowieka, a śmierdzieć jak fretka i wyglądam jak jeżozwierz po burzy.

Wreszcie przeszliśmy przez gigantyczne drzwi do największej jak dotąd sali – była to długa

galeria, której ściany zdobiły skomplikowane rzeźby – maleńkie kawałki kości słoniowej osadzone w ciemnym hebanie, co tworzyło fantastyczne kształty i wzory. Ani kość, ani drewno nie były specjalnie drogie, ale talent, jakiego wymagało stworzenie tych paneli ciągnących się jak okiem sięgnąć, czynił je bezcennymi. Pośrodku galerii stała w szlachetnej pozie imponująca postać, ubrana na biało i oparta o ogromny czarny kominek. Gigantyczne palenisko było puste w ten upalny dzień. W popiołach ostatniego ognia na trójnogim stołeczku do dojenia przycupnął mężczyzna w czerni i strugał blok białego drewna, a śnieżne strużyny spadały spod jego palców na palenisko.

Człowiek w bieli mówił nieznanym mi językiem, pewnie po aragońsku, ale kiedy moje ucho trochę przywykło, mogłam odróżnić kilka wyrazów i stwierdzić przy okazji, że hiszpański nie jest zbyt dalekim kuzynem tokańskiego. Niewolnik mężczyzny w bieli wybąkał coś w odpowiedzi, ale nie oderwał wzroku od rzeźby. Za takie odstępstwo od dobrych manier we Florencji czekałaby go chłosta.

Cicho szliśmy przez galerię. Czarno-biała para nie zwracała na nas uwagi, ale kiedy się zbliżyliśmy, człowiek w bieli się odwrócił.

– *Capitano* Ferregamo – powiedział i wtedy poznaliśmy nazwisko kapitana. – Widzę, że przeżyłeś ostatnie sztormy. Gratuluję. Czy to samo można powiedzieć o flocie Muda?

Ferregamo skłonił się nisko i odezwał głosem tak pokornym, że z trudem go rozpoznałam.

– Ekscelencjo, o ile wiem, zatonął jedynie okręt flagowy. Pozostałe przyplłyną dzisiaj lub jutro, bo my byliśmy o dobrych pięć mil przed nimi. Musieliśmy wyruszyć wcześniej z powodu tych oto intruzów.

– Przywiozłeś nam łupy? – W głosie monarchy w bieli było coś dziwnego, spółgłoski w jego ustach syczały jak węże.

– Owszem. Ten człowiek jest szlachcicem z Pizy. Kobieta to jego towarzyszka, ale jest piękna, więc pomyślałem, że może spodoba się Jego Królewskiej Mości.

Jego Królewskiej Mości? Więc człowiek w bieli to nie król Ferdynand? Czy musimy minąć jeszcze więcej komnat, żeby dotrzeć do sali tronowej? Człowiek wąż znowu się odezwał:

– Ale twój „szlachcic” nosi szaty mnicha. – Obszedł nas z ciekawością, przytykając do nosa białą pomadę, jakbyśmy śmierdzieli (i pewnie tak było).

– Nie jest mnichem, Ekscelencjo. Przyłapałem go na pokładzie, jak całował tę kobietę.

Rzuciłam okiem na Guida i zobaczyłam, że opuszcza głowę zawstydzony. Służący w czerni siedzący w kominku nadal rzeźbił. Nożyk gwizdał w powietrzu, wióry odskakiwały od jego palców, czip, czip, czip.

Wężowy język się uśmiechnął.

– Ale nie pozbawił jej dziewictwa?

– Nie na okręcie – zapewniał kapitan. – Nie mam co do tego wątpliwości. Przez cały czas

byli obserwowani.

Zatrzęsłam się z oburzenia. Obserwowani? Czy *capitano* widział, jak wyjęliśmy *cartone*, i słyszał naszą rozmowę o znaczeniu obrazu? Niemożliwe. Chciałam, żeby moje serce trochę zwolniło. *Capitano* na pewno by nas nie podglądał, a wszyscy pozostali nie żyją. Jednak przysięgam sobie, że przy najbliższej okazji, kiedy będziemy sami, powiem bratu Guidowi, żeby pilnował obrazu, bo jeśli go zgubimy, koniec z nami.

Wężowy język przyglądał mi się uważnie.

– W porządku. Ujdzie. Co Wasza Królewska Mość na to?

Mężczyzna przycupnięty w kominku odezwał się tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Muszę ją obejrzeć.

Spojrzałam na niego zaskoczona. On? To on ma być Ferdynandem, królem Aragonii i Neapolu? Ubrany był w prostą czarną szatę bez ozdób, przycupnął jak niewolnik, miał zrogowaciałe i spracowane ręce. Ale w jego wzroku błyszczała szarość stali, a na nosie miał szlachetny garbek. Człowiek, z którym trzeba się liczyć.

Przeżyliśmy już wiele niespodzianek, ale to, co wydarzyło się teraz, było jeszcze bardziej zaskakujące: człowiek w bieli zręcznie rozerwał moją suknię na ramionach. Ciężka od soli i sztywna, rozdarła się, ukazując moje piersi. Dziękowałam *Vera Madre*, że zdążyłam przekazać *Primaverę* Guidowi, bo w przeciwnym razie byłaby dla nas stracona. Stałam bez ruchu, a trzech mężczyźni wpatrywali się we mnie. Brat Guido odwrócił wzrok. Wiedziałam, jak się zachować w takiej sytuacji. Wygięłam plecy i zwilżyłam usta, żałując, że w komnacie nie jest chłodniej, żeby stanęły mi sutki. Jeśli jedynym narzędziem ocalenia nas mają być moje piersi, bardzo proszę, to zadanie ich nie przerasta.

– Dobrze – powiedział król. – Wezmę ją. Ale jego nie. Mam tu dosyć szlachciców, z większością jest tylko kłopot.

Spojrzałam przerażona na mojego przyjaciela, a mężczyzna w bieli dał mi znak, żebym się zakryła. Przecież nas nie rozdzieli!

Capitano zaczął się przymilać:

– Wasza Królewska Mość, spodziewałem się okupu.

Król popatrzył na brata Guida, który wyglądał na człowieka przegranego.

– Nie sądzę, Ferregamo. Po prostu go sprzedaj. Zazwyczaj nie jesteś taki drobiazgowy.

Capitano pochylił się, żeby zdjąć nam łańcuchy. Nasze stopy zostały rozdzielone, ale ja nadal trzymałam się habitu Guida. Żeby tylko zechciał się odezwać.

– Nie! – błagałam. – Nie możecie go zabrać. To ważny człowiek. – Czułam, że jestem śmieszna. I kocham go, dodałam w duchu.

Capitano pociągnął Guida do drzwi, a ja przerażona patrzyłam na niego po raz ostatni.

W akcie rozpacz, pragnąc, żeby przemówił, przeżegnałam się, przemawiając jedynym językiem, jaki teraz do niego docierał – językiem Boga, jego Boga, któremu się sprzeniewierzył, całując mnie. Boga, do którego wracał jak zbłąkana owieczka. Wreszcie zauważył moją obecność i odpowiedział na mój gest, i co najdziwniejsze, aby odsunąć ode mnie pecha, wykonał neapolitański znak rogów, gest, który obserwowaliśmy przez cały ranek. Pierścień stryja na kciuku błysnął złotem, a ja odwróciłam się ledwo żywa ze strachu, że zostanę zupełnie sama na tym dworze szachowych figur. Ale kiedy otworzyły się ogromne drzwi, król wstał.

– Poczekaj!

To był rozkaz. Król przeszedł przez białą-czarną galerię, ujął lewą rękę Guida i przyjrzał się dokładnie pierścieniowi. Obejrzał jasną obrączkę i dziewięć złotych kul. Wreszcie podniósł lewą rękę, a na jego kciuku błyszczał taki sam pierścień. Wytrzeszczyłam oczy. Jeszcze jeden pierścień! Don Ferdynand popatrzył mojemu przyjacielowi w oczy.

– Kim jesteś?

Powściągliwość brata Guida opadła jak maska. Widziałam, jak się wyprostował, spojrzał królowi prosto w oczy. W tym momencie sam był królem. Przytrzymując Ferdynanda prawdą swego niebieskiego spojrzenia, powiedział wyraźnie:

– Jestem Niccolo della Torre, dziedzic państw i dominiów miasta Piza.

Niezwykły król pokręcił głową, jakby otrzymał bolesny cios, po czym uśmiechnął się, a uśmiech zupełnie odmienił jego twarz.

– Mój panie! Wybacz mi, nie wiedziałem, że przybędziesz osobiście.

– Uznałem, że tak będzie najlepiej, zwłaszcza teraz – odparł „Niccolo”, badając grunt.

Krół skinął głową.

– W rzeczy samej. On nie powiedział...

– On nie wie. Chciałem mu zrobić niespodziankę.

Kolejne skinienie głową.

– Oczywiście, oczywiście. Wybacz mi, wybacz. Wybacz, że tak cię potraktowałem, ciebie i twoją towarzyszkę. – Spojrzał na mnie z uśmiechem. – Ale skąd te święte szaty?

Widziałam, że brat Guido myśli intensywnie, i byłam pełna podziwu.

– Być może nie słyszałeś o niewczesnej śmierci mego ojca. Został zamordowany i musiałem jak najszybciej opuścić miasto pod osłoną nocy i w habitie mnicha.

– Twój ojciec nie żyje? Tak mi przykro. Silvio był zacnym mężem, a ty jesteś bardzo do niego podobny. Ta sama postawa, twarz...

To prawda. Brat Guido bardziej przypominał stryja niż jego kuzyn, za którego teraz się podawał. Ale co chciał osiągnąć tym oszustwem? Jaką korzyść mogło przynieść udawanie kogoś, kim się nie jest?

– Zakładam, że ojciec wszystko ci powiedział? – spytał król.

– Oczywiście. Dziedzicę po nim wszystko. – Słowa brata Guida nabierały szczególnego znaczenia.

– W takim razie, choć gracze się zmienili, gra toczy się dalej – stwierdził król, co znowu skojarzyło mi się z szachami.

Kręciło mi się w głowie od tych kłamstw, ale musiałam przyznać, że to skuteczna taktyka, bo komnata nagle wypełniła się służbą, której polecono zadbać o naszą wygodę. Grupa pokojówek wyprowadziła mnie z galerii, kilku służących zrobiło to samo z bratem Guidem. *Capitano* dostał polecenie, by dopilnował swojej floty. Mężczyzna w bieli wręczył mu ciężką sakiewkę. *Capitano* wyszedł i nawet się nie obejrzał. Dokonał transakcji i bez najmniejszego żalu porzucił nasze towarzystwo. Nam też nie było przykro, że się z nim rozstajemy. Zapomniałam o nim w jednej chwili, zwłaszcza kiedy usłyszałam słowa króla:

– Dostaniecie najlepsze komnaty, jakie są w moim zamku. Twoja towarzyszka będzie w sąsiednim pomieszczeniu dla twojej wygody i przyjemności. Proszę cię, wybaczyć mojemu majordomusowi, że dotknął twojej własności.

– Zapomnijmy o tym, Wasza Wysokość – powiedział brat Guido, skłaniając głowę w geście przebaczenia przed ministrem w bieli.

– Jesteś bardzo łaskawy. Choć, prawdę mówiąc, ja sam mam trzy kochanki, no i żonę, i gdyby ktoś uwolnił mnie od jednej, byłbym mu bardzo wdzięczny.

Obaj szlachetnie urodzeni zarechotali, jak przystało na mężczyzn. Zauważyłam, że brat Guido jest utalentowanym aktorem. Zachwyciło mnie to jego nowe wcielenie. Czy to możliwe, że zaledwie przed kilkunastoma minutami wypominałam mu bierność i brak inicjatywy?

– Może zrobisz mi zaszczyt i wyruszysz jutro na północ wraz z moim dworem? Skoro obaj jesteście zaproszeni na tę wielką uroczystość, głupotą byłoby podróżować osobno.

Brat Guido oczywiście nie miał pojęcia, o co chodzi, ciągnął jednak grę.

– Z największą przyjemnością. Moja świta, oczywiście, będzie tam na mnie czekała.

Król osobiście odprowadził nas do drzwi, a jego majordomus z uśmiechem samozadowolenia wziął mnie pod rękę, jakbym była królową. Spojrzałam na niego niechętnie. Nie zapomnę mu tego, że podarł moją suknię.

Jeszcze jedna rzecz doszła do moich uszu, zanim wyszliśmy z galerii. Don Ferdynand powiedział do swojego majordomusa wyraźnie i głośno, żebyśmy usłyszeli:

– Santiago, masz czuwać nad moim najbardziej honorowym gościem, bo Niccolo della Torre jest, podobnie jak ja, jednym z Siódemki.

ROZDZIAŁ 4

Z galerii zabrały mnie dwie mauretańskie ślicznotki i zaprowadziły do miejsca, które okazało się łaźnią. Zdjęły ze mnie podartą i sztywną od soli suknię, a ja wślizgnęłam się do mlecznej wody, która jak przydymione zielone szkło lśniła pod rzymskimi kolumnami i kamiennymi kapitolami, tak kruchymi, jakby były z cukru. Jedna służąca wrzucała do wody płatki jaśminu, a druga myła mnie delikatnie szorstką gąbką, nie omijając najbardziej intymnych miejsc. Nigdy co prawda nie miałam skłonności do takich rzeczy (choć jeśli klient płacił, gotowa byłam na safickie pozy), ale muszę przyznać, że moje ciało w tym momencie znalazło się w raju. Umysł tymczasem miotał się na wzburzonym morzu. Miałam ochotę krzyknąć, kiedy rozdzielono mnie z Guidem akurat w chwili, gdy w mojej głowie kłębiły się tysiące pytań. Ciało zaznało spokoju, ale umysł był w stanie wrzenia. Kim lub czym jest Siódemka? A raczej, jeśli król Ferdynand i Niccolo della Torre są dwoma z Siódemki, to kim są pozostali? Co oznacza pierścień na kciuku? Co łączyło niedawno zmarłego Silvia z Ferdynandem? Na jaką „wielką uroczystość” jesteśmy zaproszeni? I co, do wszystkich diabłów, ma z tym wspólnego *Primavera*? Próbowałam uspokoić myśli, wiedziałam bowiem, że służący urządzają bratu Guidowi podobne ablucje, więc będę musiała poczekać cierpliwie na audiencję. Miałam tylko nadzieję, że potrafił ukryć obraz przed służącymi.

W końcu ubrano mnie w luźną koszulę i zaprowadzono do mojej komnaty, przestronnego pomieszczenia, z którego prowadziły drzwi do pokoju mojego „pana”. Niewolnice krzątały się koło mnie, a ja nie mogłam się doczekać, aż sobie pójdą, choć przyniosły owoce, śledzie i chłodziły wino w glinianym dzbanie z kruszonym lodem. Powiedziały mi w dziwnym neapolitańskim dialekcie, połączonym z żywą gestykulacją, że wkrótce zjawią się garderobiane, żeby ubrać mnie na kolację. Przez cały czas wytężałam słuch, żeby usłyszeć odgłosy z sąsiadującej z moją komnatą mego przyjaciela, ale słyszałam tylko od czasu do czasu jęk czy krzyk, co bardzo mnie zaniepokoiło. Gdybym podsłuchiwała pod drzwiami jakiegokolwiek innego mieszkańca naszej płaskiej Ziemi, pomyślałabym, że chodzi o drobny samogwałt, ale w przypadku brata Guida wiedziałam, że nie ma mowy o tym, by „wziął się w garść”. Nareszcie zostałam sama. Płonęłam z ciekawości i podsłuchiwałam pod drzwiami, ale w komnacie panowała cisza. Niemal pewna, że już nikogo tam nie ma, weszłam bez pukania.

Był sam, leżał twarzą w dół na ozdobnym łożu z głową przy ścianie. Habit rzucił obok łożka. Zauważyłam, że nie ma przy nim paska z węzłami. Brązowy barchan tworzył nieporządną stertę, jakby jego właściciel zrzucił skórę. I tak było. Bo plecy brata Guida ociekały krwią, bezlitośnie wysmagane biczem. Zrozumiałam wtedy trzy rzeczy.

Prima cosa: Brat Guido posłużył się sznurem z węzłami od franciszkańskiego habitu, żeby ukarać się za różne wykroczenia.

Seconda cosa: Nawet bez liczenia wiedziałam, że wymierzył sobie równo czterdzieści batów, dokładnie tyle, ile mściwi Rzymianie spuścili na plecy Chrystusa w dniu jego śmierci. Pytania zamarły mi na ustach i wycofałam się zaszokowana. Brat Guido odwrócił głowę, przyłapany na gorącym uczynku, ale kiedy zobaczył, że to ja, z jego błękitnych oczu spłynęły dwie łzy, minęły szlachetny nos i spadły na narzutę łóżka. *Lacrimae Christi*. Zrozumiałam trzecią rzecz.

Terza cosa: Ja mu to zrobiłam. Kusiłam go jak syrena, odpowiedział na mój pocałunek ostatnim tchnieniem, jak mu się wtedy wydawało, a teraz nie mógł zapomnieć tego uczynku. Wstrząśnięta tym odkryciem, zamknęłam drzwi, nie mając pojęcia, co powiedzieć.

ROZDZIAŁ 5

Siedziałam na zasłanym łóżku, patrząc przez okno na zatokę. Musiałam tak siedzieć bez ruchu przez dłuższy czas, bo w pewnym momencie dwukrotnie odezwały się dzwony i zrobiło mi się zimno, gdy zaszło słońce. Powtarzałam sobie, że myślę o *Primaverze* i zagadce ukrytej w obrazie, ale naprawdę przez cały czas myślałam o Guidzie, który leżał nieruchomo za drzwiami, cierpiał w milczeniu, a wszystko z powodu tego, co zrobiłam. Czy uda nam się kiedykolwiek wrócić do poprzednich stosunków? Czy też nasze relacje zmieniły się nieodwracalnie? Chichi z całą jej pewnością siebie, z całą brawurą po raz kolejny mnie opuściła, stałam się zwykłą dziewczyną oddającą się rozmyślaniom w samotności, Lucianą Vetrą, bezdomną, niemającą ani przyjaciół, ani matki. *Vera Madre* nigdy nie była mi bardziej potrzebna, chciałam znaleźć się w objęciu kochających ramion, poczuć serdeczny pocałunek na czole. Chociaż raz nie tęskniłam za żarem męskich objęć, ale za matczynymi ramionami. Bo powinniście wiedzieć, jeśli jeszcze się nie domyślacie, że odkąd byłam dziecięciem w butelce, kiedy to własne krzyki powracały do moich uszu odbite od szkła, nigdy nie zapłakałam. Ale teraz czułam się tak, jakbym w końcu miała się rozpłakać, i chociaż nic takiego się nie stało, miałam wrażenie, że perła Bemba przedostała się z pępka do gardła, gdzie utknęła na zawsze, choćbym nie wiem ile razy przełykała ślinę.

Blask błyszczącego diamentowego naszyjnika zatoki w dole przygasł, kiedy niebo pociemniało, a ja ledwo mrugnęłam okiem, gdy niewolnice wniosły świece. W komnacie zrobiło się cieplej od płonących za moimi plecami świec. Usłyszałam cichy głos i odwróciłam głowę.

Przedemną stały trzy kobiety, wszystkie ubrane na czarno. Wyglądały jak stado wron. Ale na tym kończyły się ponure skojarzenia, bo wszystkie miały ładne buzie i wesołe oczy, a uśmiechały się tercetem niewiarygodnie podobnych uśmiechów. Bardzo przypominały mi trzy Gracje, ale żywe, ubrane w czerń, nie w biel. Kobiety przedstawiły się jako Eulalia Ravignano, Giovanna Caracciola i Diana Guardato. Natychmiast zapomniałam, która jest która, ale witałam je przyjaznym uśmiechem, co niekoniecznie było zgodne z moimi odczuciami.

– Jesteście garderobianymi? Przyszłyście mnie ubrać? Niewolnice powiedziały, że przyjdziecie.

Jedna uśmiechnęła się bardziej zdecydowanie niż pozostałe.

– Rzeczywiście przyszłyśmy cię ubrać – powiedziała w wyraźnym neapolitańskim dialekcie, choć przetykanym hiszpańskim wężowym syczeniem. – Ale nie jesteśmy garderobianymi. Jesteśmy wolno urodzonymi damami dworu aragońskiego.

– I każdą z nas łączy specjalna relacja z królem Ferdynandem – wtrąciła druga.

– Taka, jaka łączy ciebie i don Niccolo – dodała trzecia.

To ostatnie stwierdzenie nie było prawdą, chyba że trzy damy uciekały przed florenckim zabójcą po kradzieży obrazu i załatwieniu sobie pomocy zupełnie obcego człowieka, który był mnichem udającym szlachcica. Zrozumiałam jednak ich aluzje.

– Jesteście jego kochankami?

Skinęły równocześnie głowami.

– Wszystkie? – Już zadając to pytanie, przypomniałam sobie, że sam Ferdynand się do tego przyznał, podobnie jak do posiadania żony. Tym razem nie musiałam czekać na potwierdzenie.

Damy były przyjacielskie i energiczne, kręciły się przy mnie, ćwierkając po hiszpańsku, dotykały mojej twarzy i włosów, obejmowały w talii, dyskutując najwyraźniej o tym, w co powinnam się ubrać. Wtedy zrozumiałam, kim są: nie wronami, tylko kosami, oczy czarne jak paciorki, granatowoczarne włosy, głowy przekrzywione na bok. Ich poczucie humoru było zaraźliwe i Chichi musiała wypić piwo, którego sama nawarzyła, toteż włączyłam się do rozmowy, a one przeszły na tokański. Poczułam, że jesteśmy bardzo do siebie podobne, bo czymże one w istocie były, jeśli nie dziwkami, choćby nie wiem jak szlachetnie urodzonymi? Sprośne i dowcipne, otwarcie omawiały swoje wyczyny i pytały mnie o intymne szczegóły związku z moim panem. Nie mogłam im powiedzieć, że jesteśmy czyści jak łzy, musiałam więc przytaczać szczegóły zaczerpnięte z moich zawodowych przeżyć. Panny były niezwykle zgodne, jedna zaczynała zdanie, druga je kończyła, a robiły to tak sprawnie, że musiały spędzać ze sobą dużo czasu. Z ich opowieści jasno wynikało, że również we trzy dzielą łóżę z Ferdynandem, i to raczej wszystkie naraz niż po kolei. Na temat mojego „pana” miały jednakowe zdanie.

– Na gwiazdy niebieskie, to wspaniały mężczyzna.

– Nigdy nie widziałam kogoś takiego.

– Przy nim tutejsi dworzanie wyglądają na praczki.

– Oczywiście poza naszym królem.

– Na świętego Jakuba, nie mogę się doczekać, żeby go zobaczyć w rajtuzach i w saczku.

Założę się, że nogi i stopy też ma ładne.

Paplały wszystkie naraz. Uśmiechałam się, ale nie mogłam potwierdzić ich domysłów, bo oczywiście nigdy nie widziałam Guida w rajtuzach.

– Chwilowo dajmy sobie z nim spokój – powiedziała ta, która chyba miała na imię Eulalia.

– Ubierzmy tę synogarlicę, jak nasz pan rozkazał, żeby dorównywała pięknościom swego pana.

– To nie powinno być trudne, bo obdarowana jest jak anioł.

Gdyby tylko wiedziały...

– Moje panie – powiedziałam – nie ma potrzeby mi pomagać. Potrafię ubrać się sama, jeśli dacie mi suknię.

Znowu się roześmiały.

– Co to, to nie, moja droga.

– To prawda, że ubieranie ciebie nie przystoi osobom o naszej pozycji...

– Ale nasz władca, król Ferdynand, wie, że chętnie skorzystamy z okazji, by ozdobić tak pięknego ptaka. Zrobimy to z przyjemnością.

– Możesz nam wierzyć – mówiły – że na tym dworze niewiele jest pięknych kobiet.

Większość to stare wdowy z napęczniałymi brzuchami i zwiotczalymi cipami.

Mogłam w to uwierzyć, a i owszem, bo nawet te trzy piękne kobiety miały pewne niedoskonałości. U jednej były to grube nadgarstki, u drugiej nierówne zęby, a kiedy trzecia się pochylała, czuć było nieprzyjemny oddech, na który nie pomogło używanie bez umiaru oleju goździkowego. Mogłam przypuszczać, że świadczy swemu panu, Ferdynandowi, usługi pod kołdrą, a nie twarzą w twarz. Wszystkie też były dobrze w średnim wieku.

– Bo królowa pragnie, żeby jej urody nie przyćmiewała piękność innych – wyjaśniły.

To mnie zaciekawiło.

– A więc królowa jest bardzo ładna?

– O tak. Joanna Aragońska jest wielką pięknoscią – stwierdziła wspaniałomyślnie Diana, a pozostałe skinęły głowami.

Ciekawa byłam, w jakich są stosunkach z królową, bo chociaż oszukiwałam szlachetnie urodzone damy już od dobrych paru lat, pieprząc się z ich mężami, to nigdy tak naprawdę tych dam nie znałam. Jak się żyje pod okiem kobiety, która wie, że grzejesz łóżko jej męża?

– Lubimy ją.

– Jest urocza.

– Jestem dumna, że noszę jej imię – powiedziała ta, która niewątpliwie miała na imię Giovanna. – W dzień naszej wspólnej świętej dała mi różaniec do mojego modlitewnika.

– A ona dochowuje wierności królowi? – chciałam wiedzieć.

– O tak, bez wątpienia. To nie jest mężczyzna, z którym można igrać, potrafi być okrutny dla tych, którzy go zdradzili. Niektórzy z jego zbuntowanych baronów zostali ostatnio zamordowani na jego rozkaz, choć z kilkoma przyjaźnił się od kołyski. Kobiety traktuje jeszcze gorzej.

– Na Sycylii, moja droga, jeśli zdradzasz męża, mąż może cię śmiertelnie pobić w majestacie prawa.

Przełknęłam ślinę. Fragmenty usłyszanej rano neapolitańskiej piosenki wracały z dźwiękiem dzwonów na nieszpory. *Pokaż, pokaż, pokaż rogi!*, dobre sobie. Jeśli mężczyzna pobłądził, stawał się rogaczem w komicznej piosence. Jeśli pobłądziła kobieta, to tutaj, na gorącym i namiętym południu, była właściwie trupem. Król sypiał co noc z trzema różnymi damami tuż pod nosem

królowej, ale ona musiała być cnotliwa. Zadumałam się nad tym, kiedy damy krzątały się koło mnie, ciągnąc mnie i pchając, zakręcając kosmyki włosów, ozdabiając mnie wstążkami i klejnotami, sznurując gorset. Nigdy nie musiałam żyć, jak nakazuje obyczaj, jak inne kobiety. Puszczalam się, odkąd wyrosłam na tyle, by krwawić. Czy mogłabym kiedykolwiek żyć jak „porządna” kobieta i odpowiednio się zachowywać? A miłość? Czy na to najprostsze i najsilniejsze z uczuć jest w ogóle miejsce w dworskim świecie? Czy król naprawdę kocha królową, czy może ją kochać, skoro tak hojnie szafuje swoimi względami? A skoro jej nie kocha, to dlaczego miałby się przejmować, jeśli weźmie sobie kochankę? Było to trudne do pojęcia. Jakie to szczęście, że nie jestem szlachetnie urodzona. Naprawdę.

Byłam tak pogrążona w myślach, że nie zwracałam uwagi, w co mnie ubierają, póki damy nie zaprowadziły mnie do lustra.

Zaparło mi dech.

Po raz kolejny, tak jak w Pizie, byłam całkowicie odmieniona. Zrobiły ze mnie synogarlicę pomiędzy kosami – od stóp do głów ubraną na białą. Suknia była sztywna od tysięcy drobnych pereł, a spódnica przypominała dzwon. Delikatna falbanka z koronki zdobiła ramiona i otaczała twarz. Moja cera znowu była jasna po podróży pod pokładem. Włosy też miałam jaśniejsze niż kiedykolwiek, odbarwione przez sól. Damy zakręciły mi loki, w które również wpięły niewielkie perły. Zostałam przemieniona w tę Grację, której tożsamości szukaliśmy tutaj, w Neapolu. I wtedy zaświtała mi myśl: we Florencji byłam Florą, w Pizie także. A tu jedną z Gracji. Czy mam się wcielić we wszystkie kobiety z obrazu?

Mimo mojej zjawiskowej urody wiedziałam, że w oczach znowu pojawił się błysk Chichi. Byłam jak dzbanek miodu, chodząca pokusa dla wszystkich mężczyzn na dworze. A więc dlaczego nie czułam podniecenia? Dlaczego nie zamierzałam spędzić tej nocy z jakimś namiętym i lubieżnym kawalerem?

Oczywiście wiedziałam. Kiedy szłam za damami na kolację, przyszła mi do głowy dziwna myśl. Zawsze byłam dziwką, ale teraz wiedziałam, że pragnę tylko jednego mężczyzny, i gdybym mogła go poślubić, już nigdy bym nie zbłądziła.

ROZDZIAŁ 6

Damy poprowadziły mnie przez tuzin czarno-białych komnat w tłumie innych srokatych dworzan, aż do olbrzymiej sali z pięknymi żebrowaniami na sklepieniu, tworzącymi elegancką pajęczą sieć. W poprzek pomieszczenia stały trzy długie stoły tworzące trzy boki kwadratu. Służący poprowadził mnie i moje trzy towarzyszki do środkowego stołu, gdzie posadzono nas przy obu jego końcach, zostawiając miejsce dla gości króla. Znowu sama, rozglądałam się za Guidem, ale nie dostrzegłam go w morzu czerni i bieli. Kiedy wszyscy usiedli, na galerii zagrali muzykanci, spojrzałam do góry i zobaczyłam trębaczy z wydętymi policzkami. Na końcu komnaty otworzyły się podwójne drzwi i wreszcie pojawił się królewski orszak. Wyglądał wspaniale, ale podobnie jak reszta dworu widziałam jedynie ich szlachetnego gościa.

W niczym nie przypominał złamanego Chrystusa, którego widziałam po południu, krwawiącego na łóżku. Był gładko ogolony, włosy miał podcięte i zakręcone w granatowoczarne lśniące loki. Jego twarz promieniała zdrowiem, cera miała ciepły odcień moreli. Niebieskie oczy błyszczały na tle opalenizny i omiały komnatę dumnym spojrzeniem. Ubrany był na czarno, aksamitny płaszcz zdobiły klejnoty, a szerokie aksamitne rękawy były rozcięte, by pokazać śnieżnobiałą koszulę. Na nogach miał obcisłe czarne rajtuzy, które eksponowały łydki i uda jakby wyrzeźbione w marmurze, tak były jędrne, długie i umięśnione. (Nie byłabym sobą, gdyby mój wzrok nie zboczył w stronę saczka, który, jak się zdawało, chlubił się tak okazałą męskością, że aż zapłonęły mi policzki. Nie mogłam uwierzyć, że kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, złapałam go za fiuta. Teraz dałabym wszystko, żeby znowu to zrobić). Jego postawa i wyraz twarzy tchnęły surową szlachetnością. Moc spowijała go niczym opończa. Zastanawiałam się, jak skromny mnich potrafi tak dobrze udawać, ale moje płoche kobiece serce pragnęło go bardziej niż dotąd. Nagle uświadomiłam sobie, kim mógłby być, gdyby przyjął dziedzictwo po stryju, i zrobiło mi się przykro, że wybrał akurat taką drogę. Teraz Piza będzie cierpieć pod rządami bezwartościowego *finocchio*, czyli prawdziwego Niccolo. Guido della Torre natomiast byłby prawdziwym księciem Pizy, szlachetnym pędem, niemającym sobie równych. Był po prostu wspaniały.

I nie tylko ja tak myślałam. Nawet królowa Joanna – musiałam przyznać, że istotnie była piękna na swój ciemny aragoński sposób – wymieniała z nim spojrzenia, kiedy całował jej rękę. Jeśli ta kobieta, której czystość jest poza wszelkim podejrzeniem, okazała tak wyraźne zainteresowanie, stanowiło to najlepsze potwierdzenie wdzięków brata Guida. Spojrzałam ukradkiem na Ferdynanda, ale król sadowił się na krześle i witał gości, nie zauważył więc tej wymiany spojrzeń. Brat Guido znalazł się u mojego boku i podniósł do ust moją rękę. Jednak jego

oczy nie spotkały się z moimi, tak jak spotkały się z oczami królowej. Moja rozpalona ręka opadła na podolek, policzki płonęły, a kiedy zajął miejsce obok mnie, wiedziałam, iż zauważył moją urodę i że zrobiła na nim takie wrażenie, jak wtedy, gdy zobaczył mnie schodzącą ze schodów w Pizie.

Najwyraźniej on też pamiętał tamten wieczór. Pochwycił echo moich myśli niby daleki dźwięk dzwonu i powiedział:

– Jak uroczo dziś wyglądasz, Luciano. Jestem zaszczycony, mogąc ci towarzyszyć.

Dokuczałam mu, ponieważ nie wypowiedział tych właśnie słów, kiedy zesłam ze schodów w pałacu jego stryja. Teraz jego niebieskie oczy błyszczały, a ja nie mogłam uwierzyć, że potrafią tak wiele powiedzieć. Kiedy weszłam wcześniej do jego komnaty, miał posępne spojrzenie, a teraz promieniał dobrym humorem. Domyślałam się, że musi być jakaś przyczyna tak dobrego nastroju. Może gdy się nie widzieliśmy, dokonał znaczącego odkrycia, które posunęło do przodu nasze poszukiwania?

Cieszyłam się jego dobrym nastrojem bez względu na powód.

Szybko stało się jasne, że będzie to przyjemny wieczór, a to z trzech powodów.

Prima ragione: Brat Guido pił, czego nigdy wcześniej nie widziałam, ale najpewniej chciał być wiarygodny, bo od szlachcica w dzień bez postu oczekuje się, iż doceni wina gospodarza.

Seconda ragione: Będziemy jedli z jednego talerza, ponieważ zostałam uznana za towarzyszkę pana Pizy, a wszystkie pary jadają z jednego talerza, zgodnie ze zwyczajem przyjętym w dobrym towarzystwie.

Terza ragione: Brat Guido uważnie obserwował innych dworzan i ich kurtyzany przy sąsiednich stołach i naśladował ich zachowanie: pochylał się nade mną, podtykał mi smaczne kąski, szeptał do ucha. Nie miało znaczenia, że rozmawialiśmy o skradzionym obrazie, wystarczała sama bliskość. Bardzo chętnie podjęłam tę grę. Tego popołudnia w swojej komnacie popatrzył na mnie wzrokiem potępieńca stojącego nad przepaścią, której najwyraźniej nigdy nie da się zasypać. Ale teraz, choć byliśmy tylko pionkami w grze, miałam poczucie, że przeszłam przez dolinę i wdrapałam się na mury. Czyż nie mogłam mieć nadziei, że pewnego dnia zostanę wpuszczona do cytadeli?

Podczas moich rozmyślań brat Guido długo mówił coś do króla siedzącego po jego prawej stronie, ale szmer rozmów był zbyt głośny, bym mogła cokolwiek usłyszeć. Kiedy się odwrócił, przysunęłam się bliżej i tak jak kiedyś jego włosy poślaskotały mnie w policzki.

– Dowiedziałeś się czegoś o Siódemce? – szepnęłam.

– Nie. Król mówił, o ile lepiej urządzić podobne przyjęcia w tej rezydencji, a nie w jego starej siedzibie, Castel Capuano, po drugiej stronie zatoki. To miejsce, Castel Nuovo, odziedziczył po śmierci ojca, stwierdził więc, że żałoba może przynieść zarówno radość, jak i smutek. Robił aluzje do mojej straty.

Jestem pewna, że w tym momencie brat Guido naprawdę wyglądał na zrozpaczonego syna, bo bardziej kochał stryja niż prawdziwy Niccolo.

– Nic więcej? Co to za uroczystość, w której wszyscy mamy wziąć udział?

– Nie powiedział, ale dał do zrozumienia, że dzisiejszą ucztę wydano na cześć kogoś lub czegoś. Ma wygłosić toast, może wtedy dowiemy się więcej.

– A *cartone*? Jest bezpieczny? Gdzie się znajduje?

Guido poklepał się po piersi.

– Tutaj.

Wyglądała podejrzenie płasko, jakby pod ubraniem kryły się tylko rozwinięte mięśnie.

– Nadal w bukłaku? – spytałam, mrużąc oczy.

– Nie, powiedziałem im, żeby uważali na bukłak, bo są tam relikwie mojego zmarłego ojca.

Hiszpanie rozumieją takie sprawy i król przysłał mi wysadzany klejnotami skórzany kapciuch, płaski jak kieszeń, przeznaczony do noszenia relikwii przy sobie. Teraz *cartone* jest bezpieczny.

Odetchnęłam z ulgą.

– O do diaska, to wspaniale. To by dopiero był nocnik ze szczynami, gdyby...

Brat Guido uciszył mnie ruchem ręki, ponieważ król wstał, żeby przemówić, i sala natychmiast umilkła. Wysoki, obdarzony wyrazistymi rysami Ferdynand robił wrażenie, od stóp do głów ubrany w czerń.

– Drodzy przyjaciele – zaczął poważnym neapolitańskim akcentowanym z aragońska, uśmiechając się bezbarwnie. Kątem oka dostrzegłam, że trzy kochanki i małżonka wpatrują się w niego z uwielbieniem. – Jak wiecie, jesteśmy tutaj, by uczcić zaręczyny kuzyna naszego drogiego przyjaciela.

W sali rozległ się szmer niezadowolenia, co mnie zaskoczyło, sądziłam bowiem, że król jest lubiany. Może powinien zamordować jeszcze kilku baronów?

Uniósł rękę, żeby uciszyć protesty.

– Nie, moi przyjaciele. Wawrzyniec Medyceusz dokuczył w przeszłości naszemu królestwu i nie zawsze byliśmy w dobrych stosunkach. Ale odkąd odwiedził mnie w tym roku i złożył uszanowanie, wszystkie dawne krzywdy zostały zapomniane. Uważam nas za braci. Co prawda nie zawsze się zgadzamy, ale łączą nas więzy krwi. – Teraz rozległy się śmiechy. – I z tego powodu świętujemy dziś zaręczyny jego ukochanego kuzyna Lorenza di Pierfrancesca Medyceusza z Semiramidą Appiani z Domu Aragońskiego.

Mój otępiały umysł z trudem za tym nadążał. Il Magnifico niedawno pokłócił się z królem Ferdynandem, ale na początku roku przyjechał, żeby się pogodzić. Jego kuzyn, patron Botticellego, miał się żenić z kobietą z rodziny Ferdynanda. Czy ten związek był wyrazem „uszanowania”, jakie Il Magnifico złożył Domowi Aragońskiemu?

– Ciekawe, o co się pokłócili – szepnęłam do mojego towarzysza. – Musiało to być coś poważnego, skoro Il Magnifico proponuje swego kuzyna jako nagrodę.

– Szsz – syknął Guido, bo król podjął przemowę.

– Dostąpiliśmy zaszczytu zaproszenia na ucztę weselną, za siedem nocy od dziś.

W porządku. Czy to oznacza, że Lorenzo di Pierfrancesco pojedzie na południe, by wziąć ślub w domu narzeczonej? Dokąd jeszcze się udamy na tym śmierdzącym południu? Miałam niepokojące przeczucia.

– Wznieśmy więc toast za zdrowie panny młodej i pana młodego, za powodzenie naszego sojuszu i za jutrzejszy wyjazd dworu na ślub. To może lepiej, że nie będzie nas w Neapolu, bo, jak wszyscy wiecie, krew naszego błogosławionego świętego Januarego nie zrobiła się płynna w tym roku.

W ogóle tego nie rozumiałam. Rozglądałam się, czy ktoś śmieje się z żartu, który był zbyt wyrafinowany, żebym mogła go pojąć, ale zobaczyłam jedynie poważne przytakiwania: szlachetne głowy podskakiwały jak korki w beczce. Na miłość *Vera Madre*, powiedz nam po prostu, dokąd jedziemy!

– Za nasz pobyt w pięknej Florencji.

Miałam już w ustach wino i wyplułam je z głośnym prychnięciem. Brat Guido ścisnął mi rękę, że aż zabolalo. Dwór znieruchomiał i wpatrywał się we mnie, z królem na czele.

– Czkawka – powiedziałam cicho. – Przepraszam.

Pytające spojrzenie króla zamieniło się w uśmiech.

– Taki drobiazg wybaczymy pięknej kobiecie.

Na pozór byłam rozluźniona, ale w moim wnętrzu się gotowało. Florencja? Czy mamy wrócić w paszczę lwa? Na pewną śmierć? Wpatrywałam się intensywnie w brata Guida, ale z pogodną miną poklepał protekcyjnie moją dłoń. Patrzyłam na swoje kolana, usiłując stłumić emocje, a król mówił dalej:

– A teraz wręcę mały podarunek, który zrobiłem dla szczęśliwej pary. To wielki honor, że mogę okazać swoją przyjaźń rodzinie Medyceuszy.

Wszechobecny majordomus Santiago teatralnym gestem ściągnął czarną jedwabną serwetę z przedmiotu stojącego na środku stołu. Była to rzeźba pięknie oddająca scenę narodzenia Pańskiego. Wszyscy się nad nią nachyliliśmy. Niewielki cud w drewnie, nie brakowało żadnego detalu. Roześmiane niemowlę wyciągało podobne do gwiazd rączki do Paniienki, która klęczała w pozie pełnej oddania. Każda postać była idealnie wyrzeźbiona – każdy kosmyk włosów, każdy klejnot w koronach królów, nawet rudzik śpiewał pod okapem dachu. Po blasku białego drewna rozpoznałam rzeźbę, którą król strugał wcześniej tego dnia, przypomniałam sobie też setki szopek, które widziałam na ulicach, wystawionych na sprzedaż. Ale żadna nie mogła dorównać tej, którą

podziwialiśmy teraz. Kiedy dworzanie wyrażali zachwyt, król przemówił z dumą.

– „I jego chwała jawi się nad tobą...

– ...I pójdą narody do twojego światła, królowie do blasku twojego wschodu”¹... – dokończył brat Guido, jakby odpowiadał na hasło.

Wstrzymałam oddech w obawie, że zostanie to uznane za bezczelność, lecz król się uśmiechnął.

– Rzeczywiście. Dobrze znasz Pismo Święte. To bardzo potrzebne przywódcy. – Zaczął mówić głośniej, do wszystkich obecnych. – Chrystus był największym przywódcą ze wszystkich, czyż nie pokazał nam drogi na górze Kalwarii? Powiedz – zwrócił się znowu do Guida – co sądzisz o moim podarunku? – Król pochylił głowę z udawaną pokorą, pewny komplementu.

– Myślę: *timeo danaos et dona ferentes* – odpowiedział Guido, w oczach miał lód, a na twarzy maskę dumy. Najwyraźniej mówił po łacinie, przetłumaczył to niewykształconym, w tym także mnie, dźwięcznym głosem. I w ten sposób nauczyłam się drugiego z trzech łacińskich powiedzeń, które znam. Aż trudno mi było uwierzyć w śmiałość Guida. „Strzeż się Greków niosących dary”.

Tym razem posunął się za daleko. Cały dwór wstrzymał oddech, a ja z przerażeniem spoglądałam na króla, który patrzył na mego towarzysza zimno i bez uśmiechu. Szturchnęłam Guida pod żebra. W co on się, do cholery, bawi? Duma i arogancja są w porządku, ale w odpowiedniej dawce, aby uwiarygodnić, że jest Niccolo della Torre. Lecz bezczelność to zupełnie co innego. Czy chce, żeby nas zabili? A jak spiorunował mnie wzrokiem, kiedy zakrztusiłam się winem!

Ferdynand kilka razy głośno wciągnął powietrze, a Santiago przyskoczył do niego z winem. Król jednak go odsunął, oczy mu łzawiły. Czy to honorowy gość tak go rozjuszył, że dostał jakiegoś ataku? Ale nie, brat Guido dobrze wiedział, co robi. Ferdynand się śmiał, a dworzanie robili to samo. Miałam wrażenie, że znalazłam się wśród szczekających szakali.

– Doskonale! – chichotał król. – Doskonale! Mój czcigodny gość bawi się moim przydomkiem. *Dona ferentes*, don Ferrante, niosący dary. Bardzo dobrze.

Opadł na krzesło i nadal powtarzał żart, wybuchając co chwilę śmiechem. Zrozumiałam wtedy, że król ma co prawda władzę, jest bezlitosny i groźny, ale nie jest szczególnie mądry. Podziwiał erudycję, a brat Guido dostrzegł to i wykorzystał. Musiałam mu to przyznać. Dokończył biblijny cytat, opowiedział łaciński dowcip, który Ferdynand z trudem mógł zrozumieć, i tak się przypodobał tym królowi, że ten klepał go teraz po plecach.

– To drobiazg, ten mój dar. Po prostu drobiazg – stwierdził król, machając lekceważąco ręką w stronę rzeźby, od której wszystko się zaczęło, i czekając na nieuniknione zaprzeczenia gościa. Wydawało się, że teraz komplement jest naprawdę konieczny.

– Bynajmniej, Wasza Królewska Mość – odrzekł brat Guido, biegły w sztuce pochlebstwa. – Inne dary mogą być zrobione z cenniejszych materiałów, złota i klejnotów, lecz twoja rzeźba jest tak doskonała, iż nie da się określić jej wartości, na którą składa się jakość wykonania.

Nawet ja, urodzony pochlebca, pomyślałam, że Guido trochę przesadził. Król jednak uśmiechał się szeroko.

– Jeśli tak ją podziwiasz, to może zrobię też jedną dla ciebie z okazji zbliżających się zaślubin. Córka dogressy, tak? Niezła partia!

W tej samej chwili, kiedy brat Guido skłonił głowę na potwierdzenie, ja dosłownie wyskoczyłam ze dwanaście cali w powietrze. Zaręczony?

Po raz drugi tego wieczoru król patrzył na mnie pytająco. Lecz brat Guido szybko uratował sytuację.

– Moja piękna towarzyszka szczególnie lubi tę melodię, którą grają teraz muzycy. Chciałaby zatańczyć, bo ma do tego wielki talent i nie może usiedzieć na miejscu, kiedy słyszy muzykę.

Uśmiechnęłam się i potwierdziłam skinieniem głowy, bo cóż mogłam zrobić?

– Wspaniale! – wykrzyknął król, klaszcząc. – Taniec. Zagrajcie jeszcze raz tę melodię – polecił muzykom. – Nasi goście zaszczycą nas tańcem w stylu pizańskim.

Spojrzałam wrogo na Guida, ale trzeba mu oddać sprawiedliwość, że też nie miał najszcześliwszej miny. Nie martwiłam się o moje umiejętności, bo nie kłamałam, kiedy powiedziałam mu, że dobrze tańczę, tamtego wieczoru, gdy po raz pierwszy omawialiśmy pozy Gracji. Nie miałam jednak pojęcia, jak dobrze wyszkolony może być mnich w różnych rodzajach tańca. Mógł wyglądać pięknie, i tak właśnie było, a przy tym mieć dwie lewe nogi.

Niepotrzebnie się martwiłam. Muzycy zagrali prostą wolną pawanę, a my okrążaliśmy się nawzajem, samotni pośrodku olbrzymiej sali, niczym łabędź i kruk. Byłam zadowolona i zaskoczona, bo Guido najwyraźniej posiadał wszystkie umiejętności, jakich potrzebuje młody książe, zanim wstąpił do zakonu. Bawiłabym się bardzo dobrze, gdyby nie ostatnia rewelacja.

– Więc jesteś... Niccolo jest... zaręczony?

– Tak.

– Z córką dogressy? Z Wenecji? – Co za ironia.

– Tak. To było ustalone, zanim mój kuzyn poszedł na uniwersytet.

Moje myśli wirowały razem ze mną, kiedy oddalaliśmy się od siebie i zataczaliśmy osobno ogromne koło, nim znowu złączyliśmy ręce.

– Ale przecież to *finocchio*! Zwykła ciota.

Brat Guido wznosił oczy do nieba.

– Naprawdę, Luciano, chyba w kręgach, w których się obracałaś, mogłaś się dowiedzieć, że preferencja towarzystwa chłopców nie wyklucza umiarkowanie szczęśliwego małżeństwa.

To prawda. Znałam wielu takich mężczyzn w szlachetnym towarzystwie we Florencji, mężczyzn nigdy niezblizających się do mnie czy do moich koleżanek, którzy, jak mówił Bembo, żyli w *matrimonio bianco*, w białym małżeństwie.

– A miłość? – spytałam, myśląc o tym, czego się nauczyłam tego popołudnia: że szlachta niezbyt przejmuje się ludzkimi uczuciami. – I ta biedna dziewczyna ma być przykuta do okrutnika, który zupełnie się nią nie interesuje? Żadnej... gry wstępnej? – Nie umiałam sobie wyobrazić niczego gorszego.

– Mówisz jak dziecko. Korzyści z takiego związku są spore: on ma ziemie, ona też, a do tego jeszcze fortunę armatorską. Myślałam, że rozumiesz cel takich transakcji. Miłość nie wchodzi tu w grę. A gdyby wchodziła, to wątpię, czy zarobiłabyś na życie w swojej profesji.

Miał rację. Małżeństwo bardziej dotyczyło interesów niż uczuć. Ale nie powinno tak być.

– To nie jest w porządku.

– Nigdy nie mówiłem, że jest. Takie sprzedawanie szlachetnych dziedziczek jak dojnych krów jest dla mnie moralnie naganne, to jeden z powodów, dla których wstąpiłem do klasztoru. W przeciwnym razie dziewczyna z Wenecji byłaby przeznaczona do mojego łóżka, nie mam co do tego wątpliwości. – Wykrzywił się jak gargulec. – Ale na szczęście ludzka miłość już mnie nie dotyczy, znam tylko miłość boską, jak przystało mnichowi.

Zastanawiałam się, czy powiedzieć mu, ilu braciszków mnie przeleciało w ustronnych miejscach jego klasztoru. Pomyślałam jednak, że mam mniej przyziemne argumenty.

– Ojciec Filippo Lippi był mnichem – powiedziałam, wymieniając jednego z najslawniejszych florenckich artystów – ożenił się z zakonnice i mieli dziecko.

Brat Guido wzruszył ramionami.

– Niektórzy porzucają zakon i wracają do światowego życia. Ale nie ja. Mam nadzieję starać się o boską miłość, żyjąc w czystości po kres moich dni. – Nie spojrzał mi w oczy. – A poza tym nie mogę udawać, że rozumiem takie uczucia. Miłość i czyny, do jakich doprowadza, są dla mnie tajemnicą. Bo czymże jest miłość?

Nie wierzyłam mu. Tamten pocałunek umierającego, jakim mnie obdarzył na tonącym statku – jakby zapomniany – był bliższy ludzkim uczuciom, niż mu się wydawało. A w każdym razie ludzkim namiętnościom. Nie bez powodu biczował się w ramach pokuty jak Chrystus. Ale zadał ciekawe pytanie, na które chyba znałam odpowiedź.

– Miłość jest wtedy, kiedy lubisz kogoś tak bardzo, że musisz to nazwać jakoś inaczej – oznajmiłam, zadowolona z konceptu. Mój przyjaciel nie wydawał się przekonany, wróciłam więc do wcześniejszego tematu: – A kiedy ma być ten ślub?

– Mój zmęczony umysł nie mógł tak od razu oddzielić brata Guida od Niccolo. – Wydawało mi się, że to brat Guido ma się żenić, a nie człowiek, za którego się podawał.

– Nie mam pojęcia. To zostało ustalone, kiedy byłem w Santa Croce. Ale jeśli nie wchodzą w grę najbliższe dni, to nie grożą mi małżeńskie rogi.

Taniec dobiegł końca, braciszek się skłonił, ukrywając uśmiech. Nie wiedziałam, co go tak rozbawiło, i umierałam z ciekawości. Usiedliśmy za stołem, król klaskał entuzjastycznie, a pochlebcy poszli w jego ślady.

– Wspaniale! – wykrzyknął. Jego Królewska Mość wziął mnie za rękę, a ja wykonałam dworski ukłon, kiedy składał na niej pocałunek. Wydawało się, że nie ma ochoty puścić mojej ręki, zajęłam więc miejsce brata Guida, usiadłam koło króla, bo chciałam zadać mu kilka pytań.

– Ta dama, która jest zaręczona z moim panem... – zaczęłam.

Król z wyrozumiałością przekrzywił głowę.

– Córka dogaressy?

– Dlaczego jest tak nazywana? Dlaczego nie córka doży? – Wiedziałam, że doża to tytuł władcy mojego rodzinnego miasta, Wenecji, a dogaressa to tytuł jego żony.

– Dlatego że matka i córka są ponoć podobne do siebie jak dwa groszki w strączku.

A ponadto dogaressa jest kobietą o wyjątkowo silnej woli. Zyskała wysoką pozycję, choć kiedyś była zwykłą kurtyzaną. Znana jest z tego, że rządzi mężem. Mówi się, iż pod jej pięknymi sukniemi wisi kutas, a jaja obijają się o siebie jak dzwony, jako że doża nie ma ich w ogóle. – Zachichotał z pewnością siebie, która świadczyć miała o tym, że jego nikt nie mógłby posądzić o coś podobnego. Ale mnie nie interesowała polityka.

– A czy jest piękna? Ta córka?

Teraz on się uśmiechnął, rozbawiony tym, że profesjonalistka taka jak ja może odczuwać zazdrość. W końcu dla najbardziej lojalnych kochanek małżeństwo nie oznacza zakończenia romansu, o czym świadczy choćby jego stadło.

– Na ten temat nic nie wiem, bo od wielu lat jest zamknięta w klasztorze. Mogę ci jedynie powiedzieć, że jej matka jest piękna jak majowy poranek, jej uroda jest tak wielka, iż często chodzi w masce, zgodnie z wenecką modą, bo w przeciwnym razie życie w mieście by zamarło. Wszyscy by przystawali, żeby na nią popatrzeć. Więc z córką musi być podobnie, o ile pogłoski są prawdziwe.

Miałam pewnie dziwną minę, bo król roześmiał się głośno.

– Ale ty nie powinnaś się martwić. Nawet gdyby była samą Wenus, przy tobie wyglądałaby jak świeca przy słońcu. Mówią, że córki są jak naleśniki, im więcej ich robisz, tym są lepsze. Twój ojciec musiał mieć z twoją matką z tuzin córek, zanim spłodził ciebie.

Cały Ferdynand: dworny komplement odwołujący się do Wenus i głupia uwaga o naleśnikach. Ten człowiek był królem i plebejuszem, był wykształcony i niedouczony zarazem. Ale jakkolwiek na to patrzeć, powiedział mi dwa komplementy, więc promieniałam jak słońce.

– W istocie – kontynuował – szkoda, że nie wszyscy możemy wybierać sobie żony zgodnie z głosem serca. – Poklepał po ręku swoją królową ruchem sugerującym, że łączą ich serdeczne uczucia. – Bo trudno, żebyś trafił lepiej niż na tę synogarlicę, drogi Niccolo.

Brat Guido włączył się do rozmowy, wdzięcznym skinieniem głowy dając do zrozumienia, że komplement przypadł mu do gustu.

– Bo to jest uosobienie Fiammetty – dodał Ferdynand.

Guido podskoczył i wypluł wino.

– Słucham, Wasza Królewska Mość?

Król uznał, że gwar zagłuszył jego słowa, pochylił się więc niżej i krzyknął:

– Powiedziałem, że jest odbiciem Fiammetty, złote włosy, biała karnacja, ciemne łuki brwi!

– Kreślił w powietrzu moje atrybuty, jakby znowu rzeźbił.

Brat Guido sprawiał wrażenie chorego, ale lekko skinął głową.

– Jako człowiek uczony podobnie jak ja docenisz... – zaczął król, potwierdzając słusność moich podejrzeń co do jego próżności w kwestii intelektu. – Czy wiedziałeś, że inspirację do pisania o Fiammetcie Giovanni Boccaccio zaczerpnął stąd, z kościoła w Neapolu? Zobaczył tu na mszy kobietę należącą do grona moich przodków, Marię d'Aquino z Domu Aragońskiego, i od tamtej pory miał obsesję na punkcie jej urody. Zawsze już pisał o niej jako o Fiammetcie, swojej muzie.

Odwrociłam głowę, by spojrzeć na Guida, jakbym oglądała mecz tenisowy. Szybko doszedł do siebie. Jak zwykle.

– Oczywiście słyszałem o tej sławnej damie. I mam pewne pojęcie o twórczości Boccaccia.

– To drugie zdanie chyba było prawdą, pierwsze budziło moje wątpliwości. – Wasza Królewska Mość musi być bardzo dumny ze swego literackiego dziedzictwa.

Żadne inne słowa nie zrobiłyby większej przyjemności królowi, temu bandycie, który chciał uchodzić za uczonego.

– Wasza Królewska Mość ma tu z pewnością bogatą bibliotekę – ciągnął brat Guido, a z tonu jego głosu wywnioskowałam, że to pytanie ma jakiś cel i wykracza poza zwykłe pochlebstwo.

– Istotnie – potwierdził król, a ja zastanawiałam się, dokąd to wszystko zmierza.

– Czy mógłbym to wykorzystać i poprosić o wypożyczenie

Elegia di Madonna Fiammetta na dzisiejszy wieczór? Twoja opowieść zachęciła mnie do przeczytania tego właśnie teraz, kiedy wiem, że owa dama należała, panie, do tej rodziny.

Król wyglądał jak pies, który nagle odkrył, że może polizać własne jaja.

– Oczywiście. Bardzo chętnie. Santiago! – Ale majordomus już zniknął w poszukiwaniu tomu. – Na twoim miejscu, mój panie – zachęcony gestem brat Guido pochylił się nad królem –

zamknąłbym księgę już po krótkiej chwili, by rozkoszować się tym, co tu i teraz. – Znacząco popatrzył na moje cycki i roześmiał się głośno, demonstrując swoje drugie oblicze. Po raz kolejny uczony skrył się za maską grubianina.

Tak szybko, jak było to możliwe, brat Guido przeprosił, że nie zostaniemy dłużej na uczcie, a ja przez całą drogę do naszych komnat narzekałam, że nie zdążyłam dopić wina. Ale kiedy już znaleźliśmy się u siebie, też chciałam podjąć nasze poszukiwania, bo na poduszce mojego pana leżał niewielki tomik, skórzana książeczka oprawiona w czerwone klejone płótno ze złotymi tłóczykami.

– W porządku – powiedziałam, kiedy Guido drżącymi rękami wziął książkę. – Opowiedz mi to jeszcze raz. Ten pisarz, Giovanni Boccaccio...

– Który żył ponad sto lat temu i napisał *Dekameron*, oprócz innych wielkich dzieł...

Przemilczałam to, bo nigdy wcześniej nie słyszałam o tym pisarzu.

– Zobaczył jakąś kobietę tu, w kościele w Neapolu...

– Była to podobno Maria d'Aquino, księżniczka aragońska.

– I zaczął o niej pisać.

– Stała się jego muzą.

– W swoich książkach nazywał ją Fiammettą.

– Owszem – potwierdził Guido.

– A ta książka to historia jej życia?

– To jest *Elegia di Madonna Fiammetta*, Elegia o damie Fiammetcie.

– I sądzisz, że Maria d'Aquino, Fiammetta, czy jak tam zechcesz ją nazwać, to ta nieżyjąca kobieta, której szukamy, kobieta z *Primavery*?

– Tak, Gracja przedstawiająca Neapol – odparł Guido, rozwijając *cartone* wyjęty z kapciucha na piersiach i przyglądając się uważnie Gracji po lewej stronie.

Wzięłam od niego obraz i też się jej przyjrzałam.

– Więc czego teraz szukasz?

Jego długie palce wprawnymi ruchami przerzucały stronicę książki.

– Czegokolwiek. Opisu. Wskazówki. Posłuchaj. – Jeden z długich palców przytrzymał stronę z dialogiem. – *Jej włosy są tak jasne, jakich nie widział świat, ocieniają białe czoło, na którym znajdują się krzywizny dwóch czarnych i niezwykle wąskich brwi... a pod nimi szelmowskie oczy... policzki koloru mleka.*

– W porządku. Wydaje się, że to ona – zgodziłam się. – I co teraz?

– Zamierzam nie spać tej nocy i przeczytać cały tomik. Do rana może coś odkryję.

Popatrzyłam na niego i na książkę. Była nieduża, ale nawet ktoś, kto szybko czyta, musi poświęcić długie godziny, żeby przez nią przebrnąć. Brat Guido nagle wydał mi się bardzo

zmęczony. Ekscytacje i niebezpieczeństwa tego dnia odbiły się na jego twarzy.

– Albo – zasugerowałam – znajdziemy nazwę kościoła, w którym się spotkali, i od tego zaczniemy.

Uśmiechnął się z ulgą.

– Po raz kolejny twoje praktyczne podejście zwycięża mój intelekt. Masz rację.

Odpocznijmy trochę, bo podobnie jak ty bardzo potrzebuję snu.

Wystarczająco długo stałam w drzwiach, nie musiał się tłumaczyć.

– W moim własnym łóżku – powiedział z naciskiem.

Cofnęłam się i zamknęłam drzwi. Kiedy znalazłam się u siebie, po raz ostatni spojrzałam przez okno na leżącą w dole zatokę. W świetle księżyca naszyjnik Neapolu zamienił się w perły. Tej nocy księżyc świecił nienaturalnie jasno. Miałam nadzieję, że nie jest to zły omen.

ROZDZIAŁ 7

Rano przede wszystkim odszukaliśmy Santiaga. Był w długiej galerii i powitał nas swoim wiecznym przypochlebnym uśmiechem. Odkąd zostaliśmy honorowymi gośćmi, zasługiwaliśmy na wszystko, co najlepsze.

– Drogi przyjacielu – odezwał się brat Guido władczy tonem – signorina Vetra i ja chcielibyśmy pójść na mszę, by pomodlić się za zbliżające się zaślubiny Lorenza di Pierfrancesca. Jego Królewska Mość wspomniał wczoraj o pewnym kościele, który według lokalnej legendy wiąże się z pisarzem Boccacciem. To jego książkę tak uprzejmie mi przyniosłeś. – Mówił to od niechcenia, a wspomniane mimochodem nazwisko pisarza nie powinno budzić podejrzeń. – Możesz mi powiedzieć, czy do tego kościoła jest daleko?

Santiago skinął głową i uśmiechnął się znacząco. Gdyby był człowiekiem mniej subtelnym, przysięgłabym, że mrugnął porozumiewawczo. Zupełnie jakby brat Guido poprosił go o sprowadzenie mu chłopca, odpowiedział z uśmiechem:

– A tak, oczywiście. Mój pan i ja spodziewaliśmy się, że zechcesz obejrzeć ten... kościół. Nie jest daleko, stoi w środku miasta, na północnym wschodzie. Idźcie Via Nilo, bo jest tam ciekawy rzymski posąg przedstawiający starca symbolizującego rzekę Nil, który podobno odzywa się do pięknych dam przechodzących obok. – Majordomus skłonił się elegancko w moją stronę. – Dona, na widok twoich wdzięków nie będzie mógł milczeć.

Uśmiechnęłam się równie nieszczerze jak on.

– Proszę jeszcze powtórzyć nazwę kościoła – poprosił Guido. Król Ferdynand w istocie ani razu nie wymienił jego nazwy, po raz kolejny podziwiałam więc aktorskie talenty Guida.

– San Lorenzo Maggiore – poinformował Santiago znacząco.

– A tak – potwierdził brat Guido. – Wczoraj wydało mi się, że to dobre miejsce na nasze modlitwy, skoro jest to kościół pod wezwaniem świętego Wawrzyńca, a takie imię nosi zarówno Il Magnifico, jak i jego kuzyn, który się żeni.

Santiago skłonił się tak nisko, że trudno było odczytać jego reakcję. Pożegnał nas teatralnie, ale odwrócił się na chwilę w drzwiach.

– Jeszcze jedno, panie!

Obydwoje wstrzymaliśmy oddech.

– Goście weselni wyjeżdżają w południe, kiedy zadzwonią na Anioł Pański. – I już go nie było.

– Anioł Pański? – zapytałam, kiedy wyszliśmy z zamku.

– To pojedynczy dzwon, który tu, na południu, rozlega się każdego dnia o dwunastej. – Brat Guido spojrzął na mnie z ukosa. – Nie martw się, słońce jeszcze nisko. Mamy dużo czasu.

Jednak mnich źle mnie zrozumiał. Nie martwiłam się, że nie zdążymy na wesele, bałam się, że na nie wyruszymy. Nadal nie mogłam uwierzyć, że mamy wrócić do domu i znowu narazić się na niebezpieczeństwo.

Kiedy szliśmy przez zamkowe ogrody, zauważyliśmy gorączkowe przygotowania. Czarno odziana służba pakowała i nosiła kufry z jedwabiem i wiktuałami to w jedną, to w drugą stronę. Wyszliśmy główną bramą i skierowaliśmy się do miasta, idąc północnym wybrzeżem. Oboje byliśmy ubrani w skromne, czarne, codzienne szaty, przyniesione przez służbę. Zauważyłam, że przyszły mnie obsługiwać mauretańskie dziewczyny z łaźni, po trzech królewskich kochankach nie było śladu. Podejrzewałam, że sporo wypity poprzedniego wieczoru i nie podniosą się z łóżek, zanim obudzi je Anioł Pański. Zauważyłam, że szaty, choć skromne, były bardzo dobrze uszyte i świetnie leżały na moim towarzyszu. Miałam nadzieję, że on myśli to samo o mnie, choć podejrzewałam, że nawet nie zauważył, jak pięknie kontrastują moje jasne włosy z czarnym aksamitem, w którym było mi tak samo do twarzy, jak we wczorajszej białej sukni. Dla postronnych wyglądaliśmy na szacowną parę zdążającą na mszę. Kiedy znaleźliśmy się w labiryncie ulic, uznaliśmy, że można już bezpiecznie rozmawiać.

– Twoim zdaniem Santiago wie o naszym dochodzeniu? – spytałam.

– Nie sądzę. Uważa chyba, że coś wie, ale nie wierzę, żeby miało to jakikolwiek związek z *Primaverą*. Prędkiej z Siódemką.

– Może słyszał wczoraj naszą rozmowę?

Guido wzruszył ramionami.

– To prawda, że Hiszpanie nie mają nic przeciwko szpiegowaniu. Ale co mógł usłyszeć? O obrazie rozmawialiśmy tylko w gwarze bankietu. Wieczorem mówiliśmy jedynie o Boccacciu i Fiammetcie, a to powtórzyliśmy mu sami.

– Zamyślił się na chwilę. – Jednak powiedział nam coś ciekawego. Nie może być przypadkiem, że patronem kościoła jest święty Wawrzyniec, imiennik Wawrzyńca Medyceusza i Lorenza di Pierfrancesca.

– Owszem, ale kościoły pod wezwaniem świętego Wawrzyńca są w całym kraju – wydyszałam, bo musiałam dreptać, żeby dogonić brata Guida. Zauważyłam, że zawsze chodził szybciej, kiedy intensywnie myślał. – Ten święty jest bardzo popularny.

– Na pewno. Ale Wawrzyniec Medyceusz nazywany jest „Wspaniałym”, Il Magnifico.

– *Maggiore!* – wykrzyknęłam, doznawszy olśnienia. – Tak jak kościół.

– To prawda. I jest kuzynem przyszłego pana młodego, mecenasa Botticellego.

Zastanawiam się, czy Botticelli będzie się starał skończyć *Primaverę*? Ten ślub ma zdecydowanie

jakieś dodatkowe znaczenie, nie jest tylko rodzinnym zgromadzeniem.

Mój umysł, podobnie jak nogi, próbował za nim nadążyć.

– Chcesz powiedzieć, że Lorenzo di Pierfrancesco jest jednym z Siódemki?

– Nie jestem pewny – odrzekł ostrożnie brat Guido. – Wiem natomiast, że w tym kościele musi się kryć odpowiedź przynajmniej na niektóre z naszych pytań. Więc musisz użyć wszystkich swoich talentów obserwacji i wnioskowania.

– Chcesz powiedzieć, że mam mieć oczy i uszy otwarte?

– To też.

To przypominało dawne czasy: on używał długich słów, a ja krótkich. Słońce grzało mnie w plecy, obok szedł Guido, więc mogłam niemal zapomnieć o niebezpieczeństwie, jakie niesie ze sobą szybki powrót do Florencji. Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Patrzyłam na figury świętych i Madonny wyglądające po drodze ze swoich nisz i nagle coś mi się przypomniało:

– Co król miał na myśli, mówiąc wczoraj o krwi jakiegoś świętego? Że nie jest płynna?

– A tak. Cud świętego Gennara – odpowiedział od razu. – Służący, którzy mnie ubierali, powiedzieli mi wszystko. Trzy razy do roku w katedrze podnoszą fiolkę z krwią swojego świętego, Gennara. Fiolka zawiera zakrzepłą krew, jednak po wielu minutach modlitw i błagań krew w cudowny sposób staje się płynna. Fiolka zostaje wstrząśnięta, żeby mogli to zobaczyć wszyscy obecni na mszy. Ludzie stoją w kolejce przez siedem nocy, żeby ucałować fiolkę. Ostatnio jednak krew nie zrobiła się płynna, co uważane jest za zły znak.

Zastanowiłam się nad tym.

– A co się stało, kiedy po raz ostatni nie zrobiła się płynna?

– Wybuchł wulkan.

Obrzuciłam sceptycznym spojrzeniem dymiącą nad nami niebieskawą górę. Wydawała się dość spokojna.

– I ty w to wszystko wierzysz? – zapytałam, starając się stłumić cyniczną nutę w głosie.

Brat Guido wzruszył ramionami.

– Cuda to sprawa wiary, a kiedy masz wiarę, wszystko jest możliwe. Ale to nie ma znaczenia, czy wierzę, czy nie, bo wierzy w to cała służba i cały dwór, co mogłaś zaobserwować. Naprawdę wierzą, że miastu przydarzy się jakieś nieszczęście, i dlatego król tak chętnie wyrusza na północ. Bo kiedy wróci, będzie czas na kolejną próbę krwi, być może z lepszym rezultatem.

Pokręciłam głową, ale nie skomentowałam tych słów. Takie wymysły nie mieściły mi się w głowie, nie chciałam jednak obrażać mego przyjaciela, skoro odzyskaliśmy delikatną równowagę naszej przyjaźni. Zmieniłam temat.

– Czy idziemy dobrą drogą? – spytałam.

– Chyba tak. Popatrz, to posąg, o którym wspominał Santiago.

– A tak – potwierdziłam, wydymając wargi. – Stary Nil, który przemawia do ładnych dziewczyn.

Uśmiechnął się.

– Bez względu na to, czy przemawia, czy nie, to jest Via Nilo. A więc idziemy w dobrym kierunku.

Podeszliśmy bliżej do posągu i teraz mogłam mu się przyjrzeć. Rzeczywiście był to stary człowiek zniszczony przez żywioły, najwyraźniej liczył sobie parę stuleci. Spoczywał w bardzo realistycznej pozie, a kiedy spoglądałam w jego senne oczy, dostrzegłam w nich wielką mądrość, wydawało mi się, że zaraz przemówi. Nie wiem, dlaczego zwlekałam z odejściem. Brat Guido zdążył się oddalić, a ja zaczęłam szeptać do starego mężczyzny z kamienia.

– Witam – powiedziałam nieśmiało i poczułam się głupio.

– Spójrz za siebie – odparł. Miał głos głęboki jak otchłań i stary jak czas, ale całkiem wyraźny. Poczułam w żyłach kolejno lód i żar wywołane szokiem. Przecież kamienny mężczyzna nie mógł naprawdę się odezwać! Obejrzałam się i wtedy go zobaczyłam.

Trędowaty, o czym świadczyło jego ubranie, opierał się o fragment rzymskiego filaru, wyciągając zniekształconą dłoń po jałmużnę. Ale ta poza żebraka była tylko na pokaz, ponieważ patrzył na mnie oczami, których nigdy nie zapomnę. Niemal srebrne, płonęły, patrzyły przeszywająco jak bliźniacze ostrza. Przez sekundę nasze spojrzenia się spotkały. Mężczyzna, zorientowawszy się, że go dostrzegłam, skrył się za filarem. Mogłam pójść za nim, ale chciałam jak najprędzej pozbyć się poczucia tej złowrogiej obecności, więc pobiegłam, żeby dogonić mego przyjaciela. Nawet nie podziękowałam posągowi, który ostrzegł mnie przed złem. Biegając, podejrzewałam trzy rzeczy, których jednak nie mogłabym udowodnić.

Prima cosa: Trędowaty śledził nas od Florencji.

Seconda cosa: To on zabił Ennę, Bemba i brata Remigia, a także Silvia della Torre.

Terza cosa: Dostał zadanie, żeby zabić nas.

Chwyciłam czarny rękaw Guida i zaczęłam ciągnąć. Chciałam jak najszybciej oddalić się od naszego prześladowcy, a jednocześnie sprawiać wrażenie, że jesteśmy parą, która nie chce spóźnić się na mszę.

– Co się dzieje? – spytał Guido, widząc moje zdenerwowanie.

Nie zwolniłam kroku.

– Boję się, że nie będziemy mieli czasu na nasze poszukiwania. Popatrz. – Wskazałam głową błękit nieba. – Słońce jest coraz wyżej.

Dotarliśmy wreszcie do kościoła, szlachetnej budowli z kamienia w kolorze piasku z wysoką wieżą. Po jasności dnia mroczne wnętrze nas oślepiło. Szliśmy po omacku jak krety w południe, ale wkrótce stało się jasne, że nie zdążyliśmy na mszę. We wnętrzu nie było nikogo

prócz księdza w sutannie stojącego w odległym krańcu nawy, który gasił świece po nabożeństwie. Wymieniliśmy pełne ulgi spojrzenia – o wiele łatwiej będzie obejrzeć kościół jako para pielgrzymów niż jako uczestnicy mszy.

– Patrz uważnie na wszystko, co wiąże się z damą, puklem włosów czy klejnotem z obrazu – szepnął Guido. – W tym wnętrzu musi być jakiś znak łączący je z Fiammettą. Może grób prawdziwej Fiammetty, Marii d’Aquino. Albo jakieś odniesienie do Boccaccia.

Rozpoczęliśmy dokładne oglądanie wnętrza, obchodząc każdą kolumnę i ławkę, zatrzymując się przy każdej płycie czy rzeźbie. Po pierwszym okrążeniu wydawało się, że nasze poszukiwania będą daremne, bo jedyną damą była Najświętsza Panienska, a w grobach leżeli jedynie neapolitańscy rycerze.

– Coś nam umyka – mamrotał brat Guido ze wzrokiem utkwionym w księdza w głębi świątyni. – Może powinniśmy go zapytać?

– Poczekaj! – Przypatrywałam się kamiennej płaskorzeźbie. – Tu mamy damę...

Podeszliśmy bliżej, brat Guido przyglądał się rzeźbie w świetle świec. Przesunął po niej długimi palcami, próbując lepiej ją poznać, po czym pokręcił głową.

– Nic z tego – powiedział, a w jego głosie brzmiało rozczarowanie. – To święta Weronika, popatrz, Chrystus niesie krzyż, a ona chustą ociera mu twarz.

Miał rację. Spokorniałam i patrzyłam wyżej na ścianę, podczas gdy mój towarzysz się oddalił.

– A te zadrapania na górze? Co one znaczą?

– Zadrapania? – Odwrócił się.

– Zobacz, strzała i kreska. – Przejechałam palcami po głębokich nacięciach w kamieniu. V, a obok I. – Tutaj.

Wtedy zobaczyłam jego oczy, które zrobiły się takie jak zawsze, gdy coś odkrywał. Płonęły takim błękitem, że niemal rozświeślały mrok.

– To nie zadrapania – powiedział. – To cyfry.

Jak mówiłam wcześniej, nie umiem czytać, ale znam cyfry, przynajmniej od jednego do dziesięciu. Potem moja wiedza staje się raczej fragmentaryczna. Pracująca dziewczyna musi je znać, bo wszak pieniądze to cyfry, no nie?

– To nie są cyfry – fuknęłam. – Może ta linia jest jedyneką, ale to drugie bardziej przypomina strzałę albo...

– To rzymskie cyfry – wyjaśnił Guido niecierpliwie. – Rzymskie cyfry różnią się od arabskich, których używamy na co dzień. Tutaj „V” oznacza pięć, a „I” to jeden. To jest cyfra sześć.

W moim umyśle było tak mroczno jak w kościele.

– Ale dlaczego ta rzeźba jest nazwana sześć? Jesteś pewny, że „V” nie oznacza Weronika? Jego oczy zapłonęły jeszcze intensywniejszym błękitem.

– Bo to jedna z serii. Święta Weronika wyciera brwi Chrystusa. Sześć. To szósta stacja drogi krzyżowej.

– Aha.

– Słyszałaś o stacjach?

– Klasztorne wychowanie. Stacje to przystanki Jezusa w drodze do śmierci na krzyżu. Jest ich razem czternaście – oznajmiłam zadowolona z siebie.

– Więc popatrz tutaj. – Wskazał na lewo. – Kolejny relief, przepraszam, płaskorzeźba. Człowiek bierze od Chrystusa krzyż, żeby mu ulżyć. Szymon Cyrenejczyk niesie krzyż Chrystusa, to piąta stacja drogi krzyżowej.

– No i? – Zupełnie się pogubiłam. – Jaki to ma związek z Fiammettą?

– Zapomnij o Fiammetcie. – Guido machnął niecierpliwie rękami. – Wyszliśmy od fałszywej przesłanki. Jeśli ta jest piąta, potem jest szósta, to musi też być...

– Siódma! – niemal wykrzyknęłam. Brat Guido odwrócił się do mnie.

– Bądź cicho – syknął. – Pamiętasz, że gdy weszliśmy, był tu ksiądz. Nie chcemy, żeby ktoś dowiedział się, co robimy.

– Cholera, przykro mi – wymamrotałam, ale byłam zbyt podniecona, żeby naprawdę żałować. – Chodź. – Przeszliśmy w prawo, mijając świętą Weronikę, do siódmej stacji.

– Chrystus upada po raz drugi – wyszeptał brat Guido, wskazując postać chylącą się pod ciężarem wielkiego krzyża. – A tu – pociągnął palcami w górę – rzymska cyfra siedem.

– Dobrze – westchnęłam wpatrzona w postać pod krzyżem. – Co teraz?

– Może drzwi lub przejście. Musi być jakiś sposób, żeby otworzyć ten prostokąt.

– Może sam krzyż? – podsunęłam.

– Pochylił się na bok, tworząc X – zauważył. – Może X oznacza to miejsce? – Brat Guido niemal się uśmiechał. – Warto spróbować.

Przyciskaliśmy krzyż, najpierw Guido, potem i ja. Spieszyło nam się tak bardzo, że nie zwróciliśmy uwagi, iż nasze palce się dotykają. Zdesperowani pchaliśmy i ciągnęliśmy każdy fragment rzeźby, nawet samego Chrystusa, zanim cofnęliśmy się pokonani.

– Z pewnością to cyfra jest ważna. Siedem – upierałam się.

– Masz rację – przyznał Guido i zanim zdążyłam wyciągnąć rękę, jego silne palce już manipulowały rzymską siódmką. Usłyszałam to, zanim zobaczyłam: V ustąpiła pod naciskiem i panel otworzył się przy zgrzycie kamienia o kamień. Nie był to, jak można by się spodziewać, dźwięk drzwi nieotwieranych od stuleci, raczej odgłos wskazujący na niedawne ich używanie. Wewnątrz były drzwi z pętlą z liny zamiast klamki i wiszącym na niej breloczkiem.

Linę tworzyły splecione włosy.

Breloczek był klejnotem Fiammetty.

Dokładnie taki jak na obrazie, z trzema wiszącymi perłami i rubinem oprawionym w złoto. Serce podeszło mi do gardła. Odwróciłam się do Guida, który tak samo jak ja uśmiechał się triumfalnie.

– To jest to! – oznajmił, zawsze gotowy do wygłaszania oczywistych stwierdzeń.

– No więc chodźmy, na co czekamy?

Położył mi rękę na ramieniu.

– Poczekaj – szepnął. – Najpierw musimy sprawdzić, gdzie jest ksiądz. Jeśli nas zobaczy, sekret się wyda.

To miało sens.

– Zostań tu. Wrócę za sekundę. – Wbiegłam do nawy, żeby sprawdzić, co z księdzem. Nadal zajmował się świecami w drugim końcu kościoła, lecz nagle, jakby poruszony moim spojrzeniem, odwrócił się i wyprostował. Serce zaczęło mi walić. On był... bardzo wysoki jak na neapolitańczyka. A jego sutanna wytworniejsza niż sutanna zwykłego księdza. Ruszył nawą w moim kierunku, a ja nagle stałam jak wryta, niby królik zahipnotyzowany wzrokiem lisa. Czarny habit owijał się wokół jego nóg, kaptur lekko się zsunął, a w połowie nawy strumień światła oświetlił dziwnie srebrzyste oczy.

Nie był to ksiądz z kościoła San Lorenzo Maggiore.

To był Trędowaty.

Szybko jak kot podbiegłam do drzwi.

– On tu idzie – syknęłam nagłaco. – Ruszaj się!

Nie było czasu na tłumaczenia, niech brat Guido myśli, że zląkłam się wścibskiego księdza. Pociągnęłam za pętlę z włosów, drzwi się otworzyły i naszym oczom ukazały się schody prowadzące w dół. Kiedy stanęliśmy na pierwszych stopniach, drzwi zamknęły się za nami bezszelestnie, nie zostawiając nawet szczeliny, przez którą wpadałoby światło zdradzające prześladowcy miejsce naszego pobytu. Wyobrażałam sobie, jak Trędowaty kręci się po mrocznym kościele, próbując zrozumieć, gdzie zniknęliśmy. Powinnam być szczęśliwa, bo zmyliliśmy tę groźną postać, która nas śledziła, niemal rozpląnęliśmy się w powietrzu. Byłam jednak niespokojna, nie mogłam zapomnieć srebrzystych oczu, których spojrzenie kryło groźbę śmierci. Schodziliśmy po ciemnych schodach, pograżając się w jeszcze głębszej ciemności. Wkraczaliśmy do Hadesu, ale nie czułam strachu; na górze zostawiliśmy kogoś, kto budził we mnie znacznie większe przerażenie.

U podnóża schodów otwierała się wielka grota, skalna katedra. Przystanęliśmy, ciężko dysząc i rozglądając się. Nie wiem, czego się spodziewałam, może ukrytych skarbów albo pozostałych członków Siódemki grających w kości? Ale na pewno nie oczekiwałam posępnej groty,

zimniejszej niż dzień Matki Boskiej Gromniczej i wilgotniejszej od Zielonych Świątek.

– Czy myślisz, że król chciał, żebyśmy zobaczyli tę jaskinię? – zapytałam.

– To nie jaskinia – poprawił mnie Guido. – Rozejrzyj się uważnie. Tego miejsca nie stworzyła natura, tylko człowiek. Popatrz, tu i tu są filary. I studnia, i rzymska arkada. – Kiedy mój wzrok przyzwyczaił się do ciemności, ja też to zobaczyłam. Zakopane miasto.

– Gdzie my jesteśmy?

– W miejscu zwanym kiedyś nowym miastem. Teraz jest to stary Neapolis, czyli rzymski Neapol.

Chodziliśmy zachwyceni po podziemnym świecie. Przechodził mnie dreszcz, kiedy kroczyliśmy ulicami miasta widma, mijając targowisko, oglądając żelazne kółka, do których kiedyś przywiązywano konie, kruche łuki spinające ściany. Wszystko oświetlało ponure zielonkawe światło wpadające z góry. Podążałam pospiesznie za Guidem stawiającym wielkie kroki, nie chciałam zostać sama.

– Myślisz, że to sekretne przejście znane jest tylko Siódemce?

– Tak myślę.

– Dlaczego uważasz, że nikt inny go nie odkrył?

Zatrzymał się gwałtownie i o mało na niego nie wpadłam.

– Klejnot Fiammetty – rzucił krótko. – Wyobrażam sobie, że umieszczono go tu z kilku powodów. Po pierwsze, jest drogowskazem dla tych, którzy potrafią odczytać obraz, *id est* członków Siódemki.

Zignorowałam łacinę, ale pojęłam sens.

– Po drugie, to test na zapewnienie bezpieczeństwa tego przejścia. Bo gdyby odkrył je zwykły złodziej czy włóczęga, natychmiast wykradłby klejnot, jest on bowiem niezwykle cenny. Członkowie Siódemki, co zamierzam udowodnić, są wysoko postawionymi osobami, to królowie i książęta, i jeśli przejdą przez te drzwi, pozostawią klejnot na miejscu. Jeśli klejnot pewnego dnia zniknie, to król i jego spiskowcy będą wiedzieli, że coś jest nie tak, że ich sekret się wydał i muszą się mieć na baczności.

– Ale czego tak strzegą? Po co te tajemnice?

– Spróbujmy się dowiedzieć. Musi być stąd jakieś wyjście, bo skądś wpada światło.

Prawdę mówiąc, choć to miejsce wydawało mi się niesamowite, jak miasto umarłych, byłam zadowolona, że jestem pod ziemią, z dala od srebrzystego spojrzenia ścigającego nas Trędowatego. Po krótkim czasie dotarliśmy do źródła światła, bo rzymskie ulice doprowadziły nas do olbrzymiej groty z naturalnym jeziorem, a grotka wychodziła na morze. Nawet nie przyszło mi do głowy, że jesteśmy w pułapce. Przede mną kołysała się na falach flota, nigdy nie widziałam tylu okrętów w jednym miejscu, nawet tamtej fatalnej nocy w Pizie. Tutaj były ich setki, może tysiące, wszystkie

razem, ukryte przed ludzkim wzrokiem, dostępne tylko od strony morza. Ale w odróżnieniu od starej fortecy w Pizie nie było tu marynarzy, cieśli okrętowych ani załóg. Wszystko spowijała cisza i tajemnica. Oczekująca flota, która ukazała się jedynie naszym oczom. Zagwizdałam.

– Mamy odpowiedź – powiedział brat Guido cichym głosem przepełnionym podziwem. – Najwyraźniej ktoś planuje wojnę, i to na olbrzymią skalę.

– Czyżby Lorenzo di Pierfrancesco spiskował przeciwko swemu kuzynowi Wawrzyńcowi z królem Neapolu, twoim stryjem i – policzyłam szybko – czwórką pozostałych?

– Nie wiem. Ale jednym ze sposobów przekonania się o tym jest udanie się na wesele, zgodnie z planem, i sprawdzenie, czy Lorenzo nosi na kciuku pierścień.

– A więc musimy tam wrócić?! – wykrzyknęłam, uradowana i przerażona zarazem. – Do Florencji? Do domu? – Tym razem słowo „dom” wcale nie kojarzyło mi się z poczuciem bezpieczeństwa.

Guido popatrzył na mnie tak, jakby wiedział, że jestem rozdarta.

– Kiedyś będziemy musieli to zrobić.

– Dlaczego?

– Z powodu Flory.

– Dlaczego? – powtórzyłam z oczami utkwionymi we flotę przed nami.

– Posłuchaj, Luciano. Flora. Florencja. Postać na obrazie to najpiękniejsza mieszkanka Florencji, czyli ty, obsypana kwiatami. Flora. Flora to Florencja.

Docierała do mnie logika tego, co powiedział, osłodzona dodatkowo komplementem. Nie musieliśmy długo się namyślać, żeby dojść do takiej konkluzji.

– Ale najpierw musimy pojechać gdzie indziej? – spytałam.

Skinął głową.

– Między nami a Florencją stoi Wenus. Jedno miasto, zanim poznamy miejsce ślubu Lorenza di Pierfrancesca. – Brat Guido mówił tak, jakby wiedział więcej, niż ujawnił, ale zanim zdążyłam wypytać go dokładniej, skierował swoje myśli w zupełnie inną stronę. – Musi być jakiś powód, dla którego ukryto tutaj te statki. Żadne północne państwo, choćby Florencja, nigdy nie mogłoby odgadnąć, co się tu szykuje. To by tłumaczyło, dlaczego mój stryj, jeśli mamy uznać, iż bierze w tym udział, nie zostawił swojej floty w Pizie. To zbyt blisko Florencji, flota zostałaby zauważona przez statki handlowe płynące do portu.

– Zamyślił się na chwilę, najwyraźniej zmartwiony zaangażowaniem stryja w tak niehonorową działalność, a także tym, że sam musi udawać kogoś, kim nie jest. – Król Ferdynand chciał, żebyśmy to zobaczyli. Właśnie dlatego ten wąz, Santiago, wie, że istnieje ukryte przejście z kościoła San Lorenzo Maggiore przez Neapolis do tej grotty. To wspaniała przystań stworzona przez naturę, niewidoczna, to doskonałe miejsce na ukrycie tajnej armady, której sekret poznają

wszyscy umiejący rozszyfrować, co tak naprawdę jest na obrazie.

– Wszyscy z Siódemki – wtrąciłam.

– No właśnie. Ale bardzo możliwe, że król i wszyscy inni z Siódemki bywali tu regularnie, żeby oglądać zbierające się statki i snuć plany. Bo do tego miejsca można dostać się tylko z kościoła albo z otwartego morza. Tutaj nasz przyjaciel, *capitano* Ferregamo, miał zgodnie z poleceniem przyprowadzić statki z Pizy. Tutaj powinni przypłynąć wszyscy, którzy przetrwali sztorm.

Patrzyłam na szczyty masztów. U wejścia do jaskini stało może sto okrętów ze sztandarem Pizy.

– Popatrz! – wykrzyknęłam. – Oto oni. Muda, flota, którą widzieliśmy w trakcie budowy siedem nocy wcześniej. – Rozejrzałam się. – Dlaczego nikt ich nie pilnuje?

– Bo nie ma takiej potrzeby. Nikt nie wie, że okręty są tutaj. Oprócz Siódemki czy marynarzy, których Siódemka opłaca.

Poszliśmy do przodu i ujrzelśmy zadziwiającą scenę. Po raz kolejny zastanawiałam się nad różnicą między tą flotą a tamtą, którą widzieliśmy w Pizie. Tutaj nie było cieśli kręcących się jak mrówki ani stolarzy. Te okręty były gotowe do wypłynięcia. Ale była to flota widmo, nie miał kto jej użyć.

– A gdzie są marynarze? – zastanawiałam się.

Brat Guido wzruszył ramionami.

– Niechybnie zabawiają się w porcie.

Skinęłam głową ze zrozumieniem.

– Rum i dziwki.

– Skoro tak twierdzisz – powiedział cierpko. – Szykuje się wielkie przedsięwzięcie, niedługo pochłonie wiele ludzkich istnień, więc ciesz się wolnym czasem, dopóki to możliwe.

– Jezu. W co ten twój stryj nas wpędził?

Nie odpowiedział, że w gruncie rzeczy to, iż znaleźliśmy się w takim położeniu, jest moją winą.

– Nie wiem. Ale musimy sobie radzić sami. – Wskazał ocean. – Popatrz, słońce jest coraz wyżej. Jeśli mamy wrócić do zamku, nim zadzwonią na Anioł Pański, to musimy już iść. – Zobaczył to, co przyszliśmy tu zobaczyć i gotów był wracać do Neapolis, a więc i do kościoła San Lorenzo.

A więc do Trędowatego.

Położyłam rękę na jego ramieniu.

– Nie tędy. – Opowiedziałam mu o wszystkim, o ostrzeżeniu starego Nilu, o złowrogim Trędowatym pod filarem i o tym samym Trędowatym w kościele. To on nas ściga i obserwuje spod

kaptura srebrzystymi oczyma.

Przez moment słyszałam tylko szum morza i jęk okrętów wpadających na siebie na falach.

– Nawet jeśli tam był, to skąd przekonanie, że to on jest przyczyną naszych niepowodzeń i śledzi nas przez cały czas? – odezwał się wreszcie Guido.

Wzruszyłam ramionami.

– Ja to po prostu wiem.

– Ale to nielogiczne. Twierdzisz, że budzi w tobie grozę, ale w dużej mierze do takiego wrażenia przyczynia się jego postura, a także fakt, że jest otulony sutanną i kapturem i ma obandażowaną twarz.

– To sprawa oczu – upierałam się.

– Twierdzisz – kontynuował Guido, jakby nie słyszał moich słów – że jego oczy są niemal metaliczne. Może to prawda, bo Bóg stworzył człowieka w wielu różnych odmianach. Ale chyba widzisz, jak irracjonalnie się zachowujesz. Nie wiemy, czego chce od nas ten nieszczęśnik. Równie dobrze może być przyjacielem. Bo przecież w ogóle z nim nie rozmawiałaś, prawda?

– Oczywiście, że nie, bo jestem prawie pewna, że nasza pierwsza rozmowa byłaby ostatnią.

Guido wziął mnie za rękę.

– Luciano, załóżmy, że masz rację. Załóżmy, że ten osobnik ma złe zamiary. Kto mu za to płaci? Jeśli śledzi nas od Florencji, to w jaki sposób od pewnego czasu udaje nam się skutecznie udawać mojego kuzyna i jego kurtyzanę? Jeśli ten osobnik zna naszą prawdziwą tożsamość, to dlaczego nie wyjawiał jej naszym gospodarzom?

Wzruszyłam ramionami, lekko nadęta.

– Wiem tylko, że potwornie się go boję. A jeśli jesteś taki pewny, że nam nie zagraża, to dlaczego nie wrócisz do San Lorenzo i mu się nie pokłonisz? Mógłbyś mu nawet uścisnąć zżartą przez trąd dłoń.

– Nie twierdzę, że nie stanowi dla nas zagrożenia.

– A kto zabił Ennę, Bemba i brata Remigia przy studni, a nawet twojego stryja? – spytałam poruszona.

– Nie twierdzę, jak wiesz, że w tych przypadkach nie doszło do przestępstwa. Mówiłem już wcześniej, że moim zdaniem ktoś uważa, iż poznaliśmy sekret obrazu, i chce się nas pozbyć.

– Więc co według ciebie stało się z tymi mordercami?

– Zgubiliśmy ich w drodze do Neapolu. Są małe szanse, że płynęli za nami po wzburzonym morzu, bo przecież sami nie wiedzieliśmy, dokąd nas wiozą. Zresztą gdyby nawet ktoś wszedł za nami na pokład okrętu, utonąłby wraz z resztą załogi.

– Ale cała flota dotarła tutaj. – Pokazałam zakotwiczone przed nami okręty.

Guido odwrócił się do mnie, a w jego niebieskich oczach widać było niepokój.

– Doskonale, powiedzmy, że przyjmę twoje założenie, iż powrót do kościoła oznacza śmierć. Tak więc musimy uciekać morzem. Umiesz pływać?

Skinęłam głową.

– A ty?

– Nie.

– Niech to diabli! – Teraz nie pora na rozważania, jak to się stało, że młody szlachcic mógł wychowywać się na wybrzeżu i nie nauczył się pływać. Jak mam powiedzieć mojemu towarzyszowi, że wolę ciągnąć go przez słoną wodę, niż wrócić do ciemnej krypty i raz jeszcze zobaczyć srebrzyste oczy tajemniczego trędowatego, który przyjechał za nami aż tu?

– Musimy wybrać morze – przekonywałam. – Ukradniemy jakąś łódź. – Ale było to niemożliwe. Wściekłe kobaltowe fale przy wejściu do pieczary nabrzmiały teraz do wielkości przyływu. Spadlibyśmy ze skał do morza bez względu na to, czy umielibyśmy pływać, czy nie. Staliśmy blisko siebie na brzegu spienionego jeziora, a fale lizały nasze buty. – Jesteśmy w pułapce – przyznałam ponuro.

– Nic podobnego – powiedział łagodnie brat Guido. – Musimy wrócić do kościoła i stawić czoło temu mężczyźnie, jeśli rzeczywiście na nas czeka. Nie mamy dużo czasu, musimy wrócić, bo inaczej ucieknie nam królewski konwój.

Wiedziałam, że ma rację, ale strach ciągnął mnie w dół jak morska woda, którą nasiąkła moja aksamitna spódnica. Potknęłam się, kiedy chciałam się odwrócić, i padłam na brzegu na kolana. Odepchnęłam pomocną dłoń Guida, bo skoro już klęczałam, to uznałam, że mogę się pomodlić o cud, który pozwoli mi nie wracać do kościoła i spojrzenia srebrzystych oczu.

Już chyba wiecie, że nie mam zwyczaju się modlić. Jeśli Pan Bóg miałby wolną chwilę w ciągu dnia, to wątpię, czy zająłby się taką zbłąkaną owieczką jak ja. Ale choć trudno w to uwierzyć, cud się zdarzył. Nikczemne żywioły rządzące tym miejscem teraz uśmiechnęły się do nas i podarowały nam cud. Nagle zapadła cisza i morze zaczęło się cofać, zniknęło jak odpływ w czasie potrzebnym na jedno uderzenie serca. W ciągu sekundy woda się oddaliła. Patrzyliśmy na siebie osłupiali.

– Bóg wyprostował nasze drogi. – Brat Guido się uśmiechnął. – Zabrał nam morze spod nóg jak Mojżeszowi.

Nigdy dotąd nie myślałam o sobie jak o drugim Mojżeszu, ale mój towarzysz miał rację, woda cofnęła się prawie po horyzont, pozostawiając spokojną niebieską linię między ziemią a niebem.

– To nieważne – przerwałam te biblijne odniesienia. – Chodźmy.

Okręty na ukrytym jeziorze za nami opadły, niemal wbiły się w dno, drewno i liny stękały i trzeszczały jakby w proteście. Ocalił je tylko płytki naturalny zbiornik, zatrzymany w olbrzymiej

grocie przez dużą skałę u wejścia. Przeszliśmy przez kamienie i zesliśmy na piasek, już suchy i złocisty w południowym słońcu.

Trudno było zrozumieć to, co oglądamy, bo nie był to zwykły odpływ. Miało się wrażenie, że na tym wybrzeżu nigdy nie było morza.

– Co się stało z oceanem? – szepnęłam, nie chcąc zakłócać tej nagłej ciszy.

Brat Guido pokręcił głową zachwycony.

– Nie wiem. Może tutaj to normalne, taki nagły odpływ zabierający morze? Na bagnistych nizinach Pizy morze czasami się cofa przy pewnej fazie księżyca, ale nigdy nie widziałem, żeby stało się to tak szybko.

Piasek był równy i złoty jak pole pszenicy, a niebo niebieskie niczym suknia Matki Boskiej. Był to niepowtarzalny dzień i w każdej innej sytuacji spacer po brzegu z mężczyzną, którego kocham, byłby spełnieniem najskrytszych marzeń. Ale coś było nie tak. Słońce świeciło zbyt jasno, niebo było zbyt niebieskie. Wszystko wydawało się zbyt... jak by to powiedzieć... realne. Co więcej, nie śpiewały ptaki, nawet mewy – których nieustanne krzyki znosiłam już od trzech dni – milczały. Na plaży nie było żadnego stworzenia, nawet śladu dżdżownicy czy zbłąkanego śledzia. Powietrze wydawało się kleiste, z trudem stawialiśmy kroki. Chciałam podzielić się z Guidem moimi wrażeniami.

– Powietrze wydaje się... no, takie... stałe, nie lotne jak zwykle.

Spodziewałam się, że mnie wykpi, jak robił to już wielokrotnie, ale on rozejrzał się dokoła i skinął głową.

– Wiem, co masz na myśli. To jak z krwią świętego.

Przypomniałam sobie legendę o świętym Gennaro, jasny księżyc poprzedniego wieczoru. A teraz morze odpłynęło jak woda z dzbana. Zapowiedzi i znaki. Zadrzałam mimo upału i przyspieszyłam kroku. Pokonaliśmy niewielki odcinek do portu i po raz drugi wkroczyliśmy do miasta, wspinając się na molo, przy którym wylądowaliśmy poprzedniego dnia. Jednak tym razem o drewnianą przystań nie rozbijały się fale, w porcie nie kręcili się ludzie. Szliśmy tą samą drogą przez targ, ale dzisiaj drzwi zamykały się przed nami, a czarno ubrane wdowy osłaniały twarze woalkami. Kundle kuliły się w cieniu, ich szczekanie umilkło, głowy pokładły na łapach. Dzisiaj znak diabelskich rogów był wszędzie, wszyscy obywatele, od siwobrodego starca do małego dziecka, robili ten znak rękami; palec wskazujący i mały wyprostowane, dwa środkowe przytrzymywane przez kciuk.

Weszliśmy po milczącym zboczu do Castel Nuovo, wpuszczono nas przez bramę. Spodziewałam się, że na zamkowych podwórcach zobaczę zwykłą krzątanicę, ale tu też zaszła zmiana. Przy wejściu do wieży czekał tuzin czarno-złoty karoc. Czarne konie stały nieruchomo jak posągi, przewracały oczami, pokazując białka, a po ich bokach spływał pot. Nie ruszały się, nie

oganiały ogonami od natrętnych much, bo trudno w to uwierzyć, ale much nie było. Szliśmy w stronę czekającego Santiaga. Teraz nie było czasu na zastanawianie się, czy wrócimy z królem do domu do Florencji. Bez względu na to, czy pokonamy całą trasę, jedno nie ulegało wątpliwości: musimy opuścić to niesamowite miejsce albo narazimy się na nie wiadomo co. Santiago ruchem ręki wskazał nam królewski powóz. Nie potrzebowaliśmy kolejnego zaproszenia, tym bardziej że czułam się wyjątkowo nieswojo. Brat Guido otworzył pozłacane drzwiczki trzeciej karety z herbem Domu Aragońskiego. Wdrapaliśmy się do środka i o mało nie usiedliśmy na kolanach króla i królowej. Skinęli głowami na powitanie, ale nie odezwali się, a ich uśmiechy pozbawione były wesołości. Oni też coś przeczuwali.

Kiedy złapałam dech, popatrzyłam na zatokę poniżej i zachwyciłam się tym, jak ukryta jest grota i okręty. Gdyby nie zagadka Fiammetty, nigdy nie dowiedzielibyśmy się o ich istnieniu.

Ale patrząc na morze, zobaczyłam coś jeszcze.

Na horyzoncie ocean tworzył gigantyczną stalową masę, falę o tak biblijnych rozmiarach, że wydawało się, jakby wszystkie siedem mórz chciało uderzyć w nieszczęsne miasto i zmyć nas z wybrzeża jak owady. Oniemiała z przerażenia wskazałam palcem morze, a moi szlachetni towarzysze popatrzyli w tamtą stronę. To wystarczyło.

– Ruszaj! – wrzasnął król Ferdynand. Kiedy wydał ten rozkaz, zdarzyły się trzy rzeczy.

Prima cosa: Rozległo się dwunaste uderzenie na Anioł Pański.

Seconda cosa: Wściekłe morze ruszyło na miasto.

Terza cosa: Woźnica strzelił z bata, a ziemia zrobiła to samo.

Olbrzymie dudnienie poruszyło ziemię pod nami, a także murami zamku. Popatrzyłam przerażona na Guida, zęby mi dzwoniły, serce zaczęło bić jak oszalałe. Z fortecy zaczęły spadać cegły, a my mknęliśmy w tempie, które mogłoby przerażać, gdyby nie to, że każde uderzenie kopyta oddalało nas od tego rozpadającego się miejsca. Wydawało się, że nadszedł koniec świata, ale nasze konie pędziły podjazdem, minęły bramy zamkowe i wcale nie trzeba było używać bata. Jadąc, patrzyliśmy na morze. Wydawało się, że wściekła fala przypląwu wchłania zatokę, wody kłębiły się i pieniały przy brzegu, łapczywie zmywając statki z przystani i szopy ze zbocza. Złapałam Guida za rękę tak mocno, że musiało go zabolec. Naprawdę bałam się o życie, kiedy konie niosły nas przez zrujnowane miasto. Poczułam, że Guido oddaje uścisk ręki. Wiedziałam, że w tym momencie też czuł nadchodzącą śmierć, ale zrozumiałam, że wybaczył mi to, co się stało, kiedy ostatni raz patrzyliśmy w twarz klęsce. W mieście na dole budynki rozpadały się na naszych oczach, pękały od fundamentów w górę, bo ziemia nie przestawała się ruszać, wstrząsana gwałtownymi dreszczami. Kilka razy o mało nie przygniotły nas walące się mury, powóz przed nami przewrócił się, a nasze przerażone konie wierzgnęły, ale zaraz się uspokoiły. Nie zobaczyliśmy, co stało się z pasażerami, ale nie było mowy o zatrzymywaniu się, jeśli chcieliśmy

ratować życie. W niektórych miejscach nie pozostawał kamień na kamieniu. Kiedy mijaliśmy San Lorenzo Maggiore, zauważyłam, że część kościoła stała się kupą kamieni, tylko wieża stała jak komin, podczas gdy szary pył wzbijał się w niebo niby dym. Pomodliłam się cicho w nadziei, że przerażająca czarna zjawa z mrozącymi srebrzystymi oczami zginęła w jego wnętrzu. Wszędzie słyhać było krzyki, ludzie biegali z dobytkiem na plecach i wyglądali jak ślimaki z popularnej piosenki. W różnych miejscach wybuchały niewielkie pożary, które w każdej chwili mogły się rozprzestrzenić. Wiedziałam, że wypalone słońcem miasto wkrótce może obrócić się w popiół. Zrozumiałam teraz moc krwi świętego Gennara – nie było to tylko religijne hokus-pokus, z którego podkpiwałam na wieczornej uczcie. Jego krew miała moc wstrząsania ziemią i wysuszenia morza. Jego krew w tym roku nie zrobiła się płynna, dał więc swemu ludowi ostrzeżenie, przepowiedział nadchodzącą klęskę.

– Do bram miejskich! – wołał do woźnicy król, przekrzykując hałas. – Musimy jechać w górę, oddalić się od miasta.

– Wskazał wspaniały rzymski łuk triumfalny, który mijaliśmy w drodze do San Lorenzo.

Moje serce zabiło mocniej, kiedy ziemia znowu się zatrzęsała. Zbliżaliśmy się do bramy, a gruz leciał na jedwabny baldachim nad karetą, przebił dach i posypał się na nasze głowy, podczas gdy współzawodniczyłam z królową w tym, która głośniej wrzaśnie. Wierne konie nadal ciągnęły karete, omijając leżące kamienie i zrozpaczone kobiety klęczące przy drodze. Nie chciałam nawet myśleć o tym, co straciły. Widząc posąg Nilu, ucieszyłam się, że przynajmniej on przetrwał, żeby żyć przez kolejnych tysiąc lat. Kiedy go mijaliśmy, posłałam mu całusa za to, że mnie ostrzegł, ale tym razem milczał, wstrząśnięty ruiną swojej twierdzy. Teraz miałam pewność, że zbliżamy się do bram miasta. Nasz orszak wyjechał z za rogu spowity chmurą pyłu, przemknął pod wielkim łukiem, zaczął się wspinać i nagle znaleźliśmy się z dala od chaosu, wysoko w górach, Ziemia znieruchomiała, a przekłete miasto zostało za nami. Dziwiłam się, że słońce nadal świeci.

Strząsnęliśmy gruz i kamyki z naszych głów, pył unosił się z loków Guida, tworząc aureole. Powóz zwolnił, widok zielonych platanów i gajów oliwnych uspokajał moje skołatane myśli. Kiedy przestało dzwonić mi w uszach, odzyskałam mowę.

– Co się stało? – zapytałam głosem ochrypłym od krzyku.

– Czy wysadzili nas saperzy? Czy strzelano do nas z tysiąca armat?

Król Ferdynand uśmiechnął się, najwyraźniej nie zrobiło na nim wrażenia, że wymknęliśmy się śmierci.

– To nie ludzie, tylko starzy bogowie zatrzęśli ziemią. Słyszałem wcześniej o takich wstrząsach, ale nie zdawałem sobie sprawy, że mogą być tak silne. – Spokojnie strzepnął gruz z aksamitnego rękawa i spojrział przez okno na zrujnowane wybrzeże. – Rzymianie utrzymywali, że to Posejdon, bóg morza, sprowadza trzęsienia ziemi. Oczywiście to poruszenia ziemi każą morzu

się cofnąć i powrócić w formie gigantycznej fali, czego byliśmy świadkami.

– Taki wstrząs zdarzył się już wcześniej? – spytałam z wytrzeszczonymi oczami.

– Tu w Neapolu trzęsienie ziemi przed tysiącem lat przeszkodziło cesarzowi Neronowi w scenicznym debiucie w charakterze muzyka – wtrącił z zapalem brat Guido. – Pisał o tym Pliniusz. Neron uważał, że bogowie wzgardzili jego talentem.

Skarciłam go wzrokiem. Mogłam się spodziewać, że dorzuci swoje trzy grosze.

– Tak, tak – włączył się król i zorientowałam się, że nie zachwyca go erudycja Guida. – Bogowie mogli przekląć Neapol, ale przynajmniej uratowali nasze szlachetne głowy.

– Tylko że ja nie wierzę w bogów w liczbie mnogiej – odrzekł brat Guido. – To nasz Bóg Ojciec ocalił nas przed nieszczęściem.

– Na pewno, na pewno – potwierdził obojętnie Ferdynand. – I teraz możemy złożyć mu podziękowanie w Jego duchowej ojczyźnie na ziemi, która jest naszym celem.

Słyszałam, że brat Guido wstrzymał oddech, ale mogłam myśleć tylko o tym, że król wydaje się prawie nieporuszony niemal całkowitą ruiną swego przybranego królestwa, nie mówiąc o stracie jednego z powozów. Miałam nadzieję, że w tym nieszczęsnym powozie nie jechały jego trzy kochanki. Bo na przykład utratę Santiaga przyjąłabym bez żalu.

– W takich okolicznościach nie możemy ryzykować jazdy drogą nadbrzeżną – ciągnął spokojnie król – bo może dojść do kolejnych wstrząsów. Pojedziemy na wschód i dalej Via Appia.

Zobaczyłam, że brat Guido się uśmiechnął. Co za nieprzewidywalny człowiek.

– Via Appia – powtórzył jak we śnie.

Król pokiwał głową.

– Ta droga doprowadzi nas aż do samego...

– Rzymu – dokończył brat Guido i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Tylko ja słyszałam, jak dodał cichutko: – Dokąd właśnie musimy jechać.

IV

Rzym, lipiec 1482

ROZDZIAŁ 1

Madonna!

Nie uwierzycie, kiedy wam powiem.

Ja, Luciana Vetra, Chichi, zwykła florencka dziwka, jestem gościem samego papieża.

Przysięgam na *Vera Madre*, że to prawda. Stoję właśnie na murach obronnych zamku Świętego Anioła, nadrzecznej twierdzy należącej do Watykanu. Patrę w dół na niskie latem wody ospałego Tybru, które niczym srebrna wstążka wiją się pośród wzgórz. Patrę na drugą stronę rzeki na kościół Świętego Piotra, błyszczy jak czyste złoto w świetle zachodu, większy nawet od florenckiego Duomo. Jestem tu jako gość księcia tej wielkiej bazyliki, człowieka mającego największą władzę na tym półwyspie, Jego Świątobliwości papieża Sykstusa IV.

Nie muszę chyba mówić, że zanim nastał ten wieczór, w ogóle nie znałam imienia papieża, nawet gdybyście chcieli założyć się ze mną o baryłkę marsali. Ale nie muszę też wam mówić, bo podróżujecie już z nami wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że brat Guido podał mi wszystkie niezbędne szczegóły, a także dużo całkiem zbędnych. Jest niezwykle podniecony, szepcze mi prosto do ucha, bo przebywanie w tej papieskiej cytadeli, głównej kwaterze jego zakonu i nie tylko, to szczyt jego kariery. Jezu!

Dojechaliśmy do Rzymu wczesnym wieczorem po siedmiu dniach podróży. Nie cierpieliśmy żadnych niedogodności, które tak nękały nas w drodze z Florencji do Pizy, a podróż ta różniła się również zdecydowanie od pływającego więzienia na pokładzie okrętu Mudy. Powozy były wygodne, jedzenia i picia pod dostatkiem, a miejsca, w których odpoczywaliśmy przy drodze, luksusowe. Zatrzymywaliśmy się albo w górskich pałacach szlachty zaprzyjaźnionej z królem południa albo w przydrożnych zajazdach, które ludzie Ferdynanda opróżniali, wyrzucając dotychczasowych gości na zбитy pysk. Przyjemnie było patrzeć na tych zarozumiałców, którzy musieli taszczyć wszystko bez pomocy służby i narzekając na niewygody, wlec się Via Appia do następnego wodopaju. Sadowiłam się w ich gniazdach ze złośliwą radością kukułki i zastanawiałam wciąż od nowa, jakie to uczucie być naprawdę dobrze urodzoną i mieć prawdziwą władzę, a nie tylko nędzną dziwką, aktorką grającą jakąś rolę.

Kiedy wreszcie wjechaliśmy w bramy miasta, zachwyciłam się jego ogromem. Olbrzymie prostokąty budowli błyszczały w słońcu, nigdy nie widziałam takiej potęgi, ani we Florencji, ani nawet na wspaniałym Polu Cudów w Pizie. Był to czas kanikuły, Syriusz stał wysoko za Słońcem, które świeciło długo i do późna, ale nawet ono w końcu zostało pokonane. Złoto przemieniało się w srebro, kiedy światło gasło nad Rzymem i powoli zapadała noc. Pałace, budynki publiczne,

zamki i kościoły wyglądały jak w krainie baśni, bo miasto opalizowało. To miejsce było niepodobne do żadnego innego, iście książęca siedziba.

Moje wrażenia spotęgowało przybycie do zamku Świętego Anioła, wielkiego ślubnego tortu z krenelażami z cegły terakotowej, czerwonego kruka w naszej partii szachów. Przycupnięty na brzegu leniwej rzeki był raczej twierdzą niż wytwornym pałacem, a jednak nasze komnaty były urządzone z przepychem, a powitano nas ciepło. Weselnemu towarzystwu przydzielono całą górę zamku, jadaliliśmy we własnej jadalni. Brat Guido i ja poszliśmy po kolacji zaczerpnąć świeżego powietrza i wreszcie porozmawiać bez świadków. W trakcie podróży udało nam się zamienić parę zdań, ale w drodze wszystkie kobiety nocowały z dala od swoich mężczyzn. Przebywaliśmy razem jedynie w królewskiej karecie pod okiem króla i królowej. Od czasu do czasu rozmawialiśmy szeptem, ale nie odważyliśmy się mówić o *Primaverze*. A przez ostatnie dni, kiedy okazało się, że papież zaprosił nas do swojego zamku i obiecał przyjąć przed naszym wyjazdem do Florencji, szepty brata Guida przepełniała ekscytacja z powodu spotkania z ojcem Kościoła. Modlił się tak dużo, że bałam się, iż odpadnie mu język. Klękał przy każdej przydrożnej kapliczce i miałam wrażenie, że zedrze skórę kolan do kości. Obawiałam się, że król nabierze podejrzeń, bo Niccolò della Torre na pewno nie ma reputacji dewota. W karecie przypominałam mojemu przyjacielowi swoim zachowaniem i surowymi spojrzeniami, żeby pamiętał o tym, jaką rolę gra. Ocierałam się o niego jak zwykła nierządnicą, przyciskałam cycki do jego twarzy, szeptałam mu do ucha reprimendy, udając, że to słodkie słówka. (Muszę przyznać, że robiłam to w równym stopniu dla swojej przyjemności, co dla naszego bezpieczeństwa). Zmienił zachowanie, ale kiedy dojechaliśmy do miasta, wiedziałam, że jest niemal w religijnej ekstazie. Moje tłumione podniecenie było nie mniejsze, ale brało się z czego innego: chciałam wreszcie szczegółowo porozmawiać o obrazie i przekonać się, czy Rzym pasuje do naszej łamigłówni.

Podczas wieczornej *passeggiaty* znaleźliśmy idealne miejsce na naradę: najwyższy parapet na murach obronnych, pilnowany przez dwóch groźnie wyglądających strażników. Nie zaczepiali nas ani nie kwestionowali naszej obecności, bo, jak przypuszczam, zostali poinformowani o tożsamości każdego gościa i pewnie byli przyzwyczajeni do szlachetnie urodzonych, którzy wychodzili wieczorem na mury, by zaczerpnąć powietrza i podziwiać widok. Teraz jednak odwróciłam się plecami do widoku, tak jak kiedyś w Fiesole, i spytałam:

– Czy nikt nas tu nie usłyszy?

Brat Guido rozejrzał się, a lekki wiatr targał jego kręcone włosy. Tamtej nocy księżyc był w pełni i po raz kolejny na twarzy Guida kładł się perłowy anielski blask.

– Chyba nie, bo strażnicy są jakieś sto kroków od nas, a nikt inny nie może nas tu zobaczyć ani podsłuchać.

– No to wyjmuj.

Wiedział, że nie jest to sprośna propozycja. Sięgnął za kamizelkę i wyciągnął *cartone*. Rozłożyliśmy obraz na murze i patrzyliśmy na główną postać, którą nazwaliśmy Wenus, a teraz identyfikowaliśmy jako Rzym. Zadałam pytanie, które trapiło mnie od tygodnia:

– A skąd wiesz?

– Że Wenus to Rzym? Jest tyle wskazówek, że nie wiem, od której zacząć.

– Ale spróbuj. – Mówiłam lodowatym tonem, bo Guido znowu sprawiał, że czułam się jak nieuk, więc po ostatnich triumfach miałam pretensję, że sam do tego doszedł.

– Po raz pierwszy zacząłem się nad tym zastanawiać, kiedy natknęliśmy się na Neapolis, rzymski Neapol. Rzym leżał jakby pod San Lorenzo. Znowu pomyślałem o *cartone* i uświadomiłem sobie, że Wenus stoi pod bardzo wyraźnym łukiem stworzonym z liści, łukiem niemal romańskim.

Przygryzłam wargi.

– Trochę to naciągane.

Nie zbiło go to z tropu.

– Owszem. Ale poznajesz te liście? Zielone, świecące, w kształcie łez. Nie znajdziesz takich liści w wiejskim lesie. To liście uprawnego krzewu ogrodowego, widzisz je przy każdym pałacu we Florencji.

– Wawrzyn! – Doskonale znałam tę odmianę, wiele razy chowałam się przed tą dziwką, żoną Bemba, znałam więc gorzki zapach błyszczących liści, pod którymi znajdowałam schronienie.

– No właśnie. Wawrzyn, czyli laur. Po angielsku *lawrence*, *laurent* po francusku, w naszym języku *lorenzo*, roślina rodziny Medyceuszy.

– Zgoda, ale Neapolis jest w Neapolu. Co takiego kazało ci myśleć o Rzymie?

– Wiele rzeczy. Rzym to miasto zbudowane na siedmiu wzgórzach, a jak odkryliśmy, cyfra siedem, sojusz siedmiu osób, stanowi sedno zagadki.

– Zawsze chciałam zapytać – wtrąciłam – dlaczego siedem, a nie osiem czy dziewięć?

– Co masz na myśli?

– Tak naprawdę na obrazie jest dziewięć postaci, jeśli liczyć Kupidyna. Osiem postaci dorosłych. Więc dlaczego jest ich tylko siedem w tym spisku czy sojuszu, czy jak tam, a nie osiem lub dziewięć?

Brat Guido nasunął na głowę kaptur, by ochronić się przed wiatrem.

– Wyznaję, że nie wiem. Może jedna z postaci to przynęta, a może z jakiegoś powodu nie jest brana pod uwagę?

– Może ja, Flora? Florencja – zasugerowałam, mając nadzieję, że nie będziemy musieli tam wracać.

– Nie z tą twoją twarzą. Nie można jej zignorować. – Pławiłam się w rozkoszy, ale przecież to nie był komplement, tylko proste stwierdzenie. Oczy Guida miały zamyślony, nieobecny wyraz.

– Niewykluczone, że jedną z postaci pominięto, a może namalowano ją po to, żeby nas zwiódła. Ale mało prawdopodobne, żeby była to Florencja, ojczyzna artysty i jego patrona. – Westchnął zaintrygowany. – W każdym razie siódemka to cyfra wymieniona przez króla i numer siedem, siódma stacja drogi krzyżowej. Otwiera drzwi do Neapolis w kościele San Lorenzo Maggiore. A jak już mówiłem, tak się składa, że Rzym zbudowano na siedmiu wzgórzach.

Skinęłam głową.

– I co jeszcze?

– Wenus ubrana jest w rzymski strój. Widzisz? Zupełnie inaczej niż wszystkie inne damy.

Wszystkie inne postacie mają zwiewne, białe, wiosenne szaty, jak bukoliczne boginie.

Nie wiedziałam, co znaczy „bukoliczne”, brzmiało jak choroba żołądka.

– Ale te szaty są bardzo modne – zaprotestowałam, starając się odzyskać grunt pod nogami.

– Suknia, którą ja noszę, w kwiaty malowane na materiale, jest teraz najmodniejsza we Florencji.

Zatęskniłam za dniami, kiedy myślałam jedynie o następnym kutasie i o kolorze sukni.

– Zgoda. To szczyt tokańskiej mody. Ale popatrz na Wenus. Wygląda zupełnie inaczej.

Nosi strój z minionej epoki, draperie i materiał ze starożytności. Wyraziste kolory, a nie białe przezroczyście tiule. To są nasycone klasyczne barwy: czerwony, niebieski i złoty. Nie ma kwiatów, przybranie głowy prosto z czasów rzymskich, podobnie jak biżuteria.

Przyjrzałam się uważnie. Wenus miała stosunkowo niewiele ozdób, a na pewno nie perły.

– Masz na myśli ten wisior? – wskazałam palcem piękny złoty naszyjnik na piersi Wenus, który jakby błyszczał w przyjaznym świetle księżyca. Sprawiał wrażenie bardzo zwyczajnego, okrągły złoty dysk z mniejszym dyskiem czy bursztynem pośrodku. Trudno było go obejrzyć dokładnie ze względu na rozmiary *cartone*.

– Tak.

– A co w nim rzymskiego?

– Żeby mieć pewność, musiałbym zobaczyć prawdziwy obraz, ale wygląda mi to na medal kultu Sol Invictus.

Nie musiałam go prosić o wyjaśnienie, wystarczyło spojrzeć.

– Zanim ludzie zaczęli czcić Boga, żyli według rytmu pór roku, przyrody i światła, które dawały im życie. Cztili słońce. Wiem, że teraz wydaje się to absurdalne.

Prawdę mówiąc, wcale tak nie myślałam. Czczenie płomiennej kuli, która obdarzała życiem każdą żywą istotę, wydawało mi się o wiele bardziej sensowne niż wielbienie człowieka, który był martwy przez dwa dni, a na trzeci dzień ożył. Jednak lepiej od innych znałam głębię religijnego zaangażowania brata Guida, więc się nie odezwałam.

– Kult Sol Invictus, Niezwycięzonego Słońca, przez stulecia był główną religią Rzymu. Po nadejściu Chrystusa ci, którzy poszli za nim, byli prześladowani i musieli spotykać się w tajemnicy

w katakumbach wokół miasta. – Przeżegnał się.

– A więc – czułam, że Guido zmienia temat – jest ubrana jak wielka rzymska dama?

– Lepiej. Jak panna młoda.

Oślupiała wpatrywałam się w *cartone*.

– Skąd wiesz?

– Jako chłopiec uczestniczyłem w wielu ślubach szlachetnie urodzonych – mówił niemal przepraszająco, wiedząc, że ja nigdy na żadnym ślubie nie byłam. – W Toskanii jest taki zwyczaj, że panna młoda podnosi rękę, tak jak robi to Wenus, w geście powitania gości. A jej uczesanie i welon są takie jak u rzymskiej panny młodej. – Guido spojrział na mnie z ukosa.

– A co więcej, ona wyjdzie za mąż w piątek.

Cmoknęłam zniecierpliwiona.

– Daj spokój. Jak, do licha, mogłeś do tego dojść? Nikt nie bierze ślubu w piątek, to przynosi pecha.

– Myślisz pewnie o tym wierszyku:

Ne di Vener, ne di Marte

Non si sposa, non si parte

Ne si da principio all'arte².

Z całą pewnością o tym nie myślałam, ale miałam długą praktykę w udawaniu przed bratem Guidem, że jestem mądrzejsza niż w rzeczywistości, więc nie zamierzałam zaprzeczać. Mogłam jednak dodać, że jego poznałam w piątek i wtedy wszystko się zaczęło.

– Chciałam tylko zapytać, co cię skierowało w tę stronę?

– Popatrz uważnie. Na szacie panny młodej są maleńkie krzyżyki.

Przyjrzałam się i nie mogłam zaprzeczyć.

– Dlaczego, mogłabyś zapytać, skoro reszta obrazu, rzymska panna młoda, jej medalion, jest tak zdecydowanie pogańska?

Odpowiedź brzmi: Wielki Piątek to dzień ukrzyżowania. A nawet gdyby tak nie było, to samo imię postaci prowadzi nas do światła, ponieważ zidentyfikowaliśmy ją jako Wenus, a piątek, po włosku *Venerdì*, to dzień Wenus.

– A więc kim ona jest? Czy mamy chodzić po całym mieście, szukając kolejnej nieżyjącej damy?

Pokręcił głową.

– Wręcz przeciwnie. Ta dama jest jak najbardziej żywa. Energiczna, pełna życia, odgrywa ważną rolę. Nie dla niej białe materie czy jasna karnacja. Ona żyje, nie mam co do tego

wątpliwości. Najwyraźniejszą wskazówką jest kolor jej palli. Popatrz uważnie. Do czego na tym obrazie pasuje?

– Do szaty Merkurego!

– Właśnie. Istnieje kolorystyczna więź z jedną tylko postacią na obrazie, oprócz ciebie, ale o tobie wiemy na pewno, że żyjesz.

– To sam artysta, Botticelli!

– Tak.

– No to od czego zaczynamy? – Krew znowu we mnie zawrzała, zaczęłam chodzić po murach obronnych tam i z powrotem, napalona jak chart, żeby zacząć polowanie.

– Co zaczynamy? – spytał Guido.

– Identyfikację kobiety.

– Nie ma potrzeby. Gdybym rzeczywiście był dziedzicem Pizy, a nie pokornym mnichem, postawiłbym całe moje miasto na to, że ta dama jest panną młodą, której ślub zobaczymy. Jej nazwisko jest identyczne z nazwą drogi, którą przebyliśmy, tej samej, która wiedzie do Rzymu: Via Appia. Ta dama to narzeczona Lorenza di Pierfrancesca Medyceusza, siostrzenica króla Ferdynanda, Semiramide Appiani.

To imię odbiło się echem w mojej głowie, równocześnie zabrzmiał odgłos kroków. Z zamku wyszła jakaś postać, maleńka na tle murów, ale powiększająca się z każdym krokiem – to król Neapolu Ferdynand wyszedł nas szukać.

– Schowaj *cartone* – syknęłam do Guida – i wyglądaj tak, jakbyś się do mnie zalecał.

Objęłam go za szyję i przytuliłam policzek do jego policzka, wiedziałam bowiem, że gdybym tym razem go pocałowała, zaprotestowałby, choć bardzo tego pragnęłam. Odegrał jednak swoją rolę.

– Miłość, dobre sobie – mamrotał, a moje serce skakało, przepelnione nadzieją. On jednak, jak na dobrego prawnika przystało, zostawił najlepszy argument na koniec. – Wenus to bogini miłości. Po łacinie miłość to *amor*. Odczytaj to słowo od końca i co otrzymasz? – Wiedział, że litery nie są moją mocną stroną, nie czekał więc na odpowiedź. – ROMA.

W tym momencie stanął przed nami król, zdążyłam się jednak uśmiechnąć i skłonić z uznaniem przed Sandrem Botticellim, gdziekolwiek się znajdował. Spryciarz umieścił odpowiedź na widoku, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć. Amor, Roma. Chichotałam, kiedy król nas powitał.

– Signor Niccolo, signorino Fiammetto. – Powiedział to z galanterią, ale byłam prawie pewna, że zwrócił się do mnie w ten sposób, ponieważ zapomniał, jak mi na imię. – Ze smutkiem przerywam wam miłosną schadzke, bo tak niewiele zostało takich wieczorów. – Nie byłam pewna, do czego odnosiło się to złowrogie stwierdzenie. Wydawało mi się, że brat Guido też tego nie wie, ale mój przyjaciel z powagą skinął głową. – Dziś wieczorem odbywa się spektakl, którego ty, panie,

jako człowiek uczony tak jak ja, nie chciałbyś opuścić.

– Jaki, Wasza Królewska Mość? – spytał Guido dwornie.

ROZDZIAŁ 2

O jedno uderzenie dzwonów później patrzyliśmy na olbrzymi budynek, przysadzisty i srebrzący się w świetle księżyca. Brat Guido i ja stanęliśmy jak wryci, z ustami otwartymi jak u bliźniaczych piskląt. Król przyglądał się nam, nie budowli, a na jego ustach igrał uśmieszek, jakby sam ją wzniósł. Czułam nieustanną obecność majordomusa Santiaga u boku króla. Był układowy i milczący jak zwykle. Gigantyczna budowla – nie dom i jeszcze nie kościół – wyglądała jak pozostałość starożytnej przeszłości miasta. Nawet ja wiedziałam, że pochodzi z czasów rzymskich. Miała dużo kolumn.

Nad kolumnami wyciosano w skale inskrypcję i tak jak oczekiwałam, brat Guido odczytał ją na głos.

– M AGRIPPA L F COS TERTIUM FECIT. – Zwrócił się do Ferdynanda. – „Zrobił mnie Marek Agrypa”.

Król, który, jak się wydawało, miał być naszym przewodnikiem, skinął głową i podał nazwę budowli.

– Panteon.

Oczy Guida błyszczały.

– To nie do wiary! Od dziecka marzyłem, żeby to zobaczyć.

Król uśmiechnął się uszczęśliwiony, że może sprawić przyjemność gościowi i popisać się znajomością miejsca, w którym „Niccolo” nigdy nie był.

– Wejźmy do środka – zaprosił. – Zorganizowałem dla nas prywatne zwiedzanie, więc możemy spokojnie tu przebywać aż do rozpoczęcia przedstawienia.

Weszliśmy w gigantyczną, ciemną paszczę świątyni. Przy portyku dostrzegłam dwóch strażników Ferdynanda. Trzymali w rękach piki, a ja zastanawiałam się, czego będziemy świadkami. Odwróciłam się przy drzwiach i spojrzałam na plac, niezwykle zatłoczony, nawet jak na duże miasto. Początkowo myślałam, że tłum zebrał się tutaj, by podziwiać wspaniałość pojazdów przybywających z zamku Świętego Anioła, ale ludzie nadal stali. Niektóre poczciwe kobiety robiły znak krzyża, a mężczyźni mówili głośno, jak to mają w zwyczaju przy *braggadocio*. Dawno musiała się skończyć kolacja, skoro byliśmy już po kolacji. Co tu robili ci ludzie? Przez tłum przebiegał szmer oczekiwania.

Kiedy szliśmy przez plac, a strażnicy króla łokciami odsuwali mieszkańców Rzymu, by utorować nam drogę, pociągnęłam Guida za rękaw.

– Co to za miejsce? – Nie wątpiłam, że choć nigdy nie postawił stopy we wnętrzu tej

budowli, będzie wszystko o niej wiedział.

– Panteon oznacza świątynię „wszystkich bogów”, od greckiego *pan*, czyli każdy, i *theon*, Bóg. Pierwotnie stanowił część planu Augustusa Cezara, by na jego podobieństwo odbudować Rzym.

– Zdawało mi się, że zbudował go jakiś Marek. Tak mówiłeś.

– Marek Agrypa był przyjacielem i generałem Augustusa, bardzo prawdopodobne, że zaprojektował pierwszy panteon, skoro jego inskrypcja nadal widnieje nad portykiem.

Zrozumiałam, że chciał powiedzieć „nad frontowymi drzwiami”.

– A więc to rzymska świątynia – podsumowałam.

– Już nie. Po chrystianizacji Rzymu Panteon stał się kościołem Santa Maria dei Martiri, konsekrowanym na rozkaz bizantyjskiego cesarza Fokasa przed wieloma wiekami.

– Zgoda, więc teraz to jest kościół – przyjęłam jego nudne poprawki. – Ale co my tu robimy?

– Tego nie wiem.

Jakie to typowe dla Guida, o czym teraz już wiem: opowie o stu rzeczach, o których wcale nie chcesz wiedzieć, ale to, czego naprawdę chcesz się dowiedzieć, nie mieści się w arsenale jego wiedzy. Panteon wydał mi się bardzo nieprzyjemny, aż dostałam gęziej skórki, kiedy weszłam do środka. Zobaczyłam innych członków dworu aragońskiego kręcących się po olbrzymim wnętrzu jak muchy w butelce. Królowa i trzy królewskie kochanki już były, wszystkie powitały mnie skinieniem głowy. Joanna Aragońska była jak zwykle pogodna, ale konkubiny rozsadzało podniecenie, ćwierkały jak sójki. Aby oświetlić wnętrze, ustawiono wielki krąg syczących pochodni. Musiałam przyznać, że to miejsce robiło wrażenie. Natychmiast zauważyłam trzy rzeczy.

Prima cosa: W wyniku dziwnych architektonicznych sztuczek wydawało się znacznie większe w środku, niż można się było spodziewać, patrząc z zewnątrz.

Seconda cosa: Wnętrze było olbrzymią kolistą przestrzenią z marmurową posadzką. Gigantyczna kopuła spinała ją od góry.

Terza cosa: Pośrodku kopuły znajdowało się coś bardzo dziwnego, olbrzymi otwór wychodzący na niebo, przez który widać było wyraźnie pełnię księżyca.

Guido kręcił się pod tym sztucznym firmamentem, podniósł głowę zachwycony widokiem.

– To *oculus* – wyjaśnił król. – Służy jako zwierciadło okrągłych niebios. – Zaczął mówić głośniejszym głosem, by osiągnąć większy efekt, i zebrani zatrzymali się, chcąc go wysłuchać. – Kasjusz Dion powiedział: „Dzięki tej kopule Panteon przypomina sklepienie samych niebios”.

Nie zrobiło to na mnie wrażenia, najwyraźniej powtarzał jak papuga wiedzę, jaką posiadał przed niecałą godziną, żeby zaimponować swojemu dworowi, więc z pogardą wydełam wargi.

– W istocie – włączył się entuzjastycznie Guido – Panteon nadal stanowi przykład

rzymskiego dążenia do doskonałości w strukturalnej integralności i filozoficznej harmonii. – Jego stwierdzenie, niewyuczone na pamięć i spontaniczne (a dla mnie niezrozumiałe), przepełniło mnie taką dumą, jakby był moim synem, ale król rzekł raczej kwaśno:

– Niewątpliwie.

Brat Guido nie zwrócił uwagi na ton głosu króla i nie przestawał się zachwycać, obracając się to w jedną, to w drugą stronę, jakby obliczał objętość przestrzeni nad głową.

– A więc półkula dachu dopełnia się do całej kuli w przestrzeni między sklepieniem a marmurową posadzką! To cudowne.

Ferdynand musiał przyznać mu rację albo zdradzić swoją ignorancję. Pokiwał głową jak mędrzec.

– Święta geometria kosmosu.

To było zbyt pogańskie dla Guida.

– Stworzona przez Boga – dodał.

Król to przemilczał.

– Zauważ też, mój panie, *pavimentum*. – Najwyraźniej to słowo nigdy dotychczas nie wyszło z ust króla.

Został jednak pokonany.

– A tak, *pavimentum* w stylu *opus sectile*, rozumiem.

Brat Guido sprawił, że teraz ja i król byliśmy skołowani.

– Koła wpisane w kwadraty – mówił – jak w geografii Ptolemeusza. Rzymianom udało się osiągnąć kwadraturę koła! – Roześmiał się i zobaczyłam, że król także się śmieje, rzucając równocześnie lodowate spojrzenie wszechobecnemu Santiagowi. Od razu się domyśliłam, komu powierzono zadanie uzupełnienia wiedzy króla przed zwiedzaniem. To majordomus będzie odpowiadał za luki w edukacji Jego Królewskiej Mości. Ale jakoś nie potrafiłam mu współczuć.

Król wkrótce miał odzyskać przewagę dzięki usypiająco nudnej wyliczance wszystkich rodzajów marmuru, jakiego użyli na posadzkę ci przekłęci Rzymianie. Płyta przypominająca plasterek salami została określona jako fioletowy cesarski porfir z Egiptu. Kamienie tak różowe, jak pasztet *porco grasso*, nazywały się *docimianpavonazzetto* z Azji Mniejszej, a kamienie tak żółte, jakby ktoś narzygał na podłogę, król opisywał jako marmur z Kartaginy, *giallo numidiana*. Płytki z *granito grigio*, które najbardziej przypominały brudny śnieg, pochodziły podobno z północnego zachodu, z Galii albo z Alp. Mniej więcej w tym momencie przestałam słuchać, ale wiedziałam, że brat Guido zareaguje jak należy.

– Nie do wiary! – wykrzyknął. – Status imperium wyrażony w marmurze.

Mój przepełniony dumą uśmiech nieco przygasł, bo słowa brata Guida zaczęły mnie denerwować. Chciałam, żeby posługiwał się prostym tokańskim. Oszczędziłam królowi wstydu

proszenia o wyjaśnienie.

– Co takiego? – spytałam.

– Chodzi mi o to, że Rzymianie ułożyli posadzkę, która egzemplifikuje, przepraszam, pokazuje wszystkie części imperium w jednym miejscu, od końca do końca. Te marmurowe łupy przywieźli ze wszystkich czterech stron rzymskiego śródziemnomorza, co świadczyło o podbiciu Egiptu, Azji, Kartaginy i Galii. To oświadczenie polityczne, triumf wyrażony w marmurze.

Jezu!

Nie zrozumcie mnie źle, byłam bardzo zadowolona z tego przekłętego współzawodnictwa intelektualnego, uważałam, że postąpił sprytnie, kiedy zaczął je w Neapolu. Ale chciałabym, żeby teraz Guido dowiedział się czegoś więcej o spisku Siódemki. Wzięłam go na bok i wyszeptalam mu te uwagi do ucha, jakbym pochylała się wdzięcznie, spragniona pieśczoły.

Brat Guido cofnął się zaskoczony.

– Ale przecież wszystko jest o tym. Każde słowo było znaczące, każda sylaba ważna dla naszych poszukiwań.

– Nawet te gadki o marmurze? – syknęłam.

– Szczególnie one. – Czułam na uchu jego oddech. – Nie słuchałaś uważnie?

Tu mnie przyłapał.

– Spróbuj znaleźć cokolwiek, wszystko jedno co, związanego z naszym problemem, błagam – wyszeptalam do jego szyi.

Guido odepchnął mnie delikatnie i niezwykle uprzejmie zwrócił się do naszego gospodarza.

– A co my tu robimy, Wasza Królewska Mość? Czy będziemy odprawiali wieczorną mszę?

Król się uśmiechnął.

– W pewnym sensie, lecz nie chodzi o Boga, tylko o przyrodę. Dziś wieczorem władzę sprawują starzy bogowie. Popatrzcie, zaczyna się. Obserwujcie uważnie księżyc przez *oculus*, bo w Rzymie nie ma lepszego miejsca na oglądanie takiego spektaklu. – Jego dworzanie zebrali się koło nas, a słudzy zaczęli gasić pochodnie. Najwyraźniej zbliżała się pora tego, co mieliśmy zobaczyć.

Spojrzałam w górę. Księżyc, jasny i pełny, świecił na niebiosach, jak zwykle. Wyglądał normalnie, chyba że... chwileczkę.

– Księżyc jest żółty – zauważyłam.

– Owszem, *dona* – przyznał król. – Księżyc jest chory, bo mamy właśnie idy lipcowe.

– Idy? – szepnęłam do Guida.

– Połowa miesiąca. Wkrótce będzie pełnia lata.

– Dobrze.

Moja ulubiona pora roku. Lubiłam leżeć nad Arno z innymi dziewczkami albo wypić

szklaneczkę wina w krużgankach. Nawet w tym pośepnym miejscu czułam żar florenckiego słońca, powiew zapachu Arno, kiedy osiąga najniższy poziom. Nieprzyjemny dla innych zapach rzeki i całego jej brudu – gówna, śmieci, nawet trupów – dla mnie był zapachem lata, równie pięknym jak zapach jaśminu wieczorem. Tęsknota za domem ścisnęła mi żołądek, a towarzyszyło jej przerażenie na myśl o tym, do czego będziemy musieli wrócić.

– Lato, tak. Ale potem nadejdzie zima, jak zawsze. Będzie dla nas trudna w tym roku – odezwał się don Ferrante.

Po raz kolejny wydawało mi się, że jego słowa mają jakieś dodatkowe znaczenie. Czułam, że stojący obok mnie Guido waha się, po czym mobilizuje, by wykorzystać okazję.

– Ale potem, a jest to tak pewne jak wschód słońca, znowu nadejdzie wiosna. *Primavera*.

Na dźwięk tego słowa aż drgnęłam. Od tak dawna posługiwaliśmy się nim tylko w odniesieniu do obrazu Botticellego, że zapomniałam o innym jego znaczeniu. Obydwoje patrzyliśmy na króla, czekając na jego reakcję.

Spojrzał mojemu przyjacielowi w oczy, bezpośrednio i szczerze.

– No właśnie – powiedział znacząco. – Nowy początek.

To dość enigmatyczne i niczego nie wyjaśniło. Kiedy zadarłam głowę, żeby popatrzeć na księżyc, teraz jeszcze jaśniejszy, zobaczyłam, że szafranowy krążek zaczyna znikać, jakby ktoś odgryzł kawałek. Ten odgryziony kęs stawał się coraz większy, patrzyliśmy na to przerażeni. Co to mogło znaczyć? Czy to koniec świata? Czy jakiś olbrzymi, ciemny, niebiański potwór przyszedł pożreć księżyc niczym wygłodniały wilk? Madonna!

Brat Guido wyczuł moją konsternację, bo tak mocno chwyciłam jego rękę, że chyba krew przestała w niej krążyć.

– Nie bój się – powiedział. – To zaćmienie Księżyca, Ziemia znajduje się pomiędzy promieniami Słońca a Księżycem, a ponieważ żyjemy na płaskiej tarczy, ma się wrażenie, że Księżyc znika. Ale on nadal tam jest i za godzinę znowu zaświeci.

Nabrałam powietrza.

– Ale słońce nie świeci w nocy!

– Moja droga, słońce świeci przez cały czas. Bez względu na to, czy je widzimy, czy nie – wyjaśnił król, po raz kolejny sugerując, że za jego słowami coś się kryje.

– Chociaż – wtrącił mój przyjaciel ostrożnie – takie zjawisko może dotyczyć także Słońca. Zobaczyłam, że król znieruchomiał.

– Bo czasami, naprawdę bardzo rzadko, Słońce w taki sam sposób przesuwa się za Księżyc. Wszystkie ciała niebieskie obracają się wokół Ziemi i czasami Księżyc też zastawia nam widok Słońca.

– Mylisz się. Wydaje mi się, że tylko Księżyc bywa w ten sposób zakryty – stwierdził

sztywno król.

– Nic podobnego. – Guido nie wyczuł niebezpieczeństwa.

– Takie zjawiska mają miejsce od czasów biblijnych. *Owego dnia – wyrocznia Pana Boga – zajdzie słońce w południe i w dzień świetlany zaciemnię ziemię*³. Tak jest napisane w Starym Testamencie. W Proroctwie Amosa.

– Chmury – odrzekł król. – Słońce nigdy nie może zostać zwyciężone, bo wszyscy byśmy zginęli. – Dręczyła mnie myśl, gdzie też słyszałam podobne słowa? – To najsilniejsza jednostka na niebie – mówił.

– Silniejsza od Boga? – Ciemne brwi Guida się uniosły.

Król szybko się wycofał, najwyraźniej nie był jeszcze gotowy, by wystąpić w opozycji do Wszchemogącego.

– Mam na myśli tylko to, że Słońce rządzi wszystkim w przyrodzie, wyznacza godziny, pory roku. – Popatrzył twardo na swego przeciwnika, ale Guido nie zauważył tego spojrzenia, tak bardzo zaangażował się w spór.

– Ale nie rządzi Ziemią – powiedział ostrożnie. – Ani Księżycem, czego najlepszym dowodem jest dzisiejszy wieczór.

Ferdynand miał gotową odpowiedź:

– Ale są tacy, którzy utrzymują, że to Słońce jest centrum wszystkiego i że wszystkie ciała niebieskie obracają się wokół niego. Niektórzy z nich to wielcy ludzie, i dobrze nam znani.

Brat Guido po raz kolejny nie pojął aluzji.

– Heretycy, najjaśniejszy panie.

Zamknęłam na chwilę oczy, ponieważ brat Guido zrobił się bardzo pewny siebie i jeśli dobrze usłyszałam, to właśnie nazwał króla Aragonii i Neapolu heretykiem. Niewielka grupka ludzi, która zebrała się wokół nas pod *oculusem*, przerwała rozmowy, żeby przysłuchiwać się naszej.

Musiałam trącić mojego przyjaciela w bok, żeby mu pomóc nie wychodzić z roli.

– Niektórzy tak by powiedzieli – ratowałam pospiesznie sytuację – ale nie ja. Myślę, że Rzymianie mieli rację. Sol Invictus, Niezwyciężone Słońce. Przecież poeta powiedział... – usiłowałam sobie przypomnieć – „Słońce swoim światłem objaśnia wszystkie twoje wynalazki”.

Brat Guido patrzył na mnie zdumiony, ale wy nie powinniście się dziwić, bo jednym z największych talentów pracującej dziewczyny jest zapamiętanie zdania czy jego fragmentu i cytowanie ich klientowi w odpowiedniej chwili. Jest to także jeden z kamieni węgielnych pochlebstwa, a lubi je każdy mężczyzna, czy jest królem, czy mnichem.

I podziałało na obydwu. Król się odprężył i skinął głową na znak aprobaty.

– Popatrz, niebiańskie przedstawienie się rozwija.

Spojrzelismy w górę z uczuciem ulgi i stwierdziliśmy, że burza minęła. Księżyc szybko zniknął, z półksiężyca zrobił się sierp.

Ferdynand pochylił się do Guida i powiedział tak cicho, że ledwo go usłyszałam.

– Obawiam się, że kiedy zaćmienie dobiegnie końca, będę musiał was zostawić, żeby się spotkać z moimi oficerami. Królewskie powozy i lektyki są do waszej dyspozycji, jeśli chcecie wrócić do zamku Świętego Anioła na kilka godzin. Chyba że wolicie pozostać w mieście do chwili naszego spotkania.

To była nowina.

– Naszego spotkania?

– O północy. W umówionym miejscu.

Teraz byliśmy w pułapce i brat Guido musiał zapytać:

– W umówionym miejscu? – Zamarłam ze strachu, że zdradził swoją niewiedzę. Gdyby naprawdę był jednym z Siedmiu, znałby miejsce spotkania, ale czy miał inny wybór, niż postawić pytanie?

Król pochylił się niżej.

– Nie mogę go wymienić, bo słuchają nie tylko nasze uszy. Ale ojciec na pewno ci powiedział. Powiem tylko tyle, żeby ci przypomnieć... – Wypowiedział jakieś zdanie w obcym języku. Zdawało mi się, że po angielsku. – Tam się spotkamy.

No to wpadliśmy, ale nie mogliśmy nic mówić, dopóki król się nie oddalił. Wszyscy obserwowaliśmy w milczeniu, jak noc pożera Księżyc, który był już wielkości ściętego paznokcia. Zorientowałam się, że nie mogę patrzeć, jak znika resztką zaprzyjaźnionego ciała niebieskiego, bo Księżyc często towarzyszył mi w moich wędrówkach po Florencji, jako że większość mojej pracy wykonywałam nocą. Bez względu na to, co mówił brat Guido, odczuwałam dziwny lęk, że Księżyc już nie wróci. Opuściłam głowę i to mnie uratowało.

W Panteonie było prawie zupełnie ciemno, ale w ostatnim blasku księżyca zobaczyłam postać wysoką i niewyraźną, na samym skraju naszej grupki, otuloną i zakapturzoną jak Trędowaty. Nie byłam jedyną osobą, która w tym momencie nie obserwowała nieba. Był jeszcze ktoś. Zjawa patrzyła prosto na mnie, jej oczy błyszczały jak srebro.

Krew ścięła mi się w żyłach.

Madonna!

Trędowaty z Neapolu był tutaj.

Po sekundzie w całej świątyni zrobiło się ciemno, a kiedy król kazał zapalić pochodnie, szarpnęłam rękaw Guida i pociągnęłam go z siłą, o jakiej istnienie nawet się nie podejrzewałam. Nic nie widziałam, pamiętałam jednak, że za nami jest portyk, i wyciągnęłam Guida na dwór, w ciemność. Szedł za mną posłusznie, szybko i cicho, zdając sobie sprawę, że coś jest nie tak.

Nieustannie oglądałam się za siebie, kiedy szliśmy nieznanymi ulicami. Oczy mówiły mi, że nikt za nami nie idzie, że chwila ciemności wystarczyła, by zgubić ścigającego, ale tłukące się serce upierało się, że Trędowaty to duch albo zjawa, bo nikt prócz czarnoksiężnika nie wyszedłby żywy z ruin San Lorenzo Maggiore w Neapolu. Wciąż paliło mnie spojrzenie tych srebrnych oczu. Czułam, że Trędowaty nie spocznie, póki nie przewiezie nas przez rzekę umarłych.

Dotarliśmy na skraj miasta i pamięć powiedziała mi, że jesteśmy z powrotem na Via Appia. Musimy wkrótce się zatrzymać, bo inaczej znajdziemy się w Neapolu. Wśród zieleni stały stare kolumny, dostrzegłam jakieś ciemne drzwi. Weszliśmy przez nie, a potem schodami w dół i jeszcze w dół do podziemnej komory z większą liczbą korytarzy niż królicza jama. Kiedy znaleźliśmy się w tym podziemnym świecie, okazało się, że to chyba jakaś świątynia, bo świece wotywnie oświetlały duszne pieczary i kręte przejścia. Zatrzymaliśmy się, by złapać oddech. Wiedziałam, że muszę powiedzieć Guidowi, co takiego zobaczyłam.

ROZDZIAŁ 3

Przez kilka chwil słyszałam tylko kapiącą wodę i syk świec, które paliły się we wnękach tej dziwnej podziemnej świątyni. Brat Guido w milczeniu przetrwał to, co mu powiedziałam, że Trędowaty szedł za nami od początku i nadal nas śledził, że teraz grozi nam niebezpieczeństwo większe niż kiedykolwiek.

– Jesteś pewna? Jesteś pewna, że to ten sam człowiek? Trędowaty, którego widziałas na Via Nilo, „ksiądz” w San Lorenzo Maggiore? Bo muszę ci powiedzieć, Luciano, że ten kościół podczas trzęsienia ziemi został niemal całkowicie zniszczony.

Zacisnęłam szczęki.

– My uciekliśmy – upierałam się.

To musiał przyznać. Westchnął.

– No dobrze. Załóżmy, że ten Trędowaty jest mordercą. W moich twierdzeniach nie ma niekonsekwencji. Mówiłem wtedy, tak jak mówię teraz, że najlepszą gwarancją bezpieczeństwa jest dla nas odkrycie tajemnicy obrazu. Wtedy będziemy mieli kartę przetargową. Ale jeśli ten człowiek chce nas zabić, to dlaczego miałby uczestniczyć w całym tym przedstawieniu z ukrywaniem naszej prawdziwej tożsamości przed naszymi potężnymi gospodarzami?

Doznałam olśnienia.

– Może on ściga mnie, nie ciebie. Może myśli, że kiedy zamordował brata Remigia, pozbył się ciebie. Jeśli podjął trop w Fiesole, mógł uznać, że jesteś mnichem, którego przeor Giles wysłał ze mną do Pizy w charakterze eskorty.

– Więc jak wytłumaczysz to, co stało się z moim stryjem? – Kiedy o nim mówił, łamał mu się głos.

– Może umarł z powodu ostryg, które na południu bywają nieświeże. – Wiedziałam jednak, że to nieprawda.

– To dlaczego, umierając, powiedział mi, żebym szedł za światłem do Mudy?

– Dlatego że umierał. Bez względu na to, czy zaskodziły mu ostrygi, czy napar truciciela, udzieliłby ci takich samych instrukcji.

– Dlaczego Tok nas ścigał?

Myślałam szybko.

– Ponieważ po śmierci stryja twój kuzyn chciał się ciebie pozbyć, jako rywala. Może motywacja Niccolo nie ma nic wspólnego z obrazem.

– A jednak wiemy, że stryj był jednym z Siódemki i że Niccolo „odziedziczyłby”

przynależność do spisku.

– Niekoniecznie. Może prawdziwy Niccolo nic nie wie o Siódemce. Ty „odziedziczyłeś” spisek, kiedy stryj przekazał ci pierścień i kazał iść za światłem do Mudy. Mógł uznać, że Niccolo nie nadaje się na spiskowca. Sam powiedziałaś, że to nic niewart *finocchio*, który myśli o pieprzeniu małych chłopców, a nie o studiach. To twoje słowa, nie moje – dorzuciłam pospiesznie.

– W zasadzie masz rację – przyznał Guido niechętnie.

– No widzisz? Może Trędowaty nie wie, kim jesteś. Jeśli śledzi nas od Florencji, to teraz wyglądasz zupełnie inaczej niż niechlujny mnich w Pizie, który spędził dwa dni w drodze. A teraz – w świetle świec Guido wyglądał szlachetnie i urodziwie – jesteś księciem.

– W porządku. Więc uważasz, że w tej chwili nic ci nie zrobi, bo sądzi, że jesteś pod opieką Niccolo della Torre, jednego z siedmiu panów, dla których pracuje?

– A dlaczego nie? Sprytna pracująca dziewczyna w ułamku sekundy zmienia strony i przyklepa się jak rzep do psiego ogona. Możesz mnie chronić, zapewnić mi wszystkie wygody, kupić moje milczenie. Może myśli, że już nie jestem niebezpieczna. Może nawet poznałam sekret *Primavery*, ale teraz jestem w towarzystwie jednego ze spiskowców i wyjawienie tego, co wiem, mogłoby zaszkodzić twojej pozycji i bogactwu. Dlaczego miałabym robić coś takiego, skoro jesteś teraz moim patronem? Może uważa, że powinien tylko mnie obserwować? Bo jeśli rzeczywiście jestem twoją konkubiną, to zrobienie mi krzywdy cię rozzłości, a może nawet zagrozi całemu przedsięwzięciu. Może jestem bezpieczna, póki się nie ożenisz, a potem stanę się kochanką, której można się pozbyć.

– No dobrze. Powiedzmy, że szedł za tobą do Santa Croce, zamiast mnie zamordował brata Remigia, a potem śledził cię aż do Pizy z powodu mojego nazwiska...

– I kamiennej wieży wyrzeźbionej nad twoimi drzwiami...

– Oczywiście. Wtedy dowiedział się, że przed śmiercią wysłałem cię do stryja. Stryj też umiera, jakakolwiek była tego przyczyna, prawdopodobnie dlatego, że jego zdaniem powiedział mi za dużo o Siódemce.

– A miał nas przedstawić Wawrzyńcowi Medyceuszowi! – wykrzyknęłam, doznawszy objawienia, jakbym była na drodze do Damaszku. – Trędowaty myślał, że mieliśmy zamiar wyjawić wszystko, że twój stryj żałował swojego zaangażowania i postanowił uprzedzić Wawrzyńca, że Siódemka spiskuje przeciwko niemu, że wyjawi Il Magnifico zdradę jego siostrzeńca.

– Sama widzisz. Potem uciekamy do Mudy. Według tego, co Trędowaty wie, mnich, który cię eskortuje, odpływa. Nie mógł dotrzeć do Neapolu przed nami, bo my przy płynęliśmy statkiem flagowym, a reszta floty przybyła co najmniej pół dnia później.

– Kiedy mnie widzi następnym razem – podjęłam opowieść – na dworze, jestem z synem Silvia della Torre, Niccolo, mężczyzną wspaniale ubranym, starannie ogolonym, zupełnie różnym od ubożego mnicha. „Niccolo” nosi pierścień na kciuku i jest bardzo podobny do Silvia. Trędowaty wierzy, że jesteś lojalny wobec spiskowców, a teraz, kiedy twój ociec, to zgniłe jabłko... wybac mi... umarł, wystarczy, że będzie nas obserwował. Nie gonił nas, kiedy uciekaliśmy z Panteonu – zauważyłam – i nie wyjawiał twojej prawdziwej tożsamości, ponieważ jej nie zna.

Brat Guido podsumował:

– Trędowaty myśli, że przeszłaś na drugą stronę i siedzisz w kieszeni Siódemki. Śledzi cię, ale nie podejmuje żadnych działań. – Zamilkł na chwilę, a z jego milczenia wywnioskowałam, że uważa moją teorię za prawdopodobną. Nagle zmienił temat. – Ale te wszystkie rozważania to strata czasu. Bez względu na to, czy ktoś nas zdemaskuje, czy nie, najpewniej zrobimy to sami, jeśli nie spotkamy się dziś z królem.

– O północy?

– Tak. Musimy przestać gadać i zaangażować nasze talenty, by rozwiązać ważniejszy problem. Nie wiemy właściwie nic o Trędowatym, ale za niecałe dwie godziny musimy się spotkać z królem w miejscu, którego położenia nie znamy, a mój jedyny plan odkrycia miejsca naszej schadzki został zniweczony.

– Mów normalnie.

– Myślałem, że skoro sam król musi się tam udać o północy, to najlepiej podążyć jego śladem.

– Ale on najpierw spotyka się ze swoimi ludźmi.

– Owszem. Mogliśmy poczekać i iść za nim na umówione miejsce. Ale teraz, skoro niepotrzebnie uciekliśmy z Panteonu, nie dowiemy się, gdzie się odbędzie spotkanie Siódemki.

– Czy nie możemy odnaleźć miejsca, gdzie król spotyka się ze swoimi ludźmi? – Już gdy zadawałam pytanie, wiedziałam, że jest głupie.

– To może być prywatny dom, pałac, a nawet jakaś tawerna. Są setki, tysiące takich miejsc w Rzymie, a nie mamy czasu. Nie, największą szansę na powodzenie daje nam jedyna wskazówka co do miejsca spotkania, której udzielił nam król.

– Mówisz o tym, co wymamrotał po angielsku?

– Powiedział: „pod siódmym słońcem”.

– Pod siódmym słońcem? Jasne jak krowie gównu.

– Wiem, że to się wydaje niemożliwe, Luciano, ale już nabraliśmy wprawy w rozwiązywaniu takich zagadek. Dotarliśmy aż tutaj z Florencji tylko dzięki pomysłowości i *cartone*.

– No to wyjmij obraz – westchnęłam.

Pogroził mi palcem, jakbyśmy byli w szkole.

– Nie tym razem, to dodatkowa zagadka, zadana przez samego króla. Jestem pewny, że nie znajdziemy odpowiedzi na obrazie, choć nie wątpię, że zawarte w nim ogólniejsze tematy mają tu zastosowanie. Ale teraz musimy myśleć tylko o zagadce króla i o samym mieście.

– Może źle się do tego zabieramy? W Neapolu znaleźliśmy to, czego szukaliśmy, w kościele San Lorenzo. Może w Rzymie też jest kościół San Lorenzo. Musi być!

Guido podniósł głowę.

– Mogę to potwierdzić z absolutną pewnością, bo Rzym jest miejscem męczeństwa świętego Wawrzyńca.

– On umarł tutaj? W Rzymie? – Byłam zaskoczona, bo kiedy zakonnice, które uczyły mnie religii, mówiły o świętych, zawsze miałam niejasne wrażenie, iż żyli oni w odległych częściach Ziemi Świętej, a nie w miejscach, które deptałam moimi nędznymi sandałami.

W oczach Guida błyszczał błękitny płomień.

– Owszem. W pobliżu Villa Borghese, niedaleko Panteonu. Istnieje nawet świątynia, gdzie przechowuje się ruszt, na którym go upieczono.

– Został upieczony? – Zawsze uważałam męczeństwo za akt szlachetny, choć głupi, nigdy jednak nie przypuszczałam, że święty mógłby zostać upieczony jak świąteczny obiad.

– Tak. Nie znasz tej historii? – Na twarzy Guida pojawił się wyraz błogości. Znowu był mnichem. – Mściwi Rzymianie umieścili go na gorącym ruszcie, aż ciało zaczęło skwierczeć. Wtedy z niezwykłą dzielnością i siłą charakteru powiedział: „Obróćcie mnie, z tej strony już się upiekłem”.

Zaczęłam się śmiać.

– Przepraszam, ale to zabawne.

Raczył się uśmiechnąć.

– Owszem. To pokazuje, że sługę Chrystusa niełatwo pokonać.

– W porządku. W takim razie na co czekamy? Chodźmy i poszukajmy tej Villa Borghese.

– Nie.

– Dlaczego?

– To dobry pomysł, Luciano, ale tu nie pasuje. Święty Wawrzyniec nie ma żadnego związku ze słowami „pod siódmym słońcem”. Za dużo myślimy o Bogu i świętości, ale tu, w Rzymie, wszystko jest inaczej. Czy nie słyszałaś, co mówił król? Dziś wieczorem rządzą starzy bogowie. Stare czasy, stare zwyczaje. Choć trudno się z tym pogodzić, musimy zwrócić myśli w stronę pogaństwa, wręcz barbarzyństwa, a nie chrześcijaństwa.

Zrozumiałam, co miał na myśli.

– Bo nawet król jest tutaj inny.

– O co ci chodzi? – Miałam wrażenie, że Guido ma podobne spostrzeżenia.

– W Neapolu podczas uczty niemal głosił Ewangelię, mówił o Chrystusie, o świecie, o swojej szopce, był tak pobożny i świętszy od papieża jak ty. A potem, ledwo wyjechaliśmy z miasta, pamiętasz, tuż po trzęsieniu ziemi, stwierdził: „to dawni bogowie zatrzęśli ziemią”. A tu w Rzymie są tylko Rzymianie, poganie i moc słońca.

– Masz rację. A może to rozprawianie o chrześcijaństwie w Neapolu było próbą zmylenia słuchaczy, wszystkie te kazania to były wskazówki, które miały doprowadzić nas do kościoła i obejrzenia floty? Wspominał o Chrystusie na Golgocie...

– Pokazując nam drogę! – wykrzyknęłam.

– Dzięki temu znaleźliśmy drzwi do podziemnej floty, siódma stacja drogi krzyżowej, ostatnia droga Chrystusa na Golgotę na ścianach kościoła San Lorenzo Maggiore.

– Ale tutaj bardziej go obchodzą słońce, księżyc i pory roku.

– Pokazuje nam zaćmienie...

– Nawet w zagadce jest mowa o słońcu..

– Sol Invictus! – wykrzyknął triumfalnie Guido. – Wisiorek Wenus z *Primavery*. Słońce i list Marsilia Ficina, który przypominałaś w Panteonie. Ten cytat w całości brzmi: *Słońce swoim światłem objaśnia wszystkie twoje wynalazki. A w końcu Wenus swą urodą zawsze zdobi wszystko, co wynaleziono.*

Wszystko pasowało. Postać Wenus oznaczała Rzym, miała wisiorek ze słońcem. Byliśmy na dobrej drodze.

– Przemyślmy to jeszcze. Król zabrał nas do kościoła...

– Który był kiedyś pogańską świątynią. – Mówiliśmy tak szybko, że nasze słowa niemal wpadały na siebie.

– I powiedział, że mamy się z nim spotkać pod siódmym słońcem.

I tu zakończyliśmy z braku pomysłów.

Madonna! Tym razem mieliśmy twarde orzech do zgryzienia. Siódme słońce. Na obrazie *Primavera* było tylko jedno słońce, to na piersi Wenus. Na niebie jest jedno słońce. Gdzie były pozostałe?

Siedzieliśmy w milczeniu i odzywaliśmy się tylko po to, by rozpocząć zdanie i pozbyć się tych ułamków pomysłów tak szybko, jak się pojawiały.

– Czy jest jakaś świątynia lub pałac, gdzie na sklepieniu wymalowano siedem słońc? Fresk?
– zapytałam.

– Niewykluczone. Ale w żaden sposób nie zdążymy go znaleźć. – I znowu milczenie.

– A może – teraz z kolei próbował Guido – ma to coś wspólnego z nazwami miesięcy?

Primavera to przecież pora roku.

– No i? – Byłam zła, bo tyłek bolał mnie od wilgotnego twardego kamienia i dlatego, że mój pomysł z freskiem został odrzucony.

– A może siódme słońce to siódmy miesiąc? Wrzesień?

– Wspaniale – prychnęłam pogardliwie. – Jest lipiec, ale spotkamy się o północy we wrześniu.

Guido spuścił głowę.

Moja kolej.

– Mówiłeś, że Rzym zbudowano na siedmiu wzgórzach...

Trochę się rozpogodził.

– Siódme wzgórze, tak może być. Ale przecież wzgórze nie ma żadnego związku ze słońcem.

– Słońce nad nim wschodzi? – Teraz już chwyciłam się wszystkiego.

Guido wzruszył ramionami.

– Niewykluczone. To najlepszy z naszych dotychczasowych pomysłów.

– No to które jest siódme? – W moim głosie brzmiała nadzieja.

– Mogę ci wymienić wszystkie wzgórza, ale nie uda nam się ustalić, które jest „siódme”, bo Bóg stworzył wszystkie ziemie tego samego dnia. – Podrapał się w brodę. – Mogę z niejaką pewnością podać ci nazwę tego, które uważane jest za pierwsze wzgórze, bo według tradycji Rzym został założony na Wzgórzu Palatyńskim przez Romulusa. Ale co do „ostatniego”, to nie mam pojęcia. Pozostałe wzgórza to... niech sobie przypomnę... Awentyn, Kapitol, Kwirynał, Wiminal, Eskwilin i Celius.

Po raz kolejny mogłam tylko podziwiać jego wiedzę, choć teraz była zupełnie nieprzydatna.

– Ale szukamy takiego, które może sięgać pod ziemię – przypominałam. – To przecież nie może się odnosić do wszystkich, prawda?

Pokręcił głową.

– Niestety, twoje założenie nie jest prawdziwe, każde ze wzgórz może mieć podziemie.

Miejsce, w którym się schroniliśmy, jest tylko jednym z miriadów podziemnych tuneli w Rzymie. W istocie – błękitne oczy Guida znowu rozbłysły – jesteśmy pod wzgórzem. Czy zauważyłaś stary kopiec, kiedy wchodziliśmy przez ciemne drzwi?

– Chcesz powiedzieć, że to może być jedno ze wzgórz?

– Wskazałam ręką nad głowę, po raz pierwszy naprawdę rozglądając się po otoczeniu.

Byłam tak zajęta rozważaniami, że nie zauważyłam tego, co miałam przed nosem. Wstałam. – Gdzie my właściwie jesteśmy?

Guido też wstał.

– W labiryncie umarłych, w katakumbach.

Oblizalam wysuszone wargi.

– W labiryncie... umarłych? – Poczulam mimowolny dreszcz.

– Niewatpliwie. – Te wszystkie nisze – wskazał na prostokątne otwory w ścianach umieszczone w regularnych odstępach – to groby. Zobacz, w środku widać kości, a także całuny. – Odsunęłam się przerażona. – Najwyraźniej wciąż są odwiedzane, widzisz, palą się świece.

Nie obchodziło mnie, czy świece się palą, chciałam jak najszybciej wydostać się z tego miejsca i było to po mnie widać.

– Nie bój się. W śmierci nie ma nic strasznego dla tych, którzy wierzą w życie pozagrobowe.

Nie byłam pewna, czy należę do takich osób.

– Pomyśl jeszcze raz o cierpieniach świętego Wawrzyńca. Tu, w katakumbach, jest dużo grobów, to prawda, ale jest tu też spokój i nadzieja.

Nie mogłam się z tym zgodzić.

– To bardzo ponure, moim zdaniem.

– Tak ci się zdaje? Ja czuję tylko spokój, bo było to miejsce głębokiej wiary.

– Co masz na myśli?

– Pierwsi chrześcijanie modlili się w takich miejscach, kiedy Rzymianie czcili swoje fałszywe pogańskie bóstwa, a wymówienie imienia Boga czy Jego Syna groziło śmiercią. Prawdziwą wiarę widać w tych inskrypcjach, popatrz tylko. Może jest tu coś, co posłuży nam jako wskazówka.

– Tak myślisz?

– Szukanie wskazówek nam nie zaszkodzi. – Odczytywał mi łacińskie litery wydrapane na ścianie: – kręte znaki wykute w kamieniu, jednak zadziwiająco schludne i regularne mimo upływu stuleci. – Tu jest odniesienie do siódemki.

Podeszłam bliżej.

– A jest coś o słońcu?

– Nie. Pomyliłem się. To nazwiska rodowe... ktoś o imieniu Severus, a tu – głos Guida złagodniał – jego córka, która umarła za jego życia. Myślałem, że to druga siódemka, ale teraz widzę, że ona miała na imię Severa po ojcu. – Czytał tak, jakby intonował modlitwę: – *Pochowano tu śmiertelne ciało, póki On na nowo go podniesie. A Pan, który powołał do siebie czystą i niezłomną duszę Severy, a także jej świętego ducha, odda jej go z powrotem w blasku duchowej glorii. Żyła dziewięć lat, jednaście miesięcy i piętnaście dni. I wtedy zakończyła ziemski żywot.*

Wzruszył mnie los małej dziewczynki sprzed tak wielu lat, wzruszył mnie ojciec, który kochał ją tak, że płakał w tym ciemnym miejscu i przy świetle migającego płomienia rył napis, aż

jego palce zaczęły krwawić. Myślał o niej codziennie do końca swego życia, zmarł wiele lat później i został pochowany razem z nią, a ich kości wreszcie połączył uścisk. Chciałabym mieć rodzica, który by mnie tak kochał. Znajdę cię pewnego dnia, *Vera Madre*, przytulisz mnie i nazwiesz ukochaną córką. Przez chwilę nie mogłam mówić, tak bardzo przejęłam się tą tragedią.

Przypomniałam sobie, że brat Guido też ostatnio stracił jedyne bliskiego krewnego. Byłam pewna, że i on zapomniał na moment o naszych poszukiwaniach. Spojrzałam na niego ze współczuciem, ale wcale nie było ono potrzebne, bo brat Guido miał bardziej duchowe nastawienie.

– Rozumiesz teraz? Słyszysz ich głosy? Widzisz na własne oczy, co wcześni chrześcijanie myśleli o śmierci i o pobycie duszy w niebie w czasach, kiedy trzeba było kryć się z wiarą. Nawet wtedy wierzyli, że duch powstanie z martwych jak Łazarz, jak sam Pan Jezus. Teraz rozumiesz, co mam na myśli, mówiąc, że to cmentarz, na którym wszystko opowiada bardziej o życiu niż o śmierci. My naprawdę mamy szczęście, bo w naszej epoce nie musimy się bać, nie musimy ukrywać naszej wiary pod ziemią. – Czule głaskał inskrypcję długimi palcami. – W rzeczy samej Jego Świątobliwość papież Sykstus, którego jutro zobaczymy, jeśli Bóg zechce, zbudował cudowną kaplicę ku chwale Pana. Wszyscy mogą ją zobaczyć. Zamierza też wznieść kopułę na kościele Świętego Piotra, większą nawet od tej, która wieńczy Duomo w twojej ukochanej Florencji.

Dzwony w pobliskiej bazylice wybiły ostrzeżenie, przypominając, że nie mamy zbyt dużo czasu, i wzywając do podjęcia poszukiwań.

– Skoro jesteśmy w miejscu, gdzie kiedyś ukrywali się ci, którzy musieli spotykać się w tajemnicy, to może o to miejsce chodzi? Pod odpowiednim wzgórzem? Przez czysty przypadek? – zastanawiałam się.

– Niewykluczone. Chociaż nie przeczytałem dotychczas niczego, co pasowałoby do zagadki.

Rozejrzałam się, rozpaczliwie szukając pomysłu. W ciepłym blasku świec zobaczyłam malowidła na ścianie, których wcześniej nie dostrzegałam.

– Może powinniśmy przyglądać się także obrazom, nie tylko słowom, bo przecież to wszystko zaczęło się od obrazu.

Brat Guido patrzył na ściany naszej jaskini zmrużonymi oczami.

– Być może. Popatrz, w niektórych miejscach namalowano freski świadczące o ich wierze. To prawdziwy skarb dawnych dowodów wiary.

Popatrzyłam i zobaczyłam. Były bochenki chleba i ryby, anioły i dobrotliwy pasterz Jezus przenoszący w ramionach zbląkaną owcę w bezpieczne miejsce.

Jeden obraz zatrzymał bicie mojego serca.

– Tutaj! Chyba jesteśmy w dobrym miejscu. Popatrz.

Wskazałam siedem prymitywnie narysowanych wiekowych postaci siedzących wokół stołu

w oczekiwaniu na koniec postu. Siedem.

– No, nie wiem. – Guido podrapał się w kark.

– Czego nie wiesz? Na tym fresku zebrało się siedem postaci. Siódemka miała się tu spotkać, tego jestem pewna. Świece się palą i wszystko jest gotowe. Pomyśleć, że trafiliśmy tu przypadkiem, uciekając przed Trędowatym! – O którym prawie zapomniałam.

Guido nie wydawał się przekonany.

– To niemożliwie. Po pierwsze, ten obraz jest dość popularnym przedstawieniem cudu z bochenkami chleba i rybami: siedem postaci często przedstawianych jest w trakcie uczty. Po drugie, to miejsce jest zbyt chrześcijańskie na spotkanie Siódemki, bo jak mówiłem, to była chrześcijańska świątynia, a zgodziliśmy się wcześniej, że sama zagadka, wystąpienia i zachowanie króla wskazują na pogańskie, rzymskie, imperialne miejsce spotkania.

Kiedy mówił, uchodziło ze mnie powietrze, ale jeszcze nie skończył.

– I wreszcie, jakie są szanse, że Bóg sprzyjałby nam tak bardzo, iż bez żadnej pomocy trafilibyśmy na miejsce, którego tak rozpaczliwie szukamy? Nie, Luciano, nic z tego.

W przypiływie złości kopnęłam kamień i osiągnęłam tylko tyle, że uderzyłam się w palec. Wiedziałam, że brat Guido ma rację, bo to wszystko byłoby zbyt proste, gdyby okazało się, że chodzi o to miejsce i że przyszedł tu za nami król. I nawet ktoś tak nieobeznany z polityką jak ja czuł, że ta barbarzyńska kostnica nie zadowoli dumy Ferdynanda. On potrzebuje wspanialszego miejsca spotkania. Do diabła z królem Aragonii!

– Dlaczego, do diaska, nie mógł po prostu powiedzieć, gdzie mamy się spotkać? Tak samo było w Neapolu, wszystkie te brednie o Chrystusie na Golgocie i o Fiammetcie. Dlaczego nie mógł nam po prostu powiedzieć, gdzie mamy szukać?

– Ponieważ jego dworzanie bez przerwy go podsłuchują. Zechciej sobie przypomnieć, że niedawno stłumił rebelię swoich baronów. Może członkowie jego dworu nie aprobowałiby sojuszu z Siódemką i jego planów, jakiegokolwiek one są. Silni nieprzyjaciele mogą mu utrudnić życie, szczególnie jeśli jego baronowie ostrzegliby tych, przeciwko którym chce wystąpić.

Dziś wieczorem mówił po angielsku, bo musiał wiedzieć, że miałem angielskiego nauczyciela. Może zechcesz sobie przypomnieć, że jedyny raz mówił wprost o Siódemce, bez żadnych aluzji, w dniu, kiedy spotkaliśmy go w towarzystwie Santiaga w sali z intarsjami. Tylko wtedy nazwał mnie jednym z Siódemki i mówił o naszych sprawach.

Wpatrywałam się w siedem postaci na ścianie, które tysiąc lat temu spotkały się, by zjeść posiłek, a brat Guido ciągnął:

– I jeszcze jedno. Król dał nam wskazówkę: „pod siódmym słońcem”, ale nigdy nie zaznaczył, że w spotkaniu weźmie udział cała Siódemka. W istocie, jak mogłoby się to zdarzyć, skoro według naszej wiedzy co najmniej jeden z siedmiu będzie nieobecny.

– Jeden?

– Lorenzo di Pierfrancesco Medyceusz, siostrzeniec Wawrzyńca Wspaniałego, na pewno odpoczywa we Florencji, przygotowując się do zaślubin.

Westchnęłam głośno. Rozumiałam sens słów mojego przyjaciela, ale nie mogłam nie dostrzec zbiegu okoliczności.

– Twierdzisz więc, że to czysty przypadek? Że ten fresk pokazuje przeciętną chrześcijańską rodzinę łamiącą się chlebem?

– Najprawdopodobniej. Bo w ścianie, na której widnieje obraz, wykuto rodzinne groby. Popatrz, komory dla licznych zmarłych o tym samym nazwisku. Policz tylko... no tak, jest ich siedmiu.

Jezu.

– To prawdziwy pech mieć siedmiu synów.

– Niestety, to były niebezpieczne czasy dla wierzących... – Guido urwał. – Co ty powiedziałaś?

Uznałam, że rozżłościł go mój lekceważący ton. Nie chciałam jednak okazać braku szacunku, bo niewątpliwie po opowieści o Severze bardziej, niż się spodziewałam, przejmowałam się losem tych, którzy przed wieloma stuleciami zamienili się w popiół.

– Miałam na myśli tylko to, że siedmiu synów to dużo...

– Nie dokończyłam.

– Niech Bóg przeklnie mnie jako głupka! – krzyknął Guido, a jego głos echo poniosło po katakumbach. Nigdy nie widziałam, żeby bardziej zbliżył się do przekleństwa. – Oczywiście! Siódmy syn!

– Słucham?

– Siódmy syn! Nie słońce!

– Czy po angielsku te słowa brzmią podobnie? – zapytałam.

– Właściwie tak samo – przyznał. – Choć pisze się je inaczej. I król miał na myśli synów, sons, jak *figlio*, nie *suns* jak *sole*.

– Chcesz powiedzieć, że mamy się z nim spotkać pod siódmym synem, jak w rodzinie? – Zastanowiłam się. – To ma jeszcze mniej sensu niż nasze poprzednie pomysły.

Guido krążył jak palacz opium szukający maków.

– Niezupełnie. Teraz wszystko jest jasne. On nawet był wymieniony w tych inskrypcjach. Imię siódmego syna, podziemie, koncept imperium, kult Sol Invictus, wszystko pasuje.

– Tylko Bóg wie, o czym mówisz, bo ja nie. Kto był wymieniony w inskrypcjach? Co to za „on”?

– Nieważne. Nie mamy dużo czasu, bo dzwony bazyliki odezwały się raz, kiedy

rozmawialiśmy. Została nam niecała godzina. Chodź za mną. – I ruszył w stronę wyjścia.

– Gdzie?

– Dokąd – poprawił mnie. Zauważyłam, że nigdy nie brakowało czasu, żeby mnie poprawiać. – Wracamy do miasta. Na Forum, centrum pogańskiego, imperialnego Rzymu.

Pociągnęłam go za rękaw, nim beztrąsko wyszedł w noc.

– A Trędowaty ze srebrnymi oczyma? – spytałam błagalnie. – Czy przemyśleliśmy do końca, co może zrobić? Czy możemy mieć pewność, że naprawdę nie wie, kim jesteś? Czy możemy ryzykować, że zdemaskuje cię przed Ferdynandem?

Guido odwrócił się, wziął mnie za ramiona, a dobroć w jego oczach była tak inna od wspomnienia tamtych złowieszczych, srebrnych oczu naszego prześladowcy.

– Luciano, nie mamy wyboru. Jeśli wezmę udział w spotkaniu, on może mnie zdemaskować. Ale jeśli nie wezmę, zdemaskuję się sam.

Pędziliśmy przez ciemność jak zjawy, czarne stroje sprawiały, że trudno było nas dostrzec. Tej nocy byliśmy cieniami, tak jak te, które kryją się we wszystkich bramach lub wyglądają spod luków loggii.

Na każdym zakręcie rozglądałam się za Trędowatym, spodziewając się zobaczyć jego srebrzyste oczy, usłyszeć szelest jego szat. Ale nigdzie nie było go widać. Jedyne zapóźnieni birbanci wpadali na nas, zachwycali się moją urodą i pozwalali nam przejść. Znowu znaleźliśmy się w dawnym centrum miasta. Przyspieszyliśmy kroku, słysząc dzwon wybijający kwadrans. Zbliżała się północ. Znaleźliśmy się na rozległym terenie pełnym ruin. Zrujnowane baśniowe miasto niby zagubiony świat przypominało srebrne jezioro, miejsce spoczynku cesarzy. Zanim brat Guido zdążył wyszeptać „Forum”, wiedziałam, że chodzi o to miejsce. Było to jednak królewskie terytorium, godne króla Ferdynanda.

– To duży teren – szepnęłam. – Możemy ich nie dostrzec.

– Nie. Król powiedział wyraźnie: pod siódmym synem. Siódmy syn w rzymskiej rodzinie nazywany był Septymiusz. Sykstus, Septymiusz, Oktawiusz i tak dalej. W samym środku Forum, o tam, jest wielki łuk triumfalny.

Zobaczyłam go, wielką masywną tęczę z kamienia. Nie rozumiałam jednak, jaki może mieć związek z rzymską rodziną.

– No i co?

– No i – przedrzeźniał mnie Guido – to łuk triumfalny jednego z największych rzymskich cesarzy i budowniczych cesarstwa. On ustalił pojęcie imperium, które widzieliśmy na posadzce Panteonu. Popierał też kult Sol Invictus, Niezwycięzonego Słońca, którego symbole wybijał nawet na monetach. A jak się nazywał?

Milczałam.

– Septymiesz Sewerus – zakończył triumfalnie.

– Siódemka ma się spotkać pod jego łukiem. Pod siódmym synem. A co więcej, na łuku widnieje słynna rzeźba bogini Wenus. Pamiętasz? Wenus swoją urodą ozdabia wszystko. Chodzi o to miejsce, możesz być pewna.

Miałam pewne wątpliwości, ale kiedy zeszliśmy na dół, zobaczyłam, że Guido miał rację, bo przed nami wyrósł groźny żołnierz, bardzo dziwnie ubrany. Jego płaszcz, który w dzień musiał być jasnoczerwony, w świetle księżyca miał kolor ciemnoszkarłatny. Kolor krwi. Na piersi żołnierza widniał symbol księżyca i gwiazdy. Wydawało się, że tej nocy nie ma ucieczki od ciał niebieskich. Na głowie miał hełm z grzebieniem sterczącym jak końska szczotka.

Madonna!

Idąc po starożytnym bruku, rozglądałam się na prawo i lewo. Zobaczyłam, że podobnie ubrani żołnierze pilnują wszystkich wejść i wyjść.

– Co robimy?

– Zaanonsujemy się – szepnął mój towarzysz, trochę mniej pewny siebie.

– Kim oni są?

– Trudno uwierzyć, ale jest tak, jakbyśmy cofnęli się w czasie. Księżyc i słońce na piersi, czerwona szata, hełm centuriona. To gwardia pretoriańska.

– Jaka gwardia?

– Pilnowali rzymskiego cesarza. Rozwiązano ich w trzecim wieku, ale wydaje się, że ktoś znowu ich zebrał.

– Jezu – westchnęłam. – Ferdynand musi być bardziej zarozumiały, niż przypuszczałam.

Guido zignorował moją uwagę, bo dotarliśmy do pierwszego wartownika, który przesunął rękę z pika na nasz widok. Spocznij. Był uprzedzony o naszym przybyciu.

– Signor della Torre – powiedział. – Proszę iść, czekają na pana.

Chciałam iść za nim, ale pika zagroziła mi drogę.

– Dalej nie można, *domina*.

Nie zamierzałam się spierać, od razu się zorientowałam, że to jeden z tych przypadków, kiedy moje kobiece wdzięki na nic się nie zdadzą. W świetle księżyca wartownik wyglądał jak wyrzeźbiony w kamieniu, nawet na mnie nie spojrzał, wpatrzony w jakiś odległy punkt. Brat Guido odwrócił się, a ja po raz kolejny zastanawiałam się, czy widzę go po raz ostatni.

Zrobił krok w moją stronę, jakby chciał mnie objąć, i wyszeptał:

– Jeśli nie wrócę, wracaj do zamku Świętego Anioła, a stamtąd udaj się do Watykanu. Oddaj się pod opiekę Jego Świątobliwości, wtedy nikt cię nie skrzywdzi.

Łzy ścisnęły mnie w gardle. Lekko skinęłam głową, bojąc się, że jeśli zrobię gwałtowniejszy ruch, łzy się poleją. Patrzyłam, jak Guido zbliża się do łuku i ginie w mroku.

Poszłam na kamienną arenę, żeby na niego poczekać.

Wydawało się, że całe wieki wpatrywałam się w nieruchome kamienie i krąg żołnierzy, którzy ani drgnęli, choćbym nie wiem jak intensywnie im się przypatrywała. Jednak nie mogło to trwać dłużej niż pół godziny, bo słyszałam, jak dzwon pobliskiej bazyliki uderzył dwa razy. Rozumiałam, że spotkanie w takim miejscu miało sens, bo pod łukiem Septymiusza Sewera, gdzie spotkali się członkowie Siódemki, nikt nie mógł ich podsłuchać, a każdego zbliżającego się szpiega widać było z dużej odległości, nawet gdyby udało mu się zmylić strażników.

Wreszcie ku mojej uldze zobaczyłam, że brat Guido wraca sam. Podszedł do mnie. Sprawiał wrażenie poirytowanego, ale nie był przestraszony.

– Co się stało?

– Nie tutaj. Lektyka czeka, żeby zawieźć nas do zamku. Tam porozmawiamy.

Po powrocie do zamku nie udaliśmy się od razu do swoich komnat, ale za milczącym porozumieniem szukaliśmy miejsca, w którym moglibyśmy pomówić przez nikogo niewidziani ani niesłyszani. Szłam za Guidem aż do sali pełnej posągów. Była to długa galeria, a po obu jej stronach stały popiersia dawno zmarłych cesarzy. Biali, z niewidzącymi oczyma, obserwowali nas ślepo i słuchali w milczeniu. Wiedzieliśmy, że nikt nie może się do nas zbliżyć, bo galerię z obu stron zamykały podwójne drzwi. Każdego, kto chciałby do nas podejść, dostrzegliśmy z daleka. Brat Guido dobrze się nauczył od Siódemki, jak strzec tajemnicy.

– No więc? – spytałam niecierpliwie.

– Było nas tylko trzech, otulonych w płaszcze i kaptury, jak ja. Nie używaliśmy imion, ale wiem, że jednym był król Ferdynand. Wynikało to z naszej umowy, poza tym poznałem jego głos. Jestem jednak pewny, że trzeciego nigdy nie spotkałem.

– Mógł to być Lorenzo di Pierfrancesco Medyceusz?

Odpowiedział bez wahania:

– Nie. Sądząc po głosie, powiedziałbym, że jest stary, a Lorenzo to mój rówieśnik. Ten człowiek zachowywał się jak mąż stanu, nie jest neapolitańczykiem ani Toskańczykiem. A poza tym, tak jak mówiliśmy, Lorenzo na pewno jest teraz we Florencji.

– Niekoniecznie. My jesteśmy tutaj, a też będziemy we Florencji na ślubie.

Guido wzruszył ramionami.

– I jeszcze jedno...

– Tak?

– Wydawało się, że ma nad wszystkimi władzę. Prowadził rozmowę jako najważniejszy z obecnych.

– Ważniejszy od króla?

– Chyba tak.

– A o czym rozmawialiście?

– Nie ulega wątpliwości, że planowana jest wojna. Była mowa o flocie, o liczbie okrętów, o dacie ataku. I o mapie. Wszyscy mówili o mapie.

– Ale nikt nie wspomniał, kiedy i gdzie?

– Nie.

– Żadnej wzmianki o obrazie?

– Nie bezpośrednio. Ale wiosna, *primavera*, wymieniana była trzykrotnie, pewnie wtedy zamierzają ruszyć. A jeśli mózgiem tego wszystkiego jest Lorenzo di Pierfrancesco, miałyby to sens, bo wiosna to florencki Nowy Rok. – Podrapał się w kark, jak zawsze, kiedy był zaintrygowany. – I kwiaty. Kwiaty wspomniano wielokrotnie. W istocie, powiedziano wyraźnie, że sekret kryje się w kwiatkach.

Madonna!

– Więc wciąż nie znamy rozwiązania zagadki, wiemy tylko, że kryje się w kwiatkach. Na tym obrazie jest pełno kwiatów. To jedna z pierwszych rzeczy, jaka mnie uderzyła na oryginale. – Westchnęłam głośno. – I to naprawdę wszystko? Mapa, której nie mamy, data, której nie znamy, i kwiaty, których znaczenia nie rozumiemy?

– Owszem.

– Chryste, skoro to takie mętne, to nie warto było tam chodzić.

– Niezupełnie. W najgorszym razie pewny jestem, jakie miejsce zajmuję wśród nich. Chodźmy odpocząć i przemyśleć wszystko, bo jutro rano przed wyjazdem do Florencji mamy audiencję u papieża. W samej Florencji chyba dowiemy się więcej, mieszka tam ktoś, kto może nam pomóc, brat z mojego klasztoru. W sprawach związanych z botaniką trudno o kogoś lepiej zorientowanego niż Nicodemus z Padwy, zielarz w Santa Croce. Nie ma polnego kwiatka ani rośliny w żywopłocie, których nazwy by nie znał. A poza tym – dodał z powagą – trzeba być na ślubie.

Byłam niezadowolona i poirytowana, a uczucie ulgi z powodu powrotu mojego przyjaciela ustąpiło miejsca znanemu przekonaniu, że szukam czegoś po omacku bez iskielki światła.

– A niby w czym to pomoże? – spytałam kąśliwie.

– Przypuszczam, że obraz jest prezentem dla pana młodego. Wreszcie może zobaczymy oryginał.

Ta rozmowa tak mnie przygnębiła, że źle spałam. Śniły mi się kwiaty, mapy i sto tysięcy okrętów płynących po Tybrze i do mojej komnaty. Byłam na pokładzie rozbitego statku, uniosłam się nad wzburzonym morzem, żeby patrzeć, jak *Primavera* kołysze się na falach, olbrzymia i błyszcząca żywymi kolorami. Wdrapałam się na pokład i przytuliłam twarz do jej wizerunku, jakbym oglądała siebie w lustrze.

I wtedy się obudziłam.

Z mojego okna widać było miasto przetykane złotymi nitkami świtu, wieże kołysały się od śpiewu dzwonów. Kanie wznosiły się ponad tę kakofonię i machały skrzydłami w ciepłej bryzie, która wpadała przez okiennice. Do komnaty weszła ciemna ospowata służąca, przyniosła jajka, śledzia i owoce i postawiła je przy łóżku wraz z dzbanem wina zmieszanego z wodą. Siedziałam lekko osłupiała, bo wyglądało na to, że mam jeść w łóżku, co było dla mnie nowym doświadczeniem. Zawsze uważałam, że łóżko to miejsce przeznaczone dla innych rozrywek. Gdy zjadłam, od razu poczułam się lepiej. Rzymska pokojówka wróciła, żeby mnie ubrać, i wyszłam z komnaty w surowej aragońskiej czerni. Na korytarzu spotkałam brata Guida, który chodził przed drzwiami jak małżonek czekający przed domem akuszerki na nowiny o swym pierworodnym.

– Chodź, Luciano – ponaglił mnie. – Nie możemy się spóźnić. Wszyscy na nas czekają.

Jeszcze raz poprowadził mnie przez niezliczone przejścia w zamku Świętego Anioła. Rozpoznałam wśród nich galerię z posągami. Wkrótce powitaliśmy króla i jego świtę. Ferdynand miał gładką i wypoczętą twarz, spojrzeniem ani gestem nie zdradzał, że o północy na Forum omawiał sekrety z Guidem. W milczeniu szliśmy za jego świtą do ciemnej, wyłożonej boazerią komnaty.

Pociągnęłam Guida za rękaw.

– Czy spotykamy się z papieżem?

– Tak. – Oblizywał wargi, oczy miał rozbiegane, był bardzo podekscytowany.

– To chyba powinniśmy udać się do Watykanu?

– Tak – powtórzył. – Ale to tajemnica, musimy pójść inną drogą.

Po raz kolejny znalazłam się w krainie fantazji, patrząc, jak dwaj księża w szkarłatnych szatach otwierają ciężkie dębowe drzwi. Przywołana gestem ręki ruszyłam za królem i jego świtą w ciemną paszczę prowadzącą do tunelu pełnego pochodni oświetlających drogę.

– *Passetto del borgo* – powiedział cicho brat Guido – dawny tunel łączący zamek z Watykanem. Nasza audyencja u papieża musi być naprawdę tajna.

Długo szliśmy w ciemności i zaczęłam się trochę bać. W tej zamkniętej przestrzeni czułam, jak zaciska mi się gardło. Wszyscy milczeli, było w tym miejscu coś takiego, a także w powadze strażników, co zniechęcało do rozmowy. Słyszać było tylko skrzypienie butów i szmer aksamitu ocierającego się o kamień. Kiedy wyszliśmy na światło, mrugałam jak kret, a moje nieszczęsne oczy na nowo przyzwyczajały się do jasności. Wyszliśmy z ciemnego podziemnego świata pod jasne niebo. Była to oczywiście Kaplica Sykstyńska zbudowana przez papieża Sykstusa na chwałę Boga. Otworzyłam szeroko oczy. Brat Guido miał rację, Chrystusa nie czczono już w żadnym kącie ani w wilgotnej norze pod ziemią. Chwała Boga na ziemi była tu widoczna dla wszystkich. Olbrzymie płaszczyzny ścian zdobiły sceny biblijne, jakby Maria i jej bliscy żyli na naszych

oczach. Jakie tam były kolory, jaki lapis, jaki turmalin, jakie złoto! Po raz pierwszy zrozumiałam, że malarstwo to alchemia. Artyści tacy jak Botticelli ze swoimi klejami, gipsami i lakierami, z pigmentami błyszczącymi w słoikach, butelkach i tyglach byli braćmi tych pełnych nadziei aptekarzy, którzy z niczego robili złoto. Byłam zdumiona, ale nie aż tak, żeby nie zauważyć znajomych twarzy kobiet, ich strojów, pozycji, postawy, osadzenia głowy i położenia rąk. Wszystkie te damy przede mną skłaniały swoje piękne główki w stronę prawej nogi, podczas gdy ciała pochylały się i opierały ciężar na lewej.

– *Contrapposto* – określił kiedyś brat Guido taką postawę. Ja też tak kiedyś stałam w przewiewnej pracowni w dalekiej Florencji.

Król jakby czytał w moich myślach.

– Widzę, *dona*, że podziwiasz freski – powiedział uprzejmie. – Nic dziwnego, bo zostały namalowane dla Jego Świątobliwości stosunkowo niedawno przez prawdziwego czarodzieja wśród malarzy, niejakiego Sandra Botticellego.

Czułam, że krew odpłynęła mi z twarzy, nie mogłam powiedzieć słowa. Botticelli tutaj? Powód tych wszystkich kłopotów? Sam mistrz łamigłówek? Przypomniałam sobie, jak bardzo go rozzłościłam. Widziałam go teraz w postaci mściwego Merkurego z zakrzywionym mieczem, gotowego zadać mi cios.

– Czy artysta nadal tu przebywa? – spytałam możliwie najbardziej obojętnie.

– Nie. – Odetchnęłam z ulgą. – Niedawno wrócił do Florencji. Szkoda, że się minęliśmy.

Wymieniliśmy spojrzenie z Guidem.

– Niedługo ma go zastąpić inny z pani florenckich rodaków, Michelangelo Buonarotti, który ozdobi frontony i sklepienie.

Zadarłam głowę, by spojrzeć na sufit. Przestrzeń była olbrzymia, wielkie płaszczyzny i panele do zamalowania, a także niewygodne trójkąty w miejscach, gdzie żebrowanie dochodziło do sklepienia. Madonna, co za praca!

– Myślisz, pani, że to niewykonalne? – Król patrzył na mnie z uniesioną jedną brwią. Nie wiedziałam, co powiedzieć. – Też tak myślę. Ale zobaczymy.

Spojrzałam na Guida, zadowolona, że nam się udało, zauważyłam jednak, że wpatruje się gdzieś przed siebie gniewnym wzrokiem. Nawet nie usłyszał mojej rozmowy z królem. Popatrzyłam w tę samą stronę co on i zorientowałam się, że nie oczarował go ogrom przestrzeni ani piękno dekoracji, tylko osoba, którą przyszliliśmy spotkać.

W pewnej odległości od nas przed wielkim ołtarzem siedział sam papież, gotów nas przyjąć.

Kiedy kardynałowie wprowadzali króla, a my szliśmy za nim, zerknęłam na Guida. W tym momencie nie był już księciem Pizy, znowu stał się pokornym nowicjuszem zakonu franciszkanów, gotowym na spotkanie największego dostojnika Kościoła. Wyglądał, jakby miał spotkać Boga.

Uśmiechnęłam się, ale przyszło mi na myśl coś, co zgasiło ten uśmiech, ponieważ brat Guido, mnich i sierota, za chwilę uklęknie przed papieżem, swym duchowym ojcem i rodzicem w Kościele. Papież był jedynym rodzicem, jaki mu został, a Kościół jego jedyną rodziną. Jeśli kiedykolwiek będę miała okazję poznać moją jedyną krewną, moją *Vera Madre* (co się pewnego dnia stanie, zobaczycie), na pewno będę tak samo oszołomiona jak on.

Kardynałowie zatrzymali się przy złożonej balustradzie przed ołtarzem, a król i brat Guido skłonili głowy, podczas gdy dworzanie i ja uklękliśmy w jednej z ław za nimi. Pochyliłam głowę tak jak inni, ale przez rozsunięte palce rzucałam okiem na Jego Świątobliwość, papieża Sykstusa IV.

Siedział na złotym tronie ozdobionym fruującymi cherubami i wijącymi się bestiami, a złocenia tak błyszcząły, że ledwo mogłam na nie patrzeć. Papieskie szaty tak obficie ozdobiono klejnotami i przetkano złotą nicią, że nie umiałabym określić koloru oryginalnej tkaniny. Papieskie nakrycie głowy było z białego i czerwonego aksamitu, obramowane małymi perłami, ze złotym kółeczkiem na czubku.

Jednak poniżej korony twarz Jego Świątobliwości była stara, skóra cienka i pomarszczona jak pergamin, niebieskie oczy wyblakłe i załzawione, a pergaminowe policzki z siecią cieniutkich czerwonych żyłek. Jednak oblicze miał szlachetne, stał pewnie i mówił z wielką energią tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Najpierw podszedł do króla Ferdynanda i położył dłoń poznaczoną niebieskimi żyłami, pełną pierścieni, na jego głowie. Dwaj wielcy ludzie wymienili spojrzenia i porozumiewawczo skinęli głowami. Potem papież wygłosił błogosławieństwo:

– Niech Bóg i Jego Matka błogosławią cię i otaczają opieką teraz i do końca twoich dni.

Następnie podszedł do brata Guida. Uśmiechnęłam się z dumą, myśląc, jaką radość musi odczuwać mój przyjaciel. Widziałam jego twarz, pobladłą jak pośladki zakonniczy, i miałam nadzieję, że nie zemdleje w religijnej ekstazie, kiedy dotknie go święta ręka. Czułam dumę pomieszaną z wielkim smutkiem, wiedziałam bowiem, że dla mnie jest stracony, jego jedyną miłością był Kościół, teraz i na zawsze. Błogosławieństwo dzwoniło mi w uszach, wiedziałam, że Guido nie będzie miał żadnej narzeczonej, że umiłował Kościół.

Kiedy papież pobłogosławił dwóch szlachetnych gości, zaintonował trzy modlitwy z ręką na złotym psalterzu, potem odwrócił się, by wyjść, a za nim podążyła grupa kardynałów. Zniknęli w bocznych drzwiach prowadzących do pałacu. Tym sposobem nasza krótka audiencja dobiegła końca. Podziwiałam człowieka o takiej władzy, który mógł sobie pozwolić na to, żeby nawet królowi poświęcić tak mało czasu.

Król jednak wydawał się szczerze poruszony. W milczeniu wyszliśmy na wielki plac Świętego Piotra. Wdychałam poranne powietrze i obserwowałam gołębie dziobiące złote kamyki,

patrzyłam na wiernych zbierających się przed wielkim pałacem. Byliśmy przytłoczeni ogromem złotych budowli i niedawnym doświadczeniem. Brat Guido nadal był blady, usta miał zaciśnięte, a oczy pełne łez. Był bardziej wzruszony, niż mogłam się spodziewać. Ja natomiast byłam w ponurym nastroju, myślałam o dniu, w którym Guido wróci do klasztoru, co niewątpliwie wkrótce nastąpi. Król klepnął go w ramię tak mocno, że musiałam go podtrzymać.

– Jedźmy. Powozy czekają. Z powrotem do twojej rodzinnej Toskanii i na ślub we Florencji. Chyba się cieszysz, co?

Brat Guido nie odpowiedział, ale król tego nie zauważył, kiedy wraz ze swoją świtą przemierzał plac Świętego Piotra, idąc do powozów czekających w połyskliwym rzędzie. Wiedziałam, że nastrój Guida to coś więcej niż tylko religijne uniesienie.

Zostaliśmy z tyłu. Wzięłam Guida pod łokieć.

– Co się stało? – spytałam.

Nie odpowiedział.

Spróbowałam jeszcze raz, tym razem żartobliwie:

– Jezu, wiem, że czekałeś na to spotkanie z papieżem, ale nie przypuszczałam, że aż tak cię to poruszy.

Odwrócił do mnie udręczoną twarz.

– Nie tak bardzo, jak mogłabyś myśleć. Bo spotkałem go już wcześniej.

Madonna! On zwariował.

– Co masz na myśli?

Ujął moją twarz w dłonie, czułam jego lodowate palce na moich ciepłych policzkach.

– Och, Luciano, nie mam już wiary, mój świat się skończył. Rozpoznałem jego głos, jeszcze zanim zobaczyłem pierścień na palcu.

Gołębie trzepotały u moich stóp i w mojej głowie.

– Czyj?

– Jego Świątobliwości. On tam był, wczoraj w nocy. – Guido intensywnie patrzył mi w oczy. – Papież Sykstus Czwarty jest jednym z Siedmiu.

V

Florencja II, lipiec 1482

ROZDZIAŁ 1

Uczciłam powrót do Florencji, przechylając się przez balustradę Ponte Vecchio i wymiotując do Arno.

Przerażenie ścisnęło mi żołądek jak paskudny mały wąż już od chwili, gdy zaczęliśmy zjeżdżać w dolinę, ale kiedy przejechaliśmy przez rzekę do mego rodzinnego miasta, błagałam króla, żeby kazał zatrzymać powóz, i wypuściłam strach z ust na swobodę. Kiedy pochylałam się nad balustradą, słaba i pusta, zauważyłam trzy rzeczy.

Prima cosa: Wszystko tutaj nadal było piękne, ale teraz budziło we mnie strach. Stary most wyglądał cudownie bursztynowo w wieczornym słońcu, ale widziałam tylko zabójców czających się pod arkadami. Miedziana kopuła katedry nadal wznosiła się nad miastem, ale miałam wrażenie, że to zatruty puchar, odwrócony, by wylać jad i nasączyć każdy kamień złem. Poszukiwaliśmy Graala w wielu miejscach i po powrocie do domu przekonaliśmy się, że naczynie jest splamione. Niewinne wróble i mewy, które fruwały wokół kopuły, stały się teraz padlinożercami szukającymi łupu.

Seconda cosa: Arno cuchnęła tak samo, ale widziałam, że w jej szafirowym nurcie płyną nabrzmiałe ciała kryminalistów prosto z szubienicy wrzucone do wody w górze rzeki w Rubaconte, gdzie winnych wieszano i obdzierano ze skóry. Jeden trup, okręcany przez rzeczny wir, obrócił na mnie białą twarz bez oczu. Zastanawiałam się, czy ja też wkrótce tędy popłynę. Zdjęta obrzydzeniem odwróciłam się od rzeki i zauważyłam:

Terza cosa: Brat Guido, który także wysiadł z królewskiego powozu, też wymiotował pochylony przy najbliższym łuku mostu.

Byliśmy w domu.

Wykończeni, z podkrążonymi oczyma, popatrzyliśmy na siebie i wróciliśmy do powozu. Brat Guido pomógł mi wsiąść i znosiliśmy grzeczne, pełne troski uwagi naszych królewskich gospodarzy, wysłuchaliśmy listy leków na febrę i uprzejmiem odmówiliśmy zgody na podpalenie ptasiego pióra pod nosem. Wiedzieli oczywiście, że brat Guido jest chory, bo od wyjazdu z Rzymu nie odezwał się ani słowem, nie zjadł też ani jednego kęsa. Król i królowa z przykrością przyjęli wiadomość, że się od niego zaraziłam, i wyrazili nadzieję, że przed jutrzejszym weselem mi się poprawi. Słyszając to, o mało znowu się nie porzygałam.

To strach, zwykły strach usadowił się w moim żołądku, bo trudno było złapać febrę, która dotknęła mojego przyjaciela. Cierpiał męki dlatego, że oddał życie Kościołowi, całe świeckie życie i swoje dziedzictwo tylko po to, żeby sobie uświadomić, iż ta instytucja jest skorumpowana, chora

i gnije od głowy jak śmierdząca ryba. Tylko ja wiedziałam, co go dręczy, wiedziałam, że kiedy głęboko odetchnął na placu Świętego Piotra, to wraz z powietrzem uszła jego wiara. Nie modlił się od wyjazdu z Rzymu, co stanowiło wyraźny kontrast ze stałym klepaniem katechizmu w drodze do Wiecznego Miasta. Między Rzymem a Florencją milczał jak ryba i nie odmawiał więcej litanii niż ja. Choć ja byłam niemal gotowa modlić się za niego do Boga, jeśli takowy istnieje, żeby uleczył jego serce i powiedział mu, że Ojciec nas wszystkich siedzi w swoim niebie, nawet jeśli ojciec Kościoła dołączył do tego niecnego spisku.

Znowu nie mogliśmy rozmawiać podczas podróży, bo byliśmy skazani na towarzystwo królewskiej pary. Kiedy trafiały się chwile, że byliśmy sami, brat Guido odrzucał wszelkie pocieszenia i prawie się nie odzywał. Pił niewiele, a jadł jeszcze mniej. Zarost na twarzy sprawiał, że wyglądał na zaniedbanego, ale tym razem przypominał raczej pachółka niż pustelnika, zniknęła bowiem otaczająca go aura świętości. Opłakiwałam jego utraconą wiarę, ale bardziej martwiłam się o nas, bo bez jego inteligencji i wskazówek byliśmy zgubieni. Jakie miałam szanse na samodzielne rozszyfrowanie reszty zagadki?

Kiedy zjechaliśmy z mostu na Piazza della Signoria, spojrzałam do góry na śliczną wieżę pałacu Medyceuszy i poczułam, że wchodzimy w paszczę lwa. Łuk prowadzący na najstarszy plac Florencji przypominał otwarte wygłodniałe usta, które tylko czekały, żeby nas pochłonąć, a posągi znieruchomiały, by to obserwować.

Wiedzieliśmy, że król i królowa mają mieszkać u przyjaciela, z którym niedawno się pogodzili, Wawrzyńca Medyceusza, jednak zaproszenie nie obejmowało „Niccolo”, zakładano bowiem, że jako tokański książę ma we Florencji swoją siedzibę, gdzie czeka na niego świta. Bóg jeden wie, skąd mielibyśmy tę świtę wyczarować. Popatrzyłam na Guida, który siedział skulony przy oknie, obserwując niechętnym okiem tak dobrze znane ulice.

– Jestem Danielem – powiedział cicho. Były to pierwsze jego słowa od wyjazdu z Rzymu.

Uświadomiłam sobie, co powiedział, i doznałam szoku, bo nasze myśli biegły jednym torem, mimo że od wielu dni nie rozmawialiśmy. On też wiedział, że wchodzimy w paszczę lwa.

Kiedy powóz się zatrzymał, wstałam, przygotowując się do wyjścia, ale królowa wyciągnęła rękę.

– Poczekaj, pojedź powozem do siedziby księcia, z naszym błogosławieństwem. On nie czuje się dość dobrze, żeby się przesiadać. Wiesz, gdzie jest jego pałac?

Poczułam sympatię do królowej za jej dobroć i szlachetność. Przez jedną szaloną chwilę żalowałam, że to nie ona jest moją *Vera Madre*. Jeśliby nią była, mogłabym wtedy przytulić twarz do jej upudrowanego dekoltu. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc jak zawsze w takich sytuacjach skłamałam.

– Wiem doskonale, Wasza Królewska Mość. Jego dom stoi wyżej, na wzgórzu, w stronę

San Miniato. – Nie miałam czasu na myślenie, więc kiedy pomachali mi na pożegnanie, umawiając się na spotkanie na jutrzejszym ślubie, podałam stangretowi kierunek do domu Bemba, gdzie ponad miesiąc temu widziałam śmierć mojego najlepszego klienta.

Kiedy powóz ruszył, wsunęłam się głębiej na siedzenie, ale widziałam, jak król i królowa Neapolu weszli na schody Palazzo Vecchio w otoczeniu świty, a tam przywitało ich dwóch służących w czarno-złoty liberjach Medyceuszy. Mój żołądek znowu się zbuntował w wyniku dwóch koszmarów: prywatnego i politycznego. Pierwszy dotyczył faktu, że brat Guido i ja uciekaliśmy stąd, ratując życie, i nadal może nam grozić wielkie niebezpieczeństwo. Drugi polegał na tym, że latorośl rodziny Medyceuszy, przyszły młody małżonek Lorenzo di Pierfrancesco Medyceusz, spiskował, by wymierzyć zdradziecki cios swemu opiekunowi, Wawrzyńcowi Wspaniałemu. Zamach został przedstawiony na obrazie, wpisany w zagadki i zaszyfrowany w postaciach *Primavery*, ślubnego prezentu Botticellego dla jego młodego, wkrótce mającego się żenić patrona. I dlatego teraz muszę wyrwać mego przyjaciela z otchłani rozpacz, żeby ratować nasze nędzne życie, a może też i miasto. Okazało się jednak, że moje wysiłki nie były konieczne, bo gdy tylko zostaliśmy sami, Guido przemówił.

– Tutaj wszystko się zaczęło – stwierdził. Nie troszcząc się o swoje bezpieczeństwo, wyglądał przez okno, patrząc na wysokie ślepe mury *palazzo*. Ja widziałam tylko ślady rusztowań i sztukaterii, a także jedno wysokie okno poniżej wieży z latarnią.

– Na co ja patrzę? – Poprawiło mi się samopoczucie, ponieważ się odezwał, ale nie miałam ochoty wysuwać się z cienia, żeby nie zobaczyli mnie ci, którzy mnie znają.

– Tutaj – powtórzył. Zabrzmiało to poważnie. – Tutaj wisiał Jacopo dei Pazzi, głowa rodziny Pazzich, ze swoimi dwoma braćmi. Zostali powieszani za to, że zamordowali Giuliana Medyceusza. Zarznęli go na oczach jego brata, Wawrzyńca Wspaniałego, w tutejszej katedrze.

Wszyscy we Florencji znali tę historię, więc czekałam na pointę.

– A obok niego wisiał Francesco Salviati, arcybiskup Pizy, którego dobrze znałem, bo udzielał mi pierwszej komunii. Wawrzyniec Wspaniały umknął tamtego dnia, ale podpisał na siebie wyrok śmierci, kiedy powiesił arcybiskupa w ceremonialnych szatach za jego udział w spisku.

Naprawdę umysł brata Guida wykonywał czasami zadziwiające i, szczerze mówiąc, zupełnie niepotrzebne wolty. Co za ironia losu, że znowu zaczął mówić i już mnie zdenerwował.

– Ale jaki związek z tym wszystkim ma rodzina Pazzich?

Spojrzał na mnie, jakby mnie nienawidził.

– Nie słuchałaś mnie? Nie chodzi o Pazzich, lecz o arcybiskupa.

Coś zaczęło mi świtać. Widziałam oczyma wyobraźni, jak biskup dynda na sznurze, jego bebechy wiją się po ziemi szkarłatnymi wstęgami pasującymi kolorem do szat, twarz ma

zmiażdżoną na krwawą miazgę, bo kręcił się i objął o pozbawione okien szare ściany nieczułe na jego los.

– Więc myślisz, że papież spiskuje z Lorenzem di Pierfranceskiem przeciwko Wawrzyńcowi Wspaniałemu, ponieważ ten kazał powiesić arcybiskupa?

– Tak.

To przecież nie może być wszystko, nigdy nie odpowiadał tak zwięźle.

– Za ten postępek Wawrzyniec Wspaniały i cała Florencja zostali ekskomunikowani – wyjaśnił. – Bratanek papieża Sykstusa, Girolamo Riario, pan Imoli, specjalnie przyjechał, by aresztować i oskarżyć Wawrzyńca Wspaniałego, jednak florencka Signoria okazała się lojalna i nie chciała go wydać. Odwołanie się do prawa nie przyniosło skutku, toteż przypuszczam, że Sykstus zebrał Siódemkę, w tym Lorenza di Pierfrancesca, żeby stworzyć sojusz w celu obalenia Wawrzyńca i umieszczenia jego podopiecznego, chętnego narzędzia papieżstwa, na jego miejscu. Możesz mi wierzyć, za tym wszystkim stoi papież. Tropy są wyryte w kamieniu – zakończył zdecydowanie.

Miałam wątpliwości.

– Mówisz z wielką pewnością.

– Bo jestem tego pewny. Kiedy powiedziałem, że tropy wyryte w kamieniu, rozumiałem to dosłownie, nie metaforycznie.

Milczałam. Nie nadążałam za nim. Na szczęście nie musiałam go prosić, żeby kontynuował.

– Wszystkie znaki, które prowadziły nas do tej pory, były dosłownie wyryte w kamieniu – podjął. – Krzywa wieża nad moimi drzwiami w Santa Croce. Nowo wyrzeźbiony okręt w wieży w Pizie, przedstawiający statek flagowy Mudy. Ściana tęczowa w kościele San Lorenzo Maggiore w Neapolu pokazująca stacje Męki Pańskiej. *Jam jest Petrus*. Sam Kościół też jest wyryty w kamieniu, papieżstwo, Watykan, cały święty, katolicki i apostolski Kościół.

Miałam nieprzeniknioną minę.

– Piotr – powiedział po prostu. – Święty Piotr. *Petrus*. Symbol i święty papieżstwa.

Odźwierny, klucznik. *Ja jestem opoką*.

– W porządku – powiedziałam powoli. – Więc skąd się tu wziął Botticelli, skoro to rodzina Pazzich i papież zapoczątkowali to wszystko?

Oczy Guida płonęły, jakby był potępiony.

– Tam. – Wskazał komorę celną na krańcu placu. – Medyceusze, mocodawcy Botticellego, polecili mu wymalować na tamtej ścianie konspiratorów na szubienicy jako przestrożę dla innych.

Zmrużyłam oczy. Na surowych, wybielonych słońcem kamieniach widać było cztery wyblakłe postacie: długie ostre linie nad nimi, naciągnięte jak struny, to były sznury, na których zawiśli.

– Więc kiedy zrodził się spisek, kogóż mogli wybrać, by namalował śmiercionośną intrygę, jeśli nie ulubionego artystę na dworze Medyceuszy?

– A czy *Primavera* wyjawia wszystko? – zapytałam. – Mówi o wszystkich miastach, które zgodziły się dołączyć do papieża, walczyć z Wawrzyńcem i odsunąć go od władzy?

– Tak.

Uwierzyłam.

– Więc wiemy dlaczego. Nie wiemy jednak, kiedy i jak zaatakują. Nasza wiedza na nic się nie zda, jeśli nie poznamy szczegółów. Toteż pytanie sprowadza się do tego: jaki jest nasz następny krok?

Usta Guida rozciągnęły się w uśmiechu, który wcale uśmiechem nie był.

– Żaden. Niech się powrzucają nawzajem w ogień piekielny, wszyscy są mordercami. Czekają ich potępienie, tak jak nas.

Nie było to szczególnie pomocne. Zamieniliśmy się miejscami: Guido zrezygnował z poszukiwań, a ja pragnęłam je kontynuować. Wiedziałam, że jeśli dowiemy się, co kryje obraz, będziemy mogli targować się o nasze życie.

Oddalaliśmy się od placu i miejsca kaźni, bo trzeba było szybko coś wymyślić, zanim niepotrzebnie dowiozą nas do San Miniato. W tym momencie zobaczyłam wielki fronton i okrągłe oko Santa Croce i usłyszałam echo słów brata Guida sprzed dwóch dni: „W sprawach związanych z botaniką trudno o kogoś lepiej zorientowanego niż Nicodemus z Padwy, zielarz w Santa Croce. Nie ma polnego kwiatka ani rośliny w żywopłocie, których nazwy by nie znał”.

– Czy możemy tu wysiąść?! – zawołałam, mając nadzieję, że to odpowiednie słowo zamiast prostego „zejść”. – Mój pan zna tu zielarza, musimy dostać miksturę na jego febrę.

Stangret zatrzymał konie.

– Mam poczekać, *dona*? – zapytał z obcym akcentem. Tymczasem ja już zdążyłam otworzyć drzwiczki i wyciągnąć Guida z powozu, nie czekając na pomoc stangreta czy forysia.

– Nie, nie ma potrzeby – rzuciłam. – Poczciwi braciszczkowie wyślą gońca po nasz własny powóz.

Stangret wymienił spojrzenia z forysiem, wzruszył ramionami w hiszpańskim stylu, dotknął ręką nakrycia głowy i strzelił z bata. Ostatnia rzecz, jaka łączyła nas z dworem neapolitańskim, oddalała się w tumanach kurzu. I staliśmy tak oboje, Luciana Vetra i brat Guido della Torre, przed bramą Santa Croce, gdzie byliśmy po raz ostatni równo przed miesiącem. Jak zawsze podchmielony brat Malachi spał przy żelaznej furcie.

– Co my tu robimy? – spytał Guido, niemal nie otwierając ust. Jego zaciśnięte szczęki zbieleły z gniewu. Z nienawiścią patrzył na miejsce, które kiedyś pokochał jako spokojną przystań.

– Idziemy do brata Nicodemusa, zielarza, zgodnie z twoją sugestią. – Miałam nadzieję, że

pochlebstwo podziała, ale nie podziałało.

– Ja tam nie wejde.

Spodziewałam się tego.

– Ale to był twój dom. Ci mężczyźni byli twoimi braćmi.

– Wskazałam brata Malachiego, który popsuł mi szyki, pierdząc głośno. – To papież cię zawiódł, a nie franciszkanie.

Zacisnął mocniej szczękę.

– Jeśli papież jest skorumpowany, to taki sam jest cały Kościół. Moje życie, ich życie – wskazał śpiącego mnicha – i to wszystko – szerokim gestem objął wielki budynek klasztoru – jest kłamstwem.

Zanosilo się na to, że będzie trudniej, niż myślałam. Przypomnialam sobie z goryczą, że przed siedmioma dniami zrobilabym wszystko, żeby oderwac go od Kościoła jak pąkla od skały. A teraz oddalabym perłę z mojego pępka, żeby wprowadzić go do wnętrza klasztoru i porozmawiac z zielarzem.

– No dobrze. Załóżmy, że to, co mówisz, jest prawdą. Dlaczego nie spróbujesz go powstrzymać?

– Kogo?

Westchnęłam.

– Jego świętodupka papieża. To, co robi, jest złe, prawda?

– To nie nasza wojna, nie nasza sprawa. Nie obchodzi mnie, co się stanie z Siódemką – odrzekł.

Złapałam Guida za poły płaszcza. Był luźny, zorientowałam się, jak bardzo mój przyjaciel schudł w ciągu ostatniego tygodnia.

– To nasz problem, ponieważ nasze życie znowu będzie zagrożone w momencie, gdy wyda się, kim jesteśmy. A pewnego dnia musi się wydać. Nie możesz na zawsze pozostać Niccolo, zresztą chybaś tego nie chciał, jeżeli nie zamierzasz przez całe życie pieprzyć pedałów. – Wzdrygnął się. – Ale kiedy zostaniesz zdemaskowany, już zawsze będziesz musiał uciekać. I ja też. A co ze zdrazieckim Lorenzem di Pierfranceskiem? Spiskuje przeciwko ojcu naszego wspaniałego miasta. Możemy go obalić, wyciąć raka z Kościoła, przywrócić mu czystość. – Szyłam to grubymi nićmi, ale się nie zorientował. Po raz pierwszy od wyjazdu z Rzymu jego oczy rozblęły na myśl o pokrzyżowaniu planów papieżowi. Wykorzystałam swoją przewagę.

– Zabierzmy się do rozwiązywania zagadki, a potem spróbujmy w jakiś sposób przedstawić ją Wawrzyńcowi Wspaniałemu, tak jak proponował twój stryj. Wtedy zasłużymy na jego wdzięczność i ochronę i ocalimy skórę.

– Nie dbam o swoją skórę.

– A więc moją.

Milczał, ale nie z powodu udręki, tym razem po prostu myślał. Spojrzał na mnie tak, jakby widział mnie po raz pierwszy, i wtedy zrozumiałam, że obchodziłam go na tyle, iż próbował mnie ocalić. Wieczór był ciepły, ale nagle zrobiło mi się gorąco, jakby weszło słońce. W jego oczach było jeszcze coś. Nie chciał się poddać i chyba wiedziałam dlaczego. To sprawa umysłu. Ogień wiary mógł zgasnąć, ale płomienia intelektu nigdy nie da się zgasić. Oddałam celny strzał.

– A poza tym, czy naprawdę mógłbyś odejść, nie dowiedziawszy się, co to wszystko znaczy? Czy naprawdę mógłbyś spać spokojnie, nie poznawszy sekretu kwiatów? Nie wiedząc, jakie nieszczęścia nadejdą z wiosną? Dlaczego jest siedmiu konspiratorów, nie ośmiu, jak na obrazie? Nie mogłeś do tego dojść, zagadka cię pokonała?

Już go miałam, ale nie mogłam powstrzymać się od wysunięcia jeszcze jednego, bardziej praktycznego argumentu. Nie mieliśmy żadnego pałacu, w którym moglibyśmy zamieszkać, ani służby, która zaspokajałaby nasze potrzeby. Nie mogłam wrócić do mojej chatki nad Arno, zalanej krwią Enny. Guido nie mógł wrócić do Pizy i straszego kuzyna.

– Musimy wejść do klasztoru, bo nie mamy dokąd pójść – powiedziałam.

Wiedział, że mam rację. Nie miał wyboru, musiał wrócić do klasztoru, który kiedyś nazywał domem. Popatrzyłam w niebo, zapadała noc. Podeszliśmy do furty, obudziłam brata Malachiego tak jak przed miesiącem, wkładając mu w twarz moje cycki.

ROZDZIAŁ 2

Nicodemus z Padwy milczał.

Wysłuchał naszej nieprawdopodobnej opowieści, a teraz siedział, głaszcząc siwy zarost na brodzie, co jakiś czas chrząkał, jakby miał kłopoty z trawieniem. Przetrawiał naszą historię.

Kiedy weszliśmy do herbarium, idąc za wskazówkami brata Malachiego, rozejrzałam się. Było to intrygujące miejsce, oświetlone świecami, z kolumnadą filarów i żebrowanym sklepieniem przytrzymującym niski dach. Popatrzyłam na szczyt filarów.

Madonna!

Na dwóch trzecich wysokości żebra ginęły w odwróconej łące. Z sufitu zwieszały się najrozmaitsze kwiaty, zioła i bulwy, suszyły się w blasku ognia, obracały się delikatnie na swoich pędach, kiedy poruszyły je nasze oddechy lub powiew powietrza od drzwi. Zapach kwiatów i ziół uwalniany pod wpływem ciepła niemal zwał z nóg duszącą słodyczą. Siedzieliśmy na ławce opartej na kozłach, w palenisku płonął wesoło ogień. W każdej niszy stały pękate donice, zakorkowane butle czy gliniane tygle z łacińskimi etykietkami. Pod jedną ścianą stał długi wyszorowany stół zastawiony palnikami, miedzianymi rurkami i naczyniami do destylacji, połączonymi świńskimi jelitami. Najdziwniejszy był jednak sam zielarz, mniejszy od każdego ze znanych mi mężczyzn, ale z najmądrzejszymi oczyma, jakie kiedykolwiek widziałam. Był w nieokreślonym wieku, mógł chodzić po ziemi od czasu krucjat, na starczych policzkach widniało więcej linii niż na mapie Saracenów. Włosy miał tak rzadkie, jak gęsta była sieć zmarszczek, białe bokobrody wyrastały tuż nad uszami, a wokół głowy tworzyła się śnieżna falbanka.

Pozwoliłam bratu Guidowi opowiedzieć całą historię. Nie przerywałam mu, bo szybko uświadomiłam sobie, że dla starego mnicha będzie to ambarasujące: kiedyś widywał mnie przy furcie tak jak wszyscy braciszkwowie i wiedział, że wnosłam w te mury zepsucie. Ani razu nie spojrzał mi w oczy, ale nie czułam się tym dotknięta. Spotkały mnie w życiu liczne zniewagi, więc mogłam znieść jego dezaprobatę, jeśli tylko miałyby się okazać pomocny.

Kiedy wreszcie się odezwał, jego głos brzmiał niespodziewanie nisko, mówił z silnym padewskim akcentem. Jeśli zaskoczył go widok nowicjusza franciszkanów, który zniknął przed miesiącem, a teraz pojawił się w stroju księcia z dziwką u boku i opowiada nieprawdopodobną historię, nie pokazał tego po sobie.

– Bracie, czy jesteś pewny, że Jego Świątobliwość jest związany z tą siódmką konspiratorów? – spytał.

– Jestem, bo miał na kciuku taki sam pierścień jak oni wszyscy: mój stryj, król Neapolu,

papież, a teraz i ja, jak widzisz.

Zielarz wpatrywał się w złote kółko błyszczące w świetle ognia.

– A jeśli zobaczysz jutro na ślubie taki sam pierścień na palcu Lorenza di Pierfrancesca, będziesz miał pewność, że spiskuje przeciwko wujowi?

– Tak.

Brat Nicodemus milczał, a kiedy znowu się odezwał, zdałam sobie sprawę, że zna sztuczkę brata Guida. Jego umysł, pracujący szybciej od umysłów innych, przesiał nasze informacje i oddzielił te, które były ciekawe i mogły zostać przeoczone przez innych.

– Siedmiu, nie ośmiu? – upewnił się. – A na obrazie jest osiem dorosłych postaci?

– Tak.

– To diabelska sprawa – stwierdził, kręcąc głową.

Brat Guido podjął trop. Zaczął mówić o swoim rozczarowaniu, jakby rozmawiał ze spowiednikiem.

– Bracie, znalazłem się w otchłani. Moja wiara i zaufanie do tego, któremu służymy, opuściły mnie. Mówienie z tobą o tym sprawia mi ból. Wiem, że jako członek tego zakonu musisz być równie boleśnie jak ja dotknięty zaangażowaniem naszego ojca.

Brat Nicodemus gwałtownie podniósł głowę.

– Ja? Dotknięty? Ani trochę. – Zaśmiał się sucho, był to na poły kaszel, na poły wesołość. – Synu, przykro mi, że jesteś rozczarowany. Muszę ci jednak powiedzieć, że człowiek, którego tak idealizowałeś, już wcześniej miał krew na rękach, i to nie raz.

Guido pochylił się do przodu, a płomień oświetlił jego twarz na bursztynowo.

– Co takiego?

– No właśnie – odparł łagodnie zielarz. – Mówiłeś o spisku Pazzich. A kto zachęcił Pazzich do zrealizowania morderczego planu, kto dał im przyzwolenie? Kto ekskomunikował całą Florencję za ten czyn, dzięki czemu mógł zmusić bank Medyceuszy do zaprzestania działalności, likwidując jednym ruchem dziesięć tysięcy florenów papieskiego długu? Papież pogodził się z Wawrzyńcem tylko dlatego, że naszym ziemiom groził atak Turków, kiedy zajęli Otranto. Ale od tamtego czasu upłynęło ponad sześć miesięcy, teraz sułtan nie żyje i zagrożenie minęło, więc papież może jeszcze raz wystąpić przeciw staremu nieprzyjacielowi. – Brat Nicodemus znowu pokręcił głową. – Bracie, jesteś młody i niewinny, nie masz pojęcia, do czego zdolny jest człowiek, choćby najbardziej święty.

Guido siedział nieruchomo, wargi mu zbieleły, był poruszony do głębi. Na mnie zrobiło to mniejsze wrażenie, bo czyż nie obsługiwałam mnichów, no i księży, już od wielu lat?

Zielarz wyczuł, że świat brata Guida legł w gruzach, mówił więc nieco łagodniej:

– Synu, musisz się nauczyć odróżniać człowieka od Boga. Człowiek jest słaby, Kościół

przekupny. Ale Bóg jest prawdziwy i nigdy cię nie zawiedzie. Musisz znaleźć drogę powrotną do wiary jako rozmowy między tobą a Bogiem. Papieże i prałaci przychodzą i odchodzą, ale Bóg jest wieczny. Ci z nas, którzy są wierni regule, muszą prowadzić innych ku światłu. – Stary człowiek, jakby zmęczony swoją przemową, wypił łyk z drewnianego kubka. – A co do twojego obecnego kłopotu, to myślę, że możemy rozgrzeszyć Ojca Świętego, inspiratorem spisku nie jest Watykan, tylko dom Medyceuszy.

– Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

– Pierścień na twoim palcu ma dziewięć złotych kulek. To *palle*.

– *Palle* – powtórzył brat Guido, pokazując nam pierścień, który błyszczał w świetle ognia. –

Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem?

Widziałam wyraźnie pierścień z dziewięcioma złotymi kuleczkami. Musiałam zapytać:

– Co to takiego?

– *Palle*, czyli kulki Medyceuszy, pojawiają się w kręgu w różnych ilościach na ich heraldycznych ozdobach – wyjaśnił Guido.

Oczywiście dobrze znałam ten herb, bo poza tym, że widniał nad każdym wejściem i na każdej pałacowej ścianie we Florencji, znałam około setki żartów opowiadanych na ulicy o kulkach Medyceuszy. Myślę, że w swoim czasie osuszyłam kilka par kulek pomniejszych członków tego rodu, młodszych synów i kuzynów, niestety. Nigdy nie miałam do czynienia ani z Wawrzyńcem Wspaniałym, ani z Lorenzem di Pierfranceskiem, którzy prowadzili raczej pobożne życie.

Oczywiście nie licząc morderstwa.

Jednak porzuciłam te rozważania, bo zielarz znowu przemówił.

– Nie widziałem jeszcze obrazu, ale gotów jestem się założyć, że *palle* również tam się pojawiają.

Brat Guido wstał.

– Już czas – powiedział, pomagając staremu mnichowi się podnieść. Tamten sięgał młodszemu zakonnikowi mniej więcej do pępka. Podeszli do długiego stołu, a brat Guido wyjął z woreczka *cartone*. Brat Nicodemus przycisnął jego rogi kamykami, które lśniły czerwienią w blasku ognia. Domyśliłam się, że to karnelian, którego używał do leczenia. Stałam za nimi, żeby się przyglądać. Od jakiegoś czasu nie widziałam *Primavery*, bo spoczywała na piersi mojego milczącego towarzysza od wyjazdu z Rzymu. Ilekroć patrzyłam na ten obraz po dłuższej przerwie, uderzało mnie jego piękno, tym bardziej teraz, w poświęceniu ognia. Nad obrazem pochylały się dwie głowy, jedna biała, druga czarna, więc musiałam czekać na swoją kolej. Ale nie czekałam długo.

– O tutaj – rzekł zielarz, prostując się. – Jabłka Hesperyd reprezentują *palle*, emblemat Medyceuszy.

Zrobiłam krok do przodu, patrzyłam na jego pokrzywiony palec wskazujący punkt powyżej

postaci, gdzie pomiędzy liśćmi zwisało około setki złotych krągłych owoców.

– Bardziej przypominają pomarańcze – powiedziałam cicho.

– Luciano, jabłka Hesperyd to w literaturze klasycznej pomarańcze. – Brat Guido nawet na mnie nie spojrzał. – A te pomarańcze pojawiają się na każdym herbie Medyceuszy.

– Popatrz i tu! – wykrzyknął stary zakonnik. Wskazał naturalny łuk z liści nad głową Wenus.

– Wawrzyny – powiedział brat Guido. – Tak, zauważyliśmy je w Rzymie. Myśleliśmy, że przedstawiają ofiarę spisku, czyli Wawrzyńca Wspaniałego.

– Albo mózg całej operacji, Lorenza di Pierfrancesca Medyceusza – dodał brat Nicodemus.

Mimo iż płonął ogień, poczułam chłód. Patrzyliśmy na plan morderstwa. Morderstwa, któremu musieliśmy zapobiec.

Brat Nicodemus jakby czytał w moich myślach.

– Wasz następny ruch jest oczywisty. – Zwrócił się do brata Guida: – Twój moralny imperatyw jest jasny. Bez względu na to, czy jesteś mnichem, czy nie, jesteś porządnym człowiekiem. Dzięki łasce Boga masz okazję być na tym ślubie, udając kogoś innego. Musisz to wykorzystać, postarać się o audiencję u Wawrzyńca Wspaniałego i opowiedzieć wszystko, żeby ocalić mu życie. Bo jak inaczej do niego dotrzesz, skoro twój stryj nie żyje, Panie świeć nad jego duszą? Wawrzyniec nie przyjmie skromnego nowicjusza zakonu franciszkanów 1 – wskazał na mnie – młodej damy bez referencji. Co innego księżę Pizy i jego towarzysza... – Nie musiał kończyć. – A jeśli ocalisz go przed takim spiskiem, masz zapewnioną jego protekcję.

– Bracie Nicodemusie, przecież teraz nasza wiedza o tym spisku opiera się jedynie na domysłach – zaprotestował brat Guido. – Znamy tożsamość zaledwie trzech z Siódemki, i nic więcej. Potrzebna nam twoja pomoc. Jeśli uda nam się odkryć „sekret, który kryją kwiaty”, może poznamy więcej szczegółów, a szczegóły przydadzą wiarygodności naszym informacjom.

– Doskonale cię rozumiem. Popatrzmy jeszcze raz, tym razem weźmiemy pod uwagę tylko te detale, które wydają się ważne.

Kiedy wyciągałam szyję, żeby coś zobaczyć, byłam przerażona ogromną ilością kwiatów na obrazie.

Madonna!

Kwiatów było więcej niż krowich głów na łące.

Nad głowami postaci kwitły pomarańcze. Kwiaty widniały na sukni Flory, co doskonale pamiętam z tamtego niezapomnianego dnia pozwania dla Botticellego. Pamiętam też ciężki wianek, który miałam wtedy na głowie. Ponadto w fałdach spódnicy miałam róże, kwiaty wypadały z ust nimfy po mojej prawej stronie, którą brat Guido zidentyfikował jako Chloris. Wszystkie postacie były ozdobione kwiatami, nawet wojowniczy Merkury miał na butach wianuszki

z delikatnych kwiatków w kształcie gwiazdek.

– Do wszystkich diabłów! – zakląłam, czym zasłużyłam na pierwsze spojrzenie Nicodemusa z Padwy. Przez chwilę miałam wrażenie, że jestem znowu w szkole. Od tej chwili starałam się trzymać język za zębami, żeby się po raz kolejny nie narazić na takie spojrzenie. Brat Guido, znów nastawiony pesymistycznie, najwyraźniej był w czarnej rozpacz, podobnie jak ja, ale posługiwał się mniej barwnym językiem.

– To niemożliwe – oznajmił. – Wybacz mi, bracie. Próżny trud. Jest ich za dużo. Nawet gdybyśmy mieli wiele dni i miesięcy na przyglądanie się tej scenie, nigdy się nie dowiemy, które kwiaty kryją sekret wspomniany przez papieża.

Ale zielarz zacierał ręce tak mocno, aż zatrzeszczały stare kości.

– Spokojnie, bracie. Bóg dał nam intelekt, żebyśmy go używali. Nie ma rzeczy niemożliwych. Niewykluczone, że jeśli ten obraz kryje jakiś szyfr, a sekret można znaleźć w kwiatach, to może nie wszystkie kwiaty widoczne na obrazie mają jednakowe znaczenie. Niektóre są zwykłą dekoracją czy służą odwróceniu uwagi. Myślę, że potraktowanie wszystkich kwiatów jednakowo nie miałyby sensu.

– Może trzeba brać pod uwagę kwiaty przy każdej z postaci? – zaryzykowałam. – To dałoby osiem liczb, nie licząc Kupidyna. Może „sekret” to po prostu data czy coś podobnego.

– Uważałam, że to bardzo dobry pomysł.

Brat Nicodemus zachowywał się tak, jakby w ogóle mnie nie słyszał, ale brat Guido odpowiedział:

– A niby jak mamy przydzielić kwiaty poszczególnym postaciom? Na przykład kiedy Flora rozsypuje kwiaty, to liczymy te, które rozsypuje, czy tylko te, które ma na sobie? A w przypadku nimfy Chloris bierzemy pod uwagę kwiaty, które wypadają jej z ust, czy nie? – Zobaczył moją zgnębną minę. – Chociaż pomysł z liczbami jest dobry. Niewykluczone...

Zielarz uniósł rękę.

– Ta debata nie jest potrzebna. Mogą być inne sposoby odkrycia, które kwiaty są naprawdę ważne. Przypomnij sobie, bracie, co dokładnie powiedziano tamtej nocy pod łukiem Septymusa Sewera w Rzymie?

Byłam pod wrażeniem pamięci starego mnicha, bo ja z trudem zapamiętałam nazwę łuku.

Brat Guido zamyślił się głęboko.

– Mówili po łacinie, co doskonale pasowało do łuku, gwardii, miasta... Papież Sykstus wypowiedział dokładnie te słowa: *Flora manus secretum*.

– „Kwiaty trzymają sekret” – przetłumaczył zielarz. – Bardzo dobrze. Mamy odpowiedź. – Obydwoje spojrzeliśmy na niego pytająco. – Gdybyście patrzyli na ten obraz po raz pierwszy, powiedzielibyście, że która z postaci najbardziej kojarzy się z kwiatami?

– Flora – odrzekliśmy równocześnie.

– No właśnie. Jest okryta kwiatami od głowy do stóp, a do tego jeszcze kwiaty rozsypuje. Jej imię oczywiście jest bardzo sugestywne, Flora, po łacinie: „kwiaty”.

Skrzyżował ręce na piersi jak adwokat i chodził tam i z powrotem, mówiąc:

– Podług mnie wasz problem polega na tym, że zagadka *Flora manus secretum* może oznaczać jedną z czterech rzeczy. Pierwsza: odpowiedź to flora, jak we flora i fauna, łacińska nazwa zbiorowa wszystkich roślin, a więc oznacza wszystkie kwiaty, wszystkie zioła, wszystkie drzewa i owoce na obrazie. Mówiliśmy już o tym, jak zrudne byłoby przestudiowanie każdej rośliny, jaką widzimy. Druga: odpowiedź kryje się w samej postaci Flory. Trzecia: odpowiedź kryje się w mieście Florencja. Doszłście do wniosku, że każda postać reprezentuje miasto. To bardzo prawdopodobne, bo Florencja jest domem oryginalnego obrazu *Primavera*. A wreszcie czwarta możliwość, najbardziej nieprawdopodobna, że odpowiedź – po raz drugi spojrział na mnie – kryje się w tobie.

Rozejrzałam się, czy ktoś nie wszedł do pomieszczenia i nie stoi za nami.

– We mnie?! – wykrzyknęłam zdumiona.

Brat Guido przeniósł na mnie swoje błękitne spojrzenie.

– Owszem – powtórzył zielarz. – Byłaś modelką Botticellego, prawda?

– Tak, ale...

– Może zostałaś wybrana z jakiegoś powodu.

– Myślę, że tego nie musimy rozważać – wtrącił pospiesznie brat Guido. – Signorina Vetra została wybrana z powodu swoich powiązań z zamożnym przyjacielem Botticellego.

– A tak, z signorem Malatestą, niech Bóg da mu wieczne odpoczywanie. –

Błogosławieństwo zielarza nie było całkiem szczere, podejrzewałam, że reputacja Bemba przedostała się nawet za te grube mury. – Bardzo dobrze – podjął brat Nicodemus. – Myślę więc, że możemy skoncentrować nasze wysiłki na postaci Flory. Niewątpliwie jest najbardziej ukwiecona. Następna w kolejności jest pewnie Chloris, bo kwiaty wypadają z jej ust jak prawdy. Dotyka rękawa Flory, widzicie? Możemy chyba przyjąć, że Flora i Chloris są ze sobą powiązane.

– Może Chloris to miasto leżące bardzo blisko Florencji? – zasugerował Guido.

– Tak myślę. Może to Prato, a może Imola.

Nie miałam zdania na ten temat, bo dopiero przed miesiącem wyjechałam z miasta, jeśli nie liczyć podróży z Wenecji jako dziecię w butelce.

– Ale wracajmy do Flory – nalegał zielarz. – Co możemy powiedzieć o tej postaci, pomijając kwiaty? One stanowią jej główną cechę, ale zanim skoncentrujemy się na nich, powinniśmy może omówić całą jej postać.

Wymieniłam spojrzenie z Guidem i uśmiechnęliśmy się w tym samym momencie.

– Ona stanowi *primum mobile* całej sceny. – To typowe dla mojego uczonego towarzysza, żeby zacząć od czegoś po łacinie, czego w ogóle nie rozumiałam. Na szczęście znał mnie wystarczająco dobrze, by bez żadnej zachęty przetłumaczyć. – Ona jest „pierwsza w ruchu”.

Rozumiałam, o co mu chodzi.

– Jest najbardziej wysunięta do przodu ze wszystkich postaci, to ona przewodzi.

– Co pasuje do mojej hipotezy, że Lorenzo di Pierfrancesco z miasta Flory, Florencji, jest inspiratorem całej intrygi – wtrącił zielarz. – Poza tym ona patrzy bezpośrednio na oglądającego.

– Jej szata unosi się jak anielskie skrzydła. – Ten pobożny wtręt to brat Guido.

– Ma „rybne” rękawy. – To ja.

Obaj zakonnicy spojrzeli na mnie pytająco.

– Jej rękawy do łokci pokryte są łuskami – wyjaśniłam.

Nie mogli temu zaprzeczyć, choć wydawało się to nonsensowne, było jednak wyraźnie widoczne.

– Może to wskazuje na powiązania z morzem albo na związki z trzema Gracjami? – zastanawiał się mój przyjaciel.

– Jej szata ma taki sam kolor jak inne szaty – zauważył brat Nicodemus. – Czy raczej jest bez koloru. Tło jej sukni jest białe jak szaty pozostałych.

– Ale ja jeszcze żyję! – wykrzyknęłam, nawiązując do naszej rozmowy na statku Mudy, kiedy doszliśmy do wniosku, że Gracje to nieżyjące damy: Simonetta Vespucci i Maria d’Aquino, czyli Fiammetta.

– Myślę, że bliskość kwiatów, żywych, witalnych, wyróżnia cię jako żywą, oddychającą osobę.

Wiem, że zielarz chciał powiedzieć „damę”, ale nie mógł się zmusić, by użyć tego słowa w odniesieniu do mnie.

– Zaczniemy od zidentyfikowania kwiatów zdobiących Florę – powiedział pospiesznie – i zobaczymy, co nam z tego wyjdzie.

Sięgnął po interesujące urządzenie: dwa identyczne krążki szkła otoczone ołowianymi obwódkami, które przytknął do nosa. Kiedy odwrócił się do Guida, jego oczy wydawały się olbrzymie, jak powiększone denka butelek. O mało się nie roześmiałam, ale moja wesołość zniknęła, kiedy uświadomiłam sobie, że dzięki takiej pomocy widzi lepiej niż brat Guido i ja, chociaż byliśmy od niego młodszy o dobrych pięćdziesiąt lat.

– Zaczniemy od głowy. Pośrodku, nad czołem. – Wpatrywał się w skromny fiołek, *viola odorata*. – Spróbujmy zastosować jakąś metodę. – Stał na stołku, bo tylko w ten sposób mógł sięgnąć wystarczająco wysoko, by zdjąć fioletowy kwiat z kwiecistego pola nad naszymi głowami. Trzymał go przed nami. – To jest fiołek – powiedział. Po czym odwrócił się do nas i powiedział: –

Następny.

I tak pracowaliśmy, podczas gdy na dworze zapadała noc. Najpierw zajęliśmy się wiankiem na głowie Flory, potem girlandą wokół jej szyi. Nazwy roślin wypadały z ust zielarza jak kwiaty z ust Chloris i odbijały się echem od ścian krypty niczym pogańska, nie chrześcijańska litania. Bławatki, stokrotki, ciemiernik, konwalia, *myosotis*, borówka, *occhiocento*, granat.

I znowu fiołek.

Przyglądałam się i pomagałam zdejmować kwiaty, kiedy wisały za wysoko. Zapachy i widoki mieszały się, by przypomnieć mi tamten dzień w pracowni Botticellego. Przypominałam sobie wianek, który czułam na skroniach, i girlandę drapiącą w szyję. Zdradziecki dzwon kaplicy Pazzich, odlany przez morderców i przypominający o ich istnieniu, zadzwonił dwa razy, zanim zdjęliśmy wszystkie kwiaty. Mieliśmy przed sobą prawdziwy ogród.

Wreszcie skończyliśmy identyfikować kwiaty z głowy i szyi, ale to nie był koniec.

– Szata – zarządził brat Guido.

– To dużo łatwiejsze – stwierdził zielarz. Oderwał dwa kwiatki od łodyżek. – Bławatek i goździk. Wszędzie. I dokoła jej talii cały pas róż. – Pociągnął giętką gałązkę, kolczastą i piękną, z tuzinem róż pomiędzy mięsistymi zielonymi liśćmi. Zapamiętałam ten szczegół, bo kolce przebijały materiał mojej sukni i kłuły.

– A co ma w rękach?

– To sama mogę wam powiedzieć. – Dobrze pamiętałam pachnące kwiaty, które umieszczono tamtego dnia w fałdach mojej spódnicy. Miałam je trzymać i rozsypać na ziemię. – To były róże.

– Powtórz to – zażądał Guido.

– To były róże – powtórzyłam zaskoczona.

– Flora trzymała róże. – Niemal wyszeptał te słowa, jak człowiek we śnie. Nagle zaczął się uśmiechać i nagłym ruchem odsunął wszystkie starannie zebrane kwiatki, które pachnącą masą spadły na podłogę.

Patrzyliśmy na niego, jakby był szaleńcem.

– Tracimy czas, nazywając wszystkie kwiaty. – Biegał po izbie, naśladując nasze ruchy z ostatniej godziny. Trząśnięcie ze śmiechu po raz pierwszy od wyjazdu z Rzymu. – Jesteśmy durni! Flora trzyma sekret! Róże. Tylko tyle musimy wiedzieć. Ona trzyma je w rękach. Jest jedyną postacią, która trzyma kwiaty. Skromne kwiaty, które rosną w każdym ogrodzie. Sami moglibyśmy znaleźć ich nazwy.

Brat Nicodemus skulił się na stołku, zdjął okulary i przetarł ręką oczy. Kiedy odsunął rękę, ukazał bezzębny uśmiech.

– Masz rację – powiedział. – Gdybyśmy byli naprawdę uczeni, łacina powiedziałaaby nam,

że zagadka brzmi *Flora manus secretum*. *Manus* oznacza „trzymać w ręku”, od korzenia *mano*, ręka. Gdyby Flora „trzymała” sekret w sensie metaforycznym jako jego opiekunka, papież Sykstus użyłby czasownika *custodia*. *Flora custodia secretum*. – Zwrócił się do mnie. – Dziecko, w końcu to ty kryłaś sekret w najbardziej dosłownym sensie, kiedy pozowałam Botticellemu tamtego dnia. – Znowu zachichotał.

Zaczęłam się denerwować. Nie widziałam żadnego powodu do śmiechu. Spędziliśmy czas od niesporów do komplety, nazywając kwiatki i przekonując się przy tym, że prawdziwa odpowiedź była dziełem chwili. Czulałam się trochę rozczarowana. W ogóle nie musieliśmy tu przychodzić. Róże. Mogliśmy rozpoznać ten cholerny kwiat w powozie w drodze z Rzymu, tracąc na to tyle czasu, ile potrzeba na pierdnięcie, gdyby brat Guido nie dąsał się w siódmym kręgu swego osobistego piekła. Mogłoby to zrobić dziecko, ten stary mnich wcale nie był nam potrzebny. Zaczęłam myśleć o kolacji, a brat Guido tymczasem przeproszał zielarza.

– Przykro mi, bracie. Okazuje się, że niepotrzebnie cię trudziliśmy.

– Niezupełnie, mój synu. Bo wciąż nie znacie znaczenia róż i tego, jak mogą cokolwiek ukrywać.

To była prawda, nie posunęliśmy się specjalnie do przodu.

– Skoro już tu jesteśmy, musimy skorzystać z dostępnych źródeł, czyli z niezwyklej znajomości botaniki brata Nicodemusa – uznał Guido. – Poza tym uważam, że szyfry *Primavery* są zbyt zmyślnie, by było je widać na pierwszy rzut oka. Dotychczas Botticelli okazywał się mądrzejszy, wszystkie zagadki były zrozumiałe wyłącznie dla Siódemki. Myślę, że ważny jest rodzaj kwiatów, może też ich właściwości. Zastanówmy się, co wiemy o królowej kwiatów, róży.

Brat Nicodemus wziął jedną różę ze swojej kolekcji, jasnoróżową muszlę, i drugą, płomiennie koralową. Dokładnie dwa odcienie, które trzymałam w objęciach na obrazie. Teraz wszyscy siedzieliśmy przy stole, patrząc na dwa idealne kwiaty, jakby czekając, aż się odezwą.

– Róża, *Rosa centifolia* – mamrotał brat Nicodemus. – Tak jak powiedziałaś, znana jest jako królowa kwiatów. Rzymska para młodych była koronowana różami, podobnie jak obrazy Kupidyna, Wenus i Bachusa. Wianek z róż lubili także poeci, oda Anakreonta, który pisze o poetach w koronach z róż na święcie Flory i Hymena.

Nie bardzo wiedziałam, co miała z tym wspólnego banda afektowanych poetów, temat panny młodej wydawał się znacznie istotniejszy, ale brat Guido rzucił się na wątek poetycki.

– Myślę, że to znaczące. Poliziano, poeta dworu Medyceuszy i autor *Stanzy*, na których opiera się *Primavera*, wielokrotnie pisał o pięknie róży. W istocie – uderzył ręką w blat stołu – same *Stanze*, o ile dobrze pamiętam, zawierają kuplet o kwiatach.

Ma vie pili lieta, più ridente e bella ardisce aprire il seno al sol la rosa.

Co oznacza, że róża jest odważniejsza od pokornego fiołka. Brat Nicodemus wyprostował

się na krześle.

– Fiołek to kwiat, który wieńczy wianek na głowie Flory, umieszczony jest pośrodku, nad czołem.

– Może poeta, a więc i sam obraz mówi, że nie powinniśmy posługiwać się głową przy odkrywaniu sekretu, tylko...

– Czym? Żołądkiem? – Rozśmieszyło mnie przygnębienie malujące się na twarzach mnichów, kiedy ich teoria upadła.

– Chwileczkę... czy Flora nie jest brzemienna? Czy signor Benvolio nie powiedział ci tego, kiedy nalegał, żebyś pozowała jego przyjacielowi? – dopytywał się brat Guido. – Że niesie owoce nadchodzącej pory roku?

– To prawda – potwierdziłam. – Miałam być brzuchata. – Starszy mnich lekko się wzdrygnął na to określenie, ale nic mnie to nie obchodziło, bo wpadliśmy na jakiś trop. – Może ten sekret ma związek z niemowlęciem czy z dzieckiem? Może ktoś spodziewa się dziecka? Może Semiramida Appiani jest w ciąży i bękart zostanie dziedzicem fortuny Medyceuszy po śmierci Wawrzyńca Wspaniałego?

– Signorina! – zagrział brat Nicodemus. – Gwarantuję pani, że rodzina Medyceuszy nie jest bezgrzeszna, ale signorina Appiani cieszy się reputacją cnotliwej panienki, czystej jak pierwszy śnieg.

– W porządku. – Usadowiłam się na ławce ze sceptyczną miną. – Musicie jednak przyznać, że królowi Ferdynandowi byłoby bardzo na rękę, gdyby jego siostrzenica została matką dziedzica Medyceuszy. To samo czułby Lorenzo di Pierfrancesco, czyli dwaj członkowie Siódemki byłiby zadowoleni.

– To prawda, że róże mają powiązania z Wenus – dodał brat Guido w mojej obronie. – To jej kwiat, nosiła wianek z róż podczas sądu Parysa, według retora Libaniusa, który to konkurs reprezentuje w *Primaverze* obecność trzech Gracji.

– Według greckiej legendy róża powstała w chwili narodzin Wenus, tak twierdzi Anakreont – przytaknął zielarz. – Delikatny różany pąk wyskoczył z ziemi, kiedy Wenus wyszła z morza, a spryskanie nektarem przez bogów sprawiło, że z pączka rozwinął się kwiat.

– Chyba odbiegliśmy od tematu – zauważył brat Guido.

Przyznałam mu rację, ta pieprzona poezja wszystko opóźniała, trudno było inaczej to określić.

– W końcu w *Primaverze* to Flora, nie Wenus kryje sekret. To Flora jest ciężarna, nie Wenus. – Spojrzał na mnie nieśmiało i niepewnie.

Odpowiedziałam na pytanie, które nie padło.

– Małe szanse. – Byłam zbyt sprytna, żeby dać się na to złapać. To mogło oznaczać koniec

kariery pracującej dziewczyny, dziecko było gorsze niż ospa. Pomyślałam o nawoskowanych kwadratach bawełny, które tkwiły niepotrzebnie przy szyjce mojego łona, wymieniane po każdym miesięcznym krwawieniu. W ostatnim miesiącu przypadek byłby czymś nadzwyczajnym, bo od czasów Bemba nikt mnie nie przeleciał. Wenus jednak, to znaczy panna Appiani, to zupełnie inna sprawa. Wiele florenckich panienek zostało wykorzystanych przez swoich narzeczonych, ale jeśli nawet dzieciak urodził się parę miesięcy przed czasem, to co za problem? – Popatrzcie na jej suknię – zasugerowałam. – Łatwo pod nią ukryć prawdę, jeśli nosi się bękarta.

– No... wydaje się, że to taki romantyczny styl – powiedział brat Guido. Prychnęłam pogardliwie, bo naprawdę wiedziałam o życiu więcej niż ci dwaj, co do tego nie ma wątpliwości. – Ale to jest myśl – przyznał. – A prawdopodobieństwo tej teorii potwierdza fakt, że data jutrzejszego ślubu, dziewiętnasty lipca, to wigilia dnia świętej Małgorzaty, patronki kobiet ciężarnych. Niewykluczone jednak, że przeoczyliśmy coś bardziej oczywistego.

Z tym musiałam się zgodzić.

– Tyle gadania o Wenus, a przegapiamy główny temat, to jest tak oczywiste jak kutas u Dawida. Dla mnie jasne jest, że mężczyzna daje kobiecie różę, kiedy ma ochotę ją pieprzyć – wyrzuciłam z siebie, poirytowana. Nie przejmowałam się tym, że stary głupek będzie w szoku. Ale mnie zaskoczył.

– Ona ma rację – rzekł spokojnie. – To dar miłości. A poeta Boiardo mówił, że różę rozrzuca się na cześć radości, jaką daje miłość.

Datime a piena mano rose e zigli spargete intorno a me viole e fiori...

Di mia leticia il frutto pigli.

Flora na obrazie sypie kwiatki, w czasach rzymskich rozsypywano różę podczas świąt Flory i Hymena, na drodze zwycięzców albo pod koła ich rydwanów, strojono też nimi dzioby okrętów wojennych.

Uwaga brata Guida złapała się na hak tej przynęty.

– Na drodze zwycięzców – powtórzył. – To musi być ważne. Bo wszystko kręci się wokół wypowiedzenia wojny i setek okrętów, które widzieliśmy na własne oczy.

– Być może – zgodził się brat Nicodemus. – Ale nie wiązałbym tych róż z wojną, raczej z leczeniem. Używam ich często w mojej pracy.

– Na jakie choroby? – spytał brat Guido.

– Na wzmocnienie serca, żołądka, wątroby i na zdolność retencji; pomagają na wszystkie ropnie, powstrzymują wymioty, są dobre na kaszel, przydają się przy gruźlicy. Oczywiście tu w herbarium używam różnych gatunków róż, zwykle wydestylowanej wody różanej. Wymieniane przeze mnie właściwości nie dotyczą jedynie typu *Rosa centifolia*.

– *Rosa centifolia* – powtórzył brat Guido. – Róża o stu liściach. – Przetłumaczył dla mnie. –

Może nazwa tej róży mówi nam, że mamy szukać liczb. Kody i kryptogramy często zapisane są pod postacią liczb, może to jest odpowiedź ukryta wśród róż. Jeśli znajdziemy tę liczbę, to może znajdziemy datę albo coś takiego.

– Ale, bracie, określenia *centifolia* nie należy brać dosłownie – ostrzegł zielarz. – Te róże mogą mieć dowolną liczbę liści, która zmienia się od kwitnienia do kwitnienia.

– A ile płatków ma ta róża?

Patrzyliśmy na dwa kwiaty leżące przed nami, wydawało się, że nawet one różnią się liczbą płatków.

– Tu też każdy kwiat jest inny. Może ważna jest liczba kwiatów, które trzyma Flora? – zastanawiał się zielarz.

– I tych, które rzuca – dodał Guido.

Mogłabym przysiąc, że mówiłam coś podobnego przed dwoma godzinami, ale ugryzłam się w język, kiedy staliśmy przy stole, żeby policzyć róże w rękach Flory. Było to zadanie niemal niewykonalne, nawet kiedy brat Nicodemus po raz kolejny założył szkła.

Kłóciliśmy się zażarcie, czy liczyć całe kwiaty, czy płatki też, i czy więcej kwiatowych warstw leży na ziemi. Ale w końcu doszliśmy do liczby trzydzieści jeden. Największe wątpliwości wzbudziła róża między Florą a Wenus. Była dokładnie taka jak róża Flory, jednak z *cartone* nie dało się wywnioskować, czy wyrasta ona z gruntu, i wtedy nie można jej liczyć jako części bukietu, czy też spadła z ramion Flory, była więc jedną z „jej” róż. Nie można było dostrzec, czy łodyżka znajdowała się nad płatkami, co wskazywałoby, że kwiat spadł, czy też poniżej, a więc rośnie na ziemi.

– A czy to ma jakieś znaczenie? – spytałam.

Brat Guido podrapał się w brodę.

– Myślę, że tak. Botticelli nie robi niczego bez powodu.

Obydwoje zwróciliśmy się do zielarza, zgiętego niemal wpół nad obrazem.

Wstrzymywaliśmy oddech w nadziei, że znajdzie odpowiedź. I znalazł, ale nie taką, jakiej pragnęliśmy. Brat Nicodemus poprawił kaptur na karku.

– No to teraz mamy przeszkodę. Nie mogę tego stwierdzić, bo *cartone* jest zbyt mały, by zobaczyć szczegóły. Kod ma być czytelny na prawdziwym obrazie *Primavera*, który jest sto razy większy od tego. Poza tym chyba się nie myślę, twierdząc, że ten obrazek ma za sobą liczne przygody.

Miał rację. *Cartone* przetrwał zatonięcie okrętu, wchłonął dużo potu i zdecydowanie pamiętał lepsze dni, toteż farba między Florą a Wenus, gdzie ta feralna róża rosła lub spadła, zaczynała pękać i blaknąć.

Wydawało się, że brat Guido stracił parę cali wzrostu.

– A więc jest to beznadziejne. Obraz jest pewnie w willi Medyceuszy w Castello, gdzie strzeże go stu strażników. Musimy po prostu mieć nadzieję, że ta ostatnia róża nie jest ważna.

– Chwileczkę, przecież mówiłeś, że *Primavera* to prezent ślubny? – przypomniał sobie brat Nicodemus.

– Bo tak jest.

– No więc nie ma problemu. Obraz będzie na ślubie.

– Co?

Brat Guido i ja odezwaliśmy się równocześnie.

– Według toskańskiej tradycji prezenty czekają na szczęśliwą parę w narteksie kościoła – wyjaśnił zielarz. – Możecie być pewni, że obraz tam będzie. I już samo to sugeruje, że ta ostatnia róża jest ważna.

– A to dlaczego?

– Z tego, co mówiłeś, wynika, że na ślubie będzie cała Siódemka. A także obraz. Wszyscy mogą zobaczyć, co trzyma Flora. Myślę, że to zabezpieczenie.

Byłam zdezorientowana, co dało się wyczytać z mojej twarzy.

– To rodzaj ubezpieczenia – tłumaczył zielarz. – Umieszczasz na obrazie kod. Chcesz, żeby zobaczyły go pewne wysoko postawione osoby i nikt więcej. Więc wystawiasz malowidło w miejscu, gdzie wszystkie te osoby będą, a sam obraz zostanie doskonale wyeksponowany. Ta ostatnia róża to bezpiecznik. Załóżmy, że ktoś ukradnie *cartone*.

Zorientowałam się, do czego zmierza.

– Bo ktoś go ukradł.

– No właśnie. Botticelli dołożył szczegół, który można zobaczyć tylko na oryginale.

Ubezpieczył kod, tak jak można ubezpieczyć flotę na morzu. Jedynie ci dobrze urodzeni mogą obejrzeć obraz z bliska, o takiej pozycji, że otrzymali zaproszenie na ślub Medyceuszy. Tylko spiskowcy będą szukali zabezpieczenia i zinterpretują to, co zobaczą. Ta róża jest ważna, teraz jestem tego pewny.

– A kto lepiej zna się na ubezpieczeniach niż rodzina Medyceuszy, najbogatsza na świecie rodzina bankierów? – dodał Guido.

– Jeszcze bardziej znaczący jest fakt, że od czasów rzymskich róże kojarzono z tajemnicami. Było wtedy w zwyczaju zawieszenie róży nad stołem przy kolacji na znak, że nic, co zostanie powiedziane *sub rosa*, czyli „pod różą”, nie zostanie ujawnione.

Ta intrygująca myśl najwyraźniej sprawiła, że serce mego towarzysza zaczęło bić jak u wyżła na polowaniu. Moje serce było jednak spokojne, bo przypominaliśmy sforę psów na fałszywym tropie. Bo nawet gdybyśmy wyjaśnili, czy ta róża rośnie, czy spadła, to nadal nie wiedzieliśmy, co kryło się *sub rosa*. Nie mieliśmy nic do powiedzenia Wspaniałemu.

– Czy naprawdę mamy podejść do Wawrzyńca i oznajmić: „Sekret to trzydzieści dwie róże? Albo trzydzieści jeden, bo tego nie jesteśmy pewni”? Po prostu wspaniale.

Brat Guido się przygarbił.

– Wiem. Ale czy mamy jakiś wybór?

– Może to hasło i on od razu je zrozumie? – podsunął brat Nicodemus.

Prychnęłam pogardliwie.

– No to podsumujmy: mamy powiedzieć ojcu całej Florencji, że jego kuzyn i podopieczny spiskuje przeciwko niemu z sześcioma innymi konspiratorami, z których czterech nie znamy. Mamy hasło „trzydzieści dwie róże” albo „trzydzieści jeden”. A wszystko to wywnioskowaliśmy z obrazu, który jest prezentem ślubnym.

Niebo jaśniało, ślub się zbliżał. Nie mogłam odegnać bardzo kobiecego zmartwienia.

– Ślub za dwie godziny, a ja nie mam się w co ubrać.

Brat Guido zerwał się ze stołka.

– To prawda. Jeśli mamy uczestniczyć w ceremonii i być na audiencji u Wawrzyńca nawet z tą naszą znikomą wiedzą, musimy się teraz zająć pewnymi aspektami praktycznymi. Tobie potrzebna jest suknia, a mnie świta odpowiednia dla księcia.

– Czy signorina nie może pójść w tym, co ma na sobie? – Brat Nicodemus, milcząco podczas ostatniej wymiany zdań, ożywił się, by skruszyć moją grzeszną próżność. Popatrzyłam na wymiętą suknię z czarnego aksamitu, którą nosiłam przez trzy gorące dni w podróży, od audiencji u papieża, i przeniosłam wzrok na zielarza, mroząc go spojrzeniem. Jako towarzyszka księcia Pizy nie mogłam pokazać się w sukni z plamami, sztywnej od potu, na ślubie roku. Toskański protokół nie zezwala zresztą na noszenie czerni na ślubie. Poza tym w ciężkim aksamicie można się było udusić – był dobry w zatęchłym herbarium o północy, ale w środku florenckiego dnia wyzionę ducha. Nie śmiałam powiedzieć tego wszystkiego głośno, ale przynajmniej brat Guido wystarczająco znał świat, żeby wiedzieć, że to niemożliwe.

– Mnie też potrzebne jest inne ubranie, jednak świta wydaje się większym problemem.

W tym momencie znowu odezwał się zielarz:

– To żaden problem, bracie. Wszak widzę przed sobą mnicha w cywilnych szmatkach, więc inni mnisi też mogą się tak ubrać. Mam czterech nowicjuszy, jeszcze bez tonsur, można ich obudzić i ubrać jako twoją świtę.

– W co? – Nie mogłam opanować ciekawości.

– Od czasu do czasu otrzymujemy cenne szaty jako dziesięcinę lub donację, a nawet zapisy po zmarłych. Każę tu przynieść kufer, bo może w nim być też coś dla ciebie, signorina.

Miał dobre intencje, ale nie bardzo wyobrażałam sobie, jak pójdę na ślub Medyceuszy w zatęchłych starych ciuchach dobrych do klasztornych kufrów, a zostawionych przez nieżyjących

dłużników.

Nie mogłam się bardziej pomylić, ale też nie byłam przygotowana na skarby, które ujrzałam. Wkrótce do herbarium wkroczyło czterech zaspanych nowicjuszy, pochylonych pod ciężarem intarsjowanej orzechowej skrzyni. Kiedy dwaj starsi zakonnicy witali i instruowali młodzików, podniosłam wieko. Nie zważałam na ich plany, zanurzyłam ręce w najdelikatniejszych jedwabiach, srebrnej materii cieniutkiej jak pajęczyna, zwijałam w dłoniach złoty tiul, głaskałam bele brokatu. Męskie ubiory stanowiły większość, leżały tam jednak również trzy damskie suknie, złożone i przyczajone w oczekiwaniu jak zrzucona skóra węża. Podczas gdy panowie dobierali stroje – czterech nowicjuszy zielarza było bardzo podnieconych perspektywą uczestniczenia w ślubie poza murami klasztoru – wzięłam trzy suknie i weszłam za parawan stojący przy kominku. Wyłoniłam się po chwili w soczystozielonej sukni przetykanej złotem. Nie miałam lustra, wiedziałam jednak, że podobna jestem do samej wiosny, i to przypomniało mi, że w tym stroju czegoś brakuje. Zrolowałam *cartone* i wetknęłam za stanik. Teraz mój strój był kompletny. Odwróciłam się twarzą do pozostałych. Czułam chłód jedwabiu na ciele, mimo że stałam blisko ognia, jednak spojrzenia nowicjuszy i Guida, choć on starał się ukryć swój podziw, rozgrzały mi skórę.

Zielarz obszedł mnie naokoło.

– Czy ona nie powinna iść w przebraniu? – mówił, zupełnie jakbym nie mogła go usłyszeć.
– Bo jeśli znajdzie się tam obraz, dla wszystkich będzie jasne, że Flora jest obecna we własnej osobie. Chyba że będzie miała schowane włosy.

Brat Guido popatrzył na mnie.

– Będą tam osoby, które znają ją jako moją towarzyszkę i rozpoznają ją na obrazie – rozważał – ale dla szerszej publiczności... lepiej by było, gdyby jej obecność nie zwracała zbytnej uwagi.

Zastanawiałam się przez chwilę. Próżność kazała mi nosić włosy opadające złotą kaskadą na ramiona, ale kiedy zbliżała się pora ślubu, coraz bardziej ściszało mnie w żołądku, a moje zdenerwowanie kazało mi się ukryć możliwie najlepiej.

Wskazałam kawałek złotogłowiu.

– Owinę włosy na modłę turecką. Teraz to modne. – Przyszło mi wtedy do głowy, jak płocha jest bogini moda. Z opowieści zielarza wynikało, że przed sześcioma miesiącami wszyscy baliśmy się dzikich Turków, a teraz damy we Florencji paradują w nakryciach głowy niewiernych.

Owinęłam materiał dokoła głowy, aż włosy zniknęły. Czułam się dziwnie naga bez loków okalających twarz. Pokazałam się Guidowi, chcąc usłyszeć jego zdanie. Po jego minie zorientowałam się, że jest nie tylko pełen podziwu, ale też bardzo zaintrygowany.

– No i? – zapytałam.

– Zadziwiająco – westchnął. – Wyglądasz nie mniej urodziwie, ale bez włosów jesteś zupełnie inną osobą. Nikt spośród gości nie rozpozna w tobie Flory, jedynie król Ferdynand, królowa i...

Urwał nagle.

– I?

– Nic takiego – wykrztusił. Nim zdążyłam zapytać, co ukrywa, odwrócił się gwałtownie do braciszka zielarza. – Jeszcze jedno, bracie. Czy słyszałeś o człowieku z Florencji, który nosi szaty trędowatego?

– Niestety, znam bardzo wielu takich.

– On różni się od zwykłych nieczystych. Jest bardzo wysoki, prawą rękę ma niesprawną, a wzrok dziwnie srebrzysty.

Nawet słysząc opis wyglądu tego człowieka, poczułam dreszcz.

I nie byłam w tym osamotniona. Brat Nicodemus wyraźnie poruszony zapytał:

– Widziałeś go?

– Już trzykrotnie. Znasz go?

– Niezbyt dobrze. Spotkałem go tylko raz, przed wieloma laty, kiedy przyszedł do mnie po pomoc, bo znane są moje talenty zielarza i uzdrowiciela. – Nie brzmiało to jak przechwałki. – Musiałem odesłać go z kwitkiem, bo u niego choroba była zbyt zaawansowana, by dało się pomóc. Od tamtej pory go nie widziałem. Myślałem, że stał się legendą, osobą, którą straszy się dzieci. Nazywa się Cyriax Melanchthon.

Co za odpychające nazwisko.

– Kim on jest?

– Jest dzieckiem florenckiej matki i flamandzkiego ojca. W młodości wstąpił do klasztoru dominikanów i wiódł żywot ascety. Przez kilka lat był związany ze Świętym Oficjum.

Brat Guido głośno przełknął ślinę.

– Co to za jedni? – zapytałam.

– Inkwizycja – odparł zwięźle zielarz. Nawet ja słyszałam o inkwizycji, o torturach i paleniu niewiernych.

– Został spowiednikiem rodziny Medyceuszy...

– A teraz pracuje dla Lorenza di Pierfrancesca! – dokończyłam. Brat Guido uciszył mnie spojrzeniem, bo zielarz kontynuował opowieść.

– Pojechał kiedyś w ich sprawach do Ziemi Świętej, wraz z delegacją florencką, po zawarciu pokoju w Konstantynopolu. To wtedy zaraził się trędem i zaczął gnić. Mówiło się, że w kościele Grobu Pańskiego w Jerozolimie zrzucił habit dominikanina i przeklął Boga. Widok jego nadgniętego ciała, obnażonego i psującego się, był tak straszny, że ponoć niebo zasnuły ciemne

chmury. Spalił swój habit na grobie, przywdział szaty trędowatego i od tamtej pory stał się narzędziem szatana.

– Ale Medyceusze nadal korzystają z jego usług? – spytał z niedowierzaniem brat Guido. Nawet człowiek, który przestał kochać Kościół, musiał doznać szoku na wieść o przeklinaniu Boga w najświętszej świątyni chrześcijaństwa.

– Nie oficjalnie – odparł zielarz. – Pewne jest, że wrócił do Florencji, bo właśnie wtedy go widziałem i odesłałem z niczym. Nie słyszałem o nim przez wiele lat i myślałem, że nie żyje, że choroba go pokonała. Ale widywano go we Florencji, jak już powiedziałem, i dopuszczał się czynów, którymi można straszyć dzieci. Chodzą także pogłoski, że jest najskuteczniejszym zabójcą na świecie. Nie może mówić, bo trąd zżarł mu kość szczękową. Spojrzenie na jego twarz, na pół twarzy, oznacza spojrzenie w oczy śmierci, bo jeśli zdejmie maskę, jego ofiary umierają ze strachu albo on sam podrzyna im gardła jak świniom.

Enna. Bembo. Brat Remigio.

– Jak może być najlepszy, skoro jest tak naznaczony? – spytałam, bojąc się odpowiedzi.

Zielarz zwrócił na mnie spokojne oczy.

– Bo już jest martwy, moje dziecko.

Krew mi zastygła. To znaczy, że w Rzymie słusznie wzięłam Trędowatego za zjawę.

– Czy on jest duchem?

– Niezupełnie. Chodzi mi o to, że prędzej czy później umrze, nie ma dla niego ratunku.

Toteż już się nie przejmuje, bo jest przekonany, że Bóg się od niego odwrócił. Wykonuje więc swoje zlecenia szybko i sprawnie. Jest zabójcą idealnym, milczy, bo nie może mówić, i nigdy nie zdradzi tego, kto go wynajął. Dostanie się wszędzie i nikt go nie zatrzyma ani nie zaczepi z powodu jego choroby i szat trędowatego. Bo kto rzuci wyzwanie jednemu z nieczystych? Kto złapie go za rękaw czy obejmie ramieniem, żeby go zatrzymać?

Mdliło mnie z przerażenia.

– No to jesteśmy straceni.

– Niekoniecznie. Myślę, że jesteście bezpieczni, przynajmniej na razie.

– Skąd takie przekonanie?

Odpowiedź była krótka:

– Bo gdyby Cyriax Melanchthon chciał was zabić, już byście nie żyli.

To słowo odbijało się echem od ścian.

– To czego od nas chce? – włączył się do rozmowy Guido.

– Wydaje się, że was śledzi. Nie umiem powiedzieć dlaczego. Należy jednak mieć nadzieję, że fałszywe nazwisko cię chroni. Kto wie, co się wydarzy, kiedy twoja tożsamość zostanie ujawniona.

Aby uczcić tę radosną myśl, znowu odezwały się dzwony kaplicy Pazzich, wzywając nas na ślub ich dawnego wroga. A teraz do ich głosu dołączył się nowy: dzwon kościoła San Lorenzo, rodzinnego kościoła Medyceuszy w odległej dzielnicy Santa Maria Novella. Dwaj rywale znaleźli pokój w harmonii interwałów. Czas płynął, nie pozostawało nam już nic innego, jak tylko uścisnąć w podzięce rękę Nicodemusa z Padwy.

– Synu, wracaj szybko do nas, do domu – powiedział starzec, który odprowadził nas do bramy i mrugając w świetle słońca, stał u wejścia do swojego królestwa.

Brat Guido pokręcił głową.

– To już nie jest mój dom. Nigdy tu nie wrócę. – W jego słowach brzmiało zdecydowanie, ale i wielki smutek. Usta mi zadrżały w przyływie współczucia. Błyszczące oczy zielarza szukały wzroku młodszego mężczyzny.

– Kiedyś wrócisz – powiedział i ujął dłoń brata Guida. Nie spodziewałam się, że następnie odwróci się i ujmie moją.

A tak właśnie zrobił.

ROZDZIAŁ 3

Florencja była światem barw.

Po czerni i bieli neapolitańskiego dworu oszołomiło mnie moje kolorowe miasto. Szliśmy ulicami tak uroczyście, jak tylko pozwalała na to nasza zaimprovizowana świta. Wszędzie dostrzegałam odcienie, jakich brakowało mi w czarno-białym świecie, który niedawno opuściłam. Obok nas szło czterech nowicjuszy w różowo-bursztynowych liberjach. Nie mieliśmy pizańskich proporczyków, więc brat Guido kazał im założyć pomarańczowo-czerwony szal w barwach partii Kogutów della Torre. Przeszliśmy obok rzucającej gigantyczny cień Duomo. Nawet ta święta budowla wyglądała dzisiaj jak pałac o kolorowych murach, bo jasne słońce wyodrębniało trojaki barwy marmuru, zielone, czerwone i złote. W moich oczach wirowały kolory, uszy wypełniał huk dzwonów. Kątem oka na stopniach baptysterium zobaczyłam trzy nędzne dziwki, ziewały i przeciągały się w słońcu, rozkładając nogi na widok przechodzących szlachciców. Uniosłam lekko brodę, czując, jak bardzo się teraz od nich różnię. Dziś czułam się tak szlachetnie urodzona, jak to udawałam.

Jednak kiedy skręciliśmy w Mercato Lorenzini i dostrzegłam surowy ciemny fronton kościoła Medyceuszy, odwaga mnie opuściła, kiszki zmieniły się w wodę i bałam się, że wypadną z mojego brzucha jak flaki Francesca Pazziego, kiedy dyndał na sznurze.

Zaschło mi w ustach, kiedy wyszliśmy na plac, osaczeni przez kolory i chaos. Naprawdę miałam wrażenie, że postradałam zmysły. Płatki spadające z nieba, kiedy rozbawieni mieszkańcy zrzucali je z okien na wyższych piętrach, tworzyły wielobarwne chmury. To naprawdę było miasto kwiatów, i wczoraj wieczorem, i w dzień. Nawet kościół San Lorenzo, surowy brązowy skarbiec, wyglądał niezwykle, a wejście zdobiły girlandy i bukiety kwiatów. Portal wchłaniał potok gości, szlachetnie urodzonych i dygnitarzy, kolorowych w strojach weselnych jak afrykańskie papugi i skrzeczących tak jak one. Czułam, że opuściłam zwyczajny świat i wkraczam w krainę baśni. Nabrałam takiej pewności na widok żyrafy Medyceuszy – to samo stworzenie, które widziałam kiedyś wędrujące w błękitnym zmierzchu po wzgórzach Fiesole – wkraczającej teraz na plac. Na szyi miała kwiaty, długim czarnym ozorem próbowała chwycić gałązki wawrzynu zwisające ze wszystkich okien.

Po ciemnej i spokojnej nocy w starych murach Santa Croce czułam się przytłoczona, i gdyby Guido nie wziął mnie pod rękę, pewnie bym się przewróciła. Spojrzał na mnie, nie uśmiechnął się i skinął głową. Poczulałam się trochę silniejsza, ale już pochłonęły nas ciemne drzwi i znaleźliśmy się w kościele.

W chłodnym wnętrzu poczułam się lepiej, kolory nie były tu tak jaskrawe, a głosy szlachetnie urodzonych przytłumione. Skierowano nas do ozdobionych girlandami ławek za królewskim domem Neapolu. Chętnie ukryliśmy się za plecami króla i królowej w jasnych – niebieskich i żółtych – szatach, tak różnych od ich czerni. Miałam nadzieję, że przeciętny obserwator zatrzyma wzrok na nich i nie posunie się dalej. Turban zaczął mi dokuczać.

Przez chwilę bezpieczna, usadowiona w ławce, mogłam się swobodnie rozglądać, podczas gdy bębny i tamburyny witały przychodzących gości hymnem weselnym. Przyglądałam się każdej wyniosłej postaci, każdej szlachetnej twarzy w poszukiwaniu pozostałych członków Siódemki. Był tu król Ferdynand i sam judaszowy papież w cynobrowo-czerwonej szacie. A gdzie reszta, ten kwartet nieznanych spiskowców? Czy czekali gdzieś w pobliżu na instrukcje? Trzy rzeczy domagały się mojej uwagi bardziej niż wszystkie otaczające mnie cuda.

Prima cosa: Po przeciwnej stronie nawy siedziała dziwna istota, tak egzotyczna, że przyciągała wzrok nawet w tym towarzystwie. Ubrana była w złotozieloną szatę, podobnie jak ja, ale jej twarz zakrywała złota maska. Wykonana była po mistrzowsku – przedstawiała pysk lwicy ozdobiony małymi perłami i złotymi zakrętami, a od brody do nasady szyi zwisała filigranowa woalka z najdelikatniejszej złotej siateczki. Zaintrygowała mnie ta dziwna dama, wyglądająca, jakby przybyła ze wschodnich krain. Siedziała w milczeniu obok starszego pana w biało-szkarłatnej szacie i w białym aksamitnym nakryciu głowy w kształcie penisa. Mimo iż był tak dziwacznie ubrany, nie przyglądałam mu się długo, bo wzrok mój przyciągała dama. Gapiłam się na lwią maskę, niemal zapominając, że za nią kryje się osoba, póki nie zobaczyłam, że patrzą na mnie oczy równie zielone jak moje. Odwróciłam głowę, oblałam się rumieńcem i wtedy uświadomiłam sobie, że to dogaessa.

Nażłonica doży, kobieta tak piękna, że nie zdejmuje maski.

A więc mężczyzna w penisowym kapeluszu, któremu towarzyszy, to musi być wenecki doża.

A jeśli tak, to ona jest matką dziewczyny przeznaczoną dla Niccolo della Torre, kuzyna brata Guida.

Madonna!

Moje myśli niedługo biegły tym torem, bo zauważyłam:

Seconda cosa: Postać znacznie wyższą niż wszystkie inne, siedzącą na rzeźbionym krześle po lewej stronie schodów prowadzących do prezbiterium. Znałam tego mężczyznę, tak jak znali go wszyscy we Florencji. Co prawda nigdy się nie spotkaliśmy, ale tysiące razy widywałam jego podobiznę, szlachetny nos, ciemne kręcone włosy, wydłużony owal twarzy. Jednak nigdy dotychczas nie widziałam go na własne oczy. Wiedziałam, że to ojciec naszego miasta, bankier baronów, polityk niemający sobie równych. Mężczyzna, którego nazywano

Wspaniałym, Wawrzyniec Medyceusz.

Nigdy nie widziałam człowieka tak pełnego wigoru, do którego w sposób tak naturalny pasowałaby władza. Był ubrany skromnie w fioletowy aksamit, kolor dojrzałych winogron, odcień, który według prawa mogli nosić jedynie mężczyźni z rodu Medyceuszy i kobiety z rodziny Tornabuoni. Na głowie miał beret w odpowiednim kolorze, opadający na lewą stronę twarzy. Na palcach nie nosił pierścieni, jedyną ozdobę stanowił ciężki łańcuch na szyi, świadczący o sprawowanym urzędzie. W ciągu ostatniego szalonego miesiąca przebywałam w towarzystwie książąt i papieży, co było dość nieoczekiwane dla osoby tak nędznej jak ja. Mężczyzna, którego miałam przed oczyma, nie miał stroju tak drogiego jak strój króla, a jednak to on był kimś, z kim należało się liczyć, przyczajonym tygrysem. Od razu zrozumiałam bezsensowność naszego planu. Nie wyglądał na człowieka, który kiedykolwiek zostanie pokonany czy znajdzie się w niebezpieczeństwie. Nie był to człowiek, do którego mogą przyjść mnich i dziwka i pleść o zagadkach i spiskach. Wyglądał jak król świata. Ale kiedy odwróciłam się, by szepnąć Guidowi, że powinniśmy zniknąć i pozwolić wielkiemu człowiekowi troszczyć się o swoje sprawy, nagle zobaczyłam:

Terza cosa: Otoczony girlandami kwiatów i zielonych wstążek, stojący na wielkich dębowych sztalugach obraz *Primavera*.

Skończony.

Madonna!

Był cudowny.

Postacie były tak kolorowe i pełne życia, iż wydawały się bardziej żywe od wszystkich obecnych. Niemal nadnaturalnej wielkości bogowie i boginie, którzy zeszli na ziemię. Fiammetta jako Neapol, witająca nas Wenus, Botticelli w przebraniu Merkurego i najdziwniejsza ze wszystkich – Flora.

Ja.

Byłam tak przyzwyczajona do oglądania *cartone*, tak przywykłam do postaci bez twarzy, że zapomniałam, jak dokładnie uchwycił Botticelli podobieństwo. Moja twarz była piękna, ale inteligentna, wargi rozchylone, w zielonych oczach kryła się wiedza. Dokładnie tak wyglądałam, kiedy chciałam coś ukryć albo kiedy przekomarzałam się z klientami, gdy powierzyli mi jakiś sekret. Mądra dziewczyna pracująca wie, kiedy trzymać gębę na kłódkę, a ja wiedziałam to lepiej od innych.

Flora z *Primavery* miała jakąś tajemnicę.

Mogłam nie wiedzieć, co oznaczały róże, ale w tym momencie zrozumiałam, że myliłam się co do Wawrzyńca Medyceusza. Groziło mu niebezpieczeństwo. Coś się tutaj kryło. Od razu sobie przypomniałam, po co tu przyszliśmy, co powiedział Nicodemus z Padwy o jednym z kwiatów,

o pojedynczej róży, którą musimy obejrzeć. I to tutaj, na oryginalnym obrazie, żeby się przekonać, czy spadła, czy rośnie, czy ma być zaliczona do sekretnej bukietu Flory, czy uznana za jeden z niewinnych kwiatów zdobiących murawę. Sekret krył się *sub rosa*. To był klucz do wszystkiego, kamień milowy, sposób przekonania się, że tylko obecni na weselu, tylko siódemka spiskowców, która obejrzy obraz z bliska, zrozumie jego znaczenie.

Denerwujące było to, że siedząc w ławce, widziałam jedynie pęki róż w fałdach spódnicy Flory, a nie pojedynczą różę, która rosła lub leżała pomiędzy nią a Wenus. Nie ośmieliłam się wstać, żeby nikt nie zauważył, że pozowałam do obrazu. I tak już król i królowa odwracali się z uśmiechem i kiwali głowami, chwając podobieństwo.

Odpowiadałam uśmiechem, kręciłam głową i wyciągałam szyję, wierząc się na ławce, jakbym miała wszy, ale nic to nie dało. Najważniejszy kwiat był niewidoczny za morzem podskakujących głów.

Guido odwrócił się, żeby mnie skarcić.

– Siedz spokojnie – syknął. – Dama siedzi nieruchoma jak posąg. Czy masz wysypkę?

Chętnie zasztyletowałam go wzrokiem.

– Nie, tylko próbuję dostrzec różę Flory. Widzisz ją ze swojego miejsca?

Pokręcił głową.

– Obejrzymy ją z bliska, kiedy będziemy wychodzili. Do tego czasu siedz ze spuszczoną głową.

– Widziałeś Il Magnifico?

Tym razem skinął głową.

– Tak. Z naszego punktu widzenia siedzi w doskonałym miejscu, na końcu ceremonii wszyscy goście przedefilują przed nim i zostaną mu przedstawieni. Widzisz? Jego przybocznicy trzymają koszyki z gałązkami wawrzynu, który na pożegnanie Wawrzyniec rozda gościom na znak pokoju.

Zobaczyłam dwóch służących w liberjach z koszykami. Znowu przypomniałam sobie żyrafę radośnie przeżuającą na placu liście wawrzynu. Rodzinna faworytka zjadająca emblemat rodziny. Prychnęłam. Ładny mi pokój. Medyceusze sami się pozjadają, bo rodzina spiskuje przeciwko własnej głowie.

– Popatrz, Luciano. – Guido zapomniał na chwilę o pozorach. Popatrzyłam w ślad za jego palcem wskazującym. Nie zobaczyłam jednak niczego poza zadziwiająco brzydkim mężczyzną w brązowszarej szacie, który pisał coś na tabliczce. Jedyнным jasnym punktem jego ubioru był wianek z róż na głowie, co sprawiało, że wyglądał trochę śmiesznie. Dwaj młodzieńcy, stojący u jego boków, odwrócili się i rozmawiali ze znajomymi w ławce z tyłu. Guido patrzył na mężczyznę z taką czcią, jakby tamten był papieżem.

– Kto to jest? – spytałam szeptem.

– To Angelo Poliziano. Nadworny poeta Medyceuszy. Pamiętasz, to on napisał *Stanze*, na których oparta jest *Primavera*, a także wiersze o róży, których słuchaliśmy tej nocy.

– A tak. Bardzo ładne. – Teraz popatrzyłam na tego człowieka z szacunkiem, cieszyłam się, że brat Guido nie porzucił wszystkich swoich idoli. Najwyraźniej widok człowieka, którego wiersze tak często przepisywał w skryptorium Santa Croce, był powodem do radości.

Przyjemność, jaką czerpałam z jego radości, zniknęła w momencie, gdy jeden z towarzyszy poety odwrócił się w naszą stronę. Oczywiście widziałam go już wcześniej tego dnia, ale był dwuwymiarowy, niegroźny, przedstawiony na obrazie *Primavera* w stroju Merkurego. A teraz miałam przed sobą człowieka z krwi i kości.

Sandro Botticelli.

Pech chciał, że napotkał moje przerażone spojrzenie i mnie rozpoznał.

Zdarzyły się trzy rzeczy naraz.

Prima cosa: Botticelli wstał, to samo zrobili wszyscy zebrani.

Seconda cosa: Krzyknął, ale jego głos zagłuszyła fanfara.

Terza cosa: Wkroczyli państwo młodzi.

Weszli jak czarne cienie na tle jasności dnia, po czym zmienili się w stworzenia z bajki, które żyły i poruszały się na naszych oczach. Szli naważ ramię w ramię, zgodnie z tokańską tradycją.

Panna młoda była, jak to przewidział w Rzymie Guido, dokładnie taka jak Wenus. Nawet ubrała się tak jak na obrazie, łącznie z najdrobniejszymi szczegółami: jasna jedwabna suknia z wyhaftowanymi płomieniami, które mogły podpalić jej śnieżnobiały dekolt, czerwono-niebieski płaszcz obszyty na dole paciorkami, złote filigranowe sandaalki na maleńkich stópkach, welon na rudych włosach leciutki jak mgła w wiosenny poranek. Na piersi błyszczał bursztynowożłoty krążek medalu Sol Invictus. Przyglądałam się jej twarzy, delikatnej i białej jak płatki magnolii, z cieniem rumieńca na policzkach, oczom szklanym i spokojnym. Czułam sympatię do tej spokojnej panny i równocześnie było mi jej żal, bo była tylko pionkiem w tej grze. Patrzyłam na zarys jej brzucha, nie potrafiłam jednak powiedzieć, czy już zakosztowała słodczy łoża. Musiałam przyznać rację mojemu Guidowi: fason sukni mógł ukryć każdy grzech. Ale widząc ją, pomyślałam, że jest czysta, miała postawę i ruchy panienki. Na ogół jestem obojętna na wdzięki mojej płci, musiałam jednak przyznać, że panna młoda odznaczała się uderzającą urodą, równie odległą od mojej ziemskiej urody, jak Księżyc odległy jest od Ziemi. Zasługiwała na rolę Wenus, królowej miłości, a podobieństwo do bliźniaczki na obrazie

Primavera było niezwykle, kiedy odwróciła głowę na końcu nawy i uniosła rękę w geście powitania, identycznie jak na obrazie.

Pan młody natomiast był szakalem. Interesowali go wszyscy prócz jego damy, kiedy tak szedł przez nawę, śmiejąc się, gadając i witając po drodze przyjaciół, nie zważając na pozory. Miał wyjątkowo białe zęby, zielone oczy wędrowały po całym wnętrzu kościoła. Był bardzo podobny do swego władczego kuzyna i opiekuna, nie miał jednak cienia autorytetu i siły płynącej z nazwiska. Uznałam, że nie zasługuje na takie dziedzictwo, jakim jest moje miasto. Kiedy mnie mijął, poczułam powiew męskiego pizma; on nie zachował czystości na noc poślubną. Bóg świadkiem, że zasady moralne są mi obce, ale tym razem nie miałam wątpliwości. To zdradziecki spiskowiec i trzeba mu przeszkodzić.

Młoda para odwróciła się od nas, a ksiądz we wspaniałym ornacie podszedł do środka schodów do prezbiterium, by ją powitać, i rozpoczął mszę. Nie znając łaciny, mimo klasztornej edukacji, usnęłabym, gdyby nie poczucie, że Botticelli wpatruje się w mój kark, obnażony przed jego wzrokiem, niezasłonięty włosami. Wiedziałam teraz, że po uroczystości mamy bardzo niewiele czasu, by dotrzeć do Il Magnifico, zanim Botticelli dotrze do mnie. Nawet nie miałam odwagi pomyśleć, co mi powie. Resztę uroczystości spędziłam rozdarta między strachem, że zaraz się zakończy, i niecierpliwym pragnieniem, by zakończyła się jak najprędzej. Nie modliłam się, bo nigdy tego nie robiłam, zauważyłam jednak, że pełne wargi brata Guida pozostawały zaciśnięte przez całe nabożeństwo. Nie odmówił żadnej modlitwy ani nie odśpiewał psalmu.

Wreszcie ksiądz przystąpił do wiązania stułą rąk młodej pary, zgodnie z florencką tradycją. Kiedy zielona wstęga owinęła jedną śniadą rękę i jedną białą, wyciągnęłam szyję, żeby zobaczyć lewy kciuk pana młodego, i wiedziałam, że Guido robi to samo. Przez długi czas nie widzieliśmy nic, bo zasłaniała nam wstęga, ale w końcu zobaczyliśmy rękę.

Bez pierścienia.

Nie ulegało wątpliwości, że kciuk pana młodego spoczywał na palcu panny młodej nagi jak niemowlę.

Wymieniliśmy spojrzenia, a moje serce waliło jak szalone. Co to mogło oznaczać?

– Może jako przywódca nie musi nosić pierścienia? – zapytałam z nadzieją.

– Poza tym, że jest na nim symbol Medyceuszy. Może go zdjął, żeby nie przeszkadzał podczas wiązania stułą?

Ale ani jego teoria, ani moja nie brzmiały wiarygodnie. Cholera. Czy mogliśmy się mylić?

Nie było czasu na rozmyślanie, bo ceremonia dobiegała końca. Młoda para wracała przez nawę i mogłam zobaczyć, tym razem z bliska, że na kciuku pana młodego zdecydowanie nie ma pierścienia. Był taki tłok, że nie mieliśmy możliwości dokładnego obejrzenia obrazu i rozszyfrowania sekretu róży.

– Co robimy? – syknęłam, kiedy jedwabno-satynowa fala pchała nas do miejsca, gdzie Wawrzyniec Wspaniały siedział w całym majestacie na rzeźbionym krześle. Słudzy podawali mu

laurowe gałązki, które wręczał każdemu z wychodzących gości. Mówił niewiele, uśmiechał się i kłaniał z prawdziwą godnością.

– Odwołajmy się do niego – powiedziałam, dostrzegłszy nagle dobroć na jego twarzy. – Zdajmy się na jego miłosierdzie, poprośmy o ochronę. Nie mamy wyboru. – Przez gęsty tłum w nawie widziałam, jak Botticelli przepycha się w naszą stronę.

Nadeszła nasza kolej.

Brat Guido podał swój fałszywy tytuł najbliższemu stojącemu słudze. Czułam intensywny zapach wawrzynu, silna ręka Wawrzyńca Medyceusza znajdowała się przy ustach brata Guida, przyjmując powitalny pocałunek.

Zbyt późno dostrzegłam błysk złota.

Wawrzyniec Wspaniały miał na kciuku pierścień.

W tym samym momencie, kiedy usta brata Guida dotknęły ręki z pierścieniem, a w jego błękitnych oczach błysnęło zrozumienie, od ściany za Wawrzyńcem oderwał się czarny cień, pochylił zakapturzoną głowę w stronę władcy, wyciągnął nadgniłą rękę spod szaty nieczystego i wskazał na mnie.

Z mojego odrętwiałego mózgu wyskoczyły trzy spanikowane myśli, na podobieństwo litanii, którą przed chwilą słyszeliśmy.

Prima convinzione: Wawrzyniec Wspaniały jest jednym z Siódemki. On, nie jego podopieczny, dzisiejszy pan młody.

Seconda convinzione: Nie jest w niebezpieczeństwie, bo sam stanowi jego źródło.

I najbardziej przerażająca ze wszystkich:

Terza convinzione: Cyriax Melanchthon pracuje dla niego.

Odwróciłam się, by uciszyć sługę, zanim nas zaanonsuje, ale było za późno, już zaintonował głośno po tokańsku: Niccolo della Torre z miasta Piza.

Spod drzwi odezwał się ktoś, równie głośno, jakby udzielał odpowiedzi w katechizmie:

– Nikt oprócz mnie nie ma prawa używać tego imienia. – Akcent pizański. Wszyscy jak jeden mąż odwrócili się do drzwi.

Podobnie jak niedawno szczęśliwa para, postać w drzwiach rysowała się czarno na tle nieba. Jednak wszędzie poznałabym tę firecykowaną postawę, chociaż widziałam go tylko raz. Trudno też było pomylić jego świtę, ubraną w barwy Pizy i wymachującą żółto-pomarańczowymi chorągiewkami ugrupowania Kogutów.

To był Niccolo della Torre.

Wielokrotnie zadawałam sobie pytanie, dlaczego bratu Guidowi ani mnie nie przyszło do głowy, że prawdziwy Niccolo della Torre mógł zjawić się na ślubie Medyceuszy. Czy po prostu zniknął dla nas z powierzchni ziemi, w chwili gdy Guido przybrał jego imię? Czy może byliśmy tak

pochłonięci zagadką *Primavery*, że zapomnieliśmy o jego istnieniu, o tym, że został zaproszony? A może zakładaliśmy, że ktoś, kto nie przyszedł na ucztę do ojca, choć mieszkał w tym samym mieście, nie będzie jechał do Toskanii na ślub, choćby nie wiem jak ważny?

Spojrzałam w niespokojne oczy Guida i wiedziałam, że to nasz koniec. Wszyscy patrzyli na nas, a my staliśmy w milczeniu, świadomi przegranej.

Tłum rozstał się jak przed Mojżeszem, żeby przepuścić Niccolo. Chociaż był ubrany z przepychem w złotogłów, nie zdołał ukryć nijakiej twarzy i małostkowych oczu. Z jego głosu płynęło zło, kiedy wymawiał te przerażające słowa:

– To jest mój kuzyn, nowicjusz od franciszkanów, Guido della Torre.

Zignorował okrzyki zdumienia i zaczął mówić głośnie. Musiałam spuścić oczy na widok wściekłych spojrzeń, jakimi obrzucał nas król.

– A to jego rozpustnica. Choć znacie ją jako boginię Florę – jego głos ociekał ironią – nie jest żadnym bóstwem, bo to zwykła dziwka.

Zanim zdążyłam mu przeszkodzić, szarpnął turban zakrywający moje włosy. Obróciłam się jak bączek, kiedy materiał się rozwijał, a moje jasne loki opadły na ramiona i sięgnęły talii. Światło słońca wpadające przez drzwi chwyciło zachłannie złotawe nici, przeistaczając pukle moich włosów w czyste złoto. Zwrócone ku mnie twarze jakby wirowały wokół mnie w oszalamiających kręgach. Moja namalowana bliźniaczka patrzyła z wiosennej scenerii, uśmiechając się szelmowskim uśmiechem, nie oferując żadnej pomocy, wyraźnie ciesząc się moją hańbą. Nie wiedziałam, co się teraz wydarzy, ale na pewno nie mogłam spodziewać się tego, co się stało.

Dogaressa wstała i powiedziała głośno:

– To nie jest dziwka, księżę. To moja córka i pańska narzeczona. – Po czym zdjęła maskę.

Nie pamiętam zbyt dobrze, co wydarzyło się potem, tak byłam oszołomiona. Mogę tylko odesłać was do tego, co później opowiedział mi mąż, bo tak, był tamtego dnia w kościele. Powiedział, że kiedy dogaressa zdjęła maskę, ukazałam się jakby w potrójnym wcieleniu. Ja, Flora i ona. Matka i córka, mówił, były tak podobne, jakby postawiono między nimi weneckie lustro. Miałyśmy takie same zielone oczy i złote włosy, a nawet suknie w tym samym odcieniu zieleni. Jednak kiedy zbliżała się do mnie, a ja traciłam przytomność, zobaczyłam na jej twarzy uśmiech Flory. Ta sytuacja najwyraźniej ją rozbawiła.

Kiedy padałam na ziemię, wiedziałam trzy rzeczy:

Prima cosa: Brata Guida powaliło dwóch ludzi Medyceuszy z pikami; nie było dla niego ucieczki.

Seconda cosa: Tłum się rozstał, żeby dogaressa mogła do mnie podejść. Zerknęłam dzięki temu na *Primaverę*, na ostatnią różę Flory. Miała zieloną łądkę i błyszczący liść i spadała na ziemię. Upadłam wraz z nią. A upadając, pomyślałam:

Terza cosa: Znalazłam moją Vera Madre.

VI

Wenecja, sierpień 1482

ROZDZIAŁ 1

Woda, światło.

Znowu byłam niemowlęciem kołysanym w łonie *Vera Madre*. Byłam dzieckiem kołysanym w jej ramionach. Byłam kobietą kołyszącą się w łodzi. Woda pode mną. Światło nade mną. Otworzyłam oczy i świat zawirował wokół mnie jak bączek. Światło pode mną, woda nade mną. Siedziałam oparta o aksamitne poduszki w połączanej łodzi. Dziób łodzi był rzeźbiony i ścięty jak siekiera kata. Sługa z tyłu odpychał się tyczką, bo woda sięgała ledwie do talii. Nie było niezliczonych sążni do dna, jedynie płytki rów. Miałam przekonać się o tym, że tutaj nie wszystko było takie, na jakie wyglądało.

Niebo było jednostajnie srebrne, słońce jak biała księżycowa kula wisiało nisko i próbowało bez powodzenia przepalić szary arras chmur. Otaczało mnie miasto ze szkła. Po obu stronach kanału wielkie, rozpadające się srebrne pałace wznosiły się bezpośrednio z wody. Setki, tysiące wąskich okien wypełniały szyby, które patrzyły na mnie jak oczy. Domy rozplływały się w lagunie, a to lustrzane odbicie przełamował ślad naszej łodzi, połyskliwy niczym srebro. Nie wiedziałam, co jest rzeczywistością, a co nią nie jest. Nie było horyzontu tam, gdzie woda spotykała się z niebem, a delikatna biała mgiełka wirowała wokół nas, by jeszcze bardziej otumanić moje zmysły. Po gorącym słońcu Toskanii była to ogromna zmiana. Znalazłam się w krainie luster, na wyspie dymu i zwierciadeł.

W Wenecji.

A władczyni tej wodnej krainy siedziała naprzeciwko mnie. Twarz w masce zwróciła w stronę dziobu, wyglądała jak galion, wspaniała postać nieruchoma jak posąg. Zrobiło mi się niedobrze i znowu zamknęłam oczy. Gorzki smak i drapanie w gardle świadczyły o tym, że dostałam jakieś środki odurzające na tyle dni, ile było trzeba, żeby mnie tu przywieźć.

Nie byłam gotowa, żeby się obudzić. Jeszcze nie.

A teraz, zanim się obudzę, kiedy przez kilka chwil znajduję się w otchłani, jak dziecko czekające, żeby się narodzić; kiedy znowu zawieszona jestem w szkle, nadeszła pora. Muszę w końcu opowiedzieć wam o tym, jak przybyłam z Wenecji jako dziecko w butelce.

Większość tej historii znam od zakonnic, które mnie przyjęły. Ale wiele razy rozmyślałam o swojej podróży, jakbym oglądała ją niemowlęcymi oczyma. Małe dziecko w powijakach zostaje umieszczone w butelce, czyli w olbrzymim zielonym słoju, jak w akwarium z grubą szyjką. Leży nieruchomo na dnie i patrzy spokojnie na światło przesiane przez szkło małymi oczkami, które są równie zielone jak butelka. Obok dziecka kładą miękki biały chleb, najśodsze,

najcieplejsze ciasto wyciągnięte ze środka bochenka przez zręczne ręce równie białe jak mąka. Dziecko jest teraz wygodnie obłożone chlebem, wygląda jak cherubin w chmurach. Kobieta, która to robi, rozpina suknię i wyciska swoją mleczną pierś, póki chleb nie nasiąknie jej sokami. Ciągnie brązowe sutki, jakby doła krowę. Z nabrzmiałej piersi płynie mleko, a jasnoniebieskie żyłki tworzą mapę pod białą skórą. Dziecko czuje zapach mleka, wysuwa język i kręci się, żeby wysać mleko z nasączonego chleba, co będzie musiało robić przez całą podróż. Szczupłe białe dłonie gładzą czoło dziecka. Butla zostaje zatkana płaskim, okrągłym, porowatym korkiem na tyle dopasowanym, by stłumić dźwięki, i na tyle luźnym, by wpuszczać życiodajne powietrze.

Kobieta, która to wszystko robi, niesie ostrożnie butelkę do łodzi. Ustawia ją wraz z jej towarzyszkami, razem jest ich dwanaście. W pozostałych butelkach jest najlepsze weneckie wino Valpolicella, które będzie bardzo pożądanym podarkiem dla sióstr. Łódź gwałtownie odbija od przystani i dziecko w butelce zasypia kołysane wodami rodzimej laguny. W porcie Mestre butelka i jej towarzyszki zostają przeniesione na wózek i wyruszają w daleką drogę na południe. Dziecko się budzi, krzyczy, ssie zepsute mleko, znowu zasypia, aż w końcu wino dociera do celu.

W Ospedale della Innocenta w dzielnicy Florencji Santa Croce często zostawiano podrzutki. Większość na kole zainstalowanym w murze, którego jedna połowa była w klasztorze, a druga na zewnątrz. Zdeformowane czy niechciane dzieci można było zostawiać bez żadnych wyjaśnień. Koło się obracało i dobre ręce zabierały dziecko. Siostry nie przywykły jednak, by podrzutek zjawiał się wraz z podarunkiem w postaci beczki weneckiego wina. Tylko przeorysza umiała zastosować się do dziwnych instrukcji i zajrzeć do dwunastej butelki. A z niej, wbrew wszelkim oczekiwaniom, ale w odpowiedzi na swoje modlitwy, wyjęła żywe niemowlę. Ciche, brudne, wychudzone. Chleb, który ssało, pokryty był cuchnącym gównem w kolorze musztardy. Przeorysza była naprawdę dobrą kobietą, otuliła brudne niemowlę habitem, wytarła ekskrementy. Obudziłam się, czując ciepło i zapach kobiecego ciała, dotyk kobiecych warg na moim czole.

Więc teraz, kiedy już wiecie, gotowa jestem wyjść z mojej butelki jak dzin, wrócić do siebie i do teraźniejszości. Poruszyłam się, a kobieta siedząca na dziobie odwróciła głowę, by na mnie spojrzeć. Moja matka znowu miała na twarzy maskę, widziałam tylko jej oczy, pogodne i zielone. Trwała nieporuszona, jakby wiedziała, że się obudzę, że ten dzień i ta chwila nadejdzie i znowu będziemy razem. Wiedziałam, jak będzie brzmiało moje pierwsze pytanie, i byłam pewna, że ona też to wiedziała.

– Czy jesteś moją *Vera Madre*?

– Tak.

W jej głosie czaił się uśmiech. Dla niej to zdanie, ta dziecinna nazwa, którą jej nadałam, fantazja, która tworzyła mój kręgosłup, pozwalała mi przetrwać te lata kurwienia się, to był tylko żart.

– I wysłałaś mnie z Wenecji jako dziecko w butelce?

– Tak. Dla twojego bezpieczeństwa.

Zmrużyłam oczy. Bałam się jej, ale nie bałam się zadawać pytań.

– Odesłałaś mnie, bo byłam bękartem?

Nie drgnęła.

– Nie. Dlatego że nie byłaś. Byłaś i jesteś legalnie urodzoną córką i dziedziczką Giovanniego Moceniga, doży Wenecji.

Milczałam, przetrawiając to zadziwiające oświadczenie.

Madonna!

Jestem córką dogaressy.

Uznała, że w moim milczeniu kryje się pytanie, i pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Kiedy się urodziłaś, rada miała przyjąć ważne prawo morskie. Rządząca partia potrzebowała przyzwolenia mojego męża, ale on nie chciał ich poprzeć. Twoje życie było zagrożone, mogłaś się stać kartą przetargową, więc cię odesłałam, powiedziałam, że umarłaś, i ukryliśmy cię.

– Dlaczego po mnie nie przyjechałaś? – spytałam, a mój głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

– Miasto było kotłem z trucizną. Poza tym, że stanowiło dla ciebie zagrożenie, trzeba było zawrzeć sojusze z tymi, z którymi nie mieliśmy ochoty ich zawierać. Ale już obiecaliśmy cię księciu Pizy dla jego syna, tworząc sojusz morski. Byłaś bezpieczna u zakonnic, uczyły cię Biblii i pilnowały twej czystości. Uważaliśmy, że najlepiej zostawić cię tam na jakiś czas.

Na jakiś czas! Spędziłam w Ospedale dwanaście lat. Moja matka usunęła mnie ze swojego życia i straciła wszystkie ważne chwile mojego dzieciństwa. Nie było jej, kiedy zaczęłam chodzić i mówić, kiedy przyjmowałam pierwszą komunię. Najlepiej dla kogo? Dla niej. Moje serce zaczynało twardnieć, stawało się podobne do jej serca.

– Mając lat dwanaście, nagle zniknęłaś.

Ale czy wiedziała dlaczego? Ponieważ przyłączyłam się do Enny, którą poznałam, gdy wracałam z mszy w kościele. Białe kornety siostr zniknęły za rogiem, a ja podziwiałam śliczną sukienkę Enny. Wyobraziłam sobie, że to moja *Vera Madre* przyszła po mnie, bo mając trzydzieści lat, Enna była wystarczająco stara, by być moją matką. Powiedziała mi, że mogę zarobić pięć florenów za coś, co zajmie chwilę. Miałam tylko possać męskiego fiuta i udawać, że to cyc z miodem, a potem dostać trzy monety dla siebie i dwie dla niej i kupić sobie śliczną sukienkę. Ponieważ poszłam z nią do palazzo w Rifredi, obciągnęłam jednemu z pomniejszych Medyceuszy i dostałam swoje trzy floreny zgodnie z obietnicą. Zaczęłam pracować w wieku lat dwunastu i nigdy nie obejrzałam się za siebie. Byłam dziwką przez cztery lata, aż ukradłam obraz i poznałam

mnicha, który zmienił moje życie.

– Trzymaliśmy twoje zniknięcie w tajemnicy przed pizańczykami, opowiadaliśmy o twojej niezwykłej urodzie, twoim klasztorным wykształceniu. Mówiłam wszystkim, że jesteśmy podobne jak dwie krople wody, i to okazało się prawdą. Modliłam się, żeby cię odnaleziono, i tak się stało. Benvolio Malatesta handlujący perłami powiedział naszym szpiegom o dziewczynie, z którą... się widywał.

Bembo mnie wydał? Coś podobnego!

– Wiedział, że była w odpowiednim wieku i bardzo do mnie podobna. – Matka z wdziękiem pochyliła głowę. – Poczyniliśmy więc kroki, żeby sprawdzić twoją tożsamość.

– Kazaliście Botticellemu mnie namalować, żebyście mogli sprawdzić, czy to naprawdę ja?

– Nie do wiary!

– Nie, to nie tak. Wtedy już wiedzieliśmy, kim jesteś, to znaczy dlaczego poproszono cię, żebyś była na obrazie. To nie był przypadek. Ale zanim mogliśmy po ciebie przybyć, zniknęłaś. Wodziłaś nas za nos i nie mogliśmy cię odzyskać aż do tej pory. Zgoda, nie wyszło to najlepiej, ale to wina twojego narzeczonego. Zemdlałaś pod wpływem szoku i wydarzeń na ślubie i długo nie odzyskiwałaś przytomności. Przywieźliśmy cię tutaj.

Naręczony. Dziwnie wypowiedziała to słowo, w czasie terazniejszym, jakby Niccolo della Torre i mnie nadal łączyło dane słowo. Silvio della Torre jeszcze w kołysce zaręczył mnie z Niccolo. Wiedział o moim istnieniu, zanim brat Guido i ja się spotkaliśmy.

Guido. Dopiero teraz zadałam pytanie, od którego powinnam zacząć:

– A co się stało z Guidem della Torre?

– Z kim? – W głosie pozbawionym twarzy brzmiało zniecierpliwienie.

– Moim towarzyszem. Guidem z Pizy.

– A, z tym mnichem szlachcicem. Kuzynem Niccolo. Zabrali go strażnicy Medyceuszy.

Niewątpliwie zostanie ukarany za swoją bezczelność.

O mało znowu nie zemdlałam.

– Zostanie stracony?! – Napuchnięci od much Pazzi dyndali na sznurach w mojej wyobraźni. Wisielec pojawił się w rzece Arno z pozbawioną oczu twarzą.

– Oczywiście. Udawał swego seniora, co w Toskanii uważane jest za zdradę. Poza tym zakłócił państwową uroczystość we Florencji. Ma kłopoty. – Pomachała do przepływającej barki, a towarzystwo, które na niej płynęło, pokłoniło jej się z szacunkiem. – Niccolo może okazać łaskę, jeśli będzie w miłosiernym nastroju.

Serce tłukło mi się w piersi, kiedy przypominałam sobie nienawiść Niccolo do mojego przyjaciela. Jeśli los Guida ma spoczywać w rękach jego kuzyna, to już mogę go uznać za martwego.

– Ale najpierw będzie miał proces?

Matka wzruszyła ramionami.

– Może. Tutaj by tak było. Nasz wymiar sprawiedliwości jest dobry. Ale w barbarzyńskich krajach w głębi łądu? Wydaje mi się, że w Toskanii przywykliście do bardziej doraźnej sprawiedliwości?

Mimo chłodu oblałam się potem.

– W takim razie muszę wrócić. Muszę go odszukać i mu pomóc! – Wstałam, a barka podskoczyła. Zakręciło mi się w głowie i podskoczyłam razem z nią. Opadłam na poduszki, ale przedtem biała dłoń mojej matki zamknęła moją rękę w żelaznym uścisku.

– Jeśli zostaniesz i będziesz mnie słuchała jak dobra córka, zrobię, co w mojej mocy, żeby się czegoś o nim dowiedzieć. Może będę mogła wykorzystać swoje koneksje, żeby złagodzić jego los. Moje wpływy niewątpliwie mogą przynajmniej uczynić drogę na szubienicę znośniejszą. – Zaczęłam protestować, ale uciszyła mnie ruchem ręki. – Jeśli mnie nie posłuchasz, nie kiwnę nawet palcem, więc wybieraj.

Zamknęłam gębę i obydwie usiadłyśmy. Nie miałam wyboru i ona o tym wiedziała. Sama podałam jej kajdanki, którymi mogła mnie do siebie przykuć.

– Nie może być mowy o twoim powrocie do Florencji... – dodała już spokojniej. – Ty też rozzłościłaś Il Magnifico.

Il Magnifico. Pamiętałam pierścień, który widziałam na kciuku Wawrzyńca Medyceusza, a równocześnie uświadomiłam sobie, że ten wielki człowiek przy pomocy swojego trędowatego pachołka szykował coś wraz z resztą Siódemki. Nie mogłam oprzeć się pokusie rozwiązania zagadki.

– Signora?

– Możesz mnie nazywać dogaressa.

Sądziłam, że powie „matka”, ale najwyraźniej nie byliśmy jeszcze na tym etapie.

– Ten obraz, *Primavera*, czy wiesz, co znaczy? Jaki jest cel tego wszystkiego, zagadka, którą kryje? Czy wiesz, co zamierza Il Magnifico? Jaką wojnę ma nadzieję wypowiedzieć?

Oczy mojej matki były teraz twarde jak kawałki jadeitu, ale spod maski dobiegł śmiech. Był to czarujący dźwięk. I fałszywy.

– O co ci chodzi? Jaka zagadka? Jaka wojna? *Primavera* to nic innego jak piękny prezent, jaki pan młody dał swojej damie. Dzieło jego ulubionego artysty. Nie służy żadnym innym celom poza uczczeniem największych piękności, jakie wydała nasza ziemia, których królową jest panna młoda. Powinnaś uważać się za szczęśliwą, że się do nich zaliczasz, podobnie jak ja.

– Ty, dogaresso?

Szlachetna głowa znowu się pochyliła.

– Jestem przedstawiona jako nimfa Chloris.

Oczywiście. Przypomniałam sobie wieczór w herbarium Santa

Croce, które teraz wydawało mi się innym światem. W pewnym momencie doszliśmy do wniosku, że Flora i Chloris przedstawiają miasta położone blisko siebie. Flora i Chloris były powiązane, ale nie odległością, tylko więzami krwi. Miały takie same rysy i tych samych przodków. I w końcu to ja „ukrywałam sekret”. Mieliśmy też rację, myśląc, że sekret wiąże się z niemowlęciem czy dzieckiem. Teraz wiem, że tym dzieckiem byłam ja. Na przedramionach miałam rybie łuski, co wiązało mnie z morzem, byłam dzieckiem morza, największej w dziejach morskiej republiki Wenecji.

Ale co do reszty – miast, Siódemki, sojuszu – to czy mogliśmy się z moim przyjacielem aż tak mylić? Czy na tym obrazie nie było niczego więcej prócz hołdu dla urody – mojej, mojej matki, Fiammetty, Simonetty, Semiramidy – a obecność na obrazie Botticellego w przebraniu Merkurego to tylko żart artysty? Popatrzyłam na dłonie mojej matki. Nosila olbrzymi pierścień z berylem i wyrzeźbionym herbem – pewnie rodziny Mocenigo – ale nie nosila na kciuku złotego pierścienia z *palle* Medyceuszy. Wątpliwości drażyły moje ciało jak krople słonej wody.

– Ale... – zaczęłam i zmroziło mnie spojrzenie tak zielone, jak zamarznęte morze.

– Więcej o to nie pytaj. To prośba, ostrzeżenie i rozkaz twojej matki.

Moje wątpliwości zniknęły, coś jest na rzeczy, inaczej nie uciekłyby się do groźby.

Dogaressa pochyliła się nagle do przodu płynnym ruchem, który w niczym nie naruszył równowagi łódki, zupełnie jakby stanowiła jedno i z łódką, i z samym morzem.

– Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiała. Twój ojciec i ja będziemy wymagali od ciebie współdziałania, jeśli mamy ci pomóc w sprawie twojego... nieszczęsnego przyjaciela. Twoje postępowanie już postawiło naszą rodzinę w niezręcznym położeniu na florenckim dworze. I dlatego wydało nam się konieczne wyruszenie przed rozpoczęciem uroczystości w Castello. Doża, mój pan i władca, oczywiście został na uczcie, żeby uspokoić naszego wysoko postawionego przyjaciela, ale wkrótce wróci.

Serce stanęło mi w gardle na myśl o spotkaniu z ojcem, tym ponurym, bezbarwnym mężczyzną, którego widziałam w dziwacznych odświętnych szatach. Dziwne, że przez te wszystkie lata tęsknoty za matką ani razu nie zastanawiałam się nad tym, kim jest mój ojciec. Opinię o weneccjanach wyrobiłam sobie, widząc tych, których obsługiwałam, więc w sposób naturalny przypuszczałam, że jestem bękartem jakiegoś marynarza na krótkiej portowej eskapadzie, który wyruszył następnego dnia do jakiegoś odległego portu. Jeśli w ogóle kiedykolwiek go sobie wyobrażałam, był to, jak się okazało, obraz bardzo daleki od rzeczywistości. Nie mogłam uwierzyć, że mój ojciec to potężny władca.

Z nadąsaną miną patrzyłam na przepiękne miasto na moment wyłaniające się z mgły,

równocześnie okazałe i rozsypujące się w pył. Jakby dla zilustrowania tej dwoistości płynęliśmy węższym dopływem, małym kanałem biegnącym pomiędzy dwoma pałacami, gdzie na moście z każdego cala balustrady dyndały dziesiątki par piersi pracujących dziewczyn, które pokazywały towar przejeżdżającym klientom. Napis nad mostem był wyraźnie widoczny: Ponte delle Tette. Most Cycków. Tak jak we Florencji patrzyłam na te dziewczyny, pamiętając, że kiedyś byłam jedną z nich. Tylko że tym razem nie czułam litości, czułam zazdrość. Znowu tak żyć, myśleć tylko o następnym kliencie i następnym kęsie, takie życie wydawało mi się teraz proste i piękne. Byłam tak zamyślona, że dopiero po pewnym czasie zorientowałam się, iż matka coś mówi.

– Trzeba spokojnie przeczekać tu zimę – zakończyła.

Madonna!

Popatrzyłam z pogardą na szklane miasto. Zima tutaj? Dopiero sierpień! Jak mogę spędzić w tym miejscu pół roku!

Nic nie uchodziło jej uwagi. Dostrzegła mój wyraz twarzy i ciągnęła:

– Moja droga, stawka jest wysoka, są sprawy, w których ja... w których my musimy uczestniczyć. Twój ślub odbędzie się w przyszłym roku w lecie, kiedy skończysz siedemnaście lat, jak to zapisano w naszym traktacie z Pizą. I na Boga, zanim znów spotkasz się z Niccolò, będziesz zupełnie inną istotą. Wiem, jak spędziłaś ostatnie lata... i jest to godne pożałowania. Ale kiedy nadejdzie wiosna, będziesz księżniczką Najjaśniejszej, a nie nędzną florencką dziwką.

Słowa wypadały z ust jej maski jak kawałki lodu.

Przez ostatnią godzinę spędzoną na tej łodzi podobnej do pływającego ostrza starałam się znaleźć w mojej matce coś, co mogłabym polubić, zamienić jej chłód w ciepło, usprawiedliwić jej brak zainteresowania losem mojej jedynej prawdziwej miłości i jedynej osoby, która kiedykolwiek mną się opiekowała. Kiedy ziała pogardą dla mojej profesji, do której uprawiania mnie zmusiła, nagle porzuciłam te próby. Pamiętałam, co powiedział Ferdynand: że była nawróconą kurtyzaną – i uznałam całe to gadanie o przemianie za nieznośne. Nie była bardziej szlachetnie urodzona niż ja, a ja stanowiłam kolejne ogniwo w pokoleniowym łańcuchu bezwartościowych dziwek.

Naplułam sprawnie na jej zamaskowany policzek.

– Pieprz się, ty podła dziwko. Nie myśl, że nie wiem, w jaki sposób napisałaś na nowo swoją historię. Nie jesteś lepsza niż nawrócona kurtyzana. – Powtarzałam to zdanie z przyjemnością. – Założę się, że przed kilkoma laty dyndałaś cyckami na tym moście, kiedy jeszcze były jędrne jak moje. – Pochyliłam się i szeptem wypuściłam ostatnią strzałę: – Pieprzeniem dopchałaś się do boku mojego ojca, o czym wszyscy wiedzą. – Przeszedł mnie dreszcz, znowu ożyłam, czując zapach krwi, i czekałam na jej reakcję.

– O tak. Bez wątplenia to język dziwki z Torcicody. Nie szkodzi. Mamy kilka miesięcy na poprawienie języka i innych rzeczy.

Ta nieznosna kobieta uśmiechała się teraz pod maską, byłam tego pewna. Byłam pewna także tego, że polubiła mnie za ten wybuch, że to jej nie zraziło. Ona też lubiła walczyć, a ja byłam gotowa.

– Gównu mnie obchodzi, co mówisz. Nie wyjdę za tę ropuchę z Pizy. I wrócę do Florencji, gdy tylko spojrzysz w inną stronę.

– Jak to zrobisz? Wenecja to sto wysp otoczonych wodą, a wszystkie drogi wodne kontroluje twój ojciec. Jego oczy patrzą z każdego okna. A jeśli uciekniesz, jakiego powitania możesz się spodziewać w mieście Wawrzyńca? Dopiero co rozmawialiśmy o doraźnej sprawiedliwości. Pozwól, że ci opowiem, jak wygląda zemsta Wawrzyńca. Przypuszczam, że słyszałaś o sprzysiężeniu Pazzich?

Madonna! Znowu ci pieprzeni Pazzi! Czekałam naburmuszona i milcząca.

– Wszyscy Pazzi zapłacili za swoje zbrodnie, ale żaden nie zapłacił więcej niż signor Jacopo dei Pazzi, głowa tej nieszczęsnej rodziny. Kiedy zdradził Wawrzyńca, uciekł z miasta, lecz wkrótce go znaleziono i przywleczono z powrotem. Wtrącono go do więzienia Bargello i poddano torturom. Dopiero wtedy, kiedy nie mógł więcej znieść, a nadal żył, zaprowadzono go do Palazzo della Signoria, rozebrano i wyrzucono przez okno, żeby powisiał razem ze swymi towarzyszami.

Arcybiskup, jak powiedział Guido.

– Szczątki odcięto ze sznura, by można było je pochować w kaplicy Pazzich w Santa Croce.

Właśnie w tym miejscu, gdzie ukryliśmy się z Guidem pierwszego wieczoru, kiedy poprosiłam go o pomoc. Dlaczego każde zdanie mi o nim przypomina?

– Jednak wściekły tłum otworzył grób, więc poczciwi braciszczkowie ekshumowali ciało i pochowali blisko szubienicy w niepoświęconej ziemi, żeby uspokoić ludzi. Ale nawet tu signor Jacopo nie zaznał spokoju. Został wykopany i wielka gromada ciągała jego nagie ciało po mieście za sznur, na którym wisiał. Przy pałacu Pazzich tłum walił głową trupa w drzwi jego domu z okrzykami „Otwierać! Przyszedł wielki rycerz!”. – Matka najwyraźniej bardzo dobrze się bawiła, a w jej głosie pobrzmiwała żądza krwi. Widziałam, że czeka na moją reakcję, więc nie dałam jej satysfakcji, choć o mało nie zesrałam się w pończochę. Kogo tak rozgniewał? Lud go kochał i nienawidził tych, którzy stanęli mu na drodze.

Najwyraźniej *Vera Madre* skończyła swoją ponurą opowieść. Przypomniałam sobie, że nigdy w życiu nie opowiedziała mi bajki, huśtając mnie na kolanach przed zaśnięciem. Ale tę potworną historię pełną krwi i tortur powtarzała z przyjemnością. Zadrzałam nie z powodu pochmurnego dnia i chłodnej bryzy, nie ze strachu o własną skórę. Drżałam ze strachu o mojego jedynego przyjaciela, który był więźniem w tym gnieździe żmij, może nawet znalazł się w osławionym Bargello, gdzie siedział kiedyś nieszczęsny Jacopo.

– Czy widzisz teraz, jaką władzę i wpływy ma człowiek, którego znieważył twój przyjaciel?

Bo Wawrzyniec jest i jasny, i ciemny, to wielki przyjaciel, ale też groźny wróg. Napisał kuplet opisujący tę dwoistość jego charakteru: *Jasny jest rankiem kwiat pomarańczy, ale o zmroku kryje zapowiedź nocy*. Nadzieją na przyszłość, i twoją, i naszą, jest odsunięcie cię od grzechu, od despektu dla niego i jego rodziny, jakim było zakłócenie ślubnej ceremonii. Musisz stać się kobietą szlachetnie urodzoną, dziedziczką Serenissimy i panną młodą w Pizie. Wtedy znów będziemy mogli stanąć u boku Wawrzyńca, Luciano.

To imię brzmiało dziwnie w jej ustach, w ustach kobiety, która mi je nadała.

– Teraz to jest twój dom, póki nie wyjdiesz za mąż. Ale może nie będzie aż tak źle. Jest tyle rzeczy, których mogę cię nauczyć.

– A więc mam na imię Luciana – mruknęłam.

– Tak. Ale nie nazywasz się Vetra, takie nazwisko nadano ci z racji sposobu... w jaki przybyłaś do Florencji.

Światło w szkłe. Jedno z pierwszych słów, jakie do mnie powiedział.

– Twoje rodowe nazwisko brzmi Mocenigo, tak jak nazwisko twego pana i ojca.

Mocenigo. Trochę czasu upłynie, zanim się przyzwyczaję.

– Czy jest jeszcze ktoś w tej szczęśliwej rodzinie? Kochający bracia czy siostrzyczki, o których nie wiem?

Nastąpiła krótka pauza, trwała może tyle co pół uderzenia serca.

– Nie, jesteś naszą jedyną dziedziczką. Miałaś młodszego brata, Francesca, ale... zmarł.

W moim umyśle pojawiła się iskierka zrozumienia.

– Kiedy?

Matka milczała.

– Kiedy zmarł? – spytałam już głośniejszym głosem.

– Kiedy miałaś dwanaście lat.

Spojrzałam w jej oczy pełne poczucia winy i nienawidziłam jej. Teraz wszystko rozumiałam. Moja kochająca matka wysłała mnie do Florencji, po czym wróciła do łóżka ojca, zanim moja kołyska ostygła, i zrobiła sobie kolejnego dzieciaka z książęcego rodu – mojego brata. Radując się nowym, męskim dziedzicem, czuli rodzice o mnie zapomnieli. Florencki klasztor był wystarczająco dobry dla dziewczynki, użytecznej tylko jako nagroda matrymonialna, narzędzie sojuszu. Zapomnieli o mnie. Lecz zmarł ich ukochany chłopiec. Nagle znowu potrzebowali dziedzica.

Agatowe oczy matki świdrowały mnie wyzywająco, ale nasza podróż dobiegała końca, ku jej widocznej uldze. Kanał wpadał do morza, a jego koniec znaczył wielki kościół z kopułą. Teraz unosiliśmy się na fali, aż nasza łódź dopłynęła do wielkiego placu z gołębiami, kolumnadami i bliźniaczymi kolumnami ginącymi we mgle. Wielka dzwonnica z koralowym szczytem wystawała

z jeziora jak szabla z ostrzem czerwonym od krwi. Tłem dla tej chwały był łańcuch odległych gór udrapowanych niczym srebrny szal.

– A tutaj – matka machnęła zielono-złotym rękawem – jest twój nowy dom.

Patrzyłam na olbrzymi biały pałac, wielki, ale delikatny, na jego śnieżnobiałe ściany i smukłe filary polukrowane perłowymi pinaklami i filigranowymi wzorami. Fasada mieniła się w wodzie jak opal. Jakie to aroganckie, pomyślałam, zbudować pałac z koronki dokładnie przy ustach morza. To nie był zamek ani cytadela, władza doży była taka, że nie musiał kryć się za murem obronnym i otworami strzelniczymi.

Obok tego śnieżnego pałacu jak stróżujący orientalny smok przykucnęła wschodnia bazylika. Przygarbiona pod pozłacanymi kopułami, kryjąca zdobione klejnotami freski, której złote wieże sięgały nieba jak tureckie piki. Mogłabym równie dobrze być w Konstantynopolu.

Dom, dobre sobie.

Służący dogaressy przycumował łódź i pomógł jej wsiąść, a ona odwróciła się, żeby pomóc mnie. Przez jeden szalony moment chciałam odciąć złotą linę nożem z mojej zielonej butelki, kawałkiem szkła, który siostry dla mnie zachowały, i popłynąć łodzią, dokąd się da, żeby uciec z tego wodnego więzienia. Wiedziałam jednak, że nie odpłynę daleko, podejrzewałam bowiem, że sterowanie taką łodzią jest dużo trudniejsze, niż się wydaje. Niechętnie ujęłam rękę matki i wyszłam na brzeg, patrząc na jej zamaskowaną twarz, rzucając jej takie samo wyzwanie jak ona mnie.

– Czy zawsze to nosisz? – zapytałam, kiedy szłyśmy do drzwi pałacu. – Tę maskę lwa?

– Na zewnątrz tak. Lew jest symbolem naszego wspaniałego miasta, a lwica głową swojej rodziny.

Nie oczekiwałam od niej takiej szczerości, tak otwartego wyznania, jak się mają sprawy z moim ojcem, przyznania, że to ona wszystkim rządzi. „Jaja objają się o siebie jak dzwony”, powiedział król Ferdynand.

– Tego się oczekuje. Mój lud szanuje mnie taką, jaką mnie widzi – dodała.

Wtedy zorientowałam się, jaka naprawdę jest: zimna i piękna, ale śmiercionośna, podobnie jak to miasto, które kiedyś było moim domem i teraz znowu się nim stało.

ROZDZIAŁ 2

W ciągu kilku najbliższych miesięcy ja też nauczyłam się nosić maskę, nabrałam poloru szlachetnie urodzonej, ale moje wnętrze zastygło w bólu. Miałam wszystko i nie miałam nic. Byłam rozpieszczana, ubierana, a mimo to jeszcze nigdy nie czułam się taka nieszczęśliwa.

Poranki spędzałam jak ptak w klatce, w pięknych apartamentach doży w śnieżnobiałym Palazzo Ducale. Nigdy nie zapomniałam, że jestem więźniem. Wkrótce zresztą przydzielono mi wartownika. Miała się mną zajmować brzydka kobieta o imieniu Marta. Była to ponura istota z owłosioną brodawką na wardze i oczami, które patrzyły w różne strony, choć bacznie mnie obserwowały. Przedstawiono mi ją jako moją pannę służącą. Oczywiście wypełniała moje polecenia, choć z tak obrażoną i niechętną miną, że często miałam ochotę ją uderzyć. Mogłam bić swoją służącą, ale nie śmiałam, bo choć była rzekomo pokojówką, to w istocie pełniła raczej funkcję strażniczki, o czym obie wiedziałyśmy. Nie miałam wątpliwości, że każdy szczegół mojego zachowania trafia do ciekawych uszu matki.

Dzień był podobny do dnia. Rano kąpano mnie i czesano, ubierano w najdroższe materie, zielone, złote, szafirowe czy rubinowe, w jedwabie i satyny ze wschodu, aksamity i tafty z północy. Te błyszczące kolory okrywał zawsze długi czarny płaszcz, który miał podkreślać biel mojej szlachetnej cery. Był cienki jak pergamin, a w pałacu hulały przeciągi, więc trzęsłam się z zimna od świtu do zmroku. Robiono mi makijaż odpowiedni dla młodej osoby ze szlachetnej rodziny, moszcz winny i czerwona ochra miały nadać barwę moim bladym policzkom, węgiel podkreślał oczy, a sproszkowany malachit barwił powieki. Nie byłam do tego przyzwyczajona. Oczywiście my, dziewczki, miałyśmy swoje sztuczki, a ja byłam znana z tego, że w dni świąteczne we Florencji malowałam usta i policzki byczą krwią, ale na ogół się nie malowałam. Zastanawiałam się, do jakiego stopnia młody wygląd matki zależał od takich sztuczek.

Czesała mnie mauretańska dziewczyna o imieniu Yassermin, która nie mówiła po toskańsku, ale doskonale umiała wyszczotkować włosy. Jej czarne palce niemal fruwały, kiedy zaplatała warkocze i wpinała w moje loki bezcenne klejnoty, droższe, niż kosztowałyby na targu ona sama. Po całym tym skomplikowanym czesaniu całość fryzury przykrywał welon, zwany *zendado*, lekka draperia z czarnego jedwabiu, przypięta do włosów niewielką złotą koroną, co miało podkreślić moją jasną karnację. Na ręce wkładano mi złote bransolety, z nadgarstka zwisał wachlarz z białych piór ze złotą rączką. Zanim się ubrałam, dzwony zdążyły wydzwonić cztery kwadransy.

Śniadanie przynoszono mi do komnaty w srebrnych naczyniach, jadłam, patrząc smętnie

z mojego okna na lagunę, obserwując łodzie i statki wiozące przyprawy, zazdrozcząc im dalekich podróży. Potem prowadzono mnie do jednej z komnat zdobionych freskami, wielkiego pomieszczenia pełnego map. To był pokój do nauki. Do pałacu przychodził cały korowód nauczycieli, żeby nauczyć mnie, jak być szlachetnie urodzoną.

Surowy dominikanin, ojciec Girolamo, uczył mnie czytać. Na jego lekcjach pracowałam ciężko nie tyle ze strachu przed jego surowością, ile z powodu ślubu, jaki złożyłam w herbarium Santa Croce, że już nigdy więcej nie dokuczy mi nieznajomość liter (poza tym miałam własne plany, które opierały się na znajomości tej sztuki, ale o tym później). Poczciwa Flamandka uczyła mnie haftu na kanwie, codziennie kłułam biedne palce i ciskałam ramkę przez cały pokój, co szokowało tę myszopodobną damę. Młody i przystojny Francuz, Albert, uczył mnie, jak tańczyć najnowsze pawany z kontynentu, i te lekcje sprawiały mi największą przyjemność. W głębi duszy byłam zdziwiona, że matka, która postanowiła na nowo napisać historię mojego życia, zostawia mnie sam na sam z nauczycielem tańca, który był rozbrykany jak szczeniak i zwinny jak wydra. Jednak wkrótce zorientowałam się, że jest takim samym *finocchio* jak mój drogi oficjalny narzeczony. W istocie jedyną osobą mogącą zagrozić mojej cności był signor Cristoforo, młody genueńczyk, zaangażowany po to, by uczyć mnie czytania map, żeglarstwa i wszystkich morskich sztuk, które można poznać, nie wchodząc na pokład statku. „To ważne”, powiedziała moja matka. Młoda, szlachetnie urodzona kobieta z Wenecji musi to wszystko umieć, bo zarówno miasto, jak i bogactwo mego ojca zbudowane zostały na handlu morskim. Nic nie wiem o genueńczykach, ale jeśli wszyscy obywatele tego miasta są tak brzydzy, jak signor Cristoforo, to nie spieszy mi się, żeby tam pojechać. Oczywiście pamiętałam, że kiedyś mogłam pojechać do Genui z tym, który wypełniał moje myśli i zajmował umysł na jawie i we śnie, by tam zakończyć poszukiwania, teraz tak samo nierealne jak bajka.

Po południu wychodziłam czasami na miasto z moją świtą albo płynęłam gondolą (bo teraz znałam już nazwę tych łodzi w kształcie ostrza) czy nawet osobistą łodzią doży o nazwie „Bucintoro”. Wspaniała łódź, wręcz baśniowa, wielka, złocona, ze złotym galionem. Zawsze czułam się skrepowana w tej pływającej koronie, bo nie dało się w niej spokojnie poruszać po mieście. Dokądkolwiek się udaliśmy, łódź zdradzała moją obecność, a mieszkańcy Wenecji wytrzeszczali oczy, żeby zobaczyć córkę dogressy, która wróciła z klasztoru, gdzie się uczyła, a teraz przygotowuje się do małżeństwa. W tych popołudniowych wyprawach prawie zawsze towarzyszyła mi matka. Mówiła bez przerwy, ale zawsze o mieście, nigdy o nas.

Jedno określenie słyszałam bez przerwy: „państwo morskie”. Te słowa ciągle miała na ustach, jak muzyczną frazę powracającą niby przypływ. Wydawało się, że najbardziej zależało jej na tym, żebym zrozumiała, iż Wenecja to państwo morskie, i żebym pamiętała, iż wszystko zawdzięcza morzu. Wszędzie chodziliśmy razem, ubrane niemal jednakowo w wytworne suknie,

płaszcz z króliczych skór, mające chronić przed mroźnym wiatrem, i *chopines*, buty z grubą podeszwą, aby stopy nie dotykały wody. Wszystko, co nas dzieliło, to złota maska matki. Dowiedziałam się, że ma w swojej komnacie ponad sto masek, wykonanych przez najlepszych weneckich rzemieślników. Każda inna, ale wszystkie złote i przedstawiające pysk lwicy bez grzywy. Choć w zimie wielu obywateli chodziło w maskach, nigdy nie widziałam innej lwicy i zastanawiałam się, czy to przywilej mojej matki. Tak więc lwica pokazywała mi miasto.

Najpierw opowiedziała mi o naszym domu, Palazzo Ducale. Nie słuchałam uważnie, co mówiła o przywilejach i obowiązkach doży podczas krótkiego okresu sprawowania urzędu. Zamiast jej słuchać, patrzyłam na biały koronkowy pałac i z zainteresowaniem zauważyłam, że jeśli przyjrzeć się bliżej, cegły wcale nie są białe, mają wzory z ozdobnych jasnoróżowych rombów wysadzanych błękitem szafirów. Jak zawsze w Wenecji: kiedy przyglądasz się bliżej, nic nie jest takie, jak się wydawało. Popatrzyłam w górę. W połowie loggii były dwa filary różniące się kolorem od śnieżnobiałej ściany, wyglądały jak zęby pociemniałe po szklaneczce dobrego czerwonego wina. Matka podążyła spojrzeniem za moim wzrokiem i wyjaśniła, że te bliźniacze kolumny były przez lata plamione krwią, ponieważ między nimi przywiązywano wrogów republiki i ich ćwiartowano.

Posłusznie nauczyłam się nazw *sestieri*, czyli dzielnic, na jakie podzielone było miasto, i powtarzałam je tak, jak dziecko powtarza katechizm: San Marco, Castello, Cannaregio, Dorsodoro, San Paolo i z bólem Santa Croce, dzielnicę noszącą nazwę zburzonego kościoła, taką samą, jak dawny dom Guida. W ciągu kilku tygodni poznałam każdą *calle* i kanał, każdy pałac nad Canal Grande, wielką drogą wodną w kształcie litery S przecinającą miasto.

S jak *Serenissima*, S jak *Stato del Mar*, mówiła matka.

Przy każdym wielkim domu musiałam podać nazwisko właścicieli, ich genealogię do czasu krucjat. Znałam każdą kościelną wieżę i każdy odzywający się dzwon. Mogłam podać nazwy statków tłoczących się przy ujściu kanału, przewożone przez nie towary i miejsce, z którego przybyły. Nauczyłam się szlaków handlowych, kiedy odwiedziłyśmy arsenał i oglądałyśmy statki w budowie, każdy z dumnym lwem na dziobie. Moja matka mówiła bez przerwy, jakby perwersyjnie zadowolona z mojego towarzystwa. Jakby chciała upchnąć szesnaście straconych lat w tych pierwszych wspólnych tygodniach. Jednak nigdy nie wspominała o sprawach osobistych. Mówiła o obrazie czy fresku, który miałyśmy zobaczyć, o mszy, w której miałyśmy uczestniczyć, o butach ze szpicami, które miałyśmy kupić w najlepszej *bottega* ze skórą w dzielnicy Rialto. Kiedyś zerwała mnie wcześniej z łóżka, żeby zabrać na targ rybny, miejsce dziwnych martwych ławic ze szklanymi oczami, gdzie śmierdziało jak w króliczej jamie. Pokazała mi dzielnicę żydowską, gdzie umieszczono niewiernych dla ich dobra i, jak mówiła, dla dobra miasta. Zabrała mnie na wyspę Murano, gdzie produkowano główny towar eksportowy Wenecji: szkło.

Obserwowałam ubranych w skóry rzemieślników pracujących przy piecach i robiących cuda z gorących bursztynowych kul stopionego piasku. Długimi żelaznymi rurkami wydmuchiwali bąble szafirowego szkła, które, zastygając, różowiało, wypychane i ciągnięte w różne strony, aż powstawał piękny wazon. Kaszląc od siarkowych wyziewów w tym radosnym piekiełku, czułam, że po raz pierwszy, odkąd przybyłam do tego mroźnego miasta, jest mi ciepło. Stamtąd pojechaliśmy na wyspę Burano, gdzie na progu każdego domu siedziały stare kobiety ubrane na czarno, łapiąc ostatnie ciepłe promienie jesiennego słońca, nawijając na podółku delikatną piankę nici, nawet nie patrząc na ręce, tworzące koronkę tak delikatną jak płatki śniegu, które wkrótce pojawią się na tych wyspach.

Jesień zamieniała się w zimę, a matka nieustrudzenie uczyła mnie mojej ojczyzny. To ona powiedziała mi, że w miesiącach zimowych najlepiej chodzić w maseczce z bukietem suszonych kwiatów i ziół pod nosem, bo z laguny przychodzą zaraźliwa dżuma i płucna febra. To ona nauczyła mnie nosić w kieszeni gorące kamienie, żeby ogrzać marznące ręce, kiedy dni robiły się krótsze. To ona nauczyła mnie, że w Wenecji jest tylko jedna piazza, ta Świętego Marka, gdzie stoi nasz pałac, a wszystkie inne place znane są jako *campi*, czyli „pola”. To ona oprowadziła mnie po wielkiej bazylice, wyliczając i nazywając wszystkich świętych, objaśniła każdy fresk, pokazała bezcenne skarby. To ona powiedziała mi, że ten wyłożony złotem kościół nie jest miejską katedrą, tylko prywatną kaplicą mego ojca, i prosiła, bym pojęła, jaką władzę ma moja rodzina, jaka jest moc rodziny Mocenigo. Zachwycalam się bogatymi łupami zgromadzonymi w tym miejscu, złotym ołtarzem Pala d’Oro, bogato inkrustowaną klejnotami ikoną przedstawiającą świętego Marka, czwórką koni z brązu ukradzionych na wschodzie. Słuchałam każdego słowa matki, ale mimo niewiedzy potrafiłam wyciągać pewne wnioski. Wiedziałam, czym było to miejsce. Wenecja to miasto łupów. Ci piraci ukradli wszystko, co odróżnia ich miasto od innych. Skarby w bazylice, styl okien w pałacach, nawet poszczególne słowa weneckiego dialektu zostały zrabowane na wschodzie.

Od matki dowiedziałam się też, co się stało z wrogami mego ojca. Szłam z nią przez bogate komnaty pałacu, przez niewielkie drzwiczki, w dół po schodkach z ciemnego drewna do pokoiw tortur i do więzień, znanych jako studnie, czyli *pozzi*. Były głębokie i zimne, bo znajdowały się poniżej linii wody w kanale. Jednego pomieszczenia nigdy nie zapomnę. Było ponure, trzy schodki w samym środku prowadziły prosto pod okrutną pętlę zwisającą z góry. Przeszłam też przez wilgotne cele osławionego więzienia, gdzie zatrzymanych obserwuje się bez przerwy, bo jeśli wartownik pozwoliłby uciec swemu podopiecznemu, musiałby odsiedzieć jego wyrok. Toteż nikt jeszcze stąd nie uciekł, wyjaśniła mi matka z okrutną dumą. Drobni przestępcy trzymani byli na dachu pałacu, w *piombi*, czyli ołowiankach, gdzie rozżarzone płytki dachu czyniły ich życie nie do zniesienia. W lecie gotowała im się krew, a ciało skwierczało, przygotowując się na ogień piekielny. Osoby niezdyscyplinowane w Wenecji mogły wybierać między gorętszym niż węgiel lub

zimniejszym niż lód i sama nie wiem, która z tych możliwości była gorsza. Słyszając wodę spływającą po ścianach i krzyki więźniów, myślałam z rozpaczą o losie Guida. Ale nie mogłam podzielić się z nikim tymi myślami. Matka ani razu nie wspomniała o Guidzie. Była miłą towarzyszką, wykształconą, zabawną, tak że czasem śmiech poruszał mój przemarznięty brzuch, ale ani razu nie poczułam, że jesteśmy matką i córką. Obserwowałam ją z pełnym niechęci podziwem. Miała niski miękki głos, który próbowałam naśladować, na jej polecenie starałam się powściągać niewyparzony język. Patrzyłam, jak wchodzi do komnaty, i starałam się naśladować jej krok. Nawet na niewygodnych platformach *chopines* poruszała się wdzięcznie, podczas gdy ja rzucałam się i potykałam jak nowo narodzone źrebię. Obserwowałam, jak stoi wyprostowana niczym królowa, zupełnie jakby przez jej ciało przechodziła złota nić zaczynająca się od czubka głowy. Jadłam równie elegancko jak ona, patrzyłam, jak bierze kęsy jedzenia w białe dłonie albo delikatnie kroi specjalnym nożykiem. Zaczęłam wycierać usta rękawem tak jak ona, a nie wierzchem dłoni. Zaczęłam nosić jedwabną chusteczkę, by wytrzeć nos, kiedy byłam zaziębiona, zamiast smarkać w spódnicę czy we włosy, do czego byłam przyzwyczajona. Podziwiałam ją jako kobietę, podziwiałam jej łatwość prowadzenia pełnej wdzięku rozmowy praktycznie z każdym, od gondoliera po wschodnie księżniczki, które zapraszała na kolację. Wbrew sobie zaczęłam podziwiać ją i jej uparte dążenie, by uformować mnie na swoje podobieństwo. Poinstruowała mnie nawet bardzo szczegółowo, w jaki sposób porcja galarety z nóżek wieprzowych wprowadzona do moich partii kobiecych w przedślubny wieczór utworzy przez noc błonkę, która następnego wieczoru zostanie przerwana i raz jeszcze stanę się dziewicą. Nie musiałam pytać, skąd zna tę sztuczkę znachorek, bo najwyraźniej dzięki takim umiejętnościom usidliła mojego ojca. Nigdy nie prowadziłyśmy bardziej intymnej rozmowy. Owszem, podziwiałam ją, ale nie była dla mnie matką. Nawet w takie dni, kiedy słońce grzało niemal tak mocno, jak w Toskanii, i szłyśmy z robótkami na dach, nigdy nie mówiłyśmy o tym, co się dzieje w naszych sercach, choć byłyśmy zupełnie same. W takie dni nosiłyśmy czepki z szerokimi rondami i otworem na czubku głowy, rozpuszczałyśmy nasze identyczne złociste loki jak promienie słońca, by jeszcze bardziej pojaśniały. Przyglądałam się matce, dostojnej nawet w takim stroju, spod bezpiecznego szerokiego ronda, i obserwowałam jej twarz, kiedy mnie nie widziała. Byłyśmy podobne, ale zarazem bardzo się różniłyśmy.

Widziałam się z ojcem w dniu jego powrotu do Wenecji, kiedy to pozwolono mi obserwować audiencję kilku obywateli. Po trzech sesjach sądowych dotyczących różnych praw morskich i jednej sąsiedzkiej dyspacie o prawie przejazdu przez kanał przywołał mnie do siebie. Pocałowałam go w rękę, jak oczekiwano, spojrzałam w jego jasnoniebieskie oczy i niczego nie poczułam. Był woskowoblady, a pełna godności postawa potęgowała wrażenie, że jest nierzeczywisty.

– Luciano, cieszę się, że wróciłaś – powiedział łagodnie. – Możesz nas pocałować. – Ledwo

miałam czas przycisnąć usta do jego woskowego policzka, a już wyprowadzono mnie z komnaty. Wtedy zbliżyliśmy się najbardziej. Widywałam go rzadko, bo nawet z nami nie jadał, wyjąwszy uroczyste okazje, a i wtedy siadał u szczytu wielkiego stołu, równie oddalony ode mnie jak księżyc. Był daleko, ale jednak wystarczająco blisko, żebym zauważyła jeden ważny szczegół: na kciuku lewej ręki nosił złoty pierścień ozdobiony dziewięcioma złotymi kulkami, *palle* Medyceuszy.

Mój ojciec był jednym z Siódemki.

Nie wspomniano o moim przyszłym mężu, Niccolo della

Torre, ale wiedziałam, że traktat z Pizą dotyczący mojego małżeństwa nadal obowiązuje.

Zastanawiałam się nawet, czy zapomnieć o dumie i nie błagać Niccolo o wstawiennictwo w sprawie kuzyna. Madonna! Gotowa byłam poślubić tego człowieka, gdyby mógł ocalić swojego kuzyna, ale miałam pozostać ukryta przed jego wzrokiem aż do wiosny, kiedy dobiegnie końca moja edukacja. Jeśli odwiedzał dom mego ojca, ja o tym nie wiedziałam. Ze strzępów plotek zasłyszanych od praczek dowiedziałam się, że ustalono wysokość posagu i termin ślubu na lato, ale nie mogłam teraz o tym myśleć. Nigdy nie wyjdę za Niccolo, w głębi serca wiedziałam, że nie ma sensu prosić go, by pomógł Guidowi. Przypomniałam sobie paskudny charakter Niccolo i wiedziałam, że błagania na nic się nie zdadzą.

Przyzwyczajając się do nowego życia, nie przestawałam myśleć o Guidzie. Byłam jak pies na trzech nogach albo ptak z jednym skrzydłem, tak bardzo przyzwyczałam się do jego towarzystwa podczas tych słodkich miesięcy. A teraz nawet nie wiedziałam, czy żyje. Matka, zadowolona z mojego posłuszeństwa, dotrzymała słowa i zasięgnęła języka we florenckiej gminie na temat jego losów. Chodziłam po komnacie w oczekiwaniu na odpowiedź, a kiedy goniec wreszcie wrócił, przyniósł dobre wieści: Guida della Torre wypuszczono z Bargello, ale nic więcej nie było wiadomo. Bardzo się ucieszyłam z tej wiadomości, ale wkrótce znowu zaczęłam się niepokoić. Wiedziałam, że jeśli oddano go w ręce kuzyna, to byłby bezpieczniejszy w więzieniu. Naciskałam na matkę, żeby dowiedziała się czegoś więcej, i po jakimś czasie – było to tylko siedem dni, ale dla mnie ciągnęły się jak rok – przyniosła wieści. Głosem brzmiącym szczerze (muszę przyznać) poinformowała, że mój przyjaciel został wypuszczony prosto w ramiona braciszków z Santa Croce, pod warunkiem że nie będzie próbował opuszczać terenu klasztoru. Poczułam ulgę, choć niepozbawioną nutki wątpliwości. Wiedziałam, że Guido nie chciał wracać do zakonnego życia, ale może w obliczu śmierci pojednał się z Bogiem. Musiałam się tym zadowolić, dopóki nie uda mi się znaleźć sposobu opuszczenia tego miejsca. Bo teraz rzeczywiście znalazłam się w potrzasku. Osaczona nie tylko przez miasto, ale i przez zimę, lodowate wiatry, górskie śniegi na północy i mroźne pływy. Jednak gdyby wiadomości były złe, nic nie mogłoby mnie tu zatrzymać. Matka uważnie obserwowała moją reakcję. Pod pewnymi względami te wieści przyniosły jej taką samą ulgę jak mnie. Na pewno podejrzewała, że gdyby Guidowi groziło prawdziwe

niebezpieczeństwo, znalazłabym jakiś sposób, żeby uciec tej samej nocy.

Jednak ten cenny strzęp informacji nie zadowolił mnie na długo, a moje zwątpienie co do religijnej wolty Guida wzbierało na horyzoncie niczym chmura nabrzmiąca deszczem. Potrzebowałam dokładniejszych informacji o tym, jak sobie radzi. Czy jest zdrowy? Czy naprawdę wrócił na łono Kościoła? Pracowałam bardzo ciężko z dominikaninem i po którejś lekcji nagryzmołam pracowicie pełną kleksów krótką kartkę, błaganie o wieści, poplamione atramentem, a w każdym słowie krył się ból i nadzieja. Po długim namyśle postanowiłam wysłać tę kartkę do brata Nicodemusa, zielarza w Santa Croce, ponieważ nie chciałam zwracać uwagi na Guida ani kierować na niego podejrzeń z powodu dziwnych przesyłek z Wenecji. Byłam pewna, że Medyceusze dobrze go pilnują. Sama napisałam wskazówki i za własne pieniądze wysłałam gońca do Florencji. Takie drobne swobody stanowiły pewną rekompensatę za moje wodne więzienie.

Kiedy przyszła odpowiedź, zgasła wszelka nadzieja. Brat Nicodemus z Padwy w swojej dobroci napisał odpowiedź tak prostą, że mogłam ją sama przeczytać:

Mylisz się. Brata Guida nie ma w Santa Croce; czeka w Bargello na proces. Odwagi.

Moje serce przepełniła czarna nienawiść do matki. Co za kłamliwa suka. Jak mogłam uważać, że jest szlachetna, że miło przebywać w jej towarzystwie? Nawet mnie oczarowała po szesnastu latach obojętności. I tak mi odpłaciła. Jakże się musiała śmiać ze swojego drobnego oszustwa. Spędziłam popołudnie w swojej komnacie, miotając się między wściekłością na matkę a niepokojem o losy Guida. Jak długo będzie czekał na proces, zanim stanie pod nieuniknionym stryczkiem? Czy go torturowali, okaleczyli ciało czy duszę? Ile mam czasu, żeby go uratować?

Zastanawiałam się, czy powiedzieć matce, że wiem o jej oszustwie, ale doszłam do wniosku, że w ten sposób niczego nie osiągnę. Znalazłam się w jaskini lwicy, która zrobi wszystko, żeby mnie w tej jaskini zatrzymać. Nie opłaca się ujawniać wszystkiego, co wiem. Uczyłam się weneckich obyczajów.

Od razu pomyślałam o Wawrzyńcu Medyceuszu i jego piekielnym zabójcy, zaczęłam też zastanawiać się, jakie mają plany, bo już nie ulegało wątpliwości, że ojciec Florencji jest jednym z Siódemki i coś knuje. Jednak takie myśli zajmowały mnie zaledwie przez chwilę, zapomniałam o trzydziestu dwóch różach i o tym, co mogły oznaczać, podobnie jak o reszcie tropów, które odkryliśmy podczas naszej miesięcznej wędrówki. Schowałam *cartone* do intarsjowanej komódki w mojej komnacie, ale nigdy go nie oglądałam, byłoby to zbyt bolesne, wszak pochylałam się nad tym obrazem tak często z tym, którego nie było. Nie obchodziła mnie już cała intryga i obraz, a tylko mój zaginiony towarzysz. Nie spocznę, dopóki znowu go nie ujrzę, ale wiedziałam, że muszę poczekać, aż skończy się zima. Choć było to nie do zniesienia, musiałam założyć, że spędzę zimę w tym lodowatym mieście, niepewna co do losów mego przyjaciela. Wiedziałam także, że gmina we Florencji nie trzyma przestępców długo przy życiu, było dość złodziei i nicponiów, by

zapełnić Bargello nawet podwójną liczbą więźniów, a jego lokatorzy zmieniali się często, więc wkrótce pozbędą się mojego przyjaciela.

Od dnia, w którym dotarł do mnie list zielarza, zaczęłam planować ucieczkę.

ROZDZIAŁ 3

Zacęłam bardziej uważać na lekcjach signora Cristofora. Chciałam dowiedzieć się wszystkiego o Stato del Mar, wiedziałam bowiem, że jedyna droga ucieczki z tej skały prowadzi przez morze. Musiałam też przyznać, że nauki genueńczyka mnie ciekawią. Byłam dzieckiem morza w większym stopniu, niż mi się wydawało, bo jego opowieści o dalekich podróżach i egzotycznych lądach zafascynowały mnie. Jedynie na tych lekcjach mogłam na chwilę zapomnieć o bólu, jaki czułam na myśl o utracie Guida. Byłam jak okaleczony okręt płynący do brzegu, jak ranna syrena, co dzień głębiej zanurzająca się w wodę. Wytrwaj, kochany, zaklinałam. Przyplynie i uratuję cię, kiedy tylko nadejdzie wiosenny przyplływ.

Nie było szans, by mój genueński nauczyciel kiedykolwiek zajął miejsce utraconego przyjaciela w moim sercu. Matka, znając moją historię, wybrała nauczyciela tak brzydkiego, że nawet ja nie chciałam się z nim pieprzyć. Zresztą moje zainteresowanie mężczyznami zmalało do zera. Nawet gdyby nie zmalało, to miałam trzy podstawowe zastrzeżenia co do osoby genueńczyka:

Prima obiezione: Placek rudych włosów na jego głowie.

Seconda obiezione: Pękaty nos.

Terza obiezione: Przyrodzenie pulchne do granic przyzwoitości.

Od pierwszego spotkania wiedziałam, że to mężczyzna mądrzejszy niż wszyscy, których znam, prócz jednego.

Odbywaliśmy codzienne lekcje zawsze w tym samym miejscu, w Sala delle Mappe, wielkim salonie na górnym piętrze pałacu ojca, którego ściany pokrywały mapy i plany sporządzone przez najwybitniejszych weneckich artystów. Szlaki wędrowców przedstawione były za pomocą szerokich linii, wiatry jako brodaci bożkowie wydymający policzki i dmuchający z każdego kąta. Spłaszczony kompas tkwił na każdym rogu jak egzotyczne owoce, a niezwykle potwory wyglądały zza wzburzonego morza, podczas gdy bogato zdobione okręty z wydętymi żaglami unikały ich zębów.

Signor Cristoforo mimo nieszczególnej powierzchowności był bardzo przyjaznym, a także – kiedy już rozumiałam jego obcy akcent – zabawnym i dobrym człowiekiem, bardzo miłym towarzyszem. Pasjonował się przedmiotem, który wykładał. Po raz kolejny zobaczyłam, że cielesne żądze może przytłumić inna namiętność. Botticelli, prawdziwy geniusz w swojej dziedzinie, o mnie jako kobiecie nie myślał więcej niż o wazie z owocami, którą miał namalować. A ten dziwny człowieczek, niewiele ode mnie starszy, wolał patrzeć w oczy wiatru niż moje, na tarczę kompasu niż na moje oblicze, bardziej intensywnie wypatrywałby linii szerokości geograficznej niż mapy

cienkich niebieskich żyłek na moim dekolcie.

Teraz lepiej rozumiałam miejsce, w którym mieszkałam. Wyjątkowym zrzędzeniem geografii było odzwierciedlenie Morza Czarnego i wszystkich szlaków handlowych stąd do Konstantynopola. Od signora Cristofora dowiedziałam się o rywalizacji o te szlaki między Wenecją a Genuą, bo wydawało się, że tylko jego miasto jest portem, który może się równać z Wenecją. Opowiedział mi o współzawodnictwie w sporządzaniu map, wyścigu o stworzenie mapy świata, dążeniu do budowy coraz większych i lepszych statków, co oznaczało, że nasz półwysep panował nad morzami od zachodu i od wschodu. Nauczyłam się od niego jednostek miar, sążni, mil i stopni, przy tym bardzo mnie rozśmieszył, twierdził bowiem, że zakrzywienie horyzontu na morzu sugeruje bardzo wyraźnie, iż świat jest okrągły jak jabłko, a nie płaski jak omlet. (Mówiłam wam, że ma poczucie humoru). Od niego też dowiedziałam się, że jedna z najwcześniejszych i najlepszych map została sporządzona właśnie tutaj, w Wenecji, przez księdza znanego jako ojciec Mauro. Signor Cristoforo zabrał mnie na drugą stronę laguny na wyspę San Michele, bo dostaliśmy specjalną zgodę na wejście do klasztoru i obejrzenie mapy. Kiedy patrzyłam na szalone linie i podziały, kraje naszego świata zaznaczone na złoto na olbrzymim lazurowym kręgu, zachwyciłam się tym, jak mały jest nasz półwysep i jak przy tym silny. Kiedy wracaliśmy przez lagunę, przez wzburzone, złe, ciemne tego dnia wody, mogłam się przekonać, jak zręczny jest signor Cristoforo na morzu. Siedziałam na poduszkach, piana opryskiwała moje wargi solą niby męskim nasieniem, i byłam spokojna. Nie dla mnie rzyganie za burtę, jakiego doświadczała nieszczęsna Marta, moja panna do towarzystwa. Obserwowałam z dużą przyjemnością, jak ta zdradziecka suka wyrzuca wnętrzności. Byłam w gorszych opalach w Cieśninie Neapolitańskiej, o mało nie utonąłam. Popatrzyłam na mojego nauczyciela. Sterował sprawnie, zmrużonymi jasnymi oczami patrząc w niebo, jakby poza horyzont. Zastanawiałam się, co by powiedział na to, że mam większe doświadczenie w morskich wyprawach, niż przypuszcza. Ale mój nauczyciel był zajęty ostrzeganiem mnie przed przyplływem, *acqua alta*, który zalewał miasto każdej jesieni i wiosny. I to właśnie signor Cristoforo przekazał mi, kiedy znaleźliśmy się już bezpiecznie w basenie przy placu Świętego Marka, nad którym górowało moje białe więzienie, najcenniejszą informację. Przeklinając niezdarnych żeglarzy, którzy blokowali drogę, skarżył się, że za siedem dni sytuacja będzie dziesięć razy gorsza, bo każda gondola i *traghetto* należące do miasta wypłyną na Canal Grande z powodu karnawału. W tym czasie w mieście odbywają się wielkie uroczystości, zanim zacznie się Wielki Post. Czternaście dni pijaństwa i rozpusty i codzienne regaty na Canal Grande. Będzie dwadzieścia razy gorzej, bo w czasie karnawału wszyscy chodzą w maskach, kostiumach i w dodatku pijani, więc niedoświadczeni żeglarze są w gorszej sytuacji także dlatego, że są podpici, gorzej widzą z powodu masek i trudno im się poruszać z powodu ciężkich kostiumów. Co roku tonie wiele osób, powiedział, ale, zakończył z typową dla siebie ironią, o wiele za mało. Myślałam o tych

nieszczęśnikach spadających z balustrady i wciąganych na dno przez ciężkie aksamity i brokaty. Wyobraziłam sobie wytwornie ubrane szkielety tańczące pod nami, ściągane w głębinę przez eleganckie buty i na wieczność roztańczone w niesamowitym pląsie podczas podwodnego karnawału nieboszczyków.

Do tej pory zdążyłam już podjąć decyzję.

Gdy tylko dotarłam do swojej komnaty, odesłałam Martę. Mogła być narzędziem i szpiegiem mojej matki, ale była też leniwa, więc wyszła bardzo szybko, wiedząc, że znowu jestem bezpieczna w swojej celi. Musiałam być sama, żeby pomyśleć. Byłam tu od kilku miesięcy, mijała długa zima. W tym śnieżnym pałacu moje serce zamieniło się w lód, ale zaczynało tajać. Pojawiła się w nim nadzieja. Maleńkie ziarno wykiełkowało i rosło razem z zaczątkiem pomysłu, który sprawiał, że ciepło rozchodziło się po całym moim ciele i płonęły mi policzki. Od razu wiedziałam, że karnawał – czas masek i zamieszania, udawania i oszukiwania – to odpowiednia pora na ucieczkę. Zamierzałam opuścić miasto tak jak przed szesnastu laty, łodzią do Mestre i stamtąd wozem do Florencji na poszukiwanie tego, bez którego nie mogłam żyć.

Wiedziałam, że będzie mi potrzebna pomoc, wiedziałam też, że muszę o nią prosić signora Cristofora, bo czułam, że jest moim przyjacielem – cała służba w tym pałacu, a nawet mój ojciec, jest oczarowana przez moją matkę i całkowicie jej podporządkowana. Wiedziałam też, że naraziłabym signora Cristofora na wielkie niebezpieczeństwo, gdybym zdradziła mu swoje zamiary, ale potrafiłam myśleć jedynie o Guidzie.

Potrzebowałam kogoś, kto wywiózłby mnie łodzią z Wenecji. Zbliżał się luty, a signor Cristoforo na pewno zna każdego człowieka morza w mieście. Postanowiłam porozmawiać z nim o tym na najbliższej lekcji.

W tym dniu od rana nie miałam apetytu, odesłałam do kuchni nietkniętą tacę ze śniadaniem. Nie mogłam ustać spokojnie przy ubieraniu, choć szaty doskonale pasowały do sytuacji: suknia niebieska jak morze, śnieżnobiałe rękawy wyglądały spod płaszczyka tak białego jak grzywy fal. Kręciłam się, krzyczałam i jęczałam, podczas gdy Marta, ta ropucha, sznurowała mi gorset. Wściekałam się, kiedy mauretańska dziewczyna nacierała moje włosy oliwą i nakręcała je na gorący pręt, żeby powstały błyszczące loki, w które wpinała szafiry i kamienie księżycowe. Prawie nie patrzyłam w lustro na swoją urodę syreny, bo już niemal czułam smak wolności, marzyłam o ucieczce i nie mogłam znieść kolejnego dnia w tym miejscu. W zimnych miesiącach zimowych zapadłam w sen, ogłupiała jak niedźwiedź, i teraz nie mogłam wytrzymać ani chwili, zupełnie jakby proces Guida miał się odbyć jutro. Dziesięć, dwadzieścia razy pisałam do brata Nicodemusa z prośbą o więcej informacji, ale dostałam tylko jedną odpowiedź: brat Guido nadal marniał w Bargello, a miał być sądzony w środę popielcową.

Środa popielcowa wypadła w lutym.

Tuż po karnawale.

A jeśli zjawię się za późno?

Prawie biegłam przez korytarze do Sala delle Mappe, gdzie czekał na mnie signor Cristoforo, bo tego dnia moja toaleta trwała wyjątkowo długo. Wstał na mój widok, nie zwrócił najmniejszej uwagi na to, jak jestem wystrojona.

– Signorina Mocenigo – powiedział, uprzejmie skłaniając głowę. Usiadł podobnie jak ja przy dużym dębowym stole i rozwinął poślisk pergamin, przyciskając go na rogach astrolabium i miarką. Poczulałam ukłucie w żołądku, bo przypominałam sobie, ile razy z Guidem rozwijaliśmy *cartone Primavera*, co zazwyczaj stanowiło wstęp do gorącej dyskusji na temat jednej z postaci. – Dzisiejsza lekcja będzie poświęcona najważniejszemu narzędziu, jakie ma do dyspozycji żeglarz – zaczął nauczyciel z wyraźnym genueńskim akcentem.

Rozsadzała mnie niecierpliwość, nawet nie patrzyłam na rozłożony papier.

– Signor Cristoforo...

– Róża kompasowa.

Umilkłam. To wydawało się przydatne.

– Dzięki temu urządzeniu, zaprojektowanemu przez najlepszych uczonych, wiemy dokładnie, gdzie jesteśmy na morzu, nawet podczas sztormu czy w ciemności.

Nawet w ciemności. Jutro, z błogosławieństwem Najświętszej Panny, wypłynę z tego miasta łodzią po ciemku. Zaczęłam słuchać i patrzeć. Przedemną leżał starannie wyrysowany na papierze kompas o wielu strzałkach, a pod każdą strzałką zaznaczono kierunek. Przypominało to dziwaczny kwiat i w istocie pośrodku wszystkiego tkwiła róża, oś steru okrętu.



Signor Cristoforo wskazywał szorstkim, tępo zakończonym palcem.

– Ta figura znana jest jako róża kompasowa, ponieważ rozkład zasadniczych kierunków przypomina kwiat. Widzimy tu dobrze znane kierunki czterech wiatrów: północ na górze, południe

na dole, zachód po naszej lewej i wschód po prawej.

Na razie dobrze.

– A pomiędzy nimi?

– To bardziej dokładne określenia wypełniające podziały między wiatrami, na przykład między północą a wschodem są następujące kierunki:

Północ

Północ ku wschodowi

Północny północny wschód

Północny wschód ku północy

Północny wschód

Północny wschód ku wschodowi

Wschodni północny wschód

Wschód ku północy

Wschód.

– Rozumiesz?

Nie.

– Tak.

– To samo między wschodem a południem i na całym kole, z powrotem do północy.

W czasach starożytnych Rzymianie musieli sobie radzić zaledwie z dwunastoma *divisio*, po trzydzieści stopni każdy, co było naprawdę niebezpieczną praktyką. Teraz mamy pełne trzydzieści dwie podziały, a odwołując się do *gradians*, podpodziałek między strzałkami, z dużą dokładnością możemy określić swoje położenie na morzu, a metoda ta znana jest pod nazwą zliczenia nawigacyjnego. Właśnie ten kompas został skopiowany przeze mnie i mojego brata w naszym sklepie z mapami w Genui przy starej przystani. – Najwyraźniej przeniósł się myślami do ojczyzny. Widziałam w jego oczach tęsknotę za rodzinnym miastem, a w głosie brzmiała дума.

Poczułam do niego sympatię, kiedy zorientowałam się, że on też zostawił gdzieś swoje serce.

– Czy to brat nauczył cię kochać morze?

– On i mój teść.

– Jesteś żonaty? – Byłam zbyt zaskoczona, by to ukryć.

Wielu brzydkich mężczyzn miało żony, ale zwykle mieli też fortuny, co poprawiało ich wygląd. Ale pozbawieni urody młodzi nauczyciele z niewielkimi pieniędzmi i jeszcze mniejszymi perspektywami? Zdziwiająca. Może w Genui te sprawy załatwia się inaczej?

– Tak, z damą o imieniu Filipa, która mieszka na Azorach. – Nie wiedziałam, i nadal nie wiem, gdzie to jest. – Mam niedawno urodzonego syna, którego jeszcze nie widziałem. Ma na imię

Diego. – W jego oczach błysnęły łzy, a ja byłam wstrząśnięta, że byłam tak zajęta sobą, iż nawet nie przyszło mi do głowy zapytać, co młody człowiek robi tak daleko od domu.

– No więc – powiedział, szybko odzyskując panowanie nad sobą i wracając do pracy – może sprawdzimy, czy potrafisz zapamiętać kierunki pomiędzy północą a wschodem?

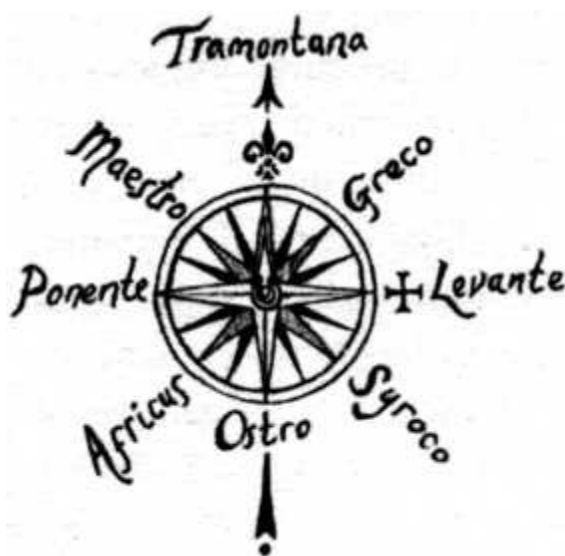
Do diabła. Myślałam o wszystkim, tylko nie o lekcji, ale nauczyciel nie zauważył, że coś jest nie tak. Podniósł astrolabium, a rysunek kompasu zwinął się błyskawicznie, pozostawiając mnie zupełnie ślepią. Przypomniałam sobie północ i mnie zatkało, ale żeglarz podpowiadał mi delikatnie i tym sposobem wymieniliśmy wszystkie kierunki. Nie było to trudne, jeśli zrobiło się jedną ćwiartkę, bo resztę łatwo było sobie przypomnieć, więc zakończyłam mój katechizm, powracając triumfalnie na północ.

– Północny północny zachód, północ ku zachodowi, północ!

– Bardzo dobrze. – Klasnął w suche dłonie. – Zboksowałaś kompas.

– Co takiego?

– Podałaś wszystkie trzydzieści dwa punkty kompasowej róży, nazywamy to boksowaniem kompasu, to zasadnicza część edukacji żeglarza. – Popatrzył na mnie jak dumny ojciec. Pamiętałam jeszcze kogoś, kto też na mnie tak spoglądał. – A teraz przejdziemy do drugiego kawałka układanki, czyli do samych wiatrów – powiedział, rozwijając inny rysunek i kładąc przyciski na jego rogach.



– To róża wiatrów, dużo starsza od róży kompasowej, używana od czasów starożytnych. Kompas wykorzystuje najnowsze zdobycze nauki, a róża wiatrów ma bardziej klasyczną proveniencję, opiera się na starożytnych mitach i legendach, a także na przesądach związanych z morzem. Ciekawe, że oba przyrządy są równie pewne i darzone takim samym zaufaniem. Wietrzne konie, jak się o nich mówi, to cztery wierzchowce eteru: północ, południe, wschód i zachód. Ich klasyczne nazwy to Boreasz na północy, Euros na wschodzie, Notus na południu i Zefir na zachodzie. Róża wiatrów nadal jest używana na Morzu Śródziemnym, a ponieważ dominujemy na tych wodach, żeglarze nazwali kierunki w naszym współczesnym języku. I tak

północ to *tramontana*, co oznacza „ponad górami” i zwykle symbolizowana jest tak jak tutaj, przez kwiat lilii. Wschód, czyli kierunek Lewantu, przedstawia krzyż maltański, bo tam leży święte miasto Jerozolima. Zobaczysz tutaj, że siedem pozostałych kierunków, czy „rumbów”, jak się o nich mówi, też nazwano wspólnie. Występuje więc Tramontana, Greco, Levante, Syroco, Ostro jako południe, Africus, Ponente jako zachód, Maestro i ponownie Tramontana.

Przestałam słuchać i miałam nadzieję, że nie będzie sprawdzał, co zapamiętałam.

Byłam pewna, że ktokolwiek podejmie się przewiezienia mnie do Mestre, ma o tym wszystkim pojęcie i nie będzie prosił o pomoc szlachetnej pasażerki.

– Posługując się wiatrami i punktami kompasu jako przewodnikami, współcześni żeglarze potrafili odkryć nieznane. Róża wiatrów i róża kompasowa, te dwa proste pomysły, pozwoliły Wenecji stać się prawdziwym Stato del Mar. Przypuszczam, że słyszałaś o Marco Polo?

Dowiedziałam się o nim podczas wycieczek z moją matką, ale nie chciałam już więcej słuchać, więc kiwnęłam głową. Jednak signor Cristoforo, tak jak brat Guido, wiedział, kiedy kłamię.

– Wrócił do domu po ćwierć wieku podróżowania po wschodzie aż do Pekinu. Rodzina go nie poznała, bo ubrany był w strój dzikiego Tataru. Rozciął tunikę i posypały się z niej diamenty i drogie kamienie. Do końca życia spisywał historię swoich podróży, ale jeszcze na łożu śmierci narzekał, że nie opisał nawet połowy tego, co widział.

Słumiłam ziewanie, bo jak wiecie, nie spałam zbyt dobrze. Chociaż podobały mi się wysypujące się na podłogę klejnoty.

– On zrobił początek. Ale nieodkrytych miejsc jest dużo więcej, mogą nimi zawładnąć inne państwa. Dużo więcej – powtórzył z nieobecnym spojrzeniem. – Ja sam jestem w waszym mieście po to, żeby zebrać pieniądze właśnie na taką wyprawę.

– Naprawdę? – A więc to dlatego przyjął tę skromną pracę w domu mojego ojca, polegającą na uczeniu głupiej dziewczki, z dala od tych, którzy go kochają.

– O tak. Mam nadzieję, że będę mógł poprosić twego ojca, pani, o fundusze. Pewnego dnia człowiek wyprawi się za granice mapy.

Ja byłabym szczęśliwa, gdybym mogła popłynąć choćby do Mestre. Skończyłabym z podróżami, gdybym tylko mogła znowu zobaczyć Guida.

– A obecnie jaki wiatr przeważa? – zapytałam chytrze.

– Zefir, wiatr zachodni. – Cristoforo się uśmiechnął. – Tu mitologia zwycięża naukę. Starożytni wierzyli, że Zefir, brat północnego wiatru, Boreasza, zakochał się w Chloris. Ta nimfa przekształciła się we Florę, którą z kolei kojarzy się z wiosennymi kwiatami.

Nic nie powiedziałam, bo nie miałam siły tłumaczyć, że o Florze i Chloris wiem więcej, niżbym chciała.

– Zefir zalecał się do Chloris, a ich potomstwo, Xantus i Brutus, to były konie, później należące do Achillesa. Stąd słowo „konie” używane przy określaniu wiatrów.

Nagle przypomniałam sobie, że brat Guido kiedyś nazwał błękitną postać w *Primaverze* Zefirem, i teraz już wiedziałam dlaczego. Zefir gwałcił Chloris, moją ukochaną matkę, która wówczas zwróciła się do Flory, czyli do mnie, po pomoc. Prychnęłam cicho. Wolałabym umrzeć, niż jej pomóc. Wszystkie cztery wiatry mogły gwałcić moją matkę po kolei, prosto w dupę, nic mnie to nie obchodziło. Jeszcze bym ją przytrzymała..

– Ale odszedłem od tematu.

(Tak jak ja).

– Przeważającym wiatrem teraz, w połowie lutego, jest Zefir. Zapowiada wiosnę, która zjawia się tutaj równo za miesiąc.

Nie mogłam już dłużej słuchać, zorientowałam się później, że to wzmianka o lutym – miesiącu środy popielcowej i procesu – boleśnie przypomniła mi Guida. Bolało mnie serce. Wiem, że jako świadkowie mojej lekcji z Cristoforem, będziecie ze mnie drwili. Tamtego dnia podsunęto jej tyle tropów. Dlaczego nie słuchała, dlaczego niczego nie zauważyła? Musicie jednak zrozumieć, że wtedy miałam w głowie tylko jedną myśl. Nie rozumiałam, że padła odpowiedź na pytanie, że drzwi zostały otwarte, a szyfr złamany. Złapałam Cristofora za rękę. Dotknęłam go po raz pierwszy i nie była to łagodna pieśczość. Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Potrzebuję pomocy – powiedziałam, wkładając wszystkie moje talenty aktorskie w błagalne spojrzenie. – Ktoś, kogo kocham, ma kłopoty. Ktoś, komu gotowa jestem pomóc za wszelką cenę. – Zacerpnęłam powietrza i wypowiedziałam następne słowa: – Moja Filipa. Mój Diego.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, po czym zapytał z westchnieniem:

– Czego potrzebujesz?

ROZDZIAŁ 4

To był zamek lwów, przystań strzeżona przez żarłoczne bestie. Byłam już wcześniej w arsenale podczas jednej z edukacyjnych wypraw z matką, ale jeszcze nigdy nie rzuciłam wyzwania istocie, która rządziła tym miastem. Teraz, kiedy zamierzałam uciec, wszędzie widziałam jej podobizny, tyle że teraz, kiedy chciałam wyrwać się z jej żarłocznych szczęk, wiedziałam, że lew świętego Marka strzeże zazdrośnie tej cytadeli, jest tu przez cały czas. Wielkie kamienne bestie strzegły żelaznych bram prowadzących do tego miejsca, do fortecy z krwistoczerwonego kamienia, zwieńczonej ostrymi zębami białych krenelaży. To były stworzenia mojej matki, nasiona lwicy, która je wykarmiła. Jeśli przejdę przez tę bramę, wkroczę do cyrku. Ona może podnieść rękę jak rzymska cesarzowa, by kazać rozszarpać mnie na strzępy, żeby następnie wkroczyli gladiatorzy i stoczyli walkę na piasku nasiąkniętym moją krwią. Signora Cristofora przepuszczono przez bramę, a ja weszłam za nim. Nawet strażnikiem była bestia – pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, była wielka kamienna twarz lwa na jednej ze ścian. Z paszczy wystawała lina, którą żeglarze wyciągali i przycinali na odpowiednią długość. Patrzyłam na tę rozdziawioną paszczę zahipnotyzowana. Po raz kolejny byłam Danielem.

Z nauk matki wiedziałam, że wprowadzono tu nadzwyczajne środki ostrożności, ale wszystkie drzwi otwierały się przed signorem Cristoforem i przede mną. Zastosowaliśmy ten sam podstęp, dzięki któremu wyszliśmy z pałacu. Pobiegłam po prostu do komnaty mojej matki po jedną z jej firmowych masek (mówię „po prostu”, ale tak naprawdę to wchodząc do komnaty matki, byłam bardziej przerażona niż przed wizytą w arsenale). Nasze podobieństwo oznaczało, że wystarczyło włożyć maskę, a już stałam się nią. Błogosławiłam chwile spędzone na małpowaniu jej sposobu mówienia i postawy, kiedy próbowałam zostać damą. Z wysoko uniesioną głową sunęłam korytarzami. Serce waliło mi ze strachu, że natknę się na oryginał. Widziałam Martę, która niosła węgiel, skinęłam głową i minęłam ją, ale nawet ta suka mnie nie poznała. Zeszłam po schodach, u których podnóża czekał na mnie Cristoforo, i bez przeszkód opuściliśmy to miejsce. Jeśli dogressa chciała odwiedzić arsenał z nauczycielem córki, to wyłącznie jej sprawa. Szliśmy szybko Riva degli Schiavoni w stronę stoczni, a naszemu podstępowi pomagał zacinający deszczyk, bo dzięki niemu wszyscy przechodnie mieli na głowach kaptury. W arsenale, tak samo jak poprzednio, przypomniła mi się tamta noc, kiedy trafiliśmy z Guidem na cieśli okrętowych pracujących w starym zamku w Pizie; zapach smoły, drewna i płótna był taki sam. Poszłam za moim nauczycielem do krytego doku, gdzie krzątali się kowale, mistrzowie kalfatażu i tracze. Wiedziałam, że to byli *arsenalotti*, huczący ul trutni z moją matką jako ich królową. To było Stato

del Mar w działaniu.

Signor Cristoforo przyjrzał się wprawnym okiem tej ludzkiej masie i złapał za rękę jednego z przechodzących mężczyzn. Był niewysoki i szczupły, miał siwe włosy i młodą twarz, ale opaloną podczas morskich podróży. Kąciki jego oczu opadały, co nadawało jego twarzy smutny wyraz. Kiedy zorientował się, kto go uwięził, uśmiechnął się czarująco, co było o tyle zaskakujące, że, jak mi się wydawało, nie miał ani jednego zęba. Obaj mężczyźni klasnęli i objęli się, klepiąc się wzajemnie po plecach. A kiedy nieznajomy się odezwał, rozpoznałam w nim genueńczyka, bo wymawiał samogłoski tak samo jak mój nauczyciel. Może to jego brat?

– Cristoforo, ty stara cipo! Jak to możliwe, że wypuścili cię z Genui?

– A ciebie nie zatrzymywali, co? – odparł mój nauczyciel w tym samym duchu. –

Słyszałem, że pozbywają się wszystkich nieurodzivych marynarzy.

– To musi tam być bardzo pusto.

Był to znany żart, więc roześmiałam się uprzejmie, zanim uświadomiłam sobie, że pod maską i kapturem i tak tego nie widać.

– A jak Lisabetta?

Nieznajomy splunął.

– Dokucza mnie i mojemu portfelowi.

– A dzieciaki?

– Tak samo. – Ale to było powiedziane z taką miłością, że aż podskoczyłam. Zorientowałam się, że zazdrozczę temu bezzębnemu żeglarzowi: był żonaty i miał dzieci, które kochał, tak jak mój nauczyciel. Przeżyłam chwilę zwątpienia, bo przecież narażałam go na niebezpieczeństwo. – A co u ciebie? Nadal uczysz? Nauczyłeś już dogaressę czegoś pożytecznego? Chryste, to smakowita baba, aż mnie kutas boli.

Teraz zachichotałam, a marynarz zajrzał pod mój kaptur i po raz pierwszy zauważył maskę. Upadł na kolana.

– O Jezu! Dogaressa! – Jego opalona twarz zbladła. – Pani, wybacz mi... – Nie wiedziałem... nie miałem na myśli niczego...

– Wstawaj, stara niedorajdo! – wykrzyknął signor Cristoforo. – Zanim wszyscy cię zobaczą. To nie dogaressa, tylko jej córka, signorina Luciana Mocenigo. To jest Bonaccorso Nivola, najlepszy żeglarz na tych i wszystkich innych wodach.

Podalam mężczyźnie rękę, bo wydawało mi się, że tak powinnam zrobić. Pocałował ją jak ktoś, kto właśnie dostał w głowę patelnią. Signor Cristoforo zaciągnął naszą trójkę za stos sosnowych desek, dwa razy wyższy niż my. Poczułam słodki zapach żywicy.

– Ona zamierza wyruszyć w podróż i chciałaby, żebyś ją zabrał.

– W podróż?

– Tak. Nadal wozisz liny do Mestre?

– Oczywiście. Tylko w ten sposób mogę utrzymać wszystkie *bambini*, które moja Lisabetta ciągle z siebie wypluwa. Kolejne w drodze.

– No to w porządku. Jeden kurs i będziesz mógł je wykarmić przez rok.

– Złoto?

– Złoto.

– Ile?

– Pięćdziesiąt dukatów.

Żeglarz zagwizdał, a ja przełknęłam ślinę. Pięćdziesiąt dukatów to fortuna! Skąd, do diabła, miałam wziąć takie pieniądze? Signor Cristoforo chyba oszalał! I wtedy zrozumiałam, choć na samą myśl o tym oblewał mnie pot. W pokoju matki stał kufer pełen złotych dukatów, widziałam go dzisiaj rano, kiedy szukałam jej masek. Madonna! Wyprostowałam się. Tylko dla Guida mogłabym znów wejść do tego pomieszczenia. Jeśli będzie trzeba, zrobię to. Żeglarze nadal prowadzili negocjacje, jakby mnie nie było.

– Kiedy?

– Jutro wieczorem. W pierwszy wieczór karnawału.

Bonaccorso Nivola zastanowił się, po czym wskazał na mnie ruchem głowy:

– Mama wie, że ona jedzie?

– Nie. To sprawa sercowa – odrzekł Cristoforo po krótkim wahaniu.

To właściwie była prawda. Opowiedziałam wszystko mojemu nauczycielowi, wiedział więc, że uciekam z powodu miłości.

Bonaccorso był szybki.

– Więc tylko w jedną stronę?

– Tak.

Żeglarz milczał.

– To ryzykowne, nie będę cię okłamywał – przyznał mój nauczyciel. – Ale potem możesz iść na emeryturę.

Bonaccorso ssał dziąsła, mlaskając głośno.

– A co, do diabła! – powiedział wreszcie i po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do mnie. – Bądź na moło San Zaccharia jutro o północy. Przynieś złoto w jedwabnej chusteczce. Będę na barce z linami. Stanę tylko na moment, nie dłużej. Zapytasz mnie, czy byłem kiedyś w Burano, żeby zobaczyć koronczarki. Rozumiesz?

Skinęłam tylko głową, bo zaniemówiłam z przerażenia i szczęścia.

– A więc do jutra – rzucił i zniknął w tłumie. Czułam się równocześnie słaba i pełna uniesienia. Załatwione. Jestem umówiona. Jutro już mnie tu nie będzie.

Pobiegliśmy do pałacu tak szybko, jak było to możliwe. Rozstaliśmy się przy schodach bez słowa. Oboje byliśmy zbyt przestraszeni i poruszeni, żeby zwrócić uwagę na fakt, że to nasze ostatnie spotkanie. Wiedziałam, że nigdy więcej nie zobaczę Cristofora, ale nie mogłam tego mówić, żeby się nie zdradzić. Miałam jednak nadzieję, że on i tak wie, iż nigdy o nim nie zapomnę, i ma świadomość, ile mu zawdzięczam.

ROZDZIAŁ 5

Nie spałam tamtej nocy i następnego dnia spędziłabym, denerwując się, gdyby ta czarownica Marta nie poinformowała mnie przy śniadaniu, że matka chce mnie zabrać na szczególną wyprawę. Przygotowałam się na uprzejme pogaduszki, kiedy będziemy krążyły po kanałach Wenecji łodzią „Bucintoro”. Bałam się, że mój sekret okaże się zbyt dużym ciężarem i przyznam się do wszystkiego pod wpływem spojrzenia jej zielonych oczu. Jednak kiedy spotkałam się z matką w sali audiencyjnej, była bez maski, a na nogach nie miała butów na grubej podeszwie. Na kremową suknię włożyła płaszcz bez rękawów w swoim ulubionym zielonym kolorze, na dole przy brzegu wyhaftowane były złote lwy. Nie nosiła żadnych klejnotów ani ozdób, ale jak to zawsze u mojej matki, jej strój i tak wydawał się bezcenny. Niewiele wiem, ale znam się na ubraniach; mistrzowskie wykonanie koronek wymagało, by starsze panie z Burano urobiły sobie ręce do łokci, a wyhaftowane maleńkie lwy przy brzegu szaty warte były setki dukatów. Włosy miała rozpuszczone, sięgały jej do pasa. Twarz nieumalowana, jedynie wargi pociągnięte błyszczącym balsamem, żeby lśniły pełnią naturalnego różu, ten sam błyszczący na powiekach, żeby oczy mogły przemawiać zielenią bardzo głębokiej wody. Wyglądała na piętnaście lat. Wtedy zorientowałam się, że wszystkie moje stroje, całe to strojenie mnie przez panny służące nie ma żadnego znaczenia, bo to moja matka jest boginią Wenus tego morza. A kiedy się uśmiechnęła, uznałam, że wygląda bezbroniście i przyjaźnie. Przez sekundę poczułam żal, że znowu ją stracę, moją *Vera Madre*, kobietę, którą przez te wszystkie lata tak obsesyjnie pragnęłam znaleźć.

Wzięła mnie za rękę.

– Chodź – powiedziała. – Dzisiaj odbędziemy najważniejszą lekcję. Będziemy się uczyły o sprawiedliwości.

O weneckiej sprawiedliwości.

Te słowa dziwnie nie pasowały do jej niewinnego wyglądu.

Miałam złe przeczucia.

Prowadziła mnie przez liczne korytarze do wewnętrznej części pałacu, gabinetów i przejść, które stykały się z publicznymi pomieszczeniami. Miała taką moc i władzę, że jej słudzy znikali, kiedy się zbliżyliśmy, komnaty pustoszały, wszyscy przerywali zajęcia i wychodzili, żeby zapewnić nam prywatność. Wreszcie dotarliśmy do czteropokojowego biura obitego ciemnym drewnem, którego nigdy jeszcze nie widziałam. W ścianie jednego z pomieszczeń osadzona była głowa lwa z rozdziawioną paszczą. Wyglądała strasznie, teraz stałam przed bestią, której tak się bałam.

– *La Bocca del Leone* – oznajmiła matka. – Paszcza lwa. Tutaj oskarżani są zdrajcy polityczni, na piśmie. Oskarżenie przechodzi potem przez pysk lwa do biur poniżej. Nasz system sądowy opiera się na takich informacjach, to dzięki nim koła się kręcą.

Serce mi zamarło, bo uświadomiłam sobie, że ci, którzy wypełniają więzienia na dole i na górze, zaczynają swoją podróż tutaj, skazani przez przyjaciół, rywali czy zazdrosnych współników.

Musiałam odchrząknąć, nim zdołałam się odezwać.

– A czy taki system nie sprzyja nadużyciom? – wydukałam. – Chodzi mi o to... czy nie służy zemście?

Wzruszyła ramionami.

– Niewykluczone. Ale jakie to ma znaczenie? W każdym przypadku dopasujemy karę do winy, jeśli w oskarżeniu jest choć ziarnko prawdy.

Przełknęłam ślinę.

– Wybaczysz mi, droga Luciano, jeśli powtórzmy teraz część naszej poprzedniej trasy, bo podobno najlepsi nauczyciele wierzą w powtarzanie wcześniej przerobionej lekcji, prawda? – Obrzuciła mnie zielonym spojrzeniem, aż musiałam spuścić wzrok. Nagle nabrałam absolutnej pewności, że mówi o Cristoforze. – Więc nie będę się usprawiedliwiała, zapewnię cię tylko, że się nie znudzisz.

Jeszcze raz przeszliśmy przez ponure, obite drewnem pomieszczenia do małych drzwiczek w ścianie. Teraz już wiedziałam, choć właściwie w głębi duszy wiedziałam przez cały czas, dokąd idziemy. Raz jeszcze zeszyliśmy po schodach z ciemnego drewna do więzienia, tego podbrzusza weneckiego państwa. Byłam coraz bardziej przerażona, skóra mi ścierpła. Zrobiło się ciemno, kiedy zamieniliśmy przestronny pałac na wąskie przejścia w *pozzi*, po raz kolejny do moich uszu dobiegły krzyki więźniów, skargi zdrowych i bełkot tych, którzy postradali zmysły. Po raz kolejny przejmujący ziąb sprawił, że dostałam gęsiej skórki, a wilgoć przeniknęła do mojego wnętrza. Widziałam wydrapane nad drzwiami numery cel. Kiedyś znani z nazwisk więźniowie stali się teraz numerami, oczekiwali na tortury lub śmierć, bo uwolnienie nigdy nie nadejdzie.

– Tutaj – powiedziała beztrąsko moja matka i skinęła głową przysadzistemu strażnikowi, który wyprostował swoje bycze ręce i odsunął się.

Popatrzyłam pytająco na matkę, a ona jeszcze raz skinęła głową. Weszłam do środka, niemal spodziewając się, że drzwi zamkną się za mną z trzaskiem, ponieważ byłam już prawie pewna, że matka coś wie. Ale zamiast tego osaczył mnie smród gówna i wymiocin, nad którym dominował słodkawy obcy zapach. Mój nos rozpoznał go wcześniej, nim zrobił to mózg. Znalazłam się znowu w moim domu nad Arno: karminowa kałuża na podłodze, a ja patrzę na Ennę z podejrzanym gardłem.

Krew.

W kącie leżała jakaś istota należąca do ciemności, zwinięta jak niemowlę, lamentująca i zapłakana. Jej łzy kapwały tak jak woda spływająca po ścianach. Cofnęłam się i popatrzyłam na obojętną twarz matki. Zdawkowo, jakby przedstawiała gości na spotkaniu towarzyskim, wypowiedziała straszliwe słowa:

– Oczywiście znasz signora Bonaccorsa Nivolę.

Na dźwięk swego imienia, jak dziecko czy pies uwrażliwione jedynie na to, jak do niego wołają, istota w kącie wyprostowała się i odwróciła twarz w moją stronę. Nie mogłam patrzeć na to, co zobaczyłam, więc opuściłam wzrok na coś jeszcze gorszego: rajtuzy miał przecięte w pachwinie, wisiał tam pojedynczy zakrwawiony wyrostek, brakowało mu dwóch ważnych kul, ponure odbicie tego, co stało się z jego twarzą. Nóż, jeszcze mokry, leżał na drewnianym stołku. Moja matka wzięła go do ręki, przyłożyła kolejno obie strony do języka i spróbowała krwi mężczyzny. Krew splamiła jej nieumalowane usta, a oczy lśniły w ciemności jak nefryty. Wybiegłam z celi, a kiedy zaczęłam wymiotować, zrozumiałam, co zobaczyłam.

Stracił oczy i jaja.

Kiedy miały mną skurcze, poczułam rękę głaszczącą mnie po plecach. Tak zachowałyby się każda normalna matka wobec chorego dziecka.

– Twój nauczyciel wrócił do Genui – powiedziała. – Nie zrobiliśmy mu krzywdy. Twój ojciec i ja chcielibyśmy, żebyś została.

Powiedziała to z dobrocią i czułością, jakby mówiła do gościa, który chce wyjechać zbyt szybko.

Strażnik, przyzwyczajony do takich scen, przypatrywał się nam obojętnie. Wyciągnął zza paska brudną szmatę, rzucił na moje rzygowiny i przejechał nogą tam i z powrotem, zostawiając na posadzce wilgotny ślad. Matka dała mu dukata, zapłatę za sprzątnięcie wymiocin dożówny. A ja pokuśtykałam po schodach i przez korytarze z powrotem do mojej komnaty.

ROZDZIAŁ 6

Bonaccorso Nivola, Bonaccorso Nivola.

Słyszałam w jego głosie strach. Pamiętam, że zapytał: „Mama wie, że ona jedzie?”. Nie pytał, czy wie ojciec. Pamiętam, jak pobladł, kiedy myślał, że stoi przed nim dogaressa. Uświadomiłam sobie, że on wiedział to, co ja odgadłam zaraz po przyjeździe: Iwica jest piękna, ale śmiertelnie groźna. Cierpiałam z powodu krzywdy jego rodziny, miałam straszne poczucie winy wobec nieznannej, niewidzianej Lisabetty. Jeśli kochała swego mężczyznę tak jak ja mojego, łączył nas wspólny los, tyle że jej był stokroć gorszy, w rzeczywistości została wdową z dziećmi pozbawionymi ojca, bez pieniędzy, z pustym łóżkiem, pustym kredensem i pustym sercem, bez bogactwa, które mogłoby ułatwić życie. Zliczanie nawigacyjne – wróciło do mnie to określenie Cristofora i nagle wydało mi się, że ma ogromne znaczenie dla losu nieszczęsnego marynarza, który zgodził się mnie stąd wywieźć. Przysięgam sobie, że pewnego dnia pomogę żonie i dzieciom Bonaccorsa, bo Bóg jeden wie, czy on kiedykolwiek wyjdzie z *pozzi*. Przynajmniej, jeśli można wierzyć matce, Cristoforo został tylko wygnany, wolno mu było wrócić do brata i do ukochanego sklepu z mapami nad brzegiem morza, a także do żony i syna, którego nigdy nie widział, i sama wzmianka o nim sprawiała, że do oczu napływały mu łzy. Cieszyłam się, że ocalał.

Jednak ja byłam w beznadziejnym położeniu. Wiedziałam, że teraz nie będę mogła uciec, że będę tu marniała, aż zostanę przewieziona za góry, do Pizy, gdzie poślubię kuzyna człowieka, którego kocham. A co gorsza, Guido nadal przebywał w Bargello, w więzieniu co najmniej tak strasznym jak to, z którego przed chwilą uciekłam.

Zdesperowana podeszłam do komódki stojącej przy oknie – czy matka szperała w moich rzeczach? Nie, złoto, które poprzedniego wieczoru ukradłam z jej komnaty, było na miejscu. Wyjęłam je, zawiązałam w chustkę, tak jak zamierzałam je dać Bonaccorsowi Nivoli jako opłatę za przejazd. Węzełek przywiązałam do biodra. Jeśli nie mogę za to kupić wolności dla siebie, to przynajmniej wyślę jego rodzinie, tak jak sobie przyrzekłam. Na dnie komody leżało jeszcze coś, zapomniane i pogniecione. Wyjęłam to na światło dzienne. *Cartone*.

Otworzyłam okno, żeby wrzucić obraz do laguny, bo zniszczył Ennę, Bemba, brata Remigia, Bonaccorsa, Guida. I mnie. Ale była to jedyna rzecz, która łączyła mnie z Guidem. Jedyna, której dotykaliśmy obydwój. Moje palce nie chciały wypuścić płótna, choć targał nim zachodni wiatr. W wyciu i jęku ciepłego powiewu wróciły do mnie słowa Cristofora, jakby przyniósł je wiosenny przypyw.

Zachodni wiatr. Zachodni wiatr zapowiada wiosnę. Zefir.

Gwałtownie zamknęłam okno. Zapaliłam świecę i ostrożnie rozwinęłam szkic, obciążyłam przyciskami rogi, tak jak zwykliśmy to robić. Raz jeszcze popatrzyłam na obraz, który tak często oglądałam z moim utraconym ukochanym. Przyjrzałam się Chloris, czyli mojej matce, która dzisiaj zakosztowała krwi mężczyzny, a tu wyglądała na niewinną i wystraszoną. Uciekała od zjawy z niebieskimi skrzydłami.

Zefir.

Wyciąga ręce w kierunku Flory – w moim kierunku – po pomoc. Zauważyłam, że suknia Chloris była bardzo podobna do tej, jaką miała dziś na sobie moja matka. Następnie znowu popatrzyłam na kwiaty wychodzące z jej ust. I po raz kolejny wróciły do mnie słowa zielarza: „Kwiaty wypadają z jej ust jak prawdy”.

Nagle nabrałam pewności, że to musi coś znaczyć, i zacisnęłam usta. Bardzo dobrze. Jeśli nie mogę uciec, mogę przynajmniej udaremnić intrygę, którą moja matka knuje z Wawrzyńcem Medyceuszem. Skoncentrowałam się na porównaniu kwiatów, które wypadły z jej ust, z tymi na sukni Flory. Wysiłałam pamięć, żeby przypomnieć sobie wszystko, co mówił zielarz, przypominając sobie równocześnie czyjś słodki głos, piękną twarz, szczupłe dłonie zapisujące nazwy kwiatów. Wpatrywałam się w każdy kwiat. Wydawało się, że jest ich dziesięć, choć od razu zauważyłam, że wiele z nich się powtarza; było więcej niż po jednym kwiatku każdego gatunku. Naliczyłam w sumie cztery różne gatunki i po długim namyśle uznałam, że wiem, jak się nazywają. Dwa kwiaty niemal uwięzły między zębami Chloris: to było *occhiocento*, czyli „sto oczu”, popularny kwiat polny. Niewielki biały kwiatek z żółtym środkiem to anemon. Następnie wypadły dwie róże, dokładnie tego gatunku, jakie miałam w spódnicy, róże, które z takim trudem i bez powodzenia staraliśmy się policzyć, bo nigdy nie doszliśmy do tego, czy jest ich trzydzieści jeden czy trzydzieści dwie. W końcu bławatek, błękitny jak laguna o zmierzchu. *Fiordaliso*. Dziesięć kwiatów i cztery gatunki. *Ochiocento*, anemon, róża i *fiordaliso*. Nie mogłam dłużej zgadywać, bo choćbym nie wiem jak usilnie próbowała, to nie pamiętałam łacińskiej nazwy żadnego kwiatka prócz róży, nawet jeśli kiedykolwiek te nazwy znałam. Więc wszystkie dane, jakie miałam, to cyfra cztery i liczba dziesięć, a także litery R, F, O i A.

Westchnęłam. Czułam, że nie ma sensu układanie słowa z tych czterech liter. Po pierwsze, znane mi nazwy kwiatów były toskańskie, nie łacińskie, a poza tym w tamtym czasie ledwo umiałam czytać, z trudem układałam litery we właściwym porządku, nie mówiąc o ułożeniu zdania. Jednak miałam tylko cztery literki, więc postanowiłam spróbować. Wiedziałam, że to wybieg, że chcę zająć czymś myśli, by nie rozmyślać o koszmarach minionego dnia ani o tym, co może spotkać innego mężczyznę, w innym więzieniu innego miasta-państwa. No więc dobrze.

R jak róża

A jak anemon

F jak *fiordaliso*

O jak *occhiocento*

Ćwiczenie było krótkie. Wreszcie ułożyłam:

RAFO

ROFA

OFAR

ORAF

FARO

FORA

AFRO

ARFO

Żadne z tych zestawień nie wyglądało mi na słowo, w każdym razie nie na takie, które bym знаła. Marzyłam o jeszcze jednym kwiatku, dającym jeszcze jedną potrzebną literę. Gdybym tylko na przykład miała L, mogłabym ułożyć FLORA, co byłoby znaczące (choć nie wiedziałam, co miałyby oznaczać). Jednak moje pragnienia nie mogły dorzucić tego, czego nie było, musiałam trzymać się tego, czym dysponowałam. Może powinnam dodać jedną literę do każdego kwiatka: dwa F, skoro pokazano dwa *fiordalisi*? I tak dalej. Ale to też nie dało rezultatu, zostałam z dziwnym zestawem liter nietworzących sensownego słowa.

Przeszłam więc do liczb. Może cztery, liczba gatunków kwiatów, albo dziesięć, liczba samych kwiatów, coś sugeruje? Ale dostałam po głowie jeszcze szybciej. Były cztery pory roku, cztery wiatry i czterech apostołów, ale nie mogłam wymyślić żadnych dziesiątek, jeśli nie liczyć przykazań, a i to głównie dlatego, że większość z nich złamałam.

Poddałam się i wyglądałam przez okno, nic nie widząc. Z przyzwyczajenia zrolowałam *cartone* i schowałam pod gorset.

To nie miało sensu. Jak ćma przestraszona po przypaleniu skrzydełka w płomieniu świecy, jak osa odganiana od dojrzałej brzoskwini ręką rozszoszczonego biesiadnika, tak ja wracałam od nowa wciąż do miejsca, które groziło mi zagładą. Nie mogłam przestać myśleć o tym, którego straciłam. Przypomniałam sobie inny wieczór w innym miejscu, gdzie kiedyś też patrzyłam na morze. Była to Zatoka Neapolitańska w dniu, kiedy zastałam Guida leżącego na łóżku z plecami wychłostanymi do krwi z powodu grzechu, który popełnił, całując mnie. Teraz, setki mil na północ, moje serce też krwawiło, choć stałam się bardziej zimna i nieczuła. Może najlepiej dla nas, żebyśmy się rozstali, może lepiej, że on umrze, bo już nigdy nie mogłabym przebywać w jego towarzystwie i nie dotykać go, nie całować. Lepiej, żeby umarł. I ja też.

Zostałam w swojej komnacie przez cały dzień, odmawiając jedzenia, picia i towarzystwa. Słońce tonęło w lagunie, gondolierzy i dziwki walczyli o wieczornych klientów. Wyczerpana,

pokonana przez poprzednią bezsenłą noc i wydarzenia tego dnia padłam na łóżko w ubraniu i natychmiast zasnęłam.

Obudziłam się, kiedy matka weszła do pokoju. Wiedziałam, że to ona, jeszcze zanim mogłam ją zobaczyć. Leżałam tyłem do drzwi, ale poznałam ją po szeleście spódnic i po oddechu. Wiedziałam, że to ona, bo poczułam skurcz strachu w piersiach, a na mojej górnej wardze pojawiły się kropelki potu. Staralam się oddychać równo i udawać, że śpię. Otworzyłam jednak odrobinę oczy i patrzyłam spod rzęs. Weszła w pole mojego widzenia, nocny anioł, jej twarz od dołu oświetlał kaganek, włosy tworzyły złotą aureolę. Najpierw podeszła do okna, a jej oddech pokrył mgiełką szybki, bo noc była zimna i padał deszcz. Podróż do Mestre byłaby straszna, byłabym przemoczona i zmarznięta, ale wolałabym to niż obecność tej kobiety. Odwróciła się, a ja zamknęłam oczy i oddychałam równo, żeby ukryć fakt, iż nie śpię. Słyszałam, jak przeszukuje pokój, szybko i systematycznie, otwiera komódkę, gdzie do tego wieczoru leżało złoto i *cartone*, ale teraz była pusta. Złoto, które ukradłam, spoczywało bezpiecznie w prowizorycznym pasie pod moimi spódnicami, a obraz na swoim zwykłym miejscu pod gorsetem. W myślach dziękowałam Matce Boskiej, że tego wieczoru nie przebrałam się w nocną koszulę i że oba sekrety miałam na sobie. Matka nie miała tu czego szukać, a kiedy to sobie uświadomiła, odwróciła się, by wyjść. Sunęła tak gładko po matach z sitowia, że zastanawiałam się, czy nie porusza się przez sen. Nagle się zatrzymała, poczułam na sobie jej wzrok, usłyszałam, jak się zbliża. Łóżko ugięło się, kiedy usiadła obok mnie, a ja czekałam na zimne cięcie noża, który pozbawił męskości Bonaccorsa Nivolę. Ale nadal udawałam, że śpię. Jeśli ta kobieta pragnie mojej śmierci, umrę teraz, bo wszystko, po co żyłam, przepadło. Poczułam dotyk, ale była to łagodna ręka, która odgarnęła złoty kosmyk z mojego oka i założyła go czule za ucho. Po czym pochyliła się niżej, pocałowała mnie w policzek, jakbym nadal była niemowlęciem, które włożyła do butelki i odesłała. Czułam ciepło jej oddechu, zasnuwającego mgiełką mój policzek jak szybę, czułam dotyk jej warg, za nimi ukrywał się język, który próbował smaku noża. I już jej nie było.

ROZDZIAŁ 7

Obudziłam się jak po koszmarze, miałam mdłości i... nadzieję. Słońce złościło moje okno i okropności poprzedniego dnia na moment zniknęły, póki pamięć znowu ich nie przywołała. Wstałam i przeciągnęłam się. Zdradzieckie ciało było głodne i spragnione, potrzebujące pomocy, żadne życia. Marta przyniosła śniadanie, które zjadłam łapczywie, nie wiedząc, co robić. Przyniosła też wspaniałą suknię pokrytą w całości piórami bażanta i odpowiednią do tego maskę. Patrzyłam na ten idiotyczny strój, nic nie rozumiejąc.

– *Carnevale* – powiedziała krótko.

Madonna! Zupełnie zapomniałam.

Ubrałam się w milczeniu, odrętwiała, pozbawiona siły i woli. Postanowiłam podporządkować się matce, bo nie widziałam możliwości ucieczki, nie miałam też nadziei, że zobaczę jeszcze Guida.

W porze pierwszej mszy zostałam wezwana do matki, która pocałowała mnie w ten sam policzek co poprzedniego wieczoru i spoglądała z wyraźną przyjemnością na mój strój. Sama ubrana była w białe pióra, a maskę lwa zamieniła na maskę łabędzia, którą założyła, kiedy tylko wyszliśmy na dwór. Ojciec w swoim *cornio* i ceremonialnym stroju spotkał się z nami u podnóża schodów Gigantów, gdzie pożegnałam się z Cristoforem. Nie przywitał się ze mną, więc mogłabym podejrzewać, że powiedziano mu o planowanej przeze mnie ucieczce, gdyby nie to, że nigdy się ze mną nie witał. Zastanawiałam się, ile wie, kiedy wyciągnął rękę do matki, a ona położyła na niej swoją dłoń.

Kiedy w otoczeniu świty kroczyliśmy po placu Świętego Marka, gołębie podrywały się przed nami jak chmura dymu. Wenecja przypominała menażerię – obywatele przebrani za papugi i lwy hasali z tygrysami i małpami, dziwki pozakrywały twarze, ale odsłoniły piersi. Sprzedawano maski i wino, cyrkowcy tańczyli na szczudłach albo żonglowali ogniem. Aktorzy wykrzykiwali swoje sprośne kwestie z za groteskowo obleśnych masek. Słońce świeciło bezlitośnie, ale powietrze było mroźne. Mój oddech dymił, ale czubek głowy płonął. Nie wiedziałam, dokąd zmierzamy, ale nie obchodziło mnie to. Szłam za matką, a ona przez cały czas mówiła o tym, co zobaczymy, w sposób tak miły i interesujący, że zaczęłam się zastanawiać, czy mój nieszczęsny umysł nie zmyślił wczorajszych wydarzeń. Była jak kurek na dachu, zmieniający się zgodnie z podmuchem wiatru. Wczoraj burza i ciemność, dzisiaj palące słońce.

Najwyraźniej mieliśmy przejść przez plac, żeby lud nas zobaczył, a potem wsiąść na „Bucintoro” przy molo San Zaccharia, żeby rozpocząć jeden z najważniejszych rytuałów festiwalu:

zaślubiny z morzem. Mój ojciec miał popłynąć na środek laguny i wrzucić do morza bezcenny pierścień, żeby przez następnych dwanaście miesięcy obdarzało miasto łaską.

O mało się nie roześmiałam na myśl o tym, że to na przystani San Zaccharia miałam się spotkać z Bonaccorsesem Nivolą.

Pogoda miała jednak inne plany. Może Boga, jeżeli w ogóle istniał, rozzłościł los nieszczęsnego marynarza, bo niebo nagle pociemniało, a z gór stoczyły się pioruny. Deszcz lunął z niebios, tłum rozproszył się pod arkady, a niebo rozdzierały srebrnobłękitne błyskawice. Dziwki uciekły z krzykiem, unosząc spódnice i pokazując owłosione nogi, piersi podskakiwały im w biegu. Pióra i futra oklapły, kostiumy krwawiły taną farbą na chodnik i do brudnej tęczy rynsztoka. Wszyscy chowali się w krużgankach dokoła placu, rozmawiając i pokrywając strach śmiechem. Przez chwilę zostałam sama, oślepił mnie deszcz, ale na moich ustach igrał uśmiech. Niech diabli wezmą weneccjan razem z ich karnawałem. Otworzyłam oczy i spojrzałam w niebo, chcąc, żeby trafił mnie piorun, mając nadzieję, iż moje mokre włosy są jeszcze na tyle złote, że sprowadzą jego uderzenie. Jakby w odpowiedzi na moje modlitwy zostałam oślepiona jeszcze raz, kiedy niebo się rozdarło, jednak piorun mnie nie trafił, natomiast błyskawica oświetliła coś, co widywałam codziennie, czego jednak nigdy nie zauważyłam.

Przed olbrzymią kopułą bazyliki, bardzo, bardzo wysoko na złoconej platformie powyżej wielkich drzwi stały cztery konie z brązu, skąpane w ogniu, szlachetne, z naprężonymi szyjami, toczące pianę z pysków i grzebiące przednimi nogami. Stały nad miastem jak groźny kwartet. Kilka lat później mój mąż powie mi, że zostały ukradzione z hipodromu w Konstantynopolu, ostatnia ocalała kwadryga rzymskiego świata i symbol świeckiej władzy Wenecji. Ale wybiegam za daleko naprzód. Jednak tamtego dnia myślałam, że bez żadnych wskazówek wiem, co te konie oznaczają. Oznaczały one, że do Wenecji zbliża się Apokalipsa. A nic mnie to nie obchodziło.

Jednakże w tej samej sekundzie, kiedy świat miał się skończyć, a ja przyjmowałam to obojętnie, mój umysł z jakiegoś niezrozumiałego powodu postanowił nadrobić własną tępotę z poprzedniego dnia. Nagle wszystko stało się jasne: kiedy cztery wiatry uderzały we mnie z czterech stron, kiedy moje pantofle napelniły się wodą, a wielki plac zaczynał tonąć, kroczyłam naprzód jak skazany na zatonięcie statek. Wreszcie uświadomiłam sobie, czego mnie nauczono. Deszcz padał mi na głowę i pojawiły się w niej trzy myśli, jakby przybyły z kroplami deszczu.

Prima convinzione: Flora ma w spódnicy trzydzieści dwie róże. Są trzydzieści dwa punkty róży kompasowej. Kompas jest kluczem.

Seconda convinzione: Są cztery wiatry na róży wiatrów, a przede mną cztery konie. Konie-wiatry to dzieci Chloris.

Terza convinzione: Zefir, wiatr zachodni, zgwałcił Chloris. Chloris – kochanka wiatru. Chloris – moja matka. Chloris, która jest Wenecją.

Wiedziałam z taką pewnością, jakby błyskawica w końcu rozświetliła gwałtownym błyskiem najciemniejsze zakątki mojego umysłu, że bez względu na to, jaki sekret ukrywa to miasto, znaleźć go można w koniu z lewej strony, koniu zachodnim, Ponente.

W Zefirze.

Poczułam, że ktoś mnie ciągnie za rękaw. Marta, mój kamień młyński, przyszła po mnie i zaprowadziła pod portyk wielkiej bazyliki, gdzie ociekała wodą księżęca świta. Na dworze szalała burza, deszcz chłostał wielki plac, aż zebrał się na nim ponad cal wody. *Acqua alta*, nadeszła wielka woda, morze upomniało się o swoje miasto. Matka z wyraźną ulgą odnotowała moją obecność, a ja po raz kolejny uświadomiłam sobie, że zależy jej na mnie i cieszy się, iż jestem bezpieczna. Ale jeszcze nie byłam bezpieczna, nikt z nas nie był. Poprzedzony silnym grzmotem dobiegł nas z góry huk i trzask, po czym zaczął sypać się tynk. Ojciec zawołał, przekrzykując wszystkich:

– Złoty dach przyciąga błyskawice, musimy wracać do palazzo.

To było najdłuższe zdanie, jakie usłyszałam z jego ust.

Najpierw poszedł on i matka, a za nimi świta. Porwali ze sobą Martę, wiedziałam, że jeszcze nie zorientowała się, iż nie idę z nimi. Ukryłam się w niszy. Nie miałam żadnego planu poza tym, by znaleźć się możliwie najdalej od mojej matki czarownicy. Potrzebowałam przestrzeni, by pomyśleć, przestrzeni, by działać. Kiedy atrium się opróżniło, spojrzałam do góry jakby w poszukiwaniu inspiracji i zobaczyłam przed sobą fantastyczną rzymską mozaikę przedstawiającą cztery pory roku. Postać Wiosny w wianku z kwiatów – i kopulujące mityczne bestie, łączące się w pary na tej arce Noego pod osłoną zielonych liści – patrzyła prosto na mnie i wskazywała ręką niebo. Wtedy wiedziałam, że mam rację.

Wślizgnęłam się do wielkiej ciemnej bazyliki. Na posadzce już zebrała się woda. Zapach kadzidła dławiał mnie w gardle, a głosy księży wznosiły się błagalnie. Nie udało im się utrzymać zarazy z dala od Wenecji nawet po to, by uratować od tego przekleństwa pierwszą żonę mojego ojca. Jednak mając tak głęboką wiarę, raz jeszcze próbowali trzymać na wodzy tę najbardziej biblijną z katastrof. Kręciłam się po narteksie, szukając drzwi, które musiały tam być, bo powiedziała mi to bogini wiosny. Znalazłam niewielki portal i zaczęłam wspinać się po schodach, coraz wyżej i wyżej, aż na galerię. Bizantyjskie twarze patrzyły na mnie z zainteresowaniem wielkimi migdałowymi oczami, nieporuszone piorunem, który wślizgnął się przez luk okna, skuszony złotymi kaflami tworzącymi ich aureole.

Kiedy wyszłam na galerię, deszcz smagnął mnie jak pięść, piorun uderzył w kopułę powyżej, raz i drugi, a ja myślałam, że usmażę się jak sznycel. Ukryłam się pod najbliższym koniem. To naprawdę ironia losu, żeby te wierzchowce wiatru osłaniały mnie teraz przed burzą. Zaledwie przed kilkoma minutami chętnie skoczyłabym stąd prosto w śmierć, ale teraz osłoniła mnie bestia, a ja chowałam się pod jej brzuchem jak żrebak. Wiedziałam, że jestem na złym skraju

– pod wschodnim koniem – więc przesunęłam się do przodu obok ośmiu długich tylnych nóg i ośmiu masywnych miedzianych jaj. Przy najbardziej na zachód wysuniętym koniu poczołgałam się do przodu i trzymając się go kurczowo, spojrzałam w górę, ocierając z oczu deszcz. Patrzyłam na olbrzymi, szlachetny, miedziany pysk konia Zefira, ale z jego dzikich oczu nie wyczytałam niczego. Podał mi jednak prawą nogę, uniesioną tak, jak zrobiłby to przyjacielski pies, prosząc, by uścisnąć mu łapę. Otuliłam zmarzniętą ręką kopyto, szukając inskrypcji czy jakiegokolwiek tropu. Miedziana kończyzna zadzwoniła, kiedy w kopułę znowu uderzył piorun, wydała cichy dźwięk jak spadająca moneta. Noga, którą trzymałam, drgnęła, skrzypnęła i została mi w ręku. Ledwo zdążyłam ją złapać. Spojrzałam w dół, przerażona tym, co zrobiłam, ale noga była wydrążona. Wydrążona i lekka.

Madonna!

Coś było w środku. Wyciągnęłam drewniany wałek, długi jak moja ręka do łokcia, podobny do tego, jakiego używają kucharze. Byłam podekscytowana, bo wiedziałam, że w środku musi coś być, zwinięty dokument, monety, obraz... Spodziewałam się, że wałek będzie wydrążony jak cylinder, ale zrobiono go z solidnego drewna. Były na nim jakieś znaki, ale te rowki i zakrzywienia, podobnie jak dziwaczne inskrypcje, nic dla mnie nie znaczyły. Mogłam tylko przypuszczać, że to podpórka użyta przez rzemieślników przy konstruowaniu bestii, szkielet do brązowego odlewu, nieprzeznaczony dla oczu widzów. Upuściłam drewno z hałasem i zakryłam twarz rękami. Kiedy ją odsłoniłam, wiedziałam, że ktoś będzie przede mną stał, Marta albo jeden ze strażników mojego ojca.

I rzeczywiście.

– Jestem gotowa – powiedziałam. – Możecie zabrać mnie teraz.

Jednak przede mną nie stała żadna z osób, których się spodziewałam, nie była to istota z tego świata. Na tylnych łapach stał wielki lew, miał pysk z kutego złota i ciało mężczyzny. Maską przypominała maski mojej matki, tyle że była pełna, nie na pół twarzy, grzywa wokół jak promienie ognia, oczy i usta otwarte jak *Bocca del Leone*. Teraz wiedziałam, że ze mną koniec, przyszła po mnie Apokalipsa. Lew świętego Marka – stworzenie, którego bałam się od chwili, gdy weszłam do arsenału i przypieczętowałam los Bonaccorsa – władca tego miasta przyszedł po mnie.

Jestem Danielem.

– Jestem gotowa – powtórzyłam. – Możesz wziąć mnie teraz. – Pomyślałam, że już jestem martwa, bo stworzenie patrzyło na mnie oczami, o których marzyłam, mówiło znanym głosem.

– Luciano, to ja.

Zdarłam maskę z jego twarzy, zarzuciłam mu ramiona na szyję i objęłam tak mocno, że o mało go nie udusiłam, płakałam i śmiałam się, pocałowałam go tysiąc razy, ale mnie powstrzymał.

– Nie ma czasu – powiedział. Podniósł drewniany wałek i wcisnął mi do ręki. – Chron mapę. Nie trać odwagi. Spotkamy się w Mediolanie.

Popatrzył na mnie, jakby chciał zapamiętać moją twarz, i zniknął w świetle błyskawicy błękitnej jak jego oczy. Marta znalazła się przy mnie, lecz zdążyłam schować do rękawa drewniany wałek.

Guido musiał minąć się z nią na schodach.

Kiedy wyszliśmy z bazyliki, burza minęła i znowu zaświeciło słońce. Na placu było pełno wody, całe miasto stało jak na lustrze. Nigdy nie widziałam tak pięknego miejsca. Marta nie chciała ryzykować, trzymała mnie za ramię żelaznym uściskiem, jutro na pewno będę miała siniak. Brodziłyśmy po kolana w wodzie, póki nie natknęłyśmy się na książęcą lektykę, którą po nas wysłano. Nie dbałam o nic.

On żył!

ROZDZIAŁ 8

Wiedziałam, że Marta, ta tchórzliwa suka, nie powie nikomu o moim zniknięciu. Na szczęście dla niej rozstałyśmy się na tak krótko, że nikt z otoczenia ojca nie zauważył, iż mnie nie ma. Po powrocie powiedziałam, że modliłyśmy się wspólnie o ratunek. Zauważyłam szybkie spojrzenie matki, która wiedziała, że nie jestem zbyt religijna, ale Marta potwierdziła moje słowa tak skwapliwie, że więcej do tego tematu nie wracano. Dziewczyna wiedziała, co jej się opłaca, bo matka kazałaby ją wychłostać, gdyby straciła mnie z oczu nawet na sekundę.

Ale potem nie sprawiałam już Marcie żadnych kłopotów, o, nie. Byłam potulna i posłuszna, jak przystało na wychowankę klasztoru. Uczestniczyłam we wszystkich wydarzeniach karnawału, rozmawiałam uprzejmie z sojusznikami ojca, szłam u boku matki, chodziłam na lekcje posłusznie i chętnie. Wystarczyło mi, że Guido żyje, że nie okaleczyły go tortury, tak jak Bonaccorsa, i że obiecał, iż się spotkamy. Nie miałam pojęcia i wcale mnie to nie obchodziło, w jaki sposób tu dotarł, wystarczyło, że był. Rozpamiętywałam nasze krótkie spotkanie setki, tysiące razy, każde spojrzenie, każde słowo. I nie mogłam odgadnąć znaczenia żadnego z nich. Nie rozumiałam, jakim cudem drewniany wałek, który przez cały czas nosiłam na sobie, miałby być mapą. Nie wiedziałam, jak i kiedy się spotkamy ani też w jaki sposób wymienione przez niego miasto pasuje do planu Siódemki. Nie przemęczałam jednak mojego udręczonego umysłu, znosiłam swój los. Nigdy nie byłam w Mediolanie, ale teraz będę, bez względu na to, ile czasu zajmie mi wymyślenie, jak się tam dostać. Moją szansą obecnie było siedzenie cicho i robienie dokładnie tego, czego oczekiwała ode mnie czarownica, dopóki nie osłabi trochę czujności i straży.

Dotarcie do Mediolanu miało się okazać łatwiejsze, niż myślałam. Gdy tylko skończył się karnawał, matka oznajmiła, że muszę się szykować do długiej podróży. Teraz, kiedy nadchodziła odwilż, miałyśmy jechać do Pizy, by spotkać się z moim narzeczonym i przygotować ślubne kontrakty. Nic mnie to wszystko nie obchodziło, ale kiedy matka omawiała trasę podróży, nastawiłam uszu: miałyśmy pojechać najpierw w góry do miejscowości Bolzano w jakiejś sprawie ojca, a potem przeprowić się przez łańcuch Dolomitów do Lombardii, zatrzymać w Mediolanie i przez Genuę pojechać do Pizy. Coraz lepiej. Dowiedziałam się też, że chociaż mamy po drodze wypełnić jakąś polityczną misję w imieniu doży, mój ojciec z nami nie pojedzie. Dla mnie była to dobra wiadomość, bo choć matka będzie podróżowała jako ambasador doży, dostanie tylko taką ochronę, jaka przysługuje rodzinie Mocenigo. Strażnicy chroniący ojca, czujni, sprawni i gwałtowni mężczyźni, byli przypisani do książęcego urzędu i przez cały czas towarzyszyli doży.

Wreszcie nadszedł ten dzień. Byłyśmy spakowane, karnawał się skończył. Chłodno

pożegnałam się z ojcem i znowu znalazłyśmy się z matką na Canal Grande, pełnych sześć miesięcy po naszym tu przybyciu.

Woda i światło.

Znowu byłam niemowlęciem kołysanym w wodnistym łonie *Vera Madre*. Byłam dzieckiem kołysanym w jej ramionach. Byłam kobietą kołysaną w łodzi. Woda pode mną. Światło nade mną. Światło pode mną, woda nade mną. Opierałam się na aksamitnych poduszkach w złotej łodzi. Jej dziób był rzeźbiony i zaostroszony jak topór kata. Służący stał z tyłu i popychał łódź żerdzią. Woda sięgała nie wyżej niż do talii, pod nami nie było niezliczonych sążni głębi, jedynie płytki rów. Nie wszystko tutaj było takie, jakie się wydawało.

Ale mnie już to nie obchodziło, te coraz nowsze podstępny miasta mojego urodzenia. Nasze rzeczy płynęły za nami na płaskodennych barkach – zmierzaliśmy do Mestre i na kontynent – Tramontana, do gór i poza nie, a potem... potem do Mediolanu i wytęsknionego spotkania. Żegnaj, zimne, lodowate, srebrne miasto. Do widzenia, szklane morze, szklane domy, szklane kanały.

Nie zmartwię się, jeśli już nigdy więcej nie zobaczę Wenecji.

VII

Bolzano, luty 1483

ROZDZIAŁ 1

W zimowym królestwie Bolzano odkryłam trzy rzeczy:

Prima scoperta: Zefir, niebieskozielony skrzydlaty duszek drzewny na obrazie *Primavera*, reprezentuje Bolzano.

Seconda scoperta: Nazwisko mojej matki.

Terza scoperta: Mogę marznąć bardziej niż w Wenecji.

Oczywiście żartuję.

Ale to chyba nie wystarczy. Powinnam opowiedzieć wam trochę więcej o moim pobycie w górach, ale robię to niechętnie i zaraz wytłumaczę dlaczego. Od momentu przybycia do chwili wyjazdu zżerała mnie niecierpliwość. Nie chciałam być nigdzie indziej, tylko w Mediolanie, i pragnęłam się tam dostać możliwie najprędzej. Nie chciałam być z nikim innym, tylko z Guidem, nie interesowało mnie inne towarzystwo. Gdybyśmy obie z matką zatrzymały się w Bolzano nie dłużej, niż wymaga zdmuchnięcie puszkę z mleczka, to i tak byłoby za długo, rozpaczliwie za długo.

Tylko nie spodziewajcie się, że Bolzano zostanie opisane równie drobiazgowo jak inne miasta, które odwiedziliśmy. Na obrazie *Primavera* Zefir nie stoi nogami na ziemi. Unosi się wysoko nad innymi postaciami. Niech to będzie moim wytłumaczeniem. Podejrzywałam, a może chciałam wierzyć, że to miasto nie odgrywa tak zasadniczej roli jak inne, że leży trochę na uboczu, jakby pominięte, pewno nie stanowi części wielkiego planu. Niezbędne, owszem, ale nie integralne (żeby użyć jednego ze słów mojego męża).

(Miał rację).

W istocie posunęłabym się nawet tak daleko, żeby zgadywać, iż Bolzano nie okaże się jednym z Siódemki. Bo na obrazie było osiem dorosłych postaci, a konspiracja obejmowała tylko siedem, przypuszczałam więc, że Genua i Mediolan to pozostałe miasta, a Bolzano nie jest szczególnie istotne.

(Myliłam się).

Z pewnością prawdą było to, że podczas mojego tam pobytu miałam wrażenie, iż nie dotykam stopami ziemi, byłam zawieszona w niebycie, ale unosiłam się w chmurze szczęścia i oczekiwania, patrząc na świat poniżej, wdychając zimne powietrze i pragnąc, żeby czas płynął jak najszybciej, zdmuchując godziny jak pyłek mleczka.

Moja matka miała sprawę do arcyksięcia Zygmunta Austriackiego, latorośli rodziny Habsburgów i kuzyna jakiego cesarza. Nazwisko Habsburgów nic dla mnie nie znaczyło, wydawało się jednak, że u wszystkich powoduje rozdziawienie gęby jak u ryby w dzień targowy,

przypuszczam więc, że była to taka rodzina jak Medyceusze, tyle że z Austrii czy może z Węgier. Albo z Niemiec. Mniejsza z tym. Gdzieś na zamarznętej północy za górami. Moja matka i jej świta nieustannie paplali o Habsburgach, o świętym cesarzu rzymskim, o górskich szlakach, kopalniach i o czymś, co nazywało się „stara szwajcarska konfederacja”. Ale ja tego nie słuchałam. Nasze kryte powozy wjeżdżały wysoko w góry, a białe szczyty w zimnym północnym słońcu robiły się bursztynoworóżowe.

I niewątpliwie piękne. Ale zimniejsze od przyływu w Boże Narodzenie.

Otulałam się futrami i myślałam o Guidzie.

Siedem nocy po opuszczeniu Wenecji, kiedy minęliśmy już Castelfranco i Trento, jadąc cały czas pod górę, znaleźliśmy się w krainie baśni. Wydawało mi się, że zostawiłam za sobą krainę ułudy, ale Bolzano miało bardzo wiele twarzy, było jak szlifowany diament. Widziałam górę przemienioną w miasto, potem miasto przemienione w górę, a każdy bok i kąt prezentowały inny widok. Gniazdo cudownego czarodzieja, które pokazywało się i znikowało. A wszystko skąpane w purpurze wschodzącego słońca jak monstrancja w świetle witraży.

Wjechaliśmy do miasta przez rodzaj ładnego placu otoczonego dziwnymi drewnianymi domami ze skrzynkami zimowych kwiatów na każdym oknie. Tu też była Duomo z dachem z płytek i z wielkim szpikulcem wieży. Przejechaliśmy przez plac, kierując się przez cały czas na północ, i tuż za miastem ruszyliśmy w stronę zamku na skale, który nie wydawał się dziełem człowieka, tylko częścią góry. W dodatku różową. Od razu pomyślałam, że to wrażenie koloru też spowodowane jest słońcem, ale w miarę jak świt przechodził w poranek, miałam się dowiedzieć, że nie jest to sztuczka oświetlenia, tylko barwa skały, z której zbudowano tę fortecę, Castello Roncolo. Nie powiedziała mi o tym matka, tylko jeden z wielu nieznanym nazwiskiem weneccyan z nami podróżujących. Mężczyzna, którego nazwiska nigdy nie starałam się poznać, a który zawsze ocierał się o moje piersi, kiedy pomagał mi wysiąść z powozu. Z ulgą i żalem zauważyłam, że matka zrezygnowała z edukowania mnie po tym, jak próbowałam uciec. Traktowała mnie łagodnie i uprzejmie, ale na ogół zostawiała w spokoju, co bardzo mi odpowiadało, bo chciałam spokojnie marzyć.

Minęliśmy bramy zamkowe, podjechaliśmy do potężnych obwarowań i pawilonu z bramą. Po niekończącej się serii wzniesień wjechaliśmy na dziedziniec, gdzie powitała nas księżęca świta, która zjawiała się, by pomóc nam wysiąść z powozów. Niestety, nie zjawili się wystarczająco szybko, by przeszkodzić mężczyźnie o nieznanym nazwisku skorzystać z okazji otarcia się o moje cycki.

Wymieniając liczne żarty, dotarliśmy do wielkiej sieni, ale kiedy weszliśmy do obszernej komnaty, nie wiedziałam, który to arcyksiążę, tylu było tam ludzi. Ponadto znacznie ciekawsze sceny zdobiły ściany. Całą komnatę ozdobiono herbami, scenami z polowań i turniejów,

wizerunkami wspaniałych szlachciców i dam, a także groteskowych olbrzymów i karłów.

Byłam tak zaabsorbowana freskami, które wydawały się bardziej realne niż oglądanie na własne oczy aktorów *commedia*, że o mało nie przegapiłam najciekawszego. Tłum rozstąpił się jak Morze Czerwone, a Ramzes i Mojżesz mierzyli się wzrokiem. Jeden z moich towarzyszy podróży zaanonsował dźwięcznym dialektem weneckim:

– Dogaressa Taddia Michiel Mocenigo!

(Nie uwierzycie, ale wtedy po raz pierwszy usłyszałam, jak ma na imię moja matka).

Dopiero teraz zwróciłam uwagę na arcyksięcia, który wstał, żeby ująć jej dłoń.

Arcyksiążę Zygmunt był kolejnym z szeregu władczych starych mężczyzn, jakich ostatnio poznałam. Miał trochę ponad pięćdziesiątkę, jego wygląd nie zwracał uwagi, chyba tylko siwe kręcone włosy, które opadały mu na ramiona. Był niezwykle chudy i mówił z silnym gardłowym akcentem, który z trudem rozumiałam. Moje nieszczęsne uszy dopiero zaczęły przyzwyczajać się do weneckiego dialektu, a teraz zmagalam się z kolejnym dziwnym językiem, kiedy arcyksiążę powitał matkę i mnie. Zaczynałam sobie uświadamiać, że całym tym półwyspem rządzą silni starcy. Król Ferdynand, papież, Wawrzyniec Medyceusz, a teraz ten arcyksiążę. Przez krótki i szalony moment poczułam przyływ dumy z mojej matki – przynajmniej w Wenecji ta nieznośna baba nosi spodnie i rządzi swoim mężczyzną, pozwalając mu wierzyć, że to on rządzi nią. Zastanawiałam się, jak często takimi mężczyznami rządzą kobiety, z którymi się ożenili czy nie ożenili, ale zanim zdążyłam się nad tym głębiej zastanowić, matka odpowiedziała na moje pytanie, pocieszając arcyksięcia po stracie żony, i niejako na tym samym oddechu zapytała go uprzejmie o zbliżające się zaślubiny. Wynikało z tego, że będzie się żenił wtedy, kiedy ja będę wychodziła za mąż, jego wybranką była Katarzyna z Saksonii. Ich związek zapowiadał się co najmniej tak szczęśliwie jak mój, bo później dowiedziałam się, że księżniczka saska miała zaledwie szesnaście lat. Będzie musiała znieść tego starca czołgającego się w nocy po jej młodym ciele. Madonna! Mam nadzieję, że jest bogaty.

Najwyraźniej był. Z bardzo krótkiej rozmowy jego i mojej matki dowiedziałam się, że jest proszony o sfinansowanie jakiegoś przedsięwzięcia, stanowiącego rodzaj partnerstwa z Wenecją. Nastawiłam uszu: czy arcyksiążę odnosi się do interesu, który matka miała załatwić w imieniu doży, czy też w grę wchodzi coś większego, czyli nieznany plan Siódemki? Musiałam się wysilać, żeby zrozumieć obcy akcent, bo arcyksiążę mówił po wenecku tak, jakby dławił się gęstą zupą.

– Uzgodniliśmy ogólne zasady, a twój pobyt tutaj wykorzystamy na ustalenie szczegółów.

A co do sprawy metalu...

Matka zgrabnie mu przerwała:

– Drogi arcyksiążę, taka rozmowa nie cieszy uszu młodych panien, a ja przywiozłam najpiękniejszą pannę Wenecji, żeby cię poznała. Niech mi będzie wolno przedstawić moją

ukochaną córkę, Lucianę Mocenigo.

Marta pchnęła mnie do przodu i oczy całego dworu spoczęły na mnie, nie wyłączając oczu władcy. Możecie pomyśleć, że krępowało mnie takie zainteresowanie, ale powiem wam, że ktoś, kto przerwał ślub Medyceuszy, komu narzeczony odsłonił włosy na oczach kongregacji, by pokazać podobieństwo do postaci z obrazu, niełatwo się peszy.

Arcyksiążę przyglądał mi się tak, jakby oceniał konia.

– Jest wspaniała. Zupełnie jak ty przed szesnastu laty. Doskonale pamiętam, kiedy byłaś równie młoda i niedoświadczona. – Wymienili znaczące spojrzenia.

A ja odgadłam trzy rzeczy:

Prima cosa: Matce udało się utrzymać w tajemnicy moją historię. „Niedoświadczona”, dobre sobie. Arcyksiążę nie miał pojęcia, że byłam dosiadaną częściej niż juczny koń pielgrzyma.

Seconda cosa: Arcyksięcia i moją matkę łączy jakaś historia z przeszłości. Słowa i sposób ich zachowania sugerują, że ten stary cap kiedyś zabrał jej dziewictwo. Ciekawa jestem, jak załatwiła to z ojcem.

Terza cosa: Bez względu na to, co zdarzyło się w przeszłości, nie jestem pewna, czy teraz ją lubi. Jego głos brzmiał ostro, jakby w gotowej tapiserii została igła, którą ktoś nieostrożny pokłuje sobie palce.

Arcyksiążę znowu się odezwał:

– Słyszę, że jest po słowie z Pizą.

– Owszem. Będzie zaślubiona w lipcu.

– Szkoda. – Arcyksiążę prychnął, najwyraźniej zapomniał już o swojej narzeczonej. Chyba uważał, że jestem w odpowiednim wieku dla niego, wszak nie miałam jeszcze osiemnastu lat. – Pewnie jest za młoda, żeby słuchać bez znużenia naszych rozmów o interesach. Czy mogłabyś, moja droga, udać się do swojej komnaty, gdzie, mam nadzieję, znajdziesz wszystko, czego ci trzeba?

Audiencja skończyła się obietnicą spotkania wieczorem na ucztę wydanej na naszą cześć. Marzyłam, żebyśmy już wyjechały, ale miałyśmy zostać do następnego dnia. Obydwie pochyliłyśmy się, by pocałować rękę arcyksięcia. Prawie się spodziewałam tego, co na niej zobaczę, więc na pewno nie będziecie zaskoczeni, jeśli powiem, że zobaczyłam złoty pierścień Medyceuszy.

Odprawiona w ten sposób wyszłam z komnaty za Martą i służącą, podczas gdy moja matka została, by opowiedzieć arcyksięciu o swoich interesach. Dotknęło mnie to i zarazem przyniosło ulgę. Matka raz jeszcze zademonstrowała, jak bardzo mi teraz nie ufa, i postarała się, żeby arcyksiążę niczego nie zdradził w mojej obecności. No dobrze, przynajmniej nie muszę wysłuchiwać jej nauk, bo nie mam głowy do polityki. Chcę tylko znowu zobaczyć mojego

ukochanego.

Krętymi kamiennymi schodkami zaprowadzono mnie do innej wielkiej komnaty w innym pałacu. Tutaj freski opowiadały historię o rycerzu, królu i damie jego serca. Nie ulegało wątpliwości, że panienska zabawiała się zarówno z królem, jak i z jego poddanym, pogromcą smoków. Westchnęłam ze smutkiem. Mnie wystarczyłby jeden mężczyzna, gdyby tylko był tym odpowiednim.

W mrocznej komnacie z trudem śledziłam historię skazanych na klęskę kochanków, otworzyłam więc okna. Widok był tak oszałamiający, że zaparło mi dech. Otaczały mnie górskie szczyty. Zamknęłam okno, ale natychmiast znowu pogrążyłam się w mroku, bo szybki były okrągłe i prymitywne, jakby ktoś odrąbał z tuzin denek od butelek i połączył je razem ilością ołowiu większą od samej szybki. Najwyraźniej wenecki geniusz szklarstwa nie dotarł jeszcze na barbarzyńską północ. Prychnęłam pogardliwie. Odległość spletała mi dziwnego figła: poczułam się dumna z ojczystego miasta. Teraz, kiedy już nie musiałam w nim mieszkać.

Znowu otworzyłam okno. Było tu tak wysoko, że chmury wisiały tuż za nim, a kanie i myszolowy lądowały na moim parapecie, przyglądając mi się z zaciekawieniem oczami jak szklane paciorki, nim dały nura w przepaść pod oknem. Zastanawiałam się, czy matka specjalnie wybrała dla mnie tę komnatę, żebym nie mogła uciec. Nawet nie położyłam ręki na klamce, bo wyraźnie słyszałam zgrzyt przekręcanego klucza. Matka nie lubiła ryzyka. Ale przynajmniej byłam sama. Lepiej być zamkniętą samotnie, niż spacerować pod okiem ciągle obecnej Marty.

Zadzwonili na nonę. Nie miałam co robić do nieszpórów i do kolacji, więc znowu wyjęłam *cartone* i umieściłam tak blisko okna, jak się odważyłam. Sama usiadłam ostrożnie na drewnianej ławce przy parapecie. Wiatr wpadał do środka, ale brak szyb stawiał mnie przed nieprzyjemnym wyborem: albo będzie zimno, albo ciemno. Nie zdjęłam futra, tylko otworzyłam okno, bo potrzebne mi było światło.

Chciałam się dowiedzieć możliwie najwięcej o Bolzano, które, co już wiedziałam, należało do Siódemki. Żeby Guido był ze mnie dumny. Żeby, skoro już tu jestem, zrobić to, czego on zrobić nie może, to znaczy odgadnąć rolę tego miejsca w wielkim planie. Czy chodzi o północ?

Najpierw popatrzyłam jeszcze raz na cały *cartone*. Wydawało mi się, że teraz znamy już całą siódemkę. Piza, Neapol, Rzym, Florencja, Wenecja, Bolzano, no i na pewno Mediolan, skoro Guido powiedział, że tam się spotkamy, a moja matka zgodziła się zatrzymać w tym mieście. Znamy też konspiratorów: Silvio della Torre z Pizy, król Neapolu i Aragonii, Jego Świątobliwość papież rzymski, doża Giovanni Mocenigo z Wenecji, hrabia Zygmunt z Bolzano i ktoś z Mediolanu, jego nazwisko pewnie zna brat Guido.

Poznaliśmy graczy, ale wciąż nie wiedzieliśmy, co zamierzają.

Jaką rolę odgrywa Genua? To morskie miasto, ojczyzna mojego wiernego przyjaciela

Cristofora? Dlaczego Genua znalazła się na obrazie, skoro nie należała do Siódemki?

Rozmyślałam nad tym tak długo, aż rozboleła mnie głowa, dałam więc za wygraną i skupiłam uwagę na postaci Zefira. Wyobraziłam sobie, że obok mnie jest brat Guido i kieruje moim rozumowaniem: „Co tu widzimy? Zaczynj od pierwszej rzeczy, która przychodzi ci na myśl”.

Szybko sporządziłam listę:

Ma skrzydła.

Jego włosy są niebieskie.

Skrzydła są niebieskie.

Jego szata jest niebieska i pofałdowana jak morze.

Jego ciało, kiedy mu się dokładnie przyjrzałam, jest bardziej srebrne niż niebieskie.

Nie widać jego stóp.

Policzki ma wydęte.

Z jego ust wylatuje srebrny strumień wiatru.

Patrzy tylko na Chloris, na nikogo więcej.

Trzyma Chloris, gotów ją zniewolić.

Za nim są gałęzie wawrzynu.

Przed nim drzewka pomarańczowe.

Jest wyżej niż Chloris czy jakkolwiek inna postać na obrazie poza Kupidynem.

Za jego lewym kolanem i pniami drzew pomarańczowych i laurowych widać srebrnoniebieski łańcuch gór.

Nawet bez mojego wykształconego przyjaciela potrafiłam wyciągnąć pewne wnioski. Zefir był wyżej od Wenus – Bolzano leżało w górach, fakt ten potwierdza srebrnoniebieski łańcuch górski przy kolanie Zefira, a także skrzydła, które wyniosą go wysoko. Było położone na północny zachód od Wenecji (błogosławiłam nauki Cristofora) i prawdopodobnie reprezentowało rodzaj groźby, bo Zefir nurkował z gór w dół. Może po to, by zaatakować? A co do koloru niebieskiego, to było łatwe, wystarczyło spojrzeć na moje nieszczęsne palce trzymające *cartone*. Niebieskie jak Boreasz – czy raczej Zefir. Znaczenie wawrzynu i pomarańczy także było jasne: Zefir znajdował się między wawrzynem, emblematem Lorenza di Pierfrancesca, a pomarańczami, emblematem Wawrzyńca Wspaniałego. Był owinięty liśćmi Medyceuszy, wplątany w ich intrygę.

Nie potrafiłam zgadnąć, dlaczego miał srebrną skórę, chyba że to jakieś odwołanie do wody. Skrzydła też mnie dziwiły. Czy wskazują na jakiegoś ptaka, czy też Zefir jest tak przedstawiony, ponieważ jest wiatrem i podróżuje w eterze? Zaczęłam liczyć pióra, pamiętając, że trzydzieści dwie róże Flory doprowadziły mnie do kompasu. Ale tamto było wystarczająco trudne, a to wydaje się niemożliwe. Szybko zrezygnowałam i spędziłam jakiś czas, próbując zinterpretować wyraz twarzy zachodniego wiatru, a także nimfy Chloris. Według Cristofora legenda mówi, że Zefir zniewolił

Chloris, uczynił ją brzemienną i nimfa urodziła wiatry pod postacią koni. Chociaż zajmuje wobec niej pozycję bardzo groźną – zlatując z góry – i chociaż ona niewątpliwie ucieka i szuka ochrony u Flory, to przy bliższym przyjrzeniu się w oczach tej pary jest więcej czułości, niż można by przypuszczać. Chloris wydaje się wręcz zahipnotyzowana, pragnąc i bojąc się równocześnie, jak dziewczica, której ktoś dotyka po raz pierwszy. Zefir też, choć z poważną miną, pochyla głowę ku swojej pani. A ręka, którą jej dotyka, jest delikatna, nie chwyta mocno, bo nie widać kciuka – w akcie przemocy niechybnie byłby widoczny, pomagałby pozostałym palcom uchwycić materiał i ciało. Nie, to raczej jest... pieszczota. Zastanawiałam się, czy był to związek obustronnie korzystny, podobnie jak zadziwiająca rozmowa, którą usłyszałam na dole. Myślę, że matka potrzebowała Zygmunta i zarazem bała się go. Arcyksiążę zaś z jakiegoś powodu potrzebował cichego przyzwolenia Wenecji, ale nie miał wobec miasta złych zamiarów. Pragnął raczej, by przymierze to przyniosło owoce. Wiemy, że moja matka to Chloris – co wynika jasno i z podobieństwa, i z jej własnych słów – a teraz wiem też, że musimy obsadzić arcyksięcia Zygmunta w naszej sztuce jako Zefira. Gdybym tylko potrafiła odgadnąć, na czym polega to ich wspólne przedsięwzięcie! Ale matka tak starannie dobierała słowa, bo nie ufała mi za grosz, odkąd próbowałam uciec. Sfrustrowana o mało nie podarłam *cartone*. Nie po raz pierwszy przeklinałam impuls, który kazał mi uciekać z Wenecji, sprowadziłam w ten sposób nieszczęście nie tylko na siebie. Powinnam była zaufać Guidowi, że po mnie przyjdzie. A teraz jestem zamknięta i nie mam pojęcia, co łączy Bolzano i Wenecję, dwa miasta należące do Siódemki.

Nagle usłyszałam zgrzyt klucza w zamku. Szybko wepchnęłam obraz za dekolt. Do pokoju wkroczyła poczciwa kobiecina o rumianych policzkach, w szarej domowej sukni i lnianym czepku. Niemal nie było jej widać spod białego futra – czyżby przyprowadziła mi do celi niedźwiedzia? W jej uśmiechu było więcej uroku niż zębów.

– To dla ciebie. Arcyksiążę... on chce. – Zakrztusiła się, ukloniła i wyszła.

Obejrzałam to, co trzymałam na rękach. Czy to kapa na łóżko, żebym nie zmarzła w nocy? Nie, bo miało rękawy i kaptur – to był płaszcz z białego futra, jakiego nigdy jeszcze nie widziałam. Otuliłam się nim zadowolona i od razu zrobiło mi się ciepło. Błogosławiłam górskiego potwora, który stracił dla mnie swoją skórę.

Odtańczyłam gige, a skóra owijała się wokół moich nóg. Nareszcie przestałam marznąć. Sceny z niewierną panią i jej dwoma kochankami kołowały wokół mnie. Nagle stanęłam jak wryta.

Nie usłyszałam zgrzytu klucza.

Z bijącym sercem przekręciłam żelazne koło w drzwiach. Obróciło się bezszelestnie, zasuwka się podniosła. Ucałowałabym poczciwą kobietę, która przyniosła mi płaszcz. Byłam wolna.

Naciągnęłam kaptur na głowę. Ponieważ nikt mnie wcześniej nie widział w tym futrze, może pozostanę w nim anonimowa, choć z pewnością nie ukryje mnie przed ludzkim wzrokiem, bo jest białe jak mleko. Zeszłam na dół korytarzami i schodami, które zapamiętałam, do sieni olbrzymów, zwanej tak z racji malowideł na ścianie. Drzwi pilnowało dwóch chamowatych żołnierzy.

Do diaska.

Obróciłam się na pięcie i weszłam po schodach. Pokonałam kilka zakrętów, żeby znaleźć komnatę, która według mnie powinna być nad wielką sienią, i tu szczęście mi dopisało. Weszłam do pustego pomieszczenia oświetlonego świecami, pomalowanego, podobnie jak reszta zamku, ale tym razem malowidła na ścianach przedstawiały sceny religijne. Znalazłam się w kaplicy.

Zamknęłam dębowe drzwi i rozejrzałam się. Do kaplicy wpadały podmuchy powietrza wraz ze strzępami rozmowy. Uklękałam jak do modlitwy i przyłożyłam ucho do szczeliny w deskach, długiej jak wiosło. Moja matka i arcyksiążę mówili podniesionymi głosami, więc wszystko słyszałam.

Najpierw matka:

– A jednak wozicie towary przez Wenecję do Aleksandrii, Tunisu, Indii...

– No właśnie, dogaresso, nasz traktat określa, że będziemy korzystali tylko z waszego portu, z waszych statków. Nie widzę powodu, żeby takie niuanse nie miały być brane pod uwagę... po wszystkim. Ale wy też macie traktat ratyfikowany przez mojego kuzyna Habsburga, gwarantujący bezpieczny przejazd przez te góry, potwierdzone cesarską pieczęcią zapewnienie, że Siódemka nie zostanie zaatakowana na ziemiach Habsburgów. Spłaciliśmy nasz dług już po wielekroć. Ale sprawa z anielem to co innego.

– Złoty aniel krąży po Anglii przez ponad dwadzieścia lat z wielkim pożytkiem dla handlu. Regulacje mogą jedynie wzmocnić handel. – To ożywiony głos mojej matki.

– To prawda, nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek spierali się w tej materii. Czy on podjął ostateczną decyzję w sprawie wag i miar?

– Rozumiemy, że próbą będzie jego floren. Albo nasz mocenigo.

– A tak, mocenigo. Pieczęć waszej rodziny. Jestem pewny, że ty byś tak wołała. Ale cofnąłem się myślami do czwartej krucjaty. Do twojego przodka, doży Enrica Dandola. Czyż nie ustalił wielkości *grosso*? Koszty wojny i pokoju są zdecydowanie wyższe. Przedsięwzięcie, które podejmujemy, będzie nas dużo kosztowało. Teraz, kiedy znowu wyruszamy na krucjatę, czy nie powinniśmy wybić ekwiwalentu?

Głos matki, podniesiony:

– *Grosso*? Chyba żartujesz. *Grosso* to sto dwadzieścia cztery *soldi*. Naprawdę sugerujesz aniele o takiej wadze? Wenecja nie ma złóż.

Głos arcyksięcia, spokojny i władczy:

– Wenecja nie ma. Ja mam.

Milczenie.

– Naprawdę? – Matka, w jej głosie słycać respekt.

– Mam tutaj własny wzorzec, wiesz.

– Wiem, nie na darmo znany jesteś jako *Münzreiche*. – Teraz matka używa pochlebstwa.

– W istocie. Więc powinnaś też wiedzieć, że mogę wziąć na siebie tę część umowy, bo te góry są bogatsze, niż mógłby sobie życzyć Salomon. Jednak nasza prośba do was, ratyfikowana przez naszego wspólnego przyjaciela, dotyczy, jak wiesz, skorzystania z waszej ekspertyzy w tej dziedzinie. Bo koszty dodatkowe są znaczne. Oznaczenie próby, odlanie, przygotowanie, tłoczenie. Czy skorzystacie z usług Zekki?

Znowu matka.

– Nie. Cała operacja musi się odbyć poza miastem. To przedsięwzięcie musi być utrzymane w tajemnicy na jego polecenie. A skoro nie możesz przyjechać do Zekki, przywiozłam Zeccę do ciebie.

– Tutaj?

– Tutaj. W mojej świcie są najlepsi rzemieślnicy, jakich ma nasze miasto, majstrowie działów w Zekce. Zamierzałam ich tu zostawić, żeby przeszkolili twoich ludzi na twoim złożu... czy na naszym złożu.

– Będzie należało do Siódemki, zgodnie z jego wolą. A więc do żadnego z nas.

– Albo do nas obojga. – Znowu uprawiali szermierkę słowną i matka wygrała pojedynek. – Jutro wyjeżdżamy, bo muszę spotkać mojego pana i władcę, dożę, w Mediolanie.

– Przywiezie mapę?

– Tak. Jest bezpieczna pod jego dachem.

Możecie sobie wyobrazić, że w tym momencie zastrzygłam uszami i poczułam, iż ścisła mnie w żołądku. Mój ojciec miał przywieźć mapę. Jeśli chodzi im o drewniany wałek, który mam w rękawie, to kiedy pójdzie go szukać w koniu Zefirze, przekona się, że zniknął. Nadal jednak nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak drewniany wałek może być mapą. Może istnieje inna mapa, którą ojciec przywiezie „spod swojego dachu”, z jakiegoś innego miejsca wskazanego na obrazie, ukrytego może gdzieś w pałacu. Ale bazylika to też był „jego dach”, matka często mi powtarzała, że ten wielki kościół jest prywatną kaplicą mojego ojca i częścią jego pałacu. Uspokoiliam błądzące myśli, żeby słucać rozmowy toczącej się na dole.

– Więc musi to być dziś wieczorem. Po uczie moi saperzy zaprowadzą na dół twoich ludzi.

– Moich ludzi i mnie.

Arcyksiężę przez chwilę milczy.

– Dogaresso, to niebezpieczne miejsce.

– Nie szkodzi. Przywykłam do niebezpieczeństwa.

– W takim razie pozwól, że poruszę pewną delikatną kwestię. Czy mogę ci polecić, żebyś włożyła... spodnie. – Stłumiony śmiech arcyksięcia, przypominający kwik świni zbierającej trufle, a ja doszłam do wniosku, że rzadko jest wesoły. Z tego żartu wyciągnęłam wniosek, że arcyksiążę słyszał te same plotki o związku moich rodziców, jakie dotarły do uszu króla Ferdynanda, a szczególnie tę, że w tym małżeństwie ona nosi spodnie.

– Bardzo dobrze. – Matka była zimna jak tutejszy klimat. – Ale chciałabym być dobrze zrozumiana: muszę zabrać ze sobą ślepy patron, żeby odbito na nim należytą i niezależną próbę.

– Niezależna próba oznaczona przez twoich inspektorów? – Arcyksiążę znowu drwił.

– Nie – matka była jak stal – przez jego inspektorów. Arcyksiążę milczy.

– W takim razie dobrze – odzywa się wreszcie. – Pozwól, że wytłoczę jeden. Wtedy będzie mógł podziwiać projekt. Zakładam, że przywiozłaś odlew?

Cisza. Domyślałam się, że matka skinęła głową.

– Sam chciałbym to zobaczyć. Może dołączę do was wieczorem, jeśli pozwolicie.

– Niech tak będzie.

Przynajmniej jedna osoba opuściła pomieszczenie. Na odgłos otwieranych drzwi podniosłam się ze zdrtwiałych kolan, potarłam obolałe ucho i pobiegłam do swojej komnaty, żeby nie spotkać na schodach matki. Próbowалам przeniknąć sens tego, co usłyszałam.

Powtarzające się odwołania do angela – anioła – wyjaśniały skrzydła Zefira, ale złoty anioł? Zefir był bardziej srebrny od wszystkiego. Przynajmniej wiedziałam na pewno, że moja matka i arcyksiążę byli zaangażowani w Siódmkę, że to nie żaden wymysł. Madonna! Matka potrafiła kłamać jak szatan. Wszystkie te jej gadki o *Primaverze* jako niewinnym prezencie ślubnym dla uczczenia piękna. Akurat.

Nie wiedziałam, co to jest Zecca, bo jeśli znajdowała się w Wenecji, to matka celowo lub nie wyłączyła ją z naszej trasy. Rozmowa o traktatach i handlu niezbyt mnie interesowała, żalowałam, że nie słuchałam uważniej tego, co mówiła matka, kiedy udzielała mi nauk. Byłam trochę bliżej zrozumienia, dlaczego przyjechał z nami cały powóz nieznajomych mężczyzn. Okazało się, że to jacyś eksperci. Westchnęłam. Przez podsłuchiwanie nie stałam się mądrzejsza, ale wiedziałam jedno: muszę wieczorem pójść za matką i arcyksięciem, dokądkolwiek poprowadzi ta ich „niebezpieczna droga”.

Wiedziałam, że będzie to trudne, bo gdy tylko wróciłam do swojej komnaty, weszła Marta z poczciwą kobietą, która wcześniej przyniosła mi futro. Tym razem kobieta przyniosła suknię dobraną kolorem do zamkowych kamieni i jakieś rzadkie różowe diamenty osadzone w grzebieniach z kości słoniowej do wpięcia we włosy. Obydwie zaczęły w milczeniu

przygotowywać mnie do kolacji. Grzebiecie w niezgrabnych palcach Marty wielokrotnie trafiały w czułe punkty czaszki, co kazało mi zatęsknić za Yassermin. Kiedy skończyły mnie ubierać, musiałam wyglądać dobrze, bo poczciwa kobiecina wykrzyknęła coś w swoim dziwnym języku i klasnęła. Bez futra trzęsłam się z zimna i ekscytacji, ciekawa, co przyniesie wieczór, więc po skończonej toalecie znowu otuliłam się futrzanym płaszczem.

Zeszliśmy do innej wielkiej sieni, ozdobionej scenami turniejowymi, i usiadłszy przy jednym z czterech stołów ustawionych w kwadrat. Powitałam arcyksięcia i podziękowałam mu za futro. Wygłosił jakąś uprzejmość w swoim dialekcie, pewnie komplement, bo miał na ustach ten swój wilczy uśmiezek. Potem powiedział coś, co zabrzmiało jak *Ursus maritimus*. Znałam trochę łacinę, bo przebywałam przecież w towarzystwie Guida, ale moje tłumaczenie w tym przypadku nie mogło być dokładne. Czy on naprawdę myślał, że ten płaszcz zrobiony jest z jakiegoś wielkiego białego niedźwiedzia, który pływał w zimnym północnym morzu? Uśmiechnęłam się, skinęłam głową i usiadłam na swoim miejscu. Zostawiłam go niepoślednim wdziękom mojej matki.

Nie spodziewałam się wiele po posiłku, bo wydawało się, że wszystko w Castello Roncolo cofa nas w czasie o co najmniej sto lat. Już widziałam otwarty ogień płonący w wielkich zamkowych paleniskach, a w komnatach dym tak gęsty, że trudno było zobaczyć własną rękę. Zamkowe psy przykucnęły na deskach, śliniąc się od zapachu mięsa w nadziei na kilka kąsków. Niemal spodziewałam się, że pojawi się błazen, i rzeczywiście przyszedł ktoś podobny, jakiś głupawy chłop w stroju błazna, zaczął zawodzić ludowe piosenki, a wył tak fałszywie, że dołączyły do niego psy. Inny dał w niezwykle długi róg, więc błazen zaczął skakać jak szaleniec. Klepał się po różnych częściach ciała, wybijając rytm. Zastanawiałam się, czy się opił, a jego poczynania podsunęły mi pewien pomysł.

Zgodnie ze zwyczajem jadliśmy z Martą z jednego talerza, na wypadek gdyby ktoś chciał otruć córkę doży. Była to dziwna uczta: jedliśmy proste chłopskie potrawy. Podano wędzoną szynkę, zwaną speck, cuchnący miejscowy ser, orzechy i dziwne małe placki, które chyba nazywano *Knödel*. Tęskniłam za stołem mojego ojca, za pyszną rybą i makaronem, które co wieczór jadalśmy na kolację. Ale tamtego wieczoru jedzenie nie było moim głównym problemem. Na szczęście piłyśmy też z Martą wino z jednego dzbanka. Posiłek mógł być prymitywny, ale wina było pod dostatkiem. Żółte jak szczyry stało w glinianym dzbanku obłożonym lodem. Jeden duży łyk sprawił, że wewnątrz poczułam większy ziąb niż na zewnątrz. Dobrze. Pomogło mi to, że nie lubiłam białego wina, więc miałam trzeźwą głowę. Odsunęłam dzban i napełniłam kieliszek Marty. Patrzyłam, jak pije, i znowu jej nalałam. Zachłanna dziewczucha wypila duszkciem.

Mój plan wymagał, by to Marta wypila większą część dzbanka. Osuszyła go do dna. Poprosiłam o więcej. Przy drugim dzbanku ta ponura brzydka dziewczyna miała rozpaloną twarz i rozgadała się, opierając się na moim ramieniu jak przyjaciółka i opowiadając mi o chłopaku

z kuchni mojego ojca, który ma na imię Alvise i który kiedyś przewrócił ją na *calle*. Było mi jej żal, bo chyba zapewniałam jej niezłą chłostę o świcie.

Mój plan działał wręcz za dobrze. Marta była w takim stanie, że musiałyśmy odejść od stołu, zanim wypadało to zrobić. Matka patrzyła na mnie uważnie, ale ponieważ była przy mnie Marta, nie zauważyła niczego niestosownego i na powrót zajęła się arcyksięciem.

Gdy tylko na dziedzińcu owiało nas świeże powietrze, Marta zwymiotowała. Musiałam jej pomóc dojść do pokoju, a ponieważ nie mogła nawet postawić jednej nogi przed drugą, odebranie jej klucza i schowanie go do kieszeni było dziecinnie proste. W malowanej komnacie padła na swoje rozkładane łóżko stojące u stóp mojego i zaczęła chrapać, jeszcze zanim dotknęła głową poduszki. Wymknęłam się i zamknęłam ją na klucz.

Zeszłam na dziedziniec i czałam się w cieniu, póki uczta nie dobiegła końca. Błogosławiłam mój nowy płaszcz, ale też przeklinałam jego kolor. Niech diabli porwą *Ursusa maritimus*, gdziekolwiek żyje. Wiedziałam, że w takim ubraniu trudno będzie iść za matką, bo wyglądałam jak chodząca zaspą.

I wreszcie moja matka i arcyksiążę wyszli, a ich świtę stanowiło pół tuzina nieznajomych weneccjan. Czałam się przy bramie i dołączyłam cicho do grupy, kiedy strażnicy wypuścili ich poza mury. Zaraz potem znowu ukryłam się w krzakach. Teraz *Ursus maritimus* znowu był moim przyjacielem, bo w jego białym futrze byłam niewidzialna w zimowym pejzażu. Zostałam z tyłu, ale nie bałam się, że stracę ich z oczu, bo wszyscy nieśli pochodnie, a ich światło prowadziło mnie niczym gwiazda betlejemska.

Przez jakiś czas schodziłam za bursztynową konstelacją, dopóki się nie zatrzymali, po czym ogon komety zniknął, zostawiając płonący krąg, i nagle światło przepadło.

Z mocno bijącym sercem podążyłam do tego miejsca. Na niewielkiej polance nie było się gdzie ukryć, ale grupa zniknęła, więc nieostrożnie pomknęłam przez otwartą przestrzeń, rozglądając się, lecz nie patrząc w dół. W pewnym momencie zatrzymałam się, padłam na kolana i wreszcie spojrzałam pod nogi. Wtedy zorientowałam się, jakie to szczęście, że zatrzymałam się właśnie tutaj, bo znalazłam się na skraju dziury rozwartej niby studnia, schodzącej w atramentową czerń. Zadrzałam pod futrem, bo równie dobrze mogłam do niej wpaść i skrócić kark w niezbadanej głębi. Teraz zrozumiałam, dlaczego światła pochodni najpierw utworzyły krąg, a potem zniknęły: wszyscy zeszli na dół. Światło zamigotało w paszczy jaskini, po czym zanikło, kiedy grupa weszła do szybu. Położyłam się na brzuchu i przysunęłam do krawędzi otworu. Z jego głębi wydobywał się głęboki szafranowy blask. Domyśliłam się, że nie jest to studnia, lecz wejście do podziemnego tunelu. Nie dochodziły stamtąd żadne odgłosy, wiedziałam więc, że jest bardzo głęboki. Szukałam w miękkiej ziemi czegoś, czego mogłabym się złapać, i wymacałam tłustą linę przywiązaną do palika. Nabrałam powietrza, jak przed nurkowaniem, i opuściłam się do otworu.

W ścianach były stopnie wyrąbane w skale, ale moje eleganckie buty z wydłużonymi noskami się w nich nie mieściły. Stopy po omacku szukały oparcia, ręce z trudem wytrzymywały. Płaszcz był cięższy niż kamień młyński, powinnam była go zostawić w zagajniku. Marzyłam o tym, żeby zrzucić buty, ale nie miałam odwagi. Bałam się, iż spadną na kogoś na dole i zdradzą moją obecność. Częściowo ześlizgnęłam się, częściowo odepchnęłam nogami od ścian aż na sam dół. Ręce bez rękawiczek miałam obtarte od liny, moje nogi uginały się z wysiłku. Miałam nadzieję, że szyb nie jest zbyt głęboki, i nawiedziła mnie ponura myśl o głowie brata Remigia, odciętej i lecącej w głąb studni w Santa Croce. Opanowałam narastający strach i myślałam o przyjemniejszych chwilach pod ziemią, kiedy byłam z Guidem w rzymskich katakumbach. Mając przed oczami jego twarz, nabrałam odwagi i w tym samym momencie dotknęłam stopami ziemi.

Teraz pojawił się nowy problem. Od głównego szybu odchodziło sześć tuneli, a ponieważ samo atrium naszpikowane było pochodniami umocowanymi w specjalnych otworach w ścianach, więc nie mogłam zgadnąć, którędy poszła matka z arcyksięciem. Nasłuchiwałam, starając się uspokoić oddech i serce, i wtedy usłyszałam dźwięczny odgłos, jakby uderzenie metalu o metal. Czyba nikt tu nie walczył? Czy szykowała się jakaś zdrada? Czy arcyksiążę ściągnął moją matkę pod ziemię, żeby ją zamordować? Z mieszanymi uczuciami co do matki – czy mnie obchodzi, czy nie – pospieszyłam cicho w kierunku, skąd dochodziły odgłosy.

Schodziłam coraz niżej, kamienie pod stopami z każdym krokiem stawały się coraz bardziej śliskie. Wąski tunel rozszerzył się w jaskinię, a bursztynowy odblask stał się wyraźniejszy. Wiedziałam, że wszyscy są w grocie, do której się zbliżałam, bo słyszałam głosy arcyksięcia i mojej matki odbijające się echem. Wspięłam się wysoko na wychodnię i spojrzałam z góry, skąd mogłam widzieć wszystkich odbywających naradę w kręgu pochodni. Miałam wrażenie, że oglądam szopkę. Moja matka, cała i zdrowa, mówiła, a jej głos odbijał się echem od skał:

– Arcyksiążę, pozwól przedstawić sobie najlepszych, jakich może zaproponować Zecca. To signor da Mosto, nasz probierczy.

– Ponury facet w czarno-białym płaszczu i w miękkim kwadratowym filcowym kapeluszu wystąpił do przodu. – A to signor Mantovano, nasz kowal. – Przysadzisty facet z tak brudnymi rękami, jakich jeszcze nigdy nie widziałam. – Signor Contino, nasz złotnik. – Aha, to ten obleśny człowiek z powozu.

– I signor Sarpi, nasz menniczny. – Signor Sarpi był gigantycznym mężczyzną. Ubrany jedynie w spodnie i szeroki pas zapaśnika wymachiwał młotem. Nie bałam się już o matkę, skoro miała na swoje rozkazy takich mężczyzn. – A kiedy mówię, że to najlepsi, jakich może zaproponować Zecca, to wiesz, że są najlepsi ze wszystkich, bo nie muszę ci przypominać, że wenecka Zecca to najlepsza mennica na ziemi. – Słyszałam w jej głosie dumę, ale nadal nie rozumiałam, o czym mówi. Czym zajmuje się ta dziwna grupa mężczyzn? Dlaczego są tak ważni,

że podróżowali kareta Mocenigo? Dwaj mieli szlachetny wygląd, ale dwaj pozostali wyglądali na wieśniaków. – Signor Mantovano, poproszę matrycę. – Matka wyciągnęła rękę, a kowal położył na tej ręce jakiś przedmiot, który musiał być ciężki, bo ręka się ugięła. Ta rzecz dzieliła się na dwie części. – Pieczęć – rozkazała matka.

– Mógłbym zobaczyć? – Arcyksiążę wszedł w krąg światła. Po chwili powiedział: – Niezwykły projekt. Zbyt ozdobny, ale znamy gust naszego przyjaciela. A tematy bardzo stosowne. Zobaczmy krążek. – Podeszedł złotnik z okrągłą srebrną tarczą, pobłyskującą w świetle pochodni.

Teraz przyszła kolej na probierczego. Podeszedł z małą wagą: dwie małe mosiężne szalki zawieszane na miedzianej poprzeczce na cienkim złotym łańcuszku. Zręcznie położył na jednej szalce ołowianą sztabkę, a krążek na drugiej.

– Sto dwadzieścia cztery – oznajmił. – Oświadczam, że to srebrny angel.

– A więc – powiedział arcyksiążę, zacierając ręce jak dziecko w zimie. – Wybijmy jeden. Signor? – zwrócił się do mennicznego. Złotnik wziął odlew, położył na nim pusty krążek, drugą część matrycy położył na wierzchu i odsunął się. – Jesteśmy świadkami historii – stwierdził arcyksiążę, kiedy menniczny zamachnął się młotem i z wielką siłą rąbnął w górę matrycy.

Historia najwyraźniej nie była jeszcze gotowa na świadków, bo krzepki menniczny, wybity z rytmu uderzenia przez poważne stwierdzenie arcyksięcia, trafił niedokładnie. Krążek poleciał w ciemność i przemknął mi koło ucha. Wszyscy spojrzeli w moją stronę, a ja cofnęłam się najszybciej, jak mogłam. Kiedy się chowałam, prawda wyszła na jaw, bo u moich stóp leżała srebrna moneta, dokładnie w miejscu, gdzie upadła. Anioł przyleciał do mnie. Zdążyłam schować ją w rękawie i wstałam.

Kiedy spojrzałam w dół, wszyscy bardzo zmieszani poruszali nogami, arcyksiążę patrzył na matkę z pytająco uniesioną brwią.

– Przepraszam, dogaresso – odezwał się cicho olbrzym. – To przez światło. Zazwyczaj nie biję przy pochodni.

– Postaraj się zrobić to lepiej. – Matka splunęła. Wiedziałam, że gdyby nie był tak olbrzymi, wymierzyłaby mu policzek. – W grę wchodzi reputacja twojej gildii i reputacja Wenecji.

Tym razem uderzenie było celne, zadźwięczało jak dzwon. Wybito pierwszego angela, wyjęto go z matrycy i podano arcyksięciu.

Obracał go w dłoni.

– Bardzo ładna. Zatrzymam ją, żeby pokazać cesarzowi. – Oddał monetę służącemu, zanim moja matka zdążyła zaprotestować.

To musiało być zakończenie ich interesów. Zsunęłam się na ziemię możliwie najzręczniejszym.

Ale szczęście mnie opuściło. Zejście z wychodni zapoczątkowało niewielką lawinę kamyczków, a grupa u podnóża skał zamilkła, słysząc ten odgłos.

– Szpiedzy! – syknął arcyksiążę Zygmunt. – Szybciej! Zareagowałam na ten okrzyk, choć nie był skierowany do mnie, i ruszyłam do atrium tak szybko, jakby od tego zależało moje życie. Nie mógł mi przeszkodzić ani futrzany płaszcz, ani buty, kiedy wciągałam się po linie na polankę, po czym wpadłam do zagajnika i skryłam się za najgrubszym pnem. W panice o mało nie pobiegłam prosto do zamku, ale uświadomiłam sobie w porę, że samej mnie nie wpuszczą. Kilka następnych chwil oczekiwania na pozostałych było prawdziwą męką, ciało chciało biec, a umysł wiedział, że nie należy. Dwaj strażnicy, moja matka, arcyksiążę i wenecjanie po kolei wyszli z szybu.

– Nie ma nikogo – stwierdził arcyksiążę i spojrzał na matkę. – Pewnie szczur. – W jego głosie znowu zabrzmiał ten pół drwiący, pół żartobliwy ton. Nadal nie mogłam odgadnąć, czy jej nienawidzi, czy ją kocha. Rzeczywiście byli Zefirem i Chloris. – Dogaresso, nie boisz się szczurów?

– Nie tych z królestwa zwierząt, nie – odpowiedziała matka, ale minę miała czujną. – Proponuję powrót do zamku. Jest jedna sprawa, co do której muszę się upewnić.

Poczułam zimny dreszcz, niemający nic wspólnego z chłodem o północy, wiedziałam bowiem, że mówi o mnie. Włókłam się za nimi do castello. Kontynuowali naradę, ale nic nie słyszałam z powodu krwi pulsującej w skroniach. Myślałam tylko o tym, żeby znaleźć się w swojej komnacie, zanim matka zorientuje się, że wychodziłam. Nie mogłam uwierzyć, że podjęłam takie ryzyko, zamiast zostać bezpiecznie w łóżku, zasnąć smacznie w oczekiwaniu na to, że nazajutrz karetą zawiezie mnie do Mediolanu i do Guida. Miałam nadzieję, że moneta, którą trzymam, warta była takiego ryzyka. Nie uwierzyłam, że uda mi się wejść do zamku ze wszystkimi. Z pewnością wyjść z zamku może każdy, ale wejście to zupełnie inna sprawa. Jednak senni strażnicy tylko policzyli wracających, a ponieważ ich liczba zgadzała się z liczbą wychodzących, wpuszczono mnie wraz z innymi. Na szczęście matka musiała życzyć arcyksięciu dobrej nocy, jak należało, mogłam więc wślizgnąć się po schodach pawilonu z bramą. Biegłam do swojej komnaty, szukając klucza, który ukradłam Marcie. Zazgrzytał w zamku, bo drżała mi ręka. Czy Marta się obudzi? Drzwi się otworzyły i zobaczyłam moją durną służącą w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawiłam. Zamknęłam drzwi na klucz, zrzuciłam buty i pośpiesznie zdjęłam suknię. Wskoczyłam do łóżka i przykryłam się skórą białego niedźwiedzia. Teraz nie miałam już gęsiej skórki, raczej płonęłam z gorąca. Wiedziałam, że mam czerwone policzki i włosy wilgotne od chłodnego nocnego powietrza, odwróciłam więc twarz od drzwi i próbowałam uspokoić oddech, bo byłam pewna, że matka zaraz przyjdzie.

I przyszła. Rozległo się wściekłe pukanie do drzwi.

– Marta! Marta! Marta!

Pukanie stało się głośniejsze, a moja służąca wstała, potykając się, podeszła do drzwi

i zaczęła majstrować przy kluczu. Drzwi otworzyły się szeroko, matka weszła do pokoju. Od razu mnie zobaczyła, bo ściszyła głos do szeptu, ale najwyraźniej Marcie ten szept wydawał się równie przerażający.

– Ty głupia dziewczyno, nie słyszysz, że cię wołam?

Marta coś wybełkotała. Potem usłyszałam dwa odgłosy mocnych uderzeń.

– Teraz mnie usłyszysz. Słuchaj uważnie. Czy signorina Luciana wychodziła dziś wieczorem z komnaty? Czy wychodziła?

– Nie, dogaresso – zapewniała nieszczęsna służąca. – Po kolacji przyszliśmy tutaj i położyliśmy się spać.

Słyszałam ulgę w oddechu mojej matki, teraz próbowała usprawiedliwić to pośpieszne wtargnięcie.

– Ocknij się, ty durna zapita gówniario! Masz pilnować mojej córki przez cały czas, rozumiesz? Nie pozwoliłam ci spać! Możesz spać jutro w karecie, kiedy ja zajmę się dogaressiną. Słyszysz?

– Tak, dogaresso.

Przez cały czas udawałam, że śpię, ale jak możecie sobie wyobrazić, słuchałam uważnie. Po raz kolejny miałam dziwne wrażenie, że matka naprawdę mnie kocha i że w równym stopniu jest zaniepokojona tym, iż ją szpiegowałam, jak i tym, iż mogło spotkać mnie coś złego, gdybym wyszła z pokoju. Była zmienna, ale teraz najbardziej obawiałam się, że podejdzie do łóżka i usiądzie koło mnie, jak to już kiedyś zrobiła. Gdyby miała pogłaskać mnie po włosach czy nawet pocałować rozpalony policzek, jak zrobiła w Wenecji, to byłby mój koniec. Ale wydawało mi się, iż wystarczająco dobrze poznałam swoją matkę, żeby wiedzieć, że w obecności sługi nie okaże słabości.

I miałam rację. Wyszła, a moja pokojówka usiadła na twardej ławie pod oknem, zmęczona i czujna, żeby mnie obserwować, kiedy noc przechodziła w świt. Kiedy moje serce się uspokoiło i wreszcie zapadałam w sen, prawie było mi jej żal. Prawie.

W pogodny poranek opuściliśmy miasto. Kiedy nasze powozy oddalały się od bram, zorientowałam się, że arcyksiążę nie wstał, żeby nas pożegnać, i nie mogłam go za to winić, bo sama spałam zaledwie kilka godzin. Dziwnych weneccjan już z nami nie było. Teraz wiedziałam, że zostali, żeby przyuczać górników i mennicznych Zygmunta. Wydawało się, że matka była usatysfakcjonowana tym, jak zostały załatwione sprawy, bo nawet ona rozluźniła się na tyle, by pospać. Nigdy nie widziałam jej śpiącej. Spała spokojnie naprzeciwko mnie. Żadnego chrapania ani ślinienia się, co właśnie robiła Marta na moim lewym ramieniu. Podczas odpoczynku twarz matki odprężała się, traciła całą wyniosłość i wyglądała młodziej niż kiedykolwiek. Długie rzęsy ocieniały policzki, poranne słońce podświetlało włoski na jej skórze, wyglądające jak ciepły meszek na

moreli. Wargi lekko rozchylone, różowe i pełne, perłowe zęby. Długie włosy leżały luźno na ramionach, złociły się w słońcu jak jęczmień przed żniwami. Musiałam przyznać, że ta diablica była piękna.

Poprawiłam się na siedzeniu, gotowa zasnąć, ale srebrna moneta w rękawie uciskała mnie w bok. Wyjęłam ją, żeby obejrzeć bezpiecznie w towarzystwie śpiących. Po jednej stronie widniała głowa mężczyzny z profilu, który tak dobrze znałam, bo widziałam go i podziwiałam w jego rodzinnym kościele San Lorenzo we Florencji podczas zaślubin jego imiennika.

Był to szlachetny profil Medyceuszy. Wawrzyniec Wspaniały.

A więc Wawrzyniec to był „on”, ktoś, kogo arcyksiążę i matka ciągle wspominali, ani razu nie wymawiając jego imienia.

Jednak dziwne było to, że miał liście laurowe ułożone jak promienie słońca w girlandzie Sol Invictus, którą widziałam w Rzymie. A po drugiej stronie w srebrze wycięte było tylko jedno słowo, które z trudem przeliterowałam:

I-T-A-L-I-A.

„Italia”. Obracałam w ręku monetę, poranne słońce odbijało się od świeżo wytłoczonego srebra, jego błyski krzyżowały się na twarzy mojej śpiącej matki. Co zamierza ona, Wawrzyniec i reszta? Italia. To słowo nic dla mnie nie znaczyło, nie było jednak całkiem nieznanym, na pewno już je kiedyś słyszałam. Byłam zbyt zmęczona, żeby wysilać nieszczęsny umysł. Przypomnę sobie. Italia. Italia. Słowo złało się ze stukotem i rytmem kół karety. I-talia, I-talia, I-talia.

Zasnęłam.

VIII

Mediolan, marzec 1483

ROZDZIAŁ 1

Matka obserwowała mnie podczas podróży, jej oczy były jak skrzące się półksiężycy.

Czułam *cartone* pod gorsetem, drewniany wałek w jednym rękawie, a srebrną monetę w drugim. Ilekroć zmieniałam pozycję, miałam wrażenie, że wzrok matki sięga pod ubranie. Postanowiłam nie spać przez całą drogę, walczyłam, by nie zasnąć, co nie było łatwe po ostatniej nocy, ale nie ufałam mojej matce, tak jak ona nie ufała mnie. Wiem, że żywiła jakieś podejrzenia, przypuszczała, że w Bolzano została oszukana, że jednak uciekłam Marcie. Widziałam, jak przeszukiwała mój pokój, zastanawiałam się, dlaczego jeszcze nie obszukała mnie samej. Miałam nawet maskę tej dziwki w kapturze mojego płaszcza. Napotkałam jej wzrok i spuściłam oczy, bojąc się, że odczyta moje myśli. Zdradzieckie powieki opadły i zmorzył mnie sen.

Minuty czy godziny później obudził mnie dźwięk upadającego metalu. Marta nie siedziała przy mnie, ale matka nadal mi się przyglądała, jak lwica obserwująca swoją ofiarę. Świat za oknami karety znowu się zmienił: zobaczyłam olbrzymie jeziora u podnóża szmaragdowych gór. Nieruchome i pogodne, przyciągały wzrok swoim pięknem.

– Woda jest zatruta – powiedziała matka, podążając w ślad za moim wzrokiem. To jedyne słowa, jakie powiedziała do mnie przez całą drogę. Nasza pozycja znowu uległa zmianie jak kierunek bryzy marszczącej wody jeziora, poruszającej i malującej na nowo niebo tak, by stanowiło jego odbicie. Wiatr się zmienił, kurek na dachu się obrócił. Z jakiegoś nieznanego mi powodu znowu byliśmy w stanie wojny.

Następnego dnia przejechaliśmy masywny portal Mediolanu, zamkniętego miasta otoczonego różańcem murów i bram. Znowu byłam zniecierpliwiona i podekscytowana i gdy tylko strażnicy przy bramie przepuścili nas i skrzyżowali piki, zaczęłam wypatrywać Guida w każdych drzwiach, nasłuchiwać jego głosu ponad stukiem kopyt i pokrzykiwaniami handlarzy, szukać jego rysów w twarzy każdego mijanego szlachcica i chłopca. Prawie nie zauważyłam długich i szerokich ulic z nowymi budynkami ze srebrnego kamienia ani eleganckich rzymskich kolumnad, świadczących o tym, że nowe idzie ramię w ramię ze starym. Nie poruszyła mnie nawet cudowna katedra z lasem srebrnych iglic, ozdobiona złotem niczym diadem.

Pragnęłam, żeby po mnie przyszedł, żeby porwał mnie z tego powozu, przytulił i zabrał daleko stąd – chociaż wiedziałam, że nie leży to w jego mnisich zwyczajach. Próbowałam siedzieć spokojnie i nie tracić nadziei, ale serce mi zamarło, kiedy zbliżaliśmy się do olbrzymiej krwistoczerwonej fortecy z murami obronnymi jak tysiące kluczy, które będą trzymać Guida z dala ode mnie. Przejechaliśmy przez wielkąbramę w wieży zegarowej pod złowrogim okiem zwiniętego

węża wyrzeźbionego w kamieniu w herbie zamku. Gotowego kąsać.

Wewnątrz kamienne mury miały brutalną czerwień pola bitwy, ale sam zamek był piękny: forteca z oddzielnym fosą pałacem w środku. Okrągłe wieże sięgały wysoko ku pomarańczowemu niebu, gdzie dziwnie postrzępione chmury w kolorze byczej krwi przesuwwały się jak chorągiewki. Czy Guido dostał się do tego miejsca przypominającego koszary? Olbrzymi kwadrat trawnika zamieniono w plac defilad, musztrowano tu szeregi żołnierzy, setki smukłych, wysokich młodzieńców, wszyscy mieli krótko obcięte włosy, zakrzywione szable i płaszcze w tym samym odcieniu ochry. Ten odcień wydawał mi się znajomy, ale moja pamięć nie potrafiła go z niczym powiązać. Żołnierze reagowali jak jeden mąż na krzyki mężczyzny w zbroi siedzącego na olbrzymim czarnym koniu.

Wysiadłyśmy z powozu, ale żołnierze byli tak zdyscyplinowani, iż żaden nawet nie rzucił na nas okiem. Jednak *capitano* podjechał do nas, a jego wierzchowiec wierzgał i stawał dęba jak na pomniku i niemal zasłonił słońce.

– Dogaressa! – wrzasnął kapitan, jakby nadal prowadził musztrę. – Cudownie! A to córka? – Zeskoczył ze swojej bestii, a jeden żołnierz wystąpił z szeregu i zawisł na wodzach ogiera. *Capitano* cisnął na ziemię hełm, który upadł z brzękiem. Na uszy opadła mu zasłona gładkich czarnych włosów, obciętych na pazia, zupełnie jakby jeden z jego ludzi włożył mu na głowę garnek i obciął nożycami włosy dokoła. Zachowując się z jeszcze większą swobodą, zdjął metalowe rękawice i podał każdej z nas potężną spoconą łapę. Trzy wypowiedziane przez niego słowa „Lodovico Maria Sforza” wystarczyły, by moja matka padła na kolana. Podczas tego krótkiego spotkania nauczyłam się trzech rzeczy:

Prima cosa: Był absolutnym władcą tego miejsca.

Seconda cosa: Moja matka bardziej obawiała się tego przyjaznego bezceremonialnego żołnierza niż tamtej zimnej ryby Zygmunta.

Terza cosa: Nosił złoty pierścień na lewym kciuku. Ale taki widok już dawno przestał mnie szokować.

Czekałam spokojnie, podczas gdy matka i pan Mediolanu wymieniali uprzejmości. Sądziłam, że już wiem, co będzie dalej: miło cię poznać, tu są twoje pokoje, do zobaczenia na wieczornej uczcie.

Ale tym razem było inaczej. Nie zabrano mnie do rezydencji po drugiej stronie fosy, gdzie mieszkał dwór, tylko do jednej z wież. W izbie nie było żadnych mebli prócz stołka. Nie było łóżka, jedynie wiązka słomy w kącie. Nie było okna, tylko wpuszczająca wiatr szczelina strzelnicza, a jedyne wygody, jakie mi ofiarowano, sprowadzały się do pudełka z hubką i krzesiwem i kilku kaganków.

To była cela.

Odwrociłam się. To na pewno jakaś pomyłka, ale ciężkie dębowe drzwi zamknęły się przed nosem, usłyszałam zgrzyt klucza. A więc jestem więźniem.

Niech to diabli.

No dobrze. To było dalekie od wspaniałości dworu, o których słyszałam od moich różnych klientów mediolańczyków. Dlaczego mój los w ciągu sekundy uległ takiej odmianie? Komnata w Bolzano była skromna, ale wygodna, przynajmniej pasująca do mojej nowej pozycji. Czy matka podczas krótkiej rozmowy z panem Mediolanu podzieliła się podejrzeniami co do mnie? Skąd miała pewność, że ją zdradziłam, dlaczego umieściła mnie w tej celi? Zaczęło mi nawet brakować Marty, która niespodziewanie opuściła powóz gdzieś w Lombardii. Jednego dnia była, a drugiego już nie. Pomyślałam o głębokich, śmiercionośnych jeziorach, o ich zatrutych wodach. Zastanawiałam się, czy tam ją wrzucono z kamieniem u szyi, by tańczyła na dnie. Wenecka śmierć. A może odesłano ją z powrotem do Wenecji, gdzie znowu będzie się gziła ze swoim ukochanym chłopcem kuchennym. Choć działała przeciwko mnie, miałam nadzieję, że to ostatnie. Znałam mściwość mojej matki. W karecie tamtego dnia domyśliła się, że Marta nie pilnowała mnie jak należy, więc teraz powierzyła to fachowcom. Uzbrojony żołnierz, niewątpliwie jeden z tych, których widziałam na dziedzińcu, trzymał straż na zewnątrz. Słyszałam, jak koniec jego szabli skrobie w drzwi, kiedy chodził tam i z powrotem. Wydawało się, że wartownicy zmieniali się co dwie godziny. Byłam przerażona. Jak Guido mnie odnajdzie, skoro od świata oddzielają mnie zamknięte na klucz drzwi i uzbrojony wartownik? Słyszałam dwukrotną zmianę warty, ale nikt inny się do mnie nie zbliżył. Nie dostałam nic do jedzenia ani do picia, a burczący żołądek wkrótce przypomniał mi opowieść o przodkach Guida uwięzionych w wieży Muda, doprowadzonych do stanu takiego wygłodzenia, że jedli się nawzajem. Nic się nie działo, pozostawało mi tylko wyglądanie przez okno. Nie miałam odwagi wyjąć obrazu zza gorsetu ani drewnianego wałka z rękawa, ani maski mojej matki z kaptura, bo bałam się, że ktoś mnie na tym przyłapie. Musiałam zadowolić się oglądaniem maleńkiego wycinka miasta przez długą szczelinę, stanowiącą jedyne oświetlenie i wentylację. Wiatr wiał mi w oczy, gwizdał i jęczał, wtórując krokowi żołnierzy na zewnątrz. Zostałam uwięziona w pieszczalce organów.

Podczas trzeciej wachty rozległo się pukanie do drzwi i wszedł ponury dworzanin z żołnierzem.

– Signorina – zaczął tonem wskazującym, że nie przywykł do podobnych uprzejmości – przykro mi zakłócać spokój, ale musi pani zostać przeszukana z rozkazu Il Moro.

Madonna!

Il Moro to musi być przydomek jego pana, wiedziałam jednak, że rozkaz wydała matka, więc teraz w rozpaczce powołałam się na nią.

– Ależ, mój panie, ja jestem córką dogressy!

– W rzeczy samej, bardzo mi przykro z powodu tej konieczności. Ale czasy są niebezpieczne i wszyscy goście muszą być przeszukani, także twoja wysoko postawiona matka.

Kłamał i oboje mieliśmy tego świadomość. Nie ma możliwości, żeby księżę obraził swoich szlacheckich gości takim brakiem zaufania. Moje serce przestało bić. Znajdą obraz i wałek, monetę, pięćdziesiąt złotych dukatów i maskę, którą ukradłam matce. A to równało się śmierci. Przez ułamek sekundy igrałam z myślą, żeby zaproponować każdemu z nich numerka, jeśli zostawią mnie w spokoju, wiedziałam jednak, że to zły pomysł. Seks był moim środkiem płatniczym, kiedy pracowałam na ulicy, ale szlachecka pani, która traci „reputację”, może równie dobrze stracić życie. Do diabła.

Kiedy mnie rewidowano, stałam w milczeniu. Żołnierz jednak był zadziwiająco delikatny. Patrzyłam wyzywająco w oczy dworzanina, w oczekiwaniu, że ukryte przedmioty wydostane zostaną na światło dzienne, co będzie mnie kosztowało życie. Niewiarygodne, że żołnierz wymacał wałek w moich rękawach i przesunął ręce na ramiona. Wyczuł pergamin pod gorsetem i przesunął ręce do talii. Ominął maskę w moim kapturze. Byłam wstrząśnięta tym, jakie mam szczęście, i zaskoczona głupotą żołnierza, który mnie przeszukiwał. Jeśli był typowym przedstawicielem tutejszej armii, to jej przeznaczeniem jest przegranie każdej wojny.

Po rewizji dworzanin podziękował i jeszcze raz przeprosił. Pochyliłam głowę, naśladowując jeden z gestów matki, niepewna, co dalej robić. Byłam przyzwyczajona do rąk obcych mężczyzn na moim ciele i czułam zbyt wielką ulgę, by udawać, że jestem obrażona.

– Jak już mówiłem, pani, to była zwykła formalność. Proszono, żebym był przy tym obecny dla zachowania pewności, że twój honor nie ucierpi. Żołnierz, który cię przeszukiwał, został wybrany specjalnie ze względu na swoją cnotliwość, bo kiedyś był zakonikiem.

Wtedy się domyśliłam. Nawet nie musiałam się przyglądać żołnierzowi. Te łagodne ręce, pominięcie ukrytych przedmiotów i to, że mnie nie wydał, powinno dać mi do myślenia. Nie musiałam patrzeć, ale cieszę się, że to zrobiłam, bo odwrócił się od drzwi z promiennym uśmiechem.

Guido.

ROZDZIAŁ 2

Wiedziałam, że przyjdzie, i wiedziałam, jak to zrobi. Zjadłam skromną kolację, wydawało się, że dla mnie uczytu już się skończyły. Nie przejmowałam się tym. Nie czekałam, aż usłyszę, jak zmieniają się strażnicy, wiedziałam, że Guido będzie pełnił wartę przy moich drzwiach, wiedziałam też, że postara się, by dostać nocną zmianę. Gdy nad Mediolanem zapadła ciemność, położyłam się na słomie i usnęłam.

Obudziło mnie pukanie. Zerwałam się i już byłam w jego ramionach, przez sekundę mocno tuliłam się do szczupłego ciała, póki nie odsunął mnie pośpiesznie, podobnie jak w Wenecji. Nie przejmowałam się tym, znowu był przy mnie.

– Masz świecę?

Ładne powitanie. Zapaliłam hubkę i kaganek obok mojego legowiska.

– Zostawiłem swoją pochodnię w otworze na zewnątrz. Pomyślałem, że jeśli na wieży będzie ciemno, domyślą się, że opuściłem posterunek.

Jeszcze zanim płomień się rozpałił i oświetlił jego twarz, wiedziałam, że zobaczę innego mężczyznę. Przyjrzałam mu się uważnie. Widać było, że wiele wycierpiał. Jego twarz była chudsza, starsza, miał zapadnięte policzki i oczy, żołnierski zarost. Widać w nim było błyski siwizny, podobnie jak we włosach, obciętych krótko w wojskowym stylu. Jego dłonie, zawsze szczupłe i eleganckie, przypominały ręce szkieletu. Tylko oczy pozostały takie same, może trochę smutniejsze, na pewno zmęczone, ale nadal tak niebieskie jak emaliowane medaliony w Santa Croce. Nie ma obawy, że matka go rozpozna, bo sama z trudem zorientowałam się, że to on. Przełknęłam ślinę.

– Zrobili ci krzywdę? – Nie było potrzeby precyzować, kogo miałam na myśli.

– Niewielką. Pytali o *cartone* przez długie dni i tygodnie, a ja zawsze odpowiadałem tak samo. Wiedziałam, że nie ma sensu się wypierać, iż mieliśmy *cartone*, więc powiedziałem, że przepadło na morzu, kiedy statek się rozbił. W końcu musieli mi uwierzyć, bo wciąż mówiłem to samo. Nie ośmielili się zadać mi poważnych obrażeń, bo byłem im potrzebny żywy. Ale głodzili mnie, dawali mi niewiele wody i trzymali w ciemności. Czekałem na proces wiele miesięcy.

– Tak długo!

Uśmiechnął się, ale nie był to smutny uśmiech.

– W tokańskiej polityce wszystko szybko się zmienia. Zawierane są nowe sojusze. Glista z dna góry gnoju na drugi dzień może zostać królową. Przypuszczam, że Wawrzyniec trzymał mnie przy życiu, żeby grozić Niccolo. To miało sprawić, że tamten stanie się posłusznym członkiem

Siódemki i pójdzie w ślady Silvia della Torre, wprowadzając Pizę do sojuszu. Zabrali mi pierścień stryja. – Podniósł lewy kciuk, na którym został biały nieopalony pasek. – Wyobrażam sobie, że teraz Niccolo potulnie go nosi.

Zastanowiłam się. Guido nie był daleki od prawdy, ale wiedziałam, że jest jeszcze inny haczyk w tej opowieści. Niccolo trzeba było zmusić, żeby zgodził się uznać mnie za swoją narzeczoną, w końcu byłam dziwką, która włóczyła się po całym półwyspie z jego kuzynem, a to nie najlepszy materiał na żonę, choćby była nie wiem jak piękna. Ale jako córka dogressy stanowiłam ważne ogniwo w łańcuchu władzy Siódemki. Podczas gdy mnie fetowano w Wenecji i uczono, jak być dobrą żoną, Guido siedział w ciemnicy i pił śmierdzącą wodę.

– Byłeś sam w więzieniu?

– Na początku nie. Siedziałem w ogólnej celi z niezbyt ciekawymi typami, można powiedzieć, że z kwiatem Bargello. Ale nie było tak źle, trochę przypominało to klasztor, bo Kościół też jest pełen złodziei, pederastów i kryminalistów, więc znalazłem się w domu. Jedyna różnica polega na tym, że te psubraty są uczciwymi ludźmi, bo nie są hipokrytami. Nie udają pobożnych, kiedy łamią wszystkie przykazania.

Uświadomiłam sobie, że w więzieniu Guido nie utracił daru wymowy, bo długość jego zdań odpowiadała długości jego cierpień. Wydaje się też, że w więzieniu nie odzyskał swojego Boga. Sądziłam, że po godzinie próby znowu zwróci się do Pana, ale teraz wydawało się, że nadal ma Kościół w pogardzie.

– Jak możesz wypierać się swego dotychczasowego życia? W klasztorze ktoś, kto był ci przyjacielem, był też moim przyjacielem, bo napisał do mnie, żeby opowiedzieć mi o twym losie.

– A tak, brat Nicodemus. Tak, tak, muszę rozgrzeszyć tego pocziwego zielarza. Był dla mnie lepszym przyjacielem, niż przypuszczasz. I gorszym. Bo to on dał mi wolność i uczynił ze mnie mordercę. – Patrzył na mnie udręczonym wzrokiem.

– Co masz na myśli?

– Kiedy wybierałaś suknie w herbarium Santa Croce...

Pamiętałam, ale wydawało się, że było to przed wieloma laty.

– Brat Nicodemus wziął jakieś zioła ze swoich pęków i mi dał. To była belladona, na wypadek gdyby coś się nie udało.

Znałam tę roślinę. Wszyscy ją znali. To śmiertelna trucizna. Zadrzałam.

– Nic mi nie powiedziałeś.

– Oczywiście, że nie. Włożyłem ją do buta, a strażnicy nigdy tam nie zaglądali. – Potarł kark typowym dla siebie gestem. – Codziennie ją wyjmowałem i przyglądałem się jej. Codziennie powtarzałem: jeżeli przeżyję dzisiejszy dzień, zażyję ją jutro. A następnego dnia mówiłem to samo. Odkładałem samobójstwo prawie przez sześć miesięcy.

Przeszedł mnie dreszcz. Wiele razy przychodziło mi do głowy, że Guido może umrzeć, ale nigdy nie myślałam, że z własnej ręki. Uświadomiłam sobie, jak daleko odszedł od Boga.

– Jak przeżyłeś? – wyszeptalam.

– Myślałem o *Primaverze*. Przypominałem sobie każdy szczegół. Widziałem ten obraz oczyma duszy. Codziennie uciekałem do tamtego lasu, spacerowałem między postaciami, rozmawiałem z nimi o Dantem i Petrarce. Pamiętałem każdy detal, który omawialiśmy, badałem każdy liść i kwiat, każde pociągnięcie pędzla. Ale niektóre postacie były zaledwie cieniami, te, których jeszcze nie omawialiśmy, niektóre szczegóły były niewyraźne i zamglone, nieistotne, wymykały się z mojego pola widzenia jak ryby, a sieć mojej pamięci nie była na tyle gęsta, by je pochwycić. Ale inne postacie – umilkł na chwilę – jak na przykład ty... były jasne niczym dzień.

Moje serce płonęło, nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Czy odbył się proces?

– Nie. Wartownik, z którym się zaprzyjaźniłem, powiedział mi, że coś się zmieniło, że Wawrzyniec chce, żebym umarł. Miałem być stracony następnego dnia bez procesu. Doraźna sprawiedliwość – powiedział, ironicznie wykrzywiając usta.

Pamiętam, że matka w Wenecji użyła tego samego sformułowania, widziałam w tym jej rękę. Niccolo della Torre niewątpliwie podpisał kontrakt ślubny, bo pamiętam, że odwiedził mojego ojca. Spełnił wszystkie żądania Siódemki, a kiedy zapewnili sobie poparcie Pizy, brat Guido nie był już potrzebny. Krew ścięła mi się w żyłach na myśl o tym, jak niewiele brakowało, a bym go straciła.

– Miałem prawo do ostatniej prośby. Poprosiłem o chianti z regionu Pizy i o dwie szklaneczki, żeby zaprzyjaźniony wartownik mógł napić się ze mną przez kraty. Nalewając wino, zastanawiałem się, czy powinienem włożyć belladonę do jego kieliszka, czy do swojego. Jak widzisz, nie zapomniałem, że byłem kiedyś człowiekiem Boga.

– I Bóg do ciebie przemówił?

– Bóg nie. Nie słyszałem go od Rzymu. Nie odwiedził nawet mojej celi. Spędzałem czas ze starymi bogami z *Primavery*.

– A więc kto?

– Ja przemówiłem do siebie. Uznałem, że trzeba poświęcić życie jednego człowieka, by zapobiec podłościom, jakie planowała Siódemka. Włożyłem belladonę do jego kieliszka i umarł od razu. – Guido popatrzył na swoje dłonie, jakby spodziewał się zobaczyć na nich krew. – Miał żonę i dzieci. Często o nich mówił.

Tak jak Bonaccorso Nivola. A więc Guido odebrał komuś życie. Teraz wiedziałam, że nie cierpienia, tylko to wydarzenie odmieniło jego wygląd i zaciemniło wzrok. Zastanawiałam się, czy ja, pełna winy, mam taki sam wyraz twarzy, zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będę mogła mu

powiedzieć, co zrobiłam niewinnemu marynarzowi, chcąc ratować jego.

– A potem? – spytałam.

– Trzy godziny zajęło mi wyszarpanie kluczy spod jego ciała, przez cały czas, kiedy niebo robiło się jaśniejsze, bałam się, że nastąpi zmiana warty i zaprowadzą mnie na śmierć. Ale przed świtem byłem wolny i wróciłem do Santa Croce. Malachi wpuścił mnie do środka, poszedłem prosto do herbarium i brat Nicodemus ukrywał mnie przez kilka dni. Powiedział, że pisał do ciebie. Przy okazji chciałbym cię pochwalić za nowo zdobyte umiejętności skryby.

Tym razem uśmiechnął się naprawdę, jak dawny brat Guido, dla którego czytanie i litery były wszystkim. Zarumieniłam się – a nie jest to coś, co mam w zwyczaju – ale byłam bezradna wobec komplementu wypowiedzianego przez jedyne go mężczyznę, którego opinia się dla mnie liczyła.

– Wtedy dowiedziałem się, gdzie jesteś. Brat Nicodemus wyprowadził mnie z miasta jako jednego ze swoich asystentów w medycznej misji do Mantui. Tam dołączyłem do franciszkanów zmierzających na spotkanie do Trento. Pożegnałem się u podnóża gór, poczciwi braciszkanie dali mi muła, na którym jechałem. Znalazłem statek w Mestre i przybyłem do Wenecji. Zatrzymałem się na wyspie Giudecca u jezuitów, którzy akurat kopali fundamenty. W zamian za pracę mogłem u nich mieszkać, a w wolne dni mogłem cię śledzić.

Znowu zrobiło mi się gorąco.

– Widziałeś mnie?

– Wiele razy. Zawsze wychodziłaś z matką, nigdy sama. Doszedłem do wniosku, że karnawał będzie najlepszą okazją zbliżenia się do ciebie.

Tutaj jego rozumowanie i moje biegly jednym torem. Teraz poczułam zimno na myśl, że zamierzałam uciec właśnie w czasie karnawału, w wigilię dnia, kiedy on chciał się ze mną spotkać. Och, Bonaccorso, poświęciłeś się na próżno. Nie byłam w stanie się odezwać, więc mój przyjaciel podjął:

– Zobaczyłem cię tamtego dnia na placu Świętego Marka. Nadeszła burza i poszedłem za tobą do bazyliki. Kiedy zobaczyłem, że przyglądasz się koniom, wiedziałem, że musiałaś coś znaleźć. Przypomniałem sobie, o czym członkowie Siódemki mówili w Rzymie: Flora kryje sekret, przy czym wielokrotnie wspominali mapę. Sądziłem, że znalazłaś tę mapę, ale zdążyłem powiedzieć ci tylko, żebyś ją przechowała i że spotkamy się w Mediolanie. Bo wtedy, dzięki tym wszystkim rozmyśleniom w więzieniu, wiedziałem, że postać Botticellego reprezentuje Mediolan – prowadzące do tego tropu wyjaśnię w odpowiednim czasie – nie mogłem jednak odgadnąć znaczenia postaci Zefira. Domyślałem się, że snułaś podobne rozważania w Wenecji.

Nadeszła moja kolej. Opowiedziałam Guidowi o moim pobycie w Wenecji, o historii mojej matki, o dziecku w butelce. Opowiedziałam mu o ojcu, o Cristoforze, o mojej weneckiej edukacji

i o wszystkim, czego się tam nauczyłam. Nie opowiedziałam mu tylko o mojej ucieczce i losie Bonaccorsa Nivoli. Nie byłam gotowa, by ujawnić tę straszną prawdę. Objąśniałam mu jednak z dumą znaczenie trzydziestu dwóch róż wskazujących na kompas i różę wiatrów, która doprowadziła mnie do konia Zefira.

Guido uderzał się w czoło, wykrzykiwał: „no jasne!”, a nawet ponownie się uśmiechnął.

– Typowo morskie rozwiązania, godne takiego miasta jak Wenecja. Podążałem złym kursem i w więzieniu, i w herbarium. Patrzyłem tylko na postać Wenus, na postać Chloris, czyli... twoją matkę. Nie zorientowałem się wtedy, że za innymi postaciami będą się kryły następne miasta, bo przecież Neapol symbolizowała Fiammetta, o ile pamiętasz, nie przyszło mi do głowy, że Flora to Wenecja.

– Botticelli jest coraz sprytniejszy, im bardziej się do niego zbliżamy. – Moje stwierdzenie nie miało sensu, ale Guido je zrozumiał.

– Owszem. Próbowaliśmy z bratem Nicodemusem przypomnieć sobie kwiaty, jakie wypadły z ust Chloris, ale bez *cartone* to naprawdę nie lada wyczyn.

– Ja też na nie patrzyłam. – Wyjęłam *cartone*, rozwinęłam, obciążęłam rogi. Radośnie pochyliłam się nad obrazem, jak robiliśmy to zawsze. Myślałam, że to już nigdy się nie zdarzy. Nasze głowy niemal się dotykały. Wskazałam kwiaty wypadające z ust Chloris i mówiłam: – *Fiordaliso*, anemon, *occhiocento*

i róża, ale nie znam nazw łacińskich, tylko pospolite tokańskie, więc nie potrafiłam z nich ułożyć żadnych znaczących słów.

– A więc mieliśmy rację. Poczciwy braciszek i ja pamiętaliśmy o róży, *Rosa centifolia*, o chabrze czy *fiordaliso*, jak mówisz, który po łacinie nazywa się *Centaurea cyanus*.

I o anemonie, który się nazywa *Anemone nemorosa*. A *occhiocento*, znane także jako *centocchio* lub barwinek, po łacinie *Vinca* albo *Vinca minor*.

– Madonna! To jeszcze gorszy zestaw liter. R, C, C, C, A, N, V. Albo V, M... – popisywałam się nowymi umiejętnościami.

– A może rozwiązanie zagadki jest proste: są cztery gatunki kwiatów i cztery wiatry. Może to kolejny drogowskaz prowadzący do róży wiatrów i koni czterech wiatrów, wieńczących bazylikę w Wenecji.

Nie byłam o tym przekonana, to trochę zbyt proste jak na Botticellego, który udowodnił, że jest sprytny jak sam diabeł.

Ale Guido jeszcze nie skończył.

– Brat Nicodemus dodawał jednak, że *occhiocento* nazywany jest potocznie kwiatem śmierci. Można więc przypuszczać, że Chloris ma złe intencje i jej przedsięwzięcie może doprowadzić do śmierci jednego lub wielu ludzi.

Zadrzałam, przypominając sobie po raz kolejny nieszczęsnego Bonaccorsa Nivolę. Nie zdziwię się, jeśli moja matka po tym wszystkim będzie miała jeszcze więcej krwi na rękach. Podłaska.

– Może to znaczenie wyjaśni się później, tak jak w przypadku kompasu.

– Słusznie, ale nawet bez rozszyfrowania znaczenia kwiatów mamy już dwa miasta po Wenecji. I mapę – zakończył triumfalnie. – Zastanówmy się nad sytuacją, bo nie mamy dużo czasu.

– Taak – zaczęłam powoli – nie chcę sikać do twojej mamałygi, ale ten drewniany wałek nie jest tym, za co go bierzesz. Ciągłe powtarzasz, że to mapa. Ale to nie jest mapa, w każdym razie nie taka, jakie widziałam. A w Wenecji widziałam ich kilka, możesz mi wierzyć, nawet je studiowałam.

– Podziękowania dla signora Cristofora.

– Pokaż mi ten wałek.

Wzruszyłam ramionami.

– Bardzo proszę. – Wyciągnęłam drewniany wałek i położyłam mu na dłoni. Obejrzał dziwne znaki i zawijasy, ściągnął brwi, po czym twarz mu się rozjaśniła. – Ależ naturalnie, to musi być wydrążone. Często w takiej tubie przewozi się dokumenty.

Zupełnie jakby mnie nie mogło to przyjść do głowy. Poczułam, jak narasta we mnie dobrze znajoma irytacja, niemal pocięchą była świadomość, że denerwujące cechy mojego przyjaciela miały się równie dobrze jak on sam. Przyglądał się uważnie końcom wałka, a ja milczałam. Niech sam się przekona.

– No nie, nie jest puste w środku. – Teraz ja byłam zadowolona z siebie i milcząca. Jakbym mogła czegoś nie wiedzieć o tym wałku. Przecież nosiłam go niczym trzecią rękę dwa razy po siedem dni. – O tak, ten znak, tutaj.

– Gdzie?

– Popatrz.

Musiałam oddać Guidowi sprawiedliwość, bo nie zauważyłam maleńkiego znaczka na jednym z płaskich końców wałka. Był to niewielki zawijas wycięty w drewnie.

S

– Wygląda jak wąż.

– Albo S.

– S jak co?

– Siedem? Sforza?

– A może to Z, jak Zygmunt? – dodałam.

– Kto?

Teraz uczennica stała się nauczycielką, mówiłam o podróży do Bolzano i o Zygmuncie,

białowłosym królu Alp, którego kiedyś łączyły z moją matką uczucia miłości i nienawiści, o górze pełnej srebra i o pierścieniu na jego kciuku.

– Podejrzywałem oczywiście, że postaci Zefra będziemy musieli szukać w górach, ale przyznaję, że myślałem raczej o mieście Trento, które ma wielkie polityczne znaczenie dla półwyspu jako siedziba wielu organizacji religijnych. Podobnie jak ty uważałem, że kolor niebieski sugeruje zimno, a wysokość może oznaczać góry. – Niezupełnie tak to przedstawiłam, ale przyjął komplement. – Dobra robota. A jak się dowiedziałas o udziale arcyksięcia w tym wszystkim?

Opowiedziałam o podsłuchanej rozmowie i o wyprawie do kopalni o północy. Nie komentował mojej bezmyślnej przygody, od razu przeszedł do sedna sprawy.

– No tak, to jest jasne. Siódemka najwyraźniej chce wybić własną monetę, posługując się wzorcem angielskiej monety angel, która jest złota, tylko srebrną. Region Zygmunta i wszystkie kraje Habsburgów są bogate w srebro. Dlatego Zefir ma srebrne skrzydła, jest srebrnym aniołem.

Pozwoliłam mu przyznać się do autorstwa czegoś, co sama dawno odgadłam, bo z dziecinnym zapalem tłumaczył wszystko, co usłyszałam w górach.

– Zecca to słynna wenecka mennica, jak już wiesz. Twoje rodzinne miasto chlubi się najlepszymi mennicznymi na świecie, oprócz innych osiągnięć. *Münzreiche*, przydomek arcyksięcia, znaczy „bogaty w monety”, a złoża jest naturalnym magazynem srebra w ziemi. Wygląda na to, że wszedłeś do szybu jednej z kopalń.

– Weszłam. Znalazłam też jedną z monet, którą wybili. – Nie posiadałam się z dumy.

– Pokaż!

Sięgnęłam do jednego rękawa, a potem do drugiego. Ale monety nie było.

– Niech to diabli! – krzyknęłam i spojrzałam na niego spod rzęs, czekając na krytykę, ale tym razem jej nie usłyszałam. Przypuszczam, że w armii Il Moro słyszał gorsze rzeczy. – Była tu, niech diabli porwą wszystkich pieprzonych świętych. Musiała wypaść. – Byłam wściekła na siebie. Moneta to nie tylko ważny element naszej układanki, z racji uprawianej profesji przywiązywałam się do monet, a zamierzałam wydać tę znaną, kiedy już będzie po wszystkim.

– Nie przejmuj się. Pamiętasz może, jak wyglądała? Jaki był rysunek?

– Tak. Profil Wawrzyńca Wspaniałego z wawrzynem w kształcie słońca, jak symbol *Sol Invictus*.

Skinął głową.

– Jak dotąd wszystko się zgadza. A na drugiej stronie?

– Jedno słowo... – Miałam pustkę w głowie.

– No więc?

– Nie wrzeszcz na mnie, bo przez to trudniej sobie przypomnieć. – Jęknęłam. Nic nie

pomagało. Słowo, raz przeczytane i utracone w stukocie kół, kiedy zapadałam w sen, uciekło.

Guido zerwał się na nogi i zaczął chodzić po izbie, oczy mu błyszczały. Był zły, ale nie na mnie.

– Diabelska zmowa! Co oni planują? Czy Siódemka zamierza wyprawić się w góry na północ i wschód w kierunku Zefira i zdobyć ziemie Habsburgów? Może zamierzają obalić cesarza, pokonać Święte Cesarstwo Rzymskie i stworzyć własne?

Brzmiałoby to prawdopodobnie, gdyby niejedna rzecz.

– Ale cesarz też jest w to zaangażowany. Nie pamiętasz? Podśledzałam rozmowę Zygmunta i mojej matki w wielkiej sieni. Arcyksiążę powiedział, że jego kuzyn cesarz zagwarantował mojej matce swobodny przejazd przez góry. I jeszcze coś. Kiedy tamtego wieczoru w kopalni wybito monetę, Zygmunt ją zabrał, żeby pokazać cesarzowi. Więc nie ulega wątpliwości, że cesarz wie o Siódemce i dał jej swoje błogosławieństwo. Ten pies nie będzie gryzł.

– Dobrze mówisz. Jest jednak pewne, że komuś zostanie wypowiedziana wojna. Pozwól, że dokończę moją historię. Do Mediolanu jechałem z mediolańskim kupcem jako jego kapelan. Zostawiłem go u bram miasta i tam zobaczyłem obwieszczenie wzywające wszystkich młodych mężczyzn do zaciągnięcia się w Castello Sforzesco do armii nowego typu. Poszedłem do bramy, żeby się zaciągnąć, i o nic mnie nie pytano, chociaż miałem habit nowicjusza zakonu franciszkanów. Dostałem ten płaszcz w kolorze ochry, miecz i hełm ze spiczastą przyłbicą. – Rozłożył ramiona, pokazując zbroję. – Nie pytano mnie ani o urodzenie, ani doświadczenie. Dostałem kartę mimo wypalonego znaku więźnia Bargello. Zobacz. – Odwrócił nadgarstek oznakowany ozdobną literą B, skóra się zagoiła, ale jeszcze była zaczerwieniona. – Nie jestem jedyny w takiej sytuacji. Mężczyźni oznakowani, szaleńcy, duchowni, wszyscy ustawili się w kolejce, by walczyć pod wodzą Il Moro i Bóg wie kogo. Chętnie biorą żołd żołnierzy *paghe vive*, codziennie ćwiczą, jak walczyć ostro i nieuczciwie. Jestem tu od miesiąca i przez ten czas Lodovico zrobił z bandy złoczyńców skuteczną i sprawną piechotę, gotową walczyć w każdej wojnie, jaką wymyśli Siódemka. – Ucisnął moją rękę tak mocno, że aż zabołało. – I, na Boga lub Wenus, czy kto tam rządzi tym światem, my ich powstrzymamy. Chodź. Wykorzystajmy czas, jaki nam został, i zajmijmy się postacią Mediolanu, póki nie odgadniemy, co knują.

ROZDZIAŁ 3

– Zaczniemy tak, jak robiliśmy zawsze, od rzeczy oczywistych – zaproponował Guido, kiedy raz jeszcze pochyliliśmy się nad obrazem. – Jak wiemy, tą postacią jest sam Botticelli. Ubrany w szatę w kolorze ochry, tak jak w dniu, kiedy cię malował. Ma zakrzywiony miecz w stylu tureckim, taki jak mój. Nosi rzymskie sandały, tak jak ja. Ma spiczasty hełm, tak jak ja. Krótko mówiąc, Lodovico wzorował swoje wojsko na tej postaci.

– Albo Botticelli namalował Merkurego jako jednego z piechurów Lodovica.

– W istocie. Tak czy inaczej, to dobra pochwała wojska. Co z tego odgadujemy?

Nie bardzo zrozumiałam, co powiedział, uznałam więc, że najbezpieczniej będzie podsumować.

– Że Lodovico Sforza tworzy armię w nowych mundurach, z nowym uzbrojeniem, nową zbroją...

– A to jeszcze nie wszystko – przerwał mi Guido. – Ma toskańskiego inżyniera, kogoś z Vinci, kto projektuje dla niego maszyny wojenne. Wszystkie są tutaj, w olbrzymim sekretnym pomieszczeniu pod zamkiem. Wielkie mechaniczne potwory siejące zniszczenie. Bóg tylko wie gdzie.

– W porządku. Tworzy armię złożoną z ludzi i maszyn.

– To nie jest jego armia. To armia Siódemki. Siódemka ma teraz nowe monety i flotę: Mudy z Pizy i siostrzaną flotę w Neapolu. Neapol dostarcza także sojuszowi pożywienia w postaci małżeństwa. Semiramida Appiani nie tylko jednoczy domy Neapolu i Florencji, wnosi też w posagu kopalnię ołowiu swojego ojca, który to metal ma zasadnicze znaczenie w prowadzeniu wojny. Siódemka ma także papieskie błogosławieństwo: poparcie Kościoła. Każde ze znanych nam miast coś wnosi. Wenecja dała doświadczenie w biciu monet, Bolzano ma srebro do wyrobu tych monet.

– Nie wydaje się, żeby Wenecja wniosła wiele.

– Nie. Ale dała bezcenny skarb.

– Na przykład co?

– Nie co, a kogo. Ciebie. – Uśmiechnął się. – Nie możemy zapominać, że w tej sprawie zawarto jeszcze jeden sojusz matrymonialny. Małżeństwo córki doży z Pizą i sojusz z Siódemką zapewnia funkcjonowanie handlu, życiodajnego krwiobiegu miasta-państwa. Wenecja jest bramą do Morza Czarnego i wszystkich miejsc na Wschodzie, a rodzina Mocenigo, nawet kiedy skończy się urzędowanie doży, ma zasadnicze znaczenie dla weneckich monopolii okrętowych i szlaków handlowych. Tylko ty możesz to zapewnić.

Nie mieściło mi się to w głowie. Nie potrafiłam jeszcze myśleć o sobie w tych kategoriach. Nie pomagało mi, oczywiście, to, że siedziałam w zimnej celi, nie większej od wychodka i równie śmierdzącej.

– A Florencja?

– Za tym wszystkim stoi Wawrzyniec Medyceusz, to jego głowa jest na monecie. A co najważniejsze, jest właścicielem banku Medyceuszy. Ubezpieczy całą operację, czymkolwiek ona jest, będzie przetrzącał pieniądze z oddziału do oddziału, posługując się swoim nowym systemem *giro*. A teraz już wiemy, że Mediolan ma dostarczyć wojsko.

– W porządku, więc teraz, kiedy jesteśmy tutaj i widzimy, że wszyscy żołnierze ubrani są jak Merkury, nie ulega wątpliwości, że Merkury to Mediolan. Musiałeś to jednak wiedzieć wcześniej, skoro podczas spotkania w Wenecji powiedziałeś mi, że zobaczymy się tutaj. Skąd wiedziałeś, że Merkury to Mediolan?

– To proste. Wężę.

– Wężę?

– Na kaduceuszu.

– Na czym?

Wskazał prawą rękę Merkurego wyciągniętą do nieba.

– Co on tu robi?

– Miesza chmury kijem.

– Przyjrzyj się uważniej. Popatrz na pręt, którego używa do poruszania chmur i sprowadzania wiosny. Popatrz, na pręcie są dwa przeplatające się węże, gotowe uderzyć.

– No i?

– Wężę to symbol rodziny Sforzów, władców Mediolanu. Są wszędzie, na naszych zbrojach, popatrz – wskazał napierśnik – na murach, sztandarach, tapiseriach. Nawet pieczęć Il Moro, którą noszą wszyscy pozostający w jego służbie, przedstawia węża Sforzów. Zobacz. – Wyciągnął niewielką plaketkę z czerwonej gliny z węzem wijącym się u góry. – Wszędzie!

Wąż nad bramą, kiedy wjeżdżałam do zamku.

– A więc wąż mówi nam, które miasto. Ale musi być coś więcej. A co z tą mapą, której wciąż nie znaleźliśmy? Musi tu być jakiś trop, tylko nie umiemy go dostrzec. Co dalej?

– Może zajmijmy się szczegółami? Ma na płaszczu maleńkie płomienie...

– A maleńkie białe kwiatki rosną wokół jego buta. – Wróciliśmy do dawnego rytmu.

– Rzeżucha, *crescione* albo *Cardamine hirsuta*. Widziałam to w herbarium.

– Czegoś nie zauważamy. Co on próbuje nam powiedzieć?

– Piza patrzy na niego – zaryzykowałam.

– To jest to! – wykrzyknął.

– Naprawdę?

– Nie chodzi o to, kto patrzy na niego, tylko na co patrzy on – wyjaśnił Guido.

– Do góry, na to coś...

– Na kaduceusz. No właśnie.

– A więc wracamy do węży. Mediolan. Jesteśmy w Mediolanie. Mapa jest w Mediolanie.

Wspaniale. To beznadziejne. – Padłam na słomę.

Zapadło milczenie, po czym Guido zaczął powoli:

– Nie takie beznadziejne. Popatrz. Botticelli jest modelem tej postaci. Dlaczego? Musi mieć klucz, musi być ważny, musi kryć odpowiedź. A my – dodał z nagłą energią – my jesteśmy tak zajęci identyfikowaniem postaci Botticellego, że zapominamy, kogo przedstawia. To Merkury. Posłaniec bogów. Ma dla nas przesłanie, tylko musimy odgadnąć jakie. – Jeszcze raz uważnie obejrzał postać. – Myślę, że mówi nam, żebyśmy zrobili tak jak on, zobaczyli to, co on widzi. Używa nawet wskaźnika. Nie mógł wyrazić tego jaśniej.

– To znaczy, że mamy patrzeć w chmury – zauważyłam sceptycznie.

– Być może. Chociaż nie, poczekaj. Nie mówi, żebyśmy patrzyli w chmury. Mamy patrzeć do góry na węża. Gdzie moglibyśmy to zrobić?

Usiadłam gwałtownie, bo znałam odpowiedź.

– Brama.

– Słucham?

– Wieża zegarowa. W tym zamku. Kiedy wchodzisz, widzisz ogromnego kamiennego węża, takiego jak ten. – Pokazałam kaduceusz. – Nad bramą.

– Torre del Filarete. Masz rację. Przechodzę przez tę bramę codziennie od miesiąca! Byłem ślepy! – Jeszcze raz poderwał się, tłumiąc podniecenie, tak jak dawniej.

Ja też wstałam.

– Mniejsza o to. Jeśli mamy spojrzeć do góry na węża, to chodźmy.

– Teraz?

– Wartownicy zmieniają się co dwie godziny. Możesz mi wierzyć, wiem to. Jesteś tutaj... jak długo? Może godzinę? Właśnie dzwonili na kompletę, mamy jeszcze godzinę. Więc chodźmy popatrzeć.

Niebieskie oczy Guida płonęły.

– Doskonale. Bierz płaszcz, weź też maskę.

ROZDZIAŁ 4

Było tu cieplej, a ja znowu miałam na sobie norki, które nosiłam w Wenecji. Ich kolor był spokrewniony z nocą, znacznie bliższy ciemności niż płaszcz z białego niedźwiedzia, który nosiłam w Bolzano. Naciągnęłam kaptur i poszłam za Guidem, który dla zachowania pozorów prowadził mnie, mocno trzymając za ramię, jak osobę aresztowaną, na wypadek gdyby ktoś nas zobaczył. Wyszliśmy na parapet murów i podążaliśmy kamienną dróżką do wieży zegarowej (już zapomniałam, jak nazwał ją Guido).

– W bramie jest dwóch strażników – szepnął. – Nie możemy więc zejść po schodach i spojrzeć do góry. Ale jeśli popatrzymy z góry na dół, może uda nam się coś zobaczyć. Róbmy to po kolei. Ja popatrzę pierwszy, bo nawet jeśli mnie zauważą, jestem jednym z nich. – Wychylił się między krenelażami.

Po chwili się wyprostował.

– W porządku, to ten sam wąż. Sześć zwojów, nie siedem, jak można by się spodziewać, skierowany na północ, dokładnie nad bramą. Zobacz sama.

Popatrzyłam w dół z tego samego miejsca. Musiałam się nachylić pod niewygodnym kątem, a jedyne światło dawały pochodnie strażników. Szczerze mówiąc, lepiej obejrzałam tę rzeźbę w ciągu krótkiej chwili, kiedy przejeżdżałam z matką przez bramę, bo było to w dzień. Widziałam zwoje, diabelskie kły, otwarte szeroko szczęki, gotowe coś pochłonąć. Jednak wąż nie zdradzał żadnych innych sekretów. Wpatrywałam się w niego tak intensywnie, aż zakręciło mi się w głowie i złękłam się, że spadnę. Zeskoczyłam na parapet muru i wzruszyłam ramionami. Guido pokręcił głową.

– Jesteśmy ślepi – stwierdził.

– Może chodzi o coś, co można zobaczyć tylko z dołu? – zasugerowałam.

– A może wąż po prostu symbolizuje Sforzów i ten zamek jako kwaterę główną nowej armii?

– To nie pomoże nam w znalezieniu mapy – ucięłam.

– Spróbuję jeszcze raz. – Wskoczyłam i wychyliłam się, a kamienie krenelaży wrzynały mi się w żebra. Ale tym razem zobaczyłam jeszcze coś: drugi panel, drugą rzeźbę obok węża.

– Jest tu coś jeszcze – syknęłam jak wąż. – Postać mężczyzny. Nie, ma aureolę. To święty.

– Puść mnie, zobaczę. – Guido prawie mnie zepchnął. – Masz rację. – Jego głowa znowu się pojawiła.

– Zobaczyłeś, kto to jest?

– Nie musiałem. Wiem, kto to jest. To święty Ambroży, patron Lombardii. Tutejsi ludzie wzywają go do wszystkiego, od zdychającego konia po zaginionego kota. Nadają jego imię dzieciom, odwołują się do niego, kiedy stłuką sobie palec u nogi. To na pewno on.

Zeskoczył z muru i przykucnął obok mnie w mroku.

– A jaka jest jego historia? – chciałam wiedzieć. – Czym się wslawił?

– Niczym... Chyba że... – Przerwał i zwrócił na mnie te swoje niezwykle oczy.

– Chyba że?

– Sprawił, że ślepy zaczął widzieć – wyszeptał.

– Naprawdę? – W moim głosie brzmiała ironia, bo nie miałam cierpliwości do cudów.

Stanowiły po prostu inny sposób robienia przez Kościół pieniędzy.

– Ależ tak! – Zapomniał o szepcie, musiałam go uciszyć. – Święty otworzy nam oczy!

Mimo zwątpienia poczułam przypływ znajomej ekscytacji.

– A jak to zrobi? I gdzie?

– To nietrudne. Chodźmy go zapytać.

– On nadal jest tutaj, w Mediolanie?

– Nigdy stąd nie wyjechał.

– Wy tłumacz mi to, proszę.

– Sam Il Moro modli się w przyklasztornym kościele Santa Maria delle Grazie i wymaga pobożności od swoich żołnierzy. To zapewne gest w stronę Jego Świątobliwości papieża. – Głos Guida nabrzmiał ironią jak zęby węża jadłem. – Mówią, że zbudował Mediolan na mieczu i krucyfiksie.

– No i?

– No i my chodzimy do większego kościoła, bo jest nas wielu, do Świętego Ambrożego tuż przy Santa Maria delle Grazie, niedaleko stąd. Święty nadal tam jest, jego zmumifikowane ciało leży w trumnie z dwoma pomniejszych świętymi i można ich odwiedzić w krypcie. Wszyscy w Mediolanie znają legendę. Niewidomy mężczyzna odzyskał wzrok, patrząc na zmumifikowane ciało świętego Ambrożego. „Dzięki tym szczątkom ciemność tego ślepego mężczyzny została rozproszona i zobaczył światło dnia” – zakończył triumfalnie.

– No to kiedy tam idziesz? – zapytałam niecierpliwie. – Niedziela jest... – Zaczęłam liczyć na palcach.

– Za sześć dni. Za długo. I będę z całym regimentem. Musimy działać szybciej.

Znowu pochylił się nad murem i zanim zdążyłam zapytać, co robi, zawołał jednego ze strażników na dole.

– Hej, Luca!

Pogodny głos z dołu spytał:

– Kto to? A, Guido, to ty. Myślałem, że pilnujesz tej ładnej weneckiej sztuki.

– Chrapie zamknięta w środku. – Brat Guido doskonale naśladował szorstki żołnierski styl, ograniczał słownictwo i zapominał o pięknej dykcji. – Ty jej pilnujesz następny?

– Tak. Od niesporów do tereji. Żaden problem, będę jej pilnował jeszcze przez sen, kiedy już się znajdę w łóżku. – Wyobraziłam sobie, jak łapie się za krocze. Drugi wartownik się roześmiał.

– Posłuchaj, oddaj mi swoją wartę, a jutro weźmiesz podwójną za mnie – zaproponował Guido. – Jest taka jedna dziewczyna w Porta Ticinese...

– Czy ty nie byłeś mnichem?

– Czas przeszły. Jak myślisz, dlaczego zrezygnowałem?

– W porządku, braciszku. Umowa stoi. Chętnie odpocznę.

– *Dio vi benedica* – zanucił Guido i wykonał znak krzyża, na co znowu się roześmiali, po czym zeskoczył z parapetu i znalazł się obok mnie. – Chodźmy. Mamy tylko dwie dodatkowe godziny, zanim ktoś przyjdzie przejąć wartę Luki.

– Dokąd?

– Do kościoła Świętego Ambrożego, oczywiście.

– Teraz?

– Tak.

– Którędy?

– Jest wyjście.

Wróciliśmy, zeszliliśmy po spiralnych schodach w wieży i przecięliśmy pusty plac manewrowy, trzymając się w cieniu twierdzy. Niskie drzwi w murze prowadziły na krótkie schody i do ciemnego pasażu pachnącego świeżo ciętym kamieniem.

– Chodź – powiedział brat Guido. – Mam nadzieję, że skończyli to przejście.

– Gdzie jesteśmy? – spytałam szeptem.

– W pasażu prowadzącym z zamku do klasztoru dominikanów Santa Maria delle Grazie. Il Moro buduje to przejście, by mógł spokojnie chodzić do kościoła, a także uciec, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Madonna!

– To powszechna praktyka.

Tyle to wiedziałam, pamiętałam przecież sekretne przejście między zamkiem Świętego Anioła a Watykanem, uznałam jednak, że lepiej nie przypominać Guidowi dnia, w którym stracił wiarę. Kiedy biegliśmy, pomyślałam, że chyba jej tak do końca nie stracił. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo kojarzę go z wiarą, byłam w szoku, słysząc, że mówią do niego „Guido”, że rozmawia o kobietach i kpi z Boga. Skarciłam się w duchu. Co się ze mną dzieje? Jeśli zaczynają

go obchodzić ziemskie sprawy, to chyba dobrze dla mnie, dla nas?

Biegliśmy szybko i cicho, aż zielonkawy poblask powiedział nam, że na górze jest widno. Znowu weszliśmy po schodach, potem przeszliśmy za grubą zasłonę i znaleźliśmy się w przyklastornym kościele. Gotyckie sklepienia pomalowane na jasnoniebiesko, czerwono i na kolor ochry oświetlało jeszcze światło księżyca wpadające przez łuki okien w wysokiej kopule. Blisko głównego ołtarza klęczała grupa mnichów odmawiających modlitwy o północy, a my szybko przeszliśmy do wyjścia i zanurzyliśmy się w ciemność nocy. Guido złapał mnie za rękę, raczej nagląco niż pieśczośliwie, skrzył w lewo i zaraz w prawo w zalane srebrnym blaskiem uliczki. Zobaczyłam, dokąd zmierzamy, kiedy tylko księżyc wyszedł zza chmur. Do wielkiej budowli z dwiema wysokimi wieżami, bazyliki Świętego Ambrożego.

– Załóż maskę – polecił mi, kiedy dotarliśmy do olbrzymich drzwi. – Uspokój oddech. Idź za mną.

Postaliśmy chwilę, żeby się uspokoić, po czym Guido otworzył ciężkie drzwi.

– Nie są zamknięte? – zdziwiłam się.

– Dom Boży zawsze jest otwarty – wyjaśnił z kpina, która mi się nie spodobała.

Zorientowałam się, że tutejsi braciszkuwie przestrzegają tych samych godzin modlitw co ich bracia z Santa Maria delle Grazie, bo msza właśnie się skończyła i zakonnicy wychodzili, by spędzić jeszcze ze dwie godziny w łóżku przed kolejnymi modlitwami. Został tylko zakrystian, by pogasić świece, tak jak kiedyś w skazanym na zagładę kościele w Neapolu.

Bezszelestnie posuwaliśmy się wzdłuż nawy, aż Guido chrząknął. Stary człowiek odwrócił się i uśmiechnął słodko, zupełnie jakby się nas spodziewał.

– Za pozwoleniem, bracie – zaczął Guido. – Jestem członkiem osobistej straży Lodovica Sforzy. – Stary zakonnik zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, oceniał nowiutką zbroję, wzrost, szlachetną twarz. – Mam zaszczyt towarzyszyć dogressie z Republiki Weneckiej. – Wskazał na mnie, a starzec otworzył usta ze zdumienia.

Starałam się wyglądać tak wyniośle, jak to tylko możliwe.

– Mam poprosić o zgodę na odwiedzenie przez dogressę waszych sławnych relikwii, ponieważ pragnie się ona przy nich pomodlić. Nie chce, by ktoś jej przeszkadzał.

Zakrystianowi odebrało mowę. Miałam na sobie płaszcz z nerek i maskę lwicy mojej matki, ale była zrobiona z pozłacanej emalii oprawnej w złoto, co w połączeniu z moimi złotymi włosami musiało wyglądać wspaniale.

– Mam przy sobie pieczęć Lodovica, proszę popatrzeć. – Guido pokazał glinianą plaketkę z rysunkiem węża.

– Tak, no, wszystko w porządku. Tylko... – mamrotał stary zakonnik.

– Tylko co?

– No, chodzi o to, które relikwie dama, to znaczy dogaressa, chce zobaczyć? Naszego błogosławionego świętego Ambrożego czy – popatrzyl na pieczęć – Nechusztana? – Zabrzmiało to, jakby kichnął.

Guido spojrzal na mnie, widzialam, ze nie ma pojecia, co znaczy to drugie slowo, jezeli w ogole bylo to slowo.

– Świętego, oczywiscie.

Zakrystian skinął głową.

– Proszę tędy.

Poslusznie poszliśmy za nim do stopni prowadzących w dół do krypty. Pociągnęłam Guida za rękaw. Ten mnich nie mógł stać przy nas, kiedy będziemy próbowali zrozumieć znaczenie naszych odkryć. Skinął głową.

– Niech brat nie robi sobie kłopotu. Proszę się zająć swoimi sprawami. Ja będę towarzyszył dogaressie. To prywatna pokuta.

Mnich złożył przede mną ukłon i wyszedł. Wynagrodziłam go cieniem skinienia głowy, jak robiła to moja matka wobec służby, z której była zadowolona, i zesłam po schodach.

Ponura krypta, trzy świece płonące dla trzech świętych stłoczonych razem, jakby leżeli we wspólnym łóżku. Poskręcane ciała, woskowa skóra, stroje niczym podarte bandaże przyklepione do wychudzonych kości. Gerwazy, Protazy i błogosławiony Ambroży zmumifikowani na wieczność, ale nawet splendor złotego łoża nie łagodził ich trupich rysów. Święty Ambroży był chyba najbrzydszy ze wszystkich, ciało okaleczone, głowa spuchnięta jak balon, a twarz zapadnięta z jednej strony.

Guido podchwycił moje spojrzenie.

– Święty Ambroży nie miał jednego z górnych zębów. Za życia też wyglądał dziwnie.

Dokładnie przeszukaliśmy kryptę. Szepotaliśmy do siebie od czasu do czasu, jakby ci trzej święci nie umarli, tylko spali.

– No dobrze – powiedziałam w końcu. – Tutaj nic nie ma, w każdym razie nie ma niczego o węzach. – Spojrzałam na pękata głowę w oczekiwaniu na cud.

– Dzięki tym szczątkom ciemność tego ślepego mężczyzny rozproszyła się i ujrzał światło dnia – przypomniał Guido, powtarzając legendę o świętym Ambrozym. W tym otoczeniu zabrzmiało to jak modlitwa, tyle że nie modlił się od wyjazdu z Rzymu.

– Dziś w nocy to my jesteśmy ślepi – narzekałam, po czym wpadłam na pewien pomysł. – Może powinniśmy patrzeć do góry, jak robi to Merkury na obrazie? – Podnieśliśmy oczy na sklepioną ciemność, jednak nie zobaczyliśmy niczego prócz przyjaznego światła świec.

– Może do góry po schodach?

Guido wzruszył ramionami.

– Warto spróbować. Ten grób nic nam nie wyjawia.

– Położył rękę na skurczonym tyłku świętego, nie bez sympatii, ale ja znów doznałam szoku, widząc, jak bardzo świecki się staje. Mnich zamienił się w żołnierza, odrzucił wiarę wraz z habitem, a włożenie zbroi spowodowało kolejną zmianę.

Weszliśmy do wnętrza wielkiego kościoła i zaczęliśmy się rozglądać. Lampka zakrystiana migiała w oddali jak świetlik. Wnętrze oświetlały setki wotywnych świec. Przeszukaliśmy każdy cal. W końcu uprzejmy zakrystian zaczął gasić świece coraz bliżej nas. Groziło nam zagarnięcie przez ciemność, która podchodziła coraz bardziej, aż znaleźliśmy się na wysepce światła w ciemnej grocie. Teraz nasze poszukiwania wydawały się beznadziejne. Znalazłam szczególnie piękny ołtarz z dziwnymi zwierzakami na szczycie kolumn. Widziałam wierzgające konie, smoki i mnóstwo innych dziwacznych stworzeń. Zawołałam mojego towarzysza.

– Popatrz, tu są różne zwierzęta. Widzisz węże? Pomóż mi szukać.

– Bardzo interesujące – szepnął. – Piękna robota. Transmutacje i transformacje, *animals w animus*.

– Czy któreś z tych słów oznacza węża? – spytałam z ironią. – Jeśli nie, to oszczędź sobie trudu.

W rzeźbach było mnóstwo dziwnych rzeczy, ale żadna nie przypominała węża Sforzów.

Przygnębiony Guido dotknął mojego rękawa.

– Musimy iść. Nie mamy chyba dużo czasu, zaraz przyjdzie mnie zmienić następną wartownik, a jeśli mnie nie zastanie, zrobi się krzyk.

– A jeśli mnie nie zastaną, krzyk będzie jeszcze większy – dodałam.

Kiedy zmierzaliśmy do wielkich drzwi wyjściowych, śledziłam jednym okiem lampkę zakrystiana. Przypomniałam sobie, co powiedział. Zatrzymałam się.

– Madonna, ale jesteśmy ślepi!

Położyłam dłoń na napierśniku Guida, żeby go zatrzymać.

– Przebieramy nogami jak świnię w gównie, a on już udzielił nam odpowiedzi.

– Kto? Zakrystian? W jaki sposób?

– Pytał, które relikwie chcemy obejrzeć: świętego czy jakieś inne, to słowo brzmiało jak kichnięcie.

– To prawda. Zrobił tak.

– Cicho. Powiedział to słowo-kichnięcie i spojrzał w dół na węża na pieczęci, którą mu pokazałeś. A więc jest tu jeszcze inna relikwia. I ta druga relikwia, słowo zaczynające się na N, ma coś wspólnego z wężem.

Guido szybko skinął głową, a jego oczy znów płonęły.

– Chodź.

Podeszliśmy bliżej starca i przywołaliśmy go do siebie.

– Dogaressa modliła się do błogosławionego świętego i podziwiała wasz kościół. Pragnie, żeby brat polecił ją opatowi i powiedział, że podziwia wszystkie wspaniałości bazyliki.

Starzec się rozpromienił. Czekałam, aż Guido wspomni o drugiej relikwii, ale nie zrobił tego.

– Teraz już się pożegnamy. Proszę to przyjąć dla biednych.

Trzymał w ręku mediolańskie *soldo*, niewątpliwie pochodzące z żołdu, który otrzymywał jako żołnierz *paghe vive*. Przez moment poczułam wzruszenie, ale kiedy zakonnik wziął monetę, mocno nadepnęłam mojemu przyjacielowi na nogę. Nie mogłam uwierzyć, że wyjdziemy, a on nie zada najważniejszego pytania. Ale niepotrzebnie się martwiłam.

– Dogaressa zachwycała się skarbami waszego kościoła.

– Ale, *soldato* – przerwał mu zakrystian – wcale nie widziała wszystkich. Nie mogę pozwolić, żeby wyszła, nie zobaczywszy... to znaczy muszę nalegać... sugerować, błagać, żeby obejrzała Nechusztana.

Znowu to słowo. Zdjęłam nogę ze stopy Guida i poszliśmy za zakrystianem w odległy zakątek kościoła po lewej stronie nawy do ozdobnej kolumny, która stała osobno, jakby należała do innego czasu i miejsca.

– Bardzo piękna bizantyjska kolumna – oznajmił z dumą zakrystian.

Guido wyraził moje rozczarowanie.

– I to jest ten Ne coś tam...?

– Nechusztan? – Zakrystian znowu się uśmiechnął. – Nie, musicie popatrzeć do góry.

Kiedy to powiedział, wiedziałam, że jesteśmy we właściwym miejscu, zanim jeszcze zobaczyłam, na co wskazywał.

Na szczycie kolumny, zwinięty w pętlę i gotów uderzyć jak wąż Sforzów, znajdował się wąż z brązu. W świetle świec pobłyskiwał miękko, miał miedziany odcień różdżki Merkurego na obrazie *Primavera*.

Chciałam zapytać, co to jest, ale po wielu miesiącach spędzonych z matką wiedziałam, że wysoko postawiona dama nigdy nie zwraca się bezpośrednio do nędznego mnicha. Wiedziałam też, że mogę zostawić to pytanie Guidowi, i nie zawiodłam się.

– Jakie to cudowne i dziwne! Proszę mi powiedzieć, co oznacza ten wąż? Jestem pewny, że dogaressa chciałaby to wiedzieć.

– Jesteśmy naprawdę uprzywilejowani – odparł stary człowiek – bo ten przedmiot dotarł do nas przez wiele łądów i mórz aż z biblijnej Ziemi Świętej. I pochodzi z biblijnych czasów.

– A więc jest może związany z laską Aarona, która zamieniła się w węża? – Brat Guido delikatnie zachęcał gadułę do opowiedzenia historii. – Sądziłem, że wąż Aarona ma wrócić do

Doliny Joszafat na Dzień Sądu, a nie spoczywać w mediolańskim kościele, nawet tak pięknym jak ten – rzekł Guido.

Zakonnik popatrzył na niego uważnie, a ja kopnęłam go w piszczel. Jak na szeregowca, nawet najbardziej pobożnego w armii Lodovica, stanowczo za dobrze znał Pismo.

– Znasz Pismo – stwierdził zakrystian ostrożnie, ale z aprobatą. – Cieszę się, że pod dowództwem Il Moro jesteście religijni. Ale historii tego węża musimy szukać w innym rozdziale i wierszu Księgi nad Księgami, bo Nechusztan wiąże się z drugim bratem w tej błogosławionej rodzinie, z Mojżeszem, nie z Aaronem. Izraelici skarżyli się na swoje problemy na pustyni, gdzieś w pobliżu Punon. Bóg, zły na nich za małą wiarę i niewdzięczność, posłał pomiędzy nich jadowite węże. Po czym Mojżesz, który modlitwą wstawiał się za nimi, otrzymał od Boga polecenie, by sporządzić miedzianego węża, żeby Izraelici przez samo popatrzenie na niego byli uleczeni od ukąszeń węża. Pozwól, że znajdę ci ten ustęp.

Podreptał do pulpitu w nawie ozdobionego rozpostartymi skrzydłami i zdjął poczciwą księgę. Wymieniliśmy spojrzenia, kiedy ją przyniósł i zaczął przerzucać poźółkłe kartki. Guida aż ręce śwędziały, żeby wziąć od niego księgę, ale zakrystian wreszcie znalazł poszukiwany ustęp.

– Tak jak myślałem, to Księga Liczb podaje pochodzenie węża z brązu kojarzonego z Mojżeszem:

Zesłał więc Pan na lud węże o jadzie palącym, które kąsały ludzi, tak że wielka liczba Izraelitów zmarła. Przybyli tedy ludzie do Mojżesza, mówiąc: „Zgrzeszyliśmy, szemrząc przeciw Panu i przeciwko tobie. Wstaw się za nami do Pana, aby oddalił od nas węże”. I wstawił się Mojżesz za ludem. Wtedy rzekł Pan do Mojżesza: „Sporządź węża i umieść go na wysokim palu; wtedy każdy ukąszony, jeśli tylko spojrzy na niego, zostanie przy życiu”. Sporządził więc Mojżesz węża miedzianego i umieścił go na wysokim palu. I rzeczywiście, jeśli kogo wąż ukąsił, a ukąszony spojrzał na węża miedzianego, zostawał przy życiu”⁴.

Młody król Ezechiasz nazwał tego węża Nechusztan.

Kiedy zakrystian skończył, wszyscy popatrzyliśmy na węża, dziwaczna trójca złożona z dziwki, żołnierza i mnicha, równie grzeszni i pobożni jak wszyscy, którzy spoglądali na węża w tamtej przeklętej dolinie.

– Bracie – wyszeptał w końcu Guido głosem cichym i nabrzmiałym ekscytacją – czy chcesz nam powiedzieć, że to jest Nechusztan, wąż, którego Mojżesz sporządził na rozkaz

Boga? Przywieziony tutaj, do Mediolanu?

– Bóg mi świadkiem.

Nie wątpiłam w to, że Bóg był mu świadkiem. Popatrzyłam z podziwem na węża, a wąż popatrzył na mnie.

– Więc jeśli pozwolisz, dogaressa pomodli się w samotności przed tym cudem. Za kilka

chwil pójdziemy.

Zakonnik skinął głową, oddalił się, zgasił światło i udał się na skrócony odpoczynek.

– Teraz stłuczmy to jajko. – Wyjęłam *cartone* zza dekoltu, rozwinęłam i położyłam na otwartych stronicach Biblii. – Ta kolumna w wojskowym kościele Lodovica ma na szczycie węża jak ten kad... jak różdżka Merkurego.

– Kaduceusz. Tak.

– Ale tu na kolumnie jest tylko jeden wąż, a na różdżce Merkurego są dwa. Popatrz. – Obydwoje z pochylonymi głowami przyglądaliśmy się wojowniczej postaci mieszającej chmury laską z węzami. Nie ulegało wątpliwości, że na trzonku owijają się dwa węże.

– Chyba musimy zająć się imieniem idola. Po hebrajsku *nachasz* znaczy wąż, a *nachoszet* znaczy miedź lub brąz – wyjaśnił Guido.

– No i co? – Nie ukrywałam, że się niecierpliwie.

– Pozwól mi dokończyć Zakończenie „-an” w słowie „Nechusztan” oznacza liczbę mnogą, czyli, mówiąc krótko, oryginalny idol składał się z dwóch węży. Dwóch węży na lasce.

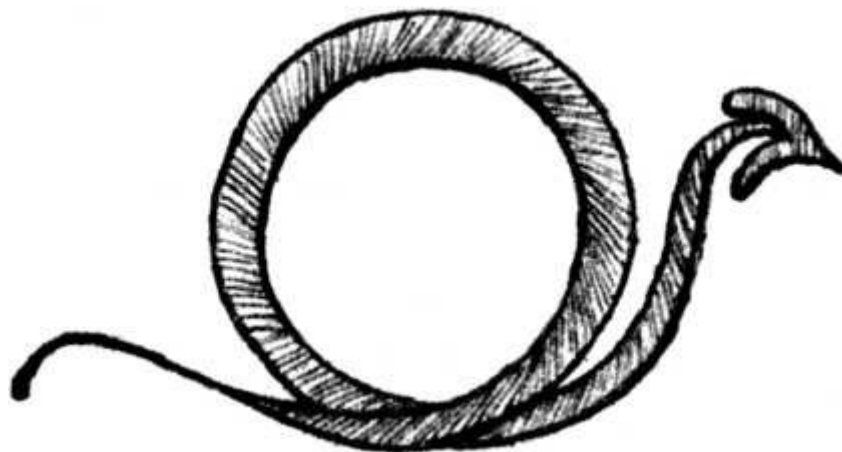
– To znaczy, że kaduceusz, którym Merkury miesza chmury, to Nechusztan?

– Bez wątpienia. Ale myślałem o innej różdżce, która jest w naszym posiadaniu. Tej, która chlubi się tylko jednym węzem.

Patrzyłam na niego tępo. Dotknął mojego rękawa.

– Mapa – powiedział krótko.

Wyjęłam z kieszeni sukni drewniany wałek. Pochyliliśmy się nad płomieniem, żeby zobaczyć wyraźnie wyrzeźbionego węża Nechusztana, wypalonego w drewnie jak piętno.



– A więc to, co mamy – powiedziałam powoli – to model tej kolumny.

– Owszem, replika. Tylko że nie jest to dokładna kopia, bo znaki na drewnie to niewyraźne wydrapania, które nic nie znaczą.

– Podczas gdy na kolumnie jest wszystko. – Poklepałam wypolerowany kamień.

– No tak – mówił Guido, głaszcząc żołnierski zarost – tylko wąż na górze. Bardzo dobrze. Zastanówmy się, co może nam powiedzieć Nechusztan. Bo musi być jakiś powód, że nas tu

skierowano, do kościoła, w którym ślepiec odzyskał wzrok. Wąż kryje sekret. – Wyciągnął szyję i patrząc w górę, kreślił palcem w powietrzu kształt węża: jedna pętla i z powrotem.

– Jeden obrót i głowa węża przypominająca strzałę idzie w tę stronę... tak... to niemal jakby...

– Czy mógłbyś dokończyć zdanie?

– Wybacz mi. Zupełnie jakby podawano nam kierunek. Zrób pętlę. Raz dokoła. Obejdźmy kolumnę.

Poszliśmy dookoła kolumny w przeciwnych kierunkach, a wąż złowrogo patrzył na nas z góry. Wylądowaliśmy dokładnie w punkcie wyjścia. Kolumna była nieciekawa jak zielonoświątkowy półmisek.

– Cudownie – narzekałam, kiedy spotkaliśmy się po raz kolejny. – Dokoła kolumny i do góry ścieżką.

– W porządku. Może wąż nie mówi nam, co robić z tą kolumną, tylko z repliką, którą również zdobi.

W świetle świecy obracaliśmy drewniany wałek to w jedną, to w drugą stronę, ale znaczki nie nabierały sensu.

– Chyba że... – zaczął powoli Guido.

I nagle jakby oszalał.

Rzucił się do ołtarza i chwycił do połowy napełniony kielich. Patrzyłam na niego zdumiona. Wrócił do mnie, wziął wielką Biblię, wyrwał stronę, którą z tej pocziwej Księgi czytał nam zakrystian, zostawiając na jej miejscu poszarpany pasek pergaminu. Potem odłożył księgę na pulpit i zamknął ją, by ukryć swój postępek. Nigdy nie podejrzewałam, że może być zdolny do takiego braku szacunku dla tego, w co kiedyś wierzył. Nie byłam pewna, co bardziej mnie szokuje, to, że podarł Biblię, czy to, że bez skrpułów zniszczył książkę, przyjaciółkę i towarzyszkę, swoją największą miłość. Wrócił do mnie i położył kartkę na posadzce obok świecy. Potem zanurzył ręce w kielichu, a kiedy je wyciągnął, ociekały czerwienią jak dłonie mordercy. Wtarł ciemne wino w drewniany wałek i poturlał go po wyrwanej stronie, jakby wałkował ciasto. Wino natychmiast wsiąkło w pergamin. Obraz był poplamiony i niewyraźny, linie zamazane, ale charakter rysunku był jasny. Łąd i morze.

Mapa.

– Mapa czego? – wyszeptałam zachwycona.

– Nie wiem. Ale wąż powiedział nam już wszystko, co mógł. Musimy wracać, zanim zorientują się, że nas nie ma.

Wziął świecę, poszliśmy z nią do drzwi, zdmuchnęliśmy ją i wyszliśmy na dwór.

Pobiegliśmy do Santa Maria delle Grazie i moje serce stanęło na moment, bo pomyślałam, że drzwi

będą zamknięte. Ale nie, trwał właśnie kolejny cykl modłów. Prześlizgnęliśmy się przez ciężką od kadzideł ciemność do arrasu zasłaniającego przejście. Biegliśmy przez zieleniejącą noc wzdłuż fosy, a Guido cały czas mówił, szeptał instrukcje cichym i zadyszonym głosem.

– Przyjdę się z tobą zobaczyć jutro wieczorem i porozmawiamy. Już niedaleko.

– W jaki sposób do mnie przyjdiesz? Już zamieniłeś wartę – martwiłam się.

– Odmienię z powrotem. Luca nie będzie miał nic przeciwko temu. Powiem, że moja pani mi odmówiła i że wolę być na warcie, niż się denerwować. Będę pod twoimi drzwiami między nieszporami a kompletą.

Wbiegliśmy po schodach wieży tak szybko, że o mało nie pękło mi serce. Widzieliśmy pochodnię następnego wartownika poruszającą się wzdłuż muru. Wpadłam do celi i bezszelestnie zamknęłam drzwi. Słyszałam, jak Guido wyciąga z otworu dawno wypaloną pochodnię dokładnie w chwili, gdy jego kolega wyszedł zza rogu.

– Bez światła, Guido?

– Podwójna warta, panie. Za Lucę. Zgasła mniej więcej przed godziną.

– Dlaczego nie wzięłaś innej pochodni od dowódcy? Z posterunku? – Ten człowiek najwyraźniej był jego przełożonym.

– Są w Torre Serpiolle, panie. Nie chciałem opuszczać posterunku.

– W porządku. – Głos wydawał się przekonany, takie zdyscyplinowanie najwyraźniej robiło wrażenie. – Możesz już iść.

Słyszałam oddalające się kroki Guida. Znowu zaczęłam oddychać.

– Żołnierzu, chwileczkę.

Przestałam oddychać.

– Słucham?

– Weź swoją rację grappy od kwatermistrza. Długa warta, co?

– Przyda się. *Notte*.

– *Notte*.

Padłam na posłanie wyczerpana wysiłkiem i strachem. Ale przed zaśnięciem rzuciłam jeszcze okiem na mapę. Nie było to łatwe, bo winny druk odbił się na słowach Pisma zajmujących stronę, na rozdziałach i wersach Księgi Liczb napisanych niewyraźną, zwartą, czarną łaciną. Wyteżałam wzrok, by coś zobaczyć w blasku świtu. Nie było nazw miejscowości. Niczego, co wskazywałoby, jaki zakątek świata przedstawia to coś, co wydawało się niewielką gwiazdą na północno-zachodnim brzegu lądu. Podałam się i schowałam pergamin pod gorset razem z *cartone*. Na próżno usiłowałam sobie przypomnieć, czy widziałam wcześniej ten ląd podczas tygodni nauki w Wenecji u Cristofora.

Moje powieki robiły się coraz cięższe, a widziałam zarys tego nieznanego kraju.

A ponieważ nie możecie zobaczyć, co mam przed oczami, to wam pokażę.



Przypomina to kształtem but.

ROZDZIAŁ 5

Obudziłam się o świcie, ubrana i sztywna z zimna. Zefir zemścił się, dmuchając zimnym wiosennym wiatrem w piszczałkę mojej wieży.

Patrzyłam, jak słońce wstaje nad miastem i oświetla srebrne szczyty katedry. Widziałam także bliźniacze wieże Świętego Ambrozego i tylko one upewniały mnie, że ostatnia noc mi się nie przyśniła. Wyjęłam zza gorsetu pergamin, żeby jeszcze raz spojrzeć na mapę, ale zaraz musiałam go schować, bo zgrzytnął klucz i drzwi się otworzyły. Stał w nich dworzanin, który nadzorował wczorajszą rewizję. Trzymał suknię z ognistoczerwonego jedwabiu.

– Matka pani zaprasza ją do swoich komnat – oznajmił krótko.

Serce zaczęło mi bić jak oszalałe, a policzki zapłonęły, choć było zimno. Czyżby dowiedziała się, jak i gdzie spędziłam noc, posługując się takimi samymi czarami, dzięki którym odgadła w Bolzano, że opuszczałam swoją komnatę?

– Prosi, żebyś ubrała się, pani, w to. – Rozłożył jedwab na posłaniu ze słomy. Trochę podniosło mnie to na duchu, bo nie marnowałyby przecież cennej materii na córkę, którą czeka egzekucja, prawda?

Zastanawiałam się, czy ten człowiek będzie obserwował, jak się ubieram – w końcu przywykłam do tego – ale drzwi się zamknęły. Wyzwoliłam się ze swojej sukni i włożyłam tę w kolorze płomieni. Chętnie żegnałam się z brudnym różowym jedwabiem, bo był sztywny od potu po długiej podróży kareta i bieganiu po ulicach Mediolanu poprzedniej nocy. Powąchałam się pod pachami i żałowałam, że nie mam goździków, żeby się tam natrzeć, ale musiałam obejść się bez tego. Dobrze, że matka nie przysłała panny służącej do pomocy przy ubieraniu, bo wtedy mogłoby dojść do odkrycia *cartone*, pasa z pieniędzmi, drewnianego wałka z mapą i stronicy z Biblii. Moje rozpuszczone włosy były potargane, zbite w ptasie gniazdo, ale nie mogłam ich uczesać, bo nie miałam ani grzebienia, ani lustra. Rozczesałam je palcami, najlepiej jak mogłam, i zaplotłam gruby warkocz, który przerzuciłam przez ramię. Nie wiedziałam, co robić, więc zapukałam w drzwi. Dworzanin przekręcił klucz, otworzył i bez słowa wziął mnie za rękę.

Owinęłam się norkami i szłam za szerokimi barami żołnierza po tych samych schodach, po których schodziłam wieczorem z Guidem. Przeprowadził mnie przez plac defiladowy, nadal pokryty szronem skrzypiącym pod butami. Oddział żołnierzy odbywał musztrę, głos sierżanta odbijał się od czterech czerwonych murów, krwawych w jasności poranka. Przyglądałam się mężczyznom w szatach koloru ochry i miedzianych hełmach, szukałam Guida, ale go nie było. Czy moja matka go rozpoznała i znowu kazała aresztować? Miałam nadzieję, że nie, matka nigdy nie

rozmawiała ze zwykłymi ludźmi, nigdy nie patrzyła im w oczy, nigdy nie wypatrywała by niczyjej twarzy w batalionie żołnierzy. Może jednak szpiegowała mnie i wie, co robiłam w nocy? Moja nienawiść do niej z powodu uwięzienia i głodzenia przerodziła się w strach.

Przeszłam nad niewielką fosą do rezydencji i wkroczyłam do wspaniałego pałacu. Trudno było uwierzyć, że moje nieszczęsne więzienie jest częścią tego samego zamku. Na każdej ścianie wisiały morelowe jedwabie i złotogłów, a wąż Sforzów był dosłownie wszędzie, obserwując dwór czujnym okiem.

Nechusztan.

Apartamenty mojej matki były równie piękne, jasnyniebieskie ze złotymi niemi wszytymi w obicie ścian. Matka siedziała przy toalecie w sukni koloru płomieni pasującej do mojej, pasującej także, co było dla mnie wstrząsem, do małych płomieni zdobiących płaszcz Merkurego-Mediolanu. Czyż wszystko miało stanowić klucz albo drogowskaz do spisku, do którego należała? Czesła włosy grzebieniem z drewna sandałowego, a równocześnie moczyła stopy w srebrnym naczyniu napełnionym wodą różaną. Powietrze było słodkie od zapachów, a mój strach przeradzał się w gniew. Ta suka zamknęła mnie w wieży, a sama pławiła się w srebrze jak królowa Mediolanu.

Ale matka po raz kolejny mnie zaskoczyła. Odłożyła grzebień, uśmiechnęła się z wdziękiem, jakbym wróciła z przechadzki, a nie z więziennej celi.

– Córeczko – powiedziała, rozkładając ramiona – cieszę się, że cię widzę. Mam nadzieję, że twoja kwatery nie jest zbyt niewygodna?

Na szczęście nie czekała na odpowiedź, bo miałam na podorędziu moje najlepsze sformułowania.

– Mam przyjemność poinformować cię, że będziesz znosiła te konieczne wyrzeczenia jeszcze tylko przez jedną noc. Rozumiesz oczywiście, że nie mogłam ryzykować utraty tego, co jest mi najdroższe, po tym, co wyczyniałaś w Wenecji.

Więc może nie wie, co robiłam w Bolzano. A już na pewno nie wygląda na to, że wie o ostatniej nocy.

– Bo mam dobre wiadomości. Twój ojciec jedzie do nas, będzie tutaj jutro.

Zastanawiałam się, dla kogo te wiadomości są dobre. Byłam nadąsana i milcząca.

– A on oczywiście przywiezie swoich wartowników, więc nie będziemy musieli dłużej wykorzystywać żołnierzy Lodovica.

Madonna! Zrozumiałam, o co jej chodziło. Jeśli będą mnie pilnować wartownicy księcia, nigdy nie ucieknę. Trzeba przekazać tę nowinę Guidowi. Musimy uciec dziś wieczorem.

– Jest jeszcze jedna niespodzianka, ale pozwolę, aby powiedział ci o niej nasz gospodarz. Życzy on sobie bowiem, abyśmy towarzyszyły mu dziś rano, bo chce nam pokazać wielkie cuda. Powiedz mi, czy złamałaś post?

– Jeśli pytasz, pani, o to, czy coś jadłam, to odpowiedź brzmi: nie. – Nie bardzo wiedziałam, jak się zachowywać w towarzystwie tej kobiety. W Wenecji widziałam blok szkła w pałacu ojca, wydawał się krystalicznie biały, ale rozszczepiał światło na siedem kolorów. Pryzmat, tak nazwał to signor Cristoforo. Taka właśnie była moja matka, miała co najmniej siedem kolorów i nigdy nie wiedziałam, który aspekt jej charakteru za chwilę się ujawni. Wydawało się, że nie zauważyła mojej nieuprzejmości. Machnęła ręką do sług. – Powiedz, żeby przynieśli mi także kolację, bo wczoraj wieczorem też gównem jadłam! – wrzasnęłam za wychodzącą pokojówką.

Matka uniosła brwi.

– Spokojnie. To na pewno przeoczenie.

Przeoczenie. Była zbyt zajęta ucztowaniem, prosiakiem i marcepanem, żeby zostawić okruszki dla córki.

– Porozmawiajmy chwilę, skoro jesteśmy same – powiedziała. (W pokoju były co najmniej trzy pokojówki, ale mówiłam wam, że matka nie zauważa zwykłych ludzi). – Ostrożnie, nie podkuwasz konia. – To do jednej ze służących, która wycierała jej stopy lnianym ręcznikiem. Matka kopnęła ją, a biedna kobieta padła jak długa na wiklinowe maty. – Wiesz, oczywiście – ciągnęła – dlaczego twoja kwatery tutaj jest... trochę mniej wygodna niż w Bolzano?

Obserwowałam nieszczęsną pokojówkę przemykającą do drzwi. Wzruszyłam ramionami.

Matka wyciągnęła długą, białą dłoń, a między palcami błyskała w słońcu srebrna moneta.

Moje serce zabiło tak głośno, że musiała to usłyszeć.

To był aniel z kopalni w Bolzano. Którego znalazłam. I zgubiłam.

Zrozumiała, co oznacza wyraz mojej twarzy.

– Owszem. Wypadła ci z rękawa, kiedy usnęłaś w karecie.

Obudził mnie wtedy brzęk metalu i zobaczyłam za oknami karety lombardzkie jeziora.

– Wiedziałaś, że wychodziłaś tamtej nocy – powiedziała. – Jak zauważyłaś, Marty już z nami nie ma.

Czy Marta była w Wenecji, czy z Wszechmogącym, nie było dla mnie jasne, a matka nie rozwodziła się na ten temat.

– Luciano, wcześniej czy później zorientujesz się, że nie wygrasz, a posłuszeństwo wobec mnie, twojego ojca, a także i męża okaże się najprostszą drogą do szczęścia. Nieposłuszeństwo niesie wyłącznie ograniczenia, uwięzienie i rozpacz. – Wstała i zaczęła chodzić po komnacie, jak prawnik, który podkreśla wagę swoich słów. – Zapomnij o wszystkim, co według ciebie wiesz o polityce, bo się mylisz. Dla własnego bezpieczeństwa nie staraj się zgłębić niczego ponad to, co ci się mówi. A tymczasem w uznaniu twojej daleko posuniętej ciekawości w sprawach państwowych zostaniesz dzisiaj obdarzona zaufaniem wielkiego Lodovica Sforzy. Patrz i ucz się, skoro jesteś tak pełna zapału, a jutro będzie nowy początek. Aha, twój posiłek. – Przeszła gładko od polityki do

śniadania, nie zmieniając tonu.

Przyniesiono jedzenie, było ono rekompensatą za wszystkie groźby: solona wołowina, piwo, owoce i dobry biały chleb. Jadłam łapczywie, a matka obserwowała mnie spod opuszczonych powiek, niczym Nechusztan.

– Twoje włosy są w strasznym stanie – zauważyła. – Chiaro, przynieś grzebień i oliwę. Niech pomyślę... tak, opale będą najlepsze.

Starsza pokojówka, którą pamiętałam z Wenecji, wyjęła potrzebne rzeczy z podróźnych kuferków. Matka posadziła mnie przed lustrem i sama mnie uczesała. Miała zadziwiająco delikatne i zręczne palce. Rozczesała moje splątane loki w gładkie pasma, zebrała je w pukle, w które wpięła opale, pozostawiając połowę włosów opadających luźno na plecy. Kiedy skończyła, dotknęła moich ramion i ustawiła się obok mnie w lustrze. Nasze oczy się spotkały. Dwie kobiety o blond włosach i zielonych oczach, ubrane w płomienny jedwab, z pokrewieństwem wypisanym na twarzach, o ciemnych skrzydłach brwi, niewielkim zadartym nosku i pełnych różowych wargach. Nie powiedziała ani słowa, kiedy przytuliła policzek do mojego policzka, aleją zrozumiałam.

Byłyśmy rodziną.

Czekałam ubrana, obuta i zamaskowana („skarbie, będziesz wśród żołnierzy”), a matka znowu posłała po dworzanina. Zaprowadzono nas z rezydencji w dół po kamiennych schodach. Minęliśmy po drodze jezioro pełne karpi. Ryby wystawiały złote brzuchy do słońca. Mogłabym jedną wyciągnąć, ukręcić jej łeb i zjeść w całości, bo nadal umierałam z głodu.

Na dziedziniec szybko wkroczył książę ze swoją świtą. Zauważyłam, że Il Moro zawsze wygląda, jakby maszerował. Jego postawa była wojskowa, jego zajęciem była wojna, wszystko wokół miało charakter militarny. W świetle poranka zauważyłam śniadą karnację księcia, jego oliwkowoczarne oczy i włosy i po raz pierwszy zrozumiałam, dlaczego nazywają go Il Moro, Maur.

Znowu powitał nas po żołniersku, wobec mnie zachowywał się równie swobodnie i przyjaźnie jak wczoraj, jakbym nie spędziła nocy w jednej z jego cel.

– Chodźmy – powiedział. – Pokażę wam, pani i panno, cuda, o których mówiliśmy przy kolacji.

Poprowadził nas do niewielkiej loggii, jej czarno-białe łuki błyszcząły w słońcu. Ręką z pierścieniem Medyceuszy otworzył kluczem niskie drzwi. Zwrócił się do swoich strażników:

– Sześciu zostaje, sześciu odchodzi – rozkazał. – Żadnych rzymian.

Dworzanin policzył żołnierzy:

– Dwaj mediolańczycy, jeden z Maremmy, jeden ze Sieny, jeden z Modeny i jeden z Pizy.

Na dźwięk tego słowa podniosłam wzrok i zobaczyłam, że to Guido jest pizańczykiem, który ma nas ochraniać.

Za ciemnymi drzwiami były kręte schody wiodące w dół, za nami stukały sandały żołnierzy.

W dół i w dół aż do wielkiego pomieszczenia zalanego światłem z szybów okiennych, które przez dwanaście stóp solidnej skały sięgały do wyżej położonych dziedzińców zamku. Przypomniało mi się ukryte przejście, przez które przebiegaliśmy ostatniej nocy. Ale gdyby w tamtym pasażu mieszkały takie stwory, jakie zobaczyłam tutaj, nigdy nie opuściłabym zamku.

Madonna!

Były to wielkie bestie z drewna i żelaza, wieże oblężnicze mające wysokość olbrzymów, maszyny wojenne z zębami jak u smoków, z kołami, dźwigniami i linami, z działami i belkami, najeżone ostrzami.

Szliśmy obok siebie po sali wielkiej jak katedra, ale było to miejsce służące chwale wojny, nie Boga. Lodovico Sforza, zupełnie jakby czytał Pismo, zaczął przemawiać w języku, który rozpoznałam jako łacinę. Czy dlatego książę nie życzył sobie gwardzistów z Rzymu? Czy było bardziej prawdopodobne, że mieszkańcy Rzymu znają język kościelny? Ja oczywiście rozumiałam jedno słowo na sto. Moja matka kwitowała informacje księcia skinieniem głowy, ale rozumiała wszystko. A ja wiedziałam, że jest tu jeszcze ktoś, kto zrozumie każde słowo Il Moro i w odpowiednim czasie będzie mógł mi je powtórzyć. Rozpierała mnie duma.

Każdy z tych stworów miał opiekuna. Rzemieślnicy coś tam majstrowali, poprawiali, przeprowadzali próby, tu dodali bolec, tam przybili gwóźdź, heblowali drewno, gładzili metal. A w centrum tego wszystkiego znajdował się niewielki brzydki człowieczek, skrywający rysy twarzy za brodą i wąsami. Nisko pokłonił się księciu i zaczął do niego mówić po łacinie, znacznie szybciej i płynniej niż jego pan. Przypominał żywe srebro, rozsadzały go pomysły. Nosowe brzmienie jego łaciny pozwoliło mi rozpoznać w nim Toskańczyka. Wiedziałam, że to musi być inżynier z Vinci, o którym wspominał Guido poprzedniego wieczoru. Po chwili wiedziałam coś więcej, bo przedstawiono go mojej matce jako Leonarda da Vinci. Kiedy obaj panowie rozmawiali, a moja matka słuchała, zadałam sobie pytanie, dlaczego teraz pokazuje mi się takie rzeczy, choć dotychczas moja nieufna matka trzymała mnie w niewiedzy. Grała w karty, ale pokazywała mi swoje rozdanie, co właściwie równało się przyznaniu, że szykuje się wojna, w której ona weźmie udział, a ta nowa wojna, z nową armią, będzie rozgrywana nowymi sposobami. Za pomocą maszyn, które rodziły się w rozgorączkowanej wyobraźni tego tokańskiego inżyniera, którego pomysły nabrzmiewały i pękały jak bańki mydlane, rozlewając krew niewinnych żołnierzy rzuconych na żer jego machinom. Matka odwróciła się do mnie i cichym głosem powtórzyła moje myśli:

– To maszyny śmierci. Ktokolwiek ma takie urządzenia, nie może przegrać wojny.

Rozumiesz? Nie może przegrać.

Teraz rozumiałam powód tego pokazu. Kolejna groźba.

Spojrzałam jej w oczy.

– Rozumiem. Ale właściwie dlaczego mi to mówisz? – Zauważyłam, że książę i jego

inżynier przerwali rozmowę, żeby posłuchać.

– Nie ma sensu sprzeciwianie się temu, co nadchodzi. To jest tak nieuniknione jak pory roku.

Mały Toskańczyk dorzucił łacińskie powiedzenie (które miało zostać trzecią znaną mi łacińską sentencją):

– *Ver fugo Hiberna.*

Wszyscy się roześmieli. Nienawidziłam ich, tych handlarzy terroru, sprzedawców śmierci.

– A teraz zostawmy te wojenne widoki i wejdźmy do królestwa miłości i małżeństwa – zaproponowała matka, obejmując mnie ramieniem.

– Mars wita Hymena, tak? – warknął Lodovico. – To prawda, pani, możesz się radować. – Popatrzył na mnie z sympatią, jakby był ukochanym wujkiem, a nie więziennym strażnikiem. – Jutro powitamy na naszym dworze twego narzeczonego, Niccolo della Torre z Pizy.

O mało nie upadłam.

– Niccolo? Tutaj? Jutro? – Mówiłam jak najgłośniejszym głosem, żeby usłyszał brat Guido.

– Owszem. – Matka uśmiechała się wyrozumiale. – Czyż nie jest to powód do radości? Przyjeżdża, by dołączyć do nas i ponownie zawrzeć znajomość z tobą, królową jego serca.

Zrobiło mi się niedobrze. Miałam nadzieję, że ta informacja dotrze do Guida stojącego w szeregu wartowników. Wszyscy zbieraliśmy się do wyjścia, a ja zostałam w tyle, poprawiając but. Guido zrównał się ze mną. Potknęłam się u podnóża schodów i wyciągnęłam rękę do Guida, żeby pomógł mi złapać równowagę. Poskutkowało.

– Hej, ty tam, pomóż panience wejść po schodach, mdleje na wieść o przyjeździe ukochanego. – Il Moro się roześmiał, a jego głos dźwięczał na spiralnych schodach.

Guido i ja mieliśmy sześć spiralnych schodów, żeby powiedzieć sobie to, co należało powiedzieć. Ale zajęło to mniej czasu.

– Przyjdę wieczorem zgodnie z umową – szepnął tak cicho, że jego słowa ledwo przebiły się przez odgłos kroków na schodach. – Między nieszporami a kompletem.

– Nie słyszałeś? Jutro przybywa Niccolo! Od razu cię rozpozna – syknęłam.

Wydawał się zaskoczony, ale szybko się opanował.

– Będę bezpieczny wśród żołnierzy, nie zwróci uwagi na piechurów.

Nie było czasu na dowodzenie, że matka widziała Guida tylko raz, na ślubie Medyceuszy, a Niccolo z nim dorastał, znał go jako chłopca i jako mężczyznę. Przeszłam do rzeczy:

– Pozwól sobie przypomnieć, że znałam facetów o gustach twego kuzyna, i jedną z rzeczy, jakie lubią, jest zwracanie uwagi na piechurów. – Dochodziliśmy do drzwi. – Poza tym od jutra będę pod strażą wartowników mojego ojca. A oni znają swój fach.

To poskutkowało.

– W porządku. Musimy uciec dziś wieczorem. Bądź gotowa.

Skinęłam głowę. Jeszcze jeden zakręt schodów i wyjdziemy na światło. I jeszcze jedno pytanie:

– Co ten toskański inżynier powiedział po łacinie?

Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem.

– Powiedział: „Wiosna wygania zimę”.

Resztę dnia spędziłam na nerwowym oczekiwaniu. Dobrze rozpoznawałam symptomy znane mi z dnia poprzedzającego ucieczkę z Wenecji. Straciłam apetyt, byłam jak kurek na dachu kręcący się od ekscytacji do przerażenia. Miałam rozpalone policzki, oczy mi płonęły i w drodze na mszę w lektyce Il Moro matka zapytała, czy mam gorączkę. Na co Lodovico klepnął mnie w plecy, jakbyśmy pili grappę na wartowni, i powiedział:

– Ładna mi gorączka! To niepokój Kupidyna, mogę się założyć. Bo nic nie wywołuje takich rumieńców na policzkach dziewicy i takiego błysku w oczach jak perspektywa spotkania z ukochanym. Możecie mi wierzyć, że te wszystkie symptomy wiążą się z della Torre.

Kiedy kasłałam po klepięciu w plecy i uśmiechałam się uprzejmie, pomyślałam, że jego rozumowaniu nie można niczego zarzucić – moje rozgorączkowanie wiązało się ze spotkaniem z ukochanym, który nosi nazwisko della Torre, jednak Il Moro mylił się co do tego, na którą z latorośli tej rodziny tak czekam.

W ten sposób znalazłam się w trzeciej mediolańskiej bazylice. Odkąd przyjechałam do tego miasta, byłam w kościele więcej razy niż w ciągu ostatnich czterech lat. Tym razem modliliśmy się w wielkiej katedrze z mnóstwem ostrych pinakli na zewnątrz i wielką wielokolumnową nawą wewnątrz. Światło przedostawało się przez witraże w odcieniu zielonym, a kolumny wspinały się i skręcały niczym gigantyczne żebra. Tym razem nie jak Daniel w jamie lwa, raczej jak Jonasz w brzuchu wieloryba, znalazłam się we wnętrzu potwora. Czy kiedykolwiek uda mi się uciec z tego miasta? Nabożeństwo ciągnęło się dwie godziny, a mnie przez cały czas dręczył niepokój i nie rozumiałam ani słowa.

Po powrocie do zamku nie mogłam znaleźć sobie miejsca aż do kolacji, na którą tego wieczoru byłam zaproszona, ale równie dobrze mogłam nie być, bo nie udało mi się przełknąć ani kęsa. W porze nieszporów musiałam być z powrotem w celi, więc wytłumaczyłam wcześniejsze wyjście z uroczystości koniecznością wyspania się, by wyglądać świeżo na przyjazd narzeczonego. Matka chyba mi nie uwierzyła, ale wyznaczyła dwóch wartowników, żeby odprowadzili mnie do wieży i przekręcili klucz w zamku.

Po powrocie do celi nie miałam wiele do roboty. „Bądź gotowa”, polecił Guido. Ale dawno już nauczyłam się mieć przez cały czas na sobie wszystkie potrzebne rzeczy. Wzięłam najcieplejszy płaszcz, owinęłam nim maskę matki i położyłam na drewnianym stołku, stanowiącym jedyny mebel

w tej klitce, po czym usadowiłam się na nim w oczekiwaniu na bicie dzwonów. Kiedy godzinę nieszporów oznajmił dzwon w jednym kościele, potem w drugim, a następnie odezwały się wielkie dzwony katedry, usłyszałam za drzwiami kroki i klucz przekręcający się w zamku. Tak szybko! Serce podskoczyło mi do gardła i zerwałam się na równe nogi.

Drzwi otworzyły się szeroko.

Stała w nich moja matka.

ROZDZIAŁ 6

Weszła z uśmiechem, ale nie zmniejszyło to mojego lęku. Przyjazny wyraz twarzy nic nie znaczył u kogoś o obliczach zmiennych jak rozszczerzone światło. Gdyby chciała odebrać komuś życie, nie przestałaby się uśmiechać, wbijając nóż. Wytrzymałam jej wzrok jak wystraszony królik, marząc o tym, by nie spytała, co robi moje futro zwinięte na stołku. Oczywiście przede wszystkim tam skierowała swoje kroki i zrzuciła futro na podłogę, żeby usiąść. Przeżona czekałam, że wypadnie z niego maska, ale dobrze ją zawinęłam i matka niczego nie zauważyła. Bałam się, że będzie pytała, dlaczego nadal jestem ubrana, jednak kilka chwil w tym pomieszczeniu z gwizdającym wiatrem szybko pozwalało każdemu gościowi zrozumieć, dlaczego się nie rozbieram.

Usiadła na stołku w swoim eleganckim stroju i rozejrzała się dokoła. Po raz kolejny zmieniła nastrój. Sprawiała wrażenie przygnębionej, mówiła niepewnie, czego nigdy jeszcze nie słyszałam. Wydawała się szczerze zmartwiona warunkami, w jakich mnie przetrzymywano.

– Bez łóżka! Bez szyb w oknach! Nie... nie domyśliłam się. – Zwróciła na mnie swoje wielkie zielone oczy, po raz pierwszy czegoś ode mnie chciała. – Przyszłam, żeby cię prosić... – Wydawało się, że nie potrafi znaleźć słów. – Pozwól mi czuwać nad sobą. Jeśli będziesz próbowała uciekać, okażesz nieposłuszeństwo czy będziesz chciała przeszkodzić temu, co się toczy, to ci, których teraz trzymam na wodzy, znowu będą cię prześladowali.

Przeszył mnie dreszcz, bo wiedziałam, że mówi o Cyriaxie Melanchthonie, trędowatym mordercy, który był narzędziem Wawrzyńca Medyceusza, a o którym w Wenecji zupełnie zapomniałam. Po raz pierwszy wzięłam pod uwagę to, jak zimno może być poza kręgiem silnych ramion matki.

– Chciałabym, żebyś wyszła za mąż i była szczęśliwa, z gromadką dzieci rosnących jak winorośle. Nigdy nie widziałam, jak rosną moje dzieci. – Głos jej się załamał i nagle wydała się dużo starsza.

Nie podeszłam do niej, nie odezwałam się, ale wbrew sobie poczułam smutek z powodu tego wszystkiego, co straciła, choć częściowo z własnej winy.

Wstała i podeszła do mnie.

– Chciałabym dla ciebie jak najlepiej. Pod tym względem jestem twoją *Vera Madre*. – Niemal wyciągnęłam ręce, niemal wzięłam ją w ramiona, ale nie zrobiłam tego.

Pocałowała mnie i wyszła.

Przez chwilę stałam nieruchomo. Nie mogłam uwierzyć, że zapamiętała, jak ją kiedyś

nazwałam. Wymówiłam przy niej słowa *Vera Madre* tylko raz, kiedy obudziłam się w gondoli w Wenecji. Wtedy uśmieła się z tego sformułowania. Nigdy więcej go nie użyłam, nawet w samotności, bo marzenie pielęgnowane przez szesnaście lat prysło, obraz czulej i kochającej matki rozwiął się jak fałszywy idol, którym w istocie był.

Po jej wyjściu znowu usłyszałam kroki i natychmiast stałam się czujna. To było *cambio di guardi* – zmiana warty. Zastygłam przerażona, bo chociaż matka nigdy nie rozpoznałaby Guida w batalionie żołnierzy, to przecież nawet ona zorientowałaby się, kim jest, gdyby mijali się w wąskim przejściu.

Ale nie, nasza krótka rozmowa musiała wyrzeć na niej takie samo wrażenie jak na mnie, bo wartownik sobie poszedł, ona też, a Guido – teraz rozpoznawałam już jego kroki – był znowu pod moimi drzwiami.

Zawahałam się przez sekundę, zanim podniosłam z podłogi płaszcz i maskę, wiedziałam bowiem, że kiedy drzwi się otworzą i opuszczą celę, znowu stanę przeciwko matce i pozostałym członkom Siódemki. Na wieki wieków. Amen. Przeciwno armiom, przeciwko flocie okrętów, przeciwko całemu srebru z gór, przeciwko trędowatemu mordercy, który pragnie mojej śmierci.

Jednak kiedy drzwi się otworzyły, wystarczyło, że Guido zadał mi jedno pytanie, i wiedziałam, iż pójdę za nim na koniec świata, bez względu na grożące nam niebezpieczeństwa. Bo będziemy razem.

– Gotowa?

Gotowa.

Zeszliśmy po wąskich schodach, potem dalej do wyjścia z wieży, tak jak poprzedniego wieczoru. Sądziłam, że znowu pójdziemy podziemnym przejściem do kościoła Santa Maria delle Grazie, a potem spróbujemy jakoś wydostać się za miejskie mury.

– To zbyt ryzykowne – powiedział Guido. – Na szczęście jest inna droga.

Skręciliśmy ostro w lewo i w dół do innego przejścia, wysokiego i przepastnego.

– Mógłby tędy przejść cały regiment!

– O to właśnie chodzi.

– Dokąd to prowadzi? Do kolejnego kościoła?

– Nie. Prowadzi poza fortecę, do *barco*, czyli na teren polowań za zamkiem.

– Za bramy miasta?

– Za bramy miasta.

Zanim zdążył to potwierdzić, usłyszałam przytupywanie i gardłowe postękiwania. Oczywiście tunel był pilnowany. Stałam jak wryta, bo byłam przekonana, że zostaliśmy zdemaskowani. Miałam tylko nadzieję, że Guido potrafi mówić wystarczająco szybko, żeby nas stąd wyciągnąć. Z dzisiejszego zachowania matki wywnioskowałam, że nawet ona nie będzie

mogła mnie obronić, jeśli jeszcze raz wpadnę w tarapaty.

– Nie bój się – szepnął Guido.

Wyszliśmy zza narożnika, a tam stał olbrzymi koń, kruczoczarny, na którym wczoraj siedział Il Moro.

– Ale to jest... – wyjąkałam.

– Wiem.

– I chcesz, żebym ja...

– Tak. Ja wsiądę pierwszy. Ty usiądziesz za mną. Templariusze przez wiele stuleci jeździli po dwóch. Nic ci się nie stanie.

Gównu mnie obchodzili templariusze, kimkolwiek byli, wiedziałam na pewno, że jeszcze nigdy w życiu nie jechałam na prawdziwym koniu. Najbliższa temu była jazda na małym koniku z Fiesole do Pizy z Guidem, ale to nie to samo. Mimo niedawnego przeszkolenia w szlachectwie na liście moich nauk nie znalazła się jazda konna. Wenecjanie nie są koniarzami, ponieważ jedyne konie w całym mieście to czwórka z brązu na szczycie bazyliki.

Madonna!

Guido zręcznie wskoczył na czarną górę i wciągnął mnie za sobą. Koń tkwił nieruchomo, co mnie zdziwiło, bo spodziewałam się, że będzie wierzgał i stawał dęba.

– Nie bój się – uspokajał mnie Guido, bo wyczuł mój strach. – On jest przyzwyczajony do bitew, jest solidny jak skała. Ale trzymaj się.

Ledwo zdążyłam opleść ramionami jego pas, a dźgnął zwierzę piętami i ruszyliśmy. Skakałam jak wór mamałygi, póki nie złapałam rytmu, ale nie miałam wątpliwości, że pośladki będą mnie bolały przez wiele dni. Najwyraźniej szlachecka edukacja Guida obejmowała jazdę konną, ponieważ jechał płynnie, lekko przytrzymywał wodze i zręcznie przenosił ciężar ciała. Przemknęliśmy przez oświetlony pochodniami fragment przejścia, aż zobaczyłam ostatnią przeszkodę na naszej drodze, podwójną wartę dzielącą nas od nocnego nieba za murami. Bez zatrzymywania się Guido wyjął glinianą plakietkę z węzem.

– Przejazd w imię Il Moro! Muszę zawieźć dogaresę w bezpieczne miejsce.

Wartownicy po chwili wahania cofnęli piki. Właściwie nie mieli wyboru, bo czarny jak noc wierzchowiec nie dostał polecenia zatrzymania się i przeskoczyłby przez nich obu.

Wyskoczyliśmy w gwiazdzistą noc, pędziliśmy jak burza przez *barco*, przecinając teren polowań, jakbyśmy byli zwierzyną łowną.

Jechaliśmy, nie oglądając się za siebie może przez godzinę, bo za nami odezwały się odległe dzwony, a teren zaczął się wznosić. Koń, zaprawiony w bojach i bardzo wytrzymały, ani na chwilę nie zwolnił tempa. Kiedy dojechaliśmy do zalesionego wzgórza ze srebrnym strumieniem, Guido zatrzymał się, by ogier mógł się napić. Sam zręcznie zeskoczył na ziemię, zsadził mnie i pozwolił

zwierzęciu zanurzyć głowę z wdzięcznym rzeniem. Popatrzyłam do tyłu na miasto, które opuściliśmy, ale jeszcze nie odjechaliśmy zbyt daleko.

– Dokąd jedziemy?

– W tej chwili?

– Nie. Chodzi mi o...

– Wiem, o co ci chodzi. Do Genui, to ostatnie z miast.

– W porządku, ale w takim razie powinniśmy chyba jechać na zachód?

Aż się odwrócił, żeby mi się przyjrzeć.

– Popatrz, tu jest *Polaris*, Gwiazda Północna – paplałam – a według kompasu powinniśmy zmierzać w kierunku północny północny zachód.

Guido był zaskoczony. Uśmiechnął się.

– Masz rację. Musieliśmy jednak przede wszystkim wydostać się z miasta, bo już sama kradzież konia Il Moro oznacza karę śmierci, nie mówiąc o innych występkach. Teraz, kiedy nie ma, jak się wydaje, niebezpieczeństwa pogoni, udamy się na zachód, zgodnie z twoimi wyliczeniami.

Usiedliśmy obok siebie na lodowatej łące i patrzyliśmy na Mediolan. Mury miejskie posrebrzone światłem księżyca wiły się wokół miasta zazdrosną spiralą, zatrzymywały obywateli wewnątrz, a świat na zewnątrz.

– To nawet wygląda jak wąż, prawda? – zaryzykowałam pytanie.

– Jezu!

– No co?

– Wiem, co oni knują.

– Kto?

– A jak myślisz? Siódemka oczywiście. Błogosławiona Mario i wszyscy święci! – Po wpływie szoku Guido wrócił do dawnego sposobu mówienia.

– Czy możemy na chwilę zapomnieć o Piśmie Świętym? Co oni planują?

– Laska Aarona. Przynajmniej w tym miałem rację.

– Daj spokój!

– Laska Aarona zamieniła się w węża. W dzień sądu przyczółga się z powrotem do doliny Jozafat.

– Powiedziałam, zostaw Pismo Święte.

– Ale to tam jest. W Proroctwie Joela, księga czwarta, wers drugi, czytamy: *Zgromadzę też wszystkie narody i zaprowadzę je na Dolinę Jozafat. Zgromadzę wszystkie narody.*

– Przykro mi, ale nie nadażam.

Wziął mnie za ramiona i patrzył na mnie.

– Pamiętasz, jak byliśmy w Panteonie w Rzymie, tuż przed zaćmieniem, i podziwialiśmy marmurową posadzkę? Marmur pochodził z całego imperium rzymskiego i został umieszczony w jednej posadzce. Powiedziałem królowi Ferdynandowi, że to deklaracja imperium wyrażona w marmurze.

– No i?

– No i to. – Bez pytania włożył mi rękę za dekolcję, wyciągnął *cartone* i pomachał nim przed moim nosem. – *Primavera* to deklaracja imperium wyrażona farbą.

– Nadal nie rozumiem.

– Wawrzyniec i Siódemka zamierzają zbudować imperium. Tak jak zrobili to Rzymianie. Zamierzają wrócić do tamtych dni, kiedy nasz półwysep rządził światem z zachodu na wschód. *Zgromadzę wszystkie narody*. Mają armię, flotę, bank bez dna. Zamierzają przejąć cały półwysep, połączyć miasta-państwa i stworzyć nową Italię.

– To jest to! – Słowo zapaliło się jak promień słońca.

– Co takiego? – Teraz Guido nie wiedział, o co chodzi.

Nie mogłam nadażyć z wypowiedaniem słów.

– Srebrny angel. Moneta, którą znalazłam w kopalni w Bolzano. Ta, którą upuściłam w powozie i znalazła ją matka. Sol Invictus i Wawrzyniec z jednej strony, a z drugiej jedno słowo: „Italia”.

– No proszę. Wyrażone w srebrze. Judaszowym metalu dla siedmiu zdradzieckich drani. – Pokręcił głową. – Jaką mamy datę?

Ta nagła zmiana tematu mnie zaskoczyła, ale starałam się odpowiedzieć najlepiej, jak potrafiłam.

– Wyjechałam z Wenecji na początku marca, potem byliśmy w Bolzano i przyjechałyśmy tutaj, więc powiedziałabym, że jest połowa marca.

– A dokładnie idy marcowe.

– Ale dokładnie to ja nie wiem.

– A ja chyba wiem. Nie zostało nam dużo czasu.

Wziął wodze i wskoczył na ogiera, wciągając mnie jeszcze bardziej bezceremonialnie niż poprzednio. Kopnął biednego konia tak mocno, że ten wyskoczył z zagajnika, gwiazdy zawirowały nad naszymi głowami, a w uszach gwizdał wiatr. Musiałam wykrzyknąć moje pytanie, bo inaczej porwałby je Zefir:

– Dużo czasu do czego?!

– Do dwudziestego pierwszego dnia marca. Nowego roku dla florentczyków i nowego imperium dla Medyceuszy. – Odwrócił głowę tak, żebym mogła usłyszeć: – Do pierwszego dnia wiosny.

IX

Genua, marzec 1483

ROZDZIAŁ 1

Nasza podróż do Genui była najgorszą z dotychczasowych.

Nie mogłam cieszyć się połączeniem z Guidem, nie mogliśmy celebrować naszego spotkania, bo teraz ścigaliśmy się z samą wiosną. Brat Guido wyliczył, że od dwudziestego pierwszego dnia marca – dnia uważanego za pierwszy dzień wiosny zarówno przez kalendarz chrześcijański, jak i pogański – dzieli nas mniej niż tydzień, bo teraz były idy, czyli dzień piętnasty. Był przekonany, że atak nastąpi właśnie tego dnia, bo nie tylko obraz nosi nazwę tej pory roku, ale też oda Poliziana jest ściśle związana z nadchodzącą wiosną, odnową, nowym porządkiem świata. Nie miałam pojęcia o poezji, ale wierzyłam w to, co widziałam: Flora, czyli postać, której dałam twarz, była najważniejszą postacią na obrazie, to ona patrzyła widzowi w oczy, ona wychodziła przed innych, brzemienista obietnicą. Potrafiłam docenić ironię sytuacji – mniej niż rok temu mój ostatni klient, Bembo, obiecywał, że będę najważniejszą postacią na obrazie Botticellego. Wtedy uważałam, że to pochlebstwo, a teraz poznałam prawdę.

Armia Lodovica przez cały czas deptała nam po piętach. Guido powiedział, że ogłoszą mobilizację, gdy tylko okaże się, że zniknął i koń, i ja. Raz nawet widzieliśmy duży oddział piechoty. Na dalekiej górskiej przełęczy przypominali mrówki, ale dzieliła nas odległość prawie dnia jazdy. W miarę posuwania się wojsk Siódemki posuwała się też wiosna. Wkrótce góry błyszczącego lodu przemieniły się w zielone wzgórza z białymi wioskami na stokach, schodzącymi do ciepłego wybrzeża z morzem w kolorze lapis-lazuli i koralowymi grotami. Ciepły oddech nadchodzącej wiosny, ten pierwszy dzień w roku, kiedy zrzuca się płaszcz, zwykle tak oczekiwany, nas przerażał.

A pozostało jeszcze do rozwiązania tyle zagadek, zanim dotrzemy do bram Genui. Jaka była rola tego miasta w całym spisku? Jak może być jednym z Siódemki, skoro widzieliśmy już siedem złotych pierścieni?

– Chyba że Siódemka odnosi się do wszystkich pozostałych spiskowców, którzy dołączyli do założyciela, Wawrzyńca Medyceusza.

– Wtedy na pewno nazwaliby się Ósemką – argumentował Guido. – Nie, jestem gotów się założyć, że władca tego miejsca nie nosi pierścienia, ale nie umiem powiedzieć, skąd to przekonanie. Może Genua jest niewinna?

Mogłabym w to uwierzyć, gdyby nie obecność Simonetty, perły Genui.

Koń Il Moro zgubił podkowę w miasteczku Torriglia na szczycie góry, musieliśmy więc przerwać podróż i po raz pierwszy od wyruszenia w drogę zatrzymaliśmy się na posiłek.

W przydrożnej tawernie wypiliśmy dzbanek wina i zjedliśmy bochenek chleba przy stoliku ustawionym na dworze, żebyśmy mogli obserwować, co się dzieje przy wjeździe na rynek i u kowala podkuwającego naszego konia po drugiej stronie placu. Daleko w dole wychynęło z unoszącej się morskiej mgły miasto ogrodzone szarymi granitowymi murami, leżące na brzegu morza. Jego dachy i wieże srebrzyły się jak góra lodowa.

Genua.

Jeszcze raz rozwinęliśmy *cartone*, postawiliśmy na jego rogach puchary i patrzyliśmy na piękne rysy ostatniej postaci tej sceny, Simonetty Cattaneo, sławnej, od dawna niezwykłej piękności. Zdaniem Guida malarz nadzwyczajnie uchwycił podobieństwo.

– Ona wydaje się taka ważna dla całej tej sprawy – powiedziałam. – Trzyma za rękę Neapol i Pizę.

– Nie tylko to. Miecz Botticellego, to znaczy Merkurego, zakrzywiony bułat, taki jaki mam tutaj – poklepał pochwę miecza – skierowany jest prosto na Simonettę, widzisz? Jego czubek niemal dotyka jej nogi. Jestem pewny, że dotyka co najmniej materii jej szaty. To z pewnością musi świadczyć o miejscu Genui w spisku.

Przyjrzałam się lepiej.

– Masz rację.

– I jest jeszcze coś – kontynuował. – Simonetta to jedyna znana twarz na całym obrazie.

– Co masz na myśli?

– Była bardzo sławną piękną. Pozostałe damy znane są jedynie we własnych krajach. Uroda twojej matki jest legendarna, ale nikt nie zna jej rysów, bo chodzi w masce. Ty byłaś dzieckiem wychowanym na florenckich ulicach, najładniejszym ze wszystkich – (powstrzymałam uśmiech) – ale zupełnie nieznanym. A Semiramidę Appiani, dziewczyną panną młodą, rodzina chroniła przed wzrokiem postronnych. Stała się sławna dopiero po ślubie. Jedynie Fiammetta z Neapolu może się pochwalić sławą podobną do sławy Simonetty, ale ona była raczej archetypem.

– Czym?

– Modelem, z pewnością wzorowanym na Marii d’Aquino, ale był to wymysł Boccaccia, podczas gdy Simonetta... – Popatrzył na nią tak, że niemal poczułam zazdrość. – Jestem pewny, że każdy mężczyzna w Toskanii, Lombardii czy nawet tu, w Ligurii, rozpoznałby ją na tym portrecie. A gdyby miał trudności, to mógłby ją zidentyfikować dzięki perle na czole.

Dotknęłam palcem perły w moim pępku, która musiała być równie duża jak perła Simonetty.

– A co z tym drugim klejnotem? – Wskazałam broszkę na jej piersi. – Kolejne perły, jeszcze cztery, wraz z rubinami ułożone w kształt krzyża lub gwiazdy.

Guido pokręcił głową.

– Nie wiem, jakie znaczenie ma ten klejnot, ale na pewno podkreśla jej ważność. Dlaczego została tak wyróżniona? Dlaczego jest przedstawiona z takimi szczegółami? Wydaje się, że Genua wcale nie została dodana później. To jedyne miasto, które musiało się znaleźć na tym obrazie.

– A więc Genua musi być w to zamieszana...

– Chyba tak, co zresztą bardzo mnie dziwi, bo Piza, a jeszcze bardziej Wenecja to zaprzysięgli wrogowie Genui.

– Więc jaki będzie następny ruch Siódemki?

– Francja – odparł krótko Guido.

Francja. Słyszałam o niej, oczywiście, spałam z kilkoma jej mieszkańcami, ale sądziłam, że jest oddalona o tysiące mil, a co najmniej o jeden ocean. I powiedziałam to.

– Nie. Teraz jest bardzo blisko. Za tymi górami jest księstwo Monako, brama do Burgundii i do całej Francji. Wiemy, że ziemie Habsburgów są bezpieczne, bo zawarły sojusz z Zygmuntem z Bolzano, kuzynem cesarza. Toteż jedynym celem, przylegającym do tych ziem, pozostaje Francja.

Poszukałam za gorsetem kartki wydartej z Biblii, położyłam ją na *cartone*.

– Czy Francja będzie tutaj? – Wskazałam gwiazdę, którą zauważyłam na północno-zachodnim brzegu mapy.

Guido wpatrywał się w niewielki znaczek zakryty przez tekst Biblii.

– Nie znam się na kartografii, ale wiem, że Francja leży na północny zachód od nas, więc powiedziałbym, że tak.

Gwizdnęłam przeciągle.

– Więc Siódemka zbierze się tutaj, a potem zaatakuje Francję furtką od tyłu!

– Owszem, z lądu i morza.

– Pierwszego dnia wiosny. Dwudziestego pierwszego marca. – Dokonałam w myślach obliczeń. – Czyli jutro.

– Tak. Jutro, najpewniej o brzasku, dla większego zaskoczenia, rozpocznie się atak.

A nieprzygotowani Francuzi poczują siłę armii Siódemki, niewinni francuscy mężczyźni, kobiety i dzieci... Powiedz, co myślisz.

– No to co nas to obchodzi? To dotyczy... – zaczęłam niepewnie.

– Francuzów.

– No tak.

Guido uśmiechnął się lekko.

– Wszyscy, którzy żyją, są równi... – Urwał.

– W oczach Boga?

Popatrzył na swój puchar.

– To niesprawiedliwe. Każdy z Siódemki ma swoje królestwo, a teraz gotowi są dokonać

rzezi, by ożywić dawno już prześniony sen o imperium. Nie chcesz powstrzymać dalszego rozlewu krwi? Widziałaś te maszyny wojenne w podziemiach zamku Sforzów. Chcesz zobaczyć, jak zabijają całe rodziny? Dzieci? A poza tym, czy po tym wszystkim, co zrobiłaś, po śmierci tylu osób... twoich przyjaciół, mojego przyjaciela... po tych wszystkich milach, które przebyliśmy, po rozwiązaniu tych wszystkich łamigłówek... nie chcesz powstrzymać Wawrzyńca i jego sojuszników?

Pomyślałam o matce.

– Chcę.

– No to nie mamy dużo czasu. – Dopił wino.

Skinęłam głową.

– Koniec jest szybko.

– Blisko.

– Co?

– Blisko. Koniec jest blisko.

– Trudno mi uwierzyć, że ciągle mnie poprawiasz, a mamy ważniejsze problemy.

– To może być ostatnia okazja.

Nie zadawałam pytań, ale ogarnęło mnie ponure przecucie. Napiałam się wina, żeby się tego przecucia pozbyć.

Zapłaciliśmy kowalowi pieniędzmi z mojego pasa i ruszyliśmy w dół do odległego miasta za murami. Obejrzałam się za siebie i pomyślałam, że wzrok mnie zawodzi, bo wydawało mi się, że na samym środku placu w miasteczku zobaczyłam wysoką postać w stroju trędowatego. Patrzyła w naszym kierunku oczami jak srebrne monety.

– Szybciej! – krzyknęłam do Guida.

Zdawało się, że ostatni etap podróży trwał najdłużej. Miałam wrażenie, że miasto się oddala, kiedy jechaliśmy przez nadmorskie równiny. Jednak wreszcie stanęliśmy przed jego bramami. Kiedy wmieszaliśmy się w tłum odwiedzających i kupców czekających na wejście, Guido odwrócił się na siodle.

– Jak już mówiłem – szepnął – pizańczycy i wenecjanie nie są tu lubiani, więc powinniśmy ukrywać nasze pochodzenie i powiązania rodzinne. Istnieje jednak traktat między Genuą a Mediolanem, więc jeszcze raz posłużę się pieczęcią Sforzów, żeby wejść do miasta. Jestem mediolańskim żołnierzem, a ty moją dziwką. Mam list do doży.

– Doży? – powtórzyłam zdziwiona. W jaki sposób ojciec dojechał tu przed nami?

– Uspokój się. Władca Genui również nazywany jest dożą. Istnieją liczne podobieństwa między Genuą a Wenecją, bo dla obydwu miast morze jest życiodajne, obydwa miasta chcą zdominować morskie szlaki handlowe wiodące ze wschodu na zachód. Obydwa mają świętego,

którego czczą bardziej niż innych, u was jest to święty Marek, a u nich Jan Chrzciciel. Mówi się, że jest tu pochowany, pokazują nawet półmisek, na którym leżała jego odcięta głowa. Doża nazywa się Giovanni Battista. Jak widzisz, podobieństwo czasami jest zarzewiem rywalizacji.

Bramy Genui tworzyły bliźniacze wieże, ciemne, wysokie, zwieńczone blankami niczym dwie hebanowe korony. Przepuścili nas dwaj senni i niechlujni strażnicy, ledwie spojrzeli na pieczęć Sforzów i wskazali ruchem ręki, że możemy wejść. Jeżeli mieli być przykładem militarnej siły Genui, to raczej nie mogliby przeciwstawić się Siódemce. Obaj wartownicy stanowili przeciwieństwo Guida, który był wysoki i smukły jak wiąz, w nowym mundurze i błyszczącej zbroi, mimo tygodnia spędzonego w drodze.

– Więc jaki mamy plan? – spytałam, kiedy tylko wartownia pozostała za nami. – Idziemy do doży z tym, co wiemy?

Guido roześmiał się ironicznie.

– Nie. Uwięziono by nas albo coś gorszego. Musimy przejść przez granicę i jak najszybciej ostrzec Monako.

Serce mi się ścisnęło na myśl o dalszej jeździe na koniu, żal mi było też naszego dzielnego czarnego rumaka, który dowiózł nas tak daleko.

– Więc co tutaj robimy? – zapytałam.

– Najpierw musimy być pewni naszej historii. Musimy wiedzieć, że ten znak, ta gwiazdka na naszej mapie, to Monako. Bez takiej pewności mamy tylko domysły.

– A w jaki sposób możemy się upewnić?

– To miasto związane z morzem. Musi tu być wielu fachowców od rysowania i odczytywania map. Musimy poprosić kogoś takiego o pomoc.

W tym momencie doznałam olśnienia.

– Sklep z mapami!

– No, to byłby dobry początek...

Klasnęłam, żeby go uciszyć.

– Signor Cristoforo! – Przypomniałam sobie słowa matki: „Twój nauczyciel wrócił do Genui. Nie zrobiliśmy mu krzywdy”. – Znam tu kogoś, to przyjaciel jeszcze z Wenecji – wyjaśniłam. – Ma w Genui sklep z mapami w starym porcie, prowadzi go razem z bratem. Może go nie być, bo zbierał pieniądze na zamorską podróż, więc może już wypłynął. Ale jego brat pewnie będzie na miejscu.

– To jedźmy! – Guido nie tracił czasu.

Jechaliśmy labiryntem uliczek tak ciemnych, że z trudem można było zobaczyć drogę przed sobą, bo domy były wysokie i pochylone tak bardzo, że niemal stykały się nad naszymi głowami. Od czasu do czasu mrok rozświetlał, jak cięcie noża, promień słońca. W takich chwilach mogłam

zobaczyć, że wiele dużych domów i pałaców miało wypolerowane pasy z czarno-białego marmuru, wyglądały zupełnie jak skunksy. Ulice cuchnęły też jak skunksy, szczynami i rybną wonią dziwek stojących na rogach. Mówiono mi, że prostytutka w Genui to zajęcie sezonowe, bo w zimnych miesiącach wszyscy marynarze wypływali w morze i pocieszali się nawzajem w swoich hamakach. Tylko w lecie, kiedy żeglarze byli na miejscu, te przybrzeżne damy mogły zarobić. Popularne powiedzenie brzmiało: „Zimą sałata i dupa, latem cipa i zupa”. Interes, jak się wydawało, rozkręcał się wiosną, na uliczkach tak wąskich, że świeże morskie powietrze nie mogło przepędzić smrodu. Marynarze z zapadniętymi oczami czaili się w mroku, wzbogacając zaduch niebieskimi chmurami dymu z opiumowych fajek.

Wreszcie dotarliśmy nad błyszczącą zatokę. Las masztów wystawał nad brzegiem jak strzały z kołczana. Patrzyłam na bladoniebieską linię horyzontu w oddali, wypatrując ciemnej burzowej chmury tysiąca statków płynących w stronę niczego nieprzeczuwającej Francji. Ale nic nie było widać, horyzont był płaski i nieprzerwany. W taki piękny, błękitny dzień wydawało się, że nic złego nie może się stać. Genua pokazała nam swoje niewinne oblicze, ruchliwy, pełen życia port zajęty codziennymi sprawami. Nad wszystkim górował kamienny palec wieży, jedna kondygnacja nad drugą, parapety z blankami pośrodku i na szczycie. Mewy z krzykiem latały wokół drzemlików, przysiadały na chwilę i nurkowały po zdobycz. Zmierzaliśmy w tamtą stronę, orientując się na wieżę, jak musiało to robić wielu innych przed nami, aż znaleźliśmy się w skupisku domów i sklepów. Rybacy sprzedawali swoje połowy, mówili z dziwnym akcentem, w którym rozpoznałam akcent signora Cristofora, a ich rodziny wiązały sieci tak zręcznymi palcami, że ich ruchy zlewały się w jedno. Rybacy schodzili z drogi naszemu koniowi, zarówno dzieci, jak i dorośli patrzyli na nas z rozdziawionymi gębami i wyglądali jak ryby. Za bardzo zwracaliśmy na siebie uwagę.

– Jak się nazywa twój przyjaciel? – Wydało mi się, że słyszę jakiś szczególny ton w głosie Guida, najwyraźniej nie podobało mu się, że znalazłam sojusznika, a na dodatek był to młody mężczyzna.

– Cristoforo.

– Nazwisko – warknął.

Zastanowiłam się.

– Nie znam. Nigdy go nie słyszałam. – Coś mi się przypomniało. – Jego brat ma na imię Bartolomeo.

– Wspaniale.

Z westchnieniem zsiadł z konia. Przez chwilę prowadził go jak służący, póki nie zobaczył człowieka, który siedział na beczce i zakładał na haczyk przynętę. Guido powitał go skinieniem głowy.

– *Giorno*. – Nigdy nie słyszałam tak koszmarnego mediolańskiego akcentu. – Cristoforo i Bartolomeo?

Rybak splunął flegmą pod nogi Guida i mój przyjaciel cofnął się o krok. Ale rybak nie chciał okazywać wrogości. Kiedy plwocina urosła i odpelzła, zorientowałam się, że ogrzewał w ustach glistę na przynętę i musiał pozbyć się tego stworzenia, by móc mówić. Tak bardzo starałam się opanować śmiech, że nie usłyszałam jego odpowiedzi, ale skinienie głowy było wymowne i ruszyliśmy we wskazaną przez niego stronę do maleńkiej chaty z niskim dachem zrobionym sprytnie z boków beczki, przez co cała konstrukcja przypominała statek. Przez uchylone drzwi dochodziły zapachy, które zdążyłam polubić, a które stanowiły chleb powszedni Guida: woń pergaminu i atramentu. Nawet gdyby nad drzwiami nie było zwiniętej w rolkę mapy, wiedzielibyśmy, że dobrze trafiliśmy.

We wnętrzu tyłem do nas siedział skryba, piszący coś pracowicie na pergaminie przybitym do pochylego blatu stołu. Nie podniósł głowy, kiedy weszliśmy, co pozwoliło mi szturchnąć Guida w bok i wskazać całe rzędy drewnianych wałków z mapami, poznaczonych i rzeźbionych jak nasz.

Mężczyzna nadal nie odrywał się od pracy.

– W czym mogę pomóc?

Wbrew wszystkiemu miałam nadzieję, że jakimś cudem signor Cristoforo jeszcze tu jest, ale to nie był jego głos, więc musi to być jego brat.

– Czy mógłby pan pomóc nam odczytać mapę?

– My nie czytamy map – odpowiedział krótko. – My je tworzymy.

Przejęłam pałeczkę.

– Ale, *signore*, przyjechaliśmy z bardzo daleka i mamy pieniądze. – Gdyby tylko ten człowiek na mnie spojrział! Głos nie był moim największym atutem, ale klatka piersiowa chyba mogłaby poprzeć naszą sprawę. Nie musiałam jednak uciekać się do sztuczek, bo z głębi sklepu zawołał mnie jakiś głos:

– Luciana!

Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, ale przysługa, jaką signor Cristoforo wyświadczył mi w Wenecji, uczyniła mnie jego przyjaciółką na całe życie. Rzuciłam się w jego ramiona, a on wycałował mnie w oba policzki, najwyraźniej równie zachwycony jak ja.

– Nigdy nie przypuszczałam, że pana tu zastanę – wykrztusiłam z trudem. – Myślałam, że żeglujecie po morzach i sporządza mapy świata.

Potarł bulwiasty nos.

– Proszę mi wierzyć, że próbuję. Wróciłem do domu, by prosić o fundusze naszego dożę, po tym jak doża wenecki usunął mnie z waszego miasta... czy raczej zrobiła to dogressa. –

Uśmiechnął się smutno.

– Nie zrobiła panu krzywdy?

– Nie spadł mi włos z głowy. – Przejechał ręką po matowej czerwonej czuprynie.

Po raz kolejny dziwiłam się zmiennemu charakterowi matki. Wykastrowała marynarza, który miał mnie wywieźć, ale człowieka, który wszystko zaplanował, tylko odesłała do domu, bo był moim przyjacielem.

Guido stał obok mnie nieruchomy jak rzeźba, a wzrok, jakim powitał Cristofora, był zimny jak górski szron. Wkrótce jednak złagodniał, kiedy żeglarz chwycił go za ramię.

– A więc to jest przyjaciel, którego zamierzałaś szukać? Coś takiego! Naprawdę się cieszę, że w końcu udało ci się uciec. A Nivola?

Pomyślałam o nieszczęsnym marynarzu gnijącym bez oczu i bez jaj w więzieniu mojego ojca.

– Żyje – wyszeptalam i przytłoczyło mnie poczucie winy. Nie kłamałam, po prostu nie mogłam powiedzieć prawdy Cristoforowi, żeby przypadkiem nie odmówił nam pomocy.

– Z tego też się cieszę. – Uśmiechnął się, i Guido też. Signor Cristoforo przedstawił signora Bartolomea, równie niekorzystnie wyposażonego przez naturę, ale równie miłego jak on. Wszyscy uśmiechaliśmy się do siebie. Wtedy signor Cristoforo ułatwił nam sytuację, powtarzając pytanie brata: – Co was tu sprowadza? W czym możemy pomóc?

– Musisz odczytać mapę. – Popatrzyłam na Guida, który niedostrzegalnie skinął głową, pozwalając mi zdradzić sekret. – Sądzymy, że gwiazdka oznacza miejsce ataku, który nastąpi jutro. Rozwinęłam rulon wyjęty zza stanika. Cristoforo pochylił się, żeby obejrzeć przedstawiony ład, i zobaczyłam, że uśmiech zamarł mu na ustach.

– Skąd to macie?

– Znalazłam w Wenecji. – Pokazałam mu drewniany wałek. – Wydrukowaliśmy to w Mediolanie. – Nie obarczałam go takimi faktami, że za pergamin posłużyła nam kartka z Biblii, a za farbę wino komunijne, bo historia i tak już była wystarczająco niewiarygodna, a mapa mówiła sama za siebie.

Wziął ode mnie wałek i zważył w rękach.

– Rotograwiura. Wałek z wyrytym rysunkiem mapy, robimy je tutaj, jak widzicie. – Pokazał podobne wałki na ścianach. – Mapy często przewozi się w ten sposób. W odróżnieniu od pergaminu nie uszkodzi ich wiatr ani deszcz, nie mogą się także podrzeć. A jeśli statek zatonie, wypływają na powierzchnię i unoszą się z resztą pływających szczątków. – Obracał wałek w rękach. – Upewnijmy się jednak. Chciałbym zrobić jeszcze jedną odbitkę, ponieważ nie posłużyliście się najlepszymi materiałami. – Uśmiechnął się tym swoim skrzywionym uśmiechem. – Rysunek jest równie wyraźny jak lutowa mgła. *Con permesso?* – Prosił o naszą zgodę i oboje z Guidem równocześnie skinęliśmy głowami.

Signor Cristoforo zaprowadził nas do płaskiego bloku drewna, do którego przypiął czysty kwadrat pergaminu. Przez chwilę obracał rotograwiurę na tacy z lepkiem czarnym tuszem, po czym przejechał nim raz, zdecydowanie, po dziewiczym pergaminie. Na fachowo wydrukowanej mapie widać było szczegóły, a gwiazda, którą widzieliśmy na górze po lewej stronie nieznanego kraju, okazała się krzyżem z czterema krótkimi równymi ramionami. Signor Cristoforo wyglądał jak rażony piorunem, patrzył szklanym wzrokiem na unurzaną w tuszu rolkę w swoich rękach i nie zwracał uwagi na to, że tusz pobrudził mu palce.

Chyba odgadłam przyczynę jego oszołomienia.

– Czy to jedna z waszych map?

– Nie. – Przyjrzał się dokładnie jednemu z płaskich końców wałka. – Bardzo podobna. Ale tu jest wryty wąż. My mamy krzyż, krzyż Genui. – Zdjął ze ściany jeden z wałków i mi pokazał.

– To jest krzyż z mapy – powiedziałam powoli.

– Cztery ramiona równej długości jak krzyż maltański – zauważył Guido.



– Tak. Albo genueński, bo jest na naszej fladze. Muszę zapytać jeszcze raz: skąd masz tę rotograwiurę?

Sama sobie nie dowierzając, opowiedziałam mu pokrótce o burzy, bazylice i koniu Zefira. Raz czy drugi kiwnął głową, niczego nie kwestionując. Widziałam, że Guido próbuje rozszyfrować jego spojrzenie, a także identyczny wyraz twarzy signora Bartolomea.

– O co chodzi? Coś jest nie tak?

Bracia popatrzyli na siebie.

– Chodzi o to – zaczął signor Bartolomeo – że ten ląd to półwysep znany jako Italia.

Znowu to słowo.

– Tak myśleliśmy – przyznał Guido. – A krzyż oznacza Monako? Bo jest na północno-zachodnim skraju lądu. Tak jest, prawda? Celem ataku jest Monako, brama do Francji?

Signor Cristoforo pokręcił głową.

– Nie, przyjacielu. Na pewno nie. Miasto określa nie tylko szerokość geograficzna, ale także

emblemata. Celem ataku, jeśli w ogóle będzie jakiś atak, jest Genua.

ROZDZIAŁ 2

Siedzieliśmy, tym razem we czwórkę, na stołkach wokół *Primavery*, rozłożonej na blacie drukarskim. Nadeszła bowiem pora, by podzielić się z naszymi przyjaciółmi najbardziej nieprawdopodobnym aspektem zagadki: że strategia Siódemki kryje się w obrazie. Bracia pochylili się, tak jak my zwykliśmy to robić od wielu miesięcy, i oglądali *cartone* oczami twórców map, wylapywali nowe detale, jak kormorany wyciągają ryby z wody.

– A więc to wszystko są miasta, te postacie i bóstwa. – W głosie Cristofora brzmiał podziw.

– Owszem – potwierdził Guido, wskazując je po kolei. – Piza, Neapol, Rzym, Florencja, Wenecja, Bolzano i Mediolan. Byliśmy w każdym z tych miast albo przypadkiem, albo celowo, w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy, wiemy, że każdy książę, król, arcyksiążę czy sam książę Kościoła jest winny.

– A to oczywiście Genua – wtrącił signor Bartolomeo. – Bo to jest nasza Simonetta, niech Bóg da jej wieczne odpoczywanie.

– Tak.

– Czy to ma znaczyć, że Siódemka zamierza zaatakować ósmą postać, czyli Genuę? Że Genua nie należy do Siódemki, jest natomiast jej ofiarą i celem? Że wasz doża nie jest w zмовie z resztą?

– Prędzej uwierzę w ten atak, niż uznam, że doża dołączyłby do Pizy i Wenecji. Za przeproszeniem państwa, łatwiej by się zgodził, żeby żona parzyła się z kundlem, niż wszedłby w jakieś przedsięwzięcia ze swoimi zaprzysiężonymi wrogami – zapewnił signor Cristoforo.

Wtedy przypomniałam sobie, co powiedział Guido przy bramie miejskiej, dlaczego mówił do wartowników z akcentem mediolańskim, nie chcąc zdradzić swoich pizańskich korzeni ani mojego weneckiego pochodzenia.

– Ale dlaczego? – zapytałam. – Dlaczego Genua?

– Odpowiedź kryje się w tym, co przed chwilą powiedział mój brat – odparł signor Bartolomeo. – Genua musiała odmówić uczestnictwa w zjednoczeniowym planie Wawrzyńca, bo co mogła na tym zyskać? Jeśli Habsburgowie mają umowę handlową z Wenecją, to Genua na zachodnim brzegu może tylko przemienić się z *La Superba*, „Dumna”, jak ją nazywamy, w zwykłe miasto. Zamiast niezależnego morskiego państwa będzie zwykłą wioską rybacką.

– A jeśli Genua nie połączy się z Siódemką – podjął argumentację jego brat – wtedy sojusz nie będzie bezpieczny. Bo Genua stanowi bramę do Francji, Portugalii, Hiszpanii, a nawet do Anglii. Te wielkie narody z niechęcią przyjmą zjednoczenie półwyspu, bo takie państwo będzie

stanowiło niezwykłą siłę w samym środku Europy. Będziemy mieli kontrolę nad wszystkimi szlakami handlowymi wiodącym przez Morze Śródziemne i Ocean Atlantycki.

Zaczynałam się w tym wszystkim gubić. Guido włączył się, żeby coś wyjaśnić, ale jak zawsze wszystko zaciemnił słowami długimi jak dżdżownice na przynętę.

– Bo widzisz, bratobójcze wojny i konflikty wewnętrzne pozwalały Italii zachować pokojowe stosunki z resztą świata. – Pochwycił moje spojrzenie. – Jesteśmy zbyt zajęci walkami między sobą, żeby walczyć z kimś jeszcze.

Skinęłam głową.

– Wojny w Italii i stulecia zmagania gwelfów i gibelinów chroniły resztę Europy przed jej zakusami – dodał signor Cristoforo.

– A równocześnie wiele naszych państw było gotowych zawrzeć traktaty z innymi krajami, żeby wzmocnić swoją siłę na półwyspie: Genua z Francją, Mediolan z Burbonami, Wenecja z Habsburgami, kraje papieskie z Anglią – ciągnął signor Bartolomeo, a jego brzydka twarz promieniała inteligencją. – Ale zjednoczona Italia może być siłą nie do powstrzymania. Zamożna, z żołnierzami doświadczonymi przez lata walk, z czterema wielkimi flotami, Wenecji, Neapolu, Pizy, i najwspanialszej ze wszystkich Genui.

– Skoro przez tyle lat walczyliśmy między sobą, to zastanawiam się, czy jest co jednoczyć – wtrąciłam.

– Możemy być czymś więcej niż sumą poszczególnych części – zapewnił mnie Guido. – Bo nasze państwa rozwinęły się nie tylko militarnie, ale także kulturalnie. Ludzie tacy jak Poliziano, który pisał o *Primaverze*, i Botticelli, który ją namalował, to dzieci tego współzawodnictwa. Każde państwo potrzebuje wspaniałego dworu, by zaćmić sąsiada. A do militarnej i kulturalnej wspaniałości trzeba dodać moc Boga – mówił ponuro Guido – bo Jego Świątobliwość papież jest głową Kościoła katolickiego. – W jego głosie brzmiała pogarda. – Mogliby rządzić światem.

– Jak to już raz robili – szepnęłam, pamiętając peany króla Ferdynanda na cześć cesarstwa rzymskiego.

Brat Guido skinął głową.

– Papież jest najważniejszym członkiem spisku. Wawrzyniec za udzielenie poparcia obiecał mu pewnie, że Rzym zostanie stolicą nowego państwa. Bo popatrzcie tylko, Wenus stoi na środku obrazu, jest najwyższą postacią, oprócz Kupidyna.

– Ponadto ubrana jest jak królowa, trzyma rękę wysoko w geście powitania – dodałam.

– A za tym wszystkim stoi Wawrzyniec Medyceusz. Jest igłą kompasu – zauważył signor Cristoforo zadziwiony.

Pomyślałam o tej metaforze, o Wawrzyńcu jako igle pokazującej drogę innym. Mój wzrok zboczył na miecz Merkurego pokazujący innym drogę.

– Teraz rozumiemy, dlaczego miecz Merkurego skierowany jest na Simonettę – powiedziała triumfalnie. – Nieprzyjacielem jest Genua.

– Musimy też wziąć pod uwagę charakter tego miecza – dodał Guido, wyciągając z pochwy swoją broń. Stalowe ostrze cichutko zabrzęczało. – To jest bułat w stylu wschodnim, projekt turecki zapożyczony od naszych nieprzyjaciół pokonanych w bitwie pod Otranto. Turcy zostali wygnani przez genuńczyków.

– Simonetta nosi na szyi krzyżyk z pereł, emblemat jej miasta – dokończyłam.

– A jak rozpoznaliście innych jako spiskowców? – spytał signor Bartolomeo. – Tych ważnych ludzi, kiedy ich spotykaliście?

– Niektórzy zdemaskowali się sami swoimi wypowiedziami – odparł Guido. – Niektórzy wydali innych. Ale wszyscy nosili na kciuku złotą obrączkę z dziewięcioma *palle* Medyceuszy.

– Na lewym kciuku, prawda? – To odezwał się Cristoforo, a niebieskie oczy Guida spojrzały na niego ze zdziwieniem.

– Tak. Skąd wiesz?

– Popatrz uważnie. Cała siódemka konspiratorów ma schowany lewy kciuk.

Obejrzałam po kolei każdą postać na obrazie i nie wierzyłam własnym oczom.

Madonna!

Jak mogliśmy to przeoczyć?

Piza o płomiennych włosach ukryła lewy kciuk, kiedy ujęła dłoń Simonetty-Genui.

Fiammetta-Neapol skryła lewy kciuk za palcami siostrzanej Pizy. Semiramida-Rzym schowała lewy kciuk w fałdach szkarłatnej szaty weselnej. Flora, czyli ja, ukryła lewy kciuk pod spódnicą pełną róż. Lewy kciuk Chloris-Wenecji skrył się za ręką jej córki, którą chwyciła. Zefir-Bolzano, niebieskoskrzydły duch, chował lewy kciuk w sukni nimfy, którą zniewolił. Merkury-Botticelli-Mediolan chowa lewy kciuk na biodrze. Tylko Genua, Simonetta, pokazuje lewy kciuk, trzyma go dumnie i wysoko tak, że przyciąga wzrok, spleciony z prawym kciukiem Neapolu, co jest jednym z najwyższych punktów przedstawionej na obrazie sceny. Nawet maleńki Kupidyn, nasz przewodnik po obrazie, ukrywa swój mały lewy kciuk za łukiem.

– To prawda! – wyszeptał Guido.

Teraz, kiedy to zobaczyłam, wydawało się oczywiste.

– To nawet wygląda nienaturalnie.

– No właśnie – przyznał Guido. – Wiemy, że na tym obrazie nic nie jest przypadkowe. Botticelli jest najlepszym artystą swojego pokolenia, a jednak tutaj ułożenie niektórych rąk jest zdecydowanie dziwne. Szczególnie prawa ręka Zefira wygląda niedobrze, jeśli łapiesz kogoś ze złością czy namiętnością, to na pewno użyjesz kciuka, by przytrzymać szatę. – Policzki Guida lekko się zarumieniły. – Nawet lewa ręka Semiramidy nie trzyma szkarłatnej szaty tak, jak

powinna. Ale Botticelli nigdy nie namalowałby postaci w nienaturalnej pozie. Jest na to zbyt dobry. To musi być celowe, a wniosek nasuwa się taki, że oni wszyscy coś ukrywają, pewnie swój udział w sojuszu.

– To było celowe – podjęłam. – Sam Botticelli układał mi ręce, kiedy mu pozowałam. Teraz sobie przypominam, jak chował mój kciuk pod fałdą materii, na której były róże. To nie przypadek. Tylko dlaczego akurat kciuki?

Guido wzruszył ramionami.

– W tych krajach popularne jest przygryzanie kciuka w obecności osoby, którą chcesz pozwać do walki. Myślę, że ten gest wywodzi się z rycerskiego zdejmowania rękawicy zębami, zaczynając od lewego kciuka, by można było prawą ręką zdjąć lewą rękawicę i spoliczkować nią winowajcę.

Bracia nie rozumieli naszych rozważań o kciukach, ich rosnące zniecierpliwienie było całkiem zrozumiałe, bo przecież zagrożone było ich rodzinne miasto.

– I co teraz? – spytał signor Cristoforo.

– Musimy ostrzec dożę Genui – zdecydował Guido. – Jakoś załatwimy audiencję, a jeśli okaże się, że nie nosi pierścienia na lewym kciuku, to chyba będziemy mogli nabrać pewności, że nic nie wie o spisku.

Signor Cristoforo zerwał się na równe nogi.

– Bartolomeo, ostrzeż kapitana portu i milicję, niech przygotują działa w porcie. Powiedz, że zbliża się atak. Powołaj się na wiadomości wywiadowcze z Wenecji. I weź to – zerwał z blatu świeżo wydrukowaną mapę – pokaż im krzyż Genui. Pospiesz się.

Brat wziął mapę, ale będąc przy drzwiach, odwrócił się.

– A ty dokąd idziesz? – spytał.

– Muszę zaprowadzić naszych przyjaciół do doży. W pałacu mnie znają. Od miesiąca wykopują mnie codziennie na zbity pysk, bo proszę o pieniądze. Nigdy nie wpuszczą pizańczyka. Ja przynajmniej mogę zwracać się do wartowników w najczystszej dialekcie genueńskim.

– A co ze mną? – chciałam wiedzieć.

– Zostań tutaj – powiedzieli równocześnie trzej mężczyźni i popatrzyli na siebie.

– Ja... – zaczął Guido – to znaczy my wszyscy chcemy, żebyś została. Tu będziesz bezpieczna.

– Chyba żartujecie. – Wzięłam płaszcz. – Dotarłam aż tu. W ostatnich miesiącach rzadko nie groziło mi niebezpieczeństwo. Przecież mogę pomóc! Czyż do tej pory ci nie pomogłam? – Wzięłam Guida za ramiona i zmusiłam go, żeby spojrzał mi w oczy.

Wytrzymał mój wzrok i przyznał bez entuzjazmu:

– Nawet więcej. Bez ciebie nie dotarlibyśmy tak daleko. Signor Cristoforo wzruszył

ramionami.

– Więc chodź, ale trzymaj się z tyłu. – Znowu zwrócił się do brata: – Ściągnij milicję do *faro*, musimy ustawić punkt obserwacyjny na *la lanterna*.

Nagle coś mi zaświtało, jakby trafił mnie piorun.

– Co powiedziałeś?

Ton mego głosu zatrzymał ich w pół kroku.

Signor Cristoforo odwrócił się powoli.

– Co takiego? *La lanterna*?

– Wcześniej.

– Milicja? *Faro*?

– *Faro*.

– To znaczy latarnia morska.

– A co to jest?

– Nie byłem dobrym nauczycielem, jeśli ci tego nie powiedziałem – stwierdził cierpko. – Tamta kamienna wieża ma na górnym tarasie wielką latarnię. W nocy i w czasie mgły jej światło prowadzi statki bezpiecznie do portu. – Wskazał wysoki kamienny palec, wyraźnie widoczny i stąd, i z każdego miejsca w Genui.

– I mówi się na to *faro*? – Głos lekko mi drżał.

– Tak – potwierdził z wyraźną niecierpliwością. Wszyscy trzej patrzyli teraz na mnie tak, jakbym była wariatką, która chce im przeszkodzić głupim gadaniem.

– A jak to się pisze? – zapytałam.

Signor Cristoforo popatrzył na mnie jak na niedorozwinięte dziecko.

– F-A-R-O.

– *Faro!* – wykrzyknęłam i wyrwałam obraz z ręki Cristofora. – Powiedzieliśmy, że niektóre miasta mają klucz do innych, prawda? – spytałam Guida. – Na przykład Florencja trzyma trzydzieści dwie róże, żeby wskazać na różę kompasową w Wenecji.

Guido skinął głową.

– Owszem, tak.

– A pamiętasz, że nigdy nie mogliśmy rozszyfrować kwiatów Chloris?

Teraz nawet on za mną nie nadażał.

– O czym ty mówisz?

– O Chloris, nie pamiętasz? Brat Nicodemus powiedział: „kwiaty wypadają z jej ust jak prawdy”. I miał rację. To są prawdy. Z jej ust wypadają cztery gatunki kwiatów, pamiętasz? *Fiordaliso*, anemon, róża i *occhiocento*.

– Owszem, to są nazwy potoczne, nie łacińskie terminy określające gatunek, ale tak,

przypominam sobie.

Machnęłam ręką.

– Weź tylko pierwsze litery.

– FARO – powiedział cicho. – Latarnia morska. Miejsce, gdzie wylądują.

– A pamiętasz, że *occhiocento* to kwiat śmierci? Słowo *faro* kończy się na „o”, jak *occhiocento*, kończy się więc śmiercią. Powiedzieliśmy, że to przedsięwzięcie skończy się śmiercią, jedną czy wieloma. I tak się stanie, jeśli się nie ruszymy.

Signor Cristoforo mógł nie nadążać za moim rozumowaniem, ale uchwycił jego sens.

– Bartolomeo – powiedział, ani na moment nie odrywając ode mnie wzroku – kiedy pójdziesz do *faro*, weź broń. Powiedz to milicji.

Signor Bartolomeo skinął głową i już go nie było. My podążyliśmy za nim. Nad wodą zmierzch zaczynał gęstnieć. Guido położył rękę na uździe konia Il Moro, żeby go uspokoić, a Cristoforo rozwiązał wodze. Nagle wszystko stało się realne, teraz spieszyliśmy się nie dlatego, że chcieliśmy ratować nieznanne francuskie rodziny w bezinteresownej krucjacie, ale żywych genueńczyków. Moja suknia otarła się o dzieciaka, który pilnował nam konia. *Scusi*, powiedziałam bezmyślnie. Dziewczynka spojrzała do góry i uśmiechnęła się do mnie, zachodzące słońce odbijało się w jej oczach równie zielonych jak moje. Była piękna. Odpowiedziałam jej uśmiechem, kiedy signor Cristoforo podniósł mnie na siodło. Otoczyłam ramionami talię Cristofora, a Guido wsiadł za nami.

– Szybciej! – popędzałam ich.

ROZDZIAŁ 3

Signor Cristoforo poprowadził nas szybko i bezbłędnie do wielkiego Palazzo Ducale, siedziby doży Genui. Kiedy zbliżaliśmy się do wartowni, córka rodziny Mocenigo i potomek rodu della Torre skryli się wraz z wierzchowcem w mroku zmierzchu. Pogłaskałam aksamitne chrapy konia księcia Mediolanu, pragnąc, żeby był cicho, podczas gdy nędznie urodzony syn Genui poszedł przodem jako nasz ambasador. Z kryjówki słyszeliśmy jego rozmowę.

– Znowu ty – powiedział jeden z dwóch wartowników. Jako osobista straż doży prezentowali się dużo lepiej niż niechlujni strażnicy. – Chyba doża ci powiedział, żebyś już przestał zarzucać przynętę. – Ten rybacki żargon dziwnie pasował do sytuacji.

– Poczekaj, Cristoforo – powiedział drugi strażnik z udaną powagą – chyba mam kilka *soldi*. Powiedz – brzęknęły monety – jak daleko dopłyniesz za to twoja ekspedycja?

Pierwszy strażnik się roześmiał.

– Byłoby chamstwem, gdybym ci nie pomógł. Zaraz, zaraz. – Pogrzebał w skórzanej sakiewce. – Jeśli dam ci to *grosso*, może dopłyniesz na kraj świata i spieprzysz się z niego w dół. – Zanosili się śmiechem.

Usłyszeliśmy głos signora Cristofora, niski, przekonujący, dostojny.

– Dzisiaj nie przyszedłem prosić, tylko dawać. Chcę ostrzec dożę przed nadchodzącym atakiem. Atakiem, w wyniku którego zginiecie i wy, i wasze rodziny, jeśli mnie nie posłuchacie.

– A kto atakuje?

– Skąd o tym wiesz? – dopytywali się.

Signor Cristoforo najpierw odpowiedział na drugie pytanie.

– Od znajomego kupca z Wenecji. Trochę szpieguje na boku. Wiecie, jak trudno zebrać fundusze na wyprawę. – W jego głosie brzmiała ironia. Przykuł ich uwagę, więc teraz odpowiadał na pierwsze pytanie: – Twierdzi, że zawiązał się sojusz. Wenecja, Piza i nie tylko. Nadejdą z morza i z lądu. – Zauważyłam, że najpierw wymienił tradycyjnych wrogów Genui, i podziwiałam jego spryt.

Pierwszy strażnik mówił do drugiego, już znacznie mniej pewny siebie:

– Salva, on chyba mówi poważnie.

– On zawsze wygląda poważnie. Jak wszyscy żebracy.

– Ale nie chciałbym być w skórze tego, który wiedział o wszystkim i nie poinformował doży – wtrącił signor Cristoforo. – Zawisnie do góry nogami w ciągu siedmiu dni. Jeżeli przeżyje atak...

To poskutkowało. Drugi strażnik z westchnieniem oderwał się od ściany, otworzył drzwi wysokości człowieka umieszczone na dole wielkich podwójnych wrót i zawołał:

– Giuseppe! Zastąp mnie. Idę na górę.

Młody pryszczaty strażnik zajął miejsce Salvy. Najwyraźniej nie mieli tu wystarczającej liczby ludzi. Przez chwilę stali w milczeniu. Nie wydaje mi się, żebym przez cały ten czas w ogóle oddychała. Wreszcie drugi strażnik wrócił.

– Cristoforo, nie masz szczęścia. Wiesz, co mi powiedział? – Pochylił się i zaprezentował naszemu przyjacielowi zgniły uśmiech pełen czarnych zębów. – „Prędzej udziele audiencji pierwszej dziwce, jaką spotkasz na ulicy, niż signorowi Cristoforowi, bo ona przynajmniej wyświadczy mi przysługę za moje pieniądze”. Wiem, że doża nie jest skłonny do żartów, więc wybac, ale potraktuję jego wypowiedź dosłownie. – Przeszedł obok signora Cristofora, potrącając go, marynarz upadł na ziemię. Ruszyłam do przodu, ale Guido przyciągnął mnie z powrotem. Oczywiście wiedział, dokąd się wybieram.

– Nie – powiedział.

– Ale...

– Nie.

– Nie zamierzam się z nim pieprzyć, tylko porozmawiać. Powiedział, że chce dziewczynę, to będzie ją miał.

Guido trzymał mnie za rękę tak mocno, aż bolało. Strażnik prawie nas minął, nie miałam czasu.

– Jeśli troszczysz się o moje dziewictwo, to pożegnałam się z nim już dawno. A może martwisz się o moją duszę? Myślałam, że skończyłeś z pobożnością – syknęłam.

Cofnął się, a ja z przykrością ujrzałam w jego oczach ból.

– Prędzej umrę, niż pozwolę ci spać z innym. – Zorientował się, co mówi, ale było już za późno.

Z bijącym sercem patrzyłam na jego twarz i zobaczyłam tam wszystko, co chciałam zobaczyć, ale było za późno, żeby cokolwiek zrobić. Uwolniłam rękę.

– No to umieraj – powiedziałam ciepło. – Bo jeśli ja tam nie pójde, to odejdziemy z niczym.

Pobiegłam za strażnikiem, przygryzając wargi, szczypiąc się w policzki i obciągając gorset sukni. Chwyciłam strażnika za rękaw, zanim zniknął w ciemności.

– Panie, słyszałam, co mówiłeś. Pozwól mi pójść do doży, a zostawię trochę tych słodczy dla ciebie. – Pochyliłam się, pozwalając mu podziwiać moje cycki, podniesione i wyeksponowane jak wspaniałe tłuste kuropatwy na talerzu. Chichi wróciła. Nie było zbyt jasno, ale wystarczyło. Musiałam temu człowiekowi wydać się kieliszkiem wina na pustyni, bo był zbyt brzydki, by mieć wiele kobiet.

Wziął mnie brudną łapą pod brodę.

– Bardzo przyjemnie – powiedział, oblizując się. – Dobra. Ale pamiętaj, kiedy wysika już swoje szlachetne nasienie, będzie pora dojenia w wartowni. Zapytaj o Salvatore.

– Salvatore – gruchałam, starając się ze wszystkich sił, by się nie cofnąć przed jego cuchnącym oddechem. – Tak miał na imię mój ojciec.

Trzymał mnie za rękę w drodze do drzwi i klepnął w tyłek, żebym przez nie przeszła.

ROZDZIAŁ 4

– Atak? O świcie? Sojusz siedmiu państw-miast?

Doża Battista z Genui nie wierzył mi, ale nie miałam do niego pretensji. Sama też bym sobie nie uwierzyła.

Leżał na szkarłatnej kanapie obitej aksamitem w dziwacznej sypialni o ścianach w pasy z czarno-białego marmuru. Był młodszy, niż oczekiwałam, pyzaty i tłusty zupełnie jak jego kanapa. Twarz jak półksiężyc, białoróżowa karnacja, cera tak gładka, jakby jeszcze rosła mu broda. Miał bładoniebieskie oczy i słomiane włosy człowieka północy. Mógł być dorosłym Kupidynem z *Primavery*. Ale nawet jeśli był kuzynem Kupidyna, nie ulegało wątpliwości, że nic nie wie o spisku. Lewy kciuk bez pierścienia świadczył o tym, że jest niewinny. Wiedziałam też, że jest bystry, jego małe oczka były przenikliwe, a pytania sensowne.

– A skąd ty o tym wiesz? To ciekawe, w jaki sposób zwykła prostytutka poznaje tak ważne sprawy państwowe?

– Ponieważ nie jestem zwykłą prostytutką. Jestem córką dogressy.

– Z Wenecji? – Jasne brwi się uniosły, tworząc dwa haczykowate łuki. – Podejdz bliżej. W pokoju nie było zbyt widno. Podeszłam do okna, żeby złapać znikające światło dnia. Popatrzył na mnie leniwie niczym zamyślony kot.

– To prawda, że ją przypominasz. Jak córka lwa. Giovanni Mocenigo to twój ojciec?

– Tak. A ostatnio byłam z moją matką w królestwie Bolzano i w Mediolanie. Zarówno arcyksiążę Zygmunt, jak i Lodovico Sforza dołączyli do spisku. Il Moro przeprowadza się teraz przez góry z tysiącem koni i dziesięcioma tysiącami piechurów. Jest z nim moja matka, ojciec i mój... – zająknęłam się – ...mój przyszły mąż, Niccolo della Torre z Pizy.

Te nazwiska i rozległość mojej wiedzy trochę utemperowały jego kpiny. Ale nie do końca.

– Udowodnij, że mówisz prawdę.

Przez moment straciłam rezon, ale przypomniałam sobie o pasie z pieniędzmi.

– Proszę. – Sięgnęłam pod spódnicę po weneckie dukaty z pieczęcią Mocenigo. – A tu jest maska dogressy. – Wyjęłam ją z kaptura.

Uniósł się na poduszkach.

– Te przedmioty świadczą tylko o tym, że byłeś w Wenecji. O niczym więcej. W istocie, nawet o tym nie świadczą. Mogłaś je ukraść albo nawet dostać jako zapłatę, leżąc na plecach tutaj, w Genui. A jeśli jesteś weneckanką, tak jak mówisz, dlaczego miałbym ci ufać? Przecież jesteśmy wrogami.

Zamknęłam oczy, niemal słyszałam stukot kopyt tysiąca koni maszerujących przez góry i wylewających się na nadmorskie równiny, łomot wielkich maszyn oblężniczych toczących się za nimi. Zastanawiałam się, czy wyciągnąć obraz, ale uświadomiłam sobie, że wymachiwanie *cartone* tylko upewni dozę, iż jestem pomyłona.

– Panie, musisz mi uwierzyć. Próbuję ratować miasto i jego mieszkańców.

– A niby dlaczego obchodzi cię moje miasto?

Nieźle pytanie.

– Znam kogoś, kto tu mieszka. Signora Cristofora, który niedawno stał u bram pałacu. Był moim nauczycielem w Wenecji, w domu mojego ojca.

– Ten żeglarz? – Teraz doża wydawał się poruszony.

– Tak. Czy nie mówił, że niedawno był w Wenecji?

– Mówił. A przede wszystkim prosił mnie o zgodę na ten wyjazd. Dałem mu ją, żeby wziął od nich pieniądze na swoje szalone podróże. To statek szaleńców i za moje pieniądze nie będzie nim pływał.

– No proszę. I uważasz, panie, że jest lojalny?

Cień uśmiechu.

– Tak sądziłem. Szalony, ale lojalny.

– Więc go zapytaj. Czeka na dole.

– Salvatore! – krzyknął doża.

Po kilku chwilach signor Cristoforo znalazł się w komnacie. Doża usiadł.

– Cristoforo! Czy byłeś ostatnio w Wenecji?

– Owszem, panie.

– I spotkałeś tam tę damę? – Zauważyłam, że awansowałam z prostytutki na damę.

– Tak. Przez krótki czas uczyłem ją nawigacji, kiedy starałem się w Radzie Dziesięciu o fundusze na wyprawę.

– Dobrze. A czy znasz jej prawdziwą tożsamość?

– Znam. To Luciana Mocenigo, córka doży i dogressy, dziedziczka Republiki Weneckiej.

– Słyszałeś o grożącym nam ataku?

– Słyszałem.

– I uwierzyłeś? Kiedy odpowiesz, zrób to jak dobry i lojalny genueńczyk. Pomyśl przez chwilę o swoim mieście, bo zdrada zostanie ukarana śmiercią.

Mój przyjaciel przełknął głośno ślinę.

– Ja jej wierzę.

Doża głaskał się po bezwłosej brodzie.

– W porządku. – Wezwał strażnika. – Salvatore, każ zamknąć bramy miasta i podwoić

straże. Zadowoleni? – zwrócił się do nas.

Wymieniliśmy spojrzenia z Cristoforem.

– Z całym szacunkiem, panie, ale nie.

Doża uniósł brwi.

– Bo Il Moro prowadzi takie maszyny oblężnicze, jakich świat nie widział, a wymyślił je tokański inżynier.

– No dobrze, więc zrobię tak: wyślę w góry zwiadowcę, żeby przekonać się, czy nie kłamie. A ty, moja droga – machnął ręką w moim kierunku – zostaniesz tu ze mną, nie mówmy, że jako mój więzień lub zakładnik, bo to brzydkie słowa, ale jako mój gość, póki zwiadowca nie wróci.

Podeszłam do niego i uklęknęłam przy kanapie.

– Panie, równie dobrze możesz mnie wysłać na brzeg i kazać mi zatrzymać przyływ. Przez ten czas, jakiego potrzebuje twój wysłaniec, by pobiec i wrócić, armia Siódemki rzuci się na ciebie, bo wyprzedzi twego gońca u bram miasta. Musisz wysłać piechotę i rycerzy na koniach.

Natychmiast.

Signor Cristoforo podjął wątek:

– Jeśli nasze siły spotkają ich na stokach, atakując z zaskoczenia, to tamci nie zyskają przewagi. Jeśli spotkasz ich na przełęczy Torriglia, utkną jak w szyjce butelki.

Doża wciąż głąskał się po brodzie.

– Jeden drobiazg. Jeśli całe wojsko wyjdzie z miasta, to kto obroni nas przed atakiem z morza?

Znów wymieniliśmy spojrzenia z Cristoforem.

– Zaraz do tego dojdziemy.

– To jeszcze nie koniec? – Nieszczęsny doża łapał powietrze jak dorsz.

– W tej chwili okręty z Pizy i Neapolu płyną do twoich wybrzeży i będą tam o brzasku pod wodzą króla Neapolu.

Młody książę zrobił się blady jak ściana.

– To z nami koniec.

– Niezupełnie. W tej chwili mój brat mobilizuje kapitana portu i milicję, nasza flota może być gotowa, armaty nabite o świcie. Oni zamierzają wpłynąć prosto do portu, ale możemy stoczyć z nimi walkę, której się nie spodziewają.

W małych oczkach doży rozbłysło życie. Byłam zadowolona, że ten grubas ma jednak trochę ikry. Zaczynałam go lubić.

– Następnie, panie – ciągnął Cristoforo – powinniśmy jak najszybciej zgasić latarnię na *faro* i zapalić ogień na klifach na zachód od Pegli. W ten sposób, jeśli flota zorientuje się na latarnię morską, możemy ją wyprowadzić na skały od zachodniej strony, gdzie się rozbije.

Doża wahał się nie dłużej niż sekundę.

– Zróbcie to.

Ruszyliśmy do drzwi, podczas gdy książe Genui wzywał swoich generałów, kazał sobie przynieść zbroję, przechadzał się przed kanapą, a tymczasem jego królestwu groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Zamknęły się za nami drzwi, ale usłyszałam, jak znowu pada na aksamitne poduszki. Otworzyłam drzwi i bezszelestnie wślizgnęłam się z powrotem. Doża siedział z głową opartą na rękach.

– Dlaczego Bóg obrócił się przeciwko mnie? – pytał cicho.

– Nie Bóg – powiedziałam głośno. Podniósł zgnębną twarz. – Błąd leży gdzie indziej. – Wyciągnęłam rękę, bo teraz było mi go żal. Wydawał się taki młody i samotny. Podejrzewałam, że nigdy nie był na wojnie, że uczył się walki, ale nigdy nie walczył. Jak Guido. – Panie, pozwól swoim generałom prowadzić armię. Dlaczego nie pojedziesz z nami do *faro*? Jesteś tam potrzebny. – Nagle z niezachwianą pewnością wiedziałam, kto będzie tam na nas czekał. – Bardzo bym chciała, panie, żebyś kogoś poznał.

ROZDZIAŁ 5

Guido czekał na nas przy wejściu do pałacu. Doża nie dziwił się jego obecności, gdy powiedziałam mu, że to przyjaciel. Stajenny przyprowadził konia doży. Dwa rumaki, biały i czarny, pognały do latarni morskiej. Dopiero gdy wyjechaliśmy z wąskich uliczek dających osłonę, zdaliśmy sobie sprawę, jak bardzo pada. Żał mi było obydwu armii brnących przez błotniste górskie łąki i po raz pierwszy pomyślałam o matce. Czy przeżyje tę noc? Jednak nie czułam litości, zostawiałam ją dla synów innych matek, broniących swych rodzin i ukochanego miasta. Kierowali się szlachetniejszymi pobudkami niż ona.

Zrobiło się ciemno, *lanterna* płonęła jasnym blaskiem na szczycie *faro*, wskazując drogę flocie wroga. Zatrzymaliśmy się w porcie, a Cristoforo szybko zsiadł z konia i wołał Bartolomea, żeby pomóc mu w przygotowaniach. My obydwójce też zsiadliśmy, Guido wziął mnie za ramiona i powiedział mi do ucha, przekrzykując szum deszczu:

– Zabierz dożę do latarni, będzie tam bezpieczny. Pilnuje jej genueńska milicja, wystawili warty. Cristoforo twierdzi, że na pierwszej *terrazza* jest zamknięte pomieszczenie.

– A co ja mam robić?

– Idź na drugi taras i zgaś latarnię. Tylko nie zawieź.

Tuliłam się do jego mokrego płaszcza.

– A ty dokąd się udajesz?

– Muszę pojechać na zachodnie klify i rozpaść ogień. Potrzebujemy na Pegli płomienia ze stosu janowca i wrzosu, żeby ściągnąć tam statki. – Popatrzył na ołowiane niebo.

Nadal się do niego tuliłam.

– Nie może pojechać ktoś inny?

– Nie. – Pokręcił głową, rozpryskując krople deszczu. – Cristoforo ustawia flotę, a książę musi być bezpieczny w latarni. To najszybszy koń w mieście, a ponieważ nie jestem pływakiem, muszę służyć na lądzie, nie na wodzie. Pozwól, że zajmę się swoim zadaniem, a ty swoim. – Popatrzył mi w oczy. – Ale możesz się za mnie modlić.

Krople deszczu to były moje łzy, czułam, że to pożegnanie.

– Myślałam, że skończyłeś z Bogiem...

– Ja z Bogiem skończyłem, ale On nie skończył ze mną. Spojrzałam na niego. Uśmiechnął się tym swoim słonecznym uśmiechem, jak dawny brat Guido ze światłem wiary w oczach.

– A więc wrócisz tam, kiedy to wszystko się skończy? – Musiałam spojrzeć dalej niż ta noc, musiałam wiedzieć, że nadejdą czasy, kiedy będę mogła go odwiedzić w Santa Croce. Teraz

wystarczyłaby mi wiedza, że on żyje.

– Do klasztoru? Nie.

– Ale...

Ujął moją twarz w dłonie.

– Nie potrafiłbym wrócić. Nie dlatego, że nie kocham Boga, ale dlatego, że kocham ciebie.

– Pocałował mnie, był to twardy pocałunek, jego wargi z zewnątrz były lodowate, a we wnętrzu ciepłe, przesunęły się po moim policzku aż do ucha. – Miłość jest wtedy, kiedy lubisz kogoś tak bardzo, że musisz to nazwać jakoś inaczej – wyszeptał. I już go nie było.

Ogarnęła mnie i radość, i smutek. Radość z tego, że mnie kocha, tłumilo nieodparte przekonanie, że dotykałam go po raz ostatni. Wstrząśnięta z powodu szczęścia i straty, wkroczyłam do latarni morskiej, a za mną doża. Drzwi pilnowało dwóch członków milicji z genueńskimi krzyżami na piersiach. Na skinienie głowy doży rozsunęli piki, wpuszczając nas bez pytania. Skóra mi cierpła pod wpływem złych przeczuć, stępały umysł wypełniały różne obrazy, kiedy wchodziłam po schodach. Jeden z wartowników miał rękawy tak długie, że zakrywały dłonie, a drugi tak krótkie, że nad dłonią trzymającą pikę rysował się biały krąg nadgarstka. Coś tu było nie tak.

Kiedy znalazłam się we wnętrzu, umilkło wycie wiatru, deszcz przestał zacinać, mury były tak grube, że tłumily burzę. Słyszeliśmy tylko własne oddechy i brzęk zbroi doży. Jeszcze przed ostatnim zakrętem schodów zobaczyłam odbłask świecy padający na stopnie. Wiedziałam, kto jest na górze, wiedziałem, że ktoś, kto nie potrafi stać z boku, patrzy przez okno, jak rozwija się wielki plan.

Weszliśmy do kwadratowej izby. Była pusta, jeśli nie liczyć samotnej osoby przy oknie, odzianej we wspinały fioletowy aksamit i złoty brokat, wpatrzonej w morze, kiedy dzień zamieniał się w noc. Na odgłos naszych kroków odwrócił się.

Wawrzyniec Medyceusz.

ROZDZIAŁ 6

– Wawrzyniec?

– Battista, mój drogi. – Obaj mężczyźni byli zaskoczeni, ale szybko ukryli to pod maską dworskich manier.

Młodszy mężczyzna odezwał się pierwszy:

– Co tutaj robisz?

Szare oczy Medyceusza patrzyły nieufnie.

– Mój... okręt wpadł w tarapaty w czasie sztormu. Schroniłem się tutaj do chwili, gdy będę mógł udać się do ciebie i tam prosić o azyl.

– Naprawdę? – Doża udawał uprzejme zaskoczenie. – Te wiosenne pływy są nieprzewidywalne.

Mierzyli się wzrokiem jak uliczne koty, niepewne, czy mają mruczeć, czy atakować.

– A dokąd zmierzałeś?

– Do Pizy. Wkrótce będzie tam ślub, czyż nie, mój drogi? – Wysłałem z cienia przy drzwiach. – Bardzo bym nie chciał ominąć twoich zaślubin, dziecinko, skoro byłaś tak dobra, by zaszczyścić obecnością zaślubiny mego bratanka.

Wytrzymałam spokojnie jego wzrok i zorientowałam się, że wie wszystko. Ja natomiast nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć, ale na szczęście doża wiedział.

– Dziwne. Żeby z Florencji do Pizy wybrać się drogą morską. – Jego głos brzmiał teraz niebezpiecznie miękko. – Panie, chyba zboczyłeś z kursu.

Teraz Wawrzyniec miał kłopot z odpowiedzią.

Doża go ubiegł.

– Wybacz, panie. Zanim będziemy kontynuować tę ciekawą rozmowę, muszę pomóc mojemu gościowi w drobnej sprawie. Może zechcesz chwilę poczekać i popodziwiasz sztorm. – Był śmiertelnie uprzejmy.

Wawrzyniec podjął ten ton:

– Chyba już za długo korzystam z twojej gościny. Wiatr chyba się uspokaja.

– Mylisz się. Sztorm nie słabnie, naprawdę nie mogę dopuścić, żebyś ryzykował podróż w takich warunkach. Może podjęcie decyzji ułatwi ci wiadomość, że moi ludzie pełnią wartę na dole.

– Twoi ludzie? Naprawdę? – Wawrzyniec wydawał się rozbawiony, choć znalazł się w pułapce. Znowu poczułam się dziwnie, homar w sieci nie powinien śmiać się z rybaka. – W takiej

sytuacji byłoby niegrzecznie, gdybym nie został chwilę i nie porozmawiał. O czym porozmawiamy?

– Jak tam twoja polityka zagraniczna?

– Spokojna – odpowiedział gładko Wawrzyniec. – Ale na froncie wewnętrznym zainwestowałem w ciekawy sojusz, który, jak się spodziewam, wkrótce przyniesie mi znaczne zyski.

– Jest różnica pomiędzy uczciwym zyskiem a lichwą – syknął doża.

Jak walczące koty przystawali, obchodzili się, czekali na następny cios. Wawrzyniec uderzył pierwszy:

– Mówiąc o lichwie... jak tam twoja pożyczka bankowa?

– Pomocna.

Przerwali, więc skorzystałam z okazji i pociągnęłam dożę za szkarłatny rękaw.

Odwrócił się do mnie, a potem znów do Il Magnifico.

– A tak, jak już mówiłem, mój gość ma drobny interes na górze. Oczywiście nie będziesz próbował jej zatrzymać.

– Nigdy bym nie śmiał. Idź, moje dziecko, *lanterna* czeka.

Lekko zdeprimowana wytrzymałam jego szarogranitowe spojrzenie, wychodząc z izby. Bałam się jakiejś sztuczki. Z pewnością Wawrzyniec Wspaniały nie stałby beczynnym, gdybym miała zniweczyć jego ukochany plan?

Zostawiłam ich i wspierałam się na drugą galerię. Wchodząc do izby na wyższej kondygnacji, zauważyłam trzy rzeczy:

Prima cosa: Latarnia stoi pośrodku pokoju jak słońce – szkło złożone z kryształów o wielu ściankach otacza olbrzymią kadź z płomieniem. Nos mi podpowiadał, że paliwem była oliwa z oliwek. Lampa paliła się jasno mimo czterech wielkich okien otwartych na cztery wiatry, przez co szalała tu burza, szarpiąc moje włosy i ubranie. Konie wiatrów zmówiły się, żeby wypchnąć mnie za blanki, musiałam więc trzymać się ze wszystkich sił, by wybierać między drogim życiem a ponurą śmiercią. A lampa ciągle paliła się równo. Była to cudowna rzecz, soczewki chwytające światło i odsyłające je utysiąckrotnione, jak największe diamenty świata. Klejnot jasny jak gwiazda betlejemska, prowadzący okręty do domu.

Seconda cosa: Moje stopy lepiły się do podłogi jak wtedy, w moim domu nad Arno, bo z rozciętych gardeł dwóch martwych genueńskich wartowników, leżących na podłodze, płynęła rzeka krwi. Wystarczyło spojrzeć, by się upewnić, że żaden z nich to nie Bartolomeo. *Grazie Madonna!*

Terza cosa: Zrozumiałam, dlaczego książe Florencji nie przeszkodził mi w pójściu na górę: Cyriax Melanchthon, trędowaty w kapturze, czarny jak noc i ciemny jak śmierć, trzymał wartę przy

latarni niby sama śmierć.

Przez sekundę patrzyliśmy na siebie. Stał nieruchomo, a jego postrzępione szaty nieczystego wydymały się na wietrze jak żagle. Czarne bandaże zakrywały twarz, widać było jedynie jego srebrne oczy, które przenikały do mojej duszy.

Nareszcie myśliwy i ofiara twarzą w twarz.

Tym razem moje przerażenie pogłębiał jeszcze strach, że nie uda mi się zgasić latarni, że nie wykonam zadania, które mi powierzono. Jednak nie miałam czasu na rozmyślania, ponieważ rzucił się na mnie.

Trzymał moją szyję w żelaznym uścisku, przed oczami tańczyły mi czarne plamy, w uszach pulsował ogień i krew. Nie mogłam oddychać, a przecież atakował mnie tylko jedną ze swoich zakażonych rąk, drugą sięgał po rzeźnicki nóż. Błagałabym o litość, ale nie mogłam mówić... i wtedy przypomniałam sobie, co powiedział Nicodemus z Padwy: „Nie może mówić, bo trąd zżarł mu kość szczękową”. Sięgnęłam ręką do gardła trędowatego. Niepomna, że się zarazę, natknęłam się na odsłonięte gardło i zaczęłam cisnąć. Puścił mnie, dławił się z ohydny gulgotem. Upadłam na podłogę i uderzyłam głową w latarnię. Próbowałam czołgać się do drzwi, ale znów się na mnie rzucił, uniósł mnie jak piórko, trzasnął mną o latarnię, której szkło i ołowiane ramki były tak gorące, że mogły wypalić ciało. Jedna silna ręka znowu trzymała mnie za gardło, ale tym razem udało mu się wydobyć nóż. Podniósł go, gotów zadać cios.

Wydawało się, że ostatnie chwile trwają godziny, przez głowę przelatywały mi obrazy, czas cofał się jak rozkręcone koło. Widziałam wszystkie miejsca i wydarzenia od chwili narodzin – byłam niemowlęciem w butelce, dziewczynką w klasztorze, dziwką, kobietą szlachetnie urodzoną. Widziałam Guida, widziałam wszystkie drogi, którymi jechaliśmy, wszystkie chwile, kiedy mnie dotykał od dnia naszego poznania. Byłam we Florencji w tamten upalny dzień, zanim poznałam Botticellego, zanim to wszystko się zaczęło.

Ręka mojego zabójcy zacisnęła się mocniej. Zamknęłam oczy. Chciałam umrzeć we Florencji z Guidem u boku. Pamiętałam pierwsze słowa, jakie do mnie powiedział. Luciana Vetra to znaczy światło w szkłe; wypuść światło, wypuść światło... Byłam dzieckiem w butelce, wypuść światło, wypuść...

Ostatkiem sił stłukłam kryształą latarni i obydwoje wpadliśmy w ogień. Płonący olej zalał nas oboje. Jednak ogień w szkłe ochronił swoją imienniczkę; mój mokry płaszcz i włosy nie chciały się zapalić, a suchy niczym wiór trędowaty zajął się jak pochodnia. I jak ludzka pochodnia biegał po niewielkiej izbie; kręcił się w kółko w nienaturalnie cichej agonii, czemu przyglądałam się wstrząśnięta. Zapaliła się oliwa rozlana na podłodze, walczyłam z ogniem, mokrym płaszczem dławiąc płomienie. Trędowaty wreszcie upadł, wyczerpały się jego nadludzkie siły, srebrne oczy zmatowiały. Ogień spalił jego bandaże, nie mogłam patrzeć na to, co się odsłoniło. Nie

spodziewałam się, że poczuję dla niego litość, ale Bóg przeklął mnie, obdarzając taką słabością. Przecież ja też mogłabym zarazić się trędem.

W niemal całkowitych ciemnościach i w towarzystwie trzech trupów, z których jeden był ohydny jak piekło, dogaszałam ostatnie płomienie, zastanawiając się, jak Guido radzi sobie na klifach. Wyjrzałam przez zachodnie okno, ale w zacinającym deszczu nie dostrzegłam na skałach żadnego światła. Modliłam się, żebym jeszcze kiedyś mogła go zobaczyć, i wtedy Bóg mi odpowiedział. Aż trudno uwierzyć, że usłyszałam dochodzące z dołu krzyki Guida.

– Luciano! Luciano!

– Tutaj! – zawołałam przepelniona szczęściem, wymachując rękami.

Guido trzymał nad głową niewielką łódkę obróconą dnem do góry, by ochronić się przed deszczem. Jak *cornio* w swojej skorupie.

– Luciano, czy latarnia zgasła?

– Tak. Zaraz zejść. – Odwróciłam się zadowolona, że wykonałam zadanie.

– Nie! – wrzasnął, a ja zatrzymałam się w pół kroku.

– Posłuchaj uważnie! – krzyczał Guido. – Weź mapę i polej oliwą. Podpal i wyrzuć przez okno. Teraz.

– Ale dlaczego...

– Zrób to! – Jego głos był tak nagły, że nie zadawałam żadnych pytań. Wyjęłam z rękawa wałek z mapą i przejechałam nim po plamie oliwy na podłodze. Znalazłam ostatni maleńki płomyk pośrodku latarni i modliłam się, by wałek się zapalił. Wałek spełnił moje życzenia z naddatkiem, bo zapalił się gwałtownie i o mało nie osmalił mi brwi. Musiał być jakiś składnik w tuszu Cristofora, dzięki któremu drewno paliło się tak energicznie z niebieskawym płomieniem.

Podeszłam do okna, trzymając płonący wałek jak najdalej od siebie i mając nadzieję, że uda mi się go rzucić, zanim spłonie do reszty. Patrzyłam, jak brat Guido stawia na ziemi łódkę i owija dłonie mokrym płaszczem.

– Luciano, rzucaj ostrożnie.

Tak zrobiłam, modląc się, by ogień po drodze nie zgasł, ale pochodnia leciała jak kometa z płonącym ogonem, a Guido złapał ją zręcznie i ostrożnie ruszył w dół po skałach. Nie mogłam pozwolić mu odejść.

– Co się stało? – wrzasnęłam.

– Nie mogłem zapalić stosu. Jest zbyt mokro! – odkrzyknął.

– Więc zanieziesz ten płomień aż na klify? Nie dasz rady!

– Wiem. Ale Cristoforo ma inny pomysł. Mam donieść ogień do naszego statku, który on odpali i wpłynie w środek floty. Muda jest już blisko, tysiąc okrętów o niecałe pół mili stąd.

Mój umysł buntował się przeciwko szaleństwu tego planu.

– Zginiesz! Obaj zginiecie! Burza, ogień...

– Lepiej dwóch niż dwa tysiące.

Puścił łódkę na wzburzone morze, wziął pochodnię w zęby i umocował wiosła w dulkach.

– Nie pływ! – wrzeszczałam. – Niech atakują! Jakże to ma znaczenie?

Popatrzył na mnie po raz ostatni.

– Dobrze wiesz jakie.

Obserwowałam bezradnie, jak walczył z czarnymi górami fal. Bałam się, że wpadnie na skały, jednak był silnym wioslarzem i oddalał się od groźnego brzegu. Światelko stawało się coraz mniejsze i mniejsze. Przy każdym ruchu wiosła bałam się, że pochodnia zgaśnie, a po chwili bałam się, że nie zgaśnie. Nie mogłam się zdecydować, czy chcę, żeby wykonał zadanie, czy nie.

Pochodnia zamigotała i zgasła, po czym znów strzeliły płomienie. Teraz już wiedziałam, że Guido nie może przeżyć, i patrzyłam przerażona, jak płonąca łódź oświetla większy kształt, ciemną, wysoką sylwetkę genueńskiego szkunera, przyciągającego łódkę bosakami. Mniejsze kropki płomienia buchały z płonącej kory, kiedy marynarze zapalali pochodnie. Ciemne postacie podpaliły żagle i cały okręt ogarnęły płomienie, musieli wcześniej zamoczyć płótno w oleju. Ludzie, czarni na tle ognia, skakali do wody. To Cristoforo i jego dzielna załoga. Następnie płonący statek, płynąc stałym kursem, znalazł statek flagowy Mudy, a potem jeden, dwa, dziesięć, dwadzieścia i wreszcie tysiąc okrętów zapaliło się i płonął cały ocean. Flota płonęła, a ja wypatrywałam małej płonącej kropki. Przypominało to szukanie jednej gałązki w płonącym ognisku. I wtedy, po raz drugi tamtej nocy, zobaczyłam płonącego człowieka. Stał na małej wyspie ognia. Rozłożył ramiona jak Chrystus i krzychał coś, zanim rzucił się do wody.

Postąpiłam tak, jak radził Guido, i zaczęłam się modlić.

ROZDZIAŁ 7

Pierwszy świt wiosny był chłodny i deszczowy.

Chociaż sztorm ucichł, mglisty deszcz moczył moje włosy i ubranie w miejscu, gdzie umarło marzenie Wawrzyńca i moje. On pragnął mieć cesarstwo, a ja kochanka. Marzenie wielkie i maleńkie. Oba się rozwiały.

Kiedy snułam się po plaży w srebrnym świetle świtu, morze wyrzucało na brzeg zwęglone ciała marynarzy. Niektórzy byli genueńczykami, ale większość stanowili neapolitańczycy. Odwracałam nogą każdego trupa, oglądałam każdą napuchniętą twarz, szukając w niej rysów Guida. Serce mówiło mi, że odszedł, ale musiałam mieć pewność, nie mogłam się poddać. Nogi zdrętwiały mi od lodowatej wody, która obmywała buty, ale prawie tego nie zauważałam.

– Luciano! – zawołał głos z brzegu. Odwróciłam się szybko, ale był to Cristoforo.

– Jego tu nie ma – powiedział.

– Wiem.

Podszedł do mnie i położył rękę na moim ramieniu.

– Musiał podpalić łódź, żeby płomień nie zgasł. Widziałem, jak skoczył, nie miał wyboru.

Mógł skoczyć albo spłonąć. Wszyscy zrobiliśmy to samo. Ale on chyba nie umiał pływać.

– Nie umiał – wymamrotałam.

– Lepszy pływacy utonęli. Ogień i sztorm to było dla nich za dużo. I dla niego też.

– A Bartolomeo?

– Żyje. Ale wielu biedaków nie przeżyło. I tutaj, i w górach. Jednak Genua zwyciężyła.

To dziwne, bo mnie się wydawało, że wszystko przegrane. Popatrzyłam na morze, utkwiałam wzrok w miejscu, gdzie po raz ostatni widziałam Guida.

– Czy coś powiedział?

– Owszem. „Plewy wypali ogniem niedającym się ugasić”. Wykrzyknął to. I skoczył.

Skinęłam głową. Nie mogłam mówić. Pewnie powinnam się cieszyć, że w tych ostatnich chwilach, zanim poszedł spotkać się ze swoim Bogiem, cytował Pismo Święte.

Wolałabym jednak, żeby przesłał jakąś wiadomość dla mnie.

Cristoforo trzymał mnie za ramiona.

– Ocalił znacznie więcej niż niezliczone dusze. Ocalił moje miasto. Myślę... że musiał być bardzo szlachetnym człowiekiem.

– Był – wyszeptałam. Nogi się pode mną ugięły i opadłam na kamyki plaży.

Cristoforo przykucnął koło mnie i patrzył w morze. Spalone kadłuby sterczały z wody jak

góry lodowe, wkrótce miały zanurzyć się na zawsze, maszty i poczerńiałe flagi tonęły ostatnie. Tak dużo, bardzo dużo spalonych okrętów, sterczących na horyzoncie jak zimowy las.

– Przyszedłem się pożegnać – powiedział.

Zwróciłam na niego zbołały wzrok.

– Ty też? – Był jedynym przyjacielem, jaki mi został.

– Zbyt długo byłem daleko od moich bliskich. Jeśli ta ostatnia noc czegoś mnie nauczyła, to tego, że najwyższa pora zobaczyć syna.

– Diega?

Uśmiechnął się.

– Zapamiętałaś.

Znowu popatrzyłam na morze, poza rozbitą flotę, w nieskończoną szaroniebieską dal.

– Z czego będziesz żył?

– Myślę, że teraz doża Battista zapłaci za mój statek szaleńców. W końcu zrobiłem coś dla tego miasta, prawda? A jeśli nie, to trudno, zwrócę się z prośbą do władcy Hiszpanii.

– To od Wenecji. – Sięgnęłam pod przemoczone spódnice i wręczyłam mu sakiewkę z pięćdziesięcioma dukatami, którą ukradłam matce. Jego wylupiaсте oczy wytrzeszczyły się jeszcze bardziej na widok błysku złota i dźwięk brzęku monet.

– A ty ich nie potrzebujesz?

Pokręciłam głową. Pieniądze nie miały już dla mnie znaczenia.

– Dokąd popłyniesz? – spytałam.

– Najpierw do Portugalii, potem na Azory do ojca i Filipy.

I do małego Diega.

Westchnęłam, myśląc o tym wszystkim, co on miał, a czego ja nie miałam.

– Nie będę cię zatrzymywała. Płyn i zostań z żoną i dzieckiem. Miłość i rodzina to wszystko, co się liczy. – Ja straciłam wszystko w tę jedną noc.

– Chciałem to samo powiedzieć tobie. W pałacu doży czeka na ciebie matka.

– Moja matka? – Nie pomyślałam o niej ani razu, odkąd Guido zniknął mi z oczu.

– Tak. Ona, twój ojciec i Lodovico il Moro zostali uwięzieni.

O świcie przywieziono ich do miasta. Są zakładnikami doży, dopóki nie podpiszą traktatu pokojowego, który teraz sporządzają skrybowie.

– A co z królem Ferdynandem?

– Zawrócił, gdy spłonął pierwszy okręt.

– A Niccolo della Torre? – zapytałam z drżeniem w głosie.

– Kto?

– Władca Pizy.

Wzruszył ramionami.

– Nic o nim nie słyszałem. Dlaczego pytasz?

– Nieważne. – Nie potrafiłam znaleźć słów ani wyjaśnić straszliwej ironii losu. Gdybym wróciła do dawnego życia, zostałabym żoną kuzyna tego, który jest dla mnie stracony.

Okrucieństwo tej sytuacji uderzyło mnie jak cios. Żałowałam, że ja też nie umarłam.

– Kiedy będziesz gotowa, idź do matki. Byłaś pierwszą osobą, o którą zapytała. Myślę, że ona cię kocha. Jest lwicą, to prawda, ale ty jesteś dzieckiem lwicy. – Poczułam na czole jego pocałunek.

Nie byłam w stanie podnieść wzroku. Nie mogłam unieść zmęczonej głowy.

– Niech Bóg będzie z tobą – powiedział Cristoforo.

– I z tobą – szepnęłam. Ale on poszedł już w stronę portu, a wiatr porwał moje słowa i poniósł w przeciwną stronę.

Nie wiem, jak długo siedziałam na lodowatych kamieniach. Drewno i zwoje płótna uderzały o moje nogi i podskakiwały z nadchodzącym przypiływem. Wreszcie słońce wyszło zza chmur i wysuszyło mnie, ogrzało kamienie pod moimi stopami. Wstawał piękny dzień.

Wkrótce będę musiała wybierać: czy zostanę i utonę, czy wstanę i będę żyła. Podniosłam się i poczułam, że coś mnie zadrapało. To *cartone Primavera*, dzięki któremu znalazłam miłość i ją utraciłam. Wyjęłam obraz zza dekoltu i wrzuciłam do wody, jak daleko się dało. Odwróciłam się w stronę lądu. Jednak przypiływ nie pozwolił mi nawet na taki gest. Obraz wrócił do mnie, mokry i wybrudzony jak martwa ryba, i uderzał w mój przemoczony but. Popatrzyłam na *cartone* u swoich stóp i pomyślałam, że to ostatnia rzecz, której obydwójce dotykaliśmy, to było coś, co nas łączyło. Może nadejdzie dzień, kiedy znów będę mogła na to spojrzeć. Uratowałam obrazek, nim fala porwała go znowu, wycisnęłam z niego wodę jak po praniu i wyruszyłam do Palazzo Ducale, bo nie bardzo wiedziałam, co innego mogłabym zrobić.

Miałam ograniczone możliwości. Mogłam zostać i pracować w lupanarach Genui, obsługując marynarzy, aż zrobiłabym się zbyt stara, by mnie chcieli. „Latem cipa i zupa”, przypomniałam sobie. Mogłabym upomnieć się o swoje prawa i jako dodatek dostać na męża nieudolnego *finocchio*, tak jak robak dostaje się człowiekowi wraz z jabłkiem. Albo umrzeć z własnej ręki i spotkać Guida na tamtym świecie. Tylko nie byłam pewna, czy mimo klasztorowego wychowania wierzę w tamten świat. A nawet gdybym wierzyła, to zakonnice nie omieszkały mi powiedzieć, że samobójcy idą prosto do piekła. A skoro Guido, który zginął w obronie innych jak sam Chrystus, pójdzie na pewno prosto do nieba, to zostalibyśmy rozdzieleni na całą wieczność. Miałam nadzieję, że Guido raduje się z aniołami, w które znowu uwierzył.

Łzy zamgłyły mi wzrok i o mało nie zablądziłam. Mijałam niezliczone rodziny zmierzające na mszę, żeby podziękować, że udało im się przeżyć. Nawet dzwony brzmiały radośnie, kiedy

triumfalnie zwoływały wiernych. Byłam jedyną osobą na ulicy, która się nie uśmiechała. Nawet widok kobiet i dzieci, które dzięki nam ocalały, nie poruszał mojego skamieniałego serca. Wreszcie dotarłam do olbrzymiego pasiastego pałacu z wielką bramą i wiedziałam, że samo dotknięcie tych drzwi będzie równoznaczne z dokonaniem wyboru.

Zawołałam strażnika i zaakceptowałam swój los.

Wprowadzono mnie do przestronnej sali audiencyjnej, jakbym była królową Saby. Najwyraźniej moja sława się rozniosła, a miasto było moim dłużnikiem. Towarzyszyło mi dziwne poczucie winy, kiedy wartownicy i służący całowali mnie po rękach. Nie zasłużyłam na to. To inni zasługiwali na takie podziękowania i pochwały, ci, którzy odeszli. Posadzono mnie na złotym krześle, podano puchar wina, proszono, bym poczekała cierpliwie, a doża zaraz przyjdzie.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i naprzeciwko mnie posadzono inną wysoko postawioną osobę, która też oczekiwała na przybycie doży. Tyle że nie było dla niej złotego krzesła ani pucharu. Jedynie bransoletka z łańcuchów na nadgarstkach.

Drzwi znowu się zamknęły i przez kilka krótkich chwil zostałam sama z Wawrzyńcem Medyceuszem.

ROZDZIAŁ 8

Pochylił się i na mnie patrzył. Wydawało się, że nie jest do mnie wrogo nastawiony, tylko zaciekawiony. Spojrzałam mu w oczy, bo w ciągu ostatnich godzin nauczyłam się, że jeśli nie ma się już nic do stracenia, to nie ma się czego bać.

– Dlaczego chciałaś mnie zatrzymać? – spytał. – Jakie to miało znaczenie?

Uświadomiłam sobie nagle, że niemal dokładnie powtórzył moje ostatnie pytanie do Guida i przypomniałam sobie jego ostatnie słowa: „Dobrze wiesz jakie”. I w jednej chwili wiedziałam, jakie – ogromne – to miało znaczenie.

– Bo w Genui nad brzegiem morza dwaj bracia mają sklep z mapami i marzą o odkryciu nowych lądów. Bo w Bolzano jedzą kluski zwane *Knödel* i tańczą jak szaleni. Bo w Pizie jest krzywa wieża, która się pochyla, ale nie przewraca, i co roku cztery dzielnice miasta przepychają przez most pień drzewa. Bo w Wenecji zbudowano miasto na wodzie i wyrabia się tam z piasku cudowne szkło. Bo w Neapolu można kupić szopkę wyrzeźbioną tak realistycznie, jakbyśmy byli w jej wnętrzu, a na sąsiednim straganie można kupić ludzką czaszkę. Bo tutaj – musiałam zapanować nad głosem – człowiek może tak bardzo kochać swoje miasto, że gotów jest oddać życie za to, by pozostało niezmienione.

Musiałam przerwać, rozpaczliwie próbując mruganiem odpędzić łzy, nie chciałam, żeby widział mnie płaczącą. Jednak zdradzieckie krople zebrały się i popłynęły. Pierwsze łzy, jakie wylałam od czasu, gdy byłam niemowlęciem w butelce. Wawrzyniec milczał, ale jego granitowe oczy nabrały troszkę łagodniejszego wyrazu. Wiedząc, że już nigdy nie będę miała takiej szansy, ja z kolei zadałam mu pytanie:

– Dlaczego chciałeś to zrobić?

– Bo chciałem uczynić Italię wielką – odpowiedział po prostu.

Podniosłam zbolaną twarz.

– Już jest wielka – szepnęłam. – Już jest.

Otworzyły się drzwi do komnaty książęcej.

– Mój pan, doża, prosi – oznajmił służący w liberii. Najwyraźniej trudno mu było znaleźć odpowiednie słowa, by zwrócić się równocześnie do przyjaciela i do wroga. – Obydwoje.

Wstaliśmy i książę Florencji zatrzymał się, by, w co trudno uwierzyć, przepuścić mnie przodem.

Ujrzałam dziwny widok. Pod ścianami komnaty siedziały trzy osoby;

Prima figura: Lodovico il Moro, jeszcze w zbroi, zakrwawiony i pobity.

Seconda figura: Mój ojciec. Bez ceremonialnych szat i bez kapelusza *corno* wyglądał jak smutny stary człowiek.

Terza figura: Moja matka w pancerzu na piersiach i stroju do konnej jazdy. Na pierwszy rzut oka przypominała królową Amazonek, ale wystarczyło przyjrzeć się bliżej, by zobaczyć, że wygląda staro, jakby przeplakała całą noc, tę ostatnią i wiele innych.

Na mój widok lekko uniosła się z krzesła, jakby chciała podbiec i mnie uściskać, ale jedno spojrzenie doży zatrzymało ją na miejscu. Uzbrojeni strażnicy z krzyżem Genui na płaszczach wypełnili komnatę pikami i halabardami błyszczącymi w słońcu. Przez jedno z oszklonych okien widziałam *faro* i lśniące morze, gładkie i przejrzyste, jakby nic się nie stało. Słyszałam głosy tych samych mew co wczoraj, zanim świat się zmienił.

Doża siedział na szkarłatnej kanapie, przeglądając dokumenty. Dzisiaj był opanowany. Dojrzał w ciągu nocy. Nie był już Kupidynem. Był królem.

– A, Wawrzyniec – powiedział. – Wejdz. Brakuje tylko twojego podpisu.

Wawrzyniec podszedł do kanapy z miną kwaśną jak cytryna. Doża podał mu gęsie pióro i obserwował, jak skutymi rękami próbuje złożyć podpis.

– No więc – zaczął władca Genui – wszystko wydaje się w porządku. Spowiedź i umowa w jednym, rzadko tak szybko zawiera się umowy. Chciałbym wam wszystkim bardzo podziękować.

– Ze słodkim uśmiechem powiódł wzrokiem po wściekłych twarzach więźniów.

Mój ojciec, rasowy polityk, odezwał się pierwszy:

– Ten traktat pokojowy... będzie na pewno *sub rosa*? – Jego głos się łamał, głos starego człowieka.

– Będzie tak tajny jak spisek, w wyniku którego stał się niezbędny – odparł doża. – Historia nie dowie się o tych wydarzeniach, jeśli spełnicie moje warunki.

– To śmieszne! – wybuchnął rozwścieczony II Moro. – Chcesz powiedzieć, że już nigdy nie możemy stanąć przeciwko sobie w zbrojnym konflikcie? W Italii wojny wybuchały od czasów Rzymian i Etrusków, a nawet wcześniej!

Doża się uśmiechnął.

– Drogi Lodovico. Kochasz wojnę, prawda? Nie martw się. Jestem pewien, że wszyscy spotkamy się jeszcze w bitwie na lądzie czy na morzu. Jestem pewny, że zawsze będą zawierane i zrywane sojusze. Ale tym razem chodzi o coś innego. – Pomachał dokumentem. – Ta umowa stwierdza, że już nigdy nie będzie podejmowana próba jednoczenia tego półwyspu i podporządkowania miast-państw jednemu imperium. Na poparcie tego dokumentu posyłam jego egzemplarz ze wszystkimi moimi nienaruszonymi pieczęciami Jego Wysokości Ludwikowi Jedenastemu we Francji, Ich Wysokościom Ferdynandowi i Izabeli w Hiszpanii i Jego Wysokości Edwardowi Czwartemu w Anglii. Musicie przyznać, że podobna unia naszych państw byłaby

równie groźna dla tamtych królestw, jak i dla mojego księstwa. Jeśli ktokolwiek z was lub inny członek Siódemki zerwie podpisaną dzisiaj ugode, poinstruuje moich sojuszników, by zerwali pieczęcie, przeczytali to, co dzisiaj napisaliśmy, i zmobilizowali swoje siły przeciwko wam. Z moim pełnym poparciem będą mogli przeprowadzić swoje wojska przez terytorium mojego księstwa, które jest furtką do waszych. Genua nigdy nie zgodzi się na taką unię.

Usiadł wygodnie na kanapie i skrzyżował ręce na piersi.

– Przy okazji wysyłam też egzemplarz do Jego Świątobliwości papieża Sykstusa do Rzymu. Mam przecucie, że jego pobożne sumienie każe mu podpisać traktat, prawda?

Zwracał się do wszystkich obecnych, panował nad sytuacją, a wiedza o tym, że Ojciec Święty popierał konspiratorów, unosiła się w powietrzu, choć niewyraźna słowami. Doża złapał tych wszystkich wspaniałych szlachciców w swoją sieć jak kolorowe ryby i tylko on mógł ich wypuścić. I tak zrobił.

– A teraz pozwalam wam wrócić w pokoju do waszych królestw i księstw. Jeśli o mnie chodzi, nigdy was tu nie było. Macie bezpieczny przejazd do gór Torriglia. Potem musicie radzić sobie sami. – Wstał, jakby odprowadzał zgromadzonych. – Rządzcie mądrze, szanujmy to, co nas różni, i pozostajmy przyjaciółmi.

Wszyscy wstali, a doża natychmiast usiadł, demonstracyjnie wziął do ręki dokument, żeby przeczytać go w całości, jakby nie mógł znieść dłuższego przebywania z tymi „sojusznikami”. Jeśli oni siedzieli, on stał. Jeśli oni będą stać, on usiądzie. Genua, teraz i zawsze, będzie działać samotnie. Ale doża jeszcze nie skończył.

– Pan nie – powiedział do Wawrzyńca, nie odrywając wzroku od papierów. Wawrzyniec nie odwrócił się, stał na środku komnaty, pragnąc poznać swój los. Patrzyliśmy na niego wszyscy, wstrzymując oddech. – Co do ciebie, Il Magnifico – w głosie doży brzmiała ironia – bardzo ci dziękuję, że złożyłeś wizytę w moim mieście. – Doża najwyraźniej nie chciał otwarcie oskarżać go o to, że był mózgiem całej intrygi. – Widzę, że z wiosną klimat zrobił się bardziej łagodny. – Wskazał niepowtarzalny widok. – Nie wątpię, że w zamian za moją gościnność chętnie skreślił nasz znaczny dług w banku Medyceuszy. Nie chciałbyś, żeby przyczyny wczorajszych wydarzeń wyszły na jaw, prawda? A dyskrecja zawsze ma swoją cenę.

Il Magnifico wyglądał, jakby miał pod nosem zepsutą rybę. Skinął głową, po czym spojrzał młodemu doży w oczy.

– To nadchodzi – powiedział. – Kiedyś wszystkie nasze państwa będą jednym.

– Być może. – Doża pochylił się do przodu. – Ale nie za mojego życia, a już na pewno nie za twojego.

Młody mężczyzna drwił ze starszego. Wawrzyniec był jak zamieniony w kamień. Po chwili wyprostował się i wyszedł, a za nim pozostali konspiratorzy. Matka odwróciła się przy drzwiach

i posłała mi błagalne spojrzenie.

Drzwi zamknęły się za nimi.

– Signorina – zwrócił się do mnie doża i przyciągnął mnie do siebie, sadzając na szkarłatnej kanapie. – Pani służba dla tego miasta dobiegła końca. Jestem niezmiernie wdzięczny i już na zawsze pozostanę twoim dłużnikiem. – Pocałował mnie w rękę, po czym popatrzył mi w oczy. – Podobno pani przyjaciel nie żyje, bardzo mi przykro z tego powodu. Był dzielny i oddany, służył Bogu. Bierz, pani, przykład z niego, nie ze swojej rodziny. Bądź godnym następcą władcy miasta, tak jak, mam nadzieję, uda się mnie. A teraz idź do swojej matki. – I znowu zagłębił się w papierach.

Dołączyłam do pozostałych i czekaliśmy w sali audiencyjnej na powozy. Siedziałam obok matki, która trzymała mnie za rękę. Nie cofnęłam tej ręki. Rozglądałam się po sali, patrząc na władców, tych wybieranych i dziedzicznych. W pewnym momencie uzmysłowiłam sobie, że tamtego dnia statek szaleńców wcale nie płynął do Portugalii. Był tu. W tym pokoju. Teraz rozumiałam znaczenie ostatniej modlitwy Guida wykrzyczanej, kiedy płonął. „Plewy wypali ogniem niedającym się ugasić”. Ale wszystko poszło nie tak. To pszenica się spaliła, a plewy zostały.

Zrozumiałam wówczas, że Italia nie jest wielka z powodu ludzi takich jak ci, tylko z powodu takich jak ten, który zginął.

X

Piza II, czerwiec 1483

ROZDZIAŁ 1

I w ten sposób znowu znalazłam się w mieście Guida. Znowu stałam na Campo dei Miracoli w drzwiach wielkiej białej katedry, patrząc na wielkie białe baptysterium i wielką białą wieżę, która się pochylała, ale nie przewracała. Tyle że dzisiaj pasowałam do całego białego miasta.

To był dzień mojego ślubu.

Nie miałam żadnych obrazków pod gorsetem. Zamiast tego włożyłam tam zielony szklany nóż, fragment butelki, w której przebywałam jako niemowlę. Ostry i zakrzywiony jak szpon przypominał mi, skąd przybyłam i dokąd zmierzam, a także o tym, że zawsze jest jakieś wyjście. Jeśli samobójcy są potępieni, niech tak będzie. Potępienie może być lepsze niż małżeństwo. Widziałam dosyć baranków zarzynanych w Ognissanti, żeby wiedzieć, że mogę wbić ostrze w tchawicę i krew popłynie po czerwonym i złotym. To wspaniałe odejście, prosto od ołtarza. Będą o tym mówili długie lata.

Matka przerwała moje rozmyślenia.

– Niech na ciebie popatrzę. – Olśniewająca w swojej ulubionej zieleni, miała na sobie złotą półmaseczkę lwicy ze stoma złotymi łańcuszkami wiszącymi od nosa do brody. Uśmiechała się do mnie dumnie spod tej maski, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Jakbym była ulubioną córką, która za chwilę wypełni pragnienie swego serca, a nie zostanie przykuta do pederasty, którego nienawidzi z siłą ognia piekielnego.

Nie widziałam mojego „wybranka”, odkąd przybyliśmy do Pizy, gdzie dziwnym zrządzeniem losu byliśmy gośćmi Wawrzyńca Medyceusza w jego nadrzecznym pałacu na Lungarno Mediceo. Byłam tu kiedyś z Guidem, ukradliśmy łódź, by płynąć w dół rzeki z tysiącem pochodni. Dostrzegałam ironię tej sytuacji: Guido opuścił swoje miasto w taki sposób, w jaki miał zginąć.

Widywałam Wawrzyńca Wspaniałego od czasu do czasu i był wzorem uprzejmości. Ani on, ani nikt inny nie wspominał o tym, co zaszło w Genui niecałe cztery miesiące temu. Przez cały ten czas ani razu nie widziałam Niccolo. Został zraniony w nogę strzałą z łuku podczas bitwy na przełęczy Torriglia, a teraz pojechał w góry do wód, żeby dojść do siebie. Matka zapewniała mnie, że wszystko jest w porządku. (Zupełnie jakbym się o niego martwiła).

– Kontrakty małżeńskie pozostały w mocy pomimo ostatnich... wydarzeń. – Nigdy nie zbliżyła się bardziej do tego tematu. – Oprócz kilku drobnych zmian. To prawda, że książe został ranny w bitwie, bo jak pewnie wiesz, nie jest on doskonałym wojownikiem. Ale jego stan nie wpłynie na ślub, który odbędzie się, tak jak zaplanowano.

Owszem, z moim uszkodzonym mężem niesionym w lektyce. Madonna! Gorsze od bycia żoną podłego egoisty jest bycie żoną podłego egoisty i kaleki.

Teraz, w godzinie mego ślubu, matka szczypała mnie w policzki i poprawiała gorset.

– Jesteś piękniejsza niż letni dzień. – Spojrzałam na nią uważnie, ale ani w jej głosie, ani w oczach nie było ironii. Mówiła to, co myślała, a w dodatku mówiła to z miłością. Odrzuciłam do tyłu włosy obciążone tysiącem pereł i kamieni księżycowych, podciągnęłam gorset. Czułam, że coś jest inaczej. Spojrzałam w dół między piersi, nóż zniknął.

– Mamo! – krzyknęłam ostro.

Odwróciła się i od razu wiedziałam, że to ona zabrała nóż. Ostatni raz dotykała tego kawałka weneckiego szkła, kiedy umieściła mnie w butli z chlebem i mlekiem z piersi. Zabrała nóż, a wraz z nim moją szansę ucieczki.

Westchnęłam głęboko, pokonana.

– W porządku. – Wiedziałam teraz, że muszę przejść przez ten ślub, ale nie za darmo. – No to zrób mi łaskę, jako prezent ślubny.

– Oczywiście.

– Chcę, żebyś uwolniła Bonaccorsa Nivolę – powiedziałam wolno i dobitnie. Myślałam, że będę musiała tłumaczyć, kim jest uwięziony marynarz, bo moja matka, jak już wam mówiłam, nigdy nie zwraca uwagi na zwykłych ludzi. Ale wiedziała od razu. Może nie dawał spokoju także jej sumieniu.

– Będzie, jak zechcesz.

Kiedy mówiła, odezwały się trąbki i tamburyny i otworzyły wielkie drzwi do katedry. Szłam nawą pod rękę z matką, czując tak jak kiedyś, że wielkie białe kolumny i łukowate żebrowania nad głową to kości i że jestem uwięziona w brzuchu wielkiej bestii. Kiedy szliśmy między szeregami wiwatujących ludzi, zastanawiałam się, czy to ci sami, którzy oklaskiwali mnie przed rokiem, kiedy byłam tu z Guidem w złoconym powozie z nieszczęsnym ojcem mojego narzeczonego.

Kiedy doszliśmy do ołtarza, matka pocałowała mnie w policzek.

– Będiesz szczęśliwa – powiedziała. – Możesz mi wierzyć.

Po raz drugi tego dnia spojrzałam w jej oczy zielone jak liście i nie wyczytałam w nich kłamstwa.

A teraz widziałam już plecy znenawidzonego pana młodego. Miał szerokie bary, był wysoki, ubrany podobnie jak ja w biały aksamit i złoto. Zauważyłam, że nawet się nie odwrócił, żeby mnie powitać, jak zrobili wszyscy pozostali. Nie ma wychowania i uprzejmości potomka liczącej się rodziny. Był wyższy, niż zapamiętałam; włosy kręciły mu się tak jak kuzynowi, były jednak trochę dłuższe. Co za okrutne podobieństwo. Czułam, jakbym miała ten nóż na gardle, wykrwawiałam się na śmierć.

Odwrócił się, a ja o mało po raz drugi nie zemdląłem na ślubie w katedrze.

To był Guido.

On, żywy i uśmiechnięty. Podał mi rękę ze złotym pierścieniem *palle* na kciuku.

Był chudszy, włosy miał trochę dłuższe, gładko ogolony, opalona skóra wydawała się złota przy białym stroju. Poczułem, że moje serce niemal pęka z miłości i tęsknoty. Na ręce z pierścieniem skóra była posiniąta od poparzeń, gładka, wysuszona skóra napięta na długich kościach. Zastanawiałem się, jakie inne rany kryły się pod piękną szatą, ale nie przeszkadzało mi to, kochałabym go gorąco, do dna, bez względu na wszystko.

Nie mogłem uczestniczyć w nabożeństwie, nie mogłem oddychać, bo rozpierało mnie szczęście. Z trudem podniosłem prawą rękę w tradycyjnym tokańskim geście powitania pana młodego i gości. Nie mogłem patrzeć na księdza ani słuchać, co mówi, bo nie odrywałem wzroku od mojego – czy to naprawdę możliwe? – od mojego męża!

Udało mi się jednak wyrecytować szeptem słowa przysięgi i zostaliśmy mężem i żoną.

Trzymałem mocno jego poparzoną rękę, kiedy szliśmy przez nawę. Uchwyciłem spojrzenie matki, uśmiechała się do mnie pod maską. Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, mogliśmy wreszcie porozmawiać, rzucając dzieciakom garście monet. Miałem tysiąc pytań, ale zaczęłam od dwóch.

– Co się stało? Gdzie Niccolo?

– Nie żyje. W nogę wdała się gangrena, więc właściwie zmarł od ran wojennych.

Przypomniałem sobie, co powiedziała matka: „jego stan nie wpłynie na ślub, który odbędzie się, tak jak zaplanowano”. A potem powiedziała, że będę szczęśliwa. Musiałem się uśmiechnąć.

– Byłem jedynym żywym dziedzicem rodziny della Torre i wreszcie byłem gotów odziedziczyć moje miasto. Tak jak ci mówiłem o moim pobycie w Bargello, w tokańskiej polityce bez przerwy wszystko się zmienia. Glista z dna kupy gnoju następnego dnia może być królową.

Dzieci szukały monet u naszych stóp, ale my równie dobrze mogliśmy być sami na świecie.

Mąż czule założył mi za ucho złoty pukiel.

– Kiedy wstąpiłem do zakonu, byłem młody i niedoświadczony. Kochałem Kościół i książki, ale nic nie wiedziałem o świecie. Ty mi go pokazałaś. W Rzymie przeszła mi miłość do Kościoła. – Po jego twarzy przemknął cień.

– Ale teraz wiem, że mogę kochać Boga i ciebie i że nie muszę wybierać. Mój Kościół nie jest już moim Kościołem, ale mój Bóg zawsze będzie moim Bogiem, teraz i zawsze.

– Ale jak... jak przeżyłeś?

– Wskoczyłem do morza, bo się paliłem, to jest prawda. Ale trzymałem się masztu statku, za wszelką cenę chciałem przeżyć. Bo odkąd znalazłem ciebie, życie stało się dla mnie bardzo cenne. Wokół mnie nadal szalał sztorm i raz o mało nie puściłem masztu, bo ręce miałem mocno poparzone, a słona woda szczypała jak ocet. Ale coś kazało mi się trzymać.

– Ja? – zapytałam z nadzieją, wiedząc, że modlitwa odmówiona w latarni została wysłuchana.

Uśmiechnął się.

– W pewnym sensie. Może powinniśmy dziękować twojemu alter ego, bogini Florze. Kiedy połykałem wodę i z trudem łąpałem oddech, zobaczyłem jej postać, twoją postać, życie i obietnicę, i dziecko w jej brzuchu. Wiedziałem, że muszę żyć, żeby zobaczyć wiosnę. Ale w mojej wizji, tak jak na *cartone*, nie miała twarzy, i musiałem zobaczyć twoje oblicze. – Ujął w dłonie moją twarz, jakby chciał się upewnić, że to naprawdę ja. – W tym samym momencie zobaczyłem światła na brzegu i wyrzuciło mnie na plażę w Pegli. Wróciłem do pałacu doży. Była to długa i bolesna wędrówka, bo miałem wysoką gorączkę, było mi straszliwie gorąco, a za chwilę okropnie zimno. Wiedziałem, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, bo gdyby po bitwie, jaka się odbyła, znalazł mnie na skałach lojalny genueńczyk, zostałbym stracony jako dezerterski z nieprzyjacielskiego wojska. Ale wreszcie dotarłem do Genui, gdzie doża wynagrodził mnie za moje usługi. Oddał mi do dyspozycji swoich najlepszych lekarzy, a kiedy poczułem się lepiej, szaty, konie, świtę. Powiedział mi, że pojechałaś z matką do Pizy i że powinienem za tobą jechać i odważyć się mieć nadzieję. Ale nie musiał mi tego mówić. – Objął mnie mocniej. – To dobry człowiek i chyba będzie dobrym władcą.

– Ja też tak myślę.

– I tak wróciłem do domu, do tego, co przysługiwało mi z racji urodzenia, i do pałacu, który jest mój. Przerobiliśmy z twoim ojcem kontrakt ślubny, ale wszystko ograniczyło się właściwie do zmiany imienia, a matka wydawała się więcej niż szczęśliwa z powodu takiego rozwoju wydarzeń.

Zdumiona pokręciłam głową. To było za wiele, bym mogła to przyswoić, za dużo szczęścia. Obrócił mnie, żebym na niego spojrzała. Gromada dzieciaków oddaliła się, zadowolona z łupów. Patrzyłam w jakże niebieskie oczy mojego męża Łazarza, który powrócił z krainy śmierci, wyszedł z katakumb na światło. Wyszliśmy z ciemności w światło, od ignorancji do wiedzy, odczytaliśmy mapę skarbów, rozwiązaliśmy zagadkę i zażądaliśmy nagrody. Ale skarb, który znaleźliśmy, nie składał się z koszyczka z klejnotami czy monetami. Był bezcenny.

– I co teraz? – zapytałam, choć było mi wszystko jedno, bylebyśmy byli razem.

– Uczta w pałacu, a potem... noc poślubna. – Po twarzy Guida przebiegł cień. – Oczywiście w tę noc to panna młoda powinna być dziewicą.

– Będę ostrożna – obiecałam i pocałowałam go w sposób zaprzeczający słowom.

Pole Cudów tamtego dnia zasłużyło na swoją nazwę. Słońce weszło za krzywą wieżę, symbolem miasta Guida – i mojego – na pięknym czerwonym niebie. I zaczął się dzień. Zapowiadało się piękne lato.

XI

1492

W 1492 roku zdarzyły się trzy rzeczy.

Prima cosa: Urodziłam córeczkę, której daliśmy na imię Simonetta na cześć perły Genui. Perła w moim pępku, która przetrwała tam spokojnie najrozmaitsze przygody, wyskoczyła podczas narodzin Simonetty, utwierdzając nas w słuszności decyzji o imieniu. Posłałam perłę Bonaccorsowi Nivoli, który został uwolniony na rozkaz mojej matki, i teraz żył spokojnie wraz z rodziną na wyspie Burano, a jego dorośli synowie łowili ryby w lagunie. Nieustannie bawię się z Simonettą, codziennie mówię jej, że ją kocham. Jest moim rajskim jabłkiem. Moje uczucia dzieliła matka, która od przyjścia na świat Simonetty odwiedzała nasz pałac znacznie częściej, huśtała ją na kolanach, karmiła cukierkami, przywoziła z Wenecji zabawki i skarby, by ją zaskoczyć i zachwycić. I największy ze wszystkich darów: bycie z nią i zabawa, zachwyty nad coraz wyraźniejszą urodą dziewczynki, kiedy jej własna bladła. Cieszyła się każdą chwilą spędzoną z wnuczką, była przy jej pierwszych krokach i pierwszych słowach. Dziecko też ją kochało, matka dostała drugą szansę bycia *Vera Madre*. Czasami siedziały w atrium naszego pałacu, a ja obserwowałam starszą panią i małą dziewczynkę grające w kulki czy kręgle pod oprawionym *cartone*, który wisiał na ścianie. Był popękany i sztywny od soli, wszystkie kolory wyblakły, rozmyte przez morze, kiedy wrzuciłam go w fale w Genui. Wszystkie postacie się rozplynęły oprócz jednej – mnie. Nie wiem, czy to dodatkowe pigmenty użyte do namalowania kwiatowego ogrodu utwardziły farbę, ale Flora stała samotnie w swojej zrujnowanej altance.

Seconda cosa: Wawrzyniec Medyceusz zmarł. Rządził Florencją sprawiedliwie i dobrze przez dziewięć lat pokoju i dobrobytu. W chwili jego śmierci piorun uderzył w kościół Santa Maria del Fiore i wielka kopuła stanęła w płomieniach. Marzenia Il Magnifico o imperium umarły wraz z nim. Ale:

Terza cosa: Niejaki Cristoforo Columbus z Genui popłynął na koniec świata, jak zapowiadał. Tam odkrył nowe ziemie – Amerykę – której przeznaczeniem miało być stanie się nowym Rzymem.

UWAGA HISTORYCZNA

Włochy zostały zjednoczone w 1871 roku. Na przełomie wieków w samym sercu stolicy nowego kraju, Rzymie, został postawiony wielki marmurowy monument zwany Ołtarzem Narodów. Zasłania widok na wzgórze kapitolńskie.

NOTA AUTORKI

Primavera Sandro Botticellego doczekała się więcej interpretacji niż jakikolwiek inny obraz w dziejach sztuki. Wiele z nich, od botanicznych do mitologicznych, analizujemy mniej czy bardziej dogłębnie w tej historii. Bardzo dużo zawdzięczam akademickiej interpretacji obrazu Charlesa Dempseya w jego książce *The Portrayal of Love; Botticelli's Primavera and Humanist Culture at the Time of Lorenzo the Magnificent* i niezwykle szczegółowemu botanicznemu rozbirowi obrazu dokonanemu przez Mirellę Levi D'Ancona w książce *Botticelli's Primavera; A Botanical Interpretation Including Astrology, Alchemy and the Medici*. Jednak ta powieść najwięcej zawdzięcza pracy profesora Enrica Guidoniego z uniwersytetu w Rzymie. To on wpadł na pomysł, że postacie reprezentują włoskie miasta, i zasugerował, że obraz kryje plan zjednoczenia Italii przez Medyceuszy. Argumenty profesora można poznać, czytając jego książkę *La Primavera di Botticelli: L'armonia tra le citta nell'Italia di Lorenzo il Magnifico*. Z szacunku dla niego dałam na imię Guido najbardziej wykształconemu bohaterowi mojej książki.

Trzeba jednak podkreślić, że ta powieść jest utworem fikcyjnym i że – z całym szacunkiem dla wymienionych tu uczonych – wszystkie dodatki, opuszczenia czy zmiany dotyczące postaci, wydarzeń czy miejsc są wprowadzone przeze mnie.

PODZIĘKOWANIA

Tajemnica Botticellego odwiedza wiele miast, więc potrzebowałam pomocy wielu osób i miałam szczęście ją otrzymać. Niektóre z nich to członkowie rodziny, inni to wybitni uczeni, a jeszcze innych zakwalifikować można do obu tych kategorii.

Chciałabym podziękować mojej siostrze, archeolożce Veronice Fiorato, za pomoc przy wszystkim, co dotyczyło Rzymu, i mojemu szwagrowi, Richardowi Brownowi, za historię marynarki. Pozostając nadal w gronie rodzinnym, muszę powiedzieć, że wiele zawdzięczam ojcu chrzestnemu, wulkanologowi Alwynowi Scarthowi, który przekazał mi informacje o skutkach trzęsień ziemi, i mojej matce, Barbarze Fiorato, za wyszukanie licznych odniesień biblijnych z pomocą wielebnego Rogera Wooda, który okazał się najbardziej pomocny w sprawie węży w Piśmie Świętym. Mój ojciec, Adelin Fiorato, dokonał korekty i wychwycił moje liczne próby napisania na nowo historii renesansu. Doktor Patrick Hunt z Uniwersytetu Stanforda bardzo pomógł mi w sprawie *pavimento* w Panteonie, korzystałam też ze szczegółowych badań rzymskich katakumb Antonia Baretty. Wszystkie pomyłki w powyższych kwestiach są wyłącznie moją winą i nie powinny rzucać cienia na reputację osób, które mi pomagały.

Na specjalną wzmiankę zasługuje przyjaciel rodziny, Bryan Clay, bo to on pierwszy przysłał mi artykuł z gazety o „kodie Botticellego” pióra profesora Guidoniego.

Muszę podziękować mojej wspaniałej agentce Teresie Chris i cudownemu zespołowi Beautiful Books; Simonowi Petherickowi za jego niezachwianą wiarę w tę książkę; Ryanowi Daviesowi za determinację, by tę książkę zauważono; Tamsin Griffiths za staranny skład i Sarze di Girolamo za poprawienie mojego wątpliwego włoskiego. Wdzięczna jestem Galerii Uffizi za wyrażenie zgody na wykorzystanie tego niepowtarzalnego płótna w mojej książce i Helene Ilmaier za pomoc w zdobyciu praw do wykorzystania obrazu.

Ale przede wszystkim muszę podziękować memu mężowi Sachy, który do licznych swoich ról dodał tym razem zajęcie niezmordowanego researchera. I wreszcie, jako ostatnich, ale nie najmniej ważnych, chciałabym wymienić dwójkę moich małych cherubinków, Conrada i Ruby.

¹ Iz 60, 2– 3.

² *Né di Vener.* (wł.) – wierszyk mówi: ani w piątek, ani we wtorek nie bierz ślubu, nie wyruszaj w podróż ani nie zabieraj się do pracy.

³ Am 8,9.

⁴ Lb 21,6– 9.

